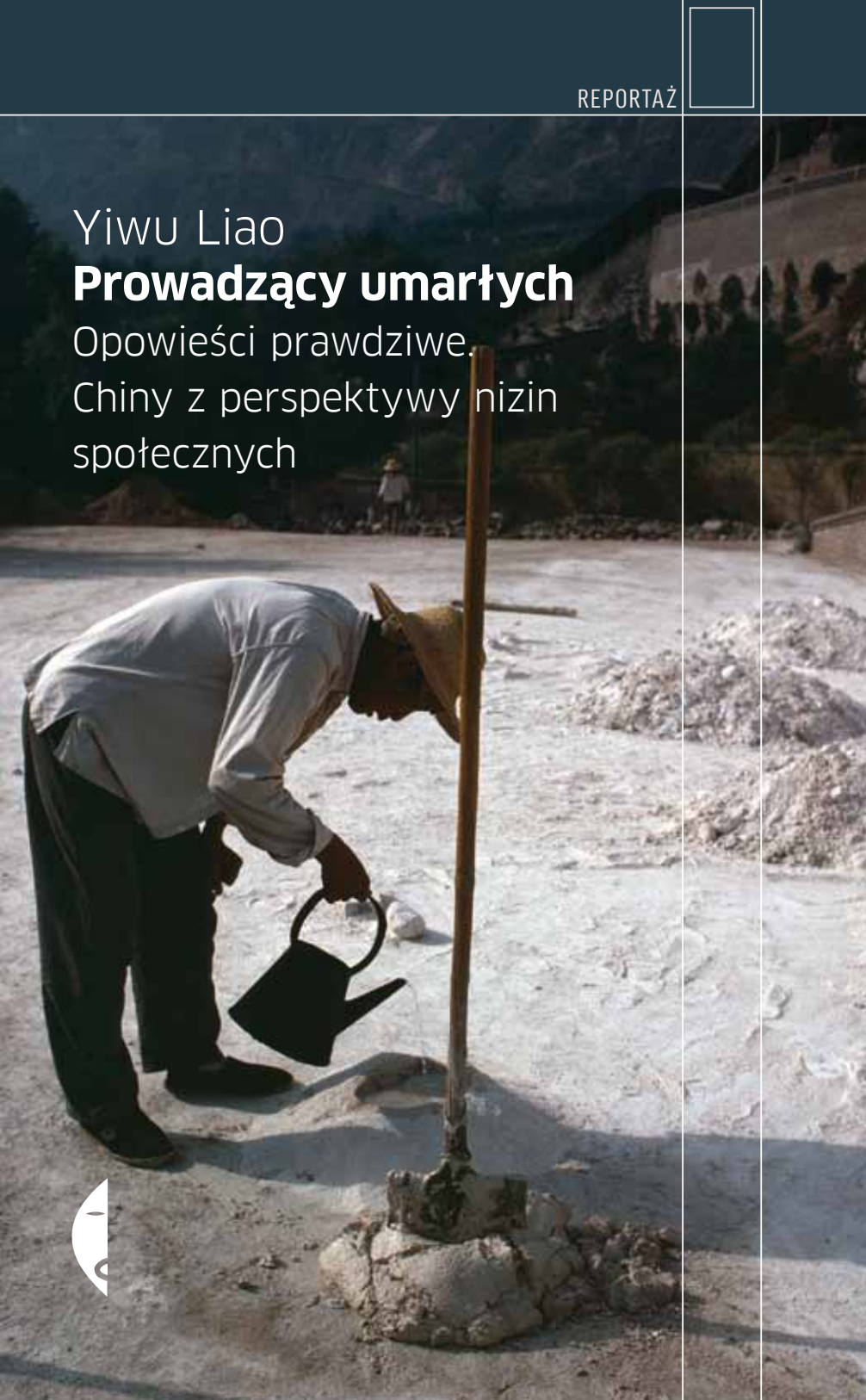


Yiwu Liao

Prowadzący umarłych

Opowieści prawdziwe.

Chiny z perspektywy nizin społecznych



Seria REPORTAŻ

Paweł Smoleński *Izrael już nie frunie*

Mariusz Szczygieł *Gottland*

Włodzimierz Nowak *Obwód głowy*

Maciej Zaremba *Polski hydraulik i inne opowieści ze Szwecji*

Renata Radłowska *Nowohucka telenowela*

Martin Pollack *Dlaczego rozstrzelali Stanisławów*

Jacek Hugo-Bader *Biała gorączka*

Klaus Brinkbäumer *Afrykańska odyseja*

Jean Hatzfeld *Strategia antylop*

Włodzimierz Nowak *Serce narodu koło przystanku*

20. 20 lat nowej Polski w reportażach według Mariusza Szczygła

Jacek Hugo-Bader *W rajskiej dolinie wśród zielska*

Wojciech Tochman *Bóg zapłać*

Peter Fröberg Idling *Uśmiech Pol Pota*

Witold Szablowski *Zabójca z miasta moreli*

Wojciech Górecki *Planeta Kaukaz*

Chloe Hooper *Wysoki*

Swietłana Aleksijewicz *Wojna nie ma w sobie nic z kobiety*

Wojciech Tochman *Dzisiaj narysujemy śmierć*

Jean Rolin *I ktoś rzucił za nim zdechłego psa*

W serii ukazań się m.in.:

Francisco Goldman *Sztuka politycznego morderstwa, czyli kto zabił biskupa*

Marcin Michalski, Maciej Wasielewski, 81 : 1. *Opowieści z Wysp Owczych*

Mariusz Szczygieł, *Niedziela, która zdarzyła się w środę*

Liao Yiwu

Prowadzący umarłych

Opowieści prawdziwe

Chiny z perspektywy nizin społecznych

z angielskiego przekładu Wen Huang

tłumaczyła Agnieszka Pokojńska



Wołowiec 2012

Tytuł oryginału angielskiego będącego podstawą przekładu
THE CORPSE WALKER: REAL-LIFE STORIES, CHINA FROM THE BOTTOM UP

Projekt okładki AGNIESZKA PASIERSKA / PRACOWNIA PAPIERÓWKA
Fotografia na okładce ABBAS / MAGNUM PHOTOS / EK PICTURES
Fotografia Autora pochodzi z archiwum rodzinnego

Copyright © by LIAO YIWU, 2002

This translation is published by arrangement with PANTHEON BOOKS,
an imprint of the Knopf Doubleday Group, a division of Random House, Inc.

Copyright © for the Polish edition by WYDAWNICTWO CZARNE, 2011

Copyright © for the Polish translation by AGNIESZKA POKOJSKA, 2011

Copyright © for O PRZEKŁADZIE NA JĘZYK POLSKI by AGNIESZKA
POKOJSKA, 2011

Copyright © for WSTĘP by PHILIP GOUREVITCH, 2008

Copyright © for WPROWADZENIE: GŁOS CHIŃSKICH WYRZUTKÓW
SPOŁECZNYCH by WEN HUANG, 2008

Redakcja MARTA HÖFFNER

Konsultacja sinologiczna ADINA ZEMANEK, BOGDAN ZEMANEK

Korekty MAŁGORZATA POŹDZIK, ZUZANNA SZATANIK / D2D.PL

Projekt typograficzny i redakcja techniczna ROBERT OLEŚ / D2D.PL

Skład ZUZANNA SZATANIK / D2D.PL

ISBN 978-83-7536-412-5

Cena: 34,90 zł

O przekładzie na język polski

Podejmując się tłumaczenia z języka chińskiego, którego nie znam, poprzez przekład angielski, złamałam jedną z najważniejszych zasad tłumacza. Dlaczego uznałam, że w tym właśnie wypadku warto tę zasadę złamać, zrozumie każdy, kto przeczyta książkę Liao Yiwu. Nie chcę się jednak zagłębiać w rozważania o etyce ani w szczegóły warsztatowe, a jedynie wspomnieć o kilku kwestiach językowo-kulturowych, które moim zdaniem są ciekawe i ważne.

Jak pisze Wen Huang, jego przekład na język angielski, przygotowany we współpracy z autorem, został zmodyfikowany na potrzeby czytelnika amerykańskiego, a tym samym – to chyba uprawnione uogólnienie – czytelnika świata zachodniego w ogóle. (Co tłumaczy decyzję autora, żeby uznawać przekład angielski za podstawę tłumaczeń na inne języki). Można by oczekiwać, że skoro tekst ukazał się w renomowanym wydawnictwie i pracowało nad nim wielu specjalistów, to transfer międzyjęzykowy nie nastarczy trudności. Tymczasem język przekładu jest nieco sztuczny, miejscami wręcz śmieszny, ponieważ pojawiają się w nim słowa z innego rejestru, niż kazałby tego oczekiwać kontekst; zdarzają się połączenia wyrazów niespotykane w naturalnej angielszczyźnie, czy to literackiej, czy potocznej, a także idiomy i frazeologizmy, które nieco za bardzo przypominają dawno nieaktualne wydania podręcznika do nauki języka.

Taka namacalna obcość przekładu z języka chińskiego jest, o ile mi wiadomo, czymś powszechnym w publikacjach

anglojęzycznych, przynajmniej w Stanach Zjednoczonych. Czytelnicy przekładu Wen Huanga są więc przygotowani na obcość, która z niego przebija, nie pozwalając im ani na chwilę zapomnieć, że oto mają do czynienia z twórczością pisarza, dla którego angielski nie jest językiem rodzimym. Już sama forma przekazu jest dla Amerykanów przekazem: o kulturowej odrębności Chin, a także izolacji Chińczyków od języka, który jest w naszych czasach wszechobecny.

Ta wyczuwalna obcość zmusiła mnie do zadania kilku istotnych pytań. Czy powinnam ją tłumaczyć dosłownie? Ale co to znaczy „dosłownie”, skoro nie miałam kontaktu ze „słowem” oryginału? Jak miałam decydować, czy coś ma brzmieć po polsku nieco pokraccznie, skoro nie miałam pojęcia, czy pokracczność tekstu angielskiego wynika w danym przypadku z nieporadności językowej mówiącego po chińsku bohatera (co jest możliwe, bo wielu rozmówców Liao Yiwu to ludzie niewykształceni), czy też ze specyficznej angielszczyzny przekładu?

Trzy powody przesądziły o tym, że starałam się tę językową nieporadność zminimalizować (choć nie zniwelować): po pierwsze, jako że opierałam się tylko na przekładzie, nie miałam podstaw, by decydować o tym, czy dany fragment był w oryginale językowo neutralny, czy też odbiegał od normy, a nie czułam się uprawniona do nieuzasadnionego dodawania komizmu językowego. Po drugie, uznałam, że obcość przebija z tekstu nawet wtedy, kiedy nie przypomina o niej co chwila język: realia kulturowe są dla polskiego czytelnika całkowicie egzotyczne. (Może z wyjątkiem wspólnego obszaru doświadczenia, jakim jest komunizm, choć i tutaj uderzająco obce są i jego masowy wymiar w Chinach, i dzisiejsza koegzystencja ze swoistą formą kapitalizmu). Po trzecie, co wyraźnie podkreśla redaktor naczelny „The Paris Review” Philip Gourevitch, pierwszy wydawca Liao Yiwu na Zachodzie, autor traktuje swoich rozmówców z szacunkiem; ja postanowiłam okazać im szacunek, nie stylizując przesadnie ich wypowiedzi, aby nie zrobić z nich karykatur.

Kolejnym punktem stycznym szacunku i przekładu była kwestia decyzji, jak właściwie Liao Yiwu ma się zwracać w wersji polskiej do osób, z którymi przeprowadza wywiady. Oczywiście,

w tekście angielskim *monopol* ma uniwersalne, egalitarystyczne *you*. W języku chińskim zaś sposób zwracania się do drugiej osoby nie jest tak jednorodny jak w angielszczyźnie: zgodnie z *li*, czyli „dobrym obyczajem”, kiedy chce się okazać szacunek, zwracając się do kogoś (zarówno do mężczyzn, jak i kobiet), używa się słowa *laoshi* („mistrzu”, „nauczycielu”). Wobec osób starszych w sytuacjach oficjalnych stosuje się zwroty „starszy pan”, „starsza pani”, zaś w sytuacjach nieformalnych można mówić „wujku”, „dziadku” („babciu”). Idąc za przekładem angielskim, który sygnalizuje te niezwykle dla nas formy adresatywne dość rzadko, przeważnie używałam form jak najbardziej neutralnych, językowo „przezroczystych”: „pan/pani” w wypadku nieznanym, „ty” w wypadku znajomych i przyjaciół, a słowa „mistrz” tylko w wywiadzie z opatem buddyjskim.

Wspominałam już, że tłumacz wraz z autorem zadbał o to, by przekład angielski był maksymalnie przystępny. Nie pojawia się w nim ani jeden przypis, bo wszystkie niezbędne informacje są wplecione w tekst. Do przekładu polskiego zdecydowałam się dodać przypisy (niezbyt liczne), których sama potrzebowałam jako czytelniczka. Podano, że „wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki”, ale tylko dlatego, żeby zaznaczyć w przyjęty powszechnie sposób, iż zostały sporządzone w procesie tłumaczenia, a nie na etapie redakcji. Ich autorami są świetni sinolodzy, dr Adina Zemanek i dr Bogdan Zemanek, którym niniejszym serdecznie dziękuję za nieocenioną pomoc przy pracy nad tą książką.

Agnieszka Pokojka

Wstęp

Poznanie nowego głosu to jedna z największych przyjemności, jakich może dostarczyć książka – a dzięki Liao Yiwu poznajemy blisko trzydzieści oryginalnych głosów, które mają sporo do powiedzenia. Liao jest jednocześnie uważnym obserwatorem i archiwistą, wytrawnym reporterem i zdolnym opowiadaczem, historykiem ustnych przekazów i zręcznym naśladowcą, folklorystą i humorystą. Przede wszystkim zaś wyraża głos całych grup społeczeństwa chińskiego, którym ten głos odebrano i które w ogóle by nie istniały, gdyby Partia mogła nagiąć rzeczywistość do swoich pragnień. Ci ludzie to kanciarze i leserzy, wyrzutki społeczne i uliczni grajkowie, renegaci i kaleki, specjaliści od ludzkich odchodów i spece od niszczenia innych, artyści i szamani, oszuści, nawet kanibale – a każdy z nich mówi o swoim kraju uczciwiej niż oficjalne sprawozdania z życia w Chinach, które państwo wydaje w imieniu „ludu”.

Liao jako pisarza ukształtowały ciężkie przeżycia: w dzieciństwie omal nie umarł z głodu, a jego ojciec został napiętnowany jako wróg ludu. Internowano go za napisanie wierszy, które mówiły prawdę o Chińskiej Partii Komunistycznej, i bito w więzieniu za to, że nie zgodził się zamilknąć; w więzieniu też odkrył ogromną wartość słuchania ludzi takich jak on sam, których władze chciałyby na zawsze uciszyć. Liao pisze zatem z odwagą człowieka, który wie, czym jest strata, i się jej nie boi. Nic tak nie wzbudza jego zainteresowania jak oficjalny zakaz zwracania na coś uwagi, nic tak nie wyostrza mu słuchu jak narzucona

odgórnie głuchota, nic tak nie popycha go do tego, żeby coś nam pokazać, jak ślepotą, którą usiłują narzucić władze komunistyczne. Ale o witalności historii zebranych w tym zbiorze nie przesądza jedynie opór wobec władzy ani polemiczny pazur. Wielka siła spotkań Liao z bohaterami jego wywiadów płynie stąd, że on wyraźnie czerpie przyjemność z ich człowieczeństwa, choćby przejawiało się w najdziwaczniejszy sposób, a także stąd, że okazuje swoim rozmówcom szacunek w najbardziej podstawowym sensie: pozwala im mówić to, co chcą.

Nie ulega wątpliwości, że Liao Yiwu to jeden z najbardziej oryginalnych i niezwykłych współczesnych pisarzy chińskich. Chociaż może bliższe prawdy byłoby inne sformułowanie tego stwierdzenia: jest jednym z najbardziej oryginalnych i niezwykłych pisarzy współczesnych oraz pochodzi z Chin. Tak, Liao pisze po chińsku, jego kraj i jego rodacy są dla niego głównymi tematami, a opowiadane przezeń historie wyrastają ze spotkań odbytych w bardzo konkretnie określonych miejscach. Ale nawet do tych czytelników, którzy nigdy nie byli w Chinach i pisarstwo Liao mogą poznać tylko za pośrednictwem przekładu Wen Huanga, historie te trafiają dzięki swojej bezpośredniości i intymności przekraczającymi wszelkie granice i klasyfikacje. Należą do wielkiej, wspólnej spuścizny, jaką jest literatura światowa.

Liao Yiwu jest twórcą oryginalnym, ale można by się założyć, że pisarze tak różni, jak Mark Twain i Jack London, Mikołaj Gogol i George Orwell, François Rabelais i Primo Levi natychmiast wyczuliby w nim jednocześnie i bratnią duszę, i kolegę po piórze. Liao Yiwu jest dyrektorem w ludzkim cyrku, a jego pisarstwo pełni funkcję ważnego przypomnienia – koniecznego zarówno w społeczeństwach otwartych, które od nadmiaru swobód zapadły w letarg, jak i w zamkniętych, gdzie opowiadanie prawdziwych historii uchodzi niekiedy za przestępstwo – że historia naszego gatunku jest wpisana znamienne nie tylko w losy tych, którzy dzierżą władzę, są wyraźnie widziani i słyszani, lecz w równej mierze w losy ludzi marginalizowanych, niedostrzeganych i niesłyszanych.

Philip Gourevitch
listopad 2007

Wprowadzenie

Głos chińskich wyrzutków społecznych

Kiedy wysłane przez chiński rząd czołgi wjechały do Pekinu w nocy 3 czerwca 1989 roku i brutalnie stłumiły studencki ruch prodemokratyczny, Liao Yiwu był w domu, w południowo-zachodniej prowincji Syczuan. Wiadomości z Pekinu nim wstrząsnęły. Do rana napisał poemat *Masakra*, który odwołuje się do sugestywnych obrazów i mówi o zabijaniu niewinnych studentów i mieszkańców miasta w sposób tak przejmujący, jak obraz Picassa o zbombardowaniu Guerniki.

Ponieważ opublikowanie poematu w Chinach nie wchodziło w rachubę, Liao nagrał siebie recytującego *Masakrę* i dodał tradycyjne chińskie śpiewy i zawodzenia służące przywołaniu duchów zmarłych. To nagranie krążyło w chińskim podziemiu. W innym wierszu napisanym w tamtym czasie Liao ujął frustrację, jaką budzi w nim niemożność podjęcia walki odwetowej:

Urodziłeś się z duszą zabójcy,
Ale kiedy trzeba działać,
Jesteś zagubiony, nie robisz nic.
Nie masz miecza, którego mógłbyś dobyć,
Twoje ciało to zardzewiała broń,
Ręce ci drżą,
Kości zgniły,
Krótki wzrok nie pozwala celować.

Nagranie *Masakry*, a także film na podstawie drugiej części poematu, *Requiem*, który Liao nakręcił z przyjaciółmi, zwróciły uwagę chińskiej służby bezpieczeństwa. W lutym 1990 roku, kiedy Liao wsiadał do pociągu do Pekinu, otoczyła go policja. Wraz z nim aresztowano za udział w filmie sześcioro jego przyjaciół, pisarzy i poetów, a także jego ciężarną żonę. Liao jako prowodyr został skazany na cztery lata więzienia.

Od tamtej pory stale figuruje na czarnej liście chińskich władz. W Chinach większość jego dzieł jest na indeksie. Mieszka teraz i pracuje jako grajek uliczny w pewnym miasteczku w południowo-zachodniej prowincji Junnan, pod czujnym okiem służb bezpieczeństwa. Wielokrotnie bywał aresztowany za przeprowadzanie „nielegalnych wywiadów” oraz za ujawnienie ciemnej strony społeczeństwa komunistycznego w dokumentalnej książce *Wywiady z ludźmi z dolnych szczebli drabiny społecznej*. Dwadzieścia siedem historii zamieszczonych w niniejszej książce to przekłady i adaptacje zaczerpnięte z tego właśnie zbioru, jak również z nowszych publikacji zamieszczonych na chińskojęzycznych stronach internetowych tworzonych poza granicami Chin.

Liao urodził się w roku 1958, roku Psa. W tym samym roku Mao Zedong ogłosił kampanię Wielkiego Skoku Naprzód, której celem było uprzemysłowienie zacofanej gospodarki rolniczej Chin. Narzucona siłą kolektywizacja rolnictwa i ślepa mobilizacja całego narodu do stosowania prymitywnych metod produkcji żelaza i stali doprowadziły w 1960 roku do kłęski głodu, w której zginęło około trzydziestu milionów ludzi.

W czasach głodu Liao chorował na odmę, był umierający. Zrozpaczona matka zaniósła go na wieś, gdzie – jak to opisał – specjalista od medycyny chińskiej trzymał go „nad woikiem z parującym naparem z ziół”. Ta para cudem wróciła mu zdrowie.

Podczas rewolucji kulturalnej, w roku 1966 rodzinę Liao spotkał cios – jego ojca, nauczyciela, napiętnowano jako kontrrewolucjonistę. Rodzice postanowili się rozwieść, żeby uchronić dzieci przed skutkami ojcowskiego statusu pariasa. Życie bez głowy rodziny było trudne. Wśród wspomnień z dzieciństwa

Liao bardzo żywy jest następujący obraz: „Jakiś krewny dał mojej matce kartki na dwa metry tkaniny. Ale kiedy matka sprzedała je na czarnym rynku, żeby mieć na jedzenie dla nas, złapała ją policja i postawiła razem z innymi przestępcami na scenie Opery Syczuańskiej przed tysiącami widzów. Kiedy dowiedziałem się o tym od kilku kolegów z klasy, którzy ją widzieli, byłem zdruzgotany”.

Po ukończeniu szkoły średniej Liao jeździł po kraju, pracując najpierw jako kucharz, a potem jako kierowca ciężarówki na trasie Syczuan–Tybet. W wolnym czasie czytał zakazanych wcześniej poetów Zachodu, od Keatsa do Baudelaire’a. Zaczął też pisać wiersze i publikować w pismach literackich.

W latach osiemdziesiątych Liao był jednym z najpopularniejszych młodych poetów w Chinach. Regularnie publikował we wpływowych pismach literackich, wydawał też w podziemnych oficynach specjalizujących się we współczesnej poezji w stylu zachodnim, uważanej przez władze za „duchowe zanieczyszczenie”. Wiosną 1989 roku dwa prestiżowe pisma wykorzystały chwilową odwilż i zamieściły na swoich łamach poematy Liao, *Żółte miasto* i *Bożyszcze*. W tych poematach za pomocą aluzji i alegorii autor skrytykował system unieruchomiony i przeżarty zbiorową białaczką. Twierdził, że pojawienie się Mao na scenie politycznej było objawem tego nieuleczalnego nowotworu. Zaalarmowana silną antykomunistyczną wymową wierszy policja przeszukała dom Liao; on sam był wielokrotnie przesłuchiwany i zatrzymywany. Wydawcy drukujących jego utwory pism także ponieśli karę: jednemu z nich zakazano prowadzenia dalszej działalności.

Decydującym rozdziałem w życiu Liao był pobyt w więzieniu, do którego trafił w 1990 roku za to, że potępił stłumienie przez władze studenckiego ruchu prodemokratycznego z roku 1989. Podczas czteroletniego pobytu w więzieniu był poddany ostracyzmowi i cierpiał na depresję. Buntował się przeciwko obowiązującym regułom, co ściągało na niego drastyczne kary: poddawano go elektrowstrząsom, krępowano, zmuszano do stania godzinami w palącym słońcu. Raz spędził dwadzieścia trzy dni w jednoosobowej celi z rękami związanymi na plecach, aż pod

pachami utworzyły mu się ropnie. Przeżył kilka załamań nerwowych i dwukrotnie podejmował próby samobójcze. Współwięźniowie nazywali go „wariatem”.

W 1994 roku, na skutek nacisków międzynarodowej opinii publicznej, Liao został zwolniony z więzienia, pięćdziesiąt dni przed wyznaczonym terminem. (Rząd chiński oświadczył, że jest to nagroda za dobre sprawowanie). Po powrocie do domu Liao odkrył, że zostawiła go żona i zabrała ze sobą dziecko. Unieważniono mu meldunek w mieście, uniemożliwiając w ten sposób znalezienie zatrudnienia i zmuszając do wyjazdu na wieś. Przyjaciele z kręgów literackich unikali go ze strachu przed konsekwencjami. Jedyne, co miał, to flet, na którym nauczył się grać w więzieniu. Chodził po ruchliwych ulicach rodzinnego Chengdu i zaczął życie grajka ulicznego.

Nie zrezygnował jednak z działalności literackiej. W roku 1998 wydał antologię podziemnych wierszy z lat siedemdziesiątych pod tytułem *Upadek świątyni*, w której zawarł utwory wielu chińskich dysydentów lub aluzje do nich. Jeden z wicepremierów Chin osobiście zlecił dochodzenie w sprawie tej książki, nazywając ją „próbą obalenia rządu, popieraną przez wpływowe ugrupowania antychińskie”. Liao ponownie został aresztowany, a wydawca książki otrzymał roczny zakaz publikowania nowych tytułów.

W miarę jak władze Chin zaciskały pętlę na jego karierze pisarskiej, Liao schodził w coraz niższe warstwy społeczeństwa. Imał się dorywczych prac w knajpach, klubach nocnych, herbaciarniach i księgarniach. Dzięki takiemu trybowi życia rozszerzył zakres planowanej książki o społecznie marginalizowanych osobach, z którymi się zaprzyjaźnił. Owocem jego rozmów ze współwięźniami i ludźmi spotykanymi na ulicach była książka *Wywiady z ludźmi z dolnych szczebli drabiny społecznej*. Wśród sześćdziesięciu zamieszczonych w niej rozmów znalazły się wywiady z zawodowym żalobnikiem, handlarzem ludźmi, mordercą, żebrakiem, wróżbitą, włamywaczem, dysydem, homoseksualistą, alfonsem, byłym właścicielem ziemskim, nauczycielem i wyznawczynią Falun Gong. Podobnie jak sam autor, wszyscy ci ludzie albo znaleźli się na samym dnie

społeczeństwa wskutek czystek politycznych epoki Mao, albo trafili tam w następstwie burzliwych zmian zachodzących w społeczeństwie chińskim.

Wywiady te mają wartość nie tylko dziennikarską, lecz także literacką – nie są to wierne zapisy spotkań z rozmówcami, lecz ich rekonstrukcje. Ponieważ przeprowadzanie wywiadów wymagało szczególnej wrażliwości i cierpliwości, Liao czasami rezygnował z używanych zazwyczaj w takich sytuacjach narzędzi, jakimi są dyktafon i notatnik. Niezależnie od tego, czy rozmawiał z kimś w więzieniu, czy na ulicy, zawsze spędzał z daną osobą dużo czasu, żeby przed rozpoczęciem wywiadu zdobyć jej zaufanie. Każda historia wymagała średnio trzech, czterech osobnych spotkań. Przykładowo, z przedsiębiorcą pogrzebowym Liao rozmawiał podczas siedmiu sesji, a później złożył zgromadzony materiał w jedną całość.

W 2001 roku wydawnictwo Yangtse wydało skróconą, ocenzonej wersję tej książki i natychmiast stała się ona bestsellerem. Yu Jie, znany pekiński niezależny krytyk literacki, nazwał ją „raportem śledczym dobrego socjologa, który służyć może za historyczny dokument o współczesnych Chinach”. Inny niezależny krytyk, Ren Bumei, powiedział w wywiadzie udzielonym Radiu Wolna Azja: „Wszystkich ludzi przedstawionych w książce łączy jedno – zostali pozbawieni prawa do mówienia we własnej obronie. Ta książka to zdecydowane potępienie odebrania im tego prawa i zarazem doskonały portret tych wyjątkowych jednostek”.

Po raz pierwszy od przejścia władzy przez komunistów w 1949 roku Liao wprowadził do języka słowo *diceng*, „dolny szczebel drabiny społecznej”. Było to pojęcie zniechęcone przez zwolenników maoistycznego ustroju komunistycznego, stawiającego sobie za cel stworzenie społeczeństwa bez różnic społecznych, w którym nie istnieją prostytutki, żebracy, gangsterzy i narkomani. Jak można się było spodziewać, Wydział Propagandy i Chiński Urząd do spraw Informacji i Wydawnictw nakazał wycofanie wszystkich książek Liao z księgarń, ukarał szefa wydawnictwa, którego nakładem ukazały się *Wywiady...*, a także zwolnił całą kadre kierowniczą popularnego chińskiego

tygodnika „Południowy weekend”, gdzie opublikowano wywiad z Liao i recenzję jego książki.

W 2002 roku Kang Zhengguo, pisarz i wykładowca Yale University, poznał Liao podczas pobytu w Chinach i przesmugłował za granicę kompletny tekst jego książki. Dzięki pomocy Kanga tajwańskie wydawnictwo Pole Ryzowe opublikowało *Wywiady z ludźmi z dolnych szczebli drabiny społecznej* bez cenzorskich skrótów, w edycji trzytomowej. W tym samym roku Liao otrzymał nagrodę literacką Niezależnego Chińskiego Oddziału PEN-Clubu, a w roku 2003 – Hellman-Hammett Grant, nagrodę przyznaną dorocznie przez organizację Human Rights Watch w uznaniu dla pisarzy, którzy wykazują odwagę w obliczu prześladowań politycznych.

Ja po raz pierwszy usłyszałem o Liao w 2001 roku, kiedy Radio Wolna Azja zleciło mi tłumaczenie wywiadu, który rozgłosiła przeprowadziła z nim niedługo po umieszczeniu jego książki na chińskim indeksie publikacji zakazanych. Wywiad wzbudził we mnie zainteresowanie autorem. *Wywiady z ludźmi z dolnych szczebli drabiny społecznej* skojarzyły mi się z książką Studsa Terkela *Working*, w której autor zebrał rozmowy z Amerykanami z bardzo różnych środowisk, od kelnerki i telefonistki po gwiazdy baseballu i muzyki, opowiadającymi o swojej pracy i życiu w Ameryce. Książka ta została przetłumaczona na chiński w latach osiemdziesiątych i wydana pod tytułem *Amerykanie mówią o swoim życiu w Ameryce*. Jako student chińskiej uczelni czytałem i wersję chińską, i amerykańską (mój wykładowca angielskiego traktował wersję oryginalną jako podręcznik do nauki potocznego języka amerykańskiego). Zarówno mnie, jak i wielu innym Chińczykom książka ta przybliżyła prawdziwą Amerykę i życie zwykłych Amerykanów, o których wcześniej niewiele wiedziałem. Uważam, że prawdziwe historie zamieszczone w książce Liao odgrywają taką samą rolę w przypadku czytelników zachodnich – pomagają im zrozumieć Chiny widziane z perspektywy zwyczajnych obywateli.

Od 2002 roku wielokrotnie próbowałem skontaktować się z Liao za pośrednictwem jego przyjaciół w Chinach. Okazało się, że to trudne zadanie, bo jako pisarz dysydent Liao musiał

stale być w ruchu, żeby unikać nękania przez policję. Raz wyskoczył z drugiego piętra i uciekł z Chengdu, żeby umknąć przed aresztowaniem za przeprowadzenie wywiadu z członkinią zakazanej grupy religijnej.

Pewnego dnia na początku 2004 roku dostałem e-mail od znajomej, która gościnnie wykładała na Uniwersytecie Harvarda. Dość dobrze znała Liao i po powrocie ze Stanów do Pekinu zdołała go odszukać. Z jej e-maila dowiedziałem się, że Liao przystał na moją propozycję przełożenia jego utworów na język angielski. Podał też swój numer telefonu. Sprawdziłem numer kierunkowy i okazało się, że chodzi o małe miasto blisko chińskiej granicy z Birmą.

Dwugodzinna rozmowa telefoniczna zapoczątkowała naszą współpracę. Przez następne dwa lata pracowaliśmy razem nad tłumaczeniem, kontaktując się za pomocą poczty elektronicznej i telefonu. Czasami posługiwaliśmy się w rozmowach ustalonym szyfrem albo, kiedy podejrzewaliśmy, że rozmowy są podsłuchiwane, porozumiewaliśmy się przez wspólnych znajomych.

Latem 2005 roku trzy wywiady z książki Liao – z zawodowym żalobnikiem, handlarzem ludźmi i kierownikiem szaletu publicznego – ukazały się w przekładzie na angielski w „The Paris Review”, w pierwszym numerze wydanym przez nowego redaktora, Philipa Gourevitcha.

Po udanym debiucie w „The Paris Review” wybraliśmy razem z Liao dwadzieścia siedem historii, które są naszym zdaniem reprezentatywne dla jego twórczości i zarazem najciekawsze dla zachodniego czytelnika. Skróciliśmy je i pozmienialiśmy, uzupełniliśmy o informacje ułatwiające orientację czytelnikom, którym niewiele mówią pojawiające się w wywiadach odniesienia do wydarzeń politycznych i historycznych. Mamy nadzieję, że dzięki tej książce czytelnicy z Zachodu ujrzą współczesne Chiny z perspektywy zwykłych ludzi.

Liao nadal omija chińską cenzurę i mimo stałego nękania przez policję publikuje na zagranicznych chińskojęzycznych stronach internetowych. W grudniu 2007 roku, kiedy wybierał się do Pekinu po odbiór nagrody Freedom to Write przyznanej przez Niezależny Chiński Oddział PEN-Clubu, zatrzymano go

i przesłuchiowano przez ponad cztery godziny. Nie dał się zastraszyć. Z pomocą chińskiego prawnika składa teraz pozew przeciwko władzom, oskarżając je o łamanie jego praw człowieka. Jak mówi: „Staram się pomału przemóc strach, który mi wpojono. Usiłuję w ten sposób chronić swoje zdrowie psychiczne i wewnętrzną wolność”.

Wen Huang
styczeń 2008

Prowadzący umarłych

Zawodowy żałobnik

Li Changgenga poznałem w drodze na malowniczą górę Baoyuan w okręgu Jiangyou, w położonej na południowym zachodzie Chin prowincji Syczuan. Li, zawodowy żałobnik, ma blisko siedemdziesiąt lat. Urodził się w prowincji Henan w środkowych Chinach i mimo że w rodzinnych stronach nie był od lat, nadal mówi z tamtejszym nosowym akcentem. O pół głowy wyższy od przeciętnego Syczuńczyka, Li wyglądał zdrowo i czerstwo. Przypisywał to wieloletniej grze na tradycyjnym instrumencie dętym, *suona* – długim, zakończonym jak trąbka chińskim oboju – który, jak powiedział, wymaga nie lada siły fizycznej. Gra na *suona* i zawodzenie służą tworzeniu nastroju żałoby na tradycyjnych pogrzebach.

Liao Yiwu: Jak pan to robi, że potrafi optakiwać obcych ludzi?

Li Changgeng: Zacząłem pracować jako żałobnik w wieku dwunastu lat. Mój nauczyciel kazał mi ćwiczyć podstawowe melodie na *suona*, uczyć się zawodzić i śpiewać. Kto solidnie opanuje podstawy, może swobodnie improwizować i uzyskać wstrząsający efekt. Nasze zawodzenie brzmi bardziej autentycznie od zawodzenia dzieci i krewnych zmarłego.

Zwykle ludzie, którzy stracili członka rodziny, płaczą, a na widok ciała zmarłego zaczynają jęczeć i zawodzić. Ale ich zawodzenie nie trwa długo. Prędko ogarnia ich smutek, a kiedy dociera do samego serca, doznają szoku albo mdleją. Z kolei my, jak tylko wprawimy się w odpowiedni nastrój, potrafimy panować nad

emocjami i improwizować z pełną swobodą. Możemy zawodzić tak długo, jak się tego od nas oczekuje. Jeżeli pogrzeb jest wystawny i dobrze płacą, sporo improwujemy, żeby organizator był zadowolony.

Kiedy miałem szesnaście lat, opuściłem dom rodzinny i skierowałem się na południowy zachód, do Syczuanu. Syczuan był bogatszy od Henanu i ludzie chętnie wykładali duże pieniądze na wesela i pogrzeby. Niedługo po tym, jak tu przyjechałem, stałem się dość sławny. Mój zawód przypomina zawód aktora w teatrze czy w filmie. Jak się już zacznie, człowiek stopniowo wczuwa się w rolę. W filmie aktor trzyma się scenariusza. My, żałobnicy, trzymamy się melodii.

Te melodie – *Żegnanie ducha, Pogoń za duchem, Requiem, Przyzywanie ducha, Słowa pożegnania od rodziny, Najgłębszy żal, Zamykanie trumny, Wejście do nieba, Pochówek, Ostatnie spojrzenie, Przeszywający ból i Och, tak niezmiernie mi smutno* – są znane od setek lat, przechodziły z pokolenia na pokolenie. Istnieją dokładne wskazówki, w którym miejscu należy zaśpiewać wysoko, a w którym zejść niżej; kiedy zachrypieć albo zapisać; kiedy zawodzić z efektem wyschniętego gardła i kiedy płakać; kiedy wstrząsać całym ciałem jakby w ogromnym bólu i kiedy brzmieć tak, jakby traciło się głos. To wszystko musi być bardzo precyzyjne.

Liao: Jak długo potrafi pan zawodzić? Jaki jest pana rekord?

Li: Dwa dni i dwie noce. Zazwyczaj kiedy *suona* wygrywa początek melodii otwierającej uroczystość, my, członkowie zespołu, rzucamy to, co akurat robimy i wkładamy białe płócienne stroje. Potem równocześnie kłaniamy się trzy razy portretowi zmarłego i dziewięć razy dotykamy czołem ziemi. Potem zaczynamy dwie rundy płaczów, szlochów i zawodzenia. Z pozorów może to się wydawać chaotyczne, ale gdyby ktoś poobserwował nas z zewnątrz przez jakąś godzinę, zauważyłby, że ten chaos jest dobrze zaplanowany. Na przykład, kiedy ja szlocham, ktoś inny zawodzi. To tak, jakby pan zrobił sobie przerwę w pracy, a ja bym wtedy przejął robotę. Głos to nasz majątek i wiemy, jak go chronić. Nie zaszkodzi mu nawet głośne, przeszywające zawodzenie, co rozdziera serce.

Ludzkie uczucia szczęścia czy gniewu mogą być zakaźne jak choroby i szybko się rozprzestrzeniać. Oczywiście, rozumiemy, że członkowie rodziny zmarłego są aktorami pierwszoplanowymi. Ale kiedy przygniata ich żal, ich ciała często słabną. Bywa tak, że wszyscy aktorzy pierwszoplanowi dość prędko schodzą ze sceny. Wtedy wchodzimy my, obsada drugoplanowa, wypożyczta i przygotowana do przejęcia roli. Szczerze mówiąc, tylko płatni żałobnicy potrafią wytrzymać do końca uroczystości.

Płatny żałobnik jest zarazem uczestnikiem i obserwatorem. Czasami zerkam na krewnych zmarłego: niektórzy naprawdę szaleją z bólu, rzucają się na trumnę, jakby nie chcieli dać zmarłemu odejść. Inni tylko udają. Tutaj odgrywamy podwójną rolę: płaczemy i zawodzimy, jakby serce nam się krajało, a jednocześnie służymy jako ochroniarze, których zadaniem jest powstrzymanie krewnych od rzucenia się na trumnę. Kiedy już wszyscy krewni przejdą obok trumny i pożegnają się ze zmarłym, nasze zadanie polega na kontynuowaniu ich zachowań. Zgodnie z wymogami tradycji przed zamknięciem trumny pięciu czy sześciu z nas trzykrotnie usiłuje się na nią rzucić, chcąc dotknąć zmarłego, a pozostali trzymają nas za koszule i nie pozwalają nam tknąć trumny. Dopiero kiedy wieko jest zamknięte i zabite gwoździami, możemy po kryjomu westchnąć z ulgą.

Kiedyś traktowaliśmy każdy pogrzeb jak konkurs. Dzieliliśmy się na solistów i na chórki i kiedy było po wszystkim, zbieraliśmy się i krytykowaliśmy nawzajem. Żeby pracować jako żałobnik, nie wystarczy dysponować donośnym głosem. Trzeba wiedzieć, jak wykonać daną pieśń. Na przykład śpiewna recytacja wiersza wymaga dobrej koordynacji urzekających wstępów, gładkich przejść, wysokich crescendo i dobitnych zakończeń. Podczas wykonania trzeba nad sobą panować, a czasami umieć stracić kontrolę. Twarz, ręce, ramiona, każda część ciała, każdy ruch są ważne. Opłakując zmarłego, śpiewamy takie wersy, jak „Pracowałeś ciężko przez całe życie” czy „Jak mogłeś nas opuścić, kiedy właśnie zaczęły się dla nas dobre czasy?” i tym podobne. To są nasze libretta. Kiedyś omawialiśmy wykonanie każdego wersu, tak żeby każdy z nas mógł w przyszłości wypaść lepiej.

Zawodzenie jest trudniejsze niż gra na *suona* czy śpiewanie arii operowej. To aktorstwo, ale tak subtelne, że ludzie nie zdają sobie sprawy z tego, że żałobnik gra. Kiedyś właśnie dzięki temu mieliśmy z czego żyć. Złożenie ciała w trumnie, zamknięcie trumny, pochówek – za każdym razem, kiedy krewni stawali ze zmarłym twarzą w twarz, następował szczyt naszych wybuchów emocji, a dochód osiągany z każdego występu zależał od tego, jak nam się udały lamenty.

Liao: Człowiek wykonujący pana zawód chyba zawsze będzie miał zajęcie.

Li: Ja kiedyś też tak myślałem. W latach czterdziestych komuniści i nacjonaści rozpętali wojnę domową. Uchodźcy zalewali moje miasto rodzinne niczym fale. Oni uciekali przed niebezpieczeństwem, a my przeciwnie, kierowaliśmy się tam, gdzie było wiele ofiar. Podobnie jak muzycy w latach dziewięćdziesiątych, w tamtych czasach artyści zbierali się w trupy czy zespoły. Mój ojciec był szefem takiego zespołu. Kiedyś, w Henanie, był śpiewakiem, śpiewał pieśni ludowe i operowe. Mój nauczyciel był członkiem innego zespołu. Kiedy w środkowej części Chin toczyły się wojny, ludzie żyli w zupełnej nędzy i wszędzie roiło się od rabusiów i dezerterów z armii. Nikt nie miał głowy do opery. W odruchu rozpaczony mój nauczyciel, który chciał przeżyć, zaproponował, żebyśmy połączyli nasz zespół z zespołem ojca. Kierował się założeniem, że ci, którzy żyją, mogą obyć się bez koncertów i opery, ale muszą wyprawiać pogrzeby zmarłym. Mój ojciec nie umiał grać na *suona*, ale miał dobry, donośny głos, tenor. Kiedy krzyknął, słycać go było na wiele mil. A ponieważ kiedyś śpiewał w operze, co to było dla niego nauczyć się raptem kilkunastu pieśni żałobnych.

Ale na początku nie było nam w Syczuanie łatwo. Ludzie najmowali na pogrzeby miejscowe zespoły. Co bogatsi wynajmowali na pożegnanie ducha zmarłego i lokalną trupę operową, i grupę mnichów śpiewających pieśni religijne. W Chengdu zupełnie nie mogliśmy się przebić. Daliśmy za wygraną i przenieśliśmy się w okolice Mianyang. Tam też nie udało się nam dostać żadnej pracy. Tak samo było, kiedy przybyliśmy do okręgu Jianguyou. Postanowiliśmy osiedlić się tymczasowo w biednej

wiosce, jakieś dziesięć kilometrów od miasteczka. Chwytałyśmy się różnych zajęć, żeby zarobić na trzy posiłki dziennie i jakoś przeżyć.

W 1948 roku ten region nawiedziła epidemia. Wszędzie przy drodze leżały zwłoki. Nasz zespół epidemia oszczędziła. Jak pan wie, choroba nie ogląda się na to, czy ktoś jest bogaty, czy biedny, wszystkich kosi równo. Miejscowe zespoły pogrzebowe były w większości dość małe, takie rodzinne interesy. Kilka osób przynosiło na pogrzeb *suona* i odprawiało prostą ceremonię. Nie miały szans konkurować z takim dużym zespołem jak nasz. Poza tym my, przybysze z północy, byliśmy potężniejsi, wyżsi i silniejsi. Wkrótce nasz zespół praktycznie zmonopolizował miejscowe wesela i pogrzeby. Kiedy graliśmy na *suona*, wykazywaliśmy się większą wytrzymałością niż te miejscowe cherlaki.

Ale każdy region był kontrolowany przez oddział chińskiej mafii, triady. Jeśli weszło mu się w paradę i zagarnęło część jego interesów, można było skończyć z nożem w brzuchu. Kto w takiej sytuacji miałby czelność z nimi konkurować? Nas nie było stać nawet na płacenie haraczu. Kiedy lokalni mistrzowie gry na *suona* i zawodowi żałobnicy stracili przez nas swoje porcje ryżu, skrzyknęli się i zwrócili o pomoc do szefa miejscowej triady. Nazywali go Piątka Czerwona Flaga, prowadził herbaciarnię w miasteczku Qianlian. Przekazał nam wiadomość: albo się wyniesiemy z jego terytorium, albo każe połamać nam nogi i nas wyrzucić.

Na szczęście byliśmy już w okolicy dość znani. Jeden z miejscowych rolników był buddystą, podobnie jak cała jego rodzina. Mówili na niego Mediator Zhang. Poszedł błagać o litość dla nas i dał przywódcy triady dwadzieścia srebrnych dolarów. Taką małą łapówkę. Na to Piątka Czerwona Flaga spuścił z tonu. Zaproponował konkurs. Mój ojciec zapytał: „Ale jak możemy stanąć do konkursu, skoro nie ma nieboszczyków i pogrzebów?”. Na to padła odpowiedź: „To akurat nie jest problem”.

Na drugi dzień rano, kiedy wstaliśmy i otworzyliśmy drzwi, potknęliśmy się o ciało żebraka, które leżało tuż za naszym progiem. Potraktowaliśmy więc tego żebraka, jakby był wielką szychą i przygotowaliśmy uroczystą ceremonię. Kupiliśmy trumnę, zabalsamowaliśmy zwłoki i ubraliśmy w eleganckie

ubranie. Potem zanieśliśmy otwartą trumnę na rynek. Obie strony sporu zaczęły budować sceny, według uzgodnionych wcześniej warunków. Miejscowi mistrzowie gry na *suona*, zawodowi żałobnicy i ich krewni uzbierali dużą sumę i słono zapłacili za występ znanym muzykom. Byli gotowi nas pokonać, walcząc do upadłego.

Kiedy minęło pół dnia, obie sceny były gotowe. Stały naprzeciwko siebie i miały prawie po pięćdziesiąt stóp wysokości. Między nimi stała otwarta trumna. Konkurs ściągnął ciekawskich z wiosek odległych nawet o sto kilometrów. Pierwszy raz, odkąd Bóg stworzył świat, mistrzowie gry na *suona* i zawodowi żałobnicy mieli walczyć o terytorium.

Konkurs rozpoczął się od gry na *suona*. Obie strony zagrały tę samą melodię, *Najgłębszy żal*. W odległości kilku stóp od sceny siedzieli sędziowie i widownia. W pierwszym rzędzie zasiadł przywódca triady i jego sługusi, szef bezpieczeństwa okręgu, miejscowe grube ryby i bogaci ziemianie. Byłem młody i ambitny, rwałem się do starcia w pierwszej rundzie, ale nauczyciel odciągnął mnie od sceny. Miał ponad pięćdziesiąt lat, ale wciąż tryskał siłą i energią. Był ubrany w czarny strój żałobny z białym nakryciem głowy, które lśniło w słońcu. Przytrzymał *suona* zębami, rękami chwycił drabinę sznurkową i po kilku krokach znalazł się na scenie. Widziałem, że na drugiej scenie przygotowuje się już jego przeciwnik.

Ktoś na dole zamachał białą flagą i krzyknął „Start!”. Wtedy z obu instrumentów popłynęła muzyka. Melodie przeszywały serca słuchaczy jak noże. Obaj przeciwnicy byli weteranami, bardzo doświadczeni. Po ponad pół godzinie wciąż trudno było określić, który jest górą. W szczytowym momencie konkursu bystrzy obserwatorzy pewnie dostrzegli, że ze *suona* mojego nauczyciela tryskały krople śliny zmieszanej z krwią. Mój ojciec wyglądał na całkowicie spokojnego. Wiedział doskonale, że nauczyciel jest wytrwały i dość uparty. Nie uznawał czegoś takiego jak porażka. Jego rodzice mówili na niego „ośla głowa”. Mniej więcej po godzinie od rozpoczęcia konkursu przeciwnik mojego nauczyciela zaczął wykazywać oznaki zmęczenia i dyszczyć. Zwycięstwo było w zasięgu ręki. Wtedy zobaczyłem, że

suona mojego nauczyciela nagle złamała się na pół i mężczyzna na podium dał sygnał białą flagą. O nie, pomyślałem, już po nas. Spojrzałem znów na scenę i zobaczyłem, że mój nauczyciel ma zakrwawione usta. Okazało się, że ktoś strzelił z procy, żeby nie dać mu wygrać.

Zareagowałem natychmiast, nie myśląc wiele. Rzuciłem się na drabinę i po chwili byłem na scenie. Mój ojciec też próbował wejść, ale scena nie mogła utrzymać ciężaru tylu ludzi i zaczęła się chwiać. Krzyknąłem do nauczyciela: „Nauczycielu, proszę, zejdź szybko!”. W tej samej chwili członkowie naszego zespołu zebrawi się pod sceną i zagrodzili drogę mojemu ojcu. Musiał ustąpić, ale tupął nogami i krzyczał: „Złaź ze sceny, gnojku. Prosisz się o śmierć”. Jeszcze zanim skończył, zobaczyłem, że na scenę naprzeciwko wchodzi uczestnik z wrogiego obozu.

Nadeszła pora konkursu w kategorii zawodzenie.

Mój przeciwnik tupnął, zabębnił pięściami w pierś i wydał z siebie potężne zawodzenie, jak wół zapędzony do zagrody. Widownia nagrodziła go oklaskami. Pomyślałem wtedy: „To koniec, przepadliśmy!”. Pomyślałem o moim nauczycielu, który został raniony i przegrał w konkursie. Pomyślałem o moim ojcu, który pewnie nie przeżyje tej klęski. Opuściliśmy domy i przemierzaliśmy tysiące mil, staraliśmy się nieść radość żywym i opłakiwać umarłych. A teraz znaleźliśmy się w takim strasznym położeniu, tyranizowani przez miejscowych. Kiedy wreszcie skończy się nasza udręka? Ten rytuał dla zmarłego żebraka mógł oznaczać koniec dla naszego zespołu. I co z nami będzie? Jak zarobimy na życie? Jeżeli nie będę mógł grać na *suona*, pozostanie mi już tylko żebrac. Pewnego dnia mogę skończyć tak, jak ten żebrak w trumnie.

Im dłużej o tym myślałem, tym bardziej byłem przygnębiony. Im dłużej o tym myślałem, tym bardziej chciałem umrzeć. Wybuchnąłem płaczem. Otworzyłem szeroko oczy i wbiłem wzrok w niebo, w oślepiające słońce, nie mrugając powiekami. Straciłem czucie w ciele. Nic nie widziałem, nic nie słyszałem. Zawodziłem z głębi trzewi. To biłem się w pierś, to wyciągałem zaciśnięte pięści ku niebu, jakbym walczył o życie z Bogiem w niebiosach. Nagle człowiek z procą wymierzył we mnie. Usłyszałem tylko

uderzenie, głowa mnie rozboleła i wszystko wokół zaczęło wirować. Staralem się zwracać twarz ku górze. Póki nie będę krwawić na twarzy – postanowiłem – nadal będę zawodził. Kiedy biała flaga podniosła się i opadła kilka razy na znak mojego zwycięstwa, nawet tego nie zauważyłem. Później słyszałem, że mój przeciwnik stracił głos na długo przede mną. Ja zawodziłem jeszcze ponad dziesięć minut, doprowadzając do łez tłum, który głośnym chórem przyłączył się do mojego zawodzenia. Nawet ci z triady mieli wilgotne oczy. Podobno wzdychali: „Potraktowaliśmy tych obcych niesprawiedliwie. To smutne. Ten młody na scenie to taki smutny widok”.

Liao: Czy podczas zarządzanej przez Mao Zedonga kampanii Zwalczania Czterech Plag, w czasie rewolucji kulturalnej, po Wielkim Skoku Naprzód, nadal wolno było panu uprawiać ten zawód?

Li: Nie zmieniłem zawodu, ale zmieniłem wykonywane melodie. Kiedy Chiny świętowały wyzwolenie, wszyscy kochali pieśni i tańce ludowe. Nasz zespół się dostosował i graliśmy *Słońce w krajach komunistycznych świeci jaśniej*. Tego rodzaju melodie rewolucyjne wykonywaliśmy później, w czasie kampanii politycznych. Śpiew i muzyka pomagały mobilizować masy. Graliśmy posłusznie to, co kazali nam grać przywódcy. Tacy muzycy jak my byli szczęśliwi, jeśli udało im się zdobyć trzy posiłki dziennie i wygodne łóżko na noc. Rzadko byliśmy niezadowoleni czy źli. Powiem panu więcej, podczas trzyletniego głodu, kiedy ludzie masowo marli z wycieńczenia, nadal grałem wesołe melodyjki, wysławiające pokój i dobrobyt. Jak człowiek za długo udaje na pogrzebach, to chyba serce zamienia mu się w kamień. Na tym świecie nie można być zbyt uczuciowym. Dzisiaj Partia pozwala mówić, co się myśli, i rozluźniła kontrolę polityczną, więc ludzie czują, że wszystko im wolno, i się cieszą. Ale jak kogoś za bardzo poniesie, to Partia wyśle go do obozu pracy. Potem taki będzie żył z podkulonym ogonem w obozie przez dziesięć, dwadzieścia lat.

Liao: Pana zespół się rozpadł, prawda?

Li: Rozwiązaliśmy się w 1951 roku. Od tamtego czasu robię to, co wielu innych mistrzów gry na *suona* – w dzień uprawiam ziemię, a gram, kiedy nadarza się okazja. Kiedy ktoś w okolicy

się żenił, rodziły się dzieci albo ktoś umierał, posyłali po mnie, bo byłem tu dość znany. Ktoś mi poradził, żebym założył własny zespół i zaczął się rozglądać za zleceniami. Przemyślałem tę radę, ale w końcu stwierdziłem: nie, nic z tego. Gdybym miał zespół, zostałby uznany za organizację pozarządową. No bo pod jaką agencję rządową mógłby niby podlegać? Nie znalazłem żadnej, której mógłby podlegać, więc zostałby uznany za organizację nielegalną. A taka nielegalna działalność może zostać uznana za kontrrewolucyjną, co grozi wyrokiem. Chciałem tego uniknąć.

Miałem parę dobrych lat, ale teraz wydaje mi się to bardzo odległe. Mój los się odmienił zaraz po tym, jak w Chinach zaczęły się reformy gospodarcze. Wróciły do łask stare tradycje i przez krótki czas byłem dość popularny. Ale to nie trwało długo. Dzisiaj ludzie nie urządzają już tradycyjnych wesel i pogrzebów z muzyką *suona*. Dostaję coraz mniej zleceń. Ludzie na wsi bardzo szybko małpują miejskie mody. Młodzi ludzie w miastach oglądają za dużo filmów z Hongkongu i z Zachodu. A potem naśladują wszystko, czego się naoglądali w tych filmach. Nie praktykuje się już bicia czołem o ziemię. Oczywiście ludzi na wsi nie stać na wesela w zachodnim stylu, ale z łatwością mogą wypożyczyć wielką limuzynę. To znacznie bardziej szykowne niż tradycyjna czerwona lektyka dla panny młodej, za którą idzie zespół muzyków grających na *suona*.

Omijam miasta, staram się szukać okazji do pracy w górach. Jest mi ciężko, bo nie mogę niczego zaplanować. Poza tym się starzeję. Już nie tak łatwo mi podróżować. Miałem kilku uczniów, ale wszyscy zrezygnowali i znaleźli sobie inne zajęcia. Kiedyś dla młodego człowieka gra na *suona* nie była poniżającą pracą. Dzieci z bogatych domów patrzyły na nas z góry, ale wiadomo było, że mają muchy w nosie. A faktem jest, że pionierem i pierwszym wykonawcą tego zawodu był jego świątobliwość Konfucjusz. W młodości grał na *suona*, żeby utrzymać siebie i matkę. Występował na pogrzebach, ubrany w strój żałobnika z białego płótna. Zajmował się też zawodowo zawodzeniem i noszeniem trumien. Dlatego w domach mistrzów gry na *suona* często widuje się portrety Konfucjusza albo tablice na jego cześć.

Dzisiaj żyjemy w innej epoce. Mało kto chce się uczyć grać na *suona*. Dzisiaj, ledwo postawi się namiot na stypę, krewni zmarłego natychmiast rozkładają kilka stolików do madzonga i przez całą noc grają. Żałobników bardziej obchodzi wygrana w grze niż zmarły. Ludzie są inni niż kiedyś. Nawet nie chce im się udawać, że im smutno.

Liao: Ale co z samymi pogrzebami? Dzięki grze na suona uroczystości pogrzebowe są bardziej wzruszające.

Li: Chyba się pan nie orientuje w dzisiejszej gospodarce rynkowej. W mojej wiosce jest łatwy dostęp do transportu. Kiedy ktoś umrze, rodzina tylko dzwoni, a zaraz pojawia się firma pogrzebowa i oferuje szeroki zakres usług, od wypożyczenia wieńców po organizację procesji pogrzebowych i styp. Nazywają to usługą „wszystko w jednym”. Kiedyś rodziny zapraszały mnichów, żeby śpiewali mantry, które miały zmarłemu ułatwić przejście na tamten świat. Muzyka *suona* towarzyszyła zawodzeniu oddanych dzieci. A dzisiaj śmierć traktuje się tutaj jak okazję do zabawy. Ludzie urządzają na stypach koncerty muzyki pop. Przyjaciele i rodzina prawie biją się o to, żeby zamawiać piosenki na cześć zmarłego. Mogą to być dosłownie wszystkie piosenki. Czasami żałobnicy wykonywują jakąś popularną piosenkę i zmieniają kilka linijek, żeby tekst bardziej pasował do okazji. Ludzie za tym szaleją. A dzieci i krewni zmarłego nie mają już obowiązku niesienia trumny w procesji pogrzebowej. Trumnę wiezie się samochodem albo limuzyną. Procesję otwierają muzycy grający na zachodnich instrumentach. Teraz, kiedy są mikrofony i głośniki, muzykę pogrzebową słychać na wiele mil i wszyscy wiedzą, że ktoś umarł.

Liao: Bardzo dużo pan wie o pogrzebach. Mój dziadek opowiadał mi kiedyś historie o „prowadzeniu umarłych”. Czy to prawda, że byli ludzie, którzy się tym zajmowali zawodowo, i że zarabiali duże pieniądze na transportowaniu w rodzinne strony tych, którzy zmarli setki czy tysiące mil od domu?

Li: Tak. Byli kiedyś ludzie, którzy się specjalizowali w prowadzeniu zwłok. Zwykle przemieszczali się nocą, zawsze we dwóch. Jeden szedł z przodu, drugi z tyłu. Tak jak niesie się lektykę, oni nieśli ciało, które, napędzane ich siłą, mknęło szybko jak wiatr. A oni skandowali jednym głosem „jo-ho, jo-ho, jo-ho”.

Kiedy patrzyło się na nich z daleka, widać było, że zmarły i żywi maszerują równym krokiem. Ciało zmarłego poruszało się w tym samym rytmie co ciała żywych dzięki grawitacji. Ale takiej trójce trudno było zmieniać tempo i nigdy nie wykonywali ostrych skrętów. Jak człowiek widział, że zbliżają się idące zwłoki, schodził z drogi. Inaczej mógłby się z nimi zderzyć.

Widziałem coś takiego na własne oczy w 1949 roku. W prowincji Jiangxi grupa dezertersów z armii przypadkowo zastrzeliła miejscowego kupca. Nazywał się Lu. Pomagałem zorganizować jego pogrzeb. Wtedy nie było możliwości łatwego przetransportowania ciała do domu czy to drogą lądową, czy wodną. A jego bliscy nie mogli znieść myśli, że miałyby spocząć w obcej ziemi. Zapłacili więc zawodowcom, żeby dostarczyli jego ciało do domu. Zabralo im to ponad tydzień, ale kiedy dotarli na miejsce, zwłoki wyglądały jak żywe.

Ponieważ większość tych prowadzących umarłych spała w dzień, młodzi ludzie, tacy jak ja, którzy byli ich ciekawi, czasem ich podglądali. Ja polizałem papier w oknie i zrobiłem małą dziurkę, żeby zobaczyć, jak wygląda ich pokój. Było w nim ciemno. Słyszałem tylko głośnie chrapanie. Jeden kolega, Xiao Wu, chciał wejść do środka i ukraść drąg, którego używali do niesienia zwłok. Wszyscy chcieliśmy się przekonać, czy jest magiczny. Ale kiedy tylko uchylił drzwi, skoczył na niego jakiś cień. Jak się potem okazało, był to czarny kot.

Prowadzący umarłych zawsze nosili ze sobą kota. Zanim ruszali w drogę, odsuwali stojące pod ścianą zwłoki tak, jakby przesuwali drzwi. Wynosili je ostrożnie na zewnątrz i kładli płasko, trzymając za głowę i nogi. Kot przebiegał po zwłokach trzy czy cztery razy. Nazywali to „szkiem elektrycznym”. Potem ustawiali się z trupem w szyku i przez chwilę maszerowali w miejscu, jak oddział wojska na musztrze. Wreszcie ruszali, skandując „jo-ho, jo-ho, jo-ho”.

Liao: Nie wiem, czy w to wierzyć.

Li: To prawdziwa historia.

Handlarz ludźmi

Handel kobietami to działalność przestępcza, która w Chinach ma długą historię. Kiedyś ten zyskowny interes kontrolowały syndykaty przestępcze – tak zwane triady – które miały dziewczęta i kobiety ze wsi obietnicami dobrej pracy w dużych miastach, a potem drogo sprzedawały je do burdeli. Po rewolucji komunistycznej 1949 roku rząd wypenił triady w wielu częściach Chin. Krajowy handel ludźmi w dużej mierze przejęli wówczas wiejscy kmiotkowie, tacy jak Qian Guibao, którego odwiedziłem w areszcie w mieście Chongqing. Nasza rozmowa trwała ponad dwie godziny; jednak nie wolno mi było wnieść do więzienia sprzętu nagrywającego, dlatego musiałem spisać wywiad z pamięci.

Liao Yiwu: Wygląda pan na uczciwego chłopca. Jak to się stało, że zajął się pan takim interesem?

Qian Guibao: Moja historia nie jest wyjątkowa. Byłem rolnikiem w wiosce Dolina Rzeki w okręgu Pinggu, w prowincji Syczuan. Słyszał pan o Pinggu? Tam żyją te słynne pandy. Kiedyś góra koło naszej wioski porośnięta była bujnymi lasami i dawała nam wszystko, czego potrzebowaliśmy do życia. Zbieraliśmy i sprzedawaliśmy drewno, które zostawało po drwalach z tartaku. Można było za nie dostać całkiem niezłe pieniądze. Poza tym w lasach było pełno jedzenia. Ale kiedy zapotrzebowanie na drewno wzrosło, drzewa zaczęły szybko znikać. Ani się obejrzeliśmy, a po lesie nie zostało śladu. Tartak zamknęli, skończyły się resztki drewna na sprzedaż, a na łysej górze nic nie chcieli

rosnąć. Pewnie nie zna pan moich rodzinnych stron, ale prawda jest taka, że tam nie można wyżyć z uprawy ziemi. Kiedy miałem dwadzieścia osiem lat, już złamałem „politykę jednego dziecka”, bo moja żona urodziła trzy dziewczuchy. Nie było mnie stać nawet na to, żeby kupić im majtki.

Wszyscy moi sąsiedzi byli właściwie w tej samej sytuacji. Kiedy mężczyźni pracowali w polu, nosili portki uplecione z suchej trawy. Prawdziwe spodnie zostawiali w domu, żeby oszczędzić je na święta i specjalne okazje. Zimą kobiety i dziewczyny chodziły po domu gołe i przy wszystkich pracach trzymały się jak najbliżej pieca. Nędzne było nasze życie, aż do roku 1992, kiedy w kilku, razem z młodymi sąsiadami z wioski, postanowiliśmy sprzedać na miejscowym targu wyroby skórzane, które wiele rodzin zbierało przez lata. Za te pieniądze kupiliśmy bilety na autobus i wyjechaliśmy ze wsi. Najpierw łapaliśmy się różnych robót budowlanych po wsiach, a potem pojechaliśmy za pracodawcą aż do północno-zachodniej prowincji Gansu. Tam porzuciliśmy ciężką pracę fizyczną. Ja zacząłem chodzić od wioski do wioski, handlując drobiazgami. Dużo się wtedy dowiedziałem o świecie.

Północno-zachodnie Chiny to olbrzymi obszar. Duża jego część to pustynie. Trudno było tam dostać choćby wodę do picia. Miejscowi zbierali śnieg w wielkim dole, a kiedy topniał, zapewniał im wodę na pół roku. W tych wioskach mężczyźni byli porządni i mili. Kochali swoje kobiety, łazili za nimi krok w krok. Ponieważ większość rodzin woli chłopaków niż dziewczuchy, w okolicy nie było zbyt wielu kobiet. Młodzi mężczyźni całymi latami ciułali, żeby potem za oszczędności kupić sobie żonę. Było mi ich strasznie szkoda. Na widok kobiety oczy płonęły im pożądaniem, widać było, że marzą tylko o tym, żeby natychmiast się na niej położyć i ją zerznąć.

Moja wioska w Syczuanie była dość biedna, ale nigdy nie widziałem tak zdesperowanych mężczyzn jak tam. Jak pan wie, syczuańskie kobiety słyną z tego, że są robotne, ładne i miłe dla swoich mężczyzn. W północnych prowincjach kochają kobiety z Syczuanu. Kiedy skojarzyłem te fakty, zobaczyłem okazję do zarobku.

Liao: Jak wyglądała pana pierwsza transakcja?

Qian: Nie udało mi się nikogo sprzedać, więc wydałem swoje dwie córki za chłopaków z wioski w prowincji Gansu. Moi zięciowie są dość bogaci jak na tę okolicę. Dostałem za nie sześćset juanów i osiem owiec. Owce sprzedałem jakiemuś chłopu na stacji po pięćdziesiąt juanów za sztukę. Zarobiłem więc w sumie tysiąc juanów [około stu dwudziestu dolarów]. Nigdy nie czułem się tak bogaty. Roznosiło mnie ze szczęścia. Ale parę dni później dowiedziałem się od córek, że poznały w wiosce kilka innych kobiet z Syczuanu. Tamte kobiety zostały przywiezione przez handlarzy ludźmi. Niech pan zgadnie, ile ci dranie sobie zażyczyli za jedną babę: ponad dwa tysiące juanów. Czyli straciłem na tym interesie. Diabli by to wzięli.

Liao: Posłał pan córki na drugi kraniec kraju i wydał za obcych dla zarobku?

Qian: A co one wiedzą o szczęściu? Są córkami biednego chłopca. Jak tylko ich mężowie mają fiuty, to co mnie więcej obchodzi. Im częściej się babę posuwa, tym ładniej wygląda. Oczywiście na niektóre po tym, jak urodzą dzieci, nie da się już patrzeć.

Liao: Jak pan rozkręcił interes?

Qian: Nie miałem wyjścia, musiałem je mamie ładnymi kłamstwami. Z początku mówiłem, że prowadzę na północy restaurację i potrzebuję kelnerkę do pracy. Obiecywałem porządną zapłatę i pokrycie kosztów jedzenia i mieszkania. Ale te kłamstwa nie chwyciły. Wtedy wpadłem na nowy pomysł. Zamówiłem zmyślane wizytówki i wmawiałem kobietom, że szukam pracownic do fabryki tkanin na północy. Mówiłem, że w Gansu wełna jest tania, bo mają tam pełno krów i owiec; to idealna lokalizacja na fabrykę swetrów i dywanów. Wciskałem im najróżniejsze kity i w końcu niektóre dały się nabrać. Z czasem przybyło mi śmiałości. Zbudowałem sieć kontaktów w paru dużych miastach na północnym zachodzie. Moja rola polegała na przewiezieniu „towaru” w wyznaczone miejsce. Później moi ludzie rozwozili „towar” po wioskach.

Wyćwiczyłem się do perfekcji. Język miałem tak obrotny, jakby był naoliwiony. Bez problemu mógłbym namówić boginię z nieba, żeby wyszła za śmiertelnika. Wiele kobiet łykało

te bzdury, jakby to było najlepsze jedzenie na świecie. Jeśli wierzyły w takie brednie i dawały się sprzedać, to same są sobie winne.

Liao: Handlował pan ludzkim ciałem.

Qian: Oj, kolego, nieładnie to kolega nazywa. Nie prowadziłem burdelu.

Liao: Zmuszał pan kiedykolwiek niewinne kobiety do prostytucji?

Qian: Cnotliwa kobieta nie będzie się prostytuować, choćby się ją nie wiem jak zmuszało. Ale większość kobiet jest jak mężczyźni. Są żądne przygód i łase na łatwą kasę. To prawda, że przez ostatnie pięć lat sprzedałem ponad dwadzieścia kobiet, ale same do mnie przyszły. Nie przystawiałem im pistoletu do głowy. Nie byłem bandytą czy porywaczem. Nie musiałem nawet się wysilać, żeby je oszukiwać. Na północy jest tylu biednych kawalerów. Świadczyłem usługi łączące te gołąbki oddzielone tysiącami mil. Początki takich związków może nie wyglądały zbyt pomyślnie, nie było w nich dużo czułości. Niektóre z tych młodych żon chciały się zabić. Ale po początkowej niechęci czy buncie, większość akceptowała swój los. Z czasem ich życie się poprawiało i układało.

A to, że były krępowane i bite – na wsiach to zupełnie normalne. Dobry mężczyzna to taki, który ma siłę podnieść kij i zbić żonę. Kiedyś nieśliśmy z żoną zboże z pola. Poczułem chćicę i chciałem ją wydymać. Ona na to, że ma okres i że muszę poczekać przynajmniej aż się ściemni. Nie dałem za wygraną i upierałem się, że będę się z nią pieprzył za dnia. Ona na to, że jest zmęczona i nie ma siły ściągnąć majtek. Wtedy się wściekłem. Zanim zdążyłem złapać za kij i ją zmusić, uciekła z domu. Goniłem za nią, aż wskoczyła do stawu, chciała się utopić. Ha! Nie zgadnie pan, jak to się skończyło. Woda sięgała jej tylko do pasa. Nie tonęła, więc zaczęła wyć i krzyczeć.

No ale nic, te dziewczyny, które wywozłem na północny zachód, miały więcej szczęścia niż moja żona. Jak to mówią, dobre pary to takie, które się kłócą i leją. Ja tylko starałem się dostarczyć to, czego potrzebował rynek.

Liao: Oszukał pan te kobiety i podstępem wywiózł daleko od domu. Zniszczył im pan życie.

Qian: Staralem się też rozwiązać problem, przed jakim stał chiński rząd. W niektórych rejonach na północy jest zbyt wielu kawalerów. Klimat jest za suchy, ludzie klepią biedę. Prędzej czy później zaczną się tam zamieszki. Zawożąc tam kobiety, zrównoważyłem *yin* i *yang*. Dzięki temu młodzi mężczyźni rozładują napięcie. Jak pan wie, w miastach za swatanie pobiera się opłaty. Moje usługi polegały na tym samym. Właściwie, jak się odjęło wydatki na pociąg, jedzenie i inne różności, zysk nie był duży. Czasami już po tym, jak zamknąłem negocjacje z moimi kontaktami na północy i wysłałem dziewczynę, kawaler zmieniał zdanie, bo nie było go stać na opłatę. Wtedy musieliśmy sprzedawać towar po niższej cenie.

Liao: Nie przejmował się pan złą karmą?

Qian: Złą karmą? To pierdoły. Jak się czyta dzisiaj gazety, ciągle spotyka się historie o tym, jak kogoś oświeciło i wreszcie zrozumiał, co naprawdę w życiu się liczy, bla bla bla. Tak zwane to, co liczy się naprawdę, to nic innego, jak brak zmartwień o pieniądzu. Kiedy ktoś zarabia, nie pracując ciężko, wtedy opowiada te pierdoły o tym, co w życiu się liczy. Na przykład taki piosenkarz, który tylko otworzy gębę, zaśpiewa parę piosenek i kasa płynie jak szalona. Dlatego wszyscy podziwiają gwiazdy pop i modelki. Ja jestem chłopem. Chłopu nikt nie zazdrości tego, jak żyje.

Przyznaję, okłamywałem i oszukiwałem te kobiety. Ale może mi pan pokazać w dzisiejszym świecie człowieka, który nie kłamie, żeby dostać to, czego chce? Uczciwe są tylko zwierzęta, choćby durne świnię.

Liao: Ofiary handlu ludźmi nie znają czegoś takiego, jak tradycyjne wesele. Podobno często dzieje się tak, że rodzice kawalera najmują sąsiadów, żeby związali dziewczynę, kiedy tylko handlarz ją dostarczy, a potem pan młody ją gwałci.

Qian: Gwałci? Oni uprawiają ze swoimi żonami seks. Nie można tego nazwać gwałtem. Pan jest miastowy. Może pan sobie poznać dziewczynę w klubie nocnym, na potańcówce, nawet na dworcu. W mieście chłopak i dziewczyna mogą się spotkać na mnóstwo sposobów. Jak ktoś jest nieśmiały, to zawsze może się zapisać do państwowej agencji matrymonialnej albo dać ogłoszenie do gazety. Jak z jedną osobą nie wypali, można poznać następną.

Biedacy na wsi nie mają tyle szczęścia. Co do wesel, to według lokalnej tradycji, jak para wyprawi uroczystość, z bębнами i rogami, i zaprosi wszystkich na ucztę, uważa się ją za małżeństwo. Ludzie na wsi przestrzegają tych tradycji od pokoleń. Nigdy nie stosują tak zwanych „procedur prawnych”. Tam prawo po prostu nie obowiązuje.

Liao: Cóż, pana obowiązuje. Dostanie pan wyrok śmierci?

Qian: Współpracowałem z prokuraturą i zmniejszyli mi wymiar kary na dożywocie. Przyjąłem werdykt i przyznałem się do winy. Ale wciąż nie akceptuję oskarżeń – że działałem na szkodę publiczną, czy sprawiłem kłopot rządowi.

Liao: Czy pana współpracownicy nadal prowadzą interes?

Qian: Było nas ponad dziesięciu. Teraz siedmiu siedzi tutaj, w tym więzieniu. Tych, którzy pracowali na północy, wsadzili do miejscowych więzień. Dwaj przywódcy grup zostali straceni. Ja nie zostałem uznany za ważnego, bo tylko organizowałem towar i żadnej kobiety nie ruszyłem. Wytłumaczyłem moim współpracownikom, żeby nie tykali towaru, bo ci z północy są dość konserwatywni. Chcą dostać towar w nietkniętym opakowaniu. Chcą widzieć krew w noc poślubną. Jak się dziewczynę zdeflurowe, nie można za nią dostać przyzwoitej ceny.

Liao: Brał pan na cel tylko dziewczyny z najbiedniejszych wiosek?

Qian: Przeważnie tak, ale raz udało mi się ubić interes z dziewczynami po studiach. Jedna z nich pracowała nad doktoratem na uniwersytecie.

Liao: Udało się panu, z taką gębą?

Qian: A udało się, żeby pan wiedział. Działalem bardzo sprytnie. Takim intelektualistkom nie można wciskać takich kłamstw, jakich się używa, kiedy szuka się pracowników do małych firm czy fabryk. Zaraz by się poznały, że to kłamstwo. Zrzuciłem wszystkie maski. Powiedziałem im, że jestem chłopem z dość bogatej okolicy, w której jest pełno drzew owocowych i gęstych lasów, takiego nieuprawianego Shangri-La. Jak chodzi o gadki o bogactwie natury czy płodnej ziemi, to jestem specjalistą. Studentki bardzo szybko się do mnie przekonały. Wtedy udałem, że proszę je o radę, jak prowadzić interesy. Powiedziałem, że w mojej wiosce potrzebują wykształconych ludzi, którzy by pomogli

wykorzystać bogactwa natury. Jedną z tych doktorantek zaprosiłem do mojej wioski, żeby mogła potem rekrutować innych studentów do pomagania mojej wsi. Powiedziałem jej, że będziemy zatrudniać studentów i dobrze im płacić. Łyknęła to bez problemu. Mam wyjątkowo obrotny język. Niestety, jak się już taką wykształconą kobietę złapie, można mieć problem. Jedną zamknęliśmy w piwnicy na ponad tydzień, a i tak nie chciała spełnić naszych żądań.

Liao: Gdybym to ja był sędzią, najpierw w ramach kary kazałbym panu obciąć język. Zasłużył pan na to.

Kierownik szaletu publicznego

Zhou Minggui zajmuje się ludzkimi odchodami prawie przez całe życie. Najpierw pracował na posadzie państwowej jako czyszcziciel szaletów publicznych, a teraz jest samodzielnym kierownikiem – ma umowę z władzami miasta Chengdu na zarządzanie dużą toaletą publiczną w północno-zachodniej części miasta. „To poważny interes”, mówi Zhou. Ma około siedemdziesiątki, lecz sprawia wrażenie dość energicznego.

Znam Zhou już od jakiegoś czasu. Jego szalet niemal sąsiaduje z herbaciarnią mojej matki. Ale znaliśmy się tylko z widzenia, kiwaliśmy sobie głowami na powitanie. Pewnego dnia w zeszłym roku późnym wieczorem zebrałem się na odwagę, zwalczyłem obawy o utratę statusu intelektualisty i nawiązałem z nim rozmowę.

Zhou Minggui: Wchodzi pan i korzysta z toalety czy nie? Jest już po północy. Zgodnie z naszym regulaminem muszą policzyć więcej. Jak inaczej bym się wyrobił z podatkiem na rzecz Miejskiego Wydziału Środowiska i Higieny? Ale ponieważ jest pan stałym klientem, wezmę zwykłą, dzienną stawkę.

Liao Yiwu: Dziadku Zhou, nie przyszedłem skorzystać z toalety. Chcę was zaprosić na herbatę.

Zhou: Nie ma potrzeby. Ja tylko pilnuję toalet.

Liao: Chodźmy do herbaciarni.

Zhou: Jest pan niezwykle miły. Herbaciarnia matki jest jeszcze otwarta? Powiem panu, im więcej jej klienci piją, tym lepiej

dla mnie. Kiedy mają pełne pęcherze, przychodzą tutaj. To się nazywa „wzajemna korzyść”.

Liao: Na świecie są ludzie bogaci i biedni, arystokraci i zwykli chłopi. Ale jeśli chodzi o zew natury, wszyscy są równi. Nawet cesarz musi robić kupę.

Zhou: Nigdy nie widziałem, żeby członkowie rodziny cesarskiej robili kupę. Ale przecież i tak nie przysliby tego robić w szaletcie publicznym. Pan jest pisarzem, prawda? Lubi pan zbierać materiały do artykułów. Wie pan, że nie tak dawno o mało nie dokonano tu morderstwa? Jakies dwa dni temu facet goił kobietę, a ona wbiegła tu, do szaletu. Chciałem zatrzymać tego faceta w drzwiach, ale mi się nie udało. Klientki się wystraszyły i zaczęły krzyczeć. Kazałem synowi zrobić porządek, ale ten mężczyzna wyjął z kieszeni nóż. Nikt nie śmiał się ruszyć. Facet chwycił dziewczynę za szyję i chciał jej pociąć twarz. Ona rzuciła się na kolana i błagała go o litość.

Nie wiem, czy pan wie, ale w szaletach publicznych firmy produkujące nawozy często umieszczają koło pisuarów worki na mocz. Chwyciłem taki worek i wylałem jego zawartość na tego faceta. To go powstrzymało. Był cały mokry. Później ktoś wezwał policję, przyjechali i zabrali i mężczyznę, i kobietę. Niech pan zgadnie, co się stało na drugi dzień. Zobaczyłem tych dwoje na ulicy, tulili się i całowali jak kochankowie. Chciałem ich ominąć, ale oni do mnie podeszli. On pokazał palcami na mój nos i powiedział: „Ty skurwysynu, jak śmiałeś mnie zlać tymi szczynami?”

Nie odpowiedziałem. A on dalej mnie wyzywał: „Ty gnoju, po cholerę się wtrącałeś w nie swój interes? Patrz, co narobiłeś. Cały śmierdzą szczyną”.

Kiedy to usłyszałem, nerwy mi puściły. Powiedziałem: „Jakbym pana nie oblał moczem, to by pan kogoś zabił!”

I wtedy – nie wierzyłem własnym uszom – zaczęła go bronić ta jego dziewczyna: „Nawet jakby mnie zabił, to co cię to obchodzi. To nie był twój interes. Jesteś śmierdzącym dziadkiem klozetowym. Chodzimy ze sobą prawie trzy lata. Usiłował mnie zabić ponad dziesięć razy, no i co? Jakoś przeżyłam. Po co wzywałeś policję? Wsadzili nas do aresztu i rodziny musiały zapłacić za nas kaucję. A kiedy wyszliśmy, wszyscy zatykali sobie nosy.

Sąsiedzi się z nas śmiali. Przyszliśmy po zadośćuczynienie za doznane krzywdy. Dzisiaj wszyscy w Chinach mówią o tym, że ma być praworządność. Podamy cię do sądu”.

Mój syn się wkurzył, złapał miedzianą chochlę i był gotów się bić. Starałem się go powstrzymać, ale ta suka wyskoczyła na ulicę i wydarła się wniebogłosy. Rozpętało się piekło. Zgromadził się spory tłum. Do sąża doprowadziło mnie to, że w obecności tłumy ten człowiek pokazał na mojego syna i zapytał: „Czy tą chochlą mieszałeś właśnie gówno w latrynie? Urodziłeś się na czyściciela kibli. Nawet jako broni używasz chochli do gówna”. Co za obraza! To nie była chochla do gówna, tylko do gotowania. Mój syn rzucił nią w niego. Gapie myśleli, że jest brudna od gówna, i uciekali, co sił w nogach.

Powiem panu, w naszym mieście nigdy nie brakowało takich fajdaków. Nie mają pracy, włóczą się po ulicach i szukają guza. Ta kanalia, o której panu mówiłem, co jakiś czas zjawia się w moim szalecie. Zawsze mnie podpuszcza: „Nie jesteś zbyt bogaty i ciulasz tutaj drobne, dlatego nie będę się od ciebie domagał zadośćuczynienia finansowego. W zamian za to pozwól mi i mojej dziewczynie korzystać z szaletu za darmo przez rok”.

Liao: Rzeczywiście, denerwujący typ.

Zhou: Tak, ale już minęła mi złość. Dostałem nauczkę. W przeszłości nawet jak ktoś wpadnie do latryny, to go nie wyciągnę. Kiedy pracowałem jako czyściciel latryn, wychodziłem ze skóry, żeby tylko ludziom pomóc. Niektórzy się ze mnie śmiali i nazywali Gównianym Samarytaninem. Zanim dostałem pozwolenie na prowadzenie tego szaletu, przez pół miesiąca walczyłem z różnymi biurokratycznymi kruczkami. Od teraz będę tylko doglądał toalet i pobierał opłaty.

Gdybym się urodził dziesięć lat później, nawet do głowy by mi nie przyszło, żeby zarabiać na szaletach publicznych. Kiedy byłem młody, nie trzeba było płacić za to, żeby iść za naturalną potrzebą. Wszystkie szalety publiczne nadzorował miejski Wydział do spraw Środowiska i Higieny. Później każdy szalet przydzielono najbliższemu komitetowi ulicznemu. Komitet uliczny z kolei prosił mieszkańców, żeby sami dbali o szalety. No i w końcu nikt nie czuł się odpowiedzialny za ich utrzymanie i były brudne.

Kiedy padał deszcz, ulice tonęły w ludzkich odchodach, nawet samochody nie mogły przejechać. Kiedy wychodziło słońce, odchody wysychały, a od smrodu aż łzawiły oczy. W naszym mieście jest jeszcze kilka takich darmowych szaletów, w starych dzielnicach mieszkalnych. Ale większość szaletów przeszła remont. To dobry biznes.

Jak pan wie, domy zbudowane wcześniej niż w latach siedemdziesiątych nie miały kanalizacji. Ludzie musieli korzystać z szaletów publicznych. Niektórzy mieli do takich szaletów kawał drogi. W nocy rodziny używały nocników. Kiedyś nocniki pomalowane na czerwono były popularnym elementem posagów młodych panien czy prezentem ślubnym. Porządny nocnik mógł służyć ponad dziesięć lat. Kiedyś rodziny co rano wypróżniały nocniki w szaletach publicznych albo czekały na wóz zbierający odchody. Te wozy jeździły punktualniej niż autobusy publiczne. W oczekiwaniu na taki wóz ludzie rozmawiali i dowiadawali się, co u każdego słyhać. Dość harmonijnie się to układało.

Liao: Słyszę w pana głosie nostalgię.

Zhou: Zgadza się. Kiedyś byłem kierowcą takiego wozu. Nikt nie patrzył na mnie z góry dlatego, że zajmuję się gównem. Moi klienci zwracali się do mnie panie Zhou. W tamtych czasach chłopci nie mieli dostępu do nawozów, więc ludzkie odchody były dość cenne. Niektórzy nawet kradli gówno z latryn. Czasami byli łapani na gorącym uczynku i komitety uliczne zajmowały ich wozy. Wtedy ludzie nie mieli wycucia pieniądza. Nie było czegoś takiego jak mandat. Od złodziei gówna żądano tylko dogłębnej i szczerzej samokrytyki. W latach sześćdziesiątych, podczas rewolucji kulturalnej, kapitalistów obwiniało się o to, że zatruli tym złodziejom umysły i kazali kraść. Karą za kradzież ludzkich odchodów była recytacja *Czerwonej Książeczki Przewodniczącego Mao*.

Liao: Czy to nie była lekka przesada? W końcu kradzież gówna to nie było poważne przestępstwo, prawda?

Zhou: Chiny to kraj socjalistyczny. Teoretycznie wszystko jest własnością rządu. Kiedyś odchody, które zbieraliśmy co rano, trafiały do gospodarstwa kolektywnego zwanego Świetlistą Czerwoną Komuną, słynnego w naszym rejonie, bo w 1957 roku

odwiedził je Przewodniczący Mao. Wszyscy tam byli z tego bardzo dumni i do dziś mają w widocznym miejscu tabliczkę, którą dostali od Mao. Ponieważ Światlista Czerwona Komuna miała powiązania z Mao i była stawiana chłopom w całym kraju za wzór do naśladowania, wysyłaliśmy im tylko odchody najlepszej jakości, żeby co roku mieli zapewnione rekordowe zbiory. Zawsze, kiedy przyjeżdżaliśmy z dostawą, waliliśmy w bębny i gongi i przystrajaliśmy wozy czerwonymi kwiatami. A chłopci, widząc nasze wozy, urządzali wielkie ceremonie powitalne. Wielu uczniów i studentów zgłaszało się na ochotnika do pomocy przy tej misji.

Liao: Robiłem coś podobnego, kiedy byłem mały. W weekendy zbieraliśmy z ulicy końskie odchody i zawoziliśmy do komun. Wszyscy stosowali się do zaleceń Mao, żeby wspierać rolnictwo.

Zhou: W naszym zawodzie wzorem był Shi Chuanxiang, wybrany jako poseł do Ogólnochińskiego Zgromadzenia Przedstawicieli Ludowych. Poznał osobiście Przewodniczącą Mao i miał z nim zdjęcie. Wszyscy się cieszyli, że Mao obdarzył czystociela szaletu publicznego tak wysokim zaszczytem. Wszyscy staraliśmy się go naśladować. Oczywiście, wtedy nie było muszli klozetowych takich jak dziś. Konstrukcja szaletu była bardzo prosta: nad wykopanym w ziemi dołem leżała drewniana deska z wieloma otworami. Ludzie kucali i załatwiali się do tych otworów. Co rano podłączona do wozu rura opróżniała dół. Pewnego dnia rura się zatkała. Kiedy poszedłem zobaczyć dlaczego, okazało się, że utknął w niej płód.

Liao: To straszne. Dlaczego ta kobieta nie poszła do kliniki aborcyjnej?

Zhou: Młody człowieku, mówimy o latach siedemdziesiątych. Od ostatniej dekady ludzie mają bardziej swobodne podejście do seksu przedmałżeńskiego. A wtedy bez aktu małżeństwa kobieta nigdy by się nie odważyła pójść do szpitala na aborcję. Seks przedmałżeński uważany był za coś skrajnie wstydliwego. Gdyby jej zakład pracy się o tym dowiedział, oznaczałoby to koniec jej kariery. Byłaby naznaczona na resztę życia. Dlatego wiele dziewcząt załatwiała sobie po kryjomu odpowiednie leki i szalety publiczne pełniły funkcję klinik aborcyjnych, miejsca, gdzie

można było się pozbyć martwego płodu. Niektóre dziewczęta brały złe leki i umierały. W Chinach życie jest tanie.

Liao: O ile wiem, podczas rewolucji kulturalnej do czyszczenia szaletów publicznych zmuszani byli profesorowie.

Zhou: Wielu profesorów i uczonych zostało napiętnowanych jako kontrrewolucjoniści i tak, skierowano ich do czyszczenia szaletów. Tacy ludzie jak ja, którzy z tego żyli, nagle znaleźli się bez zajęcia. Ja chciałem pracować, ale czerwonogwardziści mi na to nie pozwalali. Nadal dostawałem pieniądze, ale całymi dniami siedziałem w domu, spałem do późna i obijałem się z kąta w kąt. Ponieważ byłem przyzwyczajony do codziennej ciężkiej pracy, strasznie się nudziłem. Czasami rano i wieczorem przeżywałem do szaletu i szkoliłem profesorów w kwestiach technicznych.

Zważywszy na to, że w starożytności cesarze chińscy mordowali intelektualistów dysydentów, uważam, że Przewodniczący Mao i Partia Komunistyczna byli dla profesorów dość łaskawi. Mao podkreślał wagę wdrożenia reformy umysłów i reedukacji uczonych. Kazał intelektualistom zająć się pracą fizyczną, jednocześnie też zachęcał klasę robotniczą do czytania książek. Dla nas, robotników, czytanie książek było łatwe. Zapisywaliśmy się na lekcje czytania, chodziliśmy na kursy historii i polityki. Nam się to podobało. Ale profesorowie, których zmuszono do czyszczenia szaletów, uważali to za ogromną stratę statusu. Na pozór byli posłuszni jak psy. Ale wielu nie potrafiło tego znieść i wieszalo się w kabinach na własnych paskach.

Za każdym razem, kiedy jakiś profesor zmarł przy czyszczeniu szaletu, ludzie uważali to za tragedię. A ja się urodziłem, żeby czyścić szalety. To, że ja miałem smutne życie, nikogo nie obchodzi. Myślę, że Konfucjusz miał rację, kiedy mówił: „Wszelkie zatrudnienie jest poniżające. Tylko nauka z książek wywyższa”.

Liao: Pana opowieść budzi we mnie wiele wspomnień z dzieciństwa. Pamiętam te duże, przestronne szalety publiczne. Bawiliśmy się w nich w chowanego. Czasami, kiedy zapomnieliśmy przynieść ze sobą papier toaletowy, wycieraliśmy tyłki o ścianę. Zawsze dostawałem za to burę. Ale muszę powiedzieć, że szalet publiczny był moją drugą szkołą.

Zhou: Słucham? Nazywa pan szalet publiczny szkołą?

Liao: Przez dziurę w ścianie szaletu po raz pierwszy zobaczyłem intymne części ciała kobiety. To było szokujące i podniecające. Z rysunku na ścianie dowiedziałem się o stosunku seksualnym. Nie było na nim widać wyraźnie ciał. Był tylko profil złączonych ze sobą męskich i żeńskich narządów płciowych. Miałem zaledwie osiem lat. W szkole uczyliśmy się tylko z Czerwonej Książeczki Przewodniczącego Mao o rewolucjach komunistycznych. Nigdy bym nie przypuścił, że w Chinach komunistycznych są ludzie, których stać na rysowanie takich nieprzyzwoitych rysunków. Oburzyłem się, wyjąłem ołówek i napisałem obok tego rysunku: „To dwoje kontrrewolucjonistów, którzy robią brzydkie rzeczy”.

Zhou: Był pan jednym z tych dzieci, które bazgrzą po ścianach? To nieładny nawyk. Zupełnie tego nie rozumiem.

Liao: Kiedy chodziłem do szkoły średniej, nie cierpiałem dziewczyny, która nazywała się Wang Xiaohong, bo była straszną plotkarą. Napisałem więc na ścianie szaletu: „Wang Xiaohong to dziwka. Sypia ze złymi kapitalistami”.

Zhou: Wie pan, dużo czasu zajmuje mi mycie zabazgranych ścian. To trudniejsza praca niż zamiatanie podłogi, czy nawet opróżnianie szamba. A kiedy wreszcie udaje mi się doczyścić ścianę, wystarczy, że odwrócę się na chwilę, a już pojawiają się nowe napisy. Ludzie od starożytności piszą i rysują w toaletach. Jedynym wyjątkiem były czasy rewolucji kulturalnej. Czerwona Gwardia zamalowała wszystkie powierzchnie sloganami komunistycznymi i nie zostawiła miejsca dla amatorów graffiti. Na ścianach szaletu pojawiły się takie hasła, jak „Kapitaliści są gównem wari” czy „Kontrrewolucjoniści to gówniarze”.

Ja jestem na wpół analfabetą, więc nie rozumiem wszystkiego, co ludzie wypisują. Zresztą najczęściej na sam widok bazgrołów wpadam w taką złość, że nie chce mi się nawet ich czytać. Trafiają się wierszyki, nieprzyzwoite rysunki, wulgarne słowa, slogany polityczne, a nawet akapity przepisane z artykułów w gazetach.

Liao: Te wierszyki na ścianach były znacznie ciekawsze od tych, których uczyliśmy się w szkole. Doskonale pamiętam jeden, Pieśń miłosną z kibla. Idzie tak: „Ty jesteś ptakiem, który lata pod niebem, a ja karaluchem, co w gównie się grzebie. Ty w chmurach wysoko zakreślasz koła, a ja tu z szamba do ciebie wołam”.

Zhou: Jest pan wykształconym człowiekiem. Dlaczego uczy się pan na pamięć takich wulgarnych wierszyków?

Liao: Przykro mi, że pana zawstydzilem. Ale niech pan tylko pomyśli: w Chinach żyje ponad miliard ludzi. Tylko garstka może publikować swoje myśli w gazetach i czasopismach, a żeby to osiągnąć, teksty muszą przejść przez sito recenzji i przez różne szczeble cenzury. Kiedy artykuł wreszcie znajdzie się na łamach prasy, nie przypomina już tego, co się pierwotnie napisało. Wiele osób nigdy nie będzie miało możliwości wypowiedzieć się publicznie. Dlatego szalety publiczne stały się platformą wolności słowa.

Zhou: No dobrze, przyznam, że wczoraj czytałem śmieszny wierszyk. O Mao. Łatwo go zapamiętałem. Szedł tak: „Przewodniczący Mao, Przewodniczący Mao, jak wstaniesz z grobu, zobaczysz złodziei i nierobów. Przewodniczący Mao, jak spojrzysz w prawo, dziwki i ćpuny będą bić brawo. Przewodniczący Mao, jak spojrzysz w lewo, lewych towarów pełno jak drzew. Przewodniczący Mao, jak za siebie się obejrzysz, tam robotnicy bez pracy nie mają na ryż. Przewodniczący Mao, jak się skłonisz, dojrzysz, ilu zdradza żony. Przewodniczący Mao, Przewodniczący Mao, zamknij oczy, co z oczu, to i z serca. Ludzie chcą z powrotem swoją żelazną miseczkę ryżu”

Liao: Nie ma wątpliwości, że wierszyk oddaje dzisiejsze nastroje. Chciałem jeszcze zapytać, czy to opłacalny interes, dziadku?

Zhou: Ledwo. Ale z drugiej strony, tylu ludzi u nas w ogóle nie ma pracy. Mam szczęście, że mam co robić. Mój miesięczny zysk to jakieś dwieście, trzysta juanów. Jestem z tego dość zadowolony. A dla takiego starego człowieka jak ja, zarządzanie szaletem to łatwa praca. Życie jest ciężkie i męczące. Wszystkie nerwy mam mocno napięte. Któregoś dnia jeden pęknie i wtedy umrę.

Prowadzący umarłych

Opowieści o prowadzeniu umarłych są popularne i na północy, i na południu Chin. Zazwyczaj są one tak dramatycznie przesadzone, że trzeba odrzucić je jako wytwór wyobraźni. Kiedy w jednym z poprzednich wywiadów Li Changgeng, zawodowy żałobnik, wspomniał o prowadzeniu umarłych, wielu czytelników napisało do mnie z pytaniem, czy mają wierzyć w podany przez Li opis prowadzenia umarłych. Ja sam uważałem, że było w tym trochę prawdy i trochę zmyślenia, ale niedawno usłyszałem poniższą historię, która wydała mi się dość przekonująca. W rocznicę śmierci ojca pojechałem do Lijiaping w Syczuanie, gdzie mój ojciec się urodził i gdzie pochowane są jego prochy. Po odprawieniu rytuałów – zapaleniu kadzidła, odpaleniu petard i skłonieniu się przed jego grobem – odwiedziłem Luo Tianwanga, mistrza *feng shui*, który wybrał miejsce pochówku mojego ojca. Luo to stary przyjaciel rodziny, teraz ma ponad siedemdziesiąt lat. Wyglądał na zdrowego i pełnego energii; wciąż ma ostry wzrok i jasny umysł. Rozmawialiśmy dość długo.

Liao Yiwu: W dzieciństwie, które tu spędziłem, stale słyszałem od naszej sąsiadki, trzeciej babci Wang, opowieści o prowadzeniu umarłych. Mówiła, że w Syczuanie ludzie mówią na to jo shi. Shi oznacza zwłoki, a słowo jo pochodzi z zawołania „jo-ho, jo-ho”, jakie wydają prowadzący umarłych. Myśli pan, że w tych historiach jest trochę prawdy?

Luo Tianwang: Jasne. Prowadzenie umarłych nigdy nie było zawodem oficjalnie uznanym, ale uprawiano go od czasów starożytnych. Kiedy byłem młody, miałem kilku przyjaciół, którzy trudnili się handlem solą. Podróżowali pieszo po nieutwardzonych drogach do centralnych prowincji Shanxi i Henan. Po drodze mijali czasami pozamykane sklepy i warsztaty, które na drzwiach miały napis: „Prowadzenie umarłego przez granicę”. Te szyldy budziły w nich lęk – powiewały na zimnym wietrze na opustoszałej górskiej drodze. Kiedy przyjaciele mi o tym opowiedzieli, zapytałem: „Kiedy człowiek umiera, robi się sztywny, jak więc może przekroczyć granicę?”. Nie wiedzieli, a ja poznałem odpowiedź dopiero kilka lat później.

Liao: Zwłoki miałyby przekraczać granicę? Czy chodziło o granicę, która oddziela światy żywych i umarłych?

Luo: Nie, chodziło o dosłowne przekraczanie granicy prowincji czy okręgu. Jak już mówiłem, transport nie był wtedy zbyt dobrze rozwinięty. Tak zwana autostrada narodowa była nieutwardzoną drogą z koleinami. Kiedy prowadzący interesy człowiek zmarł w podróży, na skutek nagłej choroby albo wypadku, trudno było przetransportować ciało z powrotem do jego rodzinnej wioski, żeby zostało pochowane w ojczystej ziemi. A jeśli zmarły nie zostanie wrócony rodzimej ziemi, jak nakazuje zwyczaj, nazywa się go samotną duszą i bezdomnym duchem. Dlatego właśnie, ponieważ nie było autobusów ani ciężarówek, jeżeli rodzinę było na to stać, najmowała zawodowych prowadzących umarłych.

Liao: Ale jak to możliwe, żeby zwłoki chodziły? Czy kryła się za tym magia? Słyszałem, że prowadzący umarłych kazali chodzić po zwłokach czarnemu kotu, wytwarzając w ten sposób elektryczność, dzięki której zwłoki mogły się poruszać jak kukietka.

Luo: To nonsens.

Liao: Widział pan kiedyś prowadzącego umarłych?

Luo: Tak. Na początku lat pięćdziesiątych nowy rząd komunistyczny rozesał po całym kraju zespoły, których zadaniem było wdrożenie reformy rolnej polegającej na odebraniu ziemi bogatym i rozdaniu jej biednym. Zespół dzielił ludzi na kategorie według majątku i przekonań. Bogaci właściciele ziemscy i nacjonalisci zostali uznani za wrogów ludu, wielu było torturowanych

albo skazanych, jeśli nie uciekli wcześniej w góry albo nie zapłacili triadom za ochronę. Ponieważ w mojej rodzinie trzy pokolenia zajmowały się *feng shui*, uznano nas za szerzycieli zabobonów i nie wolno mi było brać udziału w działalności związanej z dystrybucją ziemi. Nie miałem nic do roboty i w pewien ciemny, pochmurny dzień po południu, kiedy szedłem sobie drogą we wsi, nagle minęło mnie coś czarnego i zwalistego, aż dreszcz przebiegł mi po plecach. To coś było okryte wielką peleryną koloru atramentu. Skraj peleryny był zachlapany błotem, i co jakiś czas ukazywał się spod niego skórzany but. Ciężkie kroki dudniły, jakby ktoś walił w ziemię drewnianym klockiem. Nagle podbiegł do mnie mój kolega Prosiak i szepnął mi do ucha: „To są zwłoki”.

Te słowa napędziły mi stracha. Pobiegłem naprzód, żeby zobaczyć tę pelerynę z przodu. Kilka kroków przed nią szedł mężczyzna ubrany w beżową koszulę, w ręce trzymał lampion z białym papierowym kloszem, a w zgięciu łokcia miał przewieszony kosz pełen fałszywych pieniędzy*. Co kilka minut sięgał wolną ręką do kosza, brał garść pieniędzy i rzucał je w górę. Zna pan ten rytuał, prawda? Nazywa się „wkupywaniem się w tamten świat”. Ludzie na wsiach ciągle wierzą, że fałszywymi pieniędzmi można przekupić duchy, strażników zwłok, żeby nie stały zmarłemu na przeszkodzie w drodze do nieba.

Liao: To znaczy, że ludzie wierzyli kiedyś, że świat zmarłych jest tak samo skorumpowany jak świat żywych. Ale po co lampion w biały dzień?

Luo: Żeby oświetlać drogę do nieba. Poza tym biały lampion, fałszywe pieniądze i czarna peleryna tworzą atmosferę żałoby. Lampion miał też cel praktyczny – ale niech pan pozwoli, że dokończę opowieść. Postanowiliśmy z Prosiakiem, że pójdziemy za tymi prowadzącymi umarłych. Zwłoki wyglądały na o głowę wyższe od przeciętnego człowieka i nosiły duży słomkowy kapelusz. Pod kapeluszem była biała papierowa maska – jedna z tych

* Są to specjalnie drukowane banknoty, zazwyczaj o bardzo wysokich nominałach, kupowane w świątyniach, przeznaczone na ofiary dla duchów i bogów zaświatów (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

ze smutną miną, jakie zakładają śpiewacy operowi. Mężczyzna idący przodem skandował „jo-ho, jo-ho”, a zwłoki, o dziwo, były mu posłuszne, jak dobrze wyćwiczony żołnierz. Szły dosłownie krok w krok za przewodnikiem. Na przykład, kiedy mieli wejść po kamiennych schodach, przewodnik powiedział: „Jo-ho, jo-ho, będą schody”. Zwłoki przystały na sekundę, ale zaraz zaczęły wchodzić po schodach, odchylając się sztywno do tyłu. Szliśmy za nimi z Prosiakiem przez jakieś sześć, siedem kilometrów, aż do małej gospody przy spokojnej bocznej drodze. Zwłoki zaczęły przed wejściem, a przewodnik wszedł do środka, zastukał palcami w ladę i powiedział zniżonym głosem: „Przybył bóg szczęścia”.

Liao: Co to znaczy?

Luo: Widocznie było to umówione hasło, bo gospodarz kiwnął głową, uśmiechnął się i wyszedł zza kontuaru. Ukłonił się przewodnikowi i zaprowadził go wraz ze zwłokami na tyły gospody. My przekradliśmy się na tylne podwórze i łatwo znaleźliśmy pokój, w którym zatrzymali się prowadzący umarłych, bo przewodnik zostawił pod drzwiami lampion. Chcieliśmy podejść bliżej, ale gospodarz na nas nakrzyczał. Złapał mnie za rękaw i warknął: „Zmykać mi stąd, gówniarze. I nikomu ani słowa, zrozumiano?”

Liao: Czy ten gospodarz nie bał się, że udzielanie gościny zwłokom przyniesie mu pecha?

Luo: Ponieważ zwłoki były okryte peleryną, inni goście nie mogli niczego podejrzewać, a miejscowi wręcz wierzyli, że prowadzący umarłych przynoszą szczęście, ponieważ śmierć to początek życia w innym świecie. Później dowiedziałem się, że właśnie dlatego chodzące zwłoki nazywano bogiem szczęścia. Było nawet takie powiedzenie: „Jak wejdzie w twoje progi bóg szczęścia, po nim odwiedzi cię dobry los”. Oczywiście gospodarz brał za nocleg od prowadzących umarłych trzy razy tyle co zwykle.

Ale wracając do mojej opowieści, mimo napomnień gospodarza nie chcieliśmy z Prosiakiem sobie pójść. Kręciliśmy się koło wejścia. Wkrótce gospodarz wrócił ze srebrną monetą w dłoni. W tamtych czasach taka moneta była warta sporo pieniędzy. Nie mógł ukryć podekscytowania. Kiedy nas zauważył, przywołał

nas, dał nam trochę drobnych i kazał iść do restauracji w pobliżu i kupić smażonych orzeszków ziemnych, gotowanych świńskich uszu, świński ozór i trochę alkoholu. Kazał nam też kupić świeczki i fałszywe pieniądze w sklepie z artykułami żalobnymi. Powiedział, że prowadzący umarłych musi uzupełnić zapas na następny dzień. Zdziwiło nas, że gospodarz wyraźnie kazał nam wziąć z restauracji dwa komplety miseczek i pałeczek. Powiedział, że jeden jest dla boga szczęścia.

Szybko załatwiliśmy sprawunki i gospodarz gorąco nam podziękował. Dał nam jako napiwek kilka monet i poprosił, żebyśmy się napili z nim herbaty. Powiedział, że podczas ostatnich dwudziestu lat dawał nocleg ponad dziesięciu prowadzącym umarłych, których trasa wiodła przez tę okolicę. Zasypaliśmy go pytaniami. Zniżył głos do szeptu: „To nie umarły idzie, tylko żywy”. Prosiak i ja nie zrozumieliśmy. Gospodarz powiedział, że magia kryje się pod tą czarną peleryną. Ale nie chciał nam zdradzić nic ponad to. Prosiak powiedział: „Ale żyjemy teraz w czasach komunistycznych. Prowadzenie umarłych to zwyczaj z dawnego społeczeństwa. Teraz uważany jest za zabobon i zakazany. Nie ma powodu, żeby robić z niego przed nami tajemnicę. Nikomu nie powiemy. Ale jeśli pan nam nie powie, doniesiemy, że wynajmuje pan pokoje prowadzącym umarłych”. Błaganiami i groźbami wreszcie złamaliśmy gospodarza.

Liao: I na czym polega sekret?

Luo: Pod czarną peleryną ukrywają się dwa ciała: zmarły i żywy, który niesie zmarłego na plecach. W podróży ten, który niesie ciało, musi je przytrzymywać obiema rękami, żeby nie spadło na ziemię. Jak pan pewnie wie, ciało zmarłego sztywnieje i robi się ciężkie jak kamień. Trumnę dźwiga ośmiu mężczyzn. Niech pan sobie wyobrazi, jakie to musiało być trudne zadanie dla jednego człowieka, iść setki mil pod czarną peleryną, ze zwłokami na plecach. Ponieważ dźwigającemu trudno jest zginać kolana, jego ruchy są sztywne i niezgrabne. Poza tym, przez tę czarną pelerynę nie widzi drogi przed sobą. Pamięta pan ten biały lampion, o którym mówiliśmy? Światło lampionu służy do tego, żeby oświetlać drogę temu, który niesie zwłoki.

Liao: Kiedy prowadzący umarłych jedzą posiłki?

Luo: Zwykle jadają tylko jeden posiłek dziennie, a są w drodze dziesięć czy dwanaście godzin bez przerwy. Ponieważ pracują parami, zmieniają się i każdy niesie zwłoki co drugi dzień. Czasami podróż prowadzących umarłych może trwać i ponad miesiąc. Z uwagi na tak długi czas niemożliwe jest wyruszanie w trasę latem, bo zwłoki rozłożyłyby się w upale. Nawet zimą prowadzący umarłych muszą wstrzykiwać w ciało rtęć i inne substancje przeciwdziałające rozkładowi. Ponieważ klienci wiedzą, jak trudna to praca, są gotowi dużo zapłacić za ich usługi. Gospodarz powiedział nam, że ludzie wykonujący ten zawód muszą przejść wieloletnie szkolenie fizyczne. Często dobrze znają kung fu i mogą się bronić przed złodziejami.

Byliśmy z Prosiakiem zdumieni, kiedy tego słuchaliśmy. Prosiak chciał zaraz iść na tył gospody, żeby się przekonać, czy to prawda. Gospodarz go powstrzymał, mówiąc, że drzwi do pokoju prowadzących umarłych są zamknięte. Ja odezwałem się wtedy: „To możemy przyłożyć uszy do drzwi i podsłuchiwać”. Gospodarz wykręcił mi ucho: „Jak was przyłapią, obetną wam uszy i każą sobie podać jako zakąskę”. Prowadzący umarłych to ludzie bardzo skryci. Jak wejdą do pokoju, to już z niego nie wychodzą, aż do wczesnego rana, kiedy ruszają w dalszą drogę. Tej nocy w gospodzie nic się nie działo, więc rozmawialiśmy z gospodarzem dość długo. Kiedy wreszcie wyszliśmy, na zewnątrz było całkiem ciemno. Gospodarz dał nam jeszcze trochę pieniędzy i kazał przysiąc, że nikomu nie zdradzimy, co widzieliśmy. Powiedział, że gdyby władze się dowiedziały, że udziela noclegu prowadzącym umarłych, kazaliby mu zamknąć gospodę.

Liao: I to już koniec tej historii?

Luo: Cierpliwości! Jeszcze nie skończyłem. Kiedy wróciłem do domu, nie mogłem zasnąć. Wciąż miałem przed oczyma widok prowadzących umarłych. Na drugi dzień rano obudził mnie naczelnik wioski, który chodził po ulicy i walił w gong. Zwoływał ważne zebranie wszystkich mieszkańców. Wskoczyłem z łóżka, chwyciłem płaszcz i wybiegłem na mżący deszcz, bez śniadania. Sąsiedzi schodzili się ze swoich domów.

Kiedy byłem już prawie przy rynku, zauważyłem Prosiaka. Odciągnął mnie na stronę i ściszym głosem powiedział: „Muszę ci

coś powiedzieć. Kiedy się wczoraj rozstaliśmy, nie mogłem przestać myśleć o tych historiach, które nam opowiedział gospodarz. Coś mi nie pasowało. Przewodniczący Mao kazał nam wykorzeniać zabobonne praktyki. A ci prowadzący umarłych kultywują zabobonną tradycję – są kontrrewolucjonistami! Nie mogłem zawieść Przewodniczącego Mao. Musiałem coś zrobić, inaczej byłbym współwinny. Wstałem więc w środku nocy, przeszedłem kilka kilometrów do biura władz okręgu i doniosłem na tych prowadzących umarłych członkom komisji do spraw reformy rolnej. Oni natychmiast skontaktowali się ze stacjonującą najbliższą jednostką Armii Narodowowyzwoleńczej. Zaprowadziłem żołnierzy i członków komisji do tej gospody⁷.

Wściekłem się, kiedy to usłyszałem. Uderzyłem go: „Przecież miałeś nie pisnąć ani słowa. Czy nie obiecaliśmy tego gospodarzowi?”. Prosiak spojrział na mnie i uśmiechnął się złośliwie: „Co, myślałeś, że będę siedział cicho za parę nędznych monet?”.

Liao: No i okazało się, jakie miał szlachetne rewolucyjne pobudki. Chodziło o pieniądze, prawda?

Luo: Nie do końca. W tamtych czasach wszyscy chcieli się zasłużyć w oczach nowej władzy. Prosiak starał się tylko być członkiem grupy. Z jego pomocą żołnierze uzbrojeni w karabiny wpadli do gospody, wzięli do niewoli gospodarza i jego pracowników. W milczeniu przeszli na tyły, zatrzymali się przed pokojem prowadzących umarłych i zapukali do drzwi. Nie było odpowiedzi. Żołnierze zaczęli walić do drzwi, aż wreszcie usłyszeli w środku jakiś szmer. „Kto tam?” – zapytał głos. To ich rozwścieczyło i wyważyli drzwi kolbami. Wpadli do środka i poświecili latarkami. Prosiak, który to wszystko widział, powiedział, że obaj prowadzący umarłych stali w białym koło łóżek i się trzęśli. Zwłoki, wciąż okryte czarną peleryną, były oparte o ścianę. Jeden z żołnierzy ściągnął pelerynę i zobaczyli, że pod nią kryje się ciało kobiety, bogaczki – miała trwałą ondulację i mocny makijaż, była ubrana w drogą zieloną jedwabną *cheongsam*^{*}. Ani wieśniacy, ani żołnierze nigdy wcześniej nie

* *Cheongsam* (inaczej *qipao*) to tradycyjna suknia chińska o kroju przylegającym do ciała.

byli tak blisko takiej bogatej damy. Z ciekawości niektórzy dotykali jej twarzy, a inni macali materiał szaty. Jej nos, uszy i usta były wypełnione rtęcią i jakimś śmierdzącym płynem, ale to ich nie powstrzymało.

Prowadzący umarłych podnieśli ręce do góry. Żołnierze kazali im i gospodarzowi stanąć pod ścianą, obok zwłok. Ponieważ w tamtych czasach nie było elektryczności, żołnierze zapalili biały lampion prowadzących umarłych i zaczęli ich przesłuchiwać. Prosiak powiedział, że to wyglądało dość niesamowicie, w tak słabo oświetlonym pomieszczeniu.

Liao: Kim byli ci prowadzący umarłych?

Luo: To byli bracia z prowincji Shanxi. Starszy miał trzydzieści pięć lat, był krępy i bardzo mocno umięśniony. Młodszy miał trzydzieści jeden lat, był szczuplejszy i wyższy. Ich ojciec zajmował się prowadzeniem umarłych przez wiele lat i znany był w swojej okolicy jako *Guijianchou* – wojownik, który przeraża ducha. Bracia wcześniej nauczyli się od niego zawodu. Mówili, że przez jakiś czas próbowali uprawiać ziemię, ale zrezygnowali, bo nie mogli związać końca z końcem. Kiedy żołnierze naciskali ich, żądając informacji o zmarłej kobiecie, bracia popatrzyli po sobie i potrząsnęli głowami. Powiedzieli, że udzielanie informacji o zmarłych jest wbrew etyce ich zawodu. Żołnierze bili ich po twarzach i mierzyli z pistoletów w głowy, krzycząc: „Przewodniczący Mao mówi tak: łagodność dla tych, którzy przyznają się do winy, a surowe kary dla tych, którzy odmawiają współpracy”. Śmiertelnie przerażeni bracia padli na podłogę i wszystko wyznali.

Liao: Kim była ta kobieta?

Luo: Żoną oficera armii narodowej. Kiedy nacjonaliści przegrali, ten oficer z żoną przenosili się z miejsca na miejsce. Była zima, żona dostała zapalenia płuc. Na łożu śmierci kazała mężowi obiecać, że pochowa ją w jej rodzinnej wiosce. Kupił taczki, załadował na nie ciało żony i dwie walizki i zaczął pchać taczki po krętych górskich drogach Xishenba. Tam spotkał tych dwóch braci. Zmęczony wysiłkiem, obiecał zapłacić im dużo pieniędzy, jeżeli przetransportują jego zmarłą żonę do jej rodzinnej wioski. Bracia przyjęły zlecenie i przez dwa miesiące nieśli zmarłą przez

bardzo trudne okolice. Kiedy Prosiak i ja ich spotkaliśmy, dzieliło ich od celu podróży tylko szesnaście kilometrów.

Liao: Co się z nimi stało?

Luo: Żołnierze kazali braciom zanieść zwłoki do magistratu. Tam zamknęli ich w ciemnym pokoju, razem z ciałem.

Liao: Szkoda mi ich. Prowadzenie umarłych to była ciężka fizyczna praca, cięższa niż uprawa roli. Nie byli wyzyskiwaczami, tylko robotnikami, czyli sojusznikami komunizmu.

Luo: Zgadza się, że prowadzący umarłych byli robotnikami. Gdyby zwłoki były, powiedzmy, ciałem biednej chłopki, ponieśliby tylko lekką karę. Ale popełnili podwójną zbrodnię: po pierwsze, trudnili się zajęciem związanym z tradycją i zabobonami; po drugie, pracowali dla nacjonalistycznego oficera. A współpraca z wrogiem była uważana za poważne przestępstwo.

W latach pięćdziesiątych dość często widywało się ludzi, na których wykonywano wyroki po tym, jak oskarżono ich na tak zwanej „sesji wylewania żalów”. Dlatego się wystraszyłem, kiedy Prosiak powiedział, co zrobił prowadzącym umarłych. Wkrótce rynek naszej wioski wypełnił się gapiami. Przez mżawkę widziałem, jak ludzie rozglądają się na wszystkie strony. Głośne bębnienie i bicie w gongi zagłuszały gwar. Ci, którzy już się nie wcisnęli na rynek, wdrapali się na dach silosu. Wieśniacy rzadko bywają w mieście i nie mają stałego dostępu do rozrywek. Zebrania towarzyszące publicznym oskarżeniom były dla wielu gapiów darmowym dramatem. Żaden z nich nie chciałby takiej okazji przegapić.

Pod silosem postawiono prowizoryczne podium. Nowo mianowany szef okręgu siedział w środku za długim stołem prezydialnym, w szarym mundurze jak Przewodniczący Mao. Koło niego siedzieli szef komisji do spraw reformy rolnej i trzech żołnierzy. W pierwszym rzędzie stało kilkanaście drewnianych krzeseł i stołków. Były zarezerwowane dla szefa wioskowej milicji, przewodniczącego nowo utworzonego Komitetu Rewolucyjnego Ubogiego Chłoptwa i kilku chłopskich działaczy. Wkrótce gongi i bębny ucichły. Szef okręgu wziął do ręki mikrofon, który co jakiś czas wydawał z siebie przeraźliwe piski. Podsunął go sobie bliżej ust: „Wprowadźmy najpierw na scenę Zhang Kana,

niegodziwego właściciela ziemskiego, oraz Liu Chana, przywódcę bandy rozbójników i ich sługusów”.

Trochę mi ulżyło, że nie wezwano prowadzących umarłych. Ludzie, którzy stali pod podium, przesunęli się, żeby przepuścić przestępców. Na scenę wypchnięto ponad dziesięć osób. Byli ubrani w wysokie czapki błaznów, ręce mieli związane z tyłu, a na piersiach zawieszono im czarne kartonowe plansze z takimi napisami, jak „zły właściciel ziemski Zhang Kan” itd. Kiedy stali na podium, szef okręgu podniósł prawą rękę i krzyknął: „Precz z klasą wyzyskiwaczy! Śmierć złym posiadaczom ziemskim i rozbójnikom!”. Jak na dany sygnał, wszyscy podnieśli prawe ręce i zaczęli wykrzykiwać te hasła. Kiedy krzyki ucichły, jacyś biedni działacze chłopscy wstali i zaczęli opowiadać straszne historie o tym, jak źle byli traktowani i wyzyskiwani przez tych właścicieli ziemskich przed nastaniem komunizmu. Po ich świadectwach nastąpiła kolejna runda okrzyków. Potem żołnierze sprowadzili z podium oskarżonych i ich sługusów i zaprowadzili na pobliskie pole. Wszystkich zastrzelili na miejscu.

Liao: A co się stało z prowadzącymi umarłych?

Luo: Po tym, jak szef okręgu zarządził egzekucję, ludzie zaczęli szeptać: „Słyszeliśmy, że dziś w nocy aresztowali jakichś prowadzących umarłych. Gdzie oni są?”. Szef okręgu nie zawiódł tłumu. Mniej więcej pół godziny później na podium przywiedziono prowadzących umarłych. Ludzie natychmiast zaczęli się przepychać bliżej podium, chcąc jak najlepiej wiedzieć tych, którzy mieli posiadać magiczną moc sprawiania, że umarli chodzą. W zebranie wkraść się spory chaos i w zamieszaniu stratowano kilkoro dzieci. Żołnierze na podium wstali i wskoczyli w tłum, żeby zaprowadzić jakiś porządek. Usiłowali odsunąć tłum od sceny. Szef okręgu krzyczał do mikrofonu: „Spokój, spokój, nie pchać się! Chaos da naszym wrogom klasowym okazję do tego, żeby napytać nam kłopotów!”.

Ale ludzie nie chcieli się cofnąć. Kto by ich winił? Starszy z braci i odziane w *cheongsam* zwłoki związano razem, plecami do siebie. Młodszemu bratu kazano włożyć czarną pelerynę i nieść lampion i kosz z fałszywymi pieniędzmi. Na tył głowy nałożono mu tę przerażającą białą maskę. Starszy brat miał na

piersiach zawieszoną czarną tablicę z napisem „sługus kontrrewolucyjnych zwłok”. Kiedy żołnierz spuszczał głowę starszego brata w dół na znak żalu i skruchy, wyglądało to tak, jakby podnosiła się głowa przywiązanych do niego zwłok. Widać było trwałą ondulację i makijaż. Była to scena dość przerażająca, ale i komiczna. Ludzie wydawali z siebie odgłosy zdziwienia. Jakaś kobieta krzyknęła: „To niegodziwa lisica!”.

Liao: Czy obrażanie zwłok nie jest tabu? Ludzie nie obawiali się zemsty za bezczeszczenie zmarłych?

Luo: Wszystkich tak poniosły emocje tamtej chwili, że kompletnie zapomnieli o tradycjach i tabu. To było jak cyrk. Tłum coraz bardziej się rozochocał. Podniecenie się udzielało. Niektórzy młodzi próbowali się wdrapać na podium, żeby dotknąć zwłok. Żołnierze mocowali się z nimi, usiłowali ich trzymać z dala. To było jak lincz. Nagle usłyszeliśmy głośny trzask: podium się za waliło. Ludzie zaczęli krzyczeć i przewracać się na siebie. Jeden z żołnierzy podniósł karabin i kilka razy wystrzelił w niebo. Dopiero wtedy tłum się uciszył i opanował.

Dwaj bracia mieli szczęście, przydała się ich znajomość kung fu. Odpierali ataki tłumu i ponieśli tylko drobne obrażenia. Później żołnierze odwiązali zwłoki od starszego brata i odprowadzili braci do ciemnicy. W nocy bracia wybili szybę i uciekli. Wkrótce jednak znalazł ich patrol, który puścił się za nimi w pogoń i dopadł kilka kilometrów od miejsca ucieczki. Starszy brat, mimo że został postrzelony w nogę, nie chciał się poddać. Kiedy wspinał się pod górę, przypadkiem stanął na obluzowanym kamieniu i spadł w przepaść. Zaraz potem młodszego pojмали, bo nie stawał oporu.

Liao: Został zabity?

Luo: Pozwolili mu zawinąć ciało starszego brata i zwłoki żony oficera w słomiane maty, wykopać grób i pochować oboje razem za wsią. Potem ten, który przeżył, został deportowany do swojej rodzinnej wioski wraz ze świadectwem zgonu brata. Słyszałem później, że władze pośmiertnie oskarżyły jego brata o „odmowę przyznania się do zbrodni i popełnienie rytualnego samobójstwa dla uczczenia kontrrewolucjonistki”.

Liao: Co za zakończenie.

Luo: Ale to jeszcze nie był koniec. Po kilku dniach u naczelnika wioski pojawili się niespodziewani goście: krewni żony nacjonalistycznego oficera. Dostali od wdowca list, w którym prosił, żeby powitali ciało. Zbudowali więc ołtarz i byli gotowi na urządzenie czuwania przy zwłokach. Czekali i czekali, ale prowadzący umarłych ciągle się nie pojawiali. W końcu dowiedzieli się od kogoś, co się stało na zebraniu z okazji publicznego oskarżenia.

Liao: Ale co mogli zrobić? Zmarła była już pochowana.

Luo: Płakali, krzyczeli, poszli aż do samego szefa okręgu. Błagali go, żeby oddał im ciało. Normalnie szef okręgu nie miałby odwagi spełnić takiej prośby, która dotyczyłaby żony oficera armii nacjonalistów. Ale fiasko publicznego oskarżenia w połączeniu z zabiciem prowadzącego umarłych, którego uważano za przedstawiciela klasy robotniczej, sprawiły, że stracił rezon.

Bał się, że krewni zmarłej zwrócą się do kogoś na wyższym szczeblu i będzie miał przez to kłopoty. Dlatego pozwolił im wykopać ciało. Krewni kobiety najęli profesjonalnych żałobników, którzy zanieśli ciało w rodzinne strony. Była to spora procesja w starym stylu, na którą władze okręgu przymknęły oczy.

Dla tej kobiety była to długa podróż do domu. A co do starszego z braci, to smutne, że ktoś, kto przez całe życie prowadził umarłych do domów ich przodków, został pochowany z dala od własnej wsi.

Trędowaty

Rok temu niedaleko Shimenkanu, wioski w górzyszej części prowincji Junnan, poznałem lekarza o nazwisku Sun. Doktor Sun piastował kiedyś lukratywną posadę w państwowym szpitalu w Pekinie, ale w latach dziewięćdziesiątych przyłączył się do działającego w chińskim podziemiu ruchu chrześcijańskiego i za przekonania religijne ostatecznie został ukarany zwolnieniem z pracy. Od tamtej pory jeździ po Junnanie, głosi nauki chrześcijańskie i służy pomocą lekarską.

Mniej więcej dwa lata temu, kiedy odwiedzał w Shimenkanie pacjenta chorego na gruźlicę, trafił przypadkiem na zniszczoną chatkę ukrytą w lasach na zboczu góry. Zaintrygowany tak odosobnionym domostwem, postanowił sprawdzić, kto tam mieszka. Miejscowy przewodnik starał się odwieść go od tego pomysłu, mówiąc, że mieszka tam wioskowy trędowaty. Doktor Sun nie posłuchał przestroż. Słomiany dach chaty szerniał ze starości, niektóre części glinianych ścian się zapadły, a na ławce przy wejściu siedziała para starszych ludzi, zdumionych widokiem przybysza. Mężczyzna nazywał się Zhang Zhi-en, a kobieta była jego żoną. Doktor Sun opowiedział mi ich historię i postanowiłem przeprowadzić z nimi wywiad. Po kilku godzinach jazdy krętymi drogami pokrytymi czerwonym pyłem, zastałem Zhanga na podwórzu, drzemiącego na słońcu.

Liao Yiwu: Ile ma pan lat?

Zhang Zhi-en: Urodziłem się w roku Owcy. Czyli w tym roku skończę siedemdziesiąt pięć. A to moja druga żona. Ona jest z roku Konia – ma siedemdziesiąt sześć lat.

Liao: Od jak dawna tutaj mieszkacie?

Zhang: O, już wiele lat. Kiedyś mieszkałem w Shimenkanie, u podnóża tej góry. Ale mieszkańcy wioski nie pozwalali mi się do siebie zbliżyć. Mówili, że zarazam. No to przeprowadziłem się tutaj. Zanim odwiedził nas doktor Sun, przez wiele lat nie rozmawialiśmy z żywym człowiekiem.

Liao: Jak zachorował pan na trąd?

Zhang: Mój pech zaczął się, kiedy przypadkiem zabiłem węża. Nie pamiętam, w którym to było roku. Chyba jeszcze zanim Deng Xiaoping doszedł do władzy i zaczął dawać chłopom część ziemi należącej do komun.

Liao: Reforma gospodarcza Denga zaczęła się pod koniec lat siedemdziesiątych.

Zhang: A było to tak. Pewnego dnia wcześniej rano poszedłem w góry, żeby wykopać trochę ziół na sprzedaż na miejscowym targu. Kiedyś w ten sposób się utrzymywałem. Nagle potknąłem się o kamień i upadłem. Kiedy się podnosiłem, zauważyłem, że koło mojej stopy rośnie dzika azalia. Korzeń azalii to rzadko spotykane lekarstwo i można go sprzedać za duże pieniądze. Wyjąłem więc z plecaka łopatkę i starannie okopałem azalię. Okazało się, że korzeń jest gruby, wart dużo pieniędzy. Rozmarzyłem się na chwilę, a w tym czasie zza krzaka śmignął wąż i owinął się wokół korzenia azalii. Miał chropowatą brązową skórę i zrozumiałem, że jest to, jak my tutaj mówimy, wąż Ma. Byłem w szoku i zacząłem się trząść. Zanim zdążył mnie zaatakować, zamachnąłem się na niego łopatką. Za pierwszym razem nie trafiłem w głowę, ale odciąłem mu ogon. Wąż wysuwał język i wił się z bólu. Wycelowałem w głowę i uderzyłem jeszcze kilka razy. Kiedy miałem pewność, że wąż nie żyje, wykopałem korzeń azalii i wróciłem do domu.

Niedługo potem zaczęło mnie to zdarzenie prześladować. Skóra mnie swędziała i ciągle było mi zimno. Nawet w środku lata nosiłem ocieplaną kurtkę. Wypróbowałem wszystkie możliwe

zioła, licząc, że któreś mnie uleczy. Ale nic nie działało. Pewnego dnia poszedłem na targ kupić trochę soli i wpadłem na kierownika gospodarstwa kolektywnego. Kiedy zobaczył, że w letnim słońcu trzęsę się z zimna, zapytał, co mi jest. Powiedziałem, że opętał mnie duch węża Ma.

Był tak zszokowany, że wykrzywiła mu się twarz. Powiedział, że wężę Ma to święte stworzenia. To smoki, które żyją na ziemi! Nie wolno ich zabijać, to tabu. Kiedy się je złamie, jest się przeklętym.

Liao: Przeklętym?

Zhang: Kierownik tego gospodarstwa kolektywnego zaczął rozsiewać plotki o mojej chorobie. Ponieważ po chińsku „wąż Ma” brzmi podobnie do słowa „trąd”, *mafengbing*, mówił ludziom, że jestem trędowaty. Skontaktował się z miejscową kliniką dla trędowatych, ale ich cholerny lekarz nawet nie chciał się do mnie zbliżyć. Badał mnie, stojąc pięć stóp ode mnie, i orzekł, że jestem chory na trąd. Staralem się z nim kłócić. A on stwierdził: „Wystarczy popatrzeć na twą twarz. Jest szara jak popiół. Co to może być, jak nie trąd?”

Kilku partyzantów z wioski włożyło maski i rękawice i zaciągnęło mnie do najbliższego sanatorium dla trędowatych. Przeszedłem kilka badań i wyglądało na to, że wszystko jest w normie, ale nie chcieli mnie wypuścić. Posłali mnie do pracy w kuchni i skończyło się tak, że przez cztery lata gotowałem dla pacjentów. Wreszcie dyrektor szpitala się zorientował, że zamykanie zdrowego człowieka w szpitalu dla trędowatych jest sprzeczne z polityką Partii. I w końcu mnie wypuścili.

Liao: Miał pan kontakt z trędowatymi, kiedy pan tam pracował?

Zhang: Oczywiście. Spędzaliśmy razem cały czas. Ale to nic. Nic mi się nie stało. Kiedy wróciłem do domu, świat się zmienił. Przewodniczący Mao nie żył, do władzy doszedł Deng Xiaoping. Nasza komuna już nie istniała. Zwołali ogólne zebranie i rozdali całą ziemię poszczególnym gospodarstwom. Ponieważ mnie nie było, dla mnie nic nie zostało, nawet skrawek piachu. Ale nawet gdybym był na miejscu, powiedzieliby, że mi ziemia nie przysługuje, bo jestem trędowaty. Tak oto nagle zostałem bez niczego – ani ziemi, ani dachu nad głową. Ale się nie poddałem,

zacząłem chodzić do miejscowych władz. Mówiłem im: „Pochodzę z rodziny całych pokoleń biednych chłopów. Czy Przewodniczący Mao nie mówił, że biedacy to podstawa społeczeństwa komunistycznego? Dlaczego muszę znosić takie traktowanie?”

Urzednicy nie wiedzieli, co ze mną zrobić. W końcu naczelnik mojej wioski zgłosił pomysł: ponieważ byłem kawalerem i już dawno powinienem się ożenić, obiecał, że poszuka mi dziewczyny z innego okręgu. Dzięki temu będę mógł wynieść się z wioski i w jakimś innym okręgu znaleźć sobie dziewczynę i trochę ziemi. Dlaczego nie – pomyślałem sobie. Całkiem mi się ten pomysł spodobał. Zgodziłem się. Dziewczyna nazywała się Xu Meiyang. Żadne z nas nie było zbyt wybredne. Niedługo po tym, jak ją poznałem, podziękowałem swatce, wydałem przyjęcie weselne i wyprowadziłem się z Shimenkanu. Jak pan wie, na wsi kobiety zwykle przeprowadzają się po ślubie do rodziny męża. U mnie było odwrotnie. Miejscowi nazywali mnie przygarniętym zięciem.

Liao: Żona wiedziała o pana przeszłości w sanatorium dla trędowatych?

Zhang: Sama spędziła w nim jakiś czas, ale też ją wypuścili, tak jak mnie, bo nic jej nie wyszło w badaniach. Mimo to ludzie bali się z nią przebywać. Pewnie dlatego poznali ją ze mną. Nawet dziś tutejsi ludzie obawiają się trądu. Jeśli myślą, że ktoś może być chory, zaraz go zamykają w izolatce. Wielu zdrowych ludzi trafiło do szpitala tylko dlatego, że sąsiedzi z wioski podejrzewali u nich trąd. No więc, jak się okazało, mieliśmy z Xu Meiyang podobną historię. Przede mną miała kilku chłopaków. Żaden nie miał dobrej opinii. Żaden nie żył uczciwie z pracy na roli. Byli albo złodziejami, albo łajdakami. W porównaniu z nimi byłem dobrą partią.

Zamieszkaliśmy razem i zaczęliśmy sypiać w jednym łóżku. Ona była ode mnie o jakieś trzy lata młodsza. Kiedy się pobraliśmy, dopiero zaczęli budować tę drogę. To powinno panu uświadomić, jak dawno to było. Razem uprawialiśmy ziemię i żyło nam się w miarę dobrze.

Liao: Mieliście dzieci?

Zhang: Nie. Moja żona wiele lat chorowała.

Liao: Słyszałem, że spalono ją żywcem. Kiedy to się stało?

Zhang: Nie pamiętam dokładnie. Chyba z dziesięć lat temu. Spotkała złego smoka i opętał ją jego duch. Nie mogliśmy znaleźć lekarstwa. Wszystko zaczęło się wiosną. Kiedy orałem pole, zaatakował mnie kolejny wąż Ma. Nie chciałem go zabijać, ale wyglądał bardzo groźnie. Ze strachu zatłukłem go na śmierć. Niedługo po tym było święto Qingming, kiedy cała wieś idzie na cmentarz i oddaje cześć zmarłym. Moja żona odwiedziła tego dnia grób swojej matki. Kiedy wróciła do domu, mieliśmy gościa – jej krewną z okręgu Fumin. Mieszkała u nas trzy miesiące. Podarowała mojej żonie kolorowy materiał. Żona uszyła z niego kołdrę.

Liao: Chwila, zgubiłem się. Wróćmy do tego złego smoka.

Zhang: Tej nocy była straszna burza. Lał deszcz. Tuż przed świtem uderzył piorun. Nasz dom aż się zatrzęsł. Nagle razem z błyskawicą pojawił się zły smok, spadł z góry jak pokrywa na wielki kocioł. Widziałem jego głowę, na pół schowaną w chmurze, i ogon, którym machał nad cmentarzem. Żona otworzyła okno i chciała wyjrzeć, żeby zobaczyć, co się dzieje na zewnątrz. Jak tylko otworzyła to okno, usłyszałem głośny krzyk. Przybiegłem i zobaczyłem, że leży na podłodze. Miała zamknięte oczy i nie mogła się odezwać. Nagle się poderwała, wrzeszcząc jak sam diabeł, powtarzając, że zaraz głowa jej się rozpadnie z bólu. Potem straciła wzrok. Do tego jeszcze ogłuchła.

Byłem przerażony i prowadziłem ją do wielu lekarzy. Wydałem całe nasze oszczędności. Kazałem jej pić wszystkie napary, jakie przepisali lekarze, ale jej się ciągle pogarszało. Nikt nie wiedział, co spowodowało jej chorobę. Po wsi zaczęły się roznosić pogłoski. Z czasem robiły się coraz bardziej dramatyczne i nieprawdopodobne. Wszyscy w wiosce zaczęli wierzyć, że choroba mojej żony była zemstą za to, że zabiłem dwa węże Ma. Mówili, że rozgniewałem smoka i że aby się zemścić, użył przeciwko mojej rodzinie swoich magicznych mocy.

Zaprosiłem miejscowego mnicha taoistycznego, żeby odprawił egzorcyzmy. Ale duch smoka był dla niego za silny. Potem ktoś przedstawił mnie ślepemu wróżbiarzowi. On kazał mi się oprowadzić po domu. Powęszył trochę tu, trochę tam i wyszedł

bez słowa. Nigdy więcej się nie odezwał. Widziałem, że Xu Meiying nie pożyje długo. Poszedłem pomówić z jej starszym bratem, a potem porozmawiałem o jej chorobie z naczelnikiem wioski. Obaj się upierali, że u mojej żony znów odezwał się trąd. Niektórzy starzy mieszkańcy wioski mówili mi nawet, że jej matka zmarła na trąd.

Liao: Myślałem, że trąd nie jest dziedziczny. Jest?

Zhang: A skąd ja mam wiedzieć? Nie wiedzieliśmy, co robić. Biegałem w kółko jak kurczak, któremu obcięli łeb. Kiedy przyszedł do nas starszy brat Xu Meiying, nie chciał wejść do środka. Kazał mi wyjść przed dom. Zobaczyłem, że przyprowadził ze sobą sporą grupę ludzi, łącznie z naczelnikiem. Powiedział mi, że wymyślili rozwiązanie, które będzie dla mnie dobre. Potem, jak ławica ryb, wieśniacy podchodzili po kolei i podawali mi rękę. Wszyscy mówili to samo: „Na dłuższą metę okaże się, że tak będzie dla ciebie dobrze”.

Liao: O co im chodziło?

Zhang: Nie miałem pojęcia. Jako przygarnięty zięć nie miałem tak naprawdę dużo do powiedzenia w sprawach wioski. Gdybym próbował się z nimi kłócić, zapluliby mnie na śmierć.

W każdym razie na drugi dzień rano stawiała się przed naszym domem cała wieś. Wywołali mnie na zewnątrz, kazali się odsunąć spory kawałek i nie ruszać z miejsca. Zdjęli drzwi, położyli na nich Xu Meiying i ruszyli. Brat powiedział jej, że zabierają ją do szpitala. Była tak słaba, że nie mogła nawet kiwnąć ręką. Krzyknął, żeby zrobić im przejście, i wyprowadzili ją z podwórza, znieśli do podnóża góry. Zgodnie z tradycją, każdy dom we wsi dał wiązkę drzewa, aż zebrał się duży stos. Przywiązali Xu Meiying do drzwi sznurem, a potem położyli ją na tych drzwiach na stosie. Ktoś polał drewno benzyną i sprawdził, czy dobrze nasiąkło. Potem podłożyli ogień.

Liao: Zrobił pan coś, żeby ich powstrzymać?

Zhang: Kilku mężczyzn mnie trzymało, żebym nie mógł się ruszyć. Widziałem tylko, jak w niebo wzbił się pióropusz czarnego dymu i zasłonił słońce. Wtedy mocno buchnęły płomienie. Nie chciałem patrzeć, ale ciekawość we mnie zwyciężyła. Wyciągnąłem szyję i stanąłem na palcach. Widziałem tylko ścianę ognia.

Ciało Xu Meiying było jak kawałek skóry, który zaczyna się kurczyć. Coraz bardziej ciemniała.

Liao: Nie mogę uwierzyć, że podpalili ją, kiedy jeszcze żyła. Czy jakoś nie zareagowała?

Zhang: Była ślepa i głucha. Nie jadła od wielu dni i pewnie była już w śpiączce. Nawet gdyby była przytomna, śmierć nastąpiłaby w ciągu paru sekund. Płomień był tak duży, że czułem gorąco z odległości kilku stóp. Stos się zawalił i jej ciało zapadło się w ogień. Wtedy młodzi mężczyźni dorzucili do niego kije.

Liao: Jakie kije?

Zhang: Na wypadek gdyby Xu Meiying próbowała zeskoczyć ze stosu i uciekać. Gdyby tak było, kijami zapędziliby ją z powrotem do ognia.

Liao: Co za bezkarna tłuszcza.

Zhang: Nie rozumiem?

Liao: Mówię o ludziach, którzy zabili pańską żonę.

Zhang: Zrobili to ze strachu przed trędem. Nie mieli innego wyjścia. Ogień palił się ponad dwie godziny. Niezależnie od tego, jak człowiek jest wychudzony, tyle trwa spalenie ludzkiego ciała.

Liao: Smucił się pan? Płakał?

Zhang: Nie. Niektórzy sąsiedzi mówili mi, że widzieli, jak wokół płomieni owija się ogon złego smoka.

Liao: Wierzy pan w to?

Zhang: Tak, wierzę. Po śmierci Xu Meiying nadal używałem kołdry, którą uszyła. Pewnej nocy miałem koszmar, w którym wąż, grubości miski na ryż, owinął mi się wokół ciała. Dusilem się. Zamachnąłem się łopatką i waliłem nią węża, aż rozboleły mnie ręce i wszędzie była krew. Kiedy się obudziłem, leżałem na podłodze. Wypadłem z łóżka. Strasznie się wystraszyłem. Bałem się znów zasnąć. Na drugi dzień wyniosłem kołdrę na pole i podpaliłem. I co? Buchnęło takim płomieniem, jakby kołdra była nasiąknięta oliwą. Śmierdziało palonym ciałem. Widocznie ukrywał się w niej wąż. Kiedy kołdra do szczytu spłonęła, zakopałem popiół. Odtąd w moim domu nie ma już duchów.

Liao: Czy zebrał pan szczątki żony i wyprawił pogrzeb?

Zhang: Starszy brat Xu Meiying zebrał jej kości i pochował koło Wzgórza Białego Piasku. Ale to nie był koniec uroczystości.

Musiałem wydać ucztę, żeby podziękować sąsiadom, którzy pomogli.

Liao: Spalili panu żonę na stosie, a pan musiał ich nakarmić w geście wdzięczności. Nie uważał pan, że coś tu nie gra?

Zhang: To, co zrobili, było dla mojego dobra. Nie skarżyłem się, że jedzą moje jedzenie. Nie mogłem im żałować: chciałem, żeby każdy na uczcie najadł się tak, że nie dałby już rady zmieścić w brzuchu niczego więcej. Jeśli oni byli zadowoleni, to ja też byłem zadowolony. Dałem im jedzenie, a oni je przyrządzili. Naczelnik wioski przyprowadził do mnie kilku mężczyzn, którzy zabrali świnie z chlewu i zabili. Wzięli też mięso, które suszyło się u powały. Postawili garnek na piecu i zaczęli gotować mięso, zanim jeszcze rozwiął się dym z ciała mojej żony. Ugotowali wielki gar ryżu. Jak na wielkie święto. Niedługo potem się ściemniło. Wieśniacy z zapalonymi pochodniami przyszedli z dużymi miseczkami na ryż i zebrali się pod moim domem, czekając na początek uczy. We wsi było około trzydziestu gospodarstw. Z każdego domu wysłano na ucztę głowę rodziny. Skończyło się tak, że wydałem wszystkie oszczędności, a i tak ich nie starczyło – musiałem jeszcze się zapożyczyć. Nie miałem tyle ryżu, żeby nakarmić aż tak wielu ludzi. Naczelnik pożyczyl mi pieniądze. Powiedział, że mogę mu oddać po jesiennych zbiorach.

Liao: Spalenie człowieka żywcem jest wbrew prawu. Zgłosił pan to na policję?

Zhang: Dlaczego? Przecież oni mi pomogli.

Liao: Wciąż pan tak uważa?

Zhang: Tak. Wszyscy w wiosce też tak uważają.

Liao: W innych częściach Chin zaszły duże zmiany. Tutaj nie widzę, żeby coś się zmieniło.

Zhang: Nieprawda, tu się dość dużo zmienia. Jakiś czas temu zbudowali drogę, a teraz ją poszerzają. Ludziom wolno robić interesy. Każdy goni, żeby zarabiać pieniądze. Ja hoduję świnie, psy i kurczaki. Jestem za stary, żeby uprawiać ziemię, więc dzierżawię ją innym. Moja obecna żona i ja nie potrzebujemy dużo. No to i nie narzekamy.

Liao: Od jak dawna jest pan z nową żoną?

Zhang: Od jakichś pięciu lat. Wcześniej mieszkała po drugiej stronie góry. Żadne z dzieci nie chciało się nią opiekować. Ktoś przyproceedził ją do mnie, żebym miał towarzystwo.

Liao: Czy ona wie o Xu Meiyiing?

Zhang: Nigdy nie pytała, a ja nie zamierzam jej mówić. Nie sądzę, żeby chciała o tym słyszeć. Od lat nie mogłem sobie z nikim porozmawiać. A teraz, kiedy mam ją, mam się do kogo odezwać.

Liao: Nadal myśli pan o Xu Meiyiing?

Zhang: No cóż... wszystko przez złego smoka. Niedługo po jej śmierci żona jej starszego brata też dostała się pod jego urok i bardzo poważnie zachorowała. Taoistyczny mnich, którego zaprosili, żeby wypędził złego ducha, kazał im nakarmić smoka ludzkim mózgiem. Brat Xu zakradł się więc o północy na cmentarz, wykopał niedawno pochowane zwłoki i wydobył z czaszki trochę mózgu. Zabrał go domu i dał żonie do zjedzenia. Powiedział mi, że słyszał, jak pod mostem smok wyje ze złości.

Liao: Mózg zmarłego jest pełen zarazków i wirusów. Pewnie zachorowała po tym, jak go zjadła.

Zhang: No może, ja tam nie wiem.

Liao: Mam wrażenie, że czas się tu zatrzymał. Każdego dnia słychać tylko, jak wieje wiatr.

Zhang: Tak, ale słyszymy też, jak przejeżdżają ciężarówki. Jesteśmy bardzo wdzięczni doktorowi Sunowi. Dzięki jego Kościołowi odbudowałem dom. Wierzę teraz w Boga. Dzięki Bogu co miesiąc odwiedza mnie lekarz i zabiera do kościoła po drugiej stronie góry. Nikt w kościele się ode mnie nie odsuwa. Wszyscy są bardzo mili. Modłę się do Boga codziennie, prosząc, żeby zły smok nie wrócił i znów nie przyniósł ludziom nieszczęścia.

Chłopski cesarz

Tydzień po Chińskim Nowym Roku 1998 przeprowadziłem wywiad z czterdziestoosmioletnim Zeng Yinglongiem, chłopem, który w 1985 roku obwołał się cesarzem, a swoje rodzinne miasto w prowincji Syczuan ogłosił niepodległym królestwem. Zeng usłyszał zarzuty licznych przestępstw kontrewolucyjnych, w tym zorganizowania i przewodnictwa działalności wywrotowej przeciwko miejscowej władzy oraz polityce jednego dziecka. Zważywszy na to, że był człowiekiem zupełnie niewykształconym i nieuświadomionym, sąd złagodził mu wyrok z kary śmierci na dożywotnie więzienie. Zeng został umieszczony w więzieniu o podwyższonym rygorze w Górach Daba w północno-wschodniej części Syczuanu. Był z natury optymistą i stosował się do więziennych reguł. Wszyscy strażnicy i współwięźniowie go lubili. Żartobliwie zwracali się do niego „Wasza Wysokość”.

Podczas wywiadu zauważyłem, że ten „Syn Niebios” – jak my, Chińczycy, nazywamy prawdziwych cesarzy – zaczął łysieć na czubku głowy, ale jego wąskie oczy wciąż błyszczały cwana arogancją. Na nogach miał znoszone wojskowe buty, a na niebieski uniform więzienny włożył krótką niebieską kurtkę. Podwinął rękawy i rozmawialiśmy bez przerwy przez dwie godziny, podczas których wydawał edykt za edyktem.

Liao Yiwu: Czy pan jest tym znanym cesarzem, o którym mówi się w tym więzieniu?

Zeng Yinglong: Proszę się do mnie zwracać „Wasza Wysokość”.

Liao: Dobrze. Wasza Wysokość, kiedy podjęliście rolę cesarza?

Zeng: Wasza Wysokość nie chciał być cesarzem. Koronowało go ponad dziesięć tysięcy jego poddanych. Opowiem panu, jak to się wszystko zaczęło. Jakieś dziesięć lat temu z rzeki wyszła ogromna salamandra i skryła się w szczelinie wielkiego kamienia w środku rzeki Wu. Miejscowi nazywali tę skałę „kamieniem bodhisattwy Guanyin”. Ta tajemnicza salamandra umiała mówić jak człowiek. Co wieczór wielu wieśniaków słyszało, jak śpiewa w swojej szczelinie balladę. Ballada szła tak: „Fałszywy smok tonie, prawdziwy smok wypływa na powierzchnię. Na południe od rzeki panują spokój i szczęście”. Z czasem historia o śpiewającej jaszczurce rozniosła się po setkach wsi w okolicy. Nawet małe dzieci umiały śpiewać tę balladę. Miejscowy mistrz *feng shui*, Ma Xing, bardzo się tym zainteresował i postanowił zbadać, skąd się wzięła ta historia. Pewnego wieczoru przyszedł na brzeg rzeki Wu z grupką mieszkańców wsi i czekał, aż salamandra zacznie śpiewać. Wreszcie zaśpiewała. Wtedy Ma wskoczył wraz z towarzyszami do łodzi i popłynął w stronę głosu. Wreszcie zobaczył skałę, a na niej salamandrę. W ogóle nie bała się tłumu. Zamiast uciec, tylko pomachała ogonem, jakby zapraszała ludzi, żeby podeszli bliżej. Ma otworzył jej pysk patykiem i wyjął jej z gardła długą na trzy cale żółtą jedwabną wstążkę. Była na niej zapisana ballada. Ma zwrócił twarz ku niebu, zamknął oczy i zaczął śpiewać jak mnich. Później wznosił ręce ze wstążką nad głowę, ukląkł i trzy razy pokłonił się do ziemi. Kiedy podniósł się z klęczek, powiedział swoim towarzyszom, że właśnie rozmawiał z duchem w niebie i odebrał boskie instrukcje.

Wasza Wysokość nie wiedział nic o tej legendarnej śpiewającej salamandrze. Uciekał wtedy przed prawem. Rząd wprowadził bardzo surową politykę jednego dziecka. Miejscowe władze wymierzały bardzo surowe kary tym, którzy spodziewali się drugiego dziecka. Chodzili po wsi z lekarzami i pukali od drzwi do drzwi, nie przepuścili żadnemu domowi. Jeżeli odkryli, że kobieta jest w ciąży z drugim czy trzecim dzieckiem, posyłali ją do kliniki na aborcję i musiała zapłacić wysoką karę. Kobiety w wieku rozrodczym musiały poddawać się sterylizacji albo dawać sobie założyć spiralę. Wasza Wysokość ma dwie córki, ale

bardzo chciał mieć syna, który nosiłby nazwisko rodowe. Aby uniknąć kary, dołączył do innych mieszkańców i potajemnie przeprowadził się z żoną do innej prowincji. Wasza Wysokość znalazł się w północno-zachodniej prowincji Sinkiang, gdzie imał się różnych prac na budowach. Z błogosławieństwem nieba doczekał się syna, któremu dał na imię Yan-Ze [co znaczy Trwająca Łaska]. Po jego urodzeniu Wasza Wysokość zabrał żonę i dzieci do prowincji Henan, gdzie osiedlili się w mieście Xinxiang.

Pewnie zapyta pan, jak ta część życia Waszej Wysokości ma się do opowieści o legendarnej śpiewającej salamandrze? Jak przypomni pan sobie balladę, zaczyna się ona tak: „Prawdziwy smok wypływa na powierzchnię”. Prawdziwy smok to Zhen-shen-long. To brzmi podobnie do mojego imienia, Zeng-ying-long. Poza tym w balladzie mowa jest o tym, że „na południe od rzeki panują spokój i szczęście”. Znajdowałem się w Henanie, czyli „na południe od rzeki”. Miasto, w którym się osiedliłem, nazywało się Xinxiang, co znaczy „nowo zamieszkałe tereny”.

Kilka dni po spotkaniu z salamandrą Ma zebrał grupę swoich przyszych poddanych. Przeszli pieszo setki kilometrów do Henanu, żeby się spotkać z Waszą Wysokością. Kiedy tylko Ma zobaczył Waszą Wysokość, wyjął z torby szatę z wyhaftowanym smokiem i zarzucił na Waszą Wysokość. Potem Ma i jego towarzysze ukłękli i skandowali: „Dziesięć tysięcy lat* dla Cesarza”. Wasza Wysokość nie mógł zamknąć oczu na wolę swoich poddanych. Nie mógł też nie posłuchać woli nieba. Dlatego właśnie Wasza Wysokość wrócił do rodzinnego miasta jako cesarz swojego ludu, założył nową dynastię i ustalił rok 1985 pierwszym rokiem swojego panowania.

Liao: Jak się nazywała wasza dynastia?

Zeng: Nazywała się Dayou.

Liao: Co to znaczy?

Zeng: „Dayou” znaczy „Wszystko jest wspólne”. Kiedy Wasza Wysokość został koronowany, wydał pierwszy cesarski edykt: „Razem uprawiamy ziemię, dzielimy się majątkiem i możemy mieć

* Tradycyjny chiński odpowiednik polskiego „Sto lat” lub „Niech żyje”.

tyle dzieci, ile chcemy”. Ten edykt był wśród moich poddanych szalenie popularny.

Liao: Jak duże było państwo Waszej Wysokości?

Zeng: Właściwie Wasza Wysokość rządził tylko trzema okręgami na styku prowincji Hunan, Kuejczou i Syczuan.

Liao: Wasza Wysokość pozwoli, że będę szczerzy. Jak wynika z dokumentów sądowych, odtworzyliście starożytną historię, opisaną w Zapiskach historyka przez słynnego Sima Qiana. Według historii podanej w Zapiskach, Chen Sheng, chłopski rebeliant z czasów dynastii Qin [221 p.n.e.–206 n.e.] usiłował skrzyknąć ludność przeciwko cesarzowi i zająć jego miejsce na tronie, wkładając żółtą wstążkę do wnętrza ryby. Potem kucharz „przypadkiem” odkrył w rybie wstążkę, na której było napisane „Cesarz Chen Sheng”. Wszyscy wierzyli, że to przekaz od boga Niebios i wszyscy przyłączyli się do powstania wszczętego przez Chena, które doprowadziło ostatecznie do upadku dynastii Qin. Wygląda na to, że Ma odwzorował tę historię w każdym szczególe. Wymagało to nie lada planowania.

Trudno uwierzyć, że ta starodawna sztuczka zadziałała po upływie dwóch tysięcy lat. Czy wieśniacy naprawdę uwierzyli, że to przekaz od boga Niebios?

Zeng: Cicho bądź. To grubiaństwo, mówić tak do Waszej Wysokości. Wasza Wysokość wie, że jesteś przebrany dziennikarzem i przysłało cię wrogie Królestwo Chin. Wasza Wysokość zaprzecza wszystkim twoim oszczerstwom.

Liao: Nie jestem dziennikarzem. Jestem tylko zwyczajnym badaczem i pisarzem. Może Wasza Wysokość nie chce dziś ze mną rozmawiać, ale nie sądzę, żeby prędko nadarzyła się kolejna okazja opowiedzenia ludziom spoza więzienia o sobie, swoich poddanych i swoim państwie. Z moich obserwacji wynika, że Wasza Wysokość jest bystry, dobrze zna historię Chin i ma ogromne ambicje. Z ambicjami trochę Wasza Wysokość przeholował, ale to zrozumiałe. Chyba Wasza Wysokość nie chce być pośmiewiskiem przyszłych pokoleń?

Zeng: W całej historii to powszechne, że generałowie czy cesarze ponoszą klęskę. Z czego tu się śmiać? Ale może mi pan obiecać, że zapisze pan wiernie, co Wasza Wysokość powie?

Liao: Tak, Wasza Wysokość. Obiecuję.

Zeng: Powiedzmy, że śpiewająca salamandra została zaczerpnięta ze starożytnej chińskiej opowieści. Ale reszta jest prawdą. Kiedy Wasza Wysokość wrócił do rodzinnego miasta, natychmiast mianował Ma Xing premierem. Według premiera Ma, Królestwo Dayou, położone w górach, miało niewielką populację. Moi poddani byli ludźmi staroświeckimi, spętanymi tysiącami lat tradycji przodków. Koncepcja dużych rodzin z wieloma potomkami płci męskiej była głęboko zakorzeniona w ich umysłach. Polityka planowania rodziny wprowadzona przez Królestwo Chin wzbudziła protesty w całym regionie. Wiele mężatek musiało uciekać w góry, ukrywać się po jaskiniach i żyć jak kobiety pierwotne. Wołały jeść surowe warzywa i pić wodę źródlaną, niż poddać się przymusowej aborcji czy sterylizacji. Premier Ma poradził, żeby Wasza Wysokość wykorzystał te powszechne nastroje antyrządowe. Ma polecił wszystkim ludziom Waszej Wysokości, żeby chodzili po domach i głosili pogląd, że rodzenie dzieci to nasze niezbywalne prawo, przekazane przez przodków. Im więcej mamy dzieci, tym lepiej nam się powodzi. Wychowanie może być trudne, ale ludzie w tej okolicy są przyzwyczajeni do biedy i trudów życia. Nie ma wielkiej różnicy, czy się wychowuje jedno dziecko, czy siedmioro, czy ośmioro. Każde kolejne dziecko to jeden promyk nadziei więcej dla naszego królestwa. A jeśli ktoś chce nam tę nadzieję odebrać, będziemy z nim walczyć aż do ostatka.

Po mobilizacji mas, która trwała pół roku, Wasza Wysokość zgromadził wystarczające poparcie i położył solidny fundament pod Królestwo Dayou. Wasza Wysokość wydał szereg cesarskich dekretów, w których nawoływał swoich poddanych do egzekwowania prawa do posiadania dużej rodziny. Gdyby jakaś kobieta urodziła ponad dziesięcioro dzieci, Wasza Wysokość miał nadać jej tytuł „Matki Królewskiej”.

W tym czasie umarł pewien poważany mieszkaniec wioski. Dożył ponad stu lat. W moich stronach, kiedy człowiek dożyje zaawansowanego wieku, traktuje się go z wielkim szacunkiem. Kiedy umiera, wyprawia się mu porządny pogrzeb. Wielu ludzi przybywa z daleka, żeby wziąć udział w takiej uroczystości,

w nadziei, że przejdzie na nich trochę szczęścia zmarłego. Ponieważ w pogrzebie tego starca miało uczestniczyć wielu wieśniaków, postanowiliśmy wykorzystać tę okazję do oficjalnego proklamowania narodzin Królestwa Dayou. Premier Ma, z zawodu mistrz *feng shui*, włożył w przygotowanie pogrzebu dużo czasu i energii. Przez dwa dni chodził po górach i przekraczał rzeki, żeby znaleźć pomyslnie miejsce dla grobu starca. Wreszcie znalazł miejsce dość daleko od wioski. Przez cały tydzień była wystawiona otwarta trumna. Mnisi z pobliskiej świątyni przychodzili i całymi dniami i nocami śpiewali sutry. Opat świątyni pomógł nam też wybrać pomyslną datę pogrzebu.

Zgodnie z lokalną tradycją, w dniu pogrzebu trumnę należało złożyć w ziemi przed wschodem słońca. Dzięki temu duch starca mógł stać się nieśmiertelny i wstać razem ze słońcem. Stosując się do wskazówek Ma, procesja pogrzebowa, w której uczestniczyło kilka tysięcy żałobników, wyruszyła około północy. Na czele szła miejscowa orkiestra dęta. Ponieważ starzec był zwyczajnym chłopem, jego pogrzeb nie był wydarzeniem, w którym mógłby uczestniczyć cesarz. Ale Wasza Wysokość musiał się ukorzyć i udawać zwykłego wieśniaka. Kiedy kondukt żałobny piął się wąską ścieżką pod górę, migotliwe światła pochodni niesionych przez żałobników mieszały się z gwiazdami na niebie. Z daleka trudno było odróżnić światła pochodni od gwiazd. W pewnym momencie premier Ma odwrócił się i ukląkł. Powiedział: „Wasza Wysokość, proszę spojrzeć na ten cudowny widok. Bóg Niebios jest po naszej stronie”.

Zgodziłem się z nim i dałem znać, żeby wstał i dogonił kondukt. Główny żałobnik, którego wynajęliśmy, żeby zawodził i śpiewał, miał naprawdę donośny głos. Kiedy zaśpiewał jedną linijkę pieśni, ludzie odpowiadali mu kolejną. Echo zawodzeń i śpiewów było tak głośne, że góra jakby od niego wibrowała. „Nie zwlekaj, szybko chodź, / U Niebios bram już czeka dzień. / Chwilę odpocznij i zaraz wstań, / Znajdź żonę, syna splot”.

Liao: To ciekawe. Pieśń o reinkarnacji nawet się rymowała.

Zeng: Do prawdziwej reinkarnacji jeszcze nie doszło. Wreszcie dotarliśmy do miejsca pochówku. Kiedy nadszedł czas, żeby zacząć uroczystość, Niu Daquan, który był moim szefem

administracji, zebrał dziesięciu strażników królewskich z mojego królestwa i zaczęli odprawiać rytuał tańca słońca. W miarę jak rytm bębnów przyspieszał, wielu ludzi nie mogło mu się oprzeć i dołączyło do tańca. Napięcie rosło. W pewnym momencie premier Ma zdjął koszulę, wyjął z torby flagę Królestwa Dayou przedstawiającą smoka i zaczął wymachiwać nią nad głową. Tupał nogami i potrząsał głową w ekstazie. Później wyjął z kieszeni garść grochu i rzucił w górę, skandując: „Potrzebujemy zmiany, potrzebujemy zmiany”. Ludzie natychmiast rzucili się zbierać groch, który jest symbolem długiego życia. Nagle za górą pokazały się ciemne chmury, a towarzyszyły im głośnie uderzenia pioruna i błyskawice. Spadł na nas ulewny deszcz, jakby Niebios wysłały na ziemię tysiące zbrojnych wojowników.

Liao: Odegraliście epizod z kolejnej starożytnej chińskiej baśni, Rzucanie grochu na wezwanie wojsk. W tej baśni pewien generał został otoczony przez armię wroga. Zwrócił się o pomoc do boga Niebios, który nakazał mu rzucić w powietrze tysiące ziaren grochu. Kiedy generał tak zrobił, niebo się ściemniło. Rozpętała się silna burza, podczas której z ziaren grochu wyrosli żołnierze. Według dokumentów sądowych, odegraliście tę baśń, żeby oszukać ciemną ludność ze swoich stron. Pański współpracownik, Ma Xing, sprawdził wcześniej prognozę pogody i tak zaplanował uroczystości pogrzebowe, żeby zbiegły się czasie z początkiem burzy. Ma rzucił groch w niebo i wyglądało to tak, jakby wywołał tę burzę swoją magią. Muszę pochwalić was za staranność przygotowań.

Zeng: Proszę mi nie przerywać. Proszę pozwolić Waszej Wysokości mówić dalej. Tłum był zaskoczony ulewą i rozbiegł się w poszukiwaniu schronienia. Wielu ludzi uklękło przed moim premierem i prosiło, żeby swoją magiczną władzą sprawił, by burza minęła. Ma spełnił ich prośbę. Pół godziny później niebo się przejaśniło. Kiedy żałobnicy dokończyli odprawianie uroczystości pogrzebowych, podążyli za Waszą Wysokością i wstąpili do Armii Królestwa Dayou. Opowieść o magicznej mocy Ma szybko się rozniosła i w ciągu dwóch tygodni Wasza Wysokość miał już ponad dziesięć tysięcy poddanych.

Liao: Co za łgarstwo. Znów powołałam się na dokumenty z sądu: według nich do pańskiej armii wstąpiło niecałe dwa tysiące ludzi.

Zeng: Wasza Wysokość nie kłamie ani nie żartuje. Po tej pamiętnej uroczystości Wasza Wysokość poprowadził swoje wojsko i zajął okręgowy szpital. Żołnierze przypuścili szturm na budynki i przepędzili kierownika z jego gabinetu. Później poszli prosto na oddział planowania rodziny i zebrali wszystkie zgromadzone tam środki antykoncepcyjne. Zrzucili je na jeden stos przed szpitalem i podpalili. Bohaterski wyczyn Waszej Wysokości można porównać do palenia opium w dziewiętnastym wieku przez Lin Zexu*, słynnego urzędnika z dynastii Qing, który usiłował położyć kres handlowi opium prowadzonemu przez brytyjskich kolonialistów. Wiwatowały na naszą cześć tysiące ludzi. Wasza Wysokość przejął szpital i urządził w nim swój pałac. Kiedy to nastąpiło, premier, szef administracji i inni ważni urzędnicy państwowi ubrali się w tradycyjne szaty, które wcześniej kazali sobie uszyć, zgromadzili się w pałacu i wspólnie pokłonili się Waszej Wysokości, żeby okazać mu swój szacunek i wdzięczność.

Liao: Słyszałem, że Wasza Wysokość miał ponad czterdzieści konkubin, które mieszkały w rozmaitych „komnatach królewskich”.

Zeng: To była robota mojego premiera i szefa administracji. Początkowo Wasza Wysokość odrzucił ich propozycję, mówiąc, że królestwo jest jeszcze młode i czeka nas ciężka praca. Jak mógł oddawać się przyjemnościom seksualnym, kiedy nic nie zrobiono na rzecz królestwa? Członkowie gabinetu jednak błagali Waszą Wysokość, żeby rozważył to jeszcze raz. Mówili tak: „W całej historii, w każdej dynastii cesarz miał konkubiny, które mieszkały w wielu różnych pałacach. Gdybyśmy nie stosowali się do tradycji, nasze rządy nie byłyby w porządku. A jeśli nasze rządy nie będą w porządku, Wasza Wysokość straci wiarygodność. Doceniamy determinację Waszej Wysokości, żeby przede wszystkim służyć swoim poddanym, a nie oddawać się przyjemnościom seksualnym. Wasza Wysokość musi jednak przestrzegać cesarskiej tradycji”.

* Lin Zexu (1785–1850) komisarz cesarski, który w 1839 roku skonfiskował i zniszczył opium należące do brytyjskich kupców, co było bezpośrednią przyczyną wybuchu pierwszej wojny opiumowej.

Liao: Gdzie Wasza Wysokość zdobył te konkubiny?

Zeng: Każda pielęgniarzka, która pracowała w zdobytym przez nas szpitalu, była mianowana moją konkubiną. Kilku członków mojego gabinetu ofiarowało swoje córki. Jednak Wasza Wysokość był bardzo zajęty bieżącymi sprawami dworu. Rzadko miał czas obdarzać miłością nawet Królową, która spędziła z Waszą Wysokością połowę życia, a co dopiero konkubiny.

Liao: Wygląda na to, że dwór Waszej Wysokości był bardzo zepsuty. Aż trudno mi uwierzyć, że dworzanie byli gotowi poświęcić własne córki, żeby wkraść się w łaski Waszej Wysokości. Teraz rozumiem, czemu Wasza Wysokość wybrał na pałac ten szpital.

Zeng: Wasza Wysokość zaatakował szpital jako pierwszy, ponieważ spalenie środków antykoncepcyjnych było skutecznym sposobem na zdobycie poparcia wieśniaków. Ale Wasza Wysokość był trochę za bardzo pochłonięty szpitalem, a zlekceważył niebezpieczeństwo ze strony policji okręgowej. Wezwano wojsko chińskie i otoczyło ono cesarski pałac. Wasza Wysokość poprowadził swoją armię do walki. Ale niestety został pojmany już w pierwszej bitwie. Mój szef administracji, Niu Daquan, przeprowadził wszystkie konkubiny na tyły pałacu i kazał im wskoczyć do stawu. Kazał im popełnić samobójstwo i umrzeć śmiercią męczeńską. Woda w stawie była jednak za płytka. Wpychali te kobiety do wody, ale one nie tonęły. Mój szef administracji wpadł w desperację. Wyjął miecz i ściął głowy dwóm konkubinom. Naprawdę oszalał. Chyba ból i smutek związane ze stratą królestwa były dla niego zbyt dużym ciężarem.

Liao: Myślałem, że szef administracji Waszej Wysokości i premier dysponowali magiczną mocą rządzenia wiatrem i deszczem. Czemu nie mogli rzucić w górę grochu i wezwać takiej ilości wojska, która pokonałaby siły rządowe?

Zeng: Mój premier rozpostarł na ziemi flagę przedstawiającą smoka i zamierzał użyć swojej władzy magicznej, ale dostał kulę w brzuch. Był bohaterem. Z głośnym wyciem wstał i przeszedł kilka kroków, zanim zwałił się bez czucia.

Liao: Trochę szybko upadło królestwo Waszej Wysokości, prawda?

Zeng: Taka była wola nieba. Ponieważ mój szef administracji zabił dwie osoby, dostał karę śmierci. Wasza Wysokość i kilku

członków gabinetu zostali oskarżeni o zbrodnię przeciwko rządowi chińskiemu i wsadzeni do więzienia. Ale Waszej Wysokości trudno jest przestrzegać chińskiego prawa. Niech pan sobie wyobrazi: całe pokolenia rodziny Waszej Wysokości były pochowane w jego królestwie. Dzieje rodziny Waszej Wysokości liczą ponad tysiąc lat, jego przodkowie wywodzą się z czasów dynastii Song [960–1297 n.e.]. Nie sądzi pan, że Wasza Wysokość powinien mieć prawo założyć tam królestwo? Jego królestwo jest biedne, bo ziemia nie rodzi tam zbyt dobrze. Było za mało rąk do pracy. Gdyby miała się tam sprawdzić polityka planowania rodziny, Wasza Wysokość byłby winny w oczach swoich przodków, bo nie zrobił tego, co powinien. Poza tym Wasza Wysokość nie pozwalałby przyjeżdżać do siebie obcokrajowcom i wykonywać na kobietach w swoim królestwie tych brutalnych zabiegów.

Liao: Co Wasza Wysokość ma na myśli, mówiąc „obcokrajowcy”?

Zeng: Za obcokrajowca uważam każdego, kto mieszka poza granicami mojego królestwa.

Liao: Więc w oczach Waszej Wysokości ja też jestem obcokrajowcem.

Zeng: Zgadza się. Niezależnie do tego, jaki dany kraj jest, duży czy mały, wszystkie powinny się traktować na równi. Każdy powinien wysłać do pozostałych ambasadora i nawiązać stosunki dyplomatyczne. Co by pan pomyślał, gdyby urzędnicy z mojego kraju przyjechali do pańskiego, żeby wcielić w życie politykę „posiadania tylu dzieci, ile się chce”? Zaakceptowałyby pan to?

Liao: Czy to jest powód, dla którego Wasza Wysokość stale ponawia wnioski o apelację?

Zeng: Tak.

Liao: Wyobraźmy sobie, co by było, gdyby każdy Chińczyk chciał pójść w ślady Waszej Wysokości: mielibyśmy miliony samozwańczych cesarzy. Wasza Wysokość siedzi w tym więzieniu od ponad dziesięciu lat. Jak traktują go władze i kierownictwo więzienia?

Zeng: Wasza Wysokość dość dobrze zna się na tradycyjnej medycynie chińskiej. Kierownik więzienia przypisał Waszą Wysokość do opieki nad kliniką więzienną. Pod wieloma względami było to błogosławieństwo nieba. Wasza Wysokość codziennie czyta gazety i dowiaduje się, co się dzieje na świecie. Królestwo Dayou było bardzo zacofane i wyizolowane. Wasza Wysokość ma

nadzieję ciężko pracować podczas pobytu w więzieniu i starać się o skrócenie wyroku, żeby móc niedługo wrócić do swoich poddanych.

Liao: Nadal chce pan być cesarzem?

Zeng: Wasza Wysokość doszedł do wniosku, że biedne królestwo się nie utrzyma. Jeżeli chce wyeliminować biedę i zdobyć bogactwo, musi się nauczyć o technologii. Kiedyś Wasza Wysokość ślezczał nad książkami o historii i lekcewazył zmiany, które zachodziły poza jego domem. Odkąd Wasza Wysokość siedzi w więzieniu, czyta znacznie więcej. Niedawno zapisał się na studia korespondencyjne.

Liao: Cesarz chce studiować? A to coś nowego. Słyszałem, że Wasza Wysokość starał się o pozwolenie na studia korespondencyjne. Napisał „edykt cesarski” do władz więzienia. W swoim liście zwrócił się do wydających decyzję w tej sprawie pracowników więzienia jako „członków swojego królewskiego gabinetu”.

Zeng: Studia kosztują. Wasza Wysokość napisał ten „edykt” z zamiarem pochwalenia tych dwóch pracowników za dobrą pracę. Jednocześnie chciał prosić o pomoc w sfinansowaniu nauki. Wasza Wysokość nie miał pojęcia, że ten napisany w najlepszej wierze list został źle zrozumiany. Pracownicy więzienia przyszli do jego celi i udzielili mu poważnego napomnienia.

Liao: Czy królowa odwiedziła tu Waszą Wysokość?

Zeng: Wasza Wysokość już przegnał ją z rodziny królewskiej.

Liao: Czyli wzięliście rozwód. Czy wasze dzieci zmieniły nazwisko?

Zeng: To długa historia. Wasza Wysokość jest teraz w kiepskim nastroju i nie może dalej rozmawiać.

Liao: Proszę, to mój datek, pięćdziesiąt juanów [sześć dolarów czterdzieści centów]. Mam nadzieję, że Wasza Wysokość znajdzie też innych sponsorów, którzy pokryją chesne. Życzę powodzenia.

Mistrz *feng shui*

Na Huang Tianyuana, dziewięćdziesięcioletniego wówczas mistrza *feng shui*, wpadłem na górskiej drodze we wrześniu 1998 roku, kiedy odwiedzałem przyjaciół w rejonie Gongtanzui w prowincji Syczuan. Huang pomagał wieśniakom uzyskać optymalną równowagę i harmonię, wybierając najlepsze miejsca i orientację geograficzną grobów i cmentarzy.

Liao Yiwu: Czy nauczyciel Huang, słynny mistrz feng shui?

Huang Tianyuan: Niech pan nie słucha ludzkich kłamstw. Nie jestem mistrzem *feng shui*. Proszę nie domagać się żadnych fachowych porad.

Liao: Jestem przyjezdny. Nie interesuje mnie feng shui w tej okolicy. Mniej więcej dwanaście lat temu pracowałem tu w ośrodku sztuki ludowej. Razem z dyrektorem Pengiem jeździliśmy po wioskach nad rzeką You, zbieraliśmy ludową sztukę i muzykę. Pewnego dnia dyrektor Peng zwrócił się do pana po radę, bo w snach wiele razy przychodził do niego jego zmarły ojciec. Kiedy zjawiliśmy się przed pana domem, poprosił pan dyrektora Penga, żeby nalał pełną miskę czystej wody i trzymał ją przed sobą. Zdziwiła mnie ta ceremonia i zapytałem: „Co pan widzi w tej wodzie?”. Odpowiedział pan jednym słowem: „Duszę”. Kilka minut patrzył pan w wodę, po czym nakazał pan dyrektorowi Pengowi pochować prochy ojca, żeby uspokoić jego duszę. Na to dyrektor Peng odpowiedział: „Ależ ja już pochowałem jego prochy”. Słyszac to, postukał pan trzy razy zapalonym kadzidłem w brzeg miski

i zapytał: „W takim razie dlaczego duch pana ojca wciąż się gniewa?”. Dyrektor Peng tak się wystraszył, że zbladł jak ściana. Ukłęknął przed panem i powiedział: „Mistrzu, ma pan rację! Skłamałem”. Jak się okazało, wciąż przechowywał prochy ojca w urnie w domu, wcale ich nie pochował. Pamięta pan to?

Huang: Znam dyrektora Penga, ale nie pamiętam tej ceremonii. Nie zajmuję się już takimi rzeczami. Zarzuciłem praktykę.

Liao: Dlaczego?

Huang: To długa historia. Podczas ostatnich dziesięciu lat konsultacje *feng shui* i przepowiadanie przyszłości stały się w tej okolicy dość popularne. Ludzie zwracają się po poradę do mistrzów *feng shui* przed rozpoczęciem budowy domu, czy to dla żywych, czy dla umarłych. Moją specjalnością jest doradzanie w sprawie wyboru miejsca pochówku. Jednego roku byłem wyjątkowo zajęty. Doradziłem co najmniej pięćdziesięciu rodzinom.

Liao: Dlaczego? Czy tego roku było więcej zgonów?

Huang: Nie, nie. Rady miały posłużyć żywym. W tej okolicy ludzie za życia wydają pieniądze na znajdowanie miejsc z dobrym *feng shui*, gdzie budują duże, wystawne groby. Grób z dobrym *feng shui* może przynieść potomkom szczęście.

Przez całe życie ciężko pracowałem dla tutejszej ludności i zbiłem na swojej pracy mały majątek. Właśnie skończyłem dziewięćdziesiąt lat. Czas, żebym zajął się sobą. Dlatego dwa lata temu przekazałem interes mojemu dziewięcioletniemu uczniowi, geniuszowi *feng shui*. Pewnego dnia, kiedy już wycofałem się z pracy, poprosił mnie o pomoc były burmistrz naszego miasteczka. Pochodziłem więc po okolicy i wybrałem odpowiedni kawałek ziemi. Kiedy mu go poleciłem, najął do pracy kamieniarzy, murarzy, tynkarzy i glazurników, którzy pracowali bez przerwy przez kilka miesięcy i zrobili ze wskazanego miejsca prywatny cmentarz. Burmistrz przeniósł tam wtedy prochy wszystkich swoich przodków z poprzedniego miejsca pochówku, siedem kilometrów stąd. Kazał też robotnikom wybudować grób dla siebie. Okazał się większy niż jego dom. Kiedy robota była skończona, wydał duże przyjęcie, sprosił gości na dwadzieścia stołów. Ja zostałem zaproszony, ale nie poszedłem. Uciekłem od tego człowieka najszybciej, jak mogłem. Jak ktoś się robi zbyt

chciwy, zaczyna z niego emanować zła energia. Bałem się, że może mi tę złą energię przekazać.

Liao: Miejsce, które mu pan wybrał, miało być pomyślne. Dlaczego w takim razie chciał pan uciekać?

Huang: Ludzie o różnym statusie mają różne *feng shui* i różne projekty są dla nich właściwe. Dobry projekt *feng shui* wymaga całkowitej harmonii elementów *yin* i *yang*. Nie powinien być ani zbyt skromny, ani zbyt pyszny. Ten burmistrz złamał wszystkie zasady umiarkowania. Zafundował sobie luksusy, jakie zwykle przystożą gubernatorowi prowincji. Pewnie pan o tym słyszał. W grobie, który zamówił, znalazło się mnóstwo luksusów: luksusowy samochód z kamienia, kamienne łoże w kształcie smoczyczej łodzi, osobne pomieszczenie na klub nocny ze sprzętem karaoke. Zamówił nawet ładnie rzeźbione kamienne krzesło, na którym miał odbywać w świecie zmarłych spotkania z prezesem wielkiej międzynarodowej korporacji. Wyraźnie zażyczył sobie też towarzystwa „młodych kobiet”. Ale kamieniarzowi nie stało umiejętności i żadna z rzeźb nie była ładna. Po twarzach trudno było nawet poznać, czy to kobiety, czy mężczyźni. Stawianie grobu powinno być sprawą prywatną, a burmistrz zrobił z tego wielkie wydarzenie publiczne.

Trudno go winić. W historii było wielu takich ludzi jak on. Na przykład cesarz Qin Shi Huang [259–210 p.n.e.]. Pokonał inne królestwa i zjednoczył Chiny. Po założeniu dynastii Qin główkował, co by tu zrobić, żeby trwała wiecznie. Jednocześnie poszukiwał pigułki nieśmiertelności i zaczął budowę własnego grobu. Chciał zabrać ze sobą cały majątek. I co? Zmarł, mając czterdzieści dziewięć lat. Niedługo po jego śmierci cesarstwo się rozpadło. Widzi pan jakąś różnicę między cesarzem Qin Shi Huangiem a naszą dzisiejszą władzą? Ciągłe gonią za zyskiem dla siebie i swoich potomnych. A jak człowiek w czymś przesadza, to osiąga efekt przeciwny do zamierzonego.

Proszę mi wybaczyć tę dygresję. Ponieważ burmistrz zrobił wokół swojego grobu tyle szumu, zwrócił na siebie uwagę miejscowych mediów. Gazety opublikowały zdjęcia na całe strony. Szef okręgu przeczytał ten reportaż i wysłał ekipę śledczych, żeby sprawdziła, z jakich środków został opłacony ten grób. Okazało

się, że burmistrz zdefraudował publiczne pieniądze. Wybuchł wielki skandal. Całe mnóstwo jego podwładnych – naczelników wiosek i sekretarzy Partii w poszczególnych wsiach – też było w to zamieszanych. Wszyscy wzięli z niego zły przykład, nielegalnie zajmowali ziemie publiczne i prywatne i defraudowali publiczne pieniądze, za które budowali sobie groby. Za nimi poszło też wielu chłopów. Ci, których nie było stać na poradę mistrza *feng shui*, zaczęli budować sobie groby koło grobów ludzi władzy. Jak pan widzi, tu, po słonecznej stronie ścieżki, ciągnie się kilka rzędów pustych grobów.

Liao: Czy pana też ten skandal dotknął?

Huang: Jeszcze jak! Burmistrz rzucił na mnie winę za wszystkie swoje nielegalne działania. Mówił wszystkim, że dał się złapać w moją pułapkę zabobonu. Mówił, że to ja go namawiałem do defraudacji publicznych pieniędzy na opłacenie budowy grobu. Oskarżył mnie o zniszczenie mu kariery i doprowadzenie do ruiny nie tylko jego, ale i jego potomków. Później w jego ślady poszło wielu funkcjonariuszy partyjnych. Poszli na policję z tymi samymi zarzutami wobec mnie. W ciągu jednej nocy zostałem przestępcą odpowiedzialnym za odrodzenie zabobonów w całej okolicy. Musiałem uciec i na kilka miesięcy ukryć się we własnym grobie. Nikt nie wiedział, gdzie jestem. Złapali mojego dziewięcioletniego ucznia i zrobili z niego kozła ofiarnego. Stacja telewizyjna nakręciła film dokumentalny o tym, jak to dziewięcioletni geniusz *feng shui* okazał się szarlatanem i oszukiwał ludzi za pomocą swoich sztuczek. Kiedy wyemitowali ten dokument, wielu ludzi zaczęło nękać moją rodzinę. Służba bezpieczeństwa zatrzymała członków mojej rodziny, żeby ich przesłuchać. Na szczęście nikt z nich nie znał lokalizacji mojej kryjówki.

W miarę jak dochodzenie zataczało coraz szersze kręgi, policja zaczęła namierzać innych specjalistów od *feng shui*. Aresztowali w końcu ponad dwudziestu. Biedacy byli publicznie oskarżani na zebraniach wszystkich mieszkańców wioski i prowadzani po ulicach razem z innymi przestępcami. Słyszałem, że co młodszych z nich wysłano do obozu reedukacyjnego, tu niedaleko.

Dwa lata temu na targu było wydzielone osobne miejsce dla ślepych wróżbitów i mistrzów *feng shui*. Miałem tam swoje

stoisko i było bardzo oblegane. Wiele osób uważało mnie za skarb tego regionu. Ale policja zrobiła nalot i zakazała praktykowania wróżbiarstwa i *feng shui*.

Liao: Wciąż się pan ukrywa?

Huang: Nie. Kiedy kampania się kończyła, ludzie o mnie zapomnieli. Poza tym mam ponad dziewięćdziesiąt lat. Co mogą mi zrobić? Jestem za stary na pracę fizyczną, gdyby chcieli mnie wysłać do obozu reedukacyjnego. A jeśli mnie zamkną, mógłbym zatruć umysły współwięźniów, dając im porady *feng shui*. Może pan wierzyć lub nie, ale ludzie to uwielbiają. Podczas rewolucji kulturalnej Czerwona Gwardia też położyła szlaban na uprawianie wróżbiarstwa i *feng shui*. Ale nie zawiesiłem działalności, bo zawsze ktoś gdzieś mnie potrzebował. Ludzie potajemnie zapraszali mnie do domów i prosili o radę.

Liao: Wczoraj chodziłem po tym miejscu na targu, o którym pan mówił. Było puste. Gdzie się podziabili pozostali mistrzowie feng shui i wróżbiarze, poza tymi, którzy trafili do obozu?

Huang: Rozjechali się po sąsiednich prowincjach, Kuejczou i Hunan. Przy współczesnych środkach transportu łatwiej jest się przemieszczać. Czasami mieszkańcom prowincji Kuejczou i Hunan nie podoba się, kiedy ludzie z zewnątrz przyjeżdżają na ich terytorium. Wtedy Syczuańczycy jadą na wybrzeże, do prowincji Fujian i Zhejiang, gdzie ludzie się bogacą i pilnie potrzebują porad wróżbiarzy i mistrzów *feng shui*. Tam dość łatwo znaleźć pracę. Wystarczy tylko pokazać kilka sztuczek i człowiek nie może opędzić się od klientów. Tutaj to wygląda zupełnie inaczej. Ponieważ wróżbiarzy i mistrzów *feng shui* jest za dużo, trzeba naprawdę mieć umiejętności, żeby z tego wyżyć.

Liao: Rząd centralny ogłosił chyba ogólnokrajową kampanię przeciwko praktykom feudalistycznym i zabobonnym.

Huang: Mówi pan chyba o czarach. Dla mnie to właśnie jest zabobon. Ponieważ ostatnio *feng shui* i wróżbiarstwo nie cieszą się popularnością, coraz lepiej radzi sobie czarownica Chen. W jej domu stale jest pełno klientów. Ma wąski repertuar: pali sztuczne banknoty, żeby udobruchać duchy, i miesza popiół z wodą. Potem każe klientom pić tę wodę, mówiąc, że wyleczy ich z choroby. Poza tym że robi numer z wodą, czasem wkłada też

strój taoistyczny i tańczy w kręgu, mruczając do siebie i krzycząc. Twierdzi, że wchodzi w nią duch Cesarzowej Niebios, a wtedy potrafi wygnąć każdą chorobę i złego ducha z ciała pacjenta. Kto tam wie, czyj duch ją opętał. Jest analfabatką, nie zna ani jednego znaku. Ale liczy sobie pięćdziesiąt juanów [sześć dolarów czterdzieści centów] za wizytę. Nie wiem, dlaczego ludzie traktują ją poważnie. Picie wody z popiołem to jakaś bzdura. Kiedy ukrywałem się przed policją, czarownica Chen skorzystała na moim nieszczęściu. W naszym świecie *feng shui* stale się zmienia. W jednej chwili szczęście pojawia się na wschodzie, a za chwilę przenosi się na zachód. To jakby chcieć złapać mysz w kołdrze – kiedy człowiek rzuca się na jeden kraniec, ona ucieka w drugi.

Liao: Jak pan sądzi, czy szczęście niedługo do pana wróci?

Huang: Na pewno. Chwilowo ludzie są zdesperowani i wszyscy chodzą do czarownicy Chen. Ale jak zrozumieją, że jej czary nie działają, zatęsknią za mną. W młodości czytałem księgi Konfucjusza. Całymi latami studiowałem *I Ching*, czyli *Księgę Przemian*, i klasyków taoizmu. Wiele lat uczyłem się tradycyjnej medycyny chińskiej. Dawniej człowiek o moich talentach i wiedzy zostałby wybrany przez gubernatora czy cesarza na osobistego doradcę.

Liao: Jest pan w podeszłym wieku, a nadal przepełnia pana ambicja. To godne podziwu.

Huang: Byłem bardzo ambitny, ale, jak pan wie, nie miałem w tym życiu zbyt wiele szczęścia, bo *feng shui* otaczające groby moich przodków nie ma żadnych wyjątkowych cech. Przez kilka lat badałem tę okolicę i wreszcie znalazłem wartościowe miejsce, w którym „pływający smok spotyka kałamarze”. Jak wynika z moich obliczeń astrologicznych, rodzinie Huang będzie się dobrze powodzić, kiedy odejdę z tego świata.

Liao: Czy może pan to bliżej wyjaśnić? Nie rozumiem wyrażenia „pływający smok spotyka kałamarze”.

Huang: Wie pan, że tutejszy łańcuch górski nazywa się Górami Kałamarzy, ponieważ tworzą go trzy szczyty w kształcie kałamarza. Wiele razy chodziłem tutaj z kompasem. Mój grób mieści się dokładnie między pierwszym kałamarzem a drugim. Gdyby miał pan przy sobie lunetę, zobaczyłby pan, że w tym właśnie miejscu, między pierwszą górą a drugą, wije się rzeka Wu. W wielu

starożytnych chińskich legendach w rzece Wu mieszka pływający smok. Poeta opisał kiedyś rzekę Wu słowami „pływający smok spotyka kałamarze”. Rozumie pan? Spocznę w tym miejscu, gdzie przepływa smok, dzięki czemu na przyszłe pokolenia mojej rodziny spłynie błogosławieństwo. Niestety, to cenne miejsce nie zostało jeszcze odkryte. Gdyby zostało, to przy tak dobrym *feng shui* urodziłby się tu cesarz. Ale najslawniejszym człowiekiem, jaki tu przyszedł na świat, był naczelnik plemienia.

Liao: W dawnych czasach taki naczelnik miał dość dużą władzę, prawie jak cesarz. Wszystko mu uchodziło na sucho. Legenda głosi, że jeden z lokalnych naczelników kazał wybudować sobie w okolicy siedemdziesiąt dwa identyczne grobowce. Były fałszywe, żeby zmylić tych, którzy okradają groby. Jego potomkowie dostali instrukcję, że po jego śmierci mają zabić albo żywcem pogrzebać każdego, kto był na pogrzebie, łącznie z tymi, którzy nieśli trumnę. I dlatego wciąż nie wiadomo, gdzie został pochowany. Nikt nie wie, który z siedemdziesięciu dwóch grobowców jest tym prawdziwym. Mnóstwo hien cmentarnych przekopało tę okolicę, żeby odnaleźć jego ciało i pochowane razem z nim skarby. Gdyby więc wziąć pod uwagę pana wyliczenia, możliwe, że prawdziwy grób znajduje się tu, pod naszymi stopami.

Huang: Nie sądzę, żeby ten naczelnik spoczywał w pobliżu doskonałego miejsca, które wybrałem. Gdyby tak było, jego potomkowie osiągnęliby wielki sukces. Z drugiej strony, mógł wybrać na pochówek miejsce ze świetnym *feng shui*, ale zmieniło się środowisko naturalne. Dobre *feng shui* mogło się ulotnić.

Liao: Teraz, kiedy pan o tym powiedział, zauważyłem, że tu jest naprawdę bardzo dobre feng shui. Niech pan popatrzy na zachodzące słońce, jak chowa się między kałamarzami. Wieje niebiańsko przyjemny wietrzyk. Czuję nawet jakiś przyjemny zapach.

Huang: To zapach ziół, które zasadziłem. Ziemia jest tu bardzo żyzna. Wiosną zasadziłem ponad dwadzieścia rodzajów ziół, więc latem jest tu zielono. Te zioła lepiej zaspokajają głód niż zboże. Kiedy jestem głodny, zrywam sobie po prostu garść ziół i żuję. Uczucie głodu zaraz przechodzi. Jak się zbierze ich więcej, można je utłuc na pastę i posmarować się w okolicy ust, uszu, pod pachami i wokół odbytu. To chroni przed chorobami i odpędza

wszelkiego rodzaju robactwo i złe duchy. Ostatnio mogę nie jeść nawet przez kilka dni. Tylko śpię w swoim grobie. Jest tam bardzo ciemno. Kiedy jakiś robak wpłźnie mi do ust, mogę go zjeść. Dżdżownice są całkiem smaczne. A węże i skorpiony się mnie boją.

Liao: Węże i skorpiony są jadowite.

Huang: Dzisiaj ludzie są bardziej jadowici od węży i skorpionów. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych krzywdzili się nawzajem z powodu kampanii politycznych Mao. W latach dziewięćdziesiątych krzywdzą się nawzajem, żeby zarobić więcej pieniędzy. Ludzie są podli i samolubni. A Konfucjusz nazywał Chiny krajem łagodności i uprzejmości.

Liao: Czuję, że wciąż cierpi pan z powodu tego skandalu z burmistrzem. Czy mógłbym obejrzeć pana grobowiec?

Huang: To tajemnica. Nikomu nie pozwolę zobaczyć, gdzie się mieści. Budowałem go przez wiele lat. A dla takiego starca jak ja to nie było łatwe. Ale ponieważ tak pan nalega, mogę panu pokazać mniej więcej, gdzie jest. Niech pan popatrzy na tę wielką skałę nad występem. Połowa wisi w powietrzu. Tę skałę otaczają inne, mniejsze, połączone ze sobą, jakby polane cementem. Nikt nie wie, że pod nimi znajduje się tunel, który prowadzi do mojego grobu. To była kiedyś kryjówka tygrysa. W 1961 roku na tej górze grasował tygrys, samiec. Pewnego dnia szalał z głodu, bo większość drzew została ścięta i małe zwierzęta wyginęły. Zszedł więc do wsi, żeby zapolować na człowieka. Wszyscy mieszkańcy wyszli z domów z pochodniami, walili w gongi i zagonili tygrysa z powrotem na górę. Otoczyli go obok tej skały. Nie miał już dokąd uciec, wszedł na skałę, skoczył w przepaść i się zabił. Mieszkańcy wioski znaleźli jego ciało, obdarli ze skóry, a mięso upiekli. Przyszło ponad sto osób i każdy dostał mały kawałek. Później się dowiedziałem, że to był ostatni tygrys w rejonie granicznym między Syczuanem a Kuejczou. Kiedy już nie żył, wróciłem do tego kamienia i odkryłem jego kryjówkę, o głębokości mniej więcej dwudziestu metrów. Wykopałem do niej tunel i przerobiłem kryjówkę na swój grobowiec. Od tamtego czasu co miesiąc spędzam tam kilka dni. Lubię tam być, bo niedaleko spoczywa Ruan Hongyu. W jej towarzystwie z dnia na dzień coraz mniej tęsknię za światem.

Liao: Ruan Hongyu?

Huang: Pamięta pan ten dom z dziedzicem przy drodze? To był jej dom.

Liao: Oczywiście. Była słynną niewidomą śpiewaczką i miała wspaniały głos. Odwiedziłem ją kiedyś. Była już po osiemdziesiątce, a śpiewała tak czysto jak osiemnastolatka. Stawiałem przed nią magnetofon i nagrywałem, jak śpiewa pieśni ludowe. Mogła śpiewać jedną za drugą, całymi godzinami.

Huang: Tak, taka była. Nie żyje od sześciu lat.

Liao: Co stało się z jej domem?

Huang: Od dawna był w złym stanie. Ruan była twardą kobietą i stała się dość dominująca w świecie zmarłych. Kiedy zmarły jest zbyt dominujący, wpływa na przepływ energii i cierpią na tym żywi. Jej potomkowie musieli się wyprowadzić, znaleźć nowe miejsce, w którym mogliby swobodnie oddychać.

Liao: Czy pana coś z nią łączyło?

Huang: Zalecałem się do niej, kiedy oboje byliśmy młodzi. Jestem od niej o trzy lata młodszy. Śpiewaliśmy sobie pieśni miłosne z sąsiednich górskich szczytów. Ona była pięknym kwiatem i miała wielu zalotników. A w śpiewaniu pieśni ludowych nikt nie mógł jej dorównać. Śpiewanie pieśni miłosnych ze szczytów gór to tradycyjny rytuał zalotów w tej okolicy. Chłopiec i dziewczyna śpiewają z sąsiednich szczytów przez całą noc. To taki konkurs. Jeżeli chłopiec pokona dziewczynę, ona zostanie jego żoną. Ja śpiewałem z Ruan tylko pół nocy, potem musiałem uznać, że przegrałem. Ruan straciła oczy podczas rewolucji kulturalnej. Czerwonogwardziści pobili ją za śpiewanie dekadentkich pieśni miłosnych. Całe życie była bardzo uparta i ambitna, ale nigdy nie zdobyła sławy poza naszą okolicą. Kiedy odeszła, wybrałem dla niej ładne miejsce spoczynku. To bardzo pomyślne miejsce, niedaleko stąd. Lepsze niż to, gdzie pochowany jest jej mąż.

Liao: Była żoną innego mężczyzny?

Huang: Moim zdaniem wyszła za niewłaściwego człowieka. Chciałbym pożyczyć *feng shui* ze świata zmarłych, żeby naprawić jej błędy.

Liao: Ona nie żyje. Jak może pan naprawić jej błędy?

Huang: Chciałbym, żebyśmy byli mężem i żoną na tamtym świecie.

Liao: Jesteście jak Liang Shanbo i Zhu Yingtai z legendy, którzy nie mieszkali w tym samym domu za życia, ale zostali pochowani we wspólnym grobie.

Huang: Może pan sobie myśleć, co pan chce. Będę leżał w grobie obok Ruan Hongyu. Kiedy się połączymy w następnym życiu, los naszych rodzin przybierze lepszy obrót. Jak mówi przysłowie: „Kiedy pływający smok spotyka kałamarnicę, zapowiada wielki sukces trzech pokoleń”. Za trzy pokolenia rodzina Huang powinna wydać kogoś, kto zostanie panem tej ziemi, dostanie od rządu tysiące hektarów.

Liao: Ale, nauczycielu, jak może pan podzielić tak dobre feng shui z obcą osobą, jaką jest Ruan Hongyu? Czy pan nie jest żonaty?

Huang: Byłem. Moja żona zmarła z głodu w 1960 roku. Tego roku miliony ludzi umarły z głodu. Nie było mnie wtedy stać na grób z dobrym *feng shui*. Wybrałem miejsce na chybił trafił, wykopałem w ziemi płytki dół i zakopałem jej ciało. Urodziła się biedna i biedna umarła. Z taką złą karmą może zepsuć dobre *feng shui* dla moich potomków, jeżeli po śmierci spoczne koło niej. Ale jeśli zostaną pochowany sam, *yin* i *yang* nie będą w harmonii. Dlatego muszę się po śmierci połączyć z Ruan Hongyu.

Liao: Nie rozumiem tego pomysłu wykorzystania Ruan Hongyu dla przyszłych korzyści pańskich potomków.

Huang: Lao Tse, założyciel taoizmu, powiedział kiedyś: „Jeżeli potrafisz wytłumaczyć, czym jest droga, nie jest ona już właściwą drogą”. Dlatego nie mogę w pełni wyjaśnić tajemniczej karmy, która łączy mnie z Ruan Hongyu.

Liao: Czy wyjawiał pan rodzinie swój plan na życie po śmierci? Jak pan zapewne wie, po śmierci nie będzie pan miał już kontroli nad tym, co się z panem stanie. Nie sądzę też, żeby rodzina Ruan pozwoliła na to, żebyście spoczywali razem.

Huang: Od tego zależy dobrobyt wielu przyszłych pokoleń. Na pewno porozmawiam z dziećmi z obu rodzin. Myślę, że zrozumieją. Właściwie już od dawna przygotowuję się na wspólne życie po śmierci. Pozwolę, żeby Ruan pierwsza zajęła miejsce,

które wybrałem. Dzięki temu, gdyby moje dzieci nie uszanowały mojej woli... sam wejdę do jej grobu, kiedy będę jeszcze żył.

Liao: Myślę, że kiedy dowiedzą się o pańskim planie, uznają go za szalony.

Huang: Zrobiłem dla swoich dzieci wystarczająco dużo, teraz pora, żeby one mnie zrozumiały. Mieszkają w mieście. Tłoczą się w blokach na głośnych ulicach razem ze swoimi dziećmi. Ja lubię ciszę i spokój. Nie chciałem wyjeżdżać z nimi. Jestem stary, nie chcę być dla nich ciężarem. Poza tym kiedy odeszła Ruan Hongyu, zniknął jedyny powód, dla którego chciałem żyć. Wprawdzie wciąż pomagałem ludziom w sprawach *feng shui*, ale moja dusza już opuściła ten świat. Teraz moje życie dobiega końca, dochodzi do punktu zero. Zero to natura. Ta góra jest moim domem.

Liao: Nauczycielu Huang, nie żyjemy już w starożytnych Chinach, gdzie można było znaleźć odludne miejsce i wieść żywot pustelnika. Ta góra, ta rzeka... Nic z tego dzikiego krajobrazu się nie ostanie. Niedługo przyjadą deweloperzy i urzędnicy tu atrakcję dla turystów. Jeśli turystyka będzie kwitnąć, pewnie zbudują bramę u podnóża góry i będą ją reklamować jako nowo odkryty park krajobrazowy. Ludzie będą tu przybywać z całych Chin, statkami i samolotami. Trudno uwierzyć, żeby w ciągu najbliższych dwudziestu lat pana grób przetrwał w ukryciu, a dobre feng shui zostało nienaruszone.

Huang: Pański umysł jest pełen niepomysłnych myśli. Niech pan lepiej już idzie odwiedzić tego znajomego we wsi. Robi się późno.

Opat

Wiosną 2003 roku, podczas wspinaczki z przyjaciółmi na górę Fengqi, około sześćdziesięciu kilometrów na zachód od Chengdu, natknąłem się na starą świątynię buddyjską ukrytą w gęstwinie drzew. Świątynia Guangyan, znana również jako Świątynia Gu, pochodzi z czasów dynastii Sui (581–618 n.e.). Zbudowano ją na zboczu góry. Składa się z dwóch części, górnej i dolnej. Część górna przedstawiała sobą obraz zupełnego zniszczenia: pleciła się tam wysoka trawa, a pagody, które były miejscem spoczynku kości zmarłych buddystów, waliły się ze starości. Z dwóch domów modlitwy zostały tylko ruiny. W części dolnej było jednak gwarno i ruchliwie dzięki licznym grupom wiernych i turystów. Dochodzące z odrestaurowanych sal świątyni śpiewy i silny zapach kadzidła świadczyły o tym, że świątynia przeżywa rozkwit.

Opatem Świątyni Gu był stutrzyletni wówczas Mistrz Deng Kuan. Mieszkał w spartańsko urządzonej celi na tyłach dziedzińca dolnej świątyni. W odróżnieniu od opatów przedstawianych w filmach nie odznaczał się imponującym wyglądem: był niski, miał małe oczy i stale nosił na głowie żółtą wełnianą czapkę. Musiał też ciągle siedzieć przy piecyku elektrycznym, bo był bardzo wrażliwy na zimno. Co kilka minut pykał z fajeczki. Na prośbę bratanka popijał też mleko przez słomkę. Miał bardzo słaby słuch. Każde pytanie musiałem wykrzykiwać mu prosto do ucha. Wreszcie, choć kosztowało to wiele krzyku i czasami wymagało pośrednictwa bratanka, udało mi się złożyć w całość ten wywiad.

Rok po jego ukończeniu, we wrześniu 2005 roku, przeczytałem w miejscowej gazecie, że Mistrz Deng Kuan zmarł.

Liao Yiwu: Mistrzu, wygląda pan bardzo dobrze, bardzo zdrowo. Mistrz Deng Kuan (DK): Dopiero co wróciłem ze szpitala w Chengdu, gdzie leżałem dwa miesiące. Sypię się. Moje ciało jest sztywne. *Namo Amitabha Budda*, chwała miłościwemu Buddzie. Teraz, kiedy ciężko jest mi się poruszać, mam dużo czasu na medytację i myślenie. Dużo myślę o tym, co mnie spotkało w tym życiu. Niestety, umysł mam jasny mniej więcej tylko przez połowę czasu. Są dni, kiedy nie mam pojęcia, gdzie jestem, jaki jest dzień i kto stoi obok mnie.

Czytał pan o naszej świątyni? Za czasów dynastii Ming [1386–1644 n.e.] cesarz Zhu Yuanzhang nadał jej oficjalną nazwę Świątyni Buddyjskiej Guangyan. Później wuj cesarza Zhu, mistrz Wu Kong, doznał w tej świątyni oświecenia. Jeśli uznać go za naszego pierwszego opata, to jestem ósmym opatem tej świątyni w ciągu ostatnich sześciuset lat.

Urodziłem się w roku 1900, kiedy Chinami rządził jeszcze cesarz Guangxu z dynastii Qing. Moje świeckie nazwisko brzmiało Chen Jingrong. Ponieważ moja rodzina była biedna, rodzice oddali mnie do świątyni, kiedy miałem siedem lat, żeby tu mi dawali jeść. Tak zacząłem życie mnicha. Mój nauczyciel, Mistrz Zu Run, słynął w całej okolicy ze swojej wiedzy i prawości. Poza tym, że uczył mnie pism buddyjskich, zapraszał też do świątyni uczonych, żeby nauczyli wszystkich nowicjuszy czytać i pisać. Dzięki niemu w kilka lat posiadałem sztukę pisania i czytania.

W 1928 roku przeszedłem pieszo ponad dziewięćdziesiąt kilometrów do Chengdu i tam zostałem ordynowany. Później wstąpiłem do szkoły buddyjskiej prowadzonej przez Mistrza Chan Ana. Skończyłem ją w 1930 roku a potem studiowałem w dwóch innych świątyniach, pobierałem też nauki od różnych wybitnych mnichów. W roku 1944, po ponad piętnastu latach nauki i podróży, wróciłem do Świątyni Gu. Najpierw pracowałem, witając wiernych i gości i koordynując modlitwy. W 1947 roku zostałem mianowany opatem. Pełniłem tę funkcję do przejścia władzy przez komunistów w 1949 roku.

Liao: Przeżył mistrz cały dwudziesty wiek. Gdyby uznać rok 1949 za linię podziału, życie mistrza składa się z dwóch prawie równych części. Ale całą pierwszą połowę zbywa mistrz raptem kilkoma zdaniem.

DK: Kiedy człowiek kończy sto lat i cofa się myślą do początku swojego życia, kilka zdań wystarczy. Mógłbym też mówić bez przerwy przez trzy dni i trzy noce. Pobierałem nauki u ponad trzydziestu wielkich nauczycieli buddyźmu. O każdym z nich można by napisać całą książkę.

Liao: Przepraszam, że mistrzowi przerwałem. Proszę mówić dalej.

DK: Ta świątynia została wzniesiona za czasów dynastii Sui. Od tamtej pory w paśmie górskim Qingcheng wybudowano ponad trzydzieści zakonów i świątyń, ale Świątynia Gu pozostaje głównym ośrodkiem kultu Buddy. W pewnym okresie mieszkało tu ponad tysiąc mnichów. Mimo upływu stuleci, choć stare dynastie upadały i przychodziły nowe, świątynia zachowała się właściwie w niezmiennym stanie. To dlatego, że zmiany dynastii czy rządów uważane były za sprawy świeckie. Mnisi tacy jak ja nie mieli z nimi nic wspólnego. Ale rewolucja komunistyczna z 1949 była dla mnie i dla świątyni punktem zwrotnym.

Po roku 1949 nowe władze wprowadziły reformę rolną. Celem kampanii padło wielu byłych właścicieli ziemskich w tym regionie. Kilku zostało rozstrzelanych podczas publicznych egzekucji, ich własność została zajęta i rozdana. Pewnego dnia rządowy zespół zadaniowy zrobił nalot na naszą świątynię. Zespół składał się z urzędników i działaczy chłopskich. Urządzili w świątyni sąd, który miał zaprowadzić sprawiedliwość. Mnie napiętnowali jako „bogatego właściciela świątyni” i oświadczyli, że mnie aresztują. Zawlekli mnie na podium, zdarli ze mnie *kaśaję** i kazali stać przed tłumem wieśniaków z rękami wykręconymi do tyłu, w pozycji samolotu odrzutowego. Działacze chłopscy wstawali po kolei i opowiadali tłumowi o moich „zbrodniach”. Zostałem oskarżony o gromadzenie bogactwa uzyskanego innym sposobem niż dzięki pracy fizycznej oraz o szerzenie idei

* *Kaśaja* (źródłosłów sanskrycki) – zewnętrzna szata mnichów buddyjskich.

feudalistycznych i religijnych, które zatruwają ludziom umysły. Ktoś zaproponował nawet, żeby zbadać moją działalność za rządów nacjonalistycznych, bo kolaborowałem wówczas z bogaczami, żeby wyzyskiwać biedaków. Po każdej wypowiedzi wstawał kierownik zespołu zadaniowego i wykrzykiwał slogany, takie jak „Precz ze złymi właścicielami ziemskimi!” i „Religia to opium dla ludu!”. Po nim te slogany powtarzał chórem cały tłum. Nie minęło dużo czasu, a atmosfera się rozgrzała: ludzie mnie opluwali, bili i popychali. Na podium stało obok mnie jeszcze trzydziestu czy czterdziestu mnichów. Zostali uznani za „łysych sługusów bogatego właściciela ziemskiego”. Właścicielem byłem oczywiście ja.

Liao: Pierwszy raz w życiu słyszę termin „bogaty mnich”.

DK: Dla mnie to też było szokiem. Trudno było mi znieść te niesprawiedliwe zarzuty. Wszyscy mnisi przestrzegają ślubu ubóstwa. Wielu z nas pochodziło z ubogich rodzin. Przyjmując naukę Buddy, przyrzekliśmy unikać wszelkich ziemskich pokus. W takiej wielkiej prowincji jak Syczuan było ponad sto świątyń. Niezależnie od tego, do której by się poszło, wszędzie obowiązuje ta sama zasada: mnisi przekazują skarby buddyjskie z pokolenia na pokolenie. Od starożytnych czasów nie zdarzyło się, żeby jakiś opat, mnich czy mniszka uznali skarby świątyni za swoją własność. Kto by przypuścił, że pewnego dnia wszyscy zostaniemy uznani za bogatych właścicieli ziemskich? Żaden z nas nigdy nie żył życiem bogatego właściciela ziemskiego, lecz ponieśliśmy takie kary, jakie wymierzano właśnie im.

Liao: Co było po tych sesjach „walki z wrogami klasowymi”?

DK: Te sesje wkrótce przekształciły się w publiczne akty przemocy. Często zdarzało się opluwanie, bicie po twarzy i kopanie po plecach. Wiele razy w świątyni pojawiała się bez ostrzeżenia miejscowa milicja i prowadziła mnie do osobnej sali na przesłuchanie. Podczas jednego z takich przesłuchań, które odbywało się w zimie, szef wioskowej milicji i jego ludzie rozebrali mnie do naga i powiesili za nogi u sufitu. Było to tak bolesne, że po mniej więcej dziesięciu minutach straciłem przytomność. Polewali mnie zimną wodą. Kiedy się ocknąłem, miałem zwichniętą prawą rękę. Jeszcze dzisiaj, kiedy chcę ją podnieść, przeszywa

mnie silny ból. Czasami byłem bity z nedorzeczných powodów. Pewnego razu urzędnik wezwał mnie do swojego biura i zażądał oddania stu złotych miseczek, które rzekomo ukrywałem w świątyni. Powiedział, że jeden z młodych mnichów wyjawiał ten sekret zespołowi zadaniowemu. Nie miałem pojęcia, o czym ten człowiek mówił. Nie miałem na własność nawet porcelanowej miseczki, a co dopiero złotej. Kiedy powiedziałem im, że nie wiem, o czym mowa, zarzucili mi kłamstwo i powiesili za nogi na drzewie. Potem kilku wieśniaków poszło przeszukać cele mnichów. Nie uwierzy pan, ale naprawdę znaleźli sto miseczek gdzieś w kącie kuchni. Jednak ku ich rozczarowaniu miseczki nie były złote, tylko ceramiczne. W końcu zrozumiałem, z czego wynikło nieporozumienie. Ponieważ w takiej jednej miseczce mieścił się tylko jeden *jin* [pięćset gramów] ryżu, nazywaliśmy je „miseczkami *jin*”, a po chińsku brzmi to tak samo, jak „miseczki ze złota”. Zamieszanie powstało całkowicie bez powodu.

Swoją drogą, podczas reformy rolnej miejscowe władze zajęły wszystkie przechowywane tutaj skarby buddyjskie, a także należące do naszej świątyni setki hektarów dziewiczych lasów i ziem uprawnych. Nie byliśmy w tym odosobnieni. Świątynie w całym kraju spotkał taki sam los.

Liao: Zajrzałem do kilku źródeł historycznych i dowiedziałem się, że wielu słynnych mnichów padło w tamtych czasach ofiarą prześladowań. Na przykład Mistrz Kuan Lin ze Świątyni Wenshu w Chengdu był brutalnie torturowany przez wieśniaków. Połamali mu ręce i nogi i wyrwali zęby. Kiedy zemdlął z bólu i upadł na ziemię, jego dręczyciele myśleli, że go zabili. Ze strachu wystali go do szpitala i całe szczęście, bo lekarzom udało się ocalić mu życie. Mistrz Qing Ding ze Świątyni Zhaojue został w 1955 roku skazany na dożywotnie więzienie. Tylko dlatego że zanim został mnichem, za rządów nacjonalistów był kadetem w Akademii Wojskowej w Huangpu. Spędził za kratkami ponad dwadzieścia lat. Mistrz Wei Xian, były opat Świątyni Ciyun koło Chongqingu, został aresztowany w 1954 roku za próbę założenia szkoły*

* W polskiej literaturze przedmiotu funkcjonuje także nazwa Akademia Whampoa. Była to kolebka kadr Kuomintangu i części komunistów.

buddyjskiej. W więzieniu spędził dwadzieścia siedem lat. A to tylko mały fragment listy.

DK: Reforma rolna nie była końcem nieszczęść, jakie spadły na naszą świątynię. W 1958 roku Przewodniczący Mao ogłosił kampanię Wielkiego Skoku Naprzód. Wezwał naród chiński do szukania sposobów masowej produkcji żelaza i stali, aby Chiny dogoniły państwa uprzemysłowione, takie jak Stany Zjednoczone. Był to też początek kampanii kolektywizacyjnej. W żadnym gospodarstwie nie wolno było trzymać własności prywatnej, nie wolno też było gotować w domu. Wszystkim kazano się żywić w komunalnych kuchniach i jadalniach.

Zdałem się na łaskę nieba i postanowiłem włączyć się w bieg wydarzeń. Zgłosiłem się do naczelnika wioski i uzyskałem zgodę na wyruszenie z grupą dziesięciu mnichów na poszukiwanie rud żelaza w górach, a także na uczestnictwo w produkcji stali. Wieśniacy wybudowali w naszej świątyni prowizoryczny piec. Zupełnie się na tym wszystkim nie znaleźliśmy, nie wiedzieliśmy, jak wygląda ruda żelaza ani jak z takiej rudy wyprodukować stal. Rząd przysłał młodego naukowca, który w pół godziny wyłożył nam najniezbędniejsze podstawy. Po tym wykładzie, ufni, że z nowo nabytą wiedzą nic ich nie powstrzyma od osiągnięcia celu, ludzie zakasywali rękawy, dzielili się na grupy i szli w góry szukać rudy. Skończyło się na tym, że wielu wieśniaków zbierało po prostu kamienie ciemnego koloru i wrzucało je potem do pieca.

Tymczasem miejscowe władze apelowały też do obywateli, żeby przynosili z domu metal w każdej możliwej postaci – narzędzia rolnicze, przybory kuchenne, miski, zamki, obręcze, nawet kobiece spinki do włosów – który można by przetopić na stal i żelazo. Popularny był wtedy slogan: „Kto przyniesie do punktu zbiórki kawałek metalu, to jakby zgładził obcego imperialistę”. My, mnisi, nawet nie mieliśmy domów, ale nie chcieliśmy być gorsi od innych. Węszyliśmy w świątyni jak psy. Znaleźliśmy kaździelnice, metalowe kasety na datki, dzwony i zamki. Za pomocą dłut i młotków odbijaliśmy metalowe krawędzie z drewnianych ołtarzy, ściągaliśmy nawet i rozbiliśmy brązowe posążki, które zdobiły rogi dachu świątyni.

Przy wejściu do świątyni stały dwa królewskie żeliwne kotły, podarunki cesarza Yongle z dynastii Ming. Nie przetrwały Wielkiego Skoku Naprzód. Ponieważ były olbrzymie i wykonane z grubego żeliwa, do ich rozbicia trzeba było dwudziestu potężnych mężczyzn z młotami. Głuche echo odgłosów młota słychać było w promieniu wielu kilometrów. Przetopienie tych wielkich, starych żeliwnych naczyń też nie było łatwe. Trzeba było ściąć setki grubych drzew, żeby napalić w piecu.

Wkrótce góra została doszczętnie ogołocona z drzew. Kiedy przyszedłem do tej świątyni jako chłopiec, były tu setki hektarów lasu, w tym wiele rzadkich gatunków, takich jak miłorząb, nanmu i cyprys chiński. Ale w tamtych szalonych latach wszystkie zostały wycięte. Czy zwrócił pan uwagę na to duże, tysiącletnie drzewo, zanim wszedł pan do świątyni? Ostało się, bo rośnie na występie skalnym i nie można było go osiągnąć. Dzisiaj zwiedzający mówią mi, jakie to piękne i cenne drzewo. Nie wiedzą, że rosło tu siedem takich dużych drzew, każde tak grube, że trzeba by trzech mężczyzn, żeby je objąć. To, które przetrwało, było z nich najbrzydsze. Pozostałe posłużyły za drewno na opał.

Tak naprawdę trudno dziś sobie wyobrazić, co się wtedy działo. Ludzie byli odurzeni roztaczaną przez Przewodniczącego Mao górnołotną wizją zbudowania silnego państwa socjalistycznego. Mnie przypadło w udziale dmuchanie w miechy, żeby ogień w piecu nie wygasł. Codziennie wcześniej rano ćwiczyłem kung fu, w trosce o sprawność i zdrowie. Dzięki tym regularnym ćwiczeniom nabrałem tężyzny fizycznej. Kiedy większość ludzi była na skraju wyczerpania, a niektórzy omdlewali, ja miałem jeszcze dużo energii i godzinami dmuchałem w miechy, na poły kucając przy piecu.

Liao: Miał mistrz wtedy prawie sześćdziesiąt lat, zgadza się?

DK: Tak. Ale nawet dwudziestolatkowie nie mogli dotrzymać mi kroku. Wieśniacy za plecami nazywali mnie „stalowym górskim żołnierzem”. Wracając do mojej opowieści, po wielu dniach i nocach ciężkiej pracy wreszcie zobaczyliśmy pierwsze rezultaty – surówkę o nieregularnych kształtach. Niektóre kawałki wyglądały jak ule, całą powierzchnię miały usianą kamieniami. Czekaliśmy, aż nasze wytwory się ochłodzą i utwardzą. Potem

sprawdzaliśmy ich jakość, uderzając w nie młotkiem. Jak się łatwo domyślić, natychmiast rozsypały się na małe kawałki. A razem z nimi nasza nadzieja.

Liao: Czy dzięki temu, że tak ciężko pracował mistrz podczas Wielkiego Skoku Naprzód, wieśniacy uznali, że odkupił mistrz swoje niegdysiejsze winy?

DK: Nie całkiem. Kiedy kampania na rzecz produkcji stali zakończyła się porażką, ludzie wrócili do swoich codziennych zajęć. Wieczorami, po kolacji w kuchni komunalnej, nie mieli nic do roboty. Wznowiono publiczne zebrania oskarżające „złe elementy”, traktując je jako formę rozrywki. Byliśmy zdani na łaskę przywódców wioski. Kiedy mieli ochotę urządzić sesję walki z wrogami klasowymi, wszyscy wrogowie klasowi musieli być gotowi na ich skinienie. Między rokiem 1952 a 1961 uczestniczyłem w ponad trzystu takich sesjach walki z wrogami klasowymi.

W tamtych ciężkich latach stale myślałem o legendzie związanej ze Świątynią Gu. W 1398 roku, kiedy zmarł Zhu Yuanzhang, założyciel dynastii Ming, na cesarza koronowany został jego wnuk Jianwen. Wuj Jianwena, książę Yan, miał znaczne siły wojska na północy i stanowił duże zagrożenie dla panowania cesarza Jianwena. Rozgorzał czteroletni konflikt zbrojny, który zakończył się detronizacją Jianwena. Na tronie zasiadł książę Yan. Jako panujący przyjął imię „Yongle”, czyli Wieczna Radość. Cesarz Yongle przez kilka lat brutalnie oczyszczał Chiny ze zwolenników Jianwena. Sam Jianwen zbiegł i przepadł bez śladu. Kilka lat po jego zaginięciu zaczęły krążyć pogłoski, że został mnichem i ukrywa się w Świątyni Gu. Któregoś dnia zobaczył go na własne oczy szpieg przysłany przez cesarza Yongle i przekazał wieść o tym do pałacu. Cesarz natychmiast wysłał zabójcę. Jianwen został uprzedzony o przybyciu zabójcy i zniknął. Jego niedoszły zabójca znalazł tylko wiersz przyczepiony do ściany domu modlitwy: „Przemierzam kraj od czterdziestu długich lat, gęstą kiedyś grzywą wygnańca pokrył szron. Kiedyś rządziłem niebem i ziemią, teraz nie mam niczego, nawet szafasu, w którym mogłaby spocząć moja dusza. Strumienie i rzeki płyną bezgłośnie – dokąd spieszą ich czyste wody? Trawa i wierzby co rok się zielenią,

a starca o znajomych rysach dławią łyż”. Wysłannik przepisał wiersz i po powrocie pokazał go cesarzowi. Ten odczytał wiersz na głos i łyż popłynęły mu po twarzy. Pomachał rękawem szaty i westchnął: „Odwołajcie pogoń za moim bratankiem”.

Liao: Co za historia. Nie rozumiem jednak, jak łączy się z ówczesnym losem mistrza.

DK: Cesarz Yongle rządził Chinami twardą ręką. W całym cesarstwie pełno było jego policji i szpiegów. Mimo to Jianwen, pokonany cesarz, mógł znaleźć schronienie w Świątyni Gu. A za rządów komunistów w Chinach nieszkodliwy mnich nie miał dokąd uciec.

Liao: Nie ulega wątpliwości, że Przewodniczący Mao chciał zabić ducha Buddy i każdą inną formę religii.

DK: Żaden człowiek nie dysponuje władzą zniszczenia Buddy w ludzkich sercach. A to dlatego, że Budda jest nam niezbędny jak powietrze, którym oddychamy, i woda, którą pijemy. Od niego pochodzi wszelka dobroć, wyrozumiałość, współczucie i mądrość. Gdyby nie wiara w Buddę, nigdy bym nie przetrwał tamtego trudnego okresu.

Opowiem panu historię. W pobliżu naszej świątyni mieszkała pewna uboga kobieta, pani Wang. Przez wiele lat po kryjomu mi pomagała. Ponieważ byłem kontrrewolucjonistą, nie mogła ze mną zamienić nawet słowa, kiedy ktoś patrzył. Gdy pracowałem w polu, przechodząc koło mnie, zatrzymywała się na chwilę, jakby chciała zawiązać sznurowadło i kilka razy stuknęła sierpem w ziemię, żeby zwrócić moją uwagę. Po jej odejściu biegłem tam, gdzie postukała sierpem w ziemię, i zabierałem chleb kukurydziany, który dla mnie zostawiała. To był styczeń 1960 roku, początek głodu w całym kraju. Wielu ludzi w naszej wiosce zmarło już z głodu. A ta kobieta ujmowała sobie ze skąpej racji żywnościowej, żeby podzielić się ze mną. Była reinkarnacją Bogini Miłosierdzia. Do dziś wspominam jej odwagę i dobroć i modłę się za jej duszę.

Do 1961 roku zmarła z głodu połowa ludzi napiętnowanych wcześniej jako „złe elementy”. Żeby zmniejszyć liczbę uprawnionych do pobierania racji żywnościowych, miejscowe władze odesłały mnie do mojej rodzinnej miejscowości w okręgu

Chongqing. Zamieszkałem z dalekim kuzynem i prowadziłem życie wieśniaka. W roku 1966, kiedy zaczęła się rewolucja kulturalna, zamiast wioskowej milicji zaczęły mnie nękać oddziały Czerwonej Gwardii. W dzień pracowałem na polach ryżowych, a wieczorami musiałem chodzić na publiczne sesje oskarżeń.

Liao: Jak więc udało się mistrzowi przetrwać te wszystkie kampanie polityczne?

DK: Budda mówi: „Jeśli ja nie pójde do piekła, to kto?”. Musiałem cierpieć, żeby odkupić winy z poprzedniego wcielenia. Inaczej to cierpienie spadłoby na kogoś innego. Tak dodawałem sobie sił do życia. W końcu po prostu pogodziłem się z ciężkim losem.

Najgorsze w tamtym okresie było to, że nauki Buddy zostały całkowicie zakazane. Nie wolno nam było się modlić. Czasami zamykałem oczy i po cichu śpiewałem modlitwę. Ale odkryli to moi sąsiedzi i doniesli władzom wioski. Skończyło się biciem za odmowę zmiany feudalistycznego, zabobonnego zachowania.

Liao: Wybitnemu mnichowi pewnie bardzo trudno jest żyć bez modlitwy i czytania ksiąg.

DK: Tak, było trudno. Ale w głębi serca nigdy nie przestałem wierzyć w łaskawość Buddy.

Przez jakiś czas myślałem, że już do końca życia pisane mi jest uprawianie ziemi i ukrywanie tego, że jestem mnichem. Ale po ponad siedemnastu latach los zaczął się odwracać. Pewnego dnia w 1978 roku odwiedził mnie znajomy z innych stron i powiedział, że nowi przywódcy w Pekinie złagodzili politykę religijną Partii. Ludziom wolno było znów otwarcie wyznawać buddyzm.

Początkowo nie do końca uwierzyłem jego słowom i chciałem się sam przekonać, jak jest naprawdę. Nie śmiałem komukolwiek mówić o tym, czego się dowiedziałem, bo miejscowe władze nadal ściśle trzymały się doktryny komunistycznej, mimo że Przewodniczący Mao od dwóch lat już nie żył. Gdyby mnie złapano, znów sprowadziłbym na siebie i swojego kuzyna kłopoty. Dlatego odczekałem jeszcze kilka dni. Pewnej nocy, kiedy cała wieś poszła spać, spakowałem się po cichu i ruszyłem w drogę. Na przemian biegnąc i idąc, pokonałem po ciemku około sześćdziesięciu kilometrów. Następnego dnia w południe dotarłem do Chengdu i poszedłem prosto do Świątyni Wenshu. Tam spotkałem się

z mniej więcej trzydziestoma mnichami, którzy też zdążyli wrócić. Było to dla nas bardzo wzruszające spotkanie.

Zostałem w Świątyni Wenshu przez ponad trzy lata. Witałem przybyszów i przewodziłem uroczystościom buddyjskim. Ponieważ dobrze odprawiałem rytuał „uwalniania duszy ze stanu bardo”, z czasem zdobyłem w okolicy dobrą opinię. W 1984 roku, chyba 15 lipca według kalendarza księżycowego, zaproszono mnie do pełnienia dalszej służby Buddzie w Świątyni Gu. Przywitało mnie ponad dziesięć tysięcy mieszkańców okolicznych wsi, wypełnili świątynię po brzegi. Bez przerwy zapalali sztuczne ognie, aż dym zasnuł świątynię jak gęsta mgła, która długo się utrzymuje, zanim się wreszcie rozwieje. Były dźwięki gongu i bicie dzwonów. Bardzo uroczyste to się odbyło.

Liao: Miał mistrz wtedy osiemdziesiąt cztery lata. Jak się mistrz poczuł, wdychając dym sztucznych ogni i widząc ten tłum?

DK: Czułem mieszaninę radości i smutku. Między rokiem 1949 a 1978 Chiny przeżyły najdłuższy w historii okres zadośćuczynienia za grzechy. Przez dwadzieścia dziewięć lat w chińskich świątyniach nie było mnichów.

Liao: Ale nawet w tamtych szalonych czasach rząd utrzymał Chińskie Stowarzyszenie Buddystów.

DK: To stowarzyszenie było atrapą. Wszyscy mnisi zostali zeświecczeni i podlegali kontroli szefa Partii w danej miejscowości. W naszej okolicy chłopcy wyrzucili mnichów z wielu mniejszych świątyń i sami w nich zamieszkali.

Uważałem za szczęście już samo to, że wciąż żyję. Nie miałem czasu na rozpamiętywanie przeszłości. Byłem już stary i słaby, jak płomień świecy drgający na wietrze. Zostałem świątynię w stanie ruiny, budynki były zdewastowane, ściany poburzone. Wszystko porastały chwasty. Nie dało się znaleźć ani jednego pomieszczenia, w którym dach by nie przeciekał. Wszędzie, gdzie spojrzełam, widziałem tragiczne skutki długoletniego zapuszczenia i szkód wyrządzonych przez człowieka.

W świątyni dołączyło do mnie około trzydziestu mnichów i świeckich wyznawców Buddy. Nie starczyło nawet łóżek dla wszystkich, wielu musiało spać na podłodze. Czasami pod kołdry zakradały się nam węże i szczury. Młodszy mnisi bardzo się

ich bali. A ja im często powtarzałem: „Szczurom też jest zimno. Wpuście je pod kołdrę, żeby i one mogły się ogrzać i przespać”. Szczury do dzisiaj wchodzą mi pod kołdrę, kilka przychodzi przytulić mi się do szyi. Są dla mnie jak dzieci. Raz pewien niedobry szczur schował mi gdzieś różaniec. Wtedy przemówiłem do niego tak, żeby go nastraszyć: „Ty mały szkodniku, po co ci różaniec? Nie możesz go zjeść. Oddaj mi go. Jeśli nie oddasz, to cię otruję”. Widocznie mnie usłyszał, bo niedługo potem różaniec pojawił się z powrotem przy moim łóżku.

Liao: Dużo mistrz zrobił dla odnowienia tej świątyni.

DK: Jest pan za młody, żeby pamiętać, jak wyglądała wcześniej. Daleko jej jeszcze do stanu wyjściowego. Czy był pan kiedyś w części górnej?

Liao: Tak, byłem.

DK: Dom Przyjęć jest odbudowywany z ruin. Kiedy minie pan niszczący Dom Płonących Świec, zobaczy pan las pagód. Tam pochowano całe pokolenia mnichów buddyjskich. W wysokiej pagodzie w środku znajdowało się ciało naszego wielkiego mistrza Wu Konga, pierwszego opata tej świątyni. Wielki Mistrz Wu Kong w bardzo młodym wieku rozczarował się świeckim światem i od zawsze chciał zostać mnichem. Kiedy książe Yan zdetronizował cesarza Jianwena, wielki mistrz podróżował po Indiach i Tybecie, pobierając nauki buddyjskie. W drodze powrotnej zatrzymał się w tej świątyni i doznał tutaj oświecenia. Ogolił głowę i został tu ordynowany. Wielki Mistrz Wu Kong bardzo dużo czytał i stał się sławnym buddyjskim mnichem i uczniem. Osiągnął nirwanę i zmarł podczas medytacji, siedząc w pozycji lotosu. Uczniowie umieścili jego ciało w poświęconej mu pagodzie. Mimo upływu pięciuset pięćdziesięciu lat ciało zachowało się w doskonałym stanie, nie nosiło żadnych śladów rozkładu. Było najcenniejszym buddyjskim skarbem w Świątyni Gu.

Liao: Stałem pod pagodą Wu Konga i zauważyłem, że jest teraz pusta. Znaki wyryte po obu stronach wejścia są ledwo widoczne.

DK: Te znaki przekazywały ekstatyczne uczucia wielkiego mistrza, kiedy doznał oświecenia i zrozumiał, że „wszystkie rzeczy tego świata są puste i ulotne jak chmury na wietrze”. Podczas reformy rolnej szef miejscowej milicji przyproceedził do świątyni

grupę uzbrojonych chłopów w imię „wykorzenia zabobonów”. Zaczęli od części górnej. Kiedy szef milicji stanął przed pagodą Wielkiego Mistrza Wu Konga, zaczął zachowywać się tak, jakby opętały go demony. Podniósł w górę karabin z bagnetem i krzyczał: „Zabić tego Buddę!”. Dźgnął bagnetem zachowane ciało Wielkiego Mistrza dwadzieścia czy trzydzieści razy. Wkrótce dołączyła do niego reszta tłumu. Kawałki ciała mistrza wały się po ziemi. Potem szef kazał swoim milicjantom z wiązać mniichów razem i przez kilka godzin prowadzić nas po ulicach. Po powrocie do świątyni zobaczyliśmy, że kawałki ciała mistrza już się rozpadły i złączyły z ziemią, zostały same kości. Kiedy dzwon wybił północ, wstrzymując łzy, poszedłem do lasu pagód. Cierpiałem, widząc kości Wielkiego Mistrza rozrzucone na ziemi. Po cichu je zebrałem i delikatnie ułożyłem w bambusowym koszyku. Znalazłem odpowiednie dla nich miejsce na belce w stropie Domu Guanyin. Za pomocą prowizorycznego dźwigu wciągnąłem koszyk na górę i umieściłem na belce. Myślałem, że tam będzie bezpieczny, ale się pomyliłem, jak miało się później okazać.

Podczas rewolucji kulturalnej czerwonoogwardziści z okolicznych szkół wydali wojnę tak zwanym czterem starociom: starym obyczajom, ideom, zwyczajom i kulturze. Plądrowali świątynie, palili i niszczyli wszystko, co się uchowało po poprzednich kampaniach, w tym także domy modlitwy.

Krótko wprowadzę pana w temat. Cesarz Yongle z dynastii Ming zlecił budowę pięciu domów modlitwy z dachami krytymi glazurowanymi dachówkami. Mimo że od tamtego czasu budynki były w stałym użyciu, zachowały się i przetrwały sześćdziesiąt lat pięćdziesiątych. Pewnego dnia w 1966 roku wymknąłem się z miejscowości, w której mieszkałem, i wspiąłem się na górę, żeby zobaczyć świątynię. Zanim dotarłem do głównego wejścia, usłyszałem głosy śpiewające rewolucyjne pieśni. Odniosłem wrażenie, że w środku jest dużo ludzi. Podszedłem bliżej i schowałem się za drzewem. Wszędzie było pełno czerwonych flag, na których wyszyte były dużymi znakami napisy „bojownicy rewolucji”. Na dachu Domu Daxiong stała duża grupa młodych ludzi i śpiewając, zrywała i rzucała na ziemię dachówki. Stałem

jak ogłuszony. Kiedy ogołocili dach z dachówek, zaczęli wybijać w nim dziurę. Wnętrze zdobiło osiem kolumn ozdobionych wyrytymi na nich wierszami i rysunkami znanych artystów i kaligrafów. Czerwonogwardziści obwiązali kolumny grubymi linami i razem ciągnęli dopóty, dopóki kolumny się nie zawałyły. Odszedłem, bo nie mogłem na to patrzeć. Serce mi pękało.

Później dowiedziałem się, że pozostałe pięć domów modlitwy zdewastowali równie barbarzyńskimi metodami. Kiedy budynki się waliły, podobno drgania ziemi odczuwane były nawet bardzo daleko, tak jakby okolicę nawiedziło trzęsienie ziemi. Jak powiada starożytne przysłowie: „Jajka się nie uchowają, kiedy niszczy gniazdo”. Mówiłem wcześniej, że włożyłem kości Wielkiego Mistrza Wu Konga do koszyka, a koszyk ukryłem na belce pod sufitem Domu Guanyin. Kiedy ten dom modlitwy został zburzony, koszyk zniknął. Nikt nie wie, co się stało ze skarbem, który mieścił.

Przez tych młodych zelotów cała górna część świątyni jest dziś ruiną. Tych domów nie da się odbudować. Nie dość na tym, że zniszczyli domy modlitwy; spalili jeszcze setki edyktów cesarskich z różnych dynastii. Zniszczyli obrazy słynnych artystów i rzadkie edycje ksiąg. Rozbili setki posągów Buddy.

Liao: Innymi słowy, większość budynków, które można teraz zobaczyć, została odbudowana w ostatnich latach?

DK: Od roku 1984 wielu pobożnych buddystów zaczęło ofiarowywać świątyni pieniądze i ręce do pracy. Pomału udało nam się zbudować nowe domy modlitwy i wyrzeźbić nowe posągi Buddy. Zaczyna to wreszcie przypominać świątynię. Ale powiem panu, że aby doprowadzić ją choć w połowie do stanu byłej świetności, potrzebne będzie co najmniej dwadzieścia milionów juanów [dwa miliony czterysta tysięcy dolarów]. Zna pan to powiedzenie: „Ogień bucha wysoko, kiedy każdy dołoży do niego szczapę”. Wmurowaliśmy w ścianie tablicę, na której wykuwamy nazwiska wszystkich tych, którzy złożyli ofiarę w wysokości co najmniej stu juanów [dwanaście dolarów]. Jest na niej kilka tysięcy nazwisk. Pewien prywatny przedsiębiorca ofiarował niedawno trzydzieści tysięcy juanów [trzy i pół tysiąca dolarów] na konkretny cel, jakim jest ustawienie jadeitowego posągu Buddy w nowo

odbudowanym Domu Przyjęć. Mamy też dochody ze sprzedaży kadzidła i świec, a także z prowadzonej herbaciarni.

Liao: Czy mnisi muszą płacić podatki?

DK: Nie mielibyśmy nic przeciwko temu, żeby płacić zwykłe, państwowe podatki. Ale w dzisiejszych czasach upadku wartości moralnych, skorumpowani urzędnicy, i wysokiego, i niskiego szczebla, sami wymyślają, jakby tu wydoić instytucję, którą uważają za tłustą krowę. Administracyjnie nasza świątynia podlega Urzędowi do spraw Religii, jednostce Departamentu Pracy Frontu Jedności. Tamtejsi urzędnicy zawsze tylko patrzą, jakby tu napchać sobie kieszenie. Gdybyśmy nie dawali im pieniędzy jako „służbie ludu”, zaczęliby nam grozić albo wysiedleniem mnichów ze świątyni, albo sprzedażą części świątyni prywatnemu deweloperowi. Jak pan może wie, wiele małych świątyń w okolicy, które stawały im opór, sprzedano prywatnym inwestorom.

Liao: Jest mistrz znanym w tej społeczności autorytetem religijnym.

Mają śmiałość tak mistrza traktować?

DK: Urzędnicy komunistyczni mają czelność zrobić dosłownie wszystko. Chce pan usłyszeć, co mogę o tym powiedzieć? Samochód, którym jeździ dyrektor Departamentu Pracy Frontu Jedności, został kupiony za pieniądze mnichów. Każdej świątyni kazał zapłacić co najmniej pięć tysięcy juanów [sześćset dwadzieścia pięć dolarów], żeby mógł sobie kupić luksusowy model. Inny przykład. Pewnego razu przyszedł tutaj szef Urzędu do spraw Religii w naszym okręgu. Zaprosiłem go na herbatę do swojej celi. Zatrzasnął za sobą drzwi, walnął pięścią w stół i zaczął mi wymachiwać palcem przed nosem: „Jesteście głusi na moją prośbę. Przecież kazałem waszej świątyni wpłacić dziesięć tysięcy juanów [tysiąc dwieście pięćdziesiąt dolarów] na fundusz naprawy dróg”. Ja wiedziałem doskonale, że rząd centralny rozdzielił już środki na budowę dróg, ale miejscowi urzędnicy zdefraudowali dużą ich część. Chcieli, żeby powstała dziurę zatkali mnisi.

Liao: Mógł mistrz to zgłosić rządowi albo pozwać tego urzędnika.

DK: Mnisi uważają wyrozumiałość za cnotę. Powiedziałem temu urzędnikowi: „My, mnisi, żyjemy z datków. Mamy tylko tyle, ile z dobroci serca ofiarują nam wyznawcy Buddy. Zapłacimy panu,

kiedy tylko zbieramy sumę, jakiej pan żąda”. On odpowiedział niecierpliwie: „Kiedy? Potrzebny mi konkretny termin”. Na to odrzekłem spokojnie: „Jeżeli uda nam się zebrać tę sumę jutro, dam ją panu jutro. Jeżeli zgromadzimy ją w nieokreślonej przyszłości, zapłacimy panu w nieokreślonej przyszłości”. Kiedy to usłyszał, wpadł w furję i zaczął mnie wulgarnie przeklinać. Kłął tak głośno, że usłyszeli go wierni w świątyni. Kilku przybiegło i w końcu zmusiło go do wyjścia. Korupcja to grzech, ale Budda jest łaskawy.

Kilka miesięcy temu pojawiło się tu, w świątyni, kilku urzędników i rozstawiło stoliki do madzonga. Cały dzień grali w tę grę. Niektórzy przegrali pieniądze. Przyszli do mnie i poprosili o pożyczkę. „Pożyczyłem” im pewną sumę. Wie pan doskonale, że nigdy mi jej nie zwrócą. Poza tym strasznie tu naśmiecili, porzucali na podłogę resztki jedzenia i niedopałki papierosów. Zanim poszli, weszli do domu modlitwy, złożyli ręce na wysokości piersi, uklękli przed posągiem Buddy i zaczęli powtarzać *Namo Amitabha Budda*. No i co z takimi zrobić? Teraz wszystkimi świątyniami buddyjskimi i taoistycznymi, a także meczetami i kościołami chrześcijańskimi, zarządza Urząd do spraw Religii. Ci urzędnicy mają wielką władzę, mogą każdego zniszczyć, jeśli przyjdzie im taki kaprys. Szef Urzędu do spraw Religii bezwstydnie nazywa się ojcem wszystkich bogów. Opisując władzę rządu nad religią, wielu ludzi używa wyrażenia „przykrywać niebo dłonią”.

Liao: To absurdalne.

DK: W całej historii starożytnej, niezależnie od tego, jak nieudolni byli cesarze, jakie zepsucie i upadek obyczajów panowały na dworach cesarskich, nigdy nie słyszało się o tym, żeby urzędnicy szantażowali i nękali mnichów.

Liao: Ja też nigdy wcześniej o czymś takim nie słyszałem.

DK: Zważywszy na poziom korupcji, nie wiem, kiedy uda mi się zebrać sumę potrzebną na odnowienie świątyni. Muszę się zdać na bieg wydarzeń.

Liao: Ale mistrzu, już wykonał mistrz ogromną pracę, przywracając świątyni niegdysiejszą świetność. W całej okolicy jest mistrz uważany za buddyjski skarb.

DK: To przesada. Czy widział pan nowo odrestaurowane skryptorium?

Liao: Widziałem, z zewnątrz. Białe ściany i czarne glazurowane dachówki budynku nawiązujące do prostoty stylu architektonicznego dynastii Tang [618–907 n.e.]. Słyszałem, że nazwa budynku, wyryta na frontonie, to dar Yu Yurena, znanego polityka rządu nacjonalistycznego. Jego charakter pisma jest znacznie piękniejszy od pisma cesarza Zhu Yuanzhang z dynastii Ming i cesarza Kang Xi z dynastii Qing, którzy też zostawili w świątyni próbki pisma.

DK: Pan Yu Yuren wspiął się na górę Qingcheng w 1944 roku. Posłyszał, jak kilku mnichów rozmawia o encyklopedii buddyjskiej. Ta księga, wydana w 1372 roku, to zbiór słynnych pism buddyjskich liczący siedem tysięcy tomów. Wydanie jej zajęło trzydzieści jeden lat. W przygotowywaniu, ręcznym drukowaniu i oprawianiu księgi brało udział kilkuset uczonych i rzemieślników. Cesarz Zhu Yuanzhang złożył zamówienie na dwa komplety, z których każdy ostatecznie ważył ponad trzy tony. Jeden komplet spłonął w pożarze. Drugi przechowywany był tutaj, w Świątyni Gu. Ta encyklopedia buddyjska i zachowane ciało Wielkiego Mistrza Wu Konga były najjaśniejszymi klejnotami w skarbcu naszej świątyni. Przyjeżdżali oglądać je wierni i uczeni z całego kraju. Legendy towarzyszące powstaniu tej cennej księgi bardzo zaciekały pana Yu. Przyszedł do świątyni i kilka dni spędził na studiowaniu księgi. Kiedy ówczesny opat, mój poprzednik, poprosił go o napisanie kilku znaków, wziął do ręki pędzelek i jednym zamaszystym ruchem napisał „skryptorium”. Wykaligrafowany przez niego znak, podobny do lecącego smoka, został później wyryty na frontowej ścianie skryptorium.

Liao: Czy mistrz się zgodzi, żebym tam poszedł i obejrzał księgę?

DK: Już jej tu nie ma.

Liao: Zniszczyli ją czerwonogwardziści?

DK: *Amitabha*. Nie. Latem 1951 roku szefem okręgu Chiongqing został mianowany intelektualista Yao Tixin. Dowiedział się o tej księdze z kroniki okręgowej. Niedługo po tym, jak objął urząd, odwiedził naszą świątynię i udał się do skryptorium, żeby z bliska zobaczyć ten skarb. Była to mniej więcej połowa czasów reformy

rolnej. Wielu mnichów zostało zesłanych na wieś, ja byłem ciągnany po publicznych sesjach jako wróg klasowy. Kiedy pan Yao wyszedł ze skryptorium, nakazał swoim podwładnym: „Ponieważ opat został uznany za wroga ludu, świątynia nie ma obecnie możliwości odpowiedniej ochrony tego cennego unikat. Budynek zostanie zaplombowany”. Następnie poprosił ekspertów z Chengdu o opinię w kwestii autentyczności ksiąg. Kiedy autentyczność została potwierdzona, kazał spakować tomy w pudła i zatrudnił ponad stu tragarzy, żeby znieśli je z góry na drągach – łącznie trzy tony – do Biblioteki Prowincji Syczuan w Chengdu. W jej zbiorach jest przechowywana od pięćdziesięciu lat.

Liao: Chwała niech będzie Buddzie, że nad księgą ktoś czuwał. Inaczej nie uniknęłaby zniszczenia przez Czerwoną Gwardię.

DK: Szef okręgu Yao musiał być wcieleniem buddyjskiego strażnika. Inni urzędnicy nie byli tak dalekowzroczni jak on.

Liao: W jaki sposób mnichom udało się uchronić księgę od zniszczenia przez ostatnie kilkaset lat?

DK: Raz w roku wszyscy mnisi z naszej świątyni zbierali się i wynosili tomy na słońce. Metoda, którą stosowaliśmy, była dość prymitywna. Nie wolno nam było dotykać stronik rękami. Cienkimi listewkami bambusowymi przewracaliśmy strony księgi, kartka po kartce, żeby ulotniła się wilgoć. Później wkładaliśmy liście tytoniu do każdej księgi, żeby chronić je przed insektami. Co roku przywożono nam kilkaset kilogramów liści tytoniu. Wietrzenie księgi to była coroczna tradycja, przekazywana z pokolenia na pokolenie.

Liao: Czy teraz, kiedy powoli wraca normalność i nie ma już kampanii politycznych, zamierza mistrz przenieść księgę z powrotem do świątyni?

DK: Kiedyś księga była klejnotem naszej świątyni. Teraz jest skarbem narodowym. Na przeniesienie księgi musi wydać zgodę Rada Państwowa.

Liao: Czy wolno ją oglądać?

DK: Są liczne obostrzenia i ja na przykład nie miałem jeszcze szczęścia jej odwiedzić. Ale, jak się okazało, ten rygorystyczny system dostępu można złamać. Pewien mnich z okręgu Peng przekupił kustosza: dał mu dwanaście tysięcy juanów [tysiąc

pięćset dolarów] łapówki. Sporządził piracką kopię jednego z tomów i sprzedał za granicą. Słyszałem, że zarobił na tym majątek. Zebrałem kilku opatów z regionu i zwróciłem się do władz prowincji z prośbą o przyznanie naszej świątyni praw autorskich do książki. Nikt nas nie wysłuchał.

Liao: Nie sądzę, żeby pracownicy Biblioteki Prowincji Syczuan co roku wietrzyli książkę czy wkładali do każdego tomu liście tytoniu. Ciekaw jestem, co się z tą książką stanie.

DK: Wszystko ma swój z góry wyznaczony los. Musimy pozwolić, żeby stało się to, co ma się stać. Ale mówi pan jak człowiek o umyśle prawdziwego intelektualisty. Pozwoli pan, że dam panu w prezencie zdjęcie. To zdjęcie ciała Wielkiego Mistrza Wu Konga. Buddyjskie imię fotografika, który jest autorem zdjęcia, brzmiało Xu Kong. Mieszkał w miejscowości Gu u podnóża tej góry. W latach czterdziestych jako pierwszy w okolicy kupił aparat fotograficzny z lampą magnezjową. Przyszedł z nim do świątyni i sfotografował ciało Wielkiego Mistrza Wu Konga. Potem sprzedał zdjęcie gazecie i wzbudziło ono wielkie zainteresowanie. A w końcu posługiwał się nim jako paszportem, jeżdżąc do Tybetu, ponieważ Tybetańczycy to pobożni buddyści, którzy darzą ogromną czcią Wielkiego Mistrza Wu Konga. Kiedy strażnicy na granicy Tybetu zobaczyli zdjęcie, upadli na twarz na znak szacunku. Ale nie domyśliłby się pan, do czego Xu Kong wykorzystał swój szczególny status człowieka, który może się swobodnie poruszać między Tybetem a Syczuanem: do tego, żeby przemycać opium. Nigdy nie został złapany na gorącym uczynku. Podczas rewolucji kulturalnej był prześladowany za więzi z naszą świątynią. Ludzie donieśli też władzom, że szmugluje opium. Czerwonogwardziści poddali go torturom i zamknęli na kilka lat w pojedynczej celi. Ale nigdy się nie przyznał, że to on wykonał zdjęcie ciała Wielkiego Mistrza Wu Konga. Dzień przed śmiercią przysłał po mnie krewnych. Nazajutrz udałem się, by go odwiedzić. Kiedy wszedłem, otworzył szeroko oczy i zaczęło brakować mu tchu. Wziąłem go za rękę. Jedna była zaciśnięta w pięść. Patrząc na mnie, szepnął „Wu Kong, Wu Kong”. Łzy popłynęły mu po policzkach. Potem rozwarł pięść i podał mi maleńki negatyw zawinięty w kilka

warstw serwetek papierowych i waty. Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, zmarł.

To zdjęcie ma już sześćdziesiąt lat. Niech pan popatrzy, jak doskonale zachowane jest ciało Wielkiego Mistrza Wu Konga. Twarz ma pełną dobroci i spokoju, płatki uszu długie i ciężkie. Wygląda cudownie.

Liao: Mistrz ma w zanadrzu wiele niewiarygodnych opowieści. Zmieniając temat, w sali modlitewnej dostrzegłem portret Deng Xiaopinga. Nie jest buddystą, dlaczego więc jego portret znalazł się w świątyni?

DK: Gdyby nie Deng Xiaoping, tej świątyni by nie było. To on odwołał fanatyczne zarządzenia Mao pod koniec lat siedemdziesiątych, otworzył Chiny na świat i złagodził kontrolę rządu nad religią.

Liao: Przez ostatnie sto lat przeżył mistrz wiele wzniosłych i strasznych chwil. Nie może mistrz przypisać wszystkich swoich cierpień karmie i odkupieniu grzechów z poprzednich wcieleń, prawda?

DK: Żyję już ponad sto lat. Powoli zbliżam się do nowego wcielenia. Buddyści muszą powściągać niezadowolenie, gniew i skargi. Przez ostatnie dziesięciolecie starałem się stosować do tych zasad i nie rozpamiętywać przeszłości. Ostatnio wielu wieśniaków, którzy mnie torturowali, przychodzi do mnie po pomoc, ponieważ są ubodzy i nie stać ich na to, żeby posłać wnuki do szkoły. Dają im pieniądze, o które proszą. Te pieniądze nie są przecież moją własnością. Ofiarują je wyznawcy Buddy. Gdybym odmówił tym ludziom wsparcia, popełniłbym grzech. Pamiętam bardzo dobrze, co mi robili w przeszłości, ale nie chowam do nich urazy. Kiedy ktoś obwinia i nienawidzi innych, musi ponieść za to karę.

Pamięta pan tego szefa milicji, który wiele lat temu zbeczczył zachowane od wieków ciało Wielkiego Mistrza Wu Konga? Był pełen gniewu i nienawiści. Kilka lat potem ktoś mi powiedział, że ten człowiek znalazł u siebie guz w pachwinie. Jeździł w poszukiwaniu lekarstwa, gdzie tylko się dało, ale nikt nie umiał mu pomóc. W końcu jego dolna połowa ciała zaczęła się rozkładać i śmierdzieć. Zmarł straszną śmiercią. Kiedy go zabrakło, jego żona i dzieci zmarły z głodu w latach sześćdziesiątych. To bardzo smutne. Ale jak pan to wytłumaczy?

Kompozytor

O kompozytorze nazywającym się Wang Xilin usłyszałem po raz pierwszy w 2001 roku, kiedy byłem w Pekinie na przyjęciu z okazji premiery książki. Nazwisko Wanga padło w rozmowie, ponieważ Rada Miasta Pekinu właśnie odwołała serię jego koncertów. Liang Heping, z którym zawarłem znajomość na tym przyjęciu, znał kompozytora od wielu lat. Oto, czego się od niego dowiedziałem.

W 1997 roku Wydział Kultury Rady Miasta Pekinu podpisał z Wang Xilinem umowę, w której zobowiązał się do zgromadzenia funduszy i zorganizowania w 2000 roku serii koncertów prezentujących jego muzykę symfoniczną. Przygotowania szły zgodnie z planem. Koncert inauguracyjny w Pekinie miał uświetnić pewien znany skrzypek ze Szwecji.

Około godziny dziewiątej rano 24 listopada 2000 roku miała się rozpocząć próba. Dyrygent Tan Lihua z grzeczności poprosił Wanga o powiedzenie kilku słów do orkiestry. Ubrany elegancko Wang wszedł na scenę i oświadczył donośnym głosem: „Nareszcie mamy za sobą dwudziesty wiek. Przez ostatnie sto lat wydarzyło się wiele niezapomnianych rzeczy, takich jak dwie wojny światowe i niezliczone innowacje w nauce i technologii. Uważam jednak, że największym wydarzeniem dwudziestego wieku jest to, że ludzkość ogromnym kosztem wdrażała komunizm, a później go bohatersko obaliła”. Po słowach Wanga zapadło całkowite milczenie, ale on był tak zamyślony, że nawet nie zauważył, jaki szok wywołał. Ukłonił się uprzejmie i zszedł ze sceny.

Tydzień później niespodziewanie dostał zawiadomienie od władz Pekinu, że jego koncerty zostały odwołane. Wtedy dopiero zrozumiał przykre skutki swojego niewyparzonego języka. Wpadł do domu Lianga, tupał nogami i powiedział z żalem: „Cholera, mogłem dodać do tamtej wypowiedzi słowa «wszędzie z wyjątkiem Chin»...”.

W Chiński Nowy Rok 2004 miałem okazję wysłuchać w domu Lianga Czwartej Symfonii Wang Xilina, zatytułowanej *Smutki wieku*. Trzy lata wcześniej jej wykonywanie zostało zakazane. Liang puszczał także nagrania Wanga śpiewającego chińskie pieśni ludowe i wygłaszającego improwizowane przemowy. Słuchając tych taśm, poczułem silne pragnienie, by poznać tego człowieka legendę.

Dzięki pośrednictwu Lianga poznałem Wang Xilina pod koniec stycznia. Sześćdziesięciosiedmioletni Wang był dość niestabilny emocjonalnie. Na sześciu spotkaniach, podczas których przeprowadzałem z nim wywiad, potrafił w jednej chwili płakać, a zaraz potem grać na skrzypcach dawne melodie. Mówił, że te melodie pomagają mu wydobywać z pamięci wyblakłe wspomnienia.

Wang Xilin: Pamiętam taki stary radziecki film. Zapomniałem, jaki miał tytuł. Nakręcono go podczas odwilży po śmierci Józefa Stalina. W tym filmie dzieciak pytał ojca, który za czasów stalinowskich pracował jako strażnik w obozie: „Czy kiedy pracowałeś w gułagu, strzeliłeś kiedykolwiek więźniowi w plecy?”. Ojciec nie odpowiadał, ale dzieciak nie dawał za wygraną. W końcu ojciec nie mógł dłużej znieść poczucia winy i popełnił samobójstwo, skacząc z okna bloku. Ta scena utkwiała mi w pamięci na wiele lat. Kojarzy mi się z tym, co działo się w Chinach za rządów Przewodniczącego Mao. Dzisiaj, kiedy patrzę na ludzi na ulicy, myślę sobie czasem, czy oni dopuszczali się prześladowań, tortur? Czy kiedykolwiek zdradzili przyjaciół albo deptali innych, robiąc karierę polityczną? Ilu rodziców nęka dziś pamięć o splamionych krwią rękach?

Liao Yiwu: Jak ocenia pan swoją przeszłość? Możemy zacząć od początku?

Wang: Wstąpiłem do armii komunistycznej w 1949 roku, kiedy miałem zaledwie dwanaście lat. Dorastałem w wielkiej rewolucyjnej rodzinie, jaką było wojsko. Dorośli żołnierze dosłownie mnie wychowali. Ze względu na mój młody wiek dowódca przydzielił mnie do grupy muzyków wojskowych, którzy nauczyli mnie grać na najróżniejszych instrumentach. Naszym zadaniem było dostarczanie rozrywki wojskom stacjonującym na północnym zachodzie. Szybko się uczyłem i po niedługim czasie wyrobiłem sobie nazwisko. Partia zobaczyła we mnie potencjał i wysłała do szkoły muzycznej prowadzonej przez Centralną Komisję Wojskową. W 1957 roku podjąłem studia w Akademii Muzycznej w Szanghaju.

Liao: Gładko to poszło.

Wang: Miałem wielkie szczęście. Moje życie w cywilu zaczęło się, kiedy poszedłem na studia. Ale wciąż chodziłem w mundurze i dość aktywnie uczestniczyłem w ogłoszonej właśnie kampanii przeciwko prawicowcom. Wkrótce zostałem wybrany przewodniczącym związku studentów i młodzieżówki komunistycznej. Gardziłem tymi studentami, których interesowało głównie studiowanie muzyki, szczególnie zachodniej. Jako zagorzałego rewolucjonistę uczelnia interesowała mnie mniej niż kampanie polityczne i praca fizyczna. Często wagarowałem i zgłaszałem się na ochotnika do pracy na polach ryżowych czy przy kopaniu kanałów w którejs z pobliskich komun. W roku 1958, podczas Wielkiego Skoku Naprzód, na środku uniwersyteckiego boiska wybudowaliśmy wielki piec i usiłowaliśmy produkować żelazo, żeby wesprzeć ogólnonarodową kampanię uprzemysłowienia kraju. To było kompletne szaleństwo.

Przez pierwsze trzy lata studiów nie nauczyłem się zbyt wiele o muzyce. Coś zaczęło się zmieniać dopiero w roku 1960. Wielki Skok Naprzód okazał się wielką katastrofą. Partia musiała zmienić politykę, a radykalne idee Mao trzeba było odłożyć na później. Na uczelnię wróciła normalność.

Liao: Skoro opuścił pan tak wiele zajęć, to jak się pan w niej odnalazł?

Wang: To przypominało budzenie się z dziwnego snu. Rozejrzałem się i zobaczyłem, że niektórzy moi koledzy z roku,

ci, których nazywałem „burżuazyjnymi muzykami”, przyciągnęli uwagę Partii. Tacy muzycy, jak na przykład pianista Yin Chengzhong, stali się gwiazdami i patriotami, kiedy zdobywali nagrody w konkursach międzynarodowych. Koledzy zaczęli patrzeć na mnie z góry, traktować jak ćwoka ze wsi, który chce zrobić dyplom z pracy w polu.

W tym samym czasie moja rodzina popadła w kłopoty z powodów politycznych. Mój brat, lekarz, postradał zmysły i zmarł podczas głodu. Mojej siostrze, byłej urzędniczce państwowej w mieście Lanzhou na północnym zachodzie, przyklejono etykietę pravicowca. Odwołała się od wyroku, ale władze prowincji zdegradowały ją jeszcze bardziej, piętnując jako kontrrewolucjonistkę. Było to bardzo przygnębiające. Postanowiłem trzymać się z dala od polityki i skoncentrować się na nauce jakichś praktycznych umiejętności. Zacząłem na poważnie interesować się kompozycją. Na ostatnim roku trafiłem na profesora, który wrócił właśnie ze Związku Radzieckiego. Pod jego kierunkiem zrobiłem szybkie postępy w zakresie kompozycji muzyki zachodniej i zostałem jego najlepszym studentem.

Liao: Słyszałem, że jeszcze jako student skomponował pan znany dziś kwartet.

Wang: Mój profesor uczył gry na fortepianie, kompozycja nie była jego specjalnością. Wszystkiego nauczyłem się więc z książek. Przeczytałem ponad trzydzieści książek o kwartetach i zrobiłem staranne notatki. Latem 1961 roku dosłownie zamieszkałem w studiu nagrań, męczyłem się czterdzieści dni, ale wreszcie skończyłem dwudziestopięciominutowy kwartet smyczkowy w trzech częściach. Pokazałem swój utwór Ding Shande, dziekanowi naszej akademii. Bardzo spodobał się jego córce, która prowadziła własny żeński kwartet smyczkowy. Nagrała ze swoim zespołem ten utwór i potem stał się on dość popularny.

Liao: Pańska praca się opłaciła.

Wang: Zdziwił mnie ten sukces, który osiągnąłem bez niczyjej pomocy. Po raz pierwszy w życiu poczułem, że odkryłem swoje powołanie. Kiedy skończyłem studia, zostałem skierowany do Chińskiej Centralnej Orkiestry Radiowej, która specjalizowała się w muzyce ludowej. Byłem załamany, bo moją pasją było

komponowanie symfonii. Powiedziałem więc władzom uczelni, że nie nadaję się do tej pracy, ponieważ prawie wcale się nie znam na chińskiej muzyce ludowej. Najpierw mnie zignorowali. Ale zostałem w domu gościnnym uczelni i codziennie męczyłem sekretarza Partii swoją sprawą. W końcu nie mogli już tego znieść i przenieśli mnie do orkiestry symfonicznej.

Liao: Jak to możliwe, że udało się panu postawić się władzy?

Wang: Byłem młody i niczego się nie bałem. Ale to był jedyny raz, kiedy mi się poszczęściło. Kiedy zacząłem pracę w orkiestrze symfonicznej, natychmiast zabrałem się do komponowania pierwszej w życiu symfonii. Zwróciłem się z prośbą o fortepian. Szefowie orkiestry uznali, że jestem nadmiernie ambitny i bezczelny. Odmówili. Pewnego dnia znalazłem stary fortepian w kącie jakiegoś magazynu. Nie namyślając się długo, zwołałem kilku kolegów i poprosiłem, żeby pomogli mi zanieść ten fortepian do mojego pokoju. Kiedy nieśliśmy to wielkie draństwo, zatrzymał mnie administrator i kazał odnieść fortepian do magazynu. Odniosłem, ale on i tak złożył na mnie donos u dyrektora. Dostałem straszną naganę. Dyrektor zarzucił mi zbyt wybujały indywidualizm. Wysłał mnie na wieś i kazał za karę przez miesiąc pracować w polu.

Jesienią 1962 roku Przewodniczący Mao ogłosił kolejny ruch polityczny – kampanię wychowania socjalistycznego. Według Mao jej celem było zachęcenie przywódców komunistycznych, żeby zeszli ze swoich biurokratycznych wież i „wzięli kąpiel”, żeby się oczyścić. Kampanię wdrożono najpierw na próbę w agencjach bezpośrednio podległych rządowi centralnemu. Jesienią 1963 roku zwołano zebranie naszej orkiestry, zachęcając jej członków do lania „gorącej wody”, żeby „wykąpać” przywódców.

Liao: Czy Mao nie zrobił czegoś podobnego w 1957 roku, kiedy to zachęcał intelektualistów do krytykowania Partii? Nazwał swoją taktykę „wywabianiem węży z nor”. Kiedy ludzie łapali się na jego przynętę, dostawali po głowie.

Wang: Wiem. Większość moich kolegów podeszła do tej kampanii ostrożnie. Na pierwszym zebraniu kobiety ostentacyjnie robiły na drutach, a mężczyźni po prostu siedzieli ze spuszczoneymi głowami i nic nie mówili. Tylko ja byłem narwanym

idiotą, który czuł, że musi wstać i zafundować szefom orkiestry „gorącą kąpiel”.

Najpierw zakwestionowałem politykę Partii w dziedzinie muzyki. Partia apelowała do kompozytorów o tworzenie muzyki rewolucyjnej, o włączanie do utworów co bardziej popularnych chińskich piosenek ludowych i etnicznych, a także o pisanie symfonii, które łatwo dawałyby się adaptować na audycje radiowe. Powiedziałem, że obecna polityka jest ograniczająca, krótkowzroczna i szkodliwa dla rozwoju muzyki symfonicznej w Chinach.

Następnie skrytykowałem niesprawiedliwe traktowanie muzyków, którzy wrócili z zagranicy. Posłużyłem się przykładem Lin Kechanga, znanego skrzypka i dyrygenta. Wychował się w Indonezji i skończył uniwersytet muzyczny w Paryżu. Kiedy pan Lin dołączył do naszej orkiestry, jego bezpośrednim szefem został zastępca dyrektora, który kompletnie nie znał się na muzyce. Pan Lin był nieszcześliwy. Powiedziałem: „To śmieszne, żeby funkcjonariusze polityczni odpowiadali za utwory i pracę muzyków”.

Mówiłem tak i mówiłem przez ponad dwie godziny. Byłem dość dyplomatyczny i uważnie doбираłem słowa. Ale mniej więcej po pół godzinie mnie poniosło. Mój umysł całkiem stracił kontrolę i krytyka stała się ostrzejsza. Widziałem, że podczas mojej przemowy zastępca dyrektora i kilku innych pilnie robili notatki.

Liao: Założę się, że zbierali dowody przeciwko panu.

Wang: Tak jest.

Liao: Jak Partia zareagowała na pana wystąpienie?

Wang: Minęło kilka dni i nic się nie zdarzyło. Potem zaczęła krążyć plotka, że jestem przywódcą kontrrewolucyjnej kliky w orkiestrze. Starłem się wyciągnąć od kolegów coś więcej, ale unikali mnie jak zarazy. Zhang Haibo, nasz pierwszy flecista, jako jedyny jeszcze chciał ze mną rozmawiać. Pewnego wieczoru spotkaliśmy się potajemnie w restauracji i miałem okazję wyładować swoją frustrację i strach w związku z tą plotką. On bardzo mi współczuł i kazał uważać.

Przez kolejny miesiąc byłem jak orzeł zamknięty w klatce przykrytej czarną płachtą, czułem się jak w pułapce, byłem na skraju wytrzymałości i nie miałem pojęcia, co się dzieje. Wreszcie

w piątym tygodniu władze Partii uznały, że torturowały mnie milczeniem już dostatecznie długo. Dostałem pisemne wezwanie do dyrektora. Kiedy wszedłem do jego gabinetu, popatrzył na mnie zza biurka. Wyprowadziło mnie z równowagi to jego nieruchome spojrzenie. Westchnął jak ojciec, który ma złać niesforne go syna. Dyrektor wstąpił do Partii Komunistycznej w latach czterdziestych. Był zaprawionym w bojach rewolucjonistą. Odniosłem wrażenie, że chce ocalić moją głowę.

Westchnął jeszcze raz i powiedział cicho: „Towarzyszu Wang Xilinie, wiecie, że wasza przemowa była poważnym błędem politycznym? Dlaczego nie skonsultowaliście jej ze mną przed zebraniem? Jako wasz przełożony, mógłbym wam wskazać, co powiedzieć, a czego lepiej nie mówić. Teraz jest za późno. Wasza mowa została uznana za bezpośredni atak na naszą Partię”.

Te słowa mnie wystraszyły. Rozplakałem się. Dyrektor ciągnął: „Zeszliście ze ścieżki rewolucji i dążyliście do burżuazyjnego celu, jakim jest komponowanie muzyki dla zdobycia sławy. Jesteście aroganccy jak kogut, nie obchodzą was ani reguły, ani krytyka ludu. Bez pozwolenia wynieśliście fortepian z magazynu i stworzyliście groźny precedens. Mimo reedukacji poprzez pracę fizyczną wcale się nie zmieniliście. Nie ma dla was nadziei”.

Kilka razy chciałem się bronić, ale dyrektor machnął ręką, żebym się nie odzywał. Kiedy skończył, podał mi gałązkę oliwną: „Mimo że poszliście w złą stronę i poważnie zraniliście rewolucyjne uczucia ludu, Partia przyjmie was z powrotem na swoje łono, ale pod jednym warunkiem: musicie otwarcie wyznać swoje błędy. Towarzyszu Wang Xilinie, Partia wychowała was w wojsku i wysłała na studia, żebyście uczyli się muzyki. Wiecie, że utrzymanie i wyżywienie studenta wyższej uczelni kosztuje pięć lat pracy trzech tysięcy chłopów? Jak możecie robić coś takiego Partii i ludowi, który was wykarmił?”

Byłem w zupełnym szoku. Dyrektor mówił do mnie ponad godzinę. Na koniec poradził mi, żebym zastanowił się nad przyczynami swoich błędów i błagał lud i Partię o wybaczenie.

Wzruszyła mnie jego chęć podania mi pomocnej dłoni. Wiedziałem, jak Partia potrafi karać, w 1957 roku, kiedy rozprawiała się z prawicowcami. Nie chciałem podzielić ich losu. Dlatego

obiecałem, płacząc i pociągając nosem, że przeprowadzę poważną analizę swojego zachowania.

Przez następne kilka dni pisałem dzień i noc bez przerwy. Pracowałem dziesięć razy intensywniej niż podczas komponowania muzyki. Wielokrotnie się potępiałem. Przeklinałem się najostrzejszymi słowami, jakie udało mi się przypomnieć. Nazywałem się śmierdzącym zbukiem. Wymieniając swoje błędy, sięgałem po wszystkie znane mi wyrażenia z żargonu politycznego, na przykład „indywidualistyczny, burżuazyjny, prawicowy oportunistą”. Autentycznie wierzyłem, że zasłużyłem na to, żeby sto razy dostać w twarz i żeby wylano mi na głowę sto wiader gówna. Jak wielu intelektualistów w tamtych czasach, podlizywałem się Partii, licząc, że dzięki temu mnie oszczędzi. Kiedy skończyłem pisać, raport miał objętość cienkiej książki.

Liao: Mój ojciec też zrobił kiedyś coś takiego. Podczas rewolucji kulturalnej sporządził listę ponad stu czynów, które, jak twierdził, były jego wykroczeniami. Dorastał w rodzinie właściciela ziemskiego. Kiedy miał dwa lata, jeden z dzierżawców zabierał go na targ, niosąc na barana. Mój ojciec to też wciągnął na listę jako przykład „świadomego wyzysku klasy pracującej”.

Wang: Wszyscy wywnętrzaliśmy się przed Partią. Kiedy przedkazałem swój raport dyrektorowi, poprosił Młodzieżówkę Komunistyczną, żeby zwołała zebranie zespołu w wielkiej sali koncertowej. Była tam doskonała akustyka. Odczytałem swoją samokrytykę przed ponad setką ludzi. Trwało to dwie i pół godziny. Kilka razy musiałem przerwać, żeby otrzeć łzy. Pod koniec kręciło mi się w głowie i w gardle palił mnie ogień. Wszyscy milczeli. Myślałem, że wzruszyła ich szczegółowość i szczerść mojej mowy. Aż nagle...

Liao: Wysiadł prąd?

Wang: Żeby! Ktoś wstał. To był Niu Jin, sekretarz Młodzieżówki Komunistycznej. Grał w orkiestrze na flecie bambusowym. Swoim wysokim głosem powiedział: „Co za oszustwo. Nie dajmy się zwieść spowiedzi Wang Xilina. Walczmy z nim i jego kontrewolucyjną kliką”.

Kiedy Niu Jun usiadł, wstał przedstawiciel rady miasta i nadał ton reszcie zebrania: „Towarzysz Niu ma absolutną rację.

Ojciec Wang Xilina był sędzią okręgowym za rządów nacjonalistów. Jego siostra jest prawniczką i kontrrewolucjonistką. Ukrywał to i podstępem wkraść się w nasze rewolucyjne szeregi. Teraz, po latach przyczajania się, przypuścił atak na naszą Partię. Towarzysze, pamiętajmy, czego uczy nas Przewodniczący Mao: «Nigdy nie zapominajcie o walce klas». To jest walka klas między proletariatem a burżuazją. Musimy być twardzi. Jednocześnie wzywam wszystkich, którzy tu dzisiaj siedzą, żeby prze-myśleli swoje zachowanie i postanowili, w którym obozie chcą się znaleźć”.

Chciałem umrzeć. Zanim wstąpiłem do armii, Partia dowiedziała się wszystkiego o sytuacji mojej rodziny. Oczyściła mnie ze wszelkich powiązań z rodzicami. Nie mogłem znieść tych nowych oskarżeń. Osunąłem się na krzesło jak zamek z piasku zmyty falą.

Liao: Myślałem, że dyrektor chciał pana ocalić i dać panu drugą szansę.

Wang: Ja też tak myślałem. Później zrozumiałem, że ukartowała to wszystko rada miasta, bo chciała „zabić kurczę, żeby wystraszyć mały”. Chcieli mieć pewność, że w przyszłości żaden członek orkiestry nie ośmieli się wystąpić przeciwko Partii. Zostałem pechowym kurczakiem ofiarnym.

Liao: Czy potem dyrektor jeszcze z panem rozmawiał?

Wang: Tak. W okresie od jesieni 1963 roku do wiosny 1964 roku kazano mi składać samokrytykę na każdym zebraniu i prawie każdy członek orkiestry miał okazję złożyć na mnie donos. Wkrótce wyczerpał im się materiał. Któregoś dnia dyrektor znów wezwał mnie do siebie, miał ten sam ojcowski wyraz twarzy, te same gesty, tak samo wzdychał. Po kilku miesiącach koszmarnego publicznego potępienia i izolacji widok ojcowskiej miny dyrektora był dla mnie największym darem. Rozplakałem się jak dziecko, które zlały większe dzieciaki z sąsiedztwa.

Dyrektor powiedział: „Towarzyszu Wang Xilinie, mam nadzieję, że ostatni miesiąc czegoś was nauczył. Nie wińcie innych towarzyszy za ich twardą postawę wobec was. Powinniście być wdzięczni. Partia w was wierzy. Nasza Partia z powodzeniem zreformowała ostatniego cesarza z dynastii Qing i wielu wysoko

postawionych urzędników państwowych za rządów nacjonalistów. Jeżeli takie grube ryby mogły się zmienić, to możecie i wy”.

Łzy leciały mi z oczu bez przerwy. Dziękowałem mu z całego serca. Potem powiedział: „Wiemy, że trzymacie się z pewnymi członkami orkiestry i skarżycie im się na Partię. Wiemy wszystko. Chcemy, żebyście opisali szczegółowo każdą rozmowę, każde spotkanie z członkami orkiestry. Szczerością możecie sobie zasłużyć na złagodzenie kary”.

Widząc w moich oczach wahanie, dyrektor poklepał mnie po ramieniu i powiedział: „Partia musi pomóc innym towarzyszom, którzy popełnili podobne błędy. Nie czujcie się winni. To poważna walka klas. Robicie im przysługę, przyczyniając się do ich powrotu na łono Partii. Kiedy ta kampania się skończy, będziecie traktowani jak wszyscy inni towarzysze”.

Mocno wierzyłem w wyznawaną przez Partię zasadę: współpraca prowadzi do złagodzenia kary. Dlatego wypisałem sto okazji, przy których ja i inni ludzie wygłaszaliśmy niewłaściwe uwagi na temat Partii i kierownictwa orkiestry. Sporządzając tę listę, zdradziłem wielu przyjaciół, choćby pierwszego flecistę Zhang Haibo i trębacza Chen Yingnana.

Liao: Chyba w tych okolicznościach nie miał pan wielkiego wyboru.

Wang: Zdradziłem ich na całej linii. Pokładałem zbyt dużą wiarę w Partii. Kiedy złożyłem tę listę, którą zatytułowałem *Moje drugie zeznanie dotyczące kliku kontrrewolucyjnej w naszej orkiestrze symfonicznej*, dyrektor poprosił, żebym odczytał ją na głos na zebraniu całego zespołu.

Liao: Nazwał pan swoich przyjaciół członkami kliku kontrrewolucyjnej.

Wang: Tak. Dyrektor dał do zrozumienia, że jeśli nadam swoim błędom nazwy poważniejszych przestępstw, moje zeznanie zabrzmiałoby bardziej szczerze. W każdym razie umieściłem na tej liście nazwiska moich przyjaciół i wielu innych osób. Kiedy ją czytałem, wstyd mi było podnieść głowę. Po prostu mechanicznie odczytywałem kolejne pozycje z listy. Atmosfera na zebraniu zrobiła się gęsta. Początkowo wszyscy wstrzymywali oddech, czekając, kogo pogrąży w następnej kolejności. Było tak, jakbym miał w ustach sto granatów. Za każdym razem, kiedy kończyłem

odczytywać opis zdarzenia, słyszałem wśród słuchaczy wybuch. Zaczęli reagować coraz głośniejsze. Jedna kobieta przeżyła na miejscu załamanie nerwowe. Podam panu przykład tego, co wciągnąłem na listę: rankiem 6 września spotkałem przypadkiem tego-i-takiego. Słyszałem, jak przeklina sekretarza Partii za to, że nie przydzielił mu nowego mieszkania. Później, wieczorem 19 stycznia, taki-to-a-taki powiedział mi przy obiedzie, że uważa zastępcę dyrektora za dupka.

Skończyłem czytać po trzech godzinach. Kiedy ja wzdychałem z ulgą, cała sala kipiała ze złości. Za każdym razem, kiedy wyczytywałem nowe nazwisko, noszący je człowiek podrywał się z krzesła i usiłował mi przerwać, wyzywając od kłamców. Wyzywali mnie zresztą od różnych – „wstrętnych prawicowców, hipokrytów, których należałoby pociąć na kawałki”. Ludzie zaczęli też rzucać oskarżenia na siebie nawzajem. Pod koniec zebrania moja klika kontrrewolucyjna bardzo się rozrosła. Było w nią wplątanych ponad trzydzieści osób. Gdyby nie ochrona, doszłoby do rękoczynów. Rozszarpaliby mnie gołymi rękami.

Po moim wyznaniu kampania wkroczyła w nowe stadium. Żeby się oczyścić z zarzutów, ludzie zaczęli ujawniać „przestępstwa” innych. Przez jakiś czas szpiegowali jeden drugiego, starając się zebrać obciążający materiał, żeby się nawzajem zniszczyć.

Emocjonalne zawirowania tej kampanii odbiły się na moim zdrowiu psychicznym. Na kilku zebraniach straciłem nad sobą panowanie. Odbywające się w dzień zebrania, na których padały oskarżenia, wracały potem w snach. Krzyczałem przez sen. Na jawie zaciągałem zasłony, zacząłem bać się światła dziennego. Stale bałem się, że zaraz zostanę aresztowany. Co rano, kiedy głośnik na podwórzu wybuchał rewolucyjną pieśnią *Przewodniczący Mao jest naszym zbawcą*, wyskakiwałem z łóżka i trząsałem się ze strachu. Ta paranoja towarzyszyła mi przez ponad dwadzieścia lat. Jeszcze dzisiaj, kiedy widzę duży portret Przewodniczącego Mao, dosłownie dostaję gęsiej skórki.

Liao: Zgłosił się pan do lekarza po pomoc?

Wang: Początkowo mówiono mi, że boję się światła, bo zgromadziłem za dużo ciemności w sercu, a paranoja w związku z aresztowaniem wynikała z tego, że nie wyznałem wszystkich

win. W końcu, kiedy choroba się pogłębiła, ktoś zrozumiał, że to naprawdę, i wysłano mnie do szpitala psychiatrycznego. Choroba psychiczna jest u mnie w rodzinie dziedziczna. Kiedy moją siostrę napiętnowano jako prawicowca, miała podobne objawy. Jeśli chodzi o mnie, po leczeniu mój stan się poprawił. Jednocześnie zmniejszyła się liczba zebrań, bo ludziom znudziło się słuchanie w kółko tych samych bzdur. Wkrótce wydawało się, że o mnie zapomniano. Miałem więcej czasu dla siebie. Żeby się czymś zająć, zacząłem znów komponować. Napisałem symfonię, którą zatytułowałem *Muzyczna poezja Junnanu*.

Liao: Słyszałem ją. To wspaniały utwór.

Wang: Doceniono ją po ponad dwudziestu latach. Niedawno dostałem pierwszą nagrodę w krajowym konkursie muzycznym. Tę symfonię grano w trzydziestu miastach na całym świecie.

Liao: To niestychane, że potrafił pan skomponować to arcydzieło w takich warunkach.

Wang: Gdyby nie moja muzyka, rozmawiałby pan ze mną dziś w zakładzie dla psychicznie chorych.

Liao: Wróćmy do pańskiej historii. Co było potem?

Wang: W kwietniu 1964 roku Komunistyczna Młodzieżówka oficjalnie wydalila mnie ze swoich szeregów. Na drugi dzień wezwał mnie do siebie dyrektor. Znów przybrał ojcowski ton: „Towarzyszu Wang Xilinie, dobrze, że przyznaliście się do swoich win i zgłosiliście winy innych. Zważywszy waszą pozytywną postawę współpracy, postanowiliśmy skierować was do trupy muzyczno-tanecznej działającej na terenach wiejskich prowincji Shanxi. Dzięki temu będziecie mieli szansę całkowicie się zreformować”.

Liao: Po tym wszystkim jeszcze mu pan ufał?

Wang: Nie zapominajmy, że zacząłem pobierać nauki komunistyczne jako dwunastolatek. Miałem całkowicie wyprany mózg. Ukłoniłem się i podziękowałem dyrektorowi. Ale wie pan co? Niektórym z przyjaciół, których zdradziłem, trafił się jeszcze gorszy los. Wielu członków tak zwanej klikii kontrrewolucyjnej zostało wysłanych w pustynne rejony prowincji Gansu. Do dziś nie miałem odwagi skontaktować się z żadnym z nich.

Liao: Przyjął pan to skierowanie?

Wang: Oczywiście. Co ciekawe, zupełnie nie byłem przygnębiony taką odmianą losu. Spakowałem się i na drugi dzień wyjechałem do Shanxi. Trupa, w której pracowałem, była stale w trasie. Przemieszczała się od wsi do wsi. Za każdym razem, kiedy gdzieś przyjeżdżaliśmy, gotowałem, grzałem dla aktorów wodę, rozładowywałem wozy, rozstawiałem dekoracje i występowałem, jeśli akurat była taka potrzeba. Wierzyłem, że wykonywanie prac służebnych zmieni moje zgniłe burżuazyjne podejście do życia.

Kilka miesięcy później władze miejscowości, w której się zatrzymaliśmy, zorientowały się, że umiem komponować. Zamówiono u mnie pieśń chóralną. Wykonałem zamówienie. Pieśń składała się z czterech części: *Pochwała oddanych członków komuny*, *Przywódcy tutejszego oddziału partii są wspaniali*, *Nowe oblicze naszej wioski* i *Trzy komunistyczne flagi trzepoczą na wietrze*. Później dyrygowałem dwudziestoosobowym chórem i orkiestrą złożoną z trzydziestu muzyków. Na premierze pojawiło się wiele lokalnych szych. Spodobało im się moje dzieło. Szef miejscowego wydziału propagandy pochwalił mnie przed publicznością, mówiąc: „Wang Xilin pozbył się ciężarów przeszłości, czeka go teraz świetlana przyszłość”.

Przez jakiś czas myślałem, że naprawdę otworzyłem nowy rozdział życia. Ale potem szybko się zmienił klimat polityczny. W 1966 roku zaczęła się rewolucja kulturalna. Miejscowa Czerwona Gwardia zapoznała się z moimi aktami i odkryła problemy z przeszłości. Parę dni później znów musiałem chodzić na publiczne zebrania oskarżycielskie. Cała praca, jaką wykonałem, została mi poczytana za winę, bo rzekomo chciałem dzięki niej oszukać lud. Pamięta pan, jak mówiłem, że szef wydziału propagandy pochwalił mnie na koncercie? Został oskarżony o podziw dla kapitalistów i zamknięty w oborze. Ponieważ podobały mu się słowa, które napisałem, Czerwona Gwardia potępiła moje dzieło jako trujące żdźbła trawy.

Byłem w trupie jedynym wrogiem. Kazali mi chodzić w czapce błazna na głowie i z czarną tablicą tekturową zawieszoną na szyi. Moje zbrodnie dostały nowe nazwy: „zbiegły prawicowiec, skryty kontrrewolucjonista, wróg ludu, który ukrył historię swojej rodziny...”. Wszystkie samokrytyki, które napisałem wcześniej, na

nic się zdały. Zacząłem od nowa. Doradca polityczny, który był analfabetą, codziennie pilnował, jak mi idzie. Żeby zdobyć ich zaufanie, posłużyłem się sprawdzoną sztuczką. Przypominało to pisanie symfonii: siebie potraktowałem jako c-dur, główny temat. Bezlitośnie się oskarżałem i potępiałem. Potem podzieliłem ludzi ze swojego otoczenia na pomniejsze tematy i wariacje.

Liao: I to zadziało?

Wang: Za sprawą samokrytyki zostałem wstrętnym wrogiem ludu. Na ścianach magistratu pojawiły się olbrzymie plakaty, z których większość traktowała o mnie. Skierowano mnie do pracy w kotłowni.

W roku 1968, w punkcie kulminacyjnym rewolucji kulturalnej, robotnicy z miejscowej fabryki przejęli rządy w okręgu, żeby oczyścić „kapitalistyczną twierdzę”. Wszystkich zdegradowanych urzędników, byłych właścicieli ziemskich i mnie zamknęli w magazynie, który podczas wojny służył za japoński obóz koncentracyjny. Spalimy na podłodze. Okna były zabite deskami. Dręczyciele uprawiali wobec nas coś, co nazywali „stosowaniem tortur cielesnych w celu poruszenia duszy”. Często nas bili. Jeden z moich współwięźniów, Cao Yuzhu, był oświeceniowcem w naszej trupie. Kiedyś powiedział żartem do swojego pomocnika, że wiceprzewodniczący Lin Biao wygląda na zbyt chorego, żeby przewodzić krajowi. Pomocnik doniósł na niego władzom. Cao został aresztowany pod zarzutem rzucania kalumnii na następcę naszego Wielkiego Przywódcy. Oddział Czerwonej Gwardii, który prowadził Cao po ulicy, zawiesił mu na szyi żarówkę na sznurku, żeby wyszydzić jego pracę.

W dzień kazano nam pracować w polu. Kiedy jednak odbywało się publiczne zebranie ze składaniem krytyki, rzucaliśmy pracę, wchodziliśmy na scenę i przyjmowaliśmy jak zwykle pozycję „samolotu odrzutowego”.

Często wiązali nas, przestępców, i prowadzili od okręgu do okręgu. Większość zebrań odbywała się na rynku w środku wsi albo w dużych magazynach. Czasami musieliśmy brać udział w mniejszych zebraniach, u kogoś w domu. To było najgorsze. Po tym, kiedy jak zwykle wyznawałem, że boję się światła, ludzie kopali nas albo bili, ponieważ staliśmy tak blisko. Zdarzali się

sadyści, którzy kazali mi klękać na deskach nabitych gwoździemi. Dzieciaki ciągnęły mnie za włosy i za uszy.

Pewnej nocy, prawie o jedenastej, usłyszałem pukanie. Wstałem i otworzyłem drzwi. Zanim się zorientowałem, co się dzieje, ktoś się na mnie rzucił, zawiązał mi oczy, skrępował sznurem ręce za plecami, zakneblował kawałkiem brudnej szmaty i wywłókł na zewnątrz jak zakładnika. Czułem, że wloką mnie na pole. Wepchnęli mnie do głębokiego dołu. Pod nogami miałem spulchnioną ziemię. Myślałem, że mnie żywcem pogrzebią. Zacząłem jęczeć i wić się z rozpacz. Kilka chwil później poczułem, jak leci mi na głowę ciepła ciecz. Ktoś mnie z góry obsikał. Potem wyciągnęli mnie z tego dołu i zabrali z powrotem do magazynu. Dwaj młodzi chłopcy pchnęli mnie na ścianę, wyjęli szmatę z ust, złapali za głowę i kilka razy uderzyli twarzą o ścianę. Mój nos pękł jak piłeczka do ping-ponga. Potem usłyszałem za sobą znajomy głos: „Czy to ty ukradłeś pudełko z archiwum?”

Poznałem po głosie, że to Zhao Baoqin, jeden z członków naszej trupy. Kiedy się okazało, że szukają tylko skradzionego pudełka, trochę się uspokoiłem. Powiedziałem, że nie. Zdjęli mi spodnie i wymierzili kilkanaście razy, aż zacząłem krwawić. Strasznie to było bolesne. Po dwóch godzinach bicia ciągle nie mogli niczego ze mnie wydobyć. Więc mnie puścili. Nazajutrz rano dowiedziałem się, że dwóch zdegradowanych urzędników przeżyło w nocy podobne przesłuchanie.

Liao: Myślał pan kiedyś o tym, żeby uciec?

Wang: Nieraz. Towarzyszyłem trupie kilka lat. Wszyscy aktorzy siedzieli na wozach zaprzężonych w konie. Kilku kontrrewolucjonistów takich jak ja szło za wozem, dźwigając bagaże i rekwizyty. Podróżowaliśmy po całym regionie, nawet kiedy padał deszcz czy śnieg. Było bardzo ciężko. W pewnym momencie pojawiły się plotki, że wszyscy kontrrewolucjoniści trafią do więzienia. Omówiłem to z dwoma innymi „złymi” i zaplanowaliśmy ucieczkę. Kupiłem po kryjomu nieprzemakalne buty i butelkę na wodę. Kiedy byliśmy gotowi wcielić plan w życie, przyjechała moja matka. Miała wtedy ponad siedemdziesiąt lat. Jako dziewczynka zgodnie ze starożytną tradycją krępowwała sobie stopy.

Miała ze sobą mały worek mąki, porcelanową miskę i trochę ubrań. Zatrzymała się w moim pokoju i czekała, aż wrócę. Ale przede mną przyszedł członek Partii i powiedział jej: „Pani syn jest kontrrewolucjonistą. Jest w trakcie przesłuchania. Nie wolno pani z nim mieszkać”. Matka była zdezorientowana: „Mój syn wstąpił do armii komunistycznej w wieku dwunastu lat. Jak to możliwe, żeby występował przeciwko Partii?”

Dostałem wtedy zwolnienie tymczasowe, poszukałem więc dla niej hotelu. Ale moja biedna matka nie chciała wydawać pieniędzy na hotel. Przepakowała się i na drugi dzień już jej nie było.

W połowie lat siedemdziesiątych, kiedy odzyskałem wolność, zacząłem odwiedzać matkę raz w roku w mieście Lanzhou. Pomagała mojej siostrze wychowywać dwójkę dzieci. Posyłałem jej piętnaście juanów [dwa dolary] miesięcznie.

Kiedy moją siostrę wypuszczono z obozu pracy, wysłano ją do wioski pod Lanzhou. Nadal upokarzano ją na publicznych zebraniach. Kilka razy uciekła do mojej matki do miasta, żeby zobaczyć dzieci. Ale dowiadywał się o tym komitet uliczny i odsyłali ją z powrotem.

Moja matka zmarła 13 stycznia 1978 roku. Przed śmiercią chorowała na zapalenie oskrzeli i miała problemy z sercem. Nie stać nas było na posłanie jej do szpitala. Ale moja znajoma, też muzyk, wyszła za wysokiego rangą oficera. Dzięki jej pomocy matka została przyjęta do szpitala. Po trzech dniach w szpitalu, przyzwyczajona do oszczędnego życia w slumsach, poczuła się źle i powtarzała: „Zabierzcie mnie do domu. Tutaj jest za drogo”. Zanim zdążyłem ją przenieść, umarła. Wynająłem wóz konny, przewiozłem jej ciało do krematorium i przyniosłem do domu jej prochy. Dożyła osiemdziesięciu dwóch lat. Ręce miała jak sucha kora drzewa, zniekształcone od lat ciężkiej pracy.

Liao: Co się stało z pańską siostrą?

Wang: Jest teraz po siedemdziesiątce i wygląda starszej niż moja matka. Wciąż jest niespełna rozumu, cały czas mówi sama do siebie. To straszne.

Liao: W Chinach muzycy są mało poważanymi artystami do wy-najęcia. Mało który ma odwagę przeciwstawiać się władzy. Wielu muzyków, pisarzy i artystów stało się ulubieńcami Partii,

ponieważ mówili jej głosem. Na przykład poeta He Jingzhi został ministrem kultury za to, że pisał rewolucyjne wiersze pełne wyszukanych pochwał dla nowych Chin. Piosenkarz Hu Songhua stał się sławny i przez ponad trzydzieści lat nosił tytuł „artysty ludu” za jedną piosenkę, Pieśń Pochwalną. Nauczycielu Wang, miał pan wyjątkowe zdolności i wszelkie predyspozycje do tego, żeby być „czerwonym” artystą, jak He Jingzhi i Hu Songhua. A jednak był pan prześladowany nie tylko za czasów Mao, ale też za Deng Xiaopinga i Jiang Zemina. Mam wrażenie, że wiąże się to z pana szczerością. Może powinien pan nauczyć się zachowywać trochę sprytniej?

Wang: Zawsze podlizywałem się władzy. Ale mam za donośny głos i za długi jeźor. Jak już mówiłem, moje kłopoty zaczęły się od tamtej dwugodzinnej mowy w 1962 roku. Przez czternaście lat byłem więziony, bity, poniżany, poniewierany i porzucany. Mimo to zawsze starałem się zadowalać swoją muzyką ludzi, którzy byli u władzy. Podczas rewolucji kulturalnej, pracując w kotłowni, skomponowałem wiele pieśni rewolucyjnych. Między innymi *Czerwone słońce w sercu mym, Rewolucjoniści nie boją się walki i Krocząc szeroką drogą rewolucji kulturalnej*. Ale niezależnie od tego, jak bardzo się starałem, Partii nigdy to nie obchodziło. Przez wiele lat nam, Chińczykom, wciskano, że nasza ukochana Partia dba o nas bardziej niż rodzice. Ale z mojego doświadczenia wynika, że Partia jest gorsza od brzydkiej, wrednej macochy.

Liao: Kilka tygodni temu słyszałem pańską Symfonię numer 4. Zawiera lokalne melodie żałobne z prowincji Anhui; muzyka na suona jest poruszająca. A do tego gniewny dysonans bębnow i basów... Pańska muzyka jest silnie autobiograficzna, surowa i ciemna.

Wang: Tak jest. W mojej muzyce nie ma czułości ani miłości. Moja muzyka jest jak duże zimne jezioro, w którym zbiera się całe błoto, łzy, krew, westchnienia i krzyki z wpadających do niego rzek. Dlatego jest ciężka, głęboka i ciemna. Niektórzy zniewieściali artyści twierdzili, że miłość jest wszystkim. To kompletna bzdura. Kiedy zagrożone jest czyjeś prawo do życia, skąd ma czerpać miłość? Kiedy 4 czerwca 1989 roku żołnierze

strzelali do studentów i mieszkańców Pekinu, tysiąc okrzyków miłości nie powstrzymałoby ani jednej kuli.

Liao: Nie jest pan przypadkiem zbyt surowy dla ludzkości?

Wang: W tych ciężkich czasach marzyłem o miłości i ludzkich uczuciach. Pewnego razu na zebraniu publicznym klęczałem na scenie w pozycji „samolotu odrzutowego” przez cztery godziny. Całe ciało mnie bolało i zaschło mi w ustach. Po zebraniu podszła do mnie starsza kobieta i podała mi miseczkę wody. Miseczka nie była zbyt czysta, a woda miała trochę dziwny smak. Ale ta kobieta była dzielna, miała odwagę zatroszczyć się o takiego wroga klasowego jak ja... Minęło tyle lat, a ja wciąż pamiętam tę miseczkę wody. Niestety, w moim życiu nie było wielu takich ciepłych momentów.

Liao: Wygląda pan na twardziela, ale tak naprawdę jest pan bardzo uczuciowy i wrażliwy.

Wang: Ludzie oceniają mnie po wyglądzie i uważają za twardziela. Jestem wysoki i mam donośny głos. Ale tu, w środku, cały czas błagam swoich prześladowców o litość. Oni zawsze byli głusi na moje błagania. Kiedyś wielokrotnie prosiłem rząd, żeby mnie zrehabilitował. Przez wiele lat nie dostałem żadnej odpowiedzi na swoje prośby.

Przy życiu trzymała mnie muzyka. Władze chińskie długo miały w pogardzie dwudziestowieczną muzykę Zachodu: utwory Strawińskiego były uważane za zbyt dekadentkie, Strauss był dla nich reakcjonistą, a Szostakowicz potworem! W rozwoju muzyki byliśmy co najmniej pięćdziesiąt lat za Zachodem. Chiny otworzyły się na Zachód dopiero w latach osiemdziesiątych. My, Chińczycy, zrozumieliśmy wreszcie, jak dużo straciliśmy.

Od końca lat siedemdziesiątych próbuję nadrobić zaległości. Napisałem ponad trzydzieści różnych utworów. Napisałem *Symfonię numer 3* i numer 4. Teraz piszę numer 5.

Liao: Czytałem w gazetach o sukcesach pana muzyki za granicą. Pańskie symfonie były grane w ponad dwudziestu krajach. Tutaj ludzie wydają się obojętni na pana sztukę. Nie mogą uwierzyć, że zarabia pan tylko dziesięć juanów [dolar trzydzieści centów] za godzinę lekcji. Jedna z tutejszych orkiestr pana wyrzuciła, bo nie zarabiała na graniu pańskich symfonii.

Wang: Jesteśmy w okresie przejściowym między dogmatycznym społeczeństwem komunistycznym a społeczeństwem konsumpcyjnym. Wszyscy teraz zarabiają. Nie słyszą bólu i cierpienia mojej generacji. Ta obojętność nie dotyka mnie ani mojej muzyki. Komponuję z innych pobudek. Tworzę teraz serię elegii dla narodu, dla milionów ofiar, które niepotrzebnie zginęły albo cierpiały za czasów Mao. Skoro muzyka Szostakowicza jest świadectwem koszmarów stalinizmu, moja muzyka będzie... Nie chcę kończyć tego zdania. Myślę, że moja muzyka przyda się na Sądzie Ostatecznym, ponieważ jest wieczna.

Prawicowiec

Feng Zhongci, lat siedemdziesiąt pięć, to sąsiad i przyjaciel mojego wuja Liao Enze. Mieszka w bloku koło stacji kolejowej przy Zachodniej Bramie w Chengdu. Feng i jego żona mają dwoje dzieci, które też mają swoje rodziny. W latach pięćdziesiątych Feng był obiecującym przywódcą Młodzieżówki Komunistycznej na swoim uniwersytecie. Ale podczas kampanii przeciwko prawicowcom sam został napiętnowany jako prawicowiec i przez wiele lat mieszkał w pustynnym Sinkiangu, Ujgurskim Regionie Autonomicznym.

Odwiedziłem go niedawno, w pewne sierpniowe popołudnie. Przyjął mnie w ciasnym, dusznym pokoju. Zachowywał się jak uczonej starej daty, był oficjalny i nader uprzejmy. W jego mieszkaniu nie było klimatyzacji. Podczas rozmowy obaj mocno się pociliśmy, jakbyśmy siedzieli zamknięci w parowarze, w którym gotują się *dim sum**. Kilka razy mówiłem, żeby zdjął koszulę, ale on z grzeczności się opierał, mówiąc, że nie wypada przyjmować gościa w samym podkoszulku.

Liao Yiwu: Chcę porozmawiać z panem o kampanii przeciwko prawicowcom. Chciałbym się dowiedzieć, jak został pan prawicowcem.

Feng Zhongci: Właściwie nie ma tu o czym opowiadać.

* Delikatne pierożki gotowane na parze, charakterystyczne dla kuchni południowochińskiej (kantońskiej).

Liao: Wujku Feng, przyjechałem z daleka. Nie może mi pan pozwolić odjechać z pustymi rękami. Może pan przynajmniej opowiedzieć o klimacie politycznym w tamtych czasach. Zgoda? Nie wiedziałem, że wtedy poddano prześladowaniom ponad pół miliona niewinnych ludzi. W większości intelektualistów. Niektórzy zostali napiętnowani jako prawicowcy tylko dlatego, że napisali list do czasopisma literackiego albo wyrazili zastrzeżenia wobec Partii Komunistycznej w prywatnym dzienniku. Aż trudno w to uwierzyć.

Feng: To, co działo się w latach pięćdziesiątych, może wydawać się dzisiaj dziwne i nienormalne. Ale w tamtych czasach było to bardzo powszechne.

Liao: Czy był pan jednym z tych, którzy zostali oskarżeni o prawicowość, bo wypowiedzieli się źle o Partii?

Feng: Raczej nie. Pochodzę z rodziny proletariackiej. Byłem politycznie aktywny i całym sercem popierałem Partię. Na początku kampanii przeciwko prawicowcom byłem gotów bronić Partii przed wszelkimi atakami.

Liao: Nie żartuje pan?

Feng: Nie. Byłem przewodniczącym Młodzieżówki Komunistycznej na moim uniwersytecie. Zapisałem się do Partii na drugim roku studiów. Zanim w 1957 roku ukończyłem studia, jako pierwszy napisałem do Partii list otwarty, w którym podejmowałem się posłuchać apelu Przewodniczącego Mao i podjąć pracę na dotkniętej ubóstwem dalekiej prowincji. Ale sekretarz Partii wezwał mnie na prywatną rozmowę, w której powiedział, że potrzebują politycznie wiarygodnych absolwentów takich jak ja do pomocy w kampanii przeciwko prawicowcom. Chcieli, żebym po ukończeniu studiów został na uczelni i pokierował uniwersytecką gazetą. Jak powiedział mi sekretarz: „Musimy przejąć to ważne forum z rąk kontrrewolucjonistów”.

Liao: Skoro tak bardzo był pan za Partią, jak to się stało, że został pan prawicowcem?

Feng: Z powodów osobistych.

Liao: Z powodu problematycznego stylu życia?

Feng: Proszę nie oceniać mnie na podstawie tego wyrażenia. Słowo „styl życia” w różnych czasach różnie się interpretuje.

W tamtej epoce za problematyczny styl życia można było zginać. Kiedy na przykład młody mężczyzna uprawiał seks przedmałżeński z koleżanką z roku, uważano to za poważne przestępstwo.

Liao: Skoro etykiety prawicowca nie dostał pan z powodu stylu życia, to z jakiego powodu?

Feng: Dlatego że rodzina mojej żony podpadała pod kategorię „reakcyjnych biurokratów i właścicieli ziemskich”. Jej wujek był urzędnikiem w rządzie nacjonalistycznym, szefem Urzędu do Walki z Narkotykami. Został skazany na śmierć i zgładzony niedługo po zwycięstwie komunistów w 1949 roku. Ojciec mojej żony, zamożny właściciel ziemski, wziął sobie młodą kobietę za konkubinę. Z powodu swojej rodziny moja żona, Wenxin, miała na uczelni duże trudności polityczne. Starła się skupiać na nauce i trzymała się na uboczu. Była dość nietowarzyska. A ja wręcz przeciwnie, uwielbiałem ludzi. Miałem wielu przyjaciół. W dużej grupie czułem się jak ryba w wodzie. Ale jakoś pociągała mnie wyniosłość Wenxin. Było w tej dziewczynie coś tajemniczego i pięknego. Nie mogłem przestać o niej myśleć. Zaczęłem się z nią spotykać w 1956 roku.

Liao: Wyobrażam sobie, jak trudno było spotykać się z kimś niedopasowanym pod względem politycznym. Moja siostra spotykała się podczas rewolucji kulturalnej z oficerem. Obowiązywała wtedy taka zasada, że zanim wojskowy czy urzędnik państwowy dostał zgodę na ślub, Partia musiała dokładnie prześwietlić rodzinę jego przyszłej żony. Narzeczony mojej siostry musiał z nią zerwać, bo mój dziadek był kiedyś właścicielem ziemskim. A w pana przypadku? Jak to się stało, że przez rodzinę dziewczyny został pan prawicowcem?

Feng: Zaczęło się to tak. Najpierw starałem się widywać z Wenxin pod pretekstem pomagania jej w naukach politycznych. Kiedy się uczyliśmy, wciągałem ją w rozmowy o sztuce, muzyce i naszych rodzinach. Powoli zaczęła mi opowiadać o sobie. Pewnego razu powiedziała, że jest bardzo blisko z konkubiną swojego ojca. Natychmiast jej poradziłem, że powinna wzmocnić swoją pozycję polityczną, odsuwając się od zepsutej konkubiny właściciela ziemskiego. Ona nic na to nie odpowiedziała. Któregoś dnia

zapropnowała, żebyśmy poszli na spacer poza teren uczelni. Zaprowadziła mnie do domu z dziedzińcem w jakiejś wąskiej uliczce. Nie powiedziała, kogo odwiedzamy.

Kiedy weszliśmy na zacienione podwórze, zobaczyłem kobietę – kucała przy studni i robiła pranie. Miała długie czarne włosy, długie, smukłe palce i zgrabną figurę. Kiedy się uśmiechała, jej blada twarz emanowała jakimś smutkiem. Ta kobieta była macochą Wenxin, konkubiną jej ojca. Poczęstowała nas herbatą. Kiedy wypiliśmy, Wenxin poprosiła ją, żeby zagrała nam coś na pianinie. Kobieta starła kurz z pokrywy pianina, które stało w rogu pokoju, i zagrała wariację na temat piosenki *Niebo nad krajami komunistycznymi jest bardziej słoneczne* – pieśni rewolucyjnej, którą setki razy śpiewaliśmy w dużych grupach. Pewnie wybrała tę piosenkę po to, żeby mi się przypodobać. Albo wiedziała, że jestem zagorzałym komunistą, albo po prostu chciała pokazać, że jest na bieżąco. O dziwo, ta porywająca pieśń rewolucyjna całkowicie zmieniła charakter pod jej długimi, zgrabnymi palcami. Melodia stała się zgnile burżuazyjna, było w niej tyle czułości, delikatności i smutku, jakby była cichym westchnieniem kobiety w spokojną gwiazdzistą noc. Przez chwilę byłem jak zaczarowany.

Kiedy wyszliśmy, zacząłem się wsłuchiwać w siebie. Jak mogłem – członek Partii i przewodniczący Młodzieżówki Komunistycznej – tak łatwo poddać się jej dekadencej muzyce? Na co zdało się całe moje wychowanie polityczne?

Liao: Naprawdę był pan takim radykałem?

Feng: Tak, naprawdę. Ale z drugiej strony byłem studentem. Przed rokiem 1957 to, czego uczyli nas na studiach, nie było aż tak radykalne i dogmatyczne. Mieliśmy jaki taki dostęp do zachodnich książek i wolno nam było słuchać zachodniej muzyki, która miała na mnie dość pozytywny wpływ. Kiedy tak się zmagalem ze swoimi przekonaniem, Wenxin wzięła mnie za rękę i powiedziała: „Ona cię polubiła. Inaczej nie zagrałaby dla ciebie na pianinie”. Odpowiedziałem ze złością: „Pierwszy raz miałem styczność z członkiem dekadencej klasy rządzącej. Czy chcesz mnie sprowadzić na manowce?”. Odwróciłem się i odszedłem. Wenxin wciąż stała w tej ciemnej uliczce, która wydawała mi się teraz ciemniejsza i straszniejsza. W moich oczach wyglądała jak

ktoś, kto stoi wśród cieni przeszłości. Dogoniła mnie i powiedziała: „Pozwól, że ci opowiem historię mojej macochy. Zanim wyszła za mojego ojca, miała ukochanego. Był jej nauczycielem muzyki. Jej rodzina stanowczo sprzeciwiała się ich związkowi, bo nauczyciel w ogóle nie miał pieniędzy. Wreszcie uległa presji rodziny i została konkubiną mojego ojca. Kiedy wzięli ślub, ojciec szybko zrozumiał, że ona nie może zapomnieć o tym nauczycielu muzyki. Przestał wiązać z nią nadzieje. Po rewolucji 1949 roku złożyli pozew o rozwód. Po rozwodzie ona pojechała szukać swojego ukochanego, który przeniósł się do miasta Xian w środkowych Chinach. Kiedy dotarła na miejsce, dowiedziała się, że jej ukochany zmarł na gruźlicę. Zobaczyła tylko jego grób. To doświadczenie ją złamało. Dwa miesiące później wróciła do Chengdu i od tego czasu żyje sama. Mój ojciec przebaczył jej, zanim umarł, i dał jej ten dom z dziedzincem. Nie umiała przeboleć śmierci swojego ukochanego i zaczęła tracić zmysły. Płakała i śmiała się bez powodu. Ponieważ byliśmy w podobnym wieku, bardzo jej współczułam. Czasami przychodziłam się nią opiekować”.

Kiedy wysłuchałem tej historii, byłem dość wzruszony. To była historia jak z burżuazyjnego filmu z czasów przedkomunistycznych. Zapytałem Wenxin: „Dlaczego mi to opowiadasz?”. Ona wzruszyła ramionami: „Staram się odsłonić serce przed Partią. Możesz na mnie donieść, jeśli chcesz. Wszystko mi jedno”.

Jej słowa bardzo mnie zraniły. Odwróciłem głowę, żeby ukryć łzy. W tamtej chwili poczułem coś, czego nie czułem nigdy wcześniej. Byłem zakochany w Wenxin.

Liao: Czy Partia ingerowała w waszą miłość?

Feng: Na początku nie. Na szczęście mało kto wiedział o naszym związku, zresztą nie spotykaliśmy się zbyt często. A potem, w 1957 roku, Przewodniczący Mao wprowadził kampanię zwaną „Niech zakwitnie sto kwiatów, niech się spiera sto szkół”. Wielu intelektualistów przyjęło ją z entuzjazmem. W wykładach, artykułach i *dazibao**, gazetkach wielkich znaków, ludzie w całym

* Gazetki ściennie, w postaci plakatów pisanych odręcznie wielkimi znakami, były popularnym medium przekazu kampanii politycznych ery maoistowskiej i w latach osiemdziesiątych.

kraju zaczęli wyjawiać swoje poglądy i kwestionować przewodnią rolę Partii. Mao najpierw był zadowolony z krytyki. A z jego przyzwoleniem miejscowe władze były dla niej dość tolerancyjne. Tymczasem sprzeciw intelektualistów się nasilał, a ich krytyka robiła się coraz ostrzejsza i bardziej radykalna. Niektórzy proponowali nawet, żeby skończyć z rządami jednopartyjnymi i wzywali do stworzenia ustroju demokratycznego na wzór państw Zachodu. Wciąż pamiętam słowa Ge Peiqi, sławnego uczonego z Pekinńskiego Uniwersytetu Ludowego. W jednym ze swoich artykułów napisał, że Chiny należą do sześciuset milionów ich mieszkańców, w tym także do kontrrewolucjonistów. Chiny nie należą jedynie do Partii Komunistycznej. Władze Partii nie mają prawa sądzić, że „Cesarstwo jest moje, Cesarstwo to ja”. Partia Komunistyczna nie powinna popadać w zarozumiałstwo i myśleć naiwnie, że jeśli ona upadnie, to upadnie cały kraj. Tak nie będzie. Ci, którzy sprzeciwiają się Partii, nie są zdrajcami... Tak pisał Ge. Krytyka tego rodzaju znacznie wykraczała poza granice tolerancji rządu.

Na moim uniwersytecie wielu studentów aktywnie włączyło się do ogólnokrajowego chóru krytyków. Jak już mówiłem, Wenxin była spokojną dziewczyną i nigdy nie udzielała się w polityce. Ale namawiałem ją, żeby powiedziała, co myśli. Po wielokrotnych namowach wreszcie zebrała się na odwagę, wstała na zebraniu wydziału i powiedziała: „Partia Komunistyczna od dawna popiera idee demokracji i równości. To oznacza, że studenci z rodzin nieproletariackich powinni mieć takie same prawa jak inni. W trakcie czterech lat, które spędziłam na tym uniwersytecie, byłam dyskryminowana na wiele sposobów. Nie wolno mi było się zapisać do Młodzieżówki Komunistycznej. Dużo się uczyłam i zdobywałam najlepsze stopnie. Ale oskarżano mnie o to, że jestem studentką burżuazyjną. Przewodniczący Mao mówił nie raz, że Partia powinna oferować dzieciom z rodzin niepostępowych jakąś drogę wyjścia, o ile odgradzą się wyraźnie od swoich rodziców, właścicieli ziemskich czy kapitalistów...”.

Kiedy Wenxin skończyła mówić, zacząłem głośno bić brawo, ale dołączyło do mnie tylko kilka osób. Na twarzach wielu studentów przywódców widziałem niezadowolone. Zawsze trzymałem

się wytycznych Partii. Na tamtym zebraniu się przeliczyłem. Myślałem w swojej naiwności, że jeśli Wenxin powie, co myśli, ludzie ją lepiej zrozumieją. Koledzy z roku będą ją bardziej lubić. Nie miałem pojęcia, że napytałem Wenxin kłopotów.

Miesiąc po jej pierwszym w życiu przemówieniu publicznym drastycznie zmienił się klimat polityczny. Przewodniczący Mao uznał, że zainicjowany przez niego ruch ujawnił najniebezpieczniejszych wrogów klasowych, którzy wcześniej się ukrywali. Po tych słowach rozpętała się kampania przeciwko prawicowcom. Wielu intelektualistów wypadło z łask. Czystki wkrótce dotknęły i moją uczelnię. Studentów zachęcano, żeby donosili na kolegów i wykładowców. Władze uczelni wciągnęły na listę tych, których uważały za potencjalnych prawicowców, i kolportowały ją na wszystkich wydziałach. Sekretarz Partii poprosił studentów i kadre, żeby nominowali prawicowców w drodze głosowania. Wenxin zebrała najwięcej głosów.

Liao: Czy to nie ironiczne, że głosowanie decydowało o tym, kto ma być prześladowany?

Feng: Owszem. Ale decyzja miała odzwierciedlać wolę ludu. Kilka dni po tym głosowaniu pojawił się na naszym zebraniu wydziału i przewodniczył mu sekretarz Partii mojej uczelni. Oczywiście, było sporo zarzutów wobec mnie. Niektórzy podnosili kwestię mojego związku z Wenxin. Ponieważ byłem na szczycie partyjnej listy do awansu, sekretarz Partii bronił mnie zaciekle, kłamiąc jak z nut. Powiedział: „Towarzysz Feng wielokrotnie spotykał się z Wenxin, wykonując tajne rozkazy Partii. Wielu z was mogło myśleć, że Wenxin to spokojna studentka. Ale ona głęboko nienawidzi naszych nowych Chin. Wąż w postaci tej kobiety wreszcie został zdemaskowany. Gdyby nie ciężka praca Towarzysza Fenga, nie udałoby nam się tego osiągnąć. Partia rozważa nadanie Towarzyszowi Fengowi tytułu «Wybitnego Przywódcy Młodzieżówki Komunistycznej»”. Nie mogłem uwierzyć własnym uszom. Wenxin wstała i spojrzała na mnie z ogromnym gniewem. Zbladła i upadła na podłogę. Ignorując spojrzenia zebranych w sali ludzi, wziąłem ją na ręce i pobiegłem do przychodni. Nawet wtedy sekretarz Partii dalej ciągnął swoje kłamstwa: „Towarzysz Feng postępuje jak najbardziej słusznie. Choć

Wenxin należy do obozu wroga, musimy jej pomóc, kierując się rewolucyjnym nakazem pomocy drugiemu człowiekowi”.

Liao: To było dość dramatyczne.

Feng: Zanim Wenxin odzyskała przytomność, wyszedłem z przychodni jak w transie. Potem przyszli porozmawiać ze mną przywódcy Młodzieżówki Komunistycznej. Chcieli, żebym zaakceptował i podpisał listę prawicowców na moim wydziale. Po uzyskaniu mojego podpisu mieli przedstawić listę władzom miasta. Odmówiłem podpisania tej listy, na której było nazwisko Wenxin. Kiedy dowiedzieli się o tym sekretarz Partii i rektor mojego uniwersytetu, przyszli do mnie do akademika i starali się mnie przekonać, żebym złożył podpis. Wiedziałem, że odmowa może przekreślić moją przyszłość. Ale byłem dość uparty i nie ugiąłem się.

Rektor ostrzegł mnie: „Partia szkoliliła was i troszczyła się o was przez wiele lat. Powinniście rozumieć swoją powinność i nie niszczyć sobie przyszłości”. Odpowiedziałem: „Partia powinna być uczciwa. Dlaczego sekretarz Partii kłamał o moim związku z Wenxin?”. Rektor poklepał mnie po plecach i powiedział: „Nie rozumiecie, że chciał was ochronić przed krytyką?”. Nie zgodziłem się. Upierałem się, że Wenxin należy traktować jak sojusznika. Zdradziła swoją rodzinę i jest gotowa przyłączyć się do rewolucji. Ale rektor tylko się roześmiał. „Nie daj się oszukać, ona udawała. Jeśli jest tak postępową, jak mówisz, to dlaczego wzięła was w odwiedziny do konkubiny swojego ojca? Chciała zwabić cię do swojego świata i omamić twojego rewolucyjnego ducha. Wiemy o wszystkim, co razem robiliście”. Byłem oburzony. Sekretarz Partii dodał: „W tej chwili jesteś niespełna rozumu. Chciałeś odrzucić dla tej kobiety swoją polityczną przyszłość”.

Rozgniewałem się i zacząłem się kłócić z rektorem: „Nie zgadzam się z zarzutami przeciwko Wenxin. Przysięgam na Partię, że ona nie jest ani trochę prawicowa”. Rektor walnął pięścią w biurko i krzyknął: „Lepiej się zastanów, zanim otworzysz usta. Emocje przysłoniły ci rozum. To rozumiało, jesteś młody, masz gorącą krew. Ale ludzkie emocje muszą ustąpić przed rozumem i myśleniem politycznym. Przewodniczący Mao uczy nas, że nie ma na świecie czegoś takiego jak czysta miłość. Nie można

kochać wroga”. Do tego stopnia straciłem nad sobą panowanie, że wyrwało mi się coś, czego nigdy wcześniej nie mówiłem: „Kocham ją”. Sekretarz Partii popatrzył na mnie i odezwał się już spokojniej: „No dobrze. W takim razie musisz wybierać: albo ta kobieta, albo Partia”. Powtórzyłem jeszcze raz, bardzo stanowczo: „Kocham ją”.

Dwa tygodnie później zostałem wyrzucony z Partii i napiętnowany jako prawicowiec i zły element.

Liao: Czy wtedy oficjalnie chodził pan z Wenxin?

Feng: Nie, byliśmy tylko przyjaciółmi. Lubiła mnie, ale nie jako swojego chłopaka. Była wdzięczna, że może ze mną porozmawiać, bo jej koledzy z roku nie chcieli mieć z nią nic wspólnego. Wenxin zmieniła moje poglądy polityczne. Zanim nastali komuniści, moja rodzina była tak biedna, że musiałem żebrac na ulicy. Kiedyś zapukałem do drzwi właściciela ziemskiego i poprosiłem o coś do jedzenia. On poszczuł mnie psem. Kiedy pies na mnie szczekał, ja szcekałem na niego. W końcu odgryzłem mu pół ucha. Przez to wydarzenie zniechęciłem tego człowieka. Po roku 1949 komuniści mówili, że nie tylko ten jeden właściciel ziemski był bezlitosny. Cała klasa rządząca była zła. Odtąd zacząłem gardzić wszystkimi, którzy posiadali ziemię i należeli do klasy kapitalistycznej. Ale dzięki rozmowom z Wenxin spojrzałem na to inaczej. Przestałem wierzyć w głoszoną przez Mao teorię „walki klas”.

Liao: I co było z panem dalej?

Feng: Czytał pan książkę amerykańskiego pisarza Edgara Snowa, *Red China Today*? Autor zamieszcza w niej wywiad z wykształconym w Ameryce chińskim intelektualistą, który wrócił do Chin, żeby przyłączyć się do rewolucji. Został napiętnowany jako prawicowiec. Oto jak opisał swoje doświadczenie: „Wszystkim w moim biurze, od chłopca na posyłki i sprzątaczkę począwszy, wolno mi mówić, jakim jestem burżujem, wolno im krytykować moje nawyki, życie rodzinne, arogancję intelektualną, sposób spędzania wolnego czasu, nawet moje milczenie. A ja muszę spokojnie to znosić [...]. Niektórzy ludzie wolą samobójstwo niż zgodę na coś takiego. Ja przyzwyczajałem się do tego latami, ale teraz uważam, że tylko na tym skorzystałem”. Dokładnie tak

samo było ze mną i Wenxin. Po ukończeniu studiów nie wolno mi było podjąć pracy. Siedziałem w domu i musiałem chodzić na publiczne oskarżenia. Kiedyś to ja prowadziłem takie zebrania i zawsze krytykowałem innych. Teraz jako prawicowiec zawsze byłem przedmiotem krytyki. Jak ten człowiek opisany w książce Snowa, przyzwyczailem się do tego, szczególnie po narodzinach naszych dzieci.

Liao: Czy kiedykolwiek żałował pan swojej decyzji?

Feng: Nie. Wielu ludzi mnie żałowało, współczuło mi z powodu, jak to nazywali, „mojego nieracjonalnego zaślepienia”. Ale ja uważam, że postąpiłem właściwie. Mając do wyboru między Partią i kobietą, wybrałem kobietę. Ludzie powinni stawiać życie osobiste na pierwszym miejscu, nie sądzi pan, młody człowieku? Przyłączyliśmy się do rewolucji komunistycznej, żeby nam się lepiej żyło, żebyśmy mieli co jeść, żeby każdy mógł się ożenić z piękną kobietą i założyć rodzinę. Ta podstawowa idea została w czasach Mao całkowicie wypaczona. Mówiło się tylko o abstrakcjach, takich jak Partia czy Lud. Życie osobiste było uważane za coś hańbiącego. Ale ani z Partią, ani z Ludem nie można się ożenić, prawda? Na każdym kroku słyszeliśmy takie bzdury, jak: „Taki-a-taki został wykarmiony przez Partię i Lud”. A czy ktoś widział kiedyś piersi Partii?

Żałowałbym do końca życia, gdybym podpisał tamtą listę i poparł decyzję Partii, żeby ukarać Wenxin i innych prawicowców. Teraz mamy inne czasy. Powinniśmy dziękować Deng Xiaopingowi za zakończenie epoki, w której ludzie żyli jak duchy, wyzuci z uczuć i emocji.

Liao: Jak zdobył pan miłość Wenxin?

Feng: Kiedy zostałem napiętnowany jako prawicowiec, poczułem wewnętrzny spokój. Napisałem do niej list miłosny. Pewnej nocy zakradłem się pod domostwo jej macochy, wsunąłem list przez otwór w drzwiach i uciekłem do domu. Wysłałem w ten sposób pięć czy sześć listów i na żaden nie dostałem odpowiedzi. Dużo się rozpytywałem i w końcu ktoś mi powiedział, że Wenxin została zesłana do gospodarstwa państwowego w Aksu w prowincji Sinkiang. Pojechałem więc ją odszukać. Jechałem pociągiem, a potem autobusem. Kiedy dotarłem na miejsce, nie

miałem już żadnych pieniędzy. Żyłem z tego, co wybrałem. Później miejscowa policja aresztowała mnie za migrację bez zezwolenia. Chcieli mnie wysłać do więzienia na pustyni Takla Makan. Powiedziałem im, że szukam Wenxin. Tak się złożyło, że areszt był niedaleko od jej gospodarstwa, przylegał do jego północno-zachodniego krańca. Policjanci skontaktowali się z gospodarstwem, odnaleźli Wenxin i potwierdzili prawdziwość mojej historii. W dniu, kiedy mnie tam zawieźli, zobaczyłem, jak Wenxin zbiera na polu bawełnę. Miała opaloną twarz i wyglądała zdrowo – reforma poprzez pracę fizyczną nawet wyszła jej na zdrowie. Kiedy ją zawołałem po imieniu, ledwo mnie poznała. Zajął jej dłuższą chwilę skojarzenie, że stojący przed nią brudny i obdarty człowiek to jej ukochany Feng Zhongci.

Dalszy ciąg tej historii to już nic nadzwyczajnego. Oboje byliśmy pravicowcami. Pod tym względem całkiem dobrze do siebie pasowaliśmy. Ponieważ przejechałem taki kawał drogi, żeby się do niej zalecać, nie mogła mnie odtrącić, chociaż nie byłem dla niej wymarzonym towarzyszem życia. Kiedy zwróciliśmy się do władz gospodarstwa z prośbą o zgodę na małżeństwo, poszły nam na rękę. Wydały Wenxin pozwolenie na podróż i dały dwa tygodnie wolnego. Wróciliśmy więc do Chengdu i odebraliśmy z urzędu miasta akt zawarcia małżeństwa. Po ślubie oboje złożyliśmy podanie o anulowanie meldunku w mieście i wyprowadziliśmy się do prowincji Sinkiang. Para kontrrewolucjonistów dobrowolnie przesiedliła się teren przygraniczny, żeby wspierać rewolucję socjalistyczną. Nikt nie miał żadnych obiekcji. Ponieważ Aksu było tak daleko od centrum życia politycznego, kolejne kampanie polityczne zupełnie nie miały wpływu na nasze życie. Pod koniec lat siedemdziesiątych, kiedy Deng Xiaoping anulował wcześniejsze zarządzenie Partii dotyczące pravicowców, wróciliśmy do Chengdu z dwojgiem dzieci, które urodziły nam się w Sinkiangu, i połączyliśmy się ze swoimi rodzinami. Tak mniej więcej wyglądało moje życie. Muszę powiedzieć, że teraz dość je sobie chwalebę.

Emerytowany urzędnik państwowy

Kiedy w 1960 roku w Syczuanie pojawił się głód, miałem dwa lata. Ponieważ moja matka nie mogła zdobyć dla mnie mleka ani innego pokarmu, umierałem na odmę, wzdęty jak bochenek chleba. Dzięki specjalście od medycyny chińskiej cudem przeżyłem, ale miliony innych dzieci i dorosłych nie miały takiego szczęścia. Zdaniem ekspertów w latach 1958–1960 w Chinach zmarło z głodu około trzydziestu milionów ludzi. Zheng Dajun, emerytowany urzędnik państwowy, kierował w tamtym czasie rządowym zespołem zadaniowym w wiejskim regionie Syczuanu. Był naocznym świadkiem niszczącego działania głodu, który jego zdaniem stanowi hańbiący rozdział w historii Chińskiej Partii Komunistycznej.

Poznałem Zhenga w czerwcu 2002 roku w sanatorium w Hui-longgou w okręgu Chongqing. Miał wtedy siedemdziesiąt dwa lata. Był niski, szeroki w barach i wyglądał bardzo szlachetnie. Zanim przeszedł na emeryturę, piastował wysokie stanowiska we władzach prowincji Syczuan.

Liao Yiwu: Kiedy byłem chłopcem, głód z lat 1958–1961 określało się zwykle mianem „trzech lat klęsk żywiołowych”. Rząd usiłował ukryć swoje błędy, obwiniając za głód suszę i powodzie, mimo że w wielu rejonach dotkniętych głodem panowały wtedy umiarkowane warunki atmosferyczne.

Zheng Dajun: Większość ludzi dobrze wiedziała, jak było, ale nikt nie miał odwagi kwestionować wersji oficjalnej. Ta część historii

traktowana była jako „tajemnica państwowa”. W 1959 roku marszałek Peng Dehui napisał do Przewodniczącego Mao, krytykując jego skrajną politykę, która doprowadziła do takiej katastrofy. Podczas rewolucji kulturalnej marszałek Peng został wydalony z Partii i skazany na śmierć. Teraz jest inaczej. Dzięki informacjom, które podano do wiadomości publicznej, wiemy, że ten głód był przede wszystkim dziełem człowieka. Uważam, że Partia Komunistyczna winna jest narodowi chińskiemu, w szczególności chłopom, szczerze wyjaśnienie i przeprosiny.

Liao: Nie sądzę, żeby w najbliższym czasie miało do tego dojść. Czy może mi pan opowiedzieć o swoich doświadczeniach z tamtych trzech trudnych lat?

Zheng: W 1948 roku, mając osiemnaście lat, wstąpiłem do armii komunistycznej, żeby walczyć z nacjonalistami. Dwa lata później, kiedy powstały nowe Chiny, zostałem zdemobilizowany i skierowany do pracy na terenach wiejskich. Moim zadaniem było zachęcanie chłopów do uczestnictwa w reformie rolnej. Ponieważ mojej rodziny nie było stać na posyłanie mnie do szkoły, byłem analfabetą. Dlatego kiedy podjąłem pracę, w dzień pracowałem, a wieczorami chodziłem na kursy czytania i pisania. Robiłem postępy w nauce i dzięki temu szybko awansowałem. W roku 1958, nim skończyłem dwadzieścia sześć lat, zostałem zastępcą dyrektora Okręgowego Zespołu do spraw Rolnictwa.

W latach pięćdziesiątych chłopcy ekscytowali się nowym rządem komunistycznym i byli gotowi zrobić wszystko, o co Partia poprosi. Na przykład Przewodniczący Mao powiedział, że wróble zjadają zboże i dlatego należy je wytepić. Wkrótce rozpoczęła się ogólnonarodowa kampania i wszyscy łapali wróble. Po dwóch latach niemal całkowicie wytepieno w Chinach te ptaki. Nie mieliśmy pojęcia, że zabicie wróbli zachwieje delikatną równowagą przyrody. Wróble zjadały ziarna zbóż, ale też owady, które po wyginięciu wróbli rozpleniły się i w wielu rejonach spowodowały klęski. Ale emocje wtedy wzięły górę, nikt nie śmiał kwestionować tego zarządzenia w sposób naukowy. Podobnie działo się podczas Wielkiego Skoku Naprzód.

Wiosną 1958 roku szef okręgu wysłał mnie z misją zbadań postępu Wielkiego Skoku Naprzód w Drugiej Brygadzie

Produkcyjnej w komunie Dongyang. Może zrobię krótkie wprowadzenie, bo wielu młodych ludzi nie wie zbyt dużo o tamtym okresie. Koniec lat pięćdziesiątych był dla Partii okresem krytycznym. Zaczęła pogłębiać się przepaść między naszym krajem a Związkiem Radzieckim. Dwa największe kraje socjalistyczne na świecie zaczęły być sobie wrogie. Sowietci coraz częściej grozili nam wycofaniem pomocy finansowej. Przewodniczący Mao i Komitet Centralny Partii zrozumieli, że Chiny muszą się stać *zili gengsheng*, czyli samodzielne i samowystarczalne. W krótkim czasie musieliśmy przekształcić naszą ojczyznę w kraj wysoce uprzemysłowiony. Dlatego właśnie Przewodniczący Mao ogłosił kampanię Wielkiego Skoku Naprzód. Popularnym wtedy sloganem były słowa: „Pędzimy ku rozwiniętemu społeczeństwu komunistycznemu”.

Trafiłem wtedy do rejonu, gdzie ziemia była bardzo żyzna, a pogoda łagodna. Okolice ta słynęła z produkcji ryżu, zboża, kukurydzy, fasoli i słodkich ziemniaków. Kiedy jednak zaczął się Wielki Skok Naprzód, ludziom było tak spieszo do tego, żeby wypracować wyniki, że zaczęli odrzucać tradycyjne sposoby uprawy ziemi. Kierownicy komun wdrażali instrukcje partyjne i kazali chłopom stosować nową metodę, zwaną „gęstością optymalną”, wynalazek pewnego uczonego radzieckiego. Zgodnie z nową metodą orano bardzo głębokie bruzdy i bardzo gęsto sadzono ryż czy wysiewano zboże. Według Partii dzięki tej metodzie można było dziesięciokrotnie zwiększyć zbiory z danego obszaru. W gazetach ukazywały się zdjęcia optymalnie zasianego ryżu, a towarzyszyły im takie nagłówki, jak *Chłopi w okręgu takim-a-takim dokonali cudów*. Wielu chłopów wiedziało, że takie wyniki były nierealne, ale nikt nie chciał zostać napiętnowany jako „wstecznik i konserwatysta”. Dlatego wszyscy poszli w ślady chwalonych w prasie rolników i zaczęli eksperymentować. Członkowie komuny Dongyang obsiewali każde *mu* [około 0,07 hektara] ziemi uprawnej najciaśniej, jak się dało. Początkowo zielone sadzonki wyglądały imponująco. Ale niedługo po wyjeździe naszego zespołu zadaniowego przyjaciel, który mieszkał w tej okolicy, dał nam znać, że wiele sadzonek obumarło, a pozostałe albo się nie przyjęły, albo nie pyliły. Kierownicy

komuny byli przygnębieni, bo miała do nich przyjechać kolejna inspekcja. Tuż przed przyjazdem inspektorów kazali chłopom przenieść ryż z dwudziestu *mu* uprawianych w sposób tradycyjny i zasadzić na małym skrawku ziemi. Zgodnie z oczekiwaniami, inspektorzy byli pod wielkim wrażeniem. Reporterzy napisali długi artykuł i zilustrowali go zdjęciem sekretarza Partii komuny, który uśmiechał się i machał ręką. Po artykule zjechało się do tamtego regionu wielu ludzi, którzy chcieli podziwiać sukces na własne oczy. Zrobił się istny cyrk. W całym kraju trwał wyścig, kto kogo prześcignie w dokonywaniu rolniczych cudów. Oszustwo było wtedy na porządku dziennym.

Jesienią 1958 roku nasz kraj przestawił się z rolnictwa na produkcję stali. Głównym sloganem było *chao-ying-gan-mei*, „prześcignąć Anglię i dogonić Stany Zjednoczone”. Władze okręgu po raz drugi wysłały mnie wraz z zespołem zadaniowym do komuny Dongyang. Wszyscy wieśniacy, starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety, ruszyli na najbliższą górę. Ścinali drzewa, żeby mieć czym palić w piecach budowanych na podwórzach i szukali rud żelaza. Przedstawiciele władz chodzili zaś od drzwi do drzwi i kazali chłopom oddawać do przetopienia garnki i patelnie, metalowe klamki i narzędzia rolnicze. Piece pracowały dzień i noc. Nikt nie zajmował się żniwami i zbiory zgniły na polach. Góra została ogołociona z drzew. A na domiar złego, żelazo, które wyprodukowali dzięki tym wszystkim wysiłkom, do niczego się nie nadawało.

Liao: Skoro wszyscy oddali garnki i patelnie, to jak gotowali?

Zheng: Wszelka własność prywatna została zarekwirowana, żeby można było stworzyć społeczeństwo komunistyczne z prawdziwego zdarzenia. Kazano wieśniakom rozebrać domowe piece i w każdej wsi powstała kuchnia komunalna. Gotowanie posiłków w domu stało się nielegalne. W jednej wsi wszyscy mieszkańcy wprowadzili się do jednego magazynu, żeby żyć razem jak jedna, wielka socjalistyczna rodzina. Przed kolektywizacją wiele rodzin hodowało świnię, owce i kury. Potem komuny przejęły zwierzęta i trzymały je we wspólnych zagrodach.

Na drugi dzień po naszym przyjeździe sekretarz Partii zabrał nas na obiad do kuchni komunalnej. Kiedy weszliśmy, wszyscy

przestali jeść, wstali i powitali nas brawami. Potem zaczęli śpiewać *Socjalizm jest dobry*. W imieniu zespołu zadaniowego zapytałem wieśniaków, czy mają pod dostatkiem jedzenia. Wszyscy krzyknęli jednym głosem: „Tak”. Potem wystąpił miejscowy pieśniarz z akompaniamentem bambusowej kołatki. Śpiewał mniej więcej tak: „Życie chłopów nie zależy już od ziemi i nieba. Zależy od Przewodniczącego Mao i Partii Komunistycznej, która przyniosła im szczęście i rekordowe zbiory”.

Podchodziłem do stołów i witałem się z każdym uściśnięciem ręki. Zauważyłem, że na stołach leżą kosze pełne chleba kukurydzianego. W kuchni stały dwa wielkie gary zupy ze słodkich ziemniaków. Każdy wieśniak, niezależnie od wieku, dostawał cztery duże kawałki chleba i tyle zupy, ile mógł zjeść.

Jeden chłop podszedł do mnie i poskarżył się, że chlebem i zupą człowiek się nie naje. Potrzebuje mięsa i tłuszczu. Sekretarz Partii kazał mu odejść i powiedział: „Jeśli będziecie ciężko pracować, Chiny staną się prawdziwym społeczeństwem komunistycznym. A wtedy będziemy mieli mięsa pod dostatkiem. Jak będziecie chcieli, będziecie mogli wtedy zjeść i całego świniaka naraz”.

Chłop odszedł, z wyrazem niezrozumienia na twarzy. Sekretarz kazał mi się nim nie przejmować.

Potem nasz sześciuosobowy zespół zaprowadzono do prywatnej sali jadalnej, gdzie już czekał stół zastawiony „dwoma razy gotowaną wieprzowiną”*, duszonymi świńskimi podrobami i pieczonym kurczakiem. Zapytałem, dlaczego nas traktuje się inaczej niż resztę. Sekretarz Partii odpowiedział: „Kierownictwo komuny zwołało wczoraj zebranie i postanowiło zarznąć świnie i kilka kurczaków, żeby okazać szacunek przysłanemu z okręgu zespołowi zadaniowemu”. W tamtych latach powszechnie zdarzało się, że miejscowe władze przekupywały zespoły zadaniowe, żeby pisały w raportach same pozytywne wnioski. Dlatego Komitet Centralny Partii wprowadził surowe reguły mające na celu wykorzenie korupcji. W tej sytuacji musieliśmy zachować

* *Huìguo rou* (dosł. „mięso, które wróciło do garnka”) to danie z tłustej wieprzowiny, najpierw obgotowanej, potem usmażonej.

rozważę. Kazałem sekretarzowi Partii przynieść nam chleb kukurydziany i zupę, a mięso rozdzielić między wieśniaków podczas kolacji.

Późną jesienią 1960 roku zostałem znów wysłany z zespołem zadaniowym do komuny Dongyang. To była moja trzecia wizyta w tej komunie. Zastałem dramatyczne zmiany. Wielki Skok Naprzód oderwał chłopów od uprawy roli. Zbiory były mniejsze niż zwykle, ale mimo to trzeba było wywiązać się z nałożonych przez rząd kwot. W wielu miejscowościach kierownicy komun oddawali państwu zboże, które wieśniacy trzymali w zapasach. Wieśniakom zostało na zimę mało jedzenia.

Świetnie funkcjonująca niegdyś kuchnia komunalna była zniszczona. Ścianę oddzielającą kuchnię od sali jadalnej zburzono, bo chłopcy oskarżali kucharzy o defraudację pożywienia. Chcieli móc patrzeć kucharzom na ręce. W porze obiadowej ustawiały się w kolejce setki ludzi, każdy z miseczką w ręku. Wyglądali na osłabionych. Lao Wang, członek mojego zespołu, poprosił sekretarza Partii, żeby nie mówił im o naszej wizycie. Po prostu staliśmy i patrzyliśmy, co się dzieje. Sala wyglądała na opustoszałą. Zniknęły stoły i krzesła. Na obiad podawano zupę z warzywami, ryżem i łuskami ryżowymi. Kiedy ktoś dostał swoją porcję, dołączał do jednej z grup posilających się ludzi i siadał w kucki na podłodze. Większość szybko wypijała zupę, a potem starannie wylizywała miseczkę, jakby chcąc ją zjeść. Jeden z przedstawicieli miejscowych władz, który był naszym pomocnikiem, powiedział mi w prywatnej rozmowie, że zupa z ryżem i łuskami była wyjątkowym przysmakiem. Zwykle wieśniacy dostawali tylko zupę ze słodkich ziemniaków. Byliśmy zszokowani. We władzach okręgu ilości jedzenia były ograniczone, ale każdy z nas dostawał miesięcznie określoną rację. U nas nikt nie głodował. Na widok tego tłumu w jadalni poczułem się winny.

Kiedy chłopcy skończyli jeść, sekretarz Partii wprowadził nas do sali i krzyknął: „Powitajmy w naszej komunie towarzyszy z okręgowego zespołu zadaniowego!”. Wszyscy wstali i zaczęli rytmicznie klaskać, a do tego trzy razy wyskandowali slogan: „Kuchnia komunalna jest dobra. Dostajemy świetne jedzenie.

Dziękujemy Przewodniczącemu Mao! Dziękujemy Partii, że wprowadziła nas na drogę socjalizmu!”. Zanim skończyli, kilka osób osunęło się na podłogę. Ci ludzie byli tak słabi, że nie mieli siły tak długo stać.

Wieczorem nasz zespół zwołał publiczne zebranie, na którym przekazałem wieśniakom najnowsze wieści: zważywszy na niezwykle trudną sytuację w rejonach wiejskich, Partia postanowiła odwołać część z ogłoszonych wcześniej decyzji kolektywizacyjnych. Skonfiskowana własność prywatna miała wrócić do pierwotnych właścicieli. Zebrani byli tymi nowinami bardzo podekscytowani. Jeden starzec wstał i ze łzami w oczach powiedział: „Dzięki niech będą niebiosom! Wreszcie będę mógł umrzeć pod własnym dachem”. Ale lokalni oficjele, w tym miejscowy sekretarz Partii, mieli podczas mojej przemowy niezadowolone miny. Po zebraniu sekretarz wziął mnie na stronę i powiedział: „Nie mamy czego tym ludziom zwrócić. Przez ostatnie dwa lata rozkradziono większość własności publicznej. W ramach protestu rozwalili nawet wielki gar do gotowania ryżu w kuchni komunalnej. Nie winię ich, bo są głodni. To beznadziejna sytuacja”. Zganiłem go za zbyt pesymistyczne podejście do przyszłości. On na swoją obronę powiedział: „Jako członek Partii Komunistycznej starałem się wykonywać swoje obowiązki. Ale mamy naprawdę ciężką sytuację. Coraz więcej ludzi umiera z głodu. Wie pan, że w tej okolicy dochodzi do aktów kanibalizmu?”.

Jego słowa mnie zaszokowały. Zacząłem wypytywać o szczegóły. Sekretarz rozglądnął się, po czym powiedział szeptem: „Moja córka jest żoną mężczyzny ze wsi po drugiej stronie góry. W zeszłym tygodniu przyszła do nas i powiedziała, że w jej wiosce wiele dziewczynek zostało zabitych i zjedzonych”.

Nie mogłem uwierzyć własnym uszom. Jeżeli to, co mówił, było prawdą, musiałem w trybie pilnym zgłosić to w okręgu. Wyśłałem tam jednego z moich ludzi. Sam pożyczyłem rower i zaraz pojechałem do wsi, o której mówił sekretarz. Poinformowałem towarzysza Liu, kierownika tamtejszego zespołu zadaniowego, o tym, czego się dowiedziałem. Nie miał pojęcia, że coś takiego dzieje się w jego wsi.

W ciągu kolejnego tygodnia przeprowadziliśmy dokładne dochodzenie i odkryliśmy straszny skandal, przypadki kanibalizmu w Piątej Jednostce Produkcyjnej. W jej skład wchodziły osiemdziesiąt dwie rodziny, łącznie czterysta dziewięćdziesiąt jeden osób. Od grudnia 1959 do listopada 1960 roku wieśniacy zabili i zjedli czterdzieścioro ośmiu dzieci płci żeńskiej poniżej siódmego roku życia, co stanowiło dziewięćdziesiąt procent dziewczynek w tej grupie wiekowej. Kanibalizmu dopuszczało się około osiemdziesięciu procent rodzin.

Wang Jiefang był księgowym Piątej Jednostki Produkcyjnej. Jako pierwszy był świadkiem kanibalizmu. Podczas dochodzenia powiedział nam, że w jego wiosce głód zaczął się w grudniu 1959 roku, kiedy w kuchni komunalnej skończyło się jedzenie i podczas posiłków podawano tylko zupę z rosnących dziko warzyw albo po prostu wrzątek. Kiedy jedzenie się skończyło, wieśniacy zaczęli szukać innych sposobów wyżywienia. Chodzili po górze i jedli wszystko, co się dało – liście, korzonki trawy, dzikie warzywa, grzyby i robaki. Wielu umierało po przypadkowym zjedzeniu jakiejś trującej rośliny. Z czasem ludzie byli coraz bardziej zdesperowani i zaczęli zjadać bliźnich.

Przedstawiciele władzy w wiosce byli w innej sytuacji. Ukradli sporą ilość zboża i kilka razy w tygodniu, po północy, potajemnie gotowali i jedli w kuchni komunalnej. Kiedy zapraszany na te nocne posiłki szef urzędu bezpieczeństwa nie mógł już znieść ciężaru winy, powiedział naczelnikowi wioski, że to, co robi, jest nie w porządku, na co ten odparował: „Zwykli wieśniacy mogą umierać z głodu, ale członkowie Partii nie. Gdyby nam coś się stało, Rewolucja straciłaby kręgosłup”. Kiedy już napchali się kradzionym jedzeniem, ci hipokryci patrolowali wieś, pilnowali, żeby nikt nie naruszał obowiązujących przepisów i żeby z kominów prywatnych domów nie unosił się dym.

Pewnej jasnej księżycowej nocy Wang i jeszcze jeden milicjant byli na służbie. Patrolując wieś, zauważyli, że dymi komin w domu należącym do Mo Erwa. Wang był zdziwiony, bo Mo Erwa był dość uczciwym chłopem, który nigdy wcześniej nie łamał prawa. Mieli z żoną siedmioro dzieci. Dwoje umarło z głodu. Wang z kolegą postanowili sprawdzić, czy Mo Erwa nie ukradł skądś jedzenia.

Mo Erwa miał duże podwórko od frontu i od tyłu, ogrodzone pasem wysokiej kukurydzy. Wang i drugi oficer podeszli tuż pod to ogrodzenie i schowali się za nim. Zobaczyli, że na ganku przed domem siedzi żona Mo Erwa. Najwyraźniej miała wypatrywać patrolu. Wang z kolegą przekradli się cicho na tyły domu, skąd prowadziły drzwi do kuchni. Wang mówił, że widział w ciemności słabe światło lampy naftowej. Kopnięciem otworzyli drzwi i wpadli do środka. Wang poświecił latarką i krzyknął: „Nie ruszać się”. Mo Erwa i jego dzieci wpadli w panikę. Zgasili lampę i zaczęli biegać w ciemności jak szczury. Któreś z nich strąciło przy tym na ziemię garnek z gorącą zawartością. W całym pomieszczeniu uniosła się para i zapachniało tłustym mięsem. Wang krzyknął znów: „Nie ruszać się, bo będę strzelał”. Ta groźba podziałała. Kiedy Mo Erwa i jego dzieciaki się uspokoili, Wang wziął zapalną i zapalił z powrotem lampę. Zobaczył, że Mo Erwa wykopał w podłodze kuchni dół, który służył za prowizoryczny piec. Obok dołu leżał wywrócony garnek, a na podłodze walały się kawałki mięsa. Wang zapytał: „Skąd masz mięso?”. Mo Erwa odpowiedział spokojnie: „Ugotowaliśmy naszą trzyletnią córkę”. Milicjant mu nie uwierzył. Podniósł z ziemi jeden kawałek mięsa i obejrzał go, świecąc sobie latarką. Ale nie zdążył ocenić, czy to ludzkie mięso, czy nie, bo Mo Erwa wyrwał mu ten kawałek z rąk i wepchnął sobie do ust. Zaraz za jego przykładem poszły wszystkie dzieci, rzuciły się na podłogę i zaczęły zbierać pozostałe kawałki mięsa. Mimo krzyków i gróźb Wanga rodzina w kilka minut zjadła mięso, tak że nie został ani kawałek. Wang z kolegą w końcu unieruchomili Mo Erwa, związali mu ręce na plecach i zawlekli do naczelnika wioski.

Na drugi dzień naczelnik wioski posłał kilku ludzi, żeby zbadali sprawę. Znaleźli mały worek kości i czaszkę dziewczynki, zakopane na podwórzu za domem. Naczelnik był tak pełen wstrętu dla zbrodni Mo Erwa, że kazał wymierzyć mu pięćdziesiąt batów. Mo Erwa krzyczał, a cała jego rodzina klęczała pod salą przesłuchań i błagała o litość dla niego. Jak twierdził Mo Erwa, nie mieli co dawać jeść ich trzyletniej córce. Z niedożywienia wcale nie rosła. Więc ją zabili. Naczelnik przerwał mu: „Wiesz, że zabicie i zjedzenie dziecka to poważne przestępstwo?”. Mo Erwa

odpowiedział mu na to: „Tak czy owak umarłaby z głodu. Lepiej było ją poświęcić, żeby przeżyła reszta rodziny. Mamy nadzieję, że w następnym życiu wcieli się w coś innego niż człowiek. Los człowieka jest strasznie ciężki”.

Po wymierzeniu kary naczelnik wioski zwołał na zebranie kilku innych członków Partii. Postanowili, że zatuszują sprawę, bo bali się, że gdyby wyszła na jaw, przypłaciliby ją zwolnieniem z pracy. Dwa dni później Mo Erwa wyszedł więc na wolność, ale jego historia szybko rozeszła się po wsi. Odczytano ją jako znak, że władza popiera takie zachowania i ludzie poszli w jego ślady. Ponieważ tradycyjnie chłopców ceniono wyżej niż dziewczynki, ofiarami padły właśnie one. Niektóre rodziny bez skrupułów zabijały i zjadały własne córki. Inne wymieniały się dziećmi z sąsiadami. Ponieważ takie dziecko wystarczało zaledwie na kilka dni, niektórzy, między innymi Mo Erwa, zaczęli porywać dzieci z pobliskich wiosek. Pułapki, które kiedyś zastawiano na wilki, służyły teraz do łapania dzieci.

Kiedy się o tym dowiedzieliśmy, takie praktyki zdążyły się przyjąć i w innych wsiach.

Liao: Zgłosił pan wyniki dochodzenia władzom prowincji?

Zheng: Napisałem długi raport i osobiście dostarczyłem go szefowi okręgu. Miałem nadzieję, że władze podejmą działania prawne zakazujące zabijania dzieci i powstrzymają kanibalizm w tym rejonie. Sugerowałem też, żeby szef okręgu zgłosił te przypadki władzom prowincji i poprosił o pilnie potrzebne racje żywnościowe. Ale on tylko westchnął, kiedy przeczytał mój raport: „Co władze prowincji mogą zrobić? Rząd centralny rozdzielił już żywność, trzydzieści pięć kilogramów ryżu i zboża na rodzinę na rok. W całym kraju panuje trudna sytuacja”. Miał rację. Gazety zamieszczały zdjęcia Przewodniczącego Mao w połatanych bluzach i spodniach. Samodzielnie uprawiał ogródek warzywny przed domem. Liu Shaoqi, który był wtedy przewodniczącym, jeździł na przedmieścia Pekinu i zbierał jagody, żeby uzupełnić swoją rację żywnościową.

Liao: Nie sądzi pan, że to było tylko na pokaz? Za głód powinni odpowiedzieć Przewodniczący Mao i inni wysoko postawieni urzędnicy państwowi.

Zheng: Ja nie winię Przewodniczącego Mao. Pełną odpowiedzialność za katastrofy w naszej prowincji powinni ponieść przedstawiciele miejscowych władz, tacy jak Li Jinqun, sekretarz Partii Biura Regionu Południowo-Zachodniego. On ukrywał prawdę przed Komitetem Centralnym Partii. Kazał wieśniakom oddać rządowi centralnemu całe zapasy zboża, mimo że ludzie umierali z głodu. Mówił rządowi centralnemu, że w prowincji Syczuan są świetne warunki klimatyczne i powstała nadprodukcja zboża. Kiedy ludzie w jego regionie umierali z głodu, oferował nawet pomoc innym prowincjom.

W komunie Dongyang i we wszystkich terenach wiejskich w Syczuanie wieśniacy jedli białą glinę, zwaną błotem *guanyin*. Spróbowałem jej kiedyś. Ma słodki, metaliczny smak. Bardzo ją ceniono, bo pozwalała uśmierzyć uczucie skrajnego głodu. Niektórzy zjadali jej za dużo i zatykała im jelita. Wtedy w miejsce głodu pojawiały się bóle brzucha. Stale widywałem ludzi, którzy leżeli na ziemi i wili się z bólu, tak ich bolały brzuchy po zjedzeniu glinki. Najskuteczniejszymi środkami przeczyszczającymi były surowy olej roślinny albo olej rycynowy, który co prawda oczyszczał organizm z glinki, ale powodował śmierć, bo wywoływał niemożliwą do opanowania biegunkę.

W tamtych latach życie zwykłych ludzi było nic niewarte. Ci, którzy znajdowali się u władzy, mieli dostęp do jedzenia. Nie musieli jeść białej glinki ani zabijać własnych córek. Ale biedne rodziny musiały uciekać się do wszystkiego, żeby przeżyć.

Liao: Jak ostatecznie położył pan kres kanibalizmowi w tamtym regionie?

Zheng: Trzy miesiące po przeprowadzonym przez nas dochodzeniu Mo Erwa został znów zatrzymany. Złapał w pułapkę i zabił dwóch chłopców z sąsiedniej wioski. Tym razem władze okręgu musiały zareagować. Miejscowa policja aresztowała Mo Erwa, urządzono mu proces. Został skazany na karę śmierci. Urządzono publiczną egzekucję, licząc na to, że wieśniaków to wystraszy i przypadki kanibalizmu nie będą się powtarzać. Zanim miejscowi milicjanci do niego strzelili, Mo Erwa krzyknął głośno: „Jestem niewinny. Byłem głodny”. Od jego krzyków milicjanci mieli łzy w oczach. Nie potrafili

pociągnąć za spust. W końcu robotę musiała dokończyć policja okręgowa.

Liao: Co było dalej?

Zheng: Wiosną 1961 roku głód wcale nie zelżał. Wróciłem do komuny Dongyang jako kierownik czteroosobowego zespołu roboczego. Też byłem w nie najlepszej formie. Miałem spuchnięte nogi. Ledwo mogłem chodzić. Jedliśmy dużo zupy kukurydzianej z dzikimi warzywami i trawą. Ale byłem wtedy dość młody i jakoś dałem sobie radę. Poza tym kiedy jeździłem na comiesięczne zebrania w kierownictwie okręgu, mogłem się parę razy najeść do syta. W tamtejszej stołówce nie brakowało jedzenia dla pracowników.

Liao: Ludziom w miastach wiodło się lepiej niż tym na wsi.

Zheng: Mieszkańcy miast mieli zagwarantowaną miesięczną rację żywnościową. Rząd apelował do mieszkańców miast, żeby ofiarowywali jedzenie i pieniądze na potrzeby mieszkańców wsi. Ale to było za mało, żeby na wsi odczuć jakąkolwiek poprawę. W podległym mi regionie pojawiła się druga fala kanibalizmu. Na szczęście obyło się bez zabijania dzieci. Ludzie po prostu odkrawali mięso z tych, którzy umarli z głodu.

Liao: Aresztował pan kolejnych sprawców, żeby ukrócić takie praktyki?

Zheng: Z punktu widzenia prawa to była szara strefa, bo sprawcy nikogo nie zabijali. Trudno było ludzi karać. Pomijając kwestie moralne i etyczne, musieliśmy przyznać, że jedzenie ludzkiego mięsa było lepszym wyjściem niż jedzenie białej glinki. Mięso było lekkostrawne, choć od lekarzy dowiedzieliśmy się, że jedzenie ciała martwego człowieka może spowodować najróżniejsze choroby. Ale ludzie byli zdesperowani, było im wszystko jedno, czy się czymś zarażą, czy nie. Kiedy umierał ktoś z rodziny, ci, którzy pozostali przy życiu, zjadali jego mięso.

Naprawdę nie mieliśmy podstaw prawnych do aresztowania ludzi, którzy się dopuszczali takich czynów. Po prostu przymykaliśmy na to oko. Ale wielu wieśniaków opierało się jedzeniu ludzkiego mięsa. Raz wybrałem się w odwiedziny do kilku rodzin, które mieszkały razem w wielkim domu z dziedzińcem. Czterech mężczyzn leżało na drzwiach wyjętych z futryn. Leżeli na brzuchu

i mieli rozłożone nogi. Inni wlewali im do odbytów olej tungowy, który pomagał na zatwardzenie. Ktoś mi wyjaśnił, że najpierw próbowali zmuszać cierpiących na zatwardzenie do picia tego oleju, ale on strasznie śmierdzi i ma okropny smak. Wielu ludzi po nim wymiotowało, ciężko było dostarczyć olej do jelit. Postanowili więc spróbować od drugiej strony. Zaproponowałem, żeby użyli oleju roślinnego, który jest mniej trujący. Popatrzyli wtedy na mnie dziwnie i zapytali: „Wie pan, że od dwóch lat nie widzieliśmy oleju roślinnego na oczy? To prawda, że olej tungowy uszkadza jelita. Ale warto to wycierpieć, byle tylko oczyścić organizm z glinki”. Nie mogłem zostać, żeby obserwować operację. Zanim odszedłem, jeden z czterech mężczyzn otworzył oczy i powiedział: „Niech pan powie rządowi, że nigdy nie tknęliśmy ludzkiego mięsa. Wolelibyśmy umrzeć, niż popełnić taką zbrodnię”.

Nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć. Musi pan przyznać, że chińscy chłopci to wyjątkowo łagodni i posłuszni ludzie. Nigdy nawet im nie przyszło do głowy, żeby powstać przeciwko tym, przez których tyle wycierpieli. Założę się, że nawet o tym nie pomyśleli.

Liao: Nawet gdyby przeszła im taka myśl przez głowę, nie działałoby wiele. Partia kontrolowała wszystko. Przewodniczący Mao nie bał się, że ludzie powstaną przeciwko niemu. Mógł ich zgnieść jak robaki.

Zheng: Partia martwiła się, że może dojść do buntu chłopów. Dlatego właśnie wysyłała w tereny wiejskie zespoły zadaniowe. Byliśmy jak strażacy, naszym zadaniem było gaszenie pożarów niezadowolenia, które wybuchały wśród wieśniaków.

Liao: I to się udawało?

Zheng: Tak. Poza tym, że zajmowaliśmy się przypadkami kaniibalizmu, nasze główne zadanie polegało na tym, żeby łagodzić surową politykę Partii i pomóc wieśniakom przeżyć. Wśród urzędników krążyło wtedy takie powiedzenie: „Nieważne, czy kot jest biały, czy czarny, jeśli umie łowić myszy, to jest dobry”. Robiliśmy wszystko, żeby ocalać ludziom życie. Rozebraliśmy jadalnię komunalną. Wieśniacy mogli posiadać własne narzędzia kuchenne. W każdym domu wybudowano nowy piec ceglany, żeby mogli sami sobie gotować posiłki. W dawnych czasach

rządowe subwencje żywnościowe trafiały do komun, kierownicy komun zwykle część rozkradali, a resztę rozdzielali między jednostki produkcyjne. Z kolei każda jednostka produkcyjna wydalała racje kuchniom komunalnym w poszczególnych wsiach. Dlatego zanim rządowa żywność trafiła do miseczki wieśniaka, zostawało jej bardzo mało. My uprościliśmy ten proces, dystrybuując kryzysową pomoc żywnościową bezpośrednio wśród wieśniaków. Dzienna racja wynosiła pół kilograma na osobę. Członkowie mojego zespołu stali przy magazynie i pilnowali, żeby nikt nie kradł przysłanej żywności. Każdej rodzinie wyznaczaliśmy też małe pole do uprawy warzyw i zboża na własne potrzeby. Oczywiście, *ziliudi*, czyli system „ziemi na potrzeby własnego utrzymania” został potępiony podczas rewolucji kulturalnej jako praktyka kapitalistyczna.

Liao: Ale najwyraźniej takie praktyki „kapitalistyczne” ocalały podczas głodu niejedno życie.

Zheng: Owszem. Sytuacja stopniowo się poprawiała. Latem 1962 roku głód właściwie się skończył. Przed rokiem 1962 koncentrowaliśmy się na tym, jak zdobyć pożywienie dla wieśniaków. Myśleliśmy o jedzeniu dzień i noc i wpadaliśmy na wiele twórczych rozwiązań. Na przykład zbieraliśmy słomę i łodygi ryżu, mieliliśmy drobno i długo gotowaliśmy, żeby wytrąciła się skrobia. Z tej skrobi robiliśmy później placki. Smakowały całkiem nieźle. Posyłaliśmy też ludzi, żeby zbierali mocz. Wlewaliśmy go do dużego zbiornika i mieszaliśmy z kompostem. Po tygodniu na powierzchni pływała warstwa zielonych alg. Zbieraliśmy ją, dodawaliśmy wody i cukru i wypijaliśmy. Całkiem smaczny napój.

Liao: Muszę powiedzieć, że byliście urzędnikami bardzo oddanymi swojej pracy. Czytałem niedawno artykuł o tym, że podczas trzyletniego głodu mieszkańcy pewnej wsi zebrali w jednym miejscu byłych właścicieli ziemskich, bogatych chłopów i innych kontrrewolucjonistów, zabili, ugotowali w wielkim kotle i zjedli. Potem wszyscy podnosili okrzyki na cześć tego, co nazwali „zwycięstwem w walce klas”. Czy spotkał się pan z czymś takim?

Zheng: Nie. Mocno wątpię w prawdziwość tej historii. Do kanibalizmu prowadził głód, nie nienawiść. To prawda, że klasa

właściciele ziemskich była atakowana w kilku kampaniach politycznych, ale nie słyszałem o żadnym incydencie takim jak ten, o którym pan mówi. Na terenach wiejskich obowiązywała powszechnie akceptowana norma, że jedzenie mięsa ludzkiego jest złe, nawet jeśli było to mięso kontrrewolucjonisty. Poza tym kanibalizm uprawiano w tajemnicy, bo ludzie wiedzieli, że gdyby dali się przyłapać, rząd ludowy by ich ukarał. Do kanibalizmu dochodziło wtedy, kiedy rząd nie radził sobie z wykarmieniem narodu. To wielka szkoda, że straciliśmy więcej obywateli w czasie pokoju niż podczas wojny. Partia popełniła poważne błędy. Minęło pół wieku, a jej przywództwo wciąż nie przedstawiło ludowi oficjalnego wyjaśnienia przyczyn tego stanu rzeczy. To smutne.

Były właściciel ziemski

Mój dziadek przez całe życie nie ruszał się poza swoją rodzinną miejscowość. Niegdyś był właścicielem ziemskim w regionie Heiping w prowincji Syczuan. Ziemia, którą skupował z biegiem lat, przyniosła mu bogactwo przed przejęciem władzy przez komunistów w 1949 roku, ale także stała się źródłem niekończących się nieszczęść i kłopotów. W roku 1950, kiedy Przewodniczący Mao wprowadził reformę polegającą na rozdawaniu ziemi ubogim i ogłoszeniu właścicieli ziemskich wrogami ludu, mój dziadek stracił cały majątek i jako przedstawiciel pewnej klasy stał się celem wielu kampanii politycznych Mao.

Zawsze chciałem wypytać go o jego życie, ale nigdy nie było odpowiedniej okazji. Zmarł w roku 1988 w wieku osiemdziesięciu czterech lat.

Jeden z moich przyjaciół pisarzy, Zhou Mingyue, dał mi szansę naprawienia tego błędu. Jego dziadek, Zhou Shude, także był kiedyś właścicielem ziemskim. Niedawno odwiedziłem go w wiosce w północnym Syczuanie. W wieku osiemdziesięciu dziewięciu lat starszy pan Zhou zachował jasność umysłu i wysławiania się.

Liao Yiwu: Nauczycielu, jakie jest dziś, w tak zaawansowanym wieku, pana największe marzenie?

Zhou Shude: Nie mam żadnych marzeń. Stałem się samotnym starcem. Wychowałem trzech synów i trzy córki. Żadne z dzieci nie mieszka dziś ze mną. Wszystkie robią gdzie indziej karierę zawodową.

Liao: Pana dom jest nieco zaniedbany. Dlaczego dzieci nie dadzą panu pieniędzy na remont?

Zhou: Ojciec Mingyue wiele razy mi mówił, że będzie pokrywał moje wydatki na życie, jeżeli zamieszkać z moją drugą córką w Panjiagou. Ale jeśli pojedę, kto się zaopiekuje domostwem naszych przodków? Poza tym musiałbym wtedy zrzec się mel-dunku i nie byłbym już członkiem wioski Zhou. A wtedy władze mogłyby przekazać moją ziemię komuś innemu. Ten dom wygląda teraz jak rudera, ale kiedy był nowy, był pięknym domem z dziedzińcem, z lewym skrzydłem, prawym skrzydłem, wielkim pokojem centralnym, dobudówką i mieszkaniem dla służby. Mój dziad kupił tę nieruchomość i przekazał ojcu. Mój ojciec zmarł w 1934 roku z wycieńczenia spowodowanego przepracowaniem. W testamencie podzielił całą ziemię i ten dom na dwie równe części, które przeznaczył dla mojego starszego brata i dla mnie.

Mój brat, Zhou Shugui, był czarną owcą w rodzinie. Od wielu lat już nie żyje, ale do dziś nie mogę mu wybaczyć. Jeszcze się z nim nie porachowałem. Kiedyś się z nim w końcu policzę, nawet gdyby miało to oznaczać, że muszę za nim pójść do piekła. Kiedy tylko dostał swoją część spadku, zaczął po kilka razy w miesiącu jeździć do miasta, jeść i pić w drogich restauracjach i odwiedzać prostytutki. Co gorsza, uzależnił się od opium. Młodzi ludzie tacy jak pan raczej nie wiedzą, co to znaczy być opiumistą. To znaczy, że całe życie jest zniszczone. Taki człowiek potrafi puścić z dymem cały majątek. Tak właśnie było z moim bratem. W ciągu kilku lat sprzedał swoją ziemię, a potem też dom, żeby mieć pieniądze na nałóg. Wie pan co? Oddał w zastaw nawet własną żonę. Kiedy się o tym dowiedziała, wskoczyła do pobliskiego stawu, żeby się utopić, ale krewni ją powstrzymali. Jednak nawet to nie przemówiło mu do sumienia. W końcu jego żona poszła do przywódcy klanu Zhou i ubłagała go, żeby udzielił jej rozwodu.

Naczelnik klanu wysłał do domu mojego brata miejscowego milicjanta. Ten wyłókł brata z domu i przywiązał do wielkiego drzewa w środku wioski. Stał tam przez tydzień, moknąc na deszczu i piekąc się w słońcu. W taki sposób przeprowadzaliśmy

odtruwanie organizmu. Ale parę minut po tym, jak odwiązano go od drzewa, wpadł do mojego domu i błagał, żebym dał mu pieniądze na zakup opium. Kiedy odmówiłem, walił głową w ziemię, bił się po twarzy i rzucał o ścianę. Widząc, że to wszystko nie robi na mnie wrażenia, zaczął mi grozić. Mówił, że jeśli nie dam mu pieniędzy, spali naszą świątynię przodków. Chociaż nie byłem do tego przekonany, spełniłem jego życzenie, ale pod warunkiem że potwierdzi na piśmie zerwanie ze mną stosunków rodzinnych. Rodzina wcale go nie obchodziła. Przyłożył palec do oświadczenia, zostawiając odcisk, wziął dziesięć srebrnych monet, które mu dałem, i zniknął. Przywódca naszego klanu był człowiekiem o bardzo dobrym sercu. Zwołał wszystkich członków rodziny Zhou i oficjalnie oświadczył, że Zhou Shugui był hańbą rodziny i został z niej na zawsze wydalony. Gdyby ktoś kiedyś zobaczył go w wiosce, przywódca klanu miał wydać rozkaz, żeby połamano mu nogi.

Żeby naprawić reputację rodziny, ciężko pracowałem, wstawiałem wcześniej i kładłem się spać późno wieczorem. Zająłem się handlem solą, a moja żona, która była w szóstym miesiącu ciąży, pracowała w polu razem z robotnikami najemnymi. Przysięgłem sobie, że odkupię majątek, który wysprzedał mój brat. Ciężko się wtedy zarabiała pieniądze, ale równie ciężko było je zatrzymać. Do 1937 roku udało mi się spłacić wszystkie długi brata. Zaprosiłem bratową z dziećmi, żeby znów zamieszkały z nami. Zajęły prawie skrzydło domu. Znowu byliśmy szczęśliwą rodziną. Każdy dokładał do tego swoją część. I ludzie, i zwierzęta byli zdrowi. Nasze życie wreszcie biegło właściwym torem. Co wieczór przed pójściem do łóżka zapalałem świecę i paliłem kadzidło, dziękowałem przodkom i prosiłem ich o błogosławieństwo.

Niestety, nasze szczęśliwe życie nie trwało długo. Przyszli komuniści. W 1950 roku władze okręgu przysłały do nas zespół do spraw reformy rolnej. Mnie napiętnowano jako członka klasy wyzyskiwaczy. Przywódca naszego klanu i były szef służby bezpieczeństwa wioski zostali „złymi właścicielami ziemskimi”. Obaj najpierw byli obwożeni po okolicy i pokazywani na zebraniach, na których dochodziło do publicznych oskarżeń, a potem zostali zabici. Moją żonę i mnie ustawiono razem z innymi

właścicielami ziemskimi i bogatymi rolnikami, którzy przyszli do naszej wsi, żeby obejrzeć egzekucję. Ach, to było straszne. Jako dziecko uczyłem się w prywatnej szkole i przyswoiłem sobie zasady konfucjanizmu. Byłem dobry dla innych. Nigdy nie wyrządziłem nikomu krzywdy ani nie żywiłem wobec innych złych uczuć. Ale moi sąsiedzi z wioski, którzy wcześniej byli uprzejmi i odnosili się do mnie z szacunkiem, nagle się zmienili, jakby włożyli inne maski. Na sesjach wylewania żalów dwóch najętych przeze mnie robotników oskarżyło mnie, że ich wykorzystywałem, każąc im pracować w chłodne zimowe dni i obcinając im płacę według swojego widzimisię. Nie zgodziłem się z ich zarzutami, bo sam pracowałem razem z nimi, w tych samych warunkach. Nawet pod władzą komunistyczną trzeba pracować zimą na polu, prawda? Ci zdrajcy! A tak dobrze ich traktowałem. Zaprowadzili nawet zespół rządowy do mojego domu, gdzie obejrzeli spis moich ziem, majątku i bydła. Anulowali wszystkie moje uprawnienia do własności i dzierżawy ziemi oraz umowy o najem nieruchomości. Skonfiskowali wszystko, co miałem.

Oczywiście, cały świat wokół mnie nagle się zmienił: bogaci cierpieli, a biedni zostali panami. Na początku trudno było się z tym pogodzić.

Najbardziej jednak bolałem z powodu brata. Ten drań! Cały swój majątek roztrwonił na narkotyki i został żebrakiem. Ale wtedy nagle świat się zmienił. Jako biedak z ulicy został ustanowiony panem na włościach i wspiął się na szczyt. A ja, bogaty właściciel ziemski, zostałem wrogiem ludu i spadłem na dno. W ciągu jednej nocy mój brat został zagorzałym wyznawcą komunizmu. Wyrzekł się mnie na publicznym zebraniu, uderzył mnie w twarz i zrugął za to, że go uciskałem, traktowałem jak świnie czy psa. Zarzucił mi, że bezprawnie zabrałem należącą do niego ziemię i porwałem mu żonę i dzieci. Co za łgarz! Niebiosa wiedzą, że nie zasłużyłem sobie na takie traktowanie. Wszyscy we wsi wiedzieli, że pomagałem jego żonie się utrzymać i wychować dzieci. Ale kiedy mój brat wypluwał z siebie te kłamstwa, nikt nie wstał i nie wstawił się za mną. Byłem wściekły jak nie wiem co, aż mnie dusiło. Zaraz potem zemdlałem. Kiedy po kilku dniach doszedłem do siebie, zauważyłem, że do mojego

domu wprowadziło się kilkoro obcych ludzi. Całą moją rodzinę wyrzucili do małej dobudówki. Mój brat zajął trzy pokoje w prawym skrzydle. Dzięki komunistom miał teraz dom, który należał do mnie, ziemię, która była kiedyś moją własnością, i rodzinę, którą ja utrzymywałem. Kto by mógł przypuszczać, że opiumista zostanie wynagrodzony takim bogactwem!

Za każdym razem, gdy widziałem, jak chodzi po podwórzu, gotowałem się ze złości. Ale z czasem do tego przywykłem i zaakceptowałem swój los. Czasami, kiedy na siebie wpadaliśmy i nie było świadków, wyśmiewał się ze mnie: „Braciszku, harowałeś przez całe życie jak wół. Czy udało ci się zachować majątek przodków?”. Odpowiadałem: „Jestem byłym właścicielem ziemskim, a ty biednym chłopem rewolucjonistą. Ja jestem wrogiem ludu. Powinniśmy mieć ze sobą jak najmniej wspólnego. Nie należymy do tej samej klasy”. A on na to: „Pieprz się. Gdyby nie opium, obaj bylibyśmy właścicielami ziemskimi. Już dawno by nas zabili”.

Liao: Starszy brat chciał, żeby docenił pan to, co zrobił dla rodziny. Jak udało się panu przeżyć ten okres?

Zhou: Nie tylko moja rodzina wszystko straciła. Tysiące ludzi zostało napiętnowanych jako właściciele ziemscy i kontrewolucjoniści. Wszyscy zostali pozbawieni majątku i mieli rozbite rodziny. Odbywała się zmiana dynastii, ktoś musiał ucierpieć. Mówiłem wtedy do żony: „Najważniejsze, że oboje żyjemy. Mamy przed sobą przyszłość”. Mówiłem jej, że nie wolno jej się zabijać ani robić żadnego głupstwa. Ponieważ moje dzieci były już dorosłe, powiedziałem im, że mogą albo zerwać z nami kontakty, albo wyjechać gdzieś daleko. Mogły wybrać, co wolą.

Jest takie chińskie przysłowie: „Początkiem wszystkich nieszczęść jest długi język”. Dlatego trzymałem język za zębami i zostawiali mnie w spokoju. Kiedyś zainstalowali na tym podwórzu głośnik. Za każdym razem, kiedy odbywała się sesja wylewania żalów, włączali ten głośnik. Wywoływali nasze nazwiska. Mniej więcej dwudziestu „złym elementem” kazano stanąć przed podium. I tak staliśmy, z pochylonymi głowami. Pilnowało nas ponad dziesięciu milicjantów. Czasami, na mniejszych zebraniach, wolno nam było usiąść. Niech pan popatrzy

na ten mały stołek. Kazałem go zrobić w roku reformy rolnej, specjalnie ze względu na te zebrania. Nadal porządnie się trzyma. Ale siedzisko ma gładkie i śliskie jak kamień. Kiedy trafiło się duże zebranie polityczne, na skalę całego okręgu, musieliśmy iść gęsiego pięć czy dziesięć kilometrów do siedziby władz okręgu. W takich zebraniach uczestniczyło i więcej niż dziesięć tysięcy osób. Przywódcy siadali w pierwszych dwóch rzędach na scenie. A potem około stu złych ludzi, takich jak ja, staowało przed sceną, twarzą do tłumu. Takie zebrania ciągnęły się przez wiele godzin.

Czasami musieliśmy zostawać w miasteczku po trzy, cztery dni, bo odbywały się różne zebrania publiczne. Wstawaliśmy przed świtem, gotowaliśmy ryż i staraliśmy się zjeść najwięcej, ile się dało. Bo takie zebrania potrafiły trwać i cały dzień. Do domu wracaliśmy dopiero późno wieczorem. Przeżycie takiego długiego zebrania bywało trudne. Ja bardzo łatwo zasypiałem. Zdarzyło mi się to kilka razy i za każdym razem milicjanci dość mocno mnie pobili. Miałem wtedy czterdzieści parę lat. Przez lata wyczerpującej pracy, takiej jak noszenie na plecach ciężkich worków z solą, nabrałem siły. Surowe kary fizyczne i długie godziny stania na tych zebraniach publicznych niespecjalnie mi dokuczały. Ale z czasem zaczął mi wysiadać kręgosłup, bo kazano nam bardzo głęboko się skłaniać. Nigdy nie skarżyłem się ani nie byłem nieposłuszny. Pod koniec reformy rolnej przyszedł do mnie na rozmowę kierownik zespołu zadaniowego. Pogratulował mi współpracy z władzą. Uśmiechałem się do niego i co chwilę się kłaniałem. Ale czułem się tak, jakby ktoś dźgał mnie w serce tęym nożem.

W latach siedemdziesiątych kampanie polityczne zaczęły wytracać impet. Zebrania na poziomie okręgu wyszły już z mody i zdarzały się coraz rzadziej. Wrogość ludzi do byłych właścicieli ziemskich trochę osłabła. Moi sąsiedzi z wioski stopniowo zaczęli odnawiać ze mną stosunki, bo wszyscy byli ze mną w jakimś stopniu spokrewnieni. Wszyscy nosiliśmy to samo nazwisko, Zhou. Więc, jak mówi przysłowie, fortuna może cię opuścić, ale bez zdrowia, rodziny i prawdziwych przyjaciół żyć nie sposób.

Liao: Kiedy byłem dzieckiem, moja szkoła zapraszała biednych chłopów na sesje wylewania żalów. Miało to na celu zachęcenie uczniów, żeby zapomnieli o „gorzkiej przeszłości” pod rządami nacjonalistów i doceniali „szczęście” życia pod władzą komunistyczną. Na tych zebraniach kazano nam jeść zgniłe jedzenie, żeby dać nam pojęcie o tym, czym musieli się żywić biedni chłopci przed nastaniem komunizmu. Raz pojechaliśmy zwiedzić dom bogatego byłego właściciela ziemskiego, na którym podczas reformy rolnej władze wykonały wyrok śmierci. Dom został przeobrażony na muzeum. Było tam wiele eksponatów pokazujących, jak właściciel wyzyskiwał swoich chłopów i jak torturował tych, których nie było stać na spłacenie długów. Byliśmy zszokowani jego brutalnością. Po tej wizycie wszyscy zniechęciliśmy się do właścicieli ziemskich. Ale teraz, kiedy słucham pana historii, odnoszę wrażenie, że właściciele ziemscy byli porządnymi ludźmi. Uważa pan, że reforma rolna był błędem?

Zhou: Jest pan inteligentnym człowiekiem i może pan mieć na ten temat własne zdanie. Nie ma co rozpamiętywać przeszłości. Władze zrehabilitowały moje nazwisko w 1979 roku. Nie noszę już piętna „złego właściciela ziemskiego”. Jestem wdzięczny Deng Xiaopingowi za jego reformy gospodarcze. Partia zrozumiała swoje błędy i nie bała się ich naprawić. Dostałem drugą szansę, żeby stać się szanowanym człowiekiem. Przepraszam, wyraziłem się nieprecyzyjnie. Nie chciałem powiedzieć, że Partia zrozumiała swoje błędy i nie bała się ich naprawić. Chciałem powiedzieć, że ja nie boję się naprawiać swoich błędów. Dziś moje życie zwykłego chłopca jest znacznie lepsze niż to, które prowadziłem jako właściciel ziemski przed 1949 rokiem. Mamy elektryczność i telewizję. Mamy pod dostatkiem mięsa i każdy może jeść tyle, ile chce. Kiedyś to nie było możliwe. Mogliśmy sobie pozwolić na mięso tylko raz w tygodniu. Mój wnuk Mingyue powiedział mi, że nawet więźniowie dostają mięso dwa razy w tygodniu. I mój dziadek, i mój ojciec byli zwykłymi wieśniakami. Pracowali w polu razem z robotnikami najemnymi. Czasami zdarzało im się zajeżdżać na śmierć wołu zaprzężonego do pługa. Kiedy zwierzę zaczynało pluć krwią, do pługa zaprzęgano ludzi. Tak zgromadziliśmy majątek. Nie tak jak dzisiaj. Młodzi ludzie wyjeżdżają

ze wsi z niczym, emigrują do dużych miast w poszukiwaniu pracy, a kilka lat później wracają z pieniędzmi. To czary. Stać ich na budowanie nowych domów i kupowanie sobie różnych rzeczy. Gdybyśmy dzisiaj stosowali te same kryteria, co podczas reformy rolnej, połowa mojej wsi zostałaby uznana za bogatych właścicieli ziemskich. Mój syn jest nauczycielem w dużym mieście. Mój wnuk Mingyue skończył uniwersytet i, jak słyszę, ma stopień doktora czy jakoś tak. Kiedyś w tej części kraju uzyskanie tak wysokiego stopnia było rzadkością. Mój prywatny nauczyciel mówił mi, że tutaj wychował się uczoney Hu Shi. Uzyskał doktorat na początku dwudziestego wieku. Spotykał się osobiście z cesarzem i cesarz pytał go o radę. Niech pan sobie wyobrazi, jaką wiedzę musi mieć mój wnuk. Myślę, że przywódcy komunistyczni też często proszą go o radę. Kto wie!

Co do mojej przeszłości, wszystko puściłem w niepamięć. Jak mówi stare chińskie przysłowie: „Kto przeżyje największe trudności, staje się najsilniejszym z ludzi”. Jako staruszek niczego nie żałuję, nie jestem rozgoryczony. Po prostu widzę moje cierpienia jako coś, co zniósłem dla swoich dzieci i wnuków. Na początku reformy rolnej moi sąsiedzi zmyślali kłamstwa, mówili, że trzymam w ukryciu tajemny rejestr, w którym zapisuję każdą wyrządzoną mi niesprawiedliwość, żeby w przyszłości rozliczyć się z moimi wrogami. Powiązali mnie nawet z tym, co działo się w siedzibie Partii Komunistycznej w Pekinie. Kiedy dokonano czystek na wysokich rangą przywódcach komunistycznych, takich jak Liu Shaoqi*, Lin Biao** i Banda Czworoga***, miejscowe

* Liu Shaoqi – przewodniczący Chińskiej Republiki Ludowej, uznany przez Mao Zedonga za konkurenta, represjonowany w czasie rewolucji kulturalnej, zmarł w więzieniu.

** Lin Biao – marszałek, mianowany następcą Mao, później oskarżony o przygotowywanie nań zamachu, zginął w katastrofie lotniczej podczas próby ucieczki do ZSRR.

*** Banda Czworoga – grupa wysokich rangą przywódców politycznych sprawująca realną władzę podczas rewolucji kulturalnej. Do Bandy Czworoga należeli żona Mao Jiang Qing oraz Zhang Chunqiao, Wang Hongwen oraz Yao Wenyan. Po śmierci Mao zostali osądzeni i uwięzieni przez reformistów z Deng Xiaopingiem na czele.

władze nazwały mnie „duchowym synem i wiernym zwolennikiem” tych wypadłych z łask przywódców partyjnych. Kiedy rozmawiamy o tym dziś, brzmi to śmiesznie. Ale oni wtedy brali to na poważnie. Na przykład podczas rewolucji kulturalnej był taki slogan: „Zhou Shude, wierny potomek Liu Shaoqi”. Nie wiedziałem wtedy, kto to był Liu Shaoqi, ani tym bardziej, że byłem z nim spokrewniony. Jeśli mógłbym sobie wybrać wysoko postawionego krewniaka, chciałbym, żeby był to Deng Xiaoping, bo on przyczynił się do tego, że zostałem zrehabilitowany. Ale nie muszę być jego krewnym. Gdyby chciał, żebym był choćby jego niewolnikiem, proszę bardzo. Ale z czasem coraz mniej obchodziło mnie to, co ludzie o mnie mówią. Taki był mój los i go zaakceptowałem.

Liao: Z tego, co powiedział pan do tej pory, wnoszę, że jest pan dość zadowolony z życia. Tym pewnie można tłumaczyć pańską długowieczność.

Zhou: W tym roku skończę osiemdziesiąt dziewięć lat. Dawno już zmęczyłem się życiem. Ale co zrobić? Im bardziej chcę umrzeć, tym dalej mi do śmierci. Ta sosnowa trumna, która stoi w korytarzu, czeka na mnie od ponad dwudziestu lat. Jak pan wie, w Chinach starzy ludzie lubią zamówić sobie trumnę, jeszcze zanim umrą. To przynosi szczęście. Odwiedziło mnie kilku mistrzów *feng shui* i bardzo chwalili położenie tego domu. Dobudówka, która mieści się w rogu południowo-wschodnim, zbiera całe dobre *feng shui*. Pewnie dlatego mój los się obrócił po tylu latach cierpień. Ale dobry los nie powinien spadać na takiego starego dziada jak ja. Powinien spotkać moje dzieci i wnuki. Kiedy mój wnuk Mingyue skończył szkołę średnią w połowie lat siedemdziesiątych, przeze mnie nie mógł wstąpić do wojska ani dostać pracy w mieście. W roku 1979, kiedy rząd zdjął ze mnie piętno, Mingyue mógł pójść na uniwersytet. Inne moje wnuki też dobrze sobie radzą. Teraz moje prawnuki chodzą już do szkoły podstawowej.

Liao: Na pewno dożyje pan stu lat.

Zhou: Czemu miałbym tego chcieć? Zostałem tu sam jeden, w tym wielkim domu. Inni albo umarli, albo się wyprowadzili. Chyba przejąłem błogosławieństwo długowieczności od całej

rodziny. Kiedy wyrzucono mnie z głównej części domu, żaden z jego nowych mieszkańców nie przekroczył nawet pięćdziesiątki. Uwierzy pan? Mój brat, Zhou Shugui, zmarł podczas głodu w roku 1960. Tak samo moja żona. Mój brat zasłużył na śmierć. Ale cóż, skoro nie żyje, chyba nie powinienem o nim mówić bez szacunku.

Liao: Powinien pan mieszkać z dziećmi albo wnukami, żeby się panem opiekowały.

Zhou: Mieszkiałem w mieście dwa miesiące, na zaproszenie ojca Mingyue. On jest szanowanym nauczycielem w liceum. Mieszka w wysokim bloku na terenie kampusu szkoły. Tak się tam nudziłem, że szybko zachorowałem. Czułem się jak gołąb uwięziony w klatce. Nie mogłem chodzić sobie swobodnie koło bloku, żeby zażyć świeżego powietrza, bo za każdym razem, jak wychodziłem na ulicę, chodziła za mną zgraja uczniów i się ze mnie naśmiewała. Traktowali mnie jak jakiś relikwiarz albo egzotyczne zwierzę.

Raz wyszedłem, żeby trochę się wygrzać na słońcu obok boiska do koszykówki. Było ciepło. Rozpiąłem więc spodnie i zacząłem łapać pchły na gaciach. Nagle usłyszałem głośny krzyk. Gdyby to się działo na wsi, nikt by na taki drobiazg nie zwrócił uwagi. Ale w mieście to było wielkie halo. Jak ojciec pana Zhou śmie publicznie rozpinąć spodnie? Przyniosłem mojemu synowi wielki wstyd. A synową doprowadzało do szału co innego. Nie mogła znieść tego, że palę w domu tytoń. Zmuszała mnie, żebym palił na balkonie. W dużych miastach jest za dużo reguł. Na ulicy trzeba zapłacić, jak człowiek chce się załatwić w szalecie publicznym. A na wsi można się wysikać czy wysrać, gdzie się chce. Nikogo nie obchodzi, gdzie sobie człowiek ulży, bo na drugi dzień kupy już nie będzie. Wszystko zeżrą dzięki psy.

Byłem zły na Mingyue i kilkoro innych moich wnuków. Te młokosy namawiały rodziców do zburzenia tego domu. Tak naprawdę trudno go nazwać domem z dziedzicem. Trzy boki się zawaliły. Ta część, w której mieszkam, jest w porządku, ale termyty przeżarły stropy. Wieczorami słyszę czasem, jak dach skrzypi. Któregoś dnia się zawali. Ale kamienne fundamenty są wciąż solidne. Niech pan popatrzy na tę rzeźbę lwa przed

domem. Głowa mu się błyszczy, bo od lat codziennie ją głaszczę, na szczęście. Ten dom stoi od ponad stu lat. Młokosy nie rozumieją, że kiedy się przeprowadzę, to będzie koniec mojego życia.

Liao: Nie wiedziałem, że po tylu latach, kiedy prześladowano pana jako „złego właściciela ziemskiego”, jest pan wciąż całym uparty.

Zhou: A owszem. Najbardziej ze wszystkiego nie lubię, jak ktoś mną manipuluje. Kiedy przyjeżdżają do mnie wnuki, boją się tu mieszkać ze względu na pchły. Mam koty. Uwielbiają bawić się na moim łóżku i ze mną spać. Jestem stary i ciągle marzną. Wczorami dzięki kotom jest mi ciepło. Zawsze z nimi rozmawiam, opowiadam im takie rzeczy, które interesowałyby ludzi mojego pokolenia. Nigdy nic nie wiadomo, koty mogą być wcieleniami ludzi, którzy zmarli.

Liao: (ze śmiechem) Nie mówi pan jak były właściciel ziemski. Mówi pan jak stary mnich, który opiekuje się świątynią.

Zhou: Skoro mówimy o tej starej świątyni, myślę, że nie dam rady opiekować się nią zbyt długo. Zgodnie z chińską tradycją, kiedy człowiek umiera w zaawansowanym wieku, przynosi to pomyślność. Jego przyjaciele i krewni zabierają przedmioty, których używał zmarły i dają w prezencie młodym ludziom, żeby przeszło na nich szczęście długiego życia. Ja jeszcze nie umarłem, ale moi przyjaciele i krewni z wioski przychodzą do mnie pod byle pretekstem i kradną moje rzeczy – bambusowe półki, słomkowy płaszcz przeciwdeszczowy, słomkowe kapelusze. Rozkradli mi nawet miseczki i pałeczki.

Liao: Ma pan jeszcze przed sobą długie lata życia. Pana wnuk Mingyue i ja mamy nadzieję, że któregoś dnia jednak przeprowadzi się pan do miasta. Mógłby pan tam ćwiczyć t'ai chi, chodzić na ryby albo hodować psa czy kota.

Zhou: Jak się przeprowadzę do miasta, gdzie znajdę miejsce dla mojej trumny?

Liao: Nie będzie panu potrzebna trumna. W miastach po śmierci ludzi poddaje się kremacji.

Zhou: Mam się dać spalić na popiół? Nic z tego. Kiedy zostanę skremowany, nie będę mógł liczyć na reinkarnację. Szczerze

mówiąc, wybrałem już sobie miejsce na pochówek, obok żony, babki Mingyue. Kazałem już wykopać dół. To dobre miejsce, widział je mistrz *feng shui*. Znajduje się dokładnie na ogniu Góry Feniksa. Stare przysłowie mówi: „Pomyślność leży na głowie smoka i ogniu feniksa”. To miejsce przyniesie szczęście moim potomkom. Mam za sobą spełnione życie. Mam poczucie, że warto było być napiętnowanym jako właściciel ziemski. Cierpiałem, żeby odkupić grzechy moich dzieci, i stworzyłem dla nich szczęśliwszą przyszłość. Słyszałem, że niedługo znów wolno nam będzie sprzedawać i kupować ziemię. Ech, będzie więcej właścicieli ziemskich i bogaczy niż wcześniej. Wszystko jest cykliczne.

Żona szefa powiatu narodowości Yi

Mniejszość etniczna Yi, licząca ponad siedem milionów, to jedna z pięćdziesięciu pięciu mniejszości żyjących dziś w Chinach. Większa część ludności Yi zamieszkuje południowo-zachodnie prowincje Syczuan, Junnan, Kuejczou i Kuangsi, trudniąc się uprawą roli i hodowlą bydła. Przed rokiem 1949 Yi byli podzieleni na cztery kasty, spośród których najwyższą była kasta *Nuohuo*, czyli „czarnych Yi”. Pozostałe uważano za jej podległe. Według raportu rządu chińskiego klasa *Nuohuo*, o przynależności do której decydowało urodzenie, stanowiła siedem procent całkowitej populacji Yi, lecz w jej posiadaniu znajdowało się od sześćdziesięciu do siedemdziesięciu procent ziemi uprawnej. Na początku lat pięćdziesiątych rząd komunistyczny wysłał w regiony zamieszkałe przez ludność Yi zespoły zadaniowe i nakazał wdrażanie reformy rolnej, żeby położyć kres temu, co nazywano „uciskiem i wyzyskiem” ze strony klasy *Nuohuo*.

W grudniu 2005 roku odwiedziłem wioskę Yi w prowincji Junnan. Mój przewodnik przedstawił mnie należącej do kasty *Nuohuo* Zhang Meizhi, żonie byłego naczelnika powiatu. Zhang miała osiemdziesiąt cztery lata, ale była w dobrej formie. Kiedy przyszedłem do niej do domu, na powitanie wstała z krzesła. Była przygarbiona, ale jej pomarszczona twarz rozjaśniła się w uśmiechu. Zasiadłem do rozmowy z Zhang i dwojgiem jej dzieci, córką Yang Sixian, lat pięćdziesiąt dziewięć, i synem Yang Siyi, lat pięćdziesiąt siedem.

Liao Yiwu: W drodze tutaj minąłem duży tradycyjny dom z dziedzińcem, który wyróżniał się spośród innych domów we wsi. Przewodnik powiedział, że ten dom należy do pani rodziny. Kiedy ostatnio państwo tam mieszkali?

Zhang Meizhi: Na początku lat pięćdziesiątych. Kiedy zaczęła się reforma rolna, nowo utworzony Komitet Rewolucyjny Ubogich Chłopów kazał nam się wynieść do obory.

Liao: Może mi pani opowiedzieć, jak to było? Reforma rolna wpłynęła na życie milionów ludzi. Ale ta część historii pomалу zaciera się w ludzkiej pamięci. We wszystkich podręcznikach do historii można przeczytać, jak to dzięki reformie rolnej Partii Komunistycznej udało się zmienić nierówny podział ziemi w Chinach. Nie ma jednak ani słowa o tym, że zabito przy tym ponad dwa miliony zazwyczaj niewinnych ludzi.

Zhang: Nie wiem, czy moja opowieść pomoże młodym ludziom lepiej poznać historię. Ale ja straciłam w tamtym czasie ponad dziesięcioro członków rodziny.

Liao: Zaczynamy od początku. Jak liczną miała pani rodzinę?

Zhang: Dość liczną. Mój mąż miał dwóch braci. Najstarszy był znaną w naszym regionie postacią w świecie polityki. Odszedł z domu jako młody chłopak i uczył się w Akademii Wojskowej w Junnanie. W roku 1935, kiedy miał dwadzieścia pięć lat, gubernator prowincji mianował go szefem okręgu Deqin. Może pan sobie wyobrazić, że jak na kogoś, kto się wychował w takiej odizolowanej od świata okolicy jak Zehei, zostanie szefem okręgu to było wielkie osiągnięcie.

Kiedyś w Deqin było pełno triad i bandytów. Zawierali układy z miejscowymi władzami i dręczyli niewinnych ludzi. Kiedy najstarszy brat mojego męża objął urząd, wprowadził ostre metody zwalczania przestępczości i raz-dwa w okolicy zapanował spokój. Zaskarbił sobie dobrą opinię. Rząd nacjonalistyczny nawet odznaczył go medalem w uznaniu jego zasług. Mocno wierzył w stary rząd pod kierownictwem Czang Kaj-szeka i nigdy by zmienił poglądów na tyle, żeby służyć rządowi komunistycznemu Przewodniczącego Mao. Na szczęście zmarł, zanim przyszły wojska Mao. Inaczej poddano by go torturom i zabito. Drugi brat męża pracował jako szef policji w regionie Sayingpan.

Mój mąż poszedł w ślady braci i pracował jako szef powiatu Yongshan. Ja miałam dwójkę rodzeństwa. Mój brat Zhang Yinxin został naczelnikiem miejscowości Zehei. Moja siostra była żoną miejscowego właściciela ziemskiego.

W roku 1952, kiedy skończyłam trzydzieści jeden lat, przyjechał do naszego regionu zespół zadaniowy z okręgu Deqin, żeby zachęcać miejscowych chłopów do udziału w kampanii reformy rolnej. Namawiano ich, żeby głośno mówili, co mają do zarzucenia właścicielom ziemskim i byłym urzędnikom państwowym, a także konfiskowali ich majątek. Tydzień po przyjeździe członkowie zespołu zadaniowego aresztowali mojego męża i brata. Zamknęli ich na kilka dni w szkole podstawowej w Zehei, a potem przewieźli do więzienia okręgowego.

Liao: Co się stało z panią i z resztą rodziny?

Zhang: Przez kilka pierwszych tygodni zespół zadaniowy zostawił nas w spokoju. Ale któregoś dnia we wrześniu przyszło do mnie kilku milicjantów. Powiedzieli, że mam dołączyć do męża i brata na sesji wylewania żalów i wysłuchać, co sąsiedzi z wioski mają do powiedzenia o tym, jak cierpieli uciskani przez moją rodzinę. Związali mi ręce za plecami i zaprowadzili na boisko. Kiedy dotarłam na miejsce, zobaczyłam, że zebrało się tam już wielu mieszkańców wioski. Głośno wykrzykiwali slogany. Milicjanci kazali mi stanąć twarzą do tłumu, ramię w ramię z kilkunastoma byłymi właścicielami ziemskimi i bogatymi chłopami. Podium znajdowało się jakieś dziesięć metrów za naszymi plecami. Odwróciłam się i zobaczyłam mojego męża i brata. Klęczeli, ręce i nogi mieli związane grubymi sznurami, a usta zakneblowane. Z ich kołnierzyków wystawały z tyłu czarne bambusowe listewki. Kiedyś widziałam przestępców, którzy mieli takie właśnie bambusowe listewki przy kołnierzykach, tuż przed zaprowadzeniem na egzekucję. W jednej chwili zrozumiałam, co się stanie. I się rozplakałam.

Zaraz potem zebranie się zaczęło. Dwóch milicjantów opuściło nam siłą głowy w dół. Członek Partii w mundurze wojskowym wszedł na podium i zaczął wykrzykiwać slogany: „Śmierć wrogom klasowym! Niech żyje zwycięstwo reformy rolnej!”. Cały tłum podniósł prawe ręce i chórem powtarzał za nim. Potem,

kiedy krzyki ucichły, członek Partii powiedział do mikrofonu: „Tych dwóch wrogów klasowych, których widzicie tu na podium, komitet wioskowy skazał na śmierć. Wyrok zostanie wykonany natychmiast”. Jego słowa powitano głośnym wiwatowaniem. Z głośnika rozległy się pieśni rewolucyjne. Milicjanci zepchnęli mojego męża i brata ze sceny. Grupie, w której ja się znajdowałam, kazano iść za nimi do miejsca egzekucji nad rzeką. Za nami ciągnął duży tłum. Kiedy dotarliśmy na miejsce, milicjanci kazali mi stanąć jakieś dwa, trzy metry od mojego męża i patrzeć. Dwóch mężczyzn rzuciło mojego męża i brata na kolana, wyjęło z ich kołnierzyków bambusowe listewki, wycelowało im w piersi i bum! bum!, rozległy się dwa wystrzały. Huk był ogłuszający. Mój brat był potężnym mężczyzną. Kiedy trafiła go kula, trochę się zachwiał, ale nie upadł. Drugi milicjant podszedł do niego bliżej i strzelił mu dwa razy w serce. Buchnęła krew i zbryzgała wszystko wokół. Milicjant był zaskoczony taką ilością krwi. Kopnął z całej siły ciało mojego brata, otarł sobie krew z rąk i głośno zaklął. Chwilę potem zobaczyłam, jak mój brat osuwa się na ziemię tuż obok mojego męża. Leżeli tak, głowa przy głowie, a z piersi ciekła im krew. W jasnym słońcu ich twarze wyglądały na spokojne, jakby sobie cicho rozmawiali. Dwóch milicjantów trzymało mnie za włosy, żebym na pewno na wszystko patrzyła. Chciałam zamknąć oczy, ale mój dręczyciel otworzył mi je na siłę palcami. Łzy ciekły mi po policzkach. Chciałam nakazać sobie dzielność, ale mi się nie udało. Krzyknęłam i zemdlałam.

Ktoś polał mnie zimną wodą. Obudziłam się i zobaczyłam, że dwóch milicjantów rozwiera nożem usta mojego męża i brata. Krzyknęłam do nich: „Co robicie?”. Jeden podszedł bliżej, kopnął mnie i powiedział: „Cicho bądź. Wycinamy im języki”. Krzyknęłam ochryplym głosem: „Weźcie mój język, jak chcecie. Proszę, zostawcie ich ciała w spokoju”. Jeden z milicjantów uderzył mnie w głowę kolbą pistoletu i znów straciłam przytomność.

Liao: Dlaczego milicjanci chcieli wyciąć ofiarom języki? Czy to był jakiś rytuał towarzyszący egzekucji?

Zhang: Nie. Później się dowiedziałam, że naczelnik naszej wioski potrzebował ludzkiego języka jako lekarstwa. Ugryzł go w udo pies. Wdało się zakażenie i rana nie chciała się goić. Miejscowi

doktorzy zapisywali mu najróżniejsze zioła, ale nic nie przynosiło poprawy. Potem jakiś mistrz *feng shui* zalecił, żeby pociąć na kawałki ludzki język, wysuszyć na słońcu, zmielić na proszek i tym proszkiem posypać zakażone miejsce. Ten mistrz *feng shui* twierdził, że taki proszek jest bardzo skuteczny.

Liao: W tym przypadku też poskutkował?

Zhang: Nie. Naczelnik pewnie zaraził się wścieklizną, ale wtedy nikt nie wiedział, co mu jest. W wiosce nie było lekarza medycyny zachodniej. Języki moich bliskich nie wróciły mu zdrowia. Jego stan się pogorszył. Niedługo potem zmarł. Miejscowe władze urządziły wielką ceremonię żałobną i zrobili z tego drania męczennika rewolucji.

Po egzekucji przynieśli ciała mojego męża i brata pod mój dom i tam zostawili. Obmyłam ich z krwi i posłałam jedno z dzieci do sąsiedniej wioski, do moich rodziców, żeby wiedzieli, co się stało. Wieczorem przyszło trzech moich krewnych, zdjęli drzwi z zawiasów, położyli na nich ciała zmarłych i zanieśli na zbocze góry. Ponieważ było ciemno, bardzo słabo widzieli. Wykopali po prostu dwa płytkie doły i szybko pogrzebali zwłoki. Kilka godzin później, kiedy poszłam zobaczyć groby, okazało się, że wilki wykopały ciała. Została tylko sterta kości.

Liao: Mógłbym zobaczyć wyrok sądowy na pani męża i brata?

Zhang: Nie dostaliśmy żadnych dokumentów sądowych. W tamtych czasach zespoły zadaniowe działały jak triady. Jeśli uznały, że ktoś zasługuje na wyrok śmierci, to po prostu zwoływały publiczne zebranie oskarżycielskie i wyrok wykonywano na miejscu. W tej okolicy zginęło tak ponad trzydzieści osób. W latach pięćdziesiątych w ogóle nie słyszało się o czymś takim jak wyrok sądu. Ludzkie życie zależało od łaski i nielaski miejscowych władz.

Liao: W innych częściach Chin takie praktyki też były powszechne. To były tragiczne i brutalne czasy.

Zhang: Ale to nie był koniec tragedii mojej rodziny. Przez kolejne dwa lata straciłam następnych krewnych. Na mężu bratanicy, który był urzędnikiem za nacjonalistów, też wykonano egzekucję. Moja bratanica z rozpaczy oszalała i zadusiła sznurem troje swoich dzieci. Potem wypięła dwie butelki trucizny na szczury i też zmarła. Drugi brat mojego męża, szef policji, i jego dwaj

synowie zostali zastrzeleni, podobnie jak mój mąż i brat, podczas podobnych publicznych sesji wylewania żalów. Moją matkę napiętnowano jako leniwą żonę bogatego właściciela ziemskiego. Milicjanci wlekli ją po ulicy, żeby wszyscy mogli ją zobaczyć. Jej ciało nie wytrzymało tej tortury. Niedługo potem zmarła. Mój ojciec był trzymany pod kluczem w magazynie i stale bity. Pewnego dnia, kiedy pilnujący go milicjanci posnęli, powiesił się na własnym pasku. Mój brat został ofiarą publicznej egzekucji w wieku dwudziestu lat, tydzień po ślubie.

Liao: Pewnie wie pani, że ja również wychowałem się w rodzinie właściciela ziemskiego. Mój dziadek też był podczas reformy rolnej brutalnie torturowany...

Zhang: (z płaczem) Wiem, że nie byliśmy jedyni. Dlaczego władze zamordowały tylu ludzi? Czym sobie na to zasłużyliśmy, jakie popełniliśmy zbrodnie? Minęło tyle lat, a mnie to wciąż prześladowe. Cały czas w środku nocy budzą mnie koszmary i trzęsę się ze strachu.

Liao: Może mi pani powiedzieć, jak przetrwała pani te straszne lata?

Zhang: Po egzekucji mojego męża i brata znów przyszli do nas do domu milicjanci, tym razem po mnie. Zamknęli mnie na ponad czterdzieści dni. Zawsze, kiedy odbywała się publiczna sesja wylewania żalów, milicjanci prowadzili mnie na podium, z rękami związanymi z tyłu. Musiałam nosić na szyi dużą tekturową tablicę z napisem „żona złego właściciela ziemskiego”. Kazali mi wyliczać zbrodnie mojego męża. Byłam zwykłą kobietą, większość życia spędziłam w domu z dziećmi. Skąd miałam wiedzieć, jakie zbrodnie popełnił mój mąż? Po prostu odczytywałam oświadczenie, jakie napisał zespół zadaniowy. Skonfiskowano też cały mój majątek. Oskarżono mnie o ukrywanie pieniędzy i przekopano mi w domu podłogę, żeby je znaleźć.

Kiedy siedziałam w areszcie, nikt się nie opiekował moimi dziećmi. Najmłodsza córka zmarła z głodu. Miała dwa latka.

Liao: Ile miała pani dzieci?

Zhang: Siedmioro, czterech chłopców i trzy dziewczynki. Dwóch najstarszych chłopców było moimi pasierbami. Byłam młodsza od męża o dziewiętnaście lat. Jego pierwsza żona zmarła. Kiedy

przyszli komuniści, mój starszy pasierb, Yang Siyuan, skończył dziewiętnaście lat i studiował w kolegium okręgowym. Kiedy zostałam aresztowana, komitet wioskowy oskarżył go o nieczne zamiary zabijania żołnierzy komunistycznych. Kto to wymyślił? Ten chłopak całe życie siedział z nosem w książkach, był taki łagodny, że nawet by nie dotknął pistoletu, a co dopiero żeby chciał kogoś zabić. Ale wie pan, w tamtych czasach nie mieliśmy jak się bronić. Syn po prostu uciekł i przez dwa lata ukrywał się w górach. Mój drugi pasierb, Yang Sipu, miał wtedy niecałe szesnaście lat. Sąsiad doniósł władzom, że Sipu wypisywał slogany przeciwko reformie rolnej na ścianach latryny. Ponieważ ten sąsiad należał do Komitetu Rewolucyjnego Ubogich Chłopów, władze uwierzyły we wszystko, co powiedział. Mój biedny Sipu został skazany na siedem lat więzienia.

Na początku pasierbowie zajmowali się młodszym rodzeństwem. Najstarsze z nich, chłopiec, miało dziesięć lat, najmłodsza córka dwa lata. Potem, kiedy starszy pasierb zbiegł, a młodszy trafił do więzienia, moje pozostałe dzieci po prostu żebrały i szukały jedzenia na polach i w śmietnikach.

Ucieczka najstarszego syna rozwścieczyła komitet wioskowy. Naczelnik wioski skazał go zaocznie na śmierć. Rozesłał za nim listy gończe, wszędzie pojawiły się jego zdjęcia. Powiedział, że mój syn zbiegł w góry, żeby przyłączyć się do triady i kolaborować z siłami nacjonalistów, które planowały obalić miejscowe władze. Całą złość komitet wyładował na mnie. Była wtedy pora deszczowa. Wszędzie było pełno wody. Kazali mi kłęzcęć w kałuży na pokruszonej cegle i kawałkach węgla drzewnego. Na początku bardzo bolało, ale potem straciłam w kolanach czucie. Niech pan popatrzy, jakie mam teraz blizny. Do dzisiaj mnie te kolana bolą. Raz powiesili mnie za nogi na suficie, ciągnęli za włosy i butami kopali po twarzy. Wyrwali mi nawet parę zębów. Widzi pan? Zostało tylko kilka.

Liao: Gdzie się ukrywał pani najstarszy syn?

Zhang: Myślałam, że uciekł gdzieś daleko. Kiedy mnie wypuścili z aresztu i wróciłam do domu, trzeci syn szepnął mi na ucho: „Wiem, gdzie się ukrywa mój najstarszy brat”. Okazało się, że ukrywa się w starej piwnicy na warzywa po drugiej stronie

wzgórza, całkiem niedaleko od nas. W dzień siedział w piwnicy, a w nocy wychodził na pole szukać jedzenia.

Kilka miesięcy po jego ucieczce reforma rolna pomalą wytraciła impet. Plakaty ze zdjęciem mojego syna zostały pozrywane. Wydawało się, że ludzie o nim zapomnieli. Milicjanci nadal ciągali mnie na sesje wylewania żalów i oskarżali w kółko o te same zbrodnie. Przyzwyczyłam się do tych upokorzeń. Moją rodzinę wyznaczono do uprawiania gryki na małym kawałku ziemi na zboczu góry. Skorzystałam z tej okazji i wykopałam małą piwnicę w rogu pola, obok dużego drzewa. Razem z młodszymi synami przetoczyłam tam duży kamień, żeby zasłonić wejście, przykryłam grubą warstwą ziemi i zasadziłam w niej grykę. Kiedy gryka wyrosła, nikt by się nie domyślił, że pod spodem jest piwnica. Zasadziliśmy też w pobliżu dużo bambusów i wydrążyliśmy lodygi, żeby dostarczały do piwnicy powietrza. Kiedy wszystko było gotowe, potajemnie przenieśliśmy tam mojego najstarszego syna.

Liao: To było ryzykowne i skomplikowane przedsięwzięcie.

Zhang: Cóż, musieliśmy być pomysłowi. Inaczej byśmy nie przeżyli. Co dzień przywiązywałam dzieciom do nóg trochę jedzenia, bułki gotowane na parze, gotowane ziemniaki albo kolby kukurydzy. Po przyjściu na pole przemycaliśmy jedzenie najstarszemu synowi. Po dwóch latach zapomniał prawie, jak wygląda dzień. Żył jak robak. W piwnicy było wilgotno. Na całej skórze miał rany. Na początku jeszcze się ubierał, ale potem już mu się nie chciało. Z czasem prawie zmienił się w ducha. Włosy miał długie do ramion. Ręce i nogi pokryły mu długie na kilka centymetrów siwe włosy, jak pleśń na starym tofu. Kiedy żdźbła gryki sięgały nam już po pas, czasami zostawałam po pracy i ukrywałam się na polu, dopóki się nie ściemniło. Kiedy byłam pewna, że nikogo w pobliżu nie ma, otwierałam piwnicę. Syn wystawiał wtedy głowę na zewnątrz. Przytulałam go i czesałam jego długie siwe włosy, w których roiło się od wszy. Za każdym razem na jego widok wybuchałam płaczem. On rozglądał się czujnie i zakrywał mi ręką usta.

Był zawsze głodny. Za każdym razem, zanim jeszcze zdążyłam wyjąć jedzenie, sięgał mi do kieszeni i prosił rozpaczliwie, żeby

coś mu dać. I rzucał się na ziemniaki albo chleb tak łapczywie, że zawsze się krztusił. Wtedy odchyłał głowę do tyłu i prostował szyję jak wąż, żeby jedzenie przeszło dalej. Kiedy kończył jeść, wyskakiwał z piwnicy jak mała i zanurzał twarz w pobliskim rowie, żeby się napić. Raz, kiedy pił, usłyszał jakiś nietypowy dźwięk. Jednym susem znalazł się z powrotem w piwnicy. Miał słuch wyostrzony jak pies.

Nigdy nie miałam odwagi być z nim za długo, bo bałam się, że wioskowa milicja może w nocy skontrolować mój dom. Przed pożegnaniem szeptałam mu: „Siyuan, mama musi już iść. Ale przyjdę znów niedługo”. Kiwał wtedy głową i piszczał „Aa, aa”. Prawie zapomniał ludzkiej mowy. Na granicy pola odwracałam się i widziałam, że on cały czas za mną patrzy. Raz pomachałam ręką, pokazując, żeby wracał do piwnicy. Ale on myślał, że daję mu znak, że zbliża się niebezpieczeństwo. W mgnieniu oka już go nie było. Był dosłownie taki sam, jak te dzikusy, których uczeni podobno odkryli w naszych lasach tropikalnych.

Liao: Widziała pani ten słynny film Białowłosa dziewczyna? Jak pani pamięta, w tym filmie zły właściciel ziemski zgwałcił ubogą dziewczynę. Jej ojciec został zabity, bo nie mógł spłacić długu. Dziewczyna uciekła w góry i żyła jak jaskiniowiec. Z czasem z niedożywienia zmieniła się w siwowłosą kobietę. Wreszcie przybyła jej na ratunek armia Przewodniczącego Mao, która wykonała też egzekucję na właścicielu ziemskim. Dzięki temu filmowi propagandowemu wielu Chińczyków zapragnęło wziąć udział w rewolucyjnych kampaniach Mao przeciwko klasie złych, bezlitosnych właścicieli ziemskich. He Jinhzi, autor tej historii, został zastępcą dyrektora Chińskiego Ministerstwa Propagandy. Historia pani rodziny była dokładnie odwrotna.

Zhang: Ten film pokazywał bardzo wypaczony obraz ludzi, którzy byli właścicielami ziemskimi. W tamtych czasach myślałam sobie: dopóki komuniści będą u władzy, mój pasierb nie będzie mógł ujrzeć światła dziennego.

Liao: Czy został złapany?

Zhang: Jesienią 1954 roku minęły ponad dwa lata, odkąd ukrywał się w piwnicy. Mój trzeci syn skończył dwanaście lat. Był bardzo blisko ze swoim najstarszym przyrodnim bratem i ciągle biegał

się z nim zobaczyć. Na początku ich spotkania trwały po kilka godzin. Potem syn zaczął odwiedzać brata jeszcze częściej i zostawać u niego dłużej. Bardzo się tym martwiłam. Próbowałam przekonać syna, żeby nie chodził tam za często. Powiedziałam, że jeśli ktoś znajdzie jego brata, będzie to dla niego oznaczało śmierć. Obiecał mi, że więcej do niego nie pójdzie. Ale kiedy nie było mnie w domu, odwiedzał go w tajemnicy przede mną. Były żniwa. Wszyscy mieli pełno roboty w polu. Milicja trochę złągodziła kontrolę nad wrogami klasowymi. Dlatego za bardzo straciłam czujność i nie pilnowałam syna tak, jak powinnam.

A ten mały czort nabrał śmiałości. Pod koniec października spędził u brata ponad trzy tygodnie. Zamartwiałam się na śmierć i poszłam w końcu, żeby go zabrać do domu, ale nie chciał ze mną wracać. Pasierb błagał mnie: „Proszę, mamó, pozwól mu zostać jeszcze kilka dni. Gdyby nie on, zapomniałbym, jak się mówi. Nauczę go tutaj czytać i pisać. To mądry dzieciak”. Westchnęłam i pomyślałam sobie: mój trzeci syn został pozbawiony miłości ojcowskiej w bardzo młodym wieku. Najstarszy brat był dla niego jak ojciec. Skoro chciał być z Siyuanem, to jak mogłam ich rozdzielić? To byłoby okrutne. I uległam ich prośbie.

Przez następny tydzień moje dzieci przemycały braciom jedzenie. Po nocach zaczęły mi się śnić koszmary, w których znów widziałam zakrwawione ciała mojego męża i brata. Wiele razy budziłam się zlaną zimnym potem. Czułam, że stanie się coś złego. Okazało się, że przeczucie mnie nie myliło. Dwa dni później zapukali do moich drzwi milicjanci, żeby przeprowadzić inspekcję. Jeden zauważył nieobecność mojego trzeciego syna i zaczął mnie o niego wypytywać. Skłamałam, że rano poszedł w odwiedziny do naszych krewnych.

Milicjant uderzył mnie z całej siły w twarz i krzyknął: „Ty kłamliwa żono właściciela ziemskiego! Dlaczego nam tego nie zgłosiłaś?! Do których krewnych poszedł?! Na pewno zajmuje się działalnością kontrrewolucyjną”.

Władze wioski zaraz zgłosiły nieobecność mojego syna w okręgu. Tam wydano nakaz, żeby odtąd mojej rodziny stale pilnowali sąsiedzi rewolucjoniści. W dzień dwóch ludzi towarzyszyło mi w drodze na pole i podczas pracy, a na noc przywiązywali mnie

i moje dzieci sznurem do jednego łózka. Nie mieliśmy więc jak zobaczyć się z moimi synami ani dostarczyć im jedzenia.

Później najstarszy syn opowiedział mi, że czekali z bratem w piwnicy cztery dni. Nie mieli nic do jedzenia i picia. Wiedzieli, że coś się stało, i bali się wyjść. W pewnym momencie musieli pić własny moc. Piątego dnia poczuli, że dłużej nie wytrzymają i wyszli z piwnicy. Ponieważ było tuż po żniwach, ściernisko zostało spalone. Nie było się gdzie ukryć. Chłopcy czołgali się po ziemi jak myszy. Napili się wody z rowu i wykopali na sąsiednim polu kilka dużych słodkich ziemniaków. Dzięki temu przeżyli kilka kolejnych dni. Na drugi raz wyszli już śmieiej, skoro za pierwszym razem nic im się nie stało. Poszli po słodkie ziemniaki na inne pole. Nie mieli pojęcia, że milicjanci postawili tam wartowników. Kiedy siedzieli i jedli, cali nadzy, wartownicy wyskoczyli z ukrycia i wycelowali w nich z pistoletów. Jeden z nich wystraszył się na widok mojego pasierba i zaczął krzyżeć: „Duch, duch!”. Kiedy wartownicy trzęśli się ze strachu, moi synowie zerwali się do uciezki. Milicjanci zaczęli strzelać. Pierwsza kula trafiła mojego pasierba w ramię i natychmiast upadł na ziemię. Jego młodszy brat tak się przeraził, że nie wiedział, co robić. Rzucił się na brata, żeby go osłaniać. Jak mówił mi pasierb, wtedy milicjanci strzelili drugi, trzeci i czwarty raz. Kule trafiły mojego młodszego syna w plecy, potem w głowę.

Kiedy milicjanci podeszli do moich synów, zobaczyli, że ciało młodszego było całe we krwi. Wyciągnęli spod niego mojego pasierba i kazali mu nieść na plecach ciało brata do domu naczelnika wioski. Wieść o zatrzymaniu mojego pasierba szybko się rozniosła. Wielu ludzi wstało z łózek i przyszło na podwórze naczelnika. Chcieli zobaczyć „dzikusa”. Traktowali to jak widowisko. Ciało młodszego syna podrzucili pod mój dom. Potem skuli łańcuchem nogi mojego pasierba, związali mu ręce i zamknęli go w magazynie.

Na drugi dzień ludzie w całej okolicy wiedzieli już, że milicja złapała kontrrewolucyjnego dzikusa. Trzy dni później odbyło się zebranie mieszkańców całego okręgu. Przy dźwiękach gongów i bębnów mój syn został wprowadzony na podium. Reszta mojej rodziny musiała mu towarzyszyć. Był bardzo bład, siwe włosy

sięgały mu do pasa. Z ust wystawało mu kilka zębów. Nawet jego rodzeństwo trochę się go bało i wstydziło się dziwnego wyglądu. Mnie było smutno. Ludzie krzyczeli i rzucali w niego kamieniami. Wielu chciało podejść bliżej, żeby go dotknąć. Ponieważ tak długo przebywał w ciemnościach, odzwyczaił się od światła. Oslepił na ponad tydzień. Dopiero później wrócił mu wzrok.

Liao: Pamiętam, że mówiła pani, że pasierb został zaocznie skazany na śmierć.

Zhang: Wtedy reforma rolna praktycznie się już skończyła. Myślę, że przywódcy w Pekinie zrozumieli, że zabili zbyt wielu ludzi. Kazali władzom wiosek ograniczyć liczbę przypadkowych egzekucji. Właśnie dzięki temu, że nastąpiło złagodzenie klimatu politycznego, komitet wioskowy skazał mojego syna na dożywotnie więzienie. Wysłano go do więzienia w stolicy prowincji, Kunmingu. Poszłam go odwiedzić, zanim wyjechał. Wciąż mi powtarzał: „Zabiłem brata. Jestem mu winien życie”. Przytuliliśmy się i płakaliśmy. Mój pasierb spędził w więzieniu ponad trzydzieści lat. Na początku lat osiemdziesiątych, kiedy rząd unieważnił wydany na niego wyrok, miał już ponad pięćdziesiąt lat. Po wyjściu na wolność znalazł pracę w fabryce maszyn koło więzienia.

W 1984 roku moja córka Sixian pojechała autobusem do Kunmingu, żeby odwiedzić przyrodniego brata. Kiedy go uwięziono, była jeszcze mała. A kiedy się spotkali, miała już ponad trzydzieści lat i trójkę dzieci. Sixian wzięła ze sobą swojego najmłodszego syna, jeszcze niemowlę. Niech pan spojrzy na to zdjęcie. Zrobiono je na drugi dzień po ich spotkaniu po latach. Syn ma na sobie kombinezon roboczy i trzyma na ręku małego siostrzeńca. Uśmiecha się. A on tak rzadko się uśmiechał.

Zanim zaczął ukrywać się w piwnicy, miał dziewczynę. Właściwie narzeczoną, bo od roku byli zaręczeni. Ta biedna dziewczyna nigdy nie związała się z innym mężczyzną. Kiedy mój pasierb wyszedł z więzienia, pojechała do niego i żyli razem dwadzieścia lat. Nie mieli dzieci. Trzy lata temu mój pasierb zmarł na niewydolność nerek. Wdowa po nim zamieszkała z nami. Nie chce z nikim rozmawiać o swojej przeszłości ani o zmarłym mężu.

Liao: Jakie ma pani teraz uczucia wobec tego wszystkiego?

Zhang: Tyle śmierci, tyle cierpienia... Po tym wszystkim serce mi odretwiało. Sama nie wiem, jak dożyłam tych osiemdziesięciu czterech lat. To jakiś cud. Chyba cierpienie zahartowało mi ciało i umysł. Przez ostatnie pięćdziesiąt kilka lat dotknęło mnie wiele kampanii politycznych. Byłam poddawana wszelkiego rodzaju torturom. Wiele razy myślałam o tym, żeby się zabić. Nienawidziłam się za to, że sprowadziłam nieszczęście na swoje dzieci. Jak pan wie, ze względu na mnie i moją rodzinę nie wolno im było chodzić do szkoły średniej. Zamknięto przed nimi możliwości znalezienia pracy w mieście. Wychowałam się w rodzinie, w której całe pokolenia były wykształcone. Nasza rodzina miała chlubną historię. Prowadziłam nawet kronikę rodzinną, ale Komitet Rewolucyjny Ubogich Chłopów znalazł ją i spalił. Przeszukali mój dom tak gruntownie, że nawet mysz by się przed nimi nie ukryła.

Liao: Czy nienawidzi pani ludzi, którzy panią torturowali?

Zhang: Wiem, że reforma rolna była nieunikniona w tamtych czasach i że zwykli ludzie nie mogli przed nią uciec. Nikogo nie obwiniam. Oczywiście, nie śmiem winić Partii i Przewodniczącego Mao. Mimo że władze nigdy nie złożyły oficjalnych przeprosin ani nie unieważniły wyroków wydanych na moją rodzinę. Staram się pogodzić z przeszłością. Swoją drogą, przeszłam na chrześcijaństwo. Znalazłam w Bogu pociechę. Bóg uczy nas, że trzeba wybaczać. Teraz los znów zaczął się uśmiechać do mojej rodziny. Moim dzieciom nie było dane zdobycie wykształcenia, ale wnukom już tak. Odkąd do władzy doszedł Deng Xiaoping, kilkoro poszło nawet na uniwersytet. Troje mieszka teraz w Kunmingu, mają dobrą pracę. Dwoje wróciło w rodzinne strony i zajęło ważne stanowiska w okręgu. Słyną teraz w okolicy ze swojej inteligencji i zdolności, jak niegdyś ich dziadkowie. Potomkowie moich dręczycieli ciągle do mnie przychodzą z podarkami i pochlebnymi słowami. Już nie nazywają mnie „żoną złego właściciela ziemskiego”, tylko „szanowną babcią”. W zeszłym tygodniu był tu taki jeden i ciągle mówił mi „babciu”. Mówił: „Babciu, macie taką dobrą karmę, spadło na was błogosławieństwo takiej długowieczności”. Myślałam, że zwymiotuję. Jego

babka mnie biła. Ale zmarła, niestety, podczas głodu w latach sześćdziesiątych. Nie wiem czemu, ale ta myśl bardzo mnie smuci. Biedaczka! Była ode mnie o pięć lat młodsza.

Liao: Myśli pani, że ci, którzy panią prześladowali, powiedzą swoim dzieciom o przeszłości?

Zhang: Wątpię. Myśli pan, że mordercy będą się chwalić dzieciom swoją „bohaterską” przeszłością? Nawet Partia Komunistyczna rzadko dziś mówi o przeszłości i zachęca ludzi do tego, żeby patrzyli w przyszłość. My żyjemy przyszłością. W zeszłym roku jeden z moich wnuków, ten, który jest tu wysokim urzędnikiem, wydał przyjęcie na dziedzińcu naszego starego, zniszczonego domu. Ustawiliśmy dziesięć stołów i zaprosiliśmy wszystkich byłych właścicieli ziemskich, których spotkał taki sam los jak nas. Większość już nie żyje, ale przyszli ich potomkowie. Zaprosiliśmy też kilku byłych rewolucjonistów, którzy podczas kampanii politycznych wykazali się wyjątkowym człowieczeństwem. Poprosiłam córkę, żeby zaprosiła naszego byłego dzierżawcę i pomocnika, pana Suna, na miejsce obok mnie u szczytu stołu. Podczas reformy rolnej członkowie zespołu zadaniowego wielokrotnie kazali mu nas publicznie oskarżać i bić. Ale on siedział jak kamień, nie spełnił żadnego z tych rozkazów. Był prześladowany za to, że nie odciął się wyraźnie od klasy właścicieli ziemskich. W dniu przyjęcia osobiście mu za to podziękowałam w obecności wszystkich gości i stale dokładałam mu jedzenia na talerz. Kazałam wnukom zaopiekować się jego rodziną iłożyć na naukę jego wnuczki.

O tym przyjęciu mówiła cała wieś. Wielu ludzi nie zostało zaproszonych. Patrzyli tylko z daleka. Młodsze pokolenie nie miało pojęcia, co to znaczy. Ale starsi doskonale wiedzieli. Zapaliliśmy nawet sztuczne ognie i modliliśmy się o pomyślność. Podczas tej uroczystości odzyskaliśmy dobre imię rodziny i pocieszyliśmy zasmucone duchy moich zamordowanych krewnych. Po przyjęciu zebrałam uczone na uniwersytetach wnuki i zapytałam: „Nie było to za bardzo na pokaz?” A one odpowiedziały: „Nie martw się, babciu. Przeszłość została za nami. Dla naszej rodziny nastał wreszcie nowy dzień”.

Wiejski nauczyciel

Sześćdziesięciodziewięcioletni Huang Zhiyuan był kolegą mojego ojca. Młodość spędził w Chengdu, skąd wyjechał w 1965 roku, żeby podjąć pracę nauczyciela w wiosce w górzystym okręgu Yanting. W 1984 roku, znudzony życiem na wsi, rzucił pracę i przeprowadził się razem z rodziną z powrotem do Chengdu. Bez *hukou**, meldunku w mieście, trudno mu było jednak znaleźć pracę i żył w ciągłym strachu przed policją. Ostatnimi czasy, w miarę jak rząd stopniowo łagodzi system *hukou*, życie Huanga zmienia się na lepsze. Jest teraz właścicielem sklepu spożywczego i interes idzie mu całkiem nieźle. Niedawno odwiedził moją rodzinę. Zapytałem go o ten okres jego życia, kiedy był wiejskim nauczycielem.

Liao Yiwu: Jak to się stało, że trafił pan do wiejskiej szkoły tak daleko od rodzinnych stron?

Huang Zhiyuan: Zacząłem studia w 1961 roku, a skończyłem w 1965, tuż przed rewolucją kulturalną. Wtedy nie mieliśmy prawa sami wybierać sobie przyszłej pracy. Wybierała za nas uczelnia. Ponieważ przed przejściem władzy przez komunistów

* *Hukou* to meldunek, w mieście lub na wsi, pozwalający na legalne osiedlanie się (w miastach), dostęp do opieki zdrowotnej, szkoły dla dzieci itp., wprowadzony w celu zahamowania migracji ze wsi do miast. *Hukou* jest dziedziczne w linii żeńskiej. Zamiana *hukou* wiejskiego na miejskie jest bardzo trudna.

moja rodzina miała małą firmę i w związku z tym nie zaliczaliśmy się do proletariatu, nie miałem szans na skierowanie do pracy we władzach prowincji czy w dużych przedsiębiorstwach państwowych w mieście. W tamtych czasach młodzi ludzie byli dość naiwni i posłuszni, szczególnie ci z nas, którzy mieli podejrzaną przeszłość rodzinną. Kiedy usłyszałem, że Partia powierzyła mi zadanie wykorzystywania mojej wiedzy i umiejętności do tego, żeby zmieniać na lepsze ubogą wieś, przyjąłem propozycję z wdzięcznością. Swoją nową pracę postrzegałem jako szansę oczyszczenia splamionej historii rodzinnej. Kiedy wygłaszałem mowę na uroczystości rozdania dyplomów, powiedziałem, że gdyby Partia zażyczyła sobie, żebym własnym ciałem powstrzymał ogień wroga, bez wahania pobiegłbym prosto na linię ognia. Mówię to, żeby pokazać, jakimi byliśmy fanatykami.

Liao: Pańskie słowa rzeczywiście oddają idealistyczne postawy młodzieży w tamtych czasach. Ale wracając do skierowania na wieś – jako człowiekowi z miasta chyba trudno było się panu odnaleźć w okręgu Yanting.

Huang: Początkowo byłem podekscytowany zmianą. Czułem, że otwieram nowy rozdział życia. Moim miejscem pracy miało być gimnazjum w Shanya, związane z Komuną Ludową Okręgu Yanting w Shanya. Pożegnałem się z rodzicami, mowę pożegnalną z rozdania dyplomów włożyłem do kieszeni kurtki w stylu Mao i razem z dwoma kolegami z roku wsiadłem do autobusu dalekobieżnego. Autobus podskakiwał na wyboistej prowincjonalnej drodze. Nigdy wcześniej nie widziałem tak zniszczonej i porytej koleinami drogi, jak z filmu o drugiej wojnie światowej. O zmierzchu autobus się zepsuł. Kierowca wysiadł i zaczął oglądać silnik. Okazało się, że sam nie da rady go naprawić. Wysłał więc jednego z pasażerów, który pochodził z tamtych okolic, by powiadomił kierownictwo komuny, że przyjechali studenci z miasta. Ten człowiek dosłownie przebiegł ponad piętnaście kilometrów, żeby przekazać tę wiadomość. Jakies dwie godziny później pojawił się na horyzoncie pyrkoczący głośno traktor. Przesłano go z okręgu. Nie bez obaw wskoczyliśmy na przyczepę, zabierając nasze bagaże. Kiedy traktor posuwał się z rykiem naprzód, szarpiąc mocno, widziałem, jak w górze nad

nami wznoszą się strome skały. Wysoko na niebie tkwił samotny księżyc. Co jakiś czas przejazd był utrudniony przez wystającą na pół drogi skałę. Traktor wtedy zwalniał i ostrożnie przejeżdżał tuż obok niej, tak że się prawie o nią ocierał. Całe szczęście, że do komuny nie było daleko. Inaczej chyba dostałbym zawału, zanim byśmy dojechali na miejsce.

Kiedy kierowca wysadził nas w samym centrum komuny Shanya, zostaliśmy całkiem sami. Było zupełnie ciemno. Elektryczność była jeszcze niedostępnym nowoczesnym luksusem. Pan Wang, który po nas wyszedł, powiedział, że miejscowi nadal używają lamp naftowych. We wsi była tylko jedna ulica, po jej obu stronach mieściły się sklepy i warsztaty. Zauważyliśmy, że w oddali w jednym z nich pełga światło. Pan Wang powiedział, że to kuźnia. Dochodzące z niej do czasu do czasu brzęki i odgłosy kucia jeszcze bardziej podkreślały otaczającą nas ciszę. Czuliśmy się tak, jakbyśmy chodzili po księżycu.

Pan Wang niczym rasowy przewodnik zaczął nam opowiadać historię tej kuźni. Pierwotnie była to świątynia buddyjska. Obok świątyni, na podwyższeniu usypanym z kamieni, stał posąg Buddy, wysoki na osiem pięter. Przez ostatnie sto lat przyjeżdżali oddawać mu cześć wierni z miejsc oddalonych nawet o setki kilometrów. Wioska Shanya powstała wokół świątyni. Z czasem populacja się rozrosła i wioska przekształciła się w miasteczko. Po przejściu rządów przez komunistów w 1949 roku miejscowe władze kazały ludziom wykorzenić wszelkie praktyki zabobonne i religijne. Świątynia została przerobiona na kuźnię. Kiedy przyjechaliśmy do Shanya, posąg Buddy był zaniedbany, za to w byłej świątyni, czyli obecnej kuźni, panował ożywiony ruch. Kiedy przychodziła pora siewu i żniw, kuźnia działała aż do północy. Z narzędzi rolniczych, które wymagały naprawy, tworzyły się stosy wielkości pagórka.

Kiedy tego pierwszego wieczoru minęliśmy kuźnię, znaleźliśmy się przed biurem komuny. Wyszedł nam na powitanie sekretarz Partii komuny Shanya i zaprosił uprzejmie do środka. Jakiś urzędnik przyniósł lampy naftowe i gazowe i w kilka minut sala konferencyjna była jasno oświetlona. Zaraz potem wszedł kucharz, niosąc na olbrzymiej tacy kolację: dwa talerze słodkich

ziemniaków i pięć wielkich porcelanowych miseczek pełnych zupy z kukurydzy. W zupie pływały marynowane warzywa.

Sekretarz Partii zaczął się rozplýwać nad posiłkiem, który składał się z trzech skarbów komuny Shanya: kukurydzy, marynowanych warzyw i słodkich ziemniaków. Słodkie ziemniaki, zwykle przechowywane przez zimę w piwnicy, stanowiły podstawę miejscowej diety przez ponad połowę roku. Ponieważ jednak można od nich dostać zgagi, miejscowi łączą je z marynowanymi warzywami; kiszona kapusta i *bok choy* niwelują nieprzyjemny efekt słodkich ziemniaków. Później dowiedziałem się, że okręg Yanting przoduje w kraju pod względem liczby zachorowań na raka żołądka. Specjaliści z dziedziny medycyny uważają, że ma to bezpośredni związek z tradycyjną dietą złożoną ze słodkich ziemniaków i marynowanych warzyw.

Liao: Miejscowi powitali was naprawdę serdecznie.

Huang: Pochlebiało im, że młodzi chłopcy z miasta chcą pracować w takiej zapadłej dziurze. Zanim poszliśmy obejrzeć szkołę, sekretarz Partii powiedział: „Góry są tutaj wysokie. Żyje się ciężko. Zmianianie świata nie przyjdzie tak łatwo, jak to się widzi na filmach. Proszę, bądźcie gotowi na to, że spotka was wiele trudności”.

Liao: Jaka okazała się szkoła?

Huang: Całkiem niezła. Nauczycieli było trzydziestu, z tego połowa po studiach wyższych. Było nawet kilku weteranów, którzy uczyli przez wiele lat na uniwersytetach. Zostali tam zesłani w latach pięćdziesiątych, po tym jak napiętnowano ich jako prawicowców. Mimo że byliśmy absolwentami najlepszych chińskich uniwersytetów, żaden z nas się nie skarżył ani nie uważał, że mamy zbyt wysokie kwalifikacje, żeby uczyć w biednej wiejskiej szkole.

Gimnazjum w Shanya założył miejscowy uczoney za czasów dynastii Qing, około roku 1910. W klasach i aulach można było dostrzec elementy zachodnich stylów architektonicznych. Domy z dziedzińcami, które służyły za internaty dla uczniów i nauczycieli, zostały wybudowane w tradycyjnym chińskim stylu, z dachami lekko wywiniętymi na rogach. Budynki przetrwały i wojnę chińsko-japońską, i wojnę domową z nacjonalistami. Niedaleko

od szkoły był staw ze spokojną, zieloną wodą. Otaczały go góry. Służył do nawadniania pól i jako kąpielisko. Przy szkole rósł duży sad. Komuna oddała go pod opiekę dyrektorowi szkoły, który kazał uczniom i nauczycielom zajmować się drzewkami w wolnym czasie.

Liao: Zaczął pan uczyć podczas rewolucji kulturalnej, kiedy uczniowie w miastach więcej czasu poświęcali na bicie nauczycieli niż na naukę przyrody i historii. Jak to wyglądało w Shanya?

Huang: Przewodniczącemu Mao udało się szeroko rozpropagować rewolucję. Szybko dotarła też i do nas. Początkowo miałem uczyć w szkole chińskiego i matematyki. Potem wolno nam było uczyć tylko *Czerwonej Książeczki* Przewodniczącego Mao. Słowa Przewodniczącego traktowane były jak słowa Boga. Musieliśmy odczytywać je trzy razy dziennie i sprawdzać, jak nasze zachowanie ma się do jego nauk. Niestety, same cytaty z Przewodniczącego Mao nie sprawiły, że uczniowie nauczyli się rozwiązywać zadania z matematyki, chemii czy fizyki. Ale nikt nie ważył się tego stanu rzeczy komentować. Znałem nauczyciela, który specjalizował się w literaturze chińskiej. Lubił uczyć tradycyjnego eseju *Godne podziwu cechy sosny*, autorstwa pewnego słynnego chińskiego generała. Kiedy ten generał wypadł z łask Mao, nauczyciel został napiętnowany jako kontrrewolucjonista.

Pewnie pamięta pan film, który wszedł na ekrany w 1975 roku, o maoistycznym uniwersytecie rolniczym. Była tam scena egzaminu wstępnego. Pewien kandydat, niepiśmienny kowal, oblał egzamin. Ale członek Partii obejrzał jego dłonie i powiedział: „To są dłonie proletariatu. Odciski na tych dłoniach mówią mi, że ten kandydat nadaje się na uniwersytet”. I oczywiście student został przyjęty. Ten film silnie wpłynął na uczniów w mojej szkole. Wielu uznało, że nie musi już się uczyć, żeby dostać się na studia. Dla chłopskich dzieci praca w polu i zabawa na powietrzu były atrakcyjniejszymi zajęciami niż nauka matematyki i fizyki.

Dyrektor szkoły, który sam wychował się w rodzinie chłopskiej, był człowiekiem praktycznym. Kiedy przyszła rewolucja, z zadowoleniem zmienił program nauczania. Odtąd pół dnia dzieci spędzały w klasie na nauce pism Przewodniczącego Mao, a drugie pół na pracy w polu. Dyrektor sam nosił na pole wiadra

z nawozem, dając dobry przykład uczniom i nauczycielom. W porze żniw uczniowie pracowali w polu całymi dniami.

Boisko przed budynkiem szkoły zamieniono w młyn. Konie i osły chodziły w kieracie, napędzając żarna. Chłopi przynieśli tam nawet własne wialnie. To był niecodzienny widok. Jeśli uczniowie chcieli zagrać w kosza albo w nogę, musieli ustalić wcześniej termin z ekipą produkcyjną.

Z dwudziestu lat, które tam spędziłem, tak naprawdę uczyłem tylko pięć. Regularne zajęcia zgodne z programem rozpoczęliśmy dopiero pod koniec lat siedemdziesiątych, kiedy do władzy doszedł Deng Xiaoping. Przywrócono ogólnokrajowy egzamin do szkół wyższych. Początkowo każdy nauczyciel musiał uczyć wszystkich przedmiotów. Potem, kiedy rząd wprowadził bardziej wymagający program, w naszym gimnazjum zapadła decyzja, żeby podzielić nauczycieli na grupy według wykształcenia. Ja zacząłem specjalizować się w uczeniu fizyki.

Liao: Kiedy wybuchła rewolucja kulturalna, wielu uczniów i studentów w miastach tworzyło organizacje Czerwonej Gwardii i buntowało się przeciwko władzy. W Shanya było podobnie? Huang: Było dokładnie tak samo jak wszędzie indziej. Uczniowie naszego gimnazjum podzielili się na dwie grupy: Młodych Buntowników i Starych Lojalistów. Obie grupy twierdziły, że to one jako jedyne działają w obronie Przewodniczącego Mao. Jedyna różnica polegała na tym, że Starzy Lojaliści bronili też kierownictwa komuny, a Młodzi Buntownicy chcieli rozpedzić wszystkich, którzy byli u władzy. Między tymi grupami wywiązał się poważny konflikt, często w ruch szła broń. Wieśniacy też założyli organizację rewolucyjną, Czerwoną Brygadę Chłopskich Rewolucjonistów. Ich ugrupowanie cechowało podejście bardziej praktyczne. Zawarli sojusz ze Starymi Lojalistami i chcieli zaprowadzić jaki taki porządek. Ale skończyło się na tym, że chłopci wdawali się w walki z grupami Młodych Buntowników. Pewnego dnia Młodzi Buntownicy, dmuchając w gwizdki, zebrali wszystkich członków komuny na boisku i ogłosili, że zabraniają chłopom korzystać ze szkolnego boiska w celu mielenia „kapitalistycznego” zboża. Twierdzili, że boisko ma służyć Czerwonej Gwardii do odbywania rewolucyjnej musztry wojskowej.

Zabronili też wykorzystywania auli jako magazynu na zboże. Powiedzieli, że aula ma służyć ludowi do tańców rewolucyjnych, a nie do magazynowania kukurydzy i zboża. Dla wieśniaków te decyzje były nie do przyjęcia. Skrzyknęło się ich kilka tysięcy i urządzili przed szkołą demonstrację. Wydawali pełne złości okrzyki i przez kilka dni oblegali budynek. Uczniowie przyciskali do piersi *Czerwone Książeczki Przewodniczącego Mao* i bez przerwy śpiewali pieśni rewolucyjne, takie jak *Poświęcenie to bohaterstwo* i *Jak będzie trzeba, poruszymy słońce i księżyc, żeby stworzyć lepszy świat*.

Tamtejsi wieśniacy to byli prości, uczciwi ludzie. Nie mieli zamiaru robić uczniom krzywdy. Z kolei wykształceni i piśmienni uczniowie wojowali z nimi za pomocą cytatów z Przewodniczącego Mao. Wieśniacy nie mogli się z nimi równać, ale nie chcieli dać za wygraną. Ta próba sił trwała kilka dni. W końcu zainterweniowało nowe kierownictwo komuny, ustanowione przez Młodych Buntowników. Wysłało pod szkołę dwóch przedstawicieli, którzy odczytali wieśniakom rozporządzenie: „Jeżeli ośmielicie się zaatakować tych młodych rewolucyjnych buntowników, wszyscy zostaniecie napiętnowani jako kontrrewolucjoniści”. W obliczu takiej groźby wieśniacy powoli się rozeszli, jak zbite psy.

Liao: Mimo że pańska szkoła znajdowała się daleko od centrum wydarzeń politycznych, z tego, co słyszę, nie ominęły was żadne „atrakcje” rewolucji kulturalnej.

Huang: Można by się spodziewać, że w takich odizolowanych regionach jak Shanya wszystko odbędzie się na mniejszą skalę. Ale było tak samo źle, jak wszędzie indziej. Pamięta pan ten słynny posąg Buddy, o którym mówiłem? Czerwonogwardziści wysadzili go za pomocą dynamitu i rozleciał się na drobne kawałki. Wieśniacy żyli w strachu, że teraz spadną na nich wszelkiego rodzaju nieszczęścia. Ale minęły dwa lata i nic strasznego się nie stało. Wręcz przeciwnie, w kuźni urządzonej w świątyni interes szedł tak świetnie, że przekształciła się w fabrykę sprzętu rolniczego, w której było zatrudnionych dziesięciu kowali. W 1968 roku, kiedy Młodzi Buntownicy walczyli z miejscowymi chłopami, kowale stanęli po stronie chłopów i udzielili

poparcia dawnemu kierownictwu komuny. Młodzi Buntownicy nazywali fabrykę sprzętu rolniczego siedliskiem kontrrewolucjonistów. Raz na tydzień organizowali przed fabryką wielką demonstrację, ze śpiewaniem pieśni rewolucyjnych i wykrzykiwaniem sloganów. Kowale odkładali wtedy swoją pracę, wychodzili przed bramę fabryki i patrzyli z wrogością na czerwonogwardzistów. Ich obnażone muskularne ramiona i młoty, które trzymali w rękach, sprawiały, że nikt nie śmiał się do nich zbliżyć.

W oczach uczniów kowale byli straszniejsi od legendarnych potworów ludojadów z dawnych chińskich opowieści. Niedługo po tym, jak rozgorzał konflikt między wieśniakami a czerwogwardzistami, w niewyjaśnionych okolicznościach zaginęła przywódczyni Młodych Buntowników, Śliwka Zhang. Uczniowie podejrzewali, że zamordowali ją kowale. Kilkuset czerwogwardzistów przyszło pod fabrykę i domagało się wyjaśnień. Niektórzy byli nawet uzbrojeni w pistolety, które dostali z okręgowego urzędu bezpieczeństwa. Pół dnia oblegali fabrykę. Kowale się wściekli. Wybiegli na zewnątrz i rzucili się na czerwogwardzistów z młotami. Wielu ludzi zostało rannych. Kilku dostało w głowę tak, że poleciała krew. To było straszne. Czerwogwardziści, którzy mieli nad kowalami dużą przewagę liczebną, nie wiedzieli, co robić. Kilku z nich strzeliło w niebo, żeby wystraszyć kowali. Potem wtargnęli do fabryki i zniszczyli wiele maszyn. Pewien czerwogwardzista odstrzelił jednemu z kowali ucho. Ostatecznie nie znaleźli Zhang. Nie znaleźli też żadnych dowodów przeciwko kowalom.

Liao: Jaki los spotkał sekretarza Partii komuny?

Huang: Nasz sekretarz był miłym i uczciwym człowiekiem. Dlatego wieśniacy i kowale go bronili. Pochodził z rodziny, która wydała trzy pokolenia kowali. Nawet kiedy został wybrany sekretarzem Partii, co jakiś czas potajemnie przychodził do kuźni, wtedy już fabryki, i zajmował się swoją dawną robotą. Niedługo po tym, jak go poznaliśmy, został napiętnowany jako „kroczący drogą kapitalistyczną”, publicznie oskarżony i upokorzony. Pewnego dnia kowale porwali go z publicznej sesji oskarżeń i przez ponad dwa lata ukrywali w fabryce. Kiedy do fabryki wtargnęli czerwogwardziści, pojmali go, przenieśli do internatu

i zamknęli w pomieszczeniu, w którym więzili byłego dyrektora szkoły. Codziennie kazali jemu i innym pozbawionym funkcji przywódcom biegać boso po boisku, nawet w deszczu i śniegu. Kiedy biegali, kazano im wykrzykiwać slogany albo nagle rozkazywano, żeby się zatrzymali lub biegli szybciej. Wielu więźniów traciło wtedy równowagę i się przewracało się. Mieli sińce na całym ciele. Pewnego dnia sekretarz Partii nie mógł już znieść tych tortur. Postawił się jak urodzony kowal i powiedział, że nie będzie słuchał rozkazów czerwonogwardzistów. Pobili biedaka tak, że przestał trzymać moc. Ale nawet po tym nie dali mu spokoju. Co rano wlekli go pod pomnik Przewodniczącego Mao i kazali wyznawać temu pomnikowi swoje „zbrodnie”. On się konsekwentnie nie odzywał, potem nawet odgryzł sobie koniusek języka. Zmarł kilka miesięcy później.

Wiele było podobnych smutnych historii. Od jego śmierci minęło już tyle lat, a ja wciąż wyraźnie go pamiętam, jakbym go widział tego wieczoru, kiedy przybyłem do Shanya: miał przedziałek na boku, wyglądał jak jeden z tych ciepłych, troskliwych komunistów, jakich pokazywano w starych chińskich filmach.

W roku 1969, kiedy Chiny zaczął ogarniać chaos, rząd centralny wydał zarządzenie, w którym kazał wszystkim frakcjom Czerwonej Gwardii zjednoczyć się w imię rewolucji. Słynny w tamtym czasie cytat z Mao brzmiał: „Uczmy się od robotników i chłopów”. Z takim hasłem na ustach robotnicy i chłopci weszli do szkół i pomogli nam zapanować nad uczniami. Niech mi pan wierzy, wszystko się bardzo szybko odmieniło. W Shanya przywódcy czerwonogwardzistów zostali oskarżeni o bandytyzm. Byli prowadzani po całej komunie i upokarzani na zebraniach publicznych. A kiedy zabrakło przywódców, uczniowie łatwo dali się okiełznać i ich arogancja gdzieś się ulotniła. Szkoła i przyległe do niej tereny znów znalazły się w rękach miejscowych chłopów. Boisko ponownie przekształciło się w podwórze podczas żniw. Kilka klas przemieniono na chlewy i zagrody dla kurcząt. Kiedy jesienią zaczął się rok szkolny, w szkole nie stawił się ani jeden uczeń. Nic dziwnego: chłopci, którzy dostali odgórną zgodę na zarządzanie szkołą, zachęcali uczniów, żeby swój czas poświęcili na pracę w polu. Kiedy któryś z nauczycieli podnosił sprzeciw,

chłopi pukali do jego drzwi i rozmawiali z nim tak długo, aż zgadzał się dostosować do ich decyzji.

Liao: Sporo opowiedział mi pan o rewolucji kulturalnej. Proszę powiedzieć, jak się wtedy panu żyło?

Huang: Ciężko. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych codziennym problemem był głód.

Obowiązywał system racjonowania żywności. Każdy dorosły człowiek dostawał trzynaście i pół kilograma jedzenia na miesiąc. To było zdecydowanie za mało. Żeby uzupełnić dietę, wielu z nas wstawało w środku nocy i chodziło na pobliskie pola ryżowe łapać żaby. Potem się je gotowało i jadło. Były bardzo delikatne w smaku.

Wielu moich uczniów mieszkało w internacie, bo ich wioski leżały dość daleko od szkoły. Wracając z domu, przywozili zapasy. Ale na co dzień jadało się ryż i supę jarzynową, bez mięsa. Dlatego wielu uczniów cierpiało na niedożywienie.

Na szczęście nauczyciele mieli własnego kucharza. Wprawdzie gotował okropnie, ale nikt nie śmiał narzekać, bo rewolucjonistom nie przystoi domaganie się smacznych posiłków. Mięso dostawaliśmy raz w tygodniu. W niedzielę w porze kolacji przed stołówką gromadził się tłum. Stawialiśmy miseczki na długim stole i czekaliśmy, aż kucharz zacznie wydawać mięso. Kiedy zaczynał, wszystkie oczy były białe w chochłę. Jeśli ktoś z kolejki zatrzymał się przed kucharzem chwilę dłużej, licząc na jakiś dodatkowy kęs, inni natychmiast buczeli i kazali mu się posunąć. Kiedy dostaliśmy swoje porcje, każdy odruchowo oglądał mięso ze wszystkich stron, jakby chciał sprawdzić, czy jest prawdziwe. Potem ostrożnie braliśmy do ust kawałeczki po kawałeczku, żeby wystarczyło na jak najdłużej.

Ponieważ ciągle ssało mnie w żołądku, dostałem obsesji na punkcie jedzenia. Przez jedzenie poznałem swoją żonę. Wychowała się w jednej z tamtejszych wiosek i pracowała w barze z daniami z makaronu. Za każdym razem, jak tam przychodziłem, nakładała do miseczki trochę więcej, niż mi przysługiwało. To przekupstwo przyniosło efekty. Dość szybko zaczęliśmy się umawiać, a potem wzięliśmy ślub. Po ślubie zaczęła narzekać na moją obsesję na punkcie jedzenia, a nawet na moje zachowanie

przy posiłkach. Marudziła, że kiedy wciągam do ust makaron, za głośno mlaszczę. Mówiła: „Słyszać cię na kilometr stąd”.

Liao: Pan miał dyplom uniwersytecki, a ona była niewykształconą dziewczyną ze wsi. Jak to się stało, że się zeszlście?

Huang: W tamtych czasach absolwenci uczelni i intelektualści byli tępieni jako zgniła burżuazja. Wielu ludzi starało się mnie unikać, żeby nie narobić sobie kłopotów politycznych. Byłem już po trzydziestce i żadna dziewczyna mnie nie chciała. Ona z kolei była słynną pięknoscią w swojej wsi i miała wielu starających się. Spotykaliśmy się po kryjomu przez ponad rok, dopiero potem przestaliśmy się ukrywać. Kiedy o naszym związku dowiedział się jej ojciec, był mu bardzo przeciwny. Mówił, że jego córka to róża, którą chcę przesadzić do krowiego łajna. Ale, jak mówi stare przysłowie: „Jak dwoje ludzi ma zgodne żołądki, to będzie zgodnym małżeństwem”.

Liao: Dlaczego wyjechał pan z Shanya?

Huang: Z wiekiem coraz bardziej tęskniłem za domem. Dlatego w 1984 roku, po dwudziestu latach uczenia w Shanya, rzuciłem pracę i wróciłem do rodzinnego miasta. Miałem wtedy czterdzieści pięć lat. Ponieważ wymówiłem pracę, straciłem państwową emeryturę. Po powrocie do Chengdu nie miałem *hukou*; nie chciał mnie zatrudnić żaden urząd ani szkoła. Przez wiele lat mieszkalem tu nielegalnie. Żeby jakoś związać koniec z końcem, łapałem różne prace fizyczne. Przez pięć lat pracowałem jako tragarz. Potem jeździłem rikszą bagażową.

Ale najbardziej ucierpiały moja żona i dzieci. Dzieci nie mogły chodzić do szkoły. Żona musiała się imać różnych prac. Najtrudniejsze do zniesienia było to, że policja ciągle chodziła po domach i sprawdzała, czy mieszkańcy mają *hukou*. Ciągle musieliśmy się przenosić. To ironia losu, że urodziłem się w tym mieście, a mój pobyt tu jest nielegalny.

Liao: Zna pan powieści Li Rui, pisarza z prowincji Shanxi? W powieściach Li chłopci kochają ziemię, na której się wychowali. Mimo skrajnego ubóstwa nie wyjeżdżają, tylko pracują na rzecz poprawy sytuacji w swoich rodzinnych stronach.

Huang: To propagandowy kit. Za każdego reżimu czy dynastii są pisarze, którzy lubią zmyślać historie, żeby przypodobać

się rządzącym. A ponieważ chłopci rzadko czytają powieści, to można o nich pisać, co się chce, oni i tak się nie dowiedzą.

Chińskie regiony górskie są beznadziejne. Można tam zainwestować każdą ilość pieniędzy, a zyski będą tak ulotne, jak odbicie księżycy w jeziorze. W wielu regionach, gdzie wycięto większość lasów, woda jest zanieczyszczona i niezdatna do picia. Za czasów Mao bez meldunku nie można się było ruszyć o krok od miejsca zamieszkania. Dlatego ludzie byli przywiązani do ziemi, ciemni i biedni. Za rządów Deng Xiaopinga zaczęły obowiązywać trochę bardziej elastyczne zasady. Teraz ci chłopcy w ubłoconych butach nas prześcigają. Całymi gromadami wyjeżdżają daleko od domu w poszukiwaniu lepszego życia. Weźmy choćby Chengdu – przecież ilu tu jest przyjezdnych robotników napływowych. Spotykam czasem moich byłych uczniów z Shanya. Niektórzy prowadzą własne firmy; inni pracują raz tu, raz tam. Ale niezależnie od tego, czym się zajmują i jak dobrze sobie radzą, jedno ich łączy: ambicja, żeby za wszelką cenę wyrwać się ze wsi.

Skończyłem wspominać o byłych uczniach, opowiem panu historię. Któregoś dnia, kiedy prowadziłem riksze koło mostu Mozi, natknąłem się na straż miejską. Otoczyli mnie i skonfiskowali riksze, bo nie miałem na nią pozwolenia. Kiedy kucałem na chodniku, cały w rozpacz, nagle ktoś postukał mnie w ramię. Odwróciłem się i zobaczyłem grubego młodego człowieka, który nazwał mnie „Nauczycielem Huang”. Dawno zdążyłem zapomnieć, że byłem kiedyś nauczycielem. Nie miałem pojęcia, kim jest ten człowiek.

Zaprowadził mnie do klubu nocnego, który znajdował się o parę kroków stamtąd. Kiedy zaczęliśmy rozmawiać, okazało się, że to drugi co do starszeństwa syn sekretarza Partii komuny w Shanya. Uczyłem go przez trzy lata. Skończył gimnazjum w 1980 roku i poszedł do liceum. Wręczył mi wizytówkę. Było na niej napisane, że jest dyrektorem tego klubu nocnego.

Zaczął z nostalgią wspominać przeszłość. Zaprosił mnie na kilka drinków, a potem zadzwonił do swojego znajomego na policji i poprosił, żeby oddali mi skonfiskowaną riksze. Trzeba przyznać, że miał kontakty. Miał też spust do picia. Niedługo po tym, jak zaczęliśmy pić, osuszył całą butelkę czerwonego wina

i był trochę wstawiony. Zaproponował, że dla „rozrywki”, jak to nazwał, zawoła mi jakąś dziewczynę. Śmiertelnie się wystraszyłem. A on mówił dalej: „Nauczycielu Huang, pan jest miastowy, a mój ojciec był wieśniakiem. Ale obaj skończyliście podobnie: jego zabili czerwonogwardziści, a pan wylądował na ulicy. Nie ma w życiu sprawiedliwości. Ale jako pana były uczeń poczuwam się do tego, żeby nauczyć pana korzystać z życia”.

Potrząsnąłem głową i powiedziałem, że w Chinach my, nauczyciele, dbamy o to, żeby zachowywać się godnie. A uczeń powinien nauczyciela szanować. Jak można nawet pomyśleć, żeby wciągnąć swojego nauczyciela w takie bagno? On się na to roześmiał. „Moim nauczycielem był pan w szkole. Poza szkołą jesteśmy przyjaciółmi. Pamięta pan, jaki był pan dla mnie dobry? Kiedy umarł mój ojciec, zawsze pozwalał mi pan odrabiać lekcje u siebie w gabinecie i zawsze częstował mnie pan jedzeniem. Dzisiaj nadeszła pora, żebym się panu odwdzieczył”. Ja na to: „Rozumiem, że masz dobre intencje, ale dla mnie wartości moralne mają dużą wartość. Duch twojego ojca by się zgodził, że...”. On wtedy wybuchnął śmiechem i wszedł mi w słowo: „Nie mówmy o moim ojcu. Jak człowiek umiera, to przestaje istnieć, jak zgaszony płomień”. Zanim zdążyłem zaprotestować, podeszły do mnie dwie młode kobiety, zaczęły mnie tulić i zapytały, czy mam ochotę się czegoś napić. Tak się zawstydziłem, że ta moja stara gęba cała poczerwieniała. Kiedy mój były uczeń zobaczył, jaki jestem zażenowany, wstał i powiedział: „Nie śpiesz się, nauczycielu. Zaraz znajdę ci ładniejszą. Chcę zmienić podejście twojego pokolenia do tych spraw”.

Kiedy wreszcie uwolniłem się od tych dwóch kobiet i wyszedłem z sali, zobaczyłem, że po drugiej stronie korytarza gromadzi się tłum i blokuje przejście. Udało mi się przecisnąć na sam przód i zobaczyłem, że mój były uczeń bije młodą dziewczynę. Trzymał ją za włosy, bił pięścią i kopał stopami i kolanami. Ona zwinęła się w kłębek i cała się trzęsła. Miała zakrwawioną twarz. Kilku gapiów usiłowało go powstrzymać, ale płynęła w nim krew kowala, nikt nie dałby rady go poskromić. Ponieważ czułem, że jest gotów ją zabić, podszedłem i starałem się go uspokoić. Ale dostałem tylko pięścią w twarz.

Kiedy mój były uczeń zobaczył, że z nosa leci mi krew, dotarło do niego, że uderzył nie tę osobę, o którą mu chodziło. Trochę wtedy wytrzeźwiał. Wyjaśnił mi: „Kiedy kazałem tej suce cię obsłużyć, powiedziała, że jesteś dla niej za stary. Co za pierdoły. Spała z setkami facetów, a wciąż jej się chyba wydaje, że jest świeżą cipą”. Nie mogłem słuchać takiego języka i natychmiast stamtąd odszedłem.

Później nawet nie upomniałem się na policji o swoją rikszę, bo bałem się, że syn sekretarza Partii mógłby mnie znaleźć. Potem któregoś dnia czytałem „Dziennik Huaxi” i w sekcji wiadomości lokalnych trafiłem na artykuł o tym, że mojemu byłemu uczniowi postawiono zarzuty pobicia młodej kobiety i zmuszania jej do prostytucji. Kiedy dziennikarz przeprowadził z nim wywiad areszcie, zatrzymany powiedział – i zostało to zacytowane w artykule – „Mój były nauczyciel opiekował się mną, kiedy byłem dzieckiem. Uznałem, że przyszła pora, żeby mu się odwdziżyć. Nie żałuję tego, że zostałem aresztowany, bo zrobiłem to dla niego”.

Liao: Pierwszy raz w życiu słyszę o tak oddanym uczniu.

Huang: Gdyby wiedział o tym jego ojciec, przewracałby się w grobie.

Liao: Wrócił pan kiedyś do tego gimnazjum?

Huang: Nie. Słyszałem, że zostało zamknięte. Klasy zniszczały, a boisko zostało przysypane ziemią. Teraz będą tam tereny uprawne. Domyślam się, że szkoła miała za mało pieniędzy i nie stać jej było na ściągnięcie do pracy wykwalifikowanych nauczycieli. Czasy się zmieniły. Absolwenci wyższych uczelni nie są już takimi idealistami jak my kiedyś. Teraz każdy szuka dobrze płatnej pracy w firmie międzynarodowej. Czasami już sam nie wiem, kto miał rację, stary Mao czy stary Deng. Czy to dobrze, że Chiny otworzyły drzwi na Zachód, czy lepiej byłoby, gdyby zostały zamknięte?

Przedsiębiorca pogrzebowy

Przy ulicy Qunzhong w Chengdu mieści się dom pogrzebowy. Sąsiaduje z nim duża herbaciarnia o zniszczonej fasadzie. Herbaciarnia prosperuje całkiem nieźle. Około osiemdziesięciu procent jej klienteli to ludzie w podeszłym wieku. W tej właśnie herbaciarni poznałem niedawno siedemdziesięcioletniego Zhang Daolinga, długoletniego pracownika domu pogrzebowego.

Liao Yiwu: Nauczycielu Zhang, od jak dawna pracuje pan w tym zawodzie?

Zhang Daoling: Ponad czterdzieści lat. Niedługo mam przejść na emeryturę. Byłem jednym z założycieli tego domu pogrzebowego. Zacząłem w 1957 roku, po ukończeniu miejscowej szkoły plastycznej. To była epoka kampanii przeciwko prawicowcom. Wielu wykształconych ludzi zostało wyeliminowanych za wypowiedzi przeciwko Partii Komunistycznej. Panowała więc dość nerwowa atmosfera. Kiedy szkoła skierowała mnie do tej pracy, natychmiast ją podjąłem. Gdybym odmówił, mógłbym zostać napiętnowany jako prawicowiec za nieposłuszeństwo rozkazom Partii. Kiedy zaczynałem, pracowało tu około dziesięciu osób. Wtedy ludzie rzadko korzystali z usług domów pogrzebowych. Wszystkie uroczystości i rytuały pogrzebowe odbywały się w prywatnych domach albo w wioskach. Do naszego domu pogrzebowego większość zmarłych trafiała przez policję, która znajdowała zwłoki na ulicach. Były to albo ofiary morderstw, albo wypadków samochodowych. Od połowy lat pięćdziesiątych Przewodniczący

Mao i inni chińscy przywódcy wyższego szczebla zaczęli zachęcać obywateli do zmiany tradycyjnych praktyk grzebania zmarłych na kremację, ponieważ po prostu nie było już miejsca na cmentarzu. Nasz dom pogrzebowy wprowadził kremację do zakresu świadczonych usług. Ale ludziom trudno było zaakceptować samą ideę kremacji zwłok. Dlatego nie mieliśmy zbyt dużo do roboty. Szef zlecił mi prowadzenie tablicy popularyzującej nauki Przewodniczącego Mao. Jak pan wie, Partia co rusz wprowadzała jakąś nową kampanię polityczną. Przychodziło dużo materiałów propagandowych. Musiałem je czytać, a potem popularyzować, zawieszając najważniejsze fragmenty na tablicy.

Liao: Domyślam się, że z powodu tego dodatkowego zajęcia miał pan pełne ręce roboty.

Zhang: Zgadza się. Po kampanii przeciwko prawicowcom z 1957, w roku 1958 Przewodniczący Mao ogłosił kampanię Wielkiego Skoku Naprzód. Do naszego domu pogrzebowego wpadały grupy młodych ludzi z żądaniem, żebyśmy przerobili piec kremacyjny na piec do wytapiania żelaza i stali. Argumentowali, że tak czy owak nie wykorzystujemy tego pieca, a powinniśmy mieć swój wkład w wielki plan Przewodniczącego Mao. Dyrektor domu pogrzebowego próbował im tłumaczyć, że te dwa rodzaje pieców są inaczej zbudowane. Młodzi nie wierzyli ani jednemu słowu. Upierali się, że skoro piec może spalić ludzkie ciało, to z łatwością można go przerobić na taki, w który przetapia się kawałki metalu. Kiedy dyrektor im odmówił, zadenuncjowali go na policji i został aresztowany za stawanie na przeszkodzie Wielkiemu Skokowi Naprzód Przewodniczącego Mao. Kiedy dyrektora już nie było, okoliczni mieszkańcy przynieśli na nasze podwórze kawałki rudy żelaza i węgla. Na szczęście dowiedział się o tym szef okręgu. Natychmiast przyjechał i powstrzymał tłum przed zniszczeniem pieca. W ramach kompromisu pozwolił wybudować na naszym podwórzu drugi piec. Może pan sobie wyobrazić, że nasz spokojny dom pogrzebowy zmienił się w minifabrykę, głośnie i dymiącą. Dość mocno mnie ten ruch wciągnął. Biegałem po domu pogrzebowym jak wariat i zbierałem każdy kawałek metalu, który mógł się przydać, od rowerów po naczynia kuchenne. Prawie zapominałem, że moim prawdziwym zajęciem była praca wizażysty

w domu pogrzebowym. I cóż, w ciągu najbliższych miesięcy wyprodukowaliśmy sporo bezużytecznego żelaza marnej jakości. To była kompletna porażka. Jedynym plusem tej pomyłonej kampanii było to, że poznałem moją obecną żonę. Należała do Młodzieżówki Komunistycznej i została skierowana do naszego domu pogrzebowego do pomocy w produkcji stali.

Liao: Kiedy dom pogrzebowy oficjalnie zaczął pracę na pełnych obrotach?

Zhang: Podczas głodu w 1960 roku. Tylko w naszym okręgu zmarło z głodu dwadzieścia do trzydziestu tysięcy ludzi. Przez to, że zmarłych było tak dużo, nie sposób było urządzać dla każdego ceremonii pogrzebowej. Ludzie nie mieli czasu ani siły zbijać trumien. Zawijali tylko zmarłego w słomianą matę i przynosili tutaj, żeby dokonać kremacji. W drugiej połowie 1960 roku mieliśmy tyle pracy, że musiałem zostawać po godzinach. Wtedy piec działał inaczej. Trzeba było ciało ręcznie wkładać do pieca. Czasami, jeśli włącznik nie działał, płomień buchał, zanim zdołaliśmy ułożyć ciało w piecu jak należy. Często oblepiały nam twarze prochy wcześniej spalonych zwłok. Wyglądaliśmy, jakbyśmy byli mordercami. Ale dziś wszystko jest zautomatyzowane. Naciska się guzik i zwłoki wjeżdżają do pieca na pasie transmisyjnym.

Liao: Myślałem, że jest pan wizażystą. Dlaczego musiał się pan zajmować kremacją zwłok?

Zhang: Wszyscy zmarli, którzy trafiali do naszego domu pogrzebowego, byli ofiarami głodu. Ich krewnych nie stać było na dodatkowe usługi kosmetyczne. Na początku udawało nam się robić choć trochę, żeby wyglądali lepiej. Wiosną 1961 roku zaczęło jeszcze bardziej brakować żywności. Ponieważ napływało do nas coraz więcej ciał, nie miałem czasu na makijaż. W tamtym roku tysiące ludzi chodziło po górach jak szarańcza w poszukiwaniu czegokolwiek, co nadawałoby się do jedzenia – kory drzew, korzonków traw, dzikich warzyw, nawet owadów. Niestety, góry zostały ogołoczone z lasów, bo potrzebne było drewno do palenia w piecach przy produkcji żelaza i stali. Nie było niczego, co można byłoby zjeść. Chodząc w poszukiwaniu jedzenia, wielu ludzi padało i już nie wstawało. Służba bezpieczeństwa nakażywała więźniom – byłym właścicielom ziemskim, bogatym

chłopom, prawicowcom – chodzić po górach i zbierać trupy. Ci biedni więźniowie też byli głodni. Zastrajkowali. Odmawiali wyjścia, jeśli nie dostali wcześniej gotowanej na parze bułki. Strażnicy dźgali ich kolbami karabinów, ale oni mimo to nie chcieli się ruszyć. Wtedy naczelnik okręgu wpadł na nowatorski pomysł zbierania ciał. Długim sznurem wiązano po kilka trupów naraz, po czym kilku młodych mężczyzn ściągało je z góry. Dzięki temu udało się zaoszczędzić dużo energii.

Liao: Czy pan ucierpiał podczas tego głodu?

Zhang: Na szczęście pracownicy państwowi mieli zagwarantowaną stałą miesięczną rację żywnościową. Ponieważ dom pogrzebowy odgrywał ważną rolę społeczną, zapobiegając szerzeniu się chorób, jakimi grożą martwe ciała, władze okręgu pilnowały, żeby piec działał sprawnie, a pracownicy byli należycie karmieni. Na początku 1962 roku pojawiły się oznaki kanibalizmu. Zwłoki przywożone z gór były w większości okaleczone. Nie miały ciała na udach, ramionach, plecach i pośladkach. Miejscowe władze kazały nam o tym nie wspominać i natychmiast pozbywać się tych zwłok. W nocy funkcjonariusze służby bezpieczeństwa patrolowali góry; pojмали kilku kanibali i poslali ich do więzienia. Wie pan, dlaczego niektórzy chcieli jeść ludzkie mięso? Wielu ludzi cierpiało na zaparcia po spożyciu mieszanki trawy i białej glinki, jedzonej, żeby oszukać głód. Byli bardzo wzdęci. Od jakichś zielarzy dowiedzieli się, że ludzkie mięso to skuteczny środek przeczyszczający. A skuteczny środek był im bardzo potrzebny.

Liao: Pamiętam głód bardzo wyraźnie. Cierpiałem na odmę i o mało nie umarłem. Ale nie o tym chcę rozmawiać. Co się działo z panem później? Czy kiedykolwiek uprawiał pan inny zawód?

Zhang: Nie. Kiedy skończył się głód, liczba zgonów wróciła do stanu normalnego. W kolejnych latach w coraz to nowych miejscach zakazywano grzebania zmarłych i coraz więcej ludzi zaczęło akceptować praktykę kremacji zwłok. Dlatego w naszym domu pogrzebowym dobudowano dodatkową salę, w której odbywały się uroczystości żałobne, a także pomieszczenie do makijażu zwłok. Procedury malowania zmarłych były różne, w zależności od statusu społecznego zmarłego. W przypadku urzędników

państwowych czy lepiej wykształconych ludzi kazano nam wykonywać staranniejszy makijaż na potrzeby wystawiania zwłok na czuwanie. A rodziny zwyczajnych ludzi ze wsi nawet nie zamawiały czuwania ani uroczystości żałobnej. Urządzały tylko prywatne wystawienie zwłok, żeby krewni mogli się ze zmarłym pożegnać. W takich przypadkach makijaż był bardzo prosty: myłem twarz zmarłego, czesałem włosy, wypchałem do ust trochę waty, nakładałem na usta szminkę, a na policzki trochę pudru.

Liao: I to wszystko?

Zhang: Tak. Czasami umalowanie zmarłego może być sporym wyzwaniem. Zgodnie z chińską tradycją, kiedy człowiek umiera, jego rodzina urządza w domu czuwanie, podczas którego przez trzy dni ciało wystawione jest na widok publiczny. W wielu przypadkach, kiedy przywożono do nas ciało na uroczystość żałobną i kremację, ręce i nogi były już bardzo sztywne, policzki zapadnięte, a twarz sina. Jeśli śmierć miała miejsce latem, zmarły zaczynał cuchnąć. Trzeba było włożyć dużo pracy w to, żeby się godnie prezentował. Najtrudniejsze są ofiary brutalnych morderstw. Trzeba dużych umiejętności i cierpliwości, żeby z potwornie wyglądającej twarzy zrobić normalną, uśmiechniętą.

Liao: To zawód dla odważnych.

Zhang: Nie mogę powiedzieć, że bym był odważny. Pod wieloma względami jestem jak lekarz, który robi sekcję zwłok. Po jakimś czasie człowiek się tak znieczula, że zupełnie nic nie czuje. Wielu pisarzy pisało opowieści z dreszczykiem o domach pogrzebowych. Pracuję tu od wielu lat, ale nie spotkałem duchów, o jakich pisze się w takich książkach. Raz kilku kolegów zrobiło mi kawał. W środku nocy przenieśli z domu pogrzebowego ciało, nad którym pracowałem, i oparli o moje drzwi. Kiedy wstałem i otworzyłem drzwi, żeby wyjść do wychodka, trup padł mi prosto w ramiona i trafił ustami w moje usta. Wystraszyłem się jak cholera. Na szczęście szybko rozpoznałem ciało i zaraz się pozbierałem. Chwyciłem je mocno, uderzyłem dwa razy w twarz i zaniósłem do domu pogrzebowego. Kiedy wróciłem, położyłem się z powrotem spać. Potem nie czułem niczego nadzwyczajnego, poza tym że przez kilka dni miałem w ustach posmak formaliny.

Liao: Kiedy opowiadał pan tę historię, włosy omal nie stanęły mi dęba. Ale mówił pan to tak, jakby to było zabawne.

Zhang: Byłem do takich rzeczy przyzwyczajony. Podczas rewolucji kulturalnej, kiedy oddziały Czerwonej Gwardii zaczęły wdawać się w strzelaniny, narobiły w naszej okolicy sporo bałaganu. Co kilka dni trafiały do nas zwłoki owinięte w czerwone flagi. Trzymając mnie na muszce, czerwonogwardziści kazali mi myć i balsamować zwłoki swoich towarzyszy. Kiedy zanurzałem niektóre z tych ciał w wannie, żeby je umyć, woda natychmiast barwiła się na czerwono. Po myciu starannie zaklejałem plastrem wszystkie dziury i rany. Później ubierałem zwłoki w mundury Czerwonej Gwardii – zieloną kurtkę wojskową z czerwoną opaską na ramieniu. Raz jeden z przywódców Czerwonej Gwardii został ugodzony przez jednego z przeciwników nożem w serce. Kiedy towarzysze przynieśli jego ciało do domu pogrzebowego, to choć od zgonu minęło kilka dni, wciąż miał zaciśnięte zęby, a oczy o mało nie wychodziły mu z orbit. W końcu musiałem szczypcami ściągnąć powieki, żeby zamknąć mu oczy.

Liao: Nie wiedziałem, że w swojej pracy musi pan używać takich narzędzi.

Zhang: To była konieczność. Otworzenie mu ust było nie lada problemem. Kiedy rozwarłem je za pomocą noża, ze środka wypęły robaki. Okazało się, że język się rozłożył. Zrobiło mi się niedobrze. Zakryłem ręką usta i wybiegłem, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Po kilku minutach opanowałem się i wróciłem. Wyczyściłem mu zęby i wpompowałem do żołądka kilka butelek formaliny. Przypominało to mycie klozetu. Po tym, jak poświęciłem na to całe popołudnie, ta pełna złości, wykrzywiona w grymasie twarz wreszcie zmieniła się w twarz przyjazną, z takim uśmiechem, jaki pamiętali koledzy zmarłego. Czerwonogwardziści byli pod wrażeniem efektów i mojego perfekcjonistycznego podejścia do pracy. Włożyli mi na rękę opaskę Czerwonej Gwardii i wykrzykiwali slogany oparte na cytatach z Przewodniczącego Mao: „Uczmy się od robotników” i „Służba ludowi”. Nadali mi nawet honorowe członkostwo swojej grupy.

Liao: Na mnie też ten opis zrobił wrażenie. Domyślam się, że większość ludzi, którzy przychodzą zobaczyć hołd zmarłemu, jest

pogrążona w żalobie. Po uroczystościach mało kto pamięta o panu, magiku, który potrafi zmienić rozkładające się zwłoki w cudownie ludzko wyglądające ciało. Rzadko się czyta o takich ludziach jak pan.

Zhang: Nawet gdyby dziennikarze pisali o nas nie wiadomo jakie cudowne rzeczy, ludzie i tak nie garną się do tego zawodu. W zeszłym roku kupiłem nowy dom i przeprowadziłem się do innej dzielnicy. Zupełnie odciąłem się od dawnych znajomych i otoczenia, które znałem. Jedyną korzyścią tej sytuacji jest to, że nikt z moich nowych sąsiadów nie wie, czym się zajmuję. Kiedyś dziewczyna mojego syna dowiedziała się, w jaki sposób zarabiam na życie; przysięgła, że nigdy więcej nie odwiedzi naszego domu. Podobno tak się wystraszyła, że po tym, jak podała mi dłoń, bez przerwy myła ręce. Na szczęście miałem bardzo dobrą relację z synem i ten incydent z jego dziewczyną jej nie zepsuł. W końcu czego tu się bać? Prędzej czy później wszyscy umrzemy. Ale zdaje się, że kiedy człowiek żyje, nie chce, żeby mu przypominać o śmierci. Doskonale to rozumiem. Kiedy pracuję nad zwłokami, nawet nie kojarzę ich ze śmiercią. Całkowicie wyrzucam to z głowy. To tylko praca.

Liao: Czy to znaczy, że umie się pan wzniesić ponad ludzkie emocje?

Zhang: Chyba tak. Tylko raz naprawdę mocno się zaangażowałem. W wypadku drogowym zginęła mała dziewczynka. Kiedy ją do nas przynieśli, nie miała połowy główki. Dotknąłem jej dłoni i rąk i ogarnął mnie smutek. Kiedy mój pomocnik ją wykąpał, poprosiłem, żeby zostawił mnie samego. Chciałem zrekonstruować jej głowę i twarz. Dosztukowałem skórę głowy z namoczonej w formalinie czyjejś skóry i wypełniłem braki żelem silikonowym. Starannie umyłem włosy dziewczynki i zaplotłem w gruby warokocz. Umalowałem jej twarz i usta, a potem ubrałem w białą sukienkę. Wyglądała promiennie i uśmiechała się tak słodko, jakby żyła. Wyjątkowo umalowałem jej rzęsy francuskim tuszem. Jej oczy wyglądały pięknie. Podczas uroczystości pogrzebowej wszyscy żałobnicy byli zszokowani na widok leżącego na marach pięknego anioła. Płakali, pochodzili do niej kolejno i ją tulili. Patrzyłem na to z boku sali. Modliłem się po cichu, prosząc, żeby rodzice zostawili ją w domu pogrzebowym na jeszcze jedną noc,

żebym mógł sobie w spokoju na nią popatrzeć, przynieść jej kwiaty czy zabawki. Ale po uroczystości szybko przewieźli ją do krematorium. Cała moja praca przetrwała nieco ponad godzinę. Piękno nie jest trwałe. Jego losem jest zniszczenie.

Liao: Niech się pan nie smuci, nauczycielu Zhang. Piękno zostawia trwałe ślad w umyśle. W historii było wiele pięknych chwil, których nie można odtworzyć, ale pan i ja wiemy, że one istniały. Na przykład, zna pan pewnie historię Żegnaj, moja konkubino. Mniej więcej dwa tysiące lat temu wojska generała Xiang Yu zostały otoczone przez wroga w małym miasteczku na południu. W noc przed ostatnią bitwą generał siedział w obozie ze swoją ukochaną konkubiną Yu Ji i śpiewał: „Moja siła mogłaby ruszyć góry, mój duch mógłby podbić świat. Jestem zaś tak nieszczęśliwy, że aż mój koń nie chce galopować! Co mam zrobić, jeśli koń nie chce nawet iść stępą? O, moja droga Yu Ji, cóż mam zrobić?” Na to Yu Ji odpowiedziała, wykonawszy najpierw przed nim ostatni taniec: „Najechały nas wojska Han. Otaczają nas pieśni Chu. Duch mojego pana osłabł. Dlaczego mam więc wciąż żyć?” I podcięła sobie gardło jego mieczem. Pogrążony w smutku Xiang Yu próbował przedrzeć się do rzeki Wu. Kiedy poległi wszyscy jego ludzie, odebrał sobie życie. Ludzie zapamiętali tę tragiczną historię, wypełnili swoimi uczuciami, wyobraźnią i znaczeniem. Konkubina generała, rzadka, niewyobrażalna piękność, zniknęła z tego świata, tak jak ta mała dziewczynka, o której pan mówił. Ale jej historia przechodzi z pokolenia na pokolenie.

Zhang: Wy, pisarze, ujmujecie wszystko tak poetycko. Macie bardzo dobrą pamięć. Chociaż rozumiem tylko część z tego, co pan powiedział, rozumiem, że komplementuje pan moją pracę. Przez całe moje życie nikt nie użył takich poetyckich słów, żeby mnie pochwalić. Większość życia spędziłem w tym domu pogrzebowym. Co zrobię, kiedy przejdę na emeryturę? Nie umiem grać w karty ani w szachy. Nie lubię rozmawiać z ludźmi. Znam się tylko na zmarłych.

Liao: Może pan hodować kota albo psa, albo chodzić na ryby. Są różne sposoby spędzania wolnego czasu.

Zhang: Za bardzo się boję przywiązać do kogoś czy czegoś. Koty i psy są jak ludzie. Kiedy się z nimi długo żyje, człowiek

się przywiązuje i pewnego dnia, kiedy trzeba się rozstać, jest mu smutno. Codziennie umiera tylu dobrych i pięknych ludzi. Pracuję nad ich ciałami, żeby choć na chwilę zachować i podkreślić ich urodę, zanim znikną na zawsze. To trudne. Najstraszniejszą częścią życia nie jest śmierć, tylko utrata, która wiąże się ze śmiercią. Ostatnio zauważam, że nie potrafię tego znieść, kiedy coś zgubię czy stracę.

Na początku tego roku zmarł mój były szef. Nie miał nawet siedemdziesięciu lat. Umalowałem go. Kiedy żył, miał hobby. W młodości zbierał zaproszenia ślubne. Po pięćdziesiątce zaczął zbierać nekrologi. Zbiorami miał zavalony cały pokój. Mówił często, że wszystkie nekrologi brzmią tak samo i że my, Chińczycy, posługujemy się językiem bez wyobraźni.

Liao: To dość ekscentryczne.

Zhang: Chciał, żeby jego nekrolog był pomysłowy i niepowtarzalny. Dlatego zaczął go układać, kiedy jeszcze żył. Wydrukował go w kilkuset egzemplarzach i przechowywał w szufladzie, razem z wyciągami z banku i testamentem. Po jego śmierci przyjaciele odnaleźli te wydruki i pokazali jeden Staremu Wangowi, nowemu sekretarzowi Partii w naszym domu pogrzebowym. Stary Wang, który miał przewodniczyć uroczystości żałobnej, przeczytał go na próbie kilku osobom. Nikt nie rozumiał, o czym mowa. Język był taki archaiczny.

Liao: Pewnie zmarły użył dawnego stylu liturgicznego.

Zhang: Możliwe. To brzmiało jak haiku. Nie znałem połowy znaków. Były napisane odręcznie. Pewnie czytał ten nekrolog setki razy przed śmiercią, licząc, że to będą ostatnie słowa, jakie zostawi temu światu. Niestety, nowy sekretarz Partii uważał, że ten nekrolog nie odzwierciedla rewolucyjnego ducha nowych czasów. Napisał więc nowy, pełen współczesnego żargonu politycznego, takim językiem i stylem, jakimi nasz były dyrektor gardził. Możliwe, że przewracał się w grobie. No ale cóż, co można poradzić? To są Chiny. Człowiek nie ma zbyt dużej kontroli za życia. Po śmierci nie ma też kontroli nad własnym nekrologiem.

Kierownik komitetu sąsiedzkiego

Poczynając od roku 1954, rząd wprowadził w całym kraju system komitetów sąsiedzkich, żeby mieć większą kontrolę nad życiem obywateli niż ta, którą mogła zapewnić policja. Komitet sąsiedzki zwykle liczył od trzech do siedmiu stałych członków, lecz korzystał dodatkowo z nieodpłatnych usług niektórych mieszkańców, takich jak gospodynie domowe i emeryci. Przez ostatnie pięćdziesiąt lat komitety sąsiedzkie pełniły funkcję najważniejszych ośrodków szerzenia propagandy, rozstrzygania sporów, trzymania w ryzach osób, które były na bakier z prawem, a także donoszenia o wszelkich przypadkach łamania rządowej polityki jednego dziecka.

Jako młody chłopak mieszkałem w dzielnicy Jinguang, jednym z najstarszych slumsów w Chengdu. Deweloperzy uznali, że ta położona na obrzeżach miasta okolica zupełnie nie rokuje na przyszłość. Do dziś stoją tam stare, zapuszczone budynki, podobne do śmietników. Przez wiele lat kierownikiem mojego komitetu sąsiedzkiego był siedemdziesięciodziewięcioletni dziś Mi Daxi. Jako dziecko bardzo go podziwiałem.

Liao Yiwu: Szukam pana Mi, kierownika komitetu sąsiedzkiego.

Mi Daxi: To ja. Ale nie jestem już kierownikiem. Przeszedłem na emeryturę. Dziś przyszedłem tu, do biura, bo pomagam córce, która załatwia w mieście jakieś sprawy. Jak się pan nazywa? Ma pan dowód osobisty albo list polecający od pracodawcy?

Liao: Nie poznaje mnie pan? Mieszkalem na pierwszym piętrze. Jestem synem nauczyciela Liao.

Mi: Bardzo się pan zmienił. Ledwo pana poznaję. To gdzie pan dziś mieszka i zbija fortunę?

Liao: To bardzo ożywcze, słyszeć pytanie o pieniądze z ust zatwardziałego komunisty.

Mi: Czasy się zmieniły. Dzisiaj wszyscy mówią o pieniądzach, komunizm już nikogo nie obchodzi.

Liao: Chyba ma pan rację. Pamiętam, że kiedyś pana biuro mieściło się w pięknym budynku przy głównej ulicy. To obecnie wygląda na trochę ubogie, zgodzi się pan? Ale po kolei. W którym roku wstąpił pan do komitetu sąsiedzkiego?

Mi: Około czterdziestu lat temu. Kiedy zaczynałem pracę w komitecie, nie miałem jeszcze czterdziestki. Kiedy pracowałem w fabryce, maszyna uszkodziła mi prawą rękę. Przeszedłem na rentę i dostałem pół etatu w tym komitecie sąsiedzkim. Na początku byłem dość przygnębiony, bo w latach sześćdziesiątych praca w fabryce była bardzo prestiżowa. Mao nazywał robotników „pionierami rewolucji komunistycznej”. Nie widziałem siebie w towarzystwie plotkujących matek i babć, które pracowały w tutejszym komitecie. Ale miejscowe władze wwały we mnie otuchę i dały wsparcie. Przekonano mnie, że kontrolowanie wszystkich gospodarstw w sąsiedztwie to ważne zadanie. Naszym obowiązkiem było wyłapywanie groźnych elementów, które mogły zagrozić rządowi komunistycznym. Zostałem nawet delegatem do Zgromadzenia Ludowego Dzielnicy, miejscowego organu legislacyjnego, co było dla mnie wielkim zaszczytem. I po jakimś czasie mi się spodobało.

Dawny lokal komitetu sąsiedzkiego należał do bogatego kapitalisty. Przed rewolucją 1949 roku był on właścicielem fabryki tkanin. Wszystkie jego dzieci wyjechały za granicę. On z żoną zostali, bo nie chcieli mieszkać w obcym kraju. Na początku lat pięćdziesiątych rząd zajął jego fabrykę i ją upaństwowił. Kapitalista stracił pracę, od tamtej pory tylko siedział w domu i całymi dniami się wałkonął. Na początku rewolucji kulturalnej czerwogwardziści byli tak pełni zapału, że każdego kontrrewolucjonistę najchętniej by zabili albo przynajmniej pobili. Kapitalista

doskonale rozumiał, że on może być ich kolejną ofiarą. Dlatego kiedy pewnego dnia weszliśmy do niego do domu, ja i pan Wang, szef miejscowej policji, natychmiast zaproponował, że się wyprowadzi. Powiedział, że popełnił wiele zbrodni, bo wyzyskiwał robotników w swojej fabryce. Po kilku latach edukacji komunistycznej przeszedł osobistą reformę i chce otworzyć nowy rozdział w życiu. Nazwał swój dom symbolem haniebnej przeszłości swojej rodziny. Miał tylko jedną prośbę, żeby przydzielić mu jakieś małe mieszkanie, żeby miał z żoną gdzie spać. Pan Wang nie był głupi. Zaraz wyjął długopis i napisał list do odpowiednich organów, żeby przydzieliły kapitaliście jakieś małe, zniszczone mieszkanie. Tym sposobem komitet sąsiedzki przeniósł się do tego dużego domu.

Liao: Jak mogliście tak bez ceregieli przejąć cudzą własność?

Mi: W tamtych czasach najwyższym prawem były słowa Przewodniczącego Mao. Szczerze mówiąc, kiedy przekształciliśmy mieszkanie kapitalisty na biuro, wszyscy sąsiedzi pochwalali zmianę. Kapitalista z żoną mieszkali sobie wygodnie w wielkim domu z dziedzińcem, gdzie było dziesięć pokoi, a ich sąsiedzi musieli się gnieździć w ciasnych mieszkaniach. Wszyscy zadawaliśmy sobie pytanie: „Dlaczego on ma mieć lepiej niż my?”. W każdym razie jego decyzja o tym, żeby się wynieść, ocaliła dom przed spalaniem przez młodych czerwonogwardzistów.

Liao: Jakie były dalsze losy tego domu?

Mi: Podczas rewolucji kulturalnej ludzie w sąsiedztwie byli podzieleni na frakcje. Każda uważała się za bardziej rewolucyjną niż pozostałe. Co noc dochodziło do strzelanin. Biuro komitetu sąsiedzkiego służyło najpotężniejszej frakcji jako kwatera tymczasowa. Kilka lat po rewolucji komitet Partii Komunistycznej w stolicy prowincji wydał nakaz, żeby skłócone frakcje się rozwiązały. Wtedy nasze biuro zajęła miejscowa agencja rządowa. Dopiero w połowie lat siedemdziesiątych komitet zaczął znów urzędować we własnym biurze.

Liao: Czy komitet sąsiedzki to organ władz miasta?

Mi: To organizacja pseudorządowa. Powiedziałbym, że to najniższy szczebel organizacji władz miasta. Prawdziwą agencją rządową jest lokalny urząd służb bezpieczeństwa. Teraz do naszej

okolicy przypisany jest tylko jeden policjant. Dlatego komitet stanowi oczy i uszy policji.

Liao: Czy kiedy był pan kierownikiem komitetu, dostawał pan pensję?

Mi: Dostawałem comiesięczną wypłatę. Czy to uważa pan za pensję? Powiem panu, ta robota to była najgorsza harówka na świecie. Odpowiadaliśmy za to, żeby do każdego mieszkania dotarły informacje o polityce Partii, musieliśmy też zgłaszać władzom, co robią ludzie podlegli naszemu komitetowi. Kiedy jakaś kobieta wyłamała się z polityki jednego dziecka i zaszła w drugą ciążę, musieliśmy ją brać na rozmowę i przekonywać do aborcji. Jeżeli się nie zgadzała na aborcję, musieliśmy donosić na nią do zakładu pracy. Mogła przez to stracić pracę. Jeśli jakaś para się pobiła albo jakiś młody człowiek nie chciał pomagać finansowo niedomagającym rodzicom, wtedy wzywało się nas, żebyśmy prowadzili mediacje i rozwiązywali kryzysy rodzinne. Oczywiście, naszym zadaniem numer jeden ciągle jest co innego. Na przykład teraz złodzieje i gangsterzy rozplenili się jak szczury. Bez pomocy komitetu sąsiedzkiego służba bezpieczeństwa nie dałaby rady robić z nimi porządku.

Liao: Rozumiem. Może mi pan powiedzieć, jak to się stało, że komitet przeniósł się do tego ciasnego biura, w którym mieści się dzisiaj?

Mi: Pod koniec lat siedemdziesiątych i w latach osiemdziesiątych Chiny zaczęły prowadzić politykę „otwartych drzwi”. Nagle posiadanie krewnych za granicą stało się modne. Rząd rozwinął czerwony dywan dla Chińczyków mieszkających poza granicami Chin, licząc na to, że będą inwestować w kraju. Ten kapitalista, o którym mówiłem panu wcześniej, miał dwóch synów, którzy wrócili z Ameryki w roku 1985. To były cwaniaki jakich mało. Kiedy weszli na dziedziniec, ukłonili się nam trzy razy i wyrazili wdzięczność rządowi Chin, Partii Komunistycznej i sąsiadom za „opiekę” nad ich domem. Wręczyli nam nawet flagę na znak wdzięczności.

Liao: Pan i miejscowa Partia zajęliście ich dom nielegalnie. Naprawdę szczerze wam podziękowali?

Mi: To był amerykański kapitalistyczny kit. Taki dyplomatyczny sposób wykopania nas z tego domu. Nie mieliśmy wyjścia, musieliśmy się wyprowadzić. Jak tylko się wyprowadziliśmy,

ci dwaj wystawili dom na sprzedaż. Były lata osiemdziesiąte. Gospodarka Chin nie była tak rozwinięta jak dzisiaj. Większość ludzi tu, w okolicy żyła z ubogich pensji, nie mieszkali tu żadni bogacze. Dlatego długo nie było kupca na dom. Wtedy ci dranie skontaktowali się z władzami miasta i zaproponowali, że sprzedadzą budynek miastu za okrągłą sumkę trzystu tysięcy juanów [trzydzieści sześć tysięcy dolarów]. To było wredne. Gdyby coś takiego zdarzyło się za czasów Mao, rewolucyjni sąsiedzi by się zebrali i spoliczkowali tych braci. Ale cóż, były już inne czasy. Władze miasta wykazały wobec tych amerykańskich gnojków dużą łaskawość i postanowiły kupić dom. Liczyły na to, że ten uprzejmy gest pomoże uleczyć rany kapitalistów, którzy ucierpieli podczas rewolucji kulturalnej, i przyciągnie ich dzieci z powrotem do Chin. Ale wie pan co? Ci dwaj byli już zepsuci przez amerykańskich imperialistów, byli jak po praniu mózgow. Zabrali pieniądze i wyjechali z powrotem. Jeszcze narzekali, że zapuściliśmy im dom.

Liao: Moim zdaniem miastu opłaciło się kupno tego domu. Zważywszy na ceny nieruchomości w tej okolicy, nie sądzi pan, że ten dom jest teraz wart co najmniej dwa miliony juanów [dwieście czterdzieści tysięcy dolarów]?

Mi: Dom był zapuszczony. Aż przykro było patrzeć. Ale nie żał mi go. Byłem tylko wściekły, że pieniądze trafiły do kieszeni tych dwóch gnojków. W latach osiemdziesiątych trzysta tysięcy juanów to było dużo pieniędzy. Można było za te pieniądze wybudować dziesięć szkół podstawowych dla dzieci w biednych regionach. Ulica, przy której stał ten dom, biegła blisko głównej drogi przelotowej. Zburzono cały kwartał, żeby wybudować centrum handlowe. Ci, którzy tam mieszkali, mieli szczęście, bo przesiedlono ich do nowych domów w lepszych dzielnicach.

Nasza dzielnica to dziura, w której nic się nie dzieje. Takie getto. Przyjeżdżali tu deweloperzy, ale nie widzieli potencjału. Ci, którzy tu mieszkają, już tu zostaną na zawsze. Niektórzy starsi mieszkańcy wciąż przychodzą do komitetu, siłą przyzwyczajenia. Wydaje im się, że jakimś cudem możemy im załatwić przeniesienie do lepszej dzielnicy. Ale to nie są czasy maoistowskie. Czego oni się po nas spodziewają?

Liao: Takich ludzi jak pan wciąż uważa się za fundament, na którym opiera się władza.

Mi: A na kim ja mogę się oprzeć?

Liao: Niech pan nie będzie takim pesymistą. Dzisiaj ludzie już tak się nie ekscytują rewolucjami komunistycznymi jak kiedyś, w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Ale wciąż jest popyt na pańskie usługi. W tej okolicy włóczy się mnóstwo przyjezdnych. Gdyby coś się stało, doszło do kradzieży czy walk gangów, bez pańskiej pomocy urząd bezpieczeństwa nawet by nie wiedział, od czego zacząć dochodzenie. Z tego ciasnego biura dokładnie widzi pan, w których rodzinach gra się w madžonga i uprawia hazard, które mieszkanie zostało wynajęte, do kogo przychodzą jacy goście, które młode pary zamieszkują razem przed ślubem i tak dalej. Pamiętam, że kiedy byłem mały, członkowie gangów się pana bali, bo miał pan powiązania ze służbą bezpieczeństwa. Zanim policja podejmowała decyzję o wysłaniu kogoś do obozu reedukacyjnego, najpierw konsultowała się z panem.

Mi: Nadal się ze mną konsultują. Ale w większości przypadków urząd bezpieczeństwa nie wysyła już młodych do obozów na reedukację. Po prostu nakładają duże grzywny. Nie tak dawno temu moja córka zaprowadziła oficerów służby bezpieczeństwa, żeby przeszukali pewien blok. Znaleźli dziesięciu facetów, którzy przyjechali tu ze wsi. Żaden nie miał meldunku. Niektórych przyłapali na hazardzie. Inni oglądali kasety z pornografią. Oficerowie zgarnęli ich i wsadzili do podmiejskiego aresztu. Kilka dni później ci faceci zapłacili grzywnę i zostali wypuszczeni na wolność.

Liao: Nie sądzę, że można ludzi zatrzymać czy aresztować tylko za to, że nie mają meldunku albo oglądają filmy pornograficzne.

Mi: Ma pan w mózgu złe pojęcia. Dla mnie oglądanie pornografii to zbrodnia, bo z tego biorą się przestępstwa na tle seksualnym. Kiedyś ludzie trafiali do więzienia nawet za czytanie romansów. Pamięta pan tego chłopaka, który mieszkał koło pana? Kolportował ręcznie przepisaną książkę *Pełne tęsknoty dziewczęce serce*, bardzo popularny romans wydany w drugim obiegu w latach siedemdziesiątych. Kolega z klasy doniósł na

niego. Zaprowadziłem policjantów do jego pokoju i znaleźliśmy dowody rzeczowe. Policjanci zawiesili mu na szyi dużą tekturową tablicę i prowadzili go po całej okolicy, żeby wszyscy widzieli, kto jest winny kolportowania gorszących materiałów wśród młodzieży. Chłopak spędził trzy lata w obozie reedukacyjnym.

Liao: To było w czasach maoistowskich. Niech pan pomyśli: ci młodzi ludzie to byli pana sąsiedzi. Dlaczego chciał im pan zniszczyć przyszłość? Tylko dlatego że czytali jakiś romans? Dzisiaj, jak się pójdzie do centrum handlowego, to w kioskach jest pełno różnych magazynów i książek o miłości i seksie.

Mi: Nad złymi ludźmi nie ma co się litować. Ja tam umiem poznać, kto jest dobry, a kto zły, poznaję od pierwszego spojrzenia. Kiedyś był taki północnokoreański film *Niewidzialne pole bitwy*. Opowiadał historię o tym, jak kontrrewolucjoniści usiłowali obalić rząd komunistyczny w Korei Północnej. Bardzo do mnie ten film przemówił. Zaproponowałem, żeby wszyscy członkowie komitetu sąsiedzkiego go obejrzeni i bardzo tego pilnowałem. Ten film był dla nas dobrą nauką. Postanowiliśmy zmobilizować wszystkich sąsiadów, żeby donosili o każdej podejranej działalności. Do początku lat osiemdziesiątych za każdym razem, kiedy ktoś nam coś zgłaszał, przeszukiwaliśmy mieszkanie podejrzanego.

Liao: Pamiętam to. W 1975 roku mój wujek wyszedł z więzienia. Znalazł się w jednej z ostatnich grup więźniów politycznych, które objęła amnestia. Kiedy zjawił się u nas w domu, przyprowadził pan do nas policję. Mój wujek został zatrzymany i spędził noc w areszcie.

Mi: Pański wujek walczył w wojnie domowej po stronie nacjonalistów. Został napiętnowany jako wróg klasowy. Mieliśmy obowiązek traktować takie przypadki z pełną czujnością. Ale muszę przeprosić za to aresztowanie. Okazało się, że pana wujek to porządny człowiek. Był to chyba jedyny błąd, jaki popełniłem przez ostatnie czterdzieści lat. Teraz rząd zaostrzył działania przeciw przestępczości. W ciągu ostatniego roku doszło u nas do kilku policyjnych nalotów. Ale komitety sąsiedzkie nie odgrywają już takiej istotnej roli jak kiedyś.

Liao: To dobrze czy źle?

Mi: No a jak pan myśli? Traktuje się nas jak symbol przeszłości. Mnie to bardzo boli.

Liao: Uważam, że w czasach maoistowskich komitety sąsiedzkie dostały za dużą władzę. Dzisiaj w społeczeństwie musi panować praworządność. Nie można, ot tak, przeszukać komuś mieszkania. Podobnie jak wszyscy inni mieszkańcy Chin, pracownicy tego komitetu powinni sobie znaleźć jakieś inne zajęcie, które wypełni im czas.

Mi: Staramy się coś wymyślić. Rok temu, latem, władze zapewniły naszemu komitetowi fundusze i wydały zezwolenie na otwarcie herbaciarni. Okazało się, że to bardzo dobry interes. Początkowo miałem taki pomysł, żeby herbaciarnia była miejscem popularyzowania polityki rządu. Kiedyś wszyscy sąsiedzi zbierali się na świeżym powietrzu w każdą środę po południu, żeby czytać razem dzieła Mao i gazety partyjne. Uznałem, że takie obowiązkowe sesje już się raczej nie sprawdzą. Ale pomyślałem, że moglibyśmy wykorzystać herbaciarnię do tego, żeby ludzie z sąsiedztwa mogli sobie siedzieć, popijać herbatę i czytać gazety partyjne. Można by w ten sposób upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Poza tym herbaciarnia miała zapewnić kilka miejsc pracy młodym, którzy nie mają roboty. Ale wszystko poszło w złą stronę. Nikt nie chciał słuchać, jak czytam na głos gazety. Kilka razy ludzie nawet wygwizdali mnie ze sceny. Córka poradziła mi wtedy, żebym nie trzymał się tak kurczowo starych zasad i nie szerzył komunizmu na siłę. No to zaprosiliśmy na występy śpiewaków z opery sycuańskiej. Starsi ludzie byli zachwyceni, ale młodym się nie podobało. Chwyтали się różnych sposobów, żeby z tymi występami skończyć. Jednego wieczoru, tuż po tym, jak zaczął się występ, jakiś młody człowiek zadzwonił do miejscowej stacji telewizyjnej, żeby przysłała kogoś, bo w herbaciarni panuje niedopuszczalny poziom hałasu. Dziennikarz nakręcił materiał, który całkowicie wypaczył prawdę o nas. Tak trudno jest dogodzić wszystkim. W końcu nasi klienci wzięli sprawy we własne ręce. Zrobili z naszej herbaciarni salon gry w madżonga. Wkrótce stał się tak popularny, że zabrakło nam stolików do gry. Ludzie zaczęli po prostu przynosić stoliki z domów, zainstalowali

też w herbaciarni trochę więcej lamp. Aż wstyd było patrzeć, co tam się działo. Zmienili herbaciarnię w jaskinię hazardu. Jeszcze mi radzili, żebym pobierał opłatę od stolika.

Liao: Musiał pan na tym nieźle zarobić. Jak głosi chińskie przysłowie, „Kiedy zesłana przez Boga fortuna chce do Ciebie przyjść, nijak jej nie zatrzymasz!”

Mi: Jestem zatwardziałym komunistą, całymi latami pobierałem nauki od Partii. Jak mogę sprowadzać swoich sąsiadów na manowce, zachęcać ich do zła?

Liao: Nie sądzi pan, że nazywanie tego złem to przesada? Gra w madżonga to w Chinach popularna rozrywka. Nie można powiedzieć, że gracze w madżonga to źli ludzie, prawda? Poza tym wszystkie herbaciarnie w tym mieście oferują możliwość gry w madżonga.

Mi: Wielu ludzi gra tu w madżonga całą noc. Jak wygrają, to idą i wyrzucają pieniądze w błoto w drogich restauracjach i burdelach. A jak przegrają, to idą kraść. Naprawdę żałowałem tego, co stworzyłem, ale było już za późno, żeby zamknąć interes. Nawet córka mnie namawiała, żebym przestał narzekać. Raz taki stary garbus z czwartego piętra przegrał w jedną noc dziesięć tysięcy juanów [tysiąc dwieście dwadzieścia dolarów]. Kompletnie stracił rozum. Wrócił do domu i napił się środka owadobójczego. Na szczęście żona znalazła go w porę i zawiozła do szpitala. Inaczej już by nie żył. Po tym zdarzeniu poszedłem na policję i zgłosiłem, że w mojej herbaciarni uprawia się hazard. Któregoś dnia zrobili nalot. Wielu ludzi przeklinało mnie za moimi plecami. Dlatego wystąpiłem z komitetu sąsiedzkiego. Teraz władze wyznaczyły na kierowniczkę moją córkę.

Liao: Odnoszę wrażenie, że pan nadal jest tu kierownikiem.

Mi: Nie, tak nie jest. Prawdziwym szefem jest moja córka. Jest już po pięćdziesiątce. Uwielbia ćwiczyć t'ai chi, uczyć się tańców ludowych z innymi paniami z sąsiedztwa i w ogóle być wśród ludzi. Z temperamentu bardziej się nadaje do tej pracy.

Liao: Teraz, kiedy policja zamknęła herbaciarnię, co zamierza pan robić?

Mi: Kazałem elektrykowi zainstalować na dachu tego budynku megafon i założyłem małą rozgłośnię radiową, żeby trzy razy

dziennie nadawać wiadomości. Nasz komitet prowadził własną rozgłośnię radiową przez ponad dziesięć lat. Przed rokiem 1980 większość mieszkańców nie miała własnych telewizorów, a na prenumeratę gazet nie było ich stać. Dlatego nasza rozgłośnia była bardzo popularna. Zatrudniłem nawet zawodowego radiowca, który czytał fragmenty artykułów z gazet albo dokumentów partyjnych. Nadawaliśmy też muzykę rewolucyjną, na przykład takie piosenki jak *Wschód jest czerwony*. Nasz program był całkiem profesjonalny i w niczym nie ustępował wielkim stacjom radiowym w Pekinie. Kiedy w każdym mieszkaniu pojawił się telewizor, nikt już się nie interesował radiem. Ale teraz znów zacząłem nadawać.

Liao: Pozwoli pan, że się rozejrzę po tym małym studiu radiowym. Proszę, cała ściana obwieszona portretami i proporczykami. Widzę, że wciąż ma pan duże wizerunki Marksa, Engelsa, Lenina, Stalina i Mao – najśłynniejszych przywódców komunistycznych na świecie. Pamiętam, że widziałem je na tej ścianie jako dziecko. Wyglądają jak relikty z zamierzchłej epoki.

Mi: Mam je od trzydziestu lat.

Liao: Czyli rzeczywiście pochodzą z zamierzchłej epoki. Ten pokój jest za mały jak na takich „wielkich mężów”. Można by pomyśleć, że codziennie modli się pan do tych wielkich komunistów.

Mi: Tego mi nie wolno. Gdyby ktoś chciał urządzić dla nich ołtarz, musi przestrzegać specjalnych zasad. Nie można traktować plakatów tych wielkich ludzi tak samo, jak traktuje się plakaty aktorów. Nie można ich przekrzywiać ani wieszać osobno. To pięciu równie wielkich ludzi, więc muszą wisieć na tej samej ścianie. Gdyby ktoś powiesił ich wizerunki inaczej, popełniłby polityczny błąd.

Liao: Kierownikowi Mi, pańskie biuro wygląda jak muzeum ery maoistowskiej. Mam wrażenie, że czas się tutaj zatrzymał. Kiedyś spróbuję wpaść, żeby poczytać, co jest napisane na tych wszystkich proporczykach.

Mi: Te proporczyki dostałem w nagrodę za wkład w rewolucję. Przewodniczący Mao pouczał nas: „Nie spoczywajcie na laurach. Nie wolno ustawać w pracy na rzecz rewolucji”. Szkoda, że dziś wszyscy ustali w pracy na rzecz rewolucji komunistycznej. Praca

komitetu sąsiedzkiego jest coraz cięższa. Odkąd wróciłem do nadawania programu radiowego, a było to na początku roku, nie znalazłem ani jednej młodej osoby, która chciałaby pracować na rzecz naszej sąsiedzkiej rozgłośni. Czytamy wiadomości na zmianę z kilkoma starszymi osobami z sąsiedztwa. Ale ponieważ jesteśmy starzy i źle widzimy, ciągle robimy błędy. Musieliśmy przez to skrócić czas nadawania. Czytamy fragmenty z gazet i prognozę pogody, puszczaamy muzykę i dodajemy trochę osobistych komentarzy.

Liao: Jakich osobistych komentarzy?

Mi: Na przykład rano, kiedy już skończymy nadawać muzykę na początek dnia, ktoś z nas przypomina słuchaczom o ruchu na ulicach i radzi, żeby uważali, jak będą przechodzić przez jezdnię. Potem na przykład przypomina o tym, jak ważne jest zjedzenie śniadania i jak należy zapobiegać obniżonemu poziomowi cukru we krwi. Młodym ludziom, którzy zostali zwolnieni z pracy, każe się nie poddawać, tylko podnieść uszy do góry. Wieczorem siada przed mikrofonem ktoś inny i przypomina mieszkańcom, żeby zamknęli na noc okna i drzwi na klucz. Mówi też o tym, jak wystrzec się zatrucia tlenkiem węgla i podaje numery telefonu do straży pożarnej i na policję.

Liao: Naprawdę jak w wielkiej komunistycznej rodzinie.

Mi: Za każdym razem, kiedy wchodzę do tego pokoju i otacza mnie tyle pamiątek z dawnych czasów, czuję, jak wraca mi energia młodości.

Liao: Jest pan wciąż młody sercem, ale pański umysł żyje przeszłością.

Były czerwonogwardzista

Dzisiaj wielu mieszkańcom Chin hasło „rewolucja kulturalna” kojarzy się z widokiem uczniów i studentów w zielonych kurtkach wojskowych, z czerwonymi opaskami na rękawach, wymachujących *Czerwoną Książeczką* Przewodniczącego Mao i skandujących „Niech żyje Przewodniczący Mao”. Ci młodzi rewolucjoniści, znani w świecie jako czerwonogwardziści, napadali na szkoły i instytucje i z zapalem torturowali swoich nauczycieli, jak również intelektualistów i urzędników, którzy ich zdaniem odeszli od rewolucyjnej linii Mao. W latach 1966–1976 wskutek tego ruchu zginęły miliony chińskich obywateli.

Liu Weidong wstąpił do oddziału Czerwonej Gwardii jako uczeń liceum w okręgu Zhongjiang w prowincji Syczuan. Dzisiaj mieszka w Chengdu.

Liao Yiwu: Kiedy wstąpił pan do Czerwonej Gwardii?

Liu Weidong: To było chyba latem 1966 roku. Tego roku, w którym Przewodniczący Mao ogłosił „wielką proletariacką rewolucję kulturalną”. Uważał, że rewolucja komunistyczna, dzięki której komuniści przejęli władzę w Chinach w 1949 roku, zaczęła wytracać pęd. Wielu partyjnych biurokratów za bardzo koncentrowało się na rozwoju chińskiej gospodarki i odchodziło od ideałów socjalizmu. Poza tym Mao, który miał wtedy siedemdziesiąt trzy lata, był przekonany, że ludzie z jego najbliższego otoczenia próbują odebrać mu władzę. Dlatego poprosił o pomoc uczniów i studentów, którzy natychmiast stanęli u jego boku.

Liao: Jak można przeczytać w podręcznikach do historii, wielu młodych radykałów zwracało się przeciwko swoim nauczycielom, a także urzędnikom państwowym i partyjnym, oskarżając ich o szerzenie idei kapitalistycznych i burżuazyjnych. W Pekinie uczniowie zaczęli nosić opaski na rękawach i nazywać się „czerwonogwardzistami” – obrońcami Przewodniczącego Mao i awangardą nowej rewolucji.

Liu: Zgadza się. Idea Czerwonej Gwardii prędko rozniosła się po całym kraju. Bardzo szybko podchwycili ją uczniowie w Syczuanie.

Liao: W Czerwonej Gwardii w Syczuanie było wiele frakcji. Do której pan należał?

Liu: Ja należałem do Armii Bojowników Rewolucyjnych, frakcji ogólnookręgowej. Wszystkie najśłynniejsze w Chinach frakcje Czerwonej Gwardii działały w dużych miastach, takich jak Pekin i Szanghaj. Na poziomie okręgu oddziały Czerwonej Gwardii to były po prostu grupki zbuntowanych młodych wsioków. Armia Bojowników Rewolucyjnych była wyjątkiem. Byliśmy bardzo uświadomieni i zaangażowani politycznie, mimo że większość z nas była niedożywiona i sprawiała wrażenie młodszych niż w rzeczywistości.

Liao: W porównaniu z dzisiejszymi licealistami, których bardziej interesują odtwarzacze MP3 i muzyka pop niż rewolucja komunistyczna, rzeczywiście byliście politycznie świadomi i zaangażowani.

Liu: Nie mieliśmy wyboru. Gdyby ktoś nie opowiedział się za Przewodniczącym Mao, zostałby oskarżony o to, że idzie pod prąd historii. Jak na pewno może pan sobie wyobrazić, nasi rodzice, którzy przeżyli poprzednie kampanie polityczne, nauczyli nas, że w Chinach jedynym sposobem na to, żeby przetrwać, jest posłuszeństwo wobec Partii. Dlatego kilka tygodni po wybuchu rewolucji kulturalnej wszyscy wstąpiliśmy do Czerwonej Gwardii. Żeby stworzyć oddział, nie musieliśmy się nigdzie zgłaszać ani prosić nikogo o zgodę. Po prostu zbierała się grupa kumpli, wymyślała jakąś rewolucyjną nazwę i wycinała ją na pieczętce z gumy albo drewna. Potem kupowało się czerwone opaski, dużą czerwoną flagę, ogłaszało się oddziałem Czerwonej Gwardii

i już. W okręgu Lanting w ciągu tygodnia powstało ponad tysiąc oddziałów Czerwonej Gwardii.

Liao: Skoro oddziałów było tak dużo, jaki organ rządowy sprawował nad nimi nadzór?

Liu: Żaden. Okręgowe biuro Partii Komunistycznej zostało od razu przejęte przez Czerwoną Gwardię, na samym początku rewolucji kulturalnej. Urzędnicy najwyższego szczebla trafili do aresztu jako „zwolennicy drogi kapitalistycznej”. Potem wszystkie oddziały Czerwonej Gwardii zwołały tak zwane zebranie na dziesięć tysięcy osób żeby publicznie napiętnować zatrzymanych jako wrogów ludu. Zebranie odbyło się na szkolnym boisku. Każdy oddział Czerwonej Gwardii przemaszerował przed podium z własną flagą. Wyglądało to bardzo uroczyście. Przed rozpoczęciem zebrania na podium została wprowadzona grupa kontrrewolucjonistów, wrogów ludu. Znaleźli się wśród nich szef okręgu, sekretarz Partii, dyrektor Okręgowego Wydziału Kultury, dyrektor największego liceum w okręgu, byli właściciele ziemscy, prawnicy i kilku naszych nauczycieli. Czerwonogwardziści włożyli im na głowy czapki błazeńskie z białego papieru, a na szyjach zawiesili czarne tekturowe tablice. Wszyscy stanęli na skraju podium ze spuszczonej nisko głowami i związanymi z tyłu rękami. Uczniowie i studenci wchodzili kolejno na podium i potępiali kontrrewolucjonistów za reprezentowanie „czterech starych” elementów społeczeństwa. Te publiczne oskarżenia trwały cztery czy pięć godzin. Po zebraniu czerwonogwardziści przeprowadzili kontrrewolucjonistów główną ulicą. Gapie wznosili takie okrzyki, jak „Precz z tymi, którzy kroczą drogą kapitalistyczną! Brońmy Przewodniczącego Mao i rewolucji komunistycznej”. Niektórzy opluwali swoich byłych zwierzchników i nauczycieli. Dzieci rzucały w więźniów kamieniami albo biły ich kijkami bambusowymi. Zauważyłem, że większość tych kontrrewolucjonistów miała zakrwawione twarze.

W tamtych czasach równie wielka jak miłość do rewolucji i podziw dla Przewodniczącego Mao była w nas nienawiść do tych, którzy naszym zdaniem działali przeciwko Przewodzącemu.

Liao: Nie wiedziałem, że dręczenie ludzi sprawiało wam taką przyjemność.

Liu: A, tak. Podczas poprzednich kampanii politycznych czystki przeprowadzane były pod nadzorem miejscowych członków Partii Komunistycznej, ale podczas rewolucji kulturalnej było inaczej. Skrzyknęli się zwykli ludzie i wzięli w obroty tych, którzy byli u władzy. Czerwonogwardziści bili wszystkich, których uważali za kontrrewolucjonistów, nie przejmując się, czy ktośkolwiek wyciągnie z tego konsekwencje. To tak, jakby dzisiaj przyłapać na ulicy kieszonkowca na gorącym uczynku. Każdy przechodzień chce się włączyć do wymierzania złodziejowi kary, choć raz go uderzyć albo kopnąć. Ten, kto kopie najmocniej, dostaje największe brawa. Dokładnie to samo działo się podczas rewolucji komunistycznej.

Ja odegrałem czynną rolę w tym zebraniu na dziesięć tysięcy osób. Moje zadanie polegało na staniu za plecami pana Bai, byłego dyrektora naszej szkoły. Za każdym razem, kiedy zebrani wykrzykiwali slogany rewolucyjne, razem z jeszcze jednym czerwonogwardzistą łapaliśmy pana Bai za siwe włosy i pochylaliśmy mu głowę jeszcze niżej na znak głębokiej skruchy. Zawiesiliśmy mu na szyi spory kamień na cienkim metalowym drucie. Widziałem, jak ten drut wbijał mu się w ciało. Ale nawet wtedy nie uznaliśmy, że to wystarczy, ciągle wymyślaliśmy nowe sposoby zadawania mu bólu. Po kilku dniach miał dosyć tortur. Przez cały dzień skowyczał. Wieczorem poprosił o zgodę na skorzystanie z latryny. Zaprowadziłem go i czekałem na zewnątrz. Minęło dwadzieścia minut, a on wciąż nie wychodził. Wtedy wszedłem do środka i zobaczyłem, że go tam nie ma. Zdenerwowałem się i natychmiast zgłosiłem to dowództwu Czerwonej Gwardii. Zaraz przysłali kilkunastu ludzi. Przeszukaliśmy całą latrynę, ale nie znaleźliśmy nawet śladu po panu Bai. Kiedy rozmawialiśmy o tym, czy rozkleić plakaty z jego zdjęciem na ulicach, nagle usłyszeliśmy jakiś odgłos w zbiorniku wody za latryną. Któryś z kolegów zaraz przyniósł długi bambusowy kij i wsadził go do zbiornika, usiłując się zorientować, co tam wpadło, że narobiło tyle hałasu. Ale kij był za krótki, więc nic z tego nie wyszło. Wtedy dowódca mojego oddziału kazał mi

zejść do tego zbiornika i przekonać się na własne oczy, co było przyczyną hałasu.

Przewiązany w pasie liną zszedłem po cembrowinie zbiornika. Mniej więcej na poziomie dziesięciu metrów włączyłem latarkę i oświetliłem powierzchnię wody. Zobaczyłem, że pływa tam trup, twarzą w dół. Włosy stanęły mi dęba, w uszach zaczęło mi dzwonić i cały się trząsałem. Chciałem natychmiast wyjść. Ale wiedziałem, że jeśli nie wyciągnę ciała, będę miał kłopoty. Trochę się opanowałem i zawołałem do kolegów w górze, żeby rzucili mi linę z hakiem. Zaczepiłem hak o kołnierzyk koszuli trupa i wyszedłem z powrotem na górę najszybciej, jak się dało. A koledzy zaczęli ciągnąć linę. Kiedy wyciągnęli trupa mniej więcej do połowy, kołnierzyk puścił i ciało spadło z głośnym pluskiem z powrotem do wody. Dowódca kazał mi zejść jeszcze raz. Kiedy w końcu wyciągnąłem trupa, okazało się, że to pan Bai. Całe ciało miał posiniaczone. Na szyi miał zaciśniętą pętlę z paska. Wyglądało na to, że się nie utopił, tylko umarł od uduszenia. Biedny pan Bai! Urodził się w rodzinie bogatych, konserwatywnych intelektualistów w latach czterdziestych, kiedy Chinami rządili jeszcze nacjonaliści. Jako student wstąpił do działającej wtedy w podziemiu Partii Komunistycznej. Kiedy ukończył studia, zaczął uczyć w szkołach średnich na terenach wiejskich. Swoją pracę wykorzystywał jako przykrywkę dla mobilizowania chłopów do buntu przeciwko rządowi nacjonalistycznemu. Po przejściu władzy przez komunistów został dyrektorem liceum w naszym okręgu. Wiele razy odrzucał propozycje awansu i pracy w dużych miastach. Kiedy zaczęła się rewolucja kulturalna, oskarżyliśmy go o zmuszanie uczniów do przyswajania zachodniej nauki i technologii.

Wieść o śmierci pana Bai szybko się rozeszła. To była zagadka: nikt nie wiedział, jak mu się udało niepostrzeżenie wyjść z latryny i znaleźć w zbiorniku z wodą. Ja stałem na straży pod drzwiami latryny. Zresztą jak to możliwe, żeby więzień najpierw się powiesił, a potem wskoczył do zbiornika? Może został zamordowany? Pewnie ktoś go udusił, a potem wrzucił ciało do zbiornika. Ale po co? Przecież został już napiętnowany jako wróg ludu i wielokrotnie ukarany biciem. Dlaczego ktoś miałby go zabijać?

Liao: Pan Bai zginął podczas pańskiej warty. Czy był pan w związku z tym przesłuchiwany przez policję?

Liu: Właściwie nie. Poprosili mnie tylko, żebym napisał, co widziałem. Szybko doszli do wniosku, że to było samobójstwo popełnione po to, żeby uniknąć kary. W tamtych czasach często się słyszało, że uczniowie pobili nauczycieli na śmierć. Dlatego nikogo nie obeszło, że oskarżony publicznie kapitalista został zamęczony na śmierć. Był w naszej okolicy jeszcze jeden dyrektor szkoły, przed rewolucją kulturalną uznawany za wzorowego przywódcę komunistycznego. Był znanym specjalistą w dziedzinie ogrodnictwa. Zasadził na terenie szkoły drzewka owocowe i zamienił szkołę w sad. Jego uczniowie musieli przed południem chodzić na lekcje, a po południu pracować w sadzie. Przez jakiś czas był poważaną osobistością. Ludzie z całego okręgu przyjeżdżali zobaczyć jego szkołę. W 1967 roku uczniowie zniszczyli narzędzia ogrodnicze i oskarżyli go o to, że jest kapitalistą, ponieważ sprzedawał owoce z sadu na miejscowym targu, a zyski przeznaczał na szkołę. Zamknęli go pod kluczem w jednej z klas. Zawsze, kiedy odbywało się zebranie publiczne, był na nie przyprowadzany i musiał wysłuchiwać, o co się go oskarża. A kiedy czerwonogwardzistom znudziło się męczenie go na zebraniach publicznych, kazali mu codziennie biegać po polach ryżowych. Trwało to mniej więcej pół roku. Pewnego dnia podczas biegu upadł na ziemię i już nie wstał. Zmarł z wyczerpania. Czerwonogwardziści byli wściekli, że tak szybko go wykończyli. Zawlekli jego ciało do szkolnej auli i urządzili tam ostatnie zebranie, na którym publicznie go oskarżyli, i dopiero potem zgłosili jego śmierć władzom okręgu. W tamtych czasach wiele lokalnych urzędów bezpieczeństwa znajdowało się w stanie całkowitego paraliżu. Nie było osób odpowiedzialnych za podejmowanie decyzji. A tej sprawy nikt nie śmiał drażnić, żeby nie narazić się na zarzut opowiadania się po stronie wroga ludu. Żyliśmy w społeczeństwie bezprawia. Najwyższym prawem w kraju były słowa Przewodniczącego Mao.

To były pomyłone czasy. Nawet uczniowie podstawówek byli wzywani do buntu przeciwko nauczycielom. Zdarzało się, że dziewczęta siłą goliły nauczycielkom na łyso pół głowy, nazywając

to „nowoczesną fryzurą *yin-yang*”. Na ulicach stale widywało się dzieci, które w jednym ręku trzymały *Czerwoną Książeczkę* Przewodniczącego Mao, a w drugiej drewniany czerwony miecz. Zatrzymywały dorosłych i kazały im recytować cytaty z Przewodniczącego Mao. Kiedy zatrzymany dorosły chociaż raz się pomylił, dzieci biły go mieczem po plecach i kazały zaczynać od nowa. Jeśli nadal się mylił, donosiły na niego czerwonogwardzistom i taki człowiek mógł zostać oskarżony o „zapominanie słów Przewodniczącego Mao”. Jeżeli się bronił i nie chciał się przyznać do winy, bywał bity po twarzy.

Liao: Pamiętam. Kiedy teraz myślę o tamtych czasach, widzę, że czerwonogwardziści nie różnili się zbyt od nazistów. Rewolucja kulturalna przypomina eksterminację Żydów podczas drugiej wojny światowej czy stalinowskie czystki w Związku Radzieckim.

Liu: To duża przesada. Początkowo wielu „kapitalistów” było bitych, ponieważ nie przyznawali się do winy i próbowali się z nami kłócić. Ale z czasem stali się bardzo posłuszni. Jeżeli oskarżało się ich o szpiegostwo, kiwali głowami i zgadzali się z każdym słowem. Dlatego bicie zelżało. Skierowaliśmy wtedy zapędy w inną stronę. Wydaliśmy wojnę starym świątyniom, które Przewodniczący Mao nazwał „bastionami feudalizmu i zabobonnych wierzeń”. Lanting to mały okręg, ale było tam dużo świątyń buddyjskich, a w nich pełno posągów i dzieł sztuki. Najpierw paliliśmy rękopisy, księgi i obrazy. Potem młotami rozwaliliśmy co mniejsze posągi. Jak trafiał się większy, to pożyczaliśmy wiertarki i wierciliśmy w nim dziury, a potem rozwalaliśmy mu łeb. Był taki jeden wielki posąg Buddy wyrzeźbiony w skale, na zboczu góry. Chcieliśmy się z nim rozprawić za pomocą wiertarek, ale nie dało się podejść dostatecznie blisko. Któryś kolega załatwił materiały wybuchowe. I wysadziliśmy tego grubasa, rozsypał się na tysiące kawałków. W miejscu, które po nim zostało, i na sąsiednich skałach napisaliśmy dużymi czerwonymi znakami: „Niech żyje wielka proletariacka rewolucja kulturalna. Niech żyje Przewodniczący Mao”.

Zdarzało się wtedy dużo śmiesznych historii. Młodzi mnisi z jakiegoś zakonu postanowili stworzyć własny oddział Czerwonej

Gwardii. Zdjęli *kaşaje* i włożyli kurtki w stylu Mao, ale wyglądali w nich komicznie z tymi ogolonymi głowami. Nasz oddział wysłał do nich kilku ludzi na znak poparcia. Mnisi wywlekli opata ze swojej świątyni, zerwali mu z szyi różaniec i w jego miejsce powiesili czarną kartonową tablicę. Prowadzili go i kilka mniszek po ulicach, urządzili też publiczną sesję oskarżeń. Jeden z tych młodych mnichów wszedł na podium i oskarżył opata o to, że poświęcał za dużo czasu na lekturę pism buddyjskich. Kazano mu czytać odtąd rewolucyjne dzieła Przewodniczącego Mao. Potem jakiś inny mnich powiedział, że kupił kiedyś w sklepie portret Przewodniczącego Mao i chciał umieścić go w głównej sali modlitewnej. Ale opat się na to nie zgodził, mówiąc, że Przewodniczący Mao nie jest bogiem, tylko zwykłym człowiekiem. Kiedy ten mnich o tym opowiadał, to aż zbierało mu się na płacz. Podszedł do opata i uderzył go w twarz. Potem podniósł rękę w górę i krzyknął: „Precz z opatem, potomkiem głównych chińskich kapitalistów”. Później odwrócił się do mniszek i krzyknął: „Siostra Liu [przełożona mniszek w tej świątyni] to konkubina tego kapitalisty. Precz z Buddą, przedmiotem feuda-listycznego zabobonu”.

Liao: To był absurd. Nie przeszło wam przez myśl, że posuwacie się za daleko?

Liu: Ja pochodzę z rodziny prostych robotników. Rewolucja kulturalna dała mi szansę podeptania tych, którzy byli ode mnie lepsi. To było coś wspaniałego. Nie mogłem się tym nasycić. Moja młodość, moje marzenia, moje pasje – wszystko to ściśle wiązało się z rewolucją kulturalną. Ale najbardziej ekscytującym wydarzeniem tamtego okresu było to, że widziałem na własne oczy Przewodniczącego Mao, kiedy pozdrowiał miliony czerwonogwardzistów na placu Tian’anmen w Pekinie.

Liao: Proszę opowiedzieć o tym, jak wybrał się pan do Pekinu na spotkanie z Przewodniczącym Mao.

Liu: W latach 1966 i 1967 oddziały Czerwonej Gwardii w całych Chinach zainicjowały ogólnokrajowy ruch szerzenia słów Mao wśród mas. Ostatecznym celem naszej podróży miał być Pekin, gdzie na własne oczy mieliśmy zobaczyć Wielkiego Przywódcę. Razem z kolegami stworzyliśmy Wędrowny Oddział Czerwonej

Gwardii „Długi Marsz”. Przeszliśmy pieszo setki kilometrów do Chengdu. Wszystkie hotele w mieście otwały przed nami drzwi. Miasto przekształciło nawet teatry na noclegownie dla młodzieży, bo w hotelach było za mało miejsc, żeby pomieścić wszystkich czerwonogwardzistów. Ponieważ zjawiliśmy się jako jedni z pierwszych, udało nam się zakwaterować w ładnym hotelu. Wystarczyło, że pokazaliśmy odznaki Czerwonej Gwardii, i mogliśmy tam jeść i spać za darmo. W dzień chodziliśmy na miejscowy targ, żeby kupować odznaki i proporzki przedstawiające Przewodniczącego Mao albo się nimi wymieniać. W szczytowym momencie rewolucji kulturalnej każdy region i każdy zakład pracy projektował i produkował własne odznaki z wizerunkiem Przewodniczącego Mao. Ludzie z zapalem je zbierali.

Ale szybko nam się znudziło w Chengdu i postanowiliśmy pojechać pociągiem do Pekinu. Kiedy przyszlismy z kolegami na dworzec, pociągi do Pekinu były pełne. Udało nam się wcisnąć do środka przez okna. Wszystkie wagony były niebezpiecznie przeładowane: ludzie leżeli na półkach na bagaże i pod siedzeniami; w korytarzach stali tak ciasno, że na siebie napierali. Było duszno. Ale mimo trudnych warunków żaden z nas nie chciał wysiąść. Był już wrzesień. Dowiedzieliśmy się, że Przewodniczący Mao ma pozdrowić Czerwoną Gwardię po raz ostatni w tamtym roku. Za nic nie chcieliśmy przepuścić takiej okazji.

W końcu pociąg ruszył, ale co chwilę się zatrzymywał. Po półgodzinie stanął. Potem znów ruszył. Nie było rozkładu jazdy i pociąg jechał, jak chciał. Kiedy się zatrzymywał, upał w wagonach robił się nie do wytrzymania. Ale nie piliśmy wody, bo nie było dostępu do toalet. Podróżowali w nich ludzie, którym nie udało się znaleźć miejsc stojących gdzie indziej. Z toalety można było korzystać tylko podczas postojów pociągu na stacji. Wiele dziewczyn w końcu sikało w majtki. A kiedy fałceci już nie mogli wytrzymać, przeciskali się do okien i wystawiali małego na zewnątrz. Było ciężko, ale wszyscy byli bardzo wyrozumiali.

Nie uwierzy pan, ale jechaliśmy tym pociągiem ponad czterdzieści osiem godzin.

W Pekinie nocowaliśmy w jakiejś podstawówce. W nocy przed spotkaniem z Przewodniczącym Mao byliśmy tak podekscytowani, że nie mogliśmy spać. Około trzeciej nad ranem włożyliśmy zielone kurtki czerwonogwardzistów i przeszliśmy jakieś osiem kilometrów, które dzieliły nas od placu Tian'anmen. Zanim dotarliśmy na miejsce, główne ulice zostały już zamknięte i odgródzone kordonami policji. Musieliśmy nadłożyć drogi i iść za tłumem do najbliższego wejścia. Plac Tian'anmen, który ma około czterystu czterdziestu tysięcy metrów kwadratowych powierzchni, był szczelnie wypełniony czerwonogwardzistami. Kiedy się człowiek rozejrzył, widać było jedno wielkie morze zielonych mundurów i czerwonych flag, które trzepotały na porannym wietrze. Pękaliśmy z dumy, że czekamy na przeżycie czegoś tak niezwykle ekscytującego.

Staliśmy na placu od wczesnego ranka do południa. Wreszcie w wieży nad Bramą Niebiańskiego Spokoju pojawił się Mao. Plac natychmiast się ożywił, zaczęliśmy wznosić gromkie okrzyki. Machaliśmy czerwonymi flagami i egzemplarzami *Czerwonej Książeczki*, krzycząc i skandując „Niech żyje Przewodniczący Mao”. Mao zdjął z głowy wojskową czapkę i pomachał nią w naszym kierunku. Przez mikrofon odpowiedział: „Niech żyje lud”. Nie uwierzyłby pan, jaki ogromny entuzjazm wywołał nasz Wielki Przywódca. Czuliśmy, że on i my to jedno. Staliśmy na placu Tian'anmen kilka godzin w ostrym słońcu, skakaliśmy i krzyczeliśmy na całe gardło. Byliśmy jak oczadziały z podniecenia. Wielu z nas ochryzło i jeszcze przez kilka dni potem nie mogło mówić. Szaleliśmy w euforii, rozpierała nas radość, byliśmy najszczęśliwsi na świecie.

Liao: Nadal odczuwa pan tę euforię co wtedy?

Liu: Nie, ale z przyjemnością wracam do tych wspomnień. Nigdy tych czasów nie zapomnę. Byliśmy tacy czysti i niewinni.

Liao: Jak to „czysti i niewinni”? Torturowanie nauczycieli, niszczenie cennych zabytków i wdawanie się w walki z innymi oddziałami Czerwonej Gwardii to nie były czyny ludzi czystych i niewinnych.

Liu: Walczyliśmy o swoje przekonania. Broniliśmy Przewodniczącego Mao i rewolucji komunistycznej. Każdy, kto stawał

rewolucji na przeszkodzie, zasługiwał na karę. Dzisiaj większość ludzi nie ma już duchowych ideałów. Liczy się tylko pieniądź. Ludzie się zabijają o pieniądze. Kobiety za pieniądze sprzedają własne ciała. Skorumpowani urzędnicy wyrzekają się dla pieniędzy swoich zasad i łamią prawo. Syn potrafi udusić matkę, żeby dostać jej pieniądze. Pieniądze niszczą duszę tego kraju. Gdzie się podziały ideały komunistyczne? Ech. Moje pokolenie wierzyło w komunizm całym sercem. Przestaliśmy się uczyć, żeby wziąć udział w rewolucji. Później, kiedy Przewodniczący Mao zachęcał absolwentów szkół średnich, żeby osiedlili się na wsiach i poddali się reedukacji chłopskiej, posłuchaliśmy świętych słów Mao, pożegnaliśmy się z rodzicami i bez wahania wyruszyliśmy z miast na wieś. W innych częściach świata ludzie w wieku kilkunastu, dwudziestu kilku lat uczyli się nauk ścisłych, technologii, sztuki i literatury. My, Chińczycy, zmarnowaliśmy młodość, uprawiając pola ryżowe. Teraz, kiedy czasy maoistowskie dawno minęły, okazało się, że ludzie mojego pokolenia to bezużyteczni prostacy. A ci kapitaliści, których prześladowaliśmy, teraz rządzą światem. Rząd chiński mówi, że Chiny to kraj socjalistyczny, ale prawda jest taka, że stał się całkowicie kapitalistyczny. Jak już mówiłem, ponieważ tacy ludzie jak ja nie szli w młodości na studia, to kiedy zaczęły się zwolnienia z pracy, my byliśmy pierwsi na liście. Ale w porównaniu z wieloma moimi kolegami z Czerwonej Gwardii, którzy wciąż tkwią na wsiach i klepią biedę, i tak mam dużo szczęścia. Przynajmniej udało mi się przenieść z powrotem do miasta.

Liao: Jak wygląda teraz pana sytuacja?

Liu: Pracuję w zakładzie, który był kiedyś państwowy. Przez wiele lat przynosił straty, ale był dotowany przez państwo. W trakcie niedawnej reformy gospodarczej rząd zrzekł się własności zakładów państwowych. Mój zakład stoi na skraju bankructwa. Zwolnili połowę ludzi. Ja pracuję w kadrach i na razie udało mi się utrzymać robotę. Ale życie co dzień coraz bardziej schodzi na psy. Słyszałem, że jakiś prywatny deweloper chce kupić nasz zakład, zburzyć budynki fabryczne i postawić luksusowe domy mieszkalne. Kto wie, co to będzie. Boję się nawet o tym myśleć. Ech, całe moje dotychczasowe życie było

kompletnie zmarnowane i do niczego. Mam już czterdzieści dziewięć lat. Jak teraz stracę pracę, to nie wyobrażam sobie, żeby mi się chciało zaczynać wszystko od nowa. Za duży wysiłek.

Pamiętam, że podczas rewolucji kulturalnej mieliśmy poczucie, że jesteśmy niepokonani, i chcieliśmy zbawić za pomocą komunizmu cały świat. Nigdy bym nie przypuszczał, że tak skończę. Nawet sam siebie nie umiem zbawić.

Kontrrewolucjonista

W pewnym więzieniu na północy Syczuanu osadzono ponad dwudziestu więźniów politycznych. Wszyscy uczestniczyli w studenckim ruchu demokratycznym z 1989 roku. Zostali oskarżeni o „propagowanie i wzniesienie działalności kontrrewolucyjnej”. Dostali wyroki od dwóch do dwunastu lat.

Wan Baocheng, wówczas trzydziestopięciolatek, pochodził z tak zwanej czerwonej rodziny – jego ojciec był wysoko postawionym członkiem Partii i w latach czterdziestych walczył u boku Przewodniczącego Mao podczas wojny z nacjonalistami. Ze sposobu mówienia i zachowania Wana trudno się było domyślić, że ma wysoko postawionego ojca i że sam był człowiekiem o dużej władzy. W roku 1989, w tym wyjątkowym czasie, kiedy cały kraj zareagował na zew demokracji, Wan został wrogiem Partii.

Wywiad przeprowadziłem w lutym 1993 roku, kiedy siedziałem w tym samym więzieniu co Wan. On wyszedł na wolność w 1994 roku.

Liao Yiwu: Spośród wszystkich osób, które tu siedzą od 1989 roku, od studenckiego ruchu demokratycznego, pan zajmował najwyższe stanowisko państwowe. Zgadza się?

Wan Baocheng: Chyba tak. Zanim wylądowałem tutaj, byłem zastępcą dyrektora największego banku państwowego w Syczuanie. Byłem w swojej dziedzinie najlepszy. Byłem ekspertem w zakresie polityki gospodarczej naszego rządu. Kiedy tylko rząd wydawał jakieś rozporządzenie, bardzo uważnie je czytałem.

Chętnie czytywałem też oficjalną gazetę Partii Komunistycznej, „Dziennik Ludowy”. To była podstawowa lektura urzędników państwowych. We wszystkim stosowałem się do zaleceń Partii i unikałem popełniania błędów.

Liao: Jak to się stało, że taki wybitny urzędnik państwowy i biznesmen znalazł się tutaj?

Wan: Tak się złożyło, że w maju 1989 byłem w Pekinie w delegacji. Moim zadaniem było wygzekwowanie zaległej spłaty pożyczki. Planowaliśmy przysłać zwykłego urzędnika, ale wtedy wybuchły studenckie demonstracje prodemokratyczne. Cały kraj pogrążył się w chaosie. Po namyśle postanowiłem pojechać sam.

Liao: Dlaczego pana bank udzielił pożyczki komuś aż w Pekinie?

Wan: Główna siedziba tej firmy mieściła się w Pekinie, a w Syczuanie otworzyła filię. Potem filię zamknięto i cały majątek przeszedł do głównej siedziby. Pojechałem do Pekinu pod koniec maja. To był bardzo niedobry czas. Jak pan pamięta, demonstracje studenckie zaczęły się w kwietniu, dla uczczenia śmierci byłego sekretarza Partii Komunistycznej Hu Yaobanga. Później demonstracje przerodziły się w protesty przeciwko korupcji w rządzie i na rzecz demokracji. Pod koniec maja, kiedy władze odmawiały podjęcia dialogu z protestującymi, ruch rozszerzył się na cały kraj. Do Pekinu przyjechało jeszcze więcej studentów.

Kiedy tylko wysiadłem na dworcu kolejowym, położonym dość blisko placu Tian’anmen, wyczułem napięcie. Do studentów dołączyli ludzie ze wszystkich środowisk i całe miasto było sparaliżowane. Ponieważ media rządowe blokowały wiadomości dotyczące demonstracji, pogłoski, które ludzie sobie przekazywali, robiły się coraz bardziej dramatyczne. W jednej chwili można było usłyszeć, że zmobilizowano lotnictwo i żołnierze zrzućeni na spadochronach stłumią protesty na placu Tian’anmen. Chwilę później ktoś mówił, że jakiś sprzyjający studentom generał, przy wsparciu kilku ludzi wysoko postawionych w rządzie, zorganizował zamach stanu.

Ja miałem do tego spokojne podejście, nie wierzyłem w żadną z tych plotek. Mój ojciec służył w wojsku komunistycznym pod dowództwem Przewodniczącego Mao i był lojalny wobec Partii. Chyba odziedziczyłem po nim geny lojalności. Dookoła mnie

ludzie byli jak w szale, a ja postanowiłem nie dać się wyprowadzić z równowagi i skupić na pracy.

Poszedłem prosto do siedziby tej firmy. Budynek był opustoszały. Została tylko recepcjonistka. Od niej dowiedziałem się, że kierownictwo i pracownicy poszli na plac Tian'anmen, z flagami i transparentami, żeby okazać swoje poparcie dla studentów. Wyszedłem więc i zameldowałem się w hotelu niedaleko ulicy Cuiwei w centrum Pekinu. Mój pokój mieścił się na pierwszym piętrze, okno wychodziło na ruchliwe skrzyżowanie. Widziałem, jak w dole maszerują mieszkańcy miasta i studenci. Zanim się ściemniło, zszedłem na dół i patrzyłem, jak ludzie zbijają się w małe grupki, wymieniają się najnowszymi wieściami i plotkami. Ktoś stanął na drewnianej skrzynce i powiedział, że do miasta wejdzie trzydzieści tysięcy żołnierzy, żeby zaprowadzić porządek. Ktoś inny się upierał, że będzie ich tylko dwadzieścia tysięcy. W każdym razie koło hotelu uspokoiło się dopiero po północy.

Siedziałem w pokoju, czytałem materiały związane z pracą. Na drugi dzień znów poszedłem do tej firmy i znów nikogo nie zastałem. Postanowiłem więc opóźnić podróż powrotną o dwa dni. Wieczorem 3 czerwca 1989 roku widziałem, że na ulicy pod moim oknem gromadzi się coraz większy tłum. Hotel był dziwnie opustoszały, bo wszyscy pracownicy wyszli na ulicę, by dołączyć do studentów. Ktoś stał na schodach przed wejściem i mówił, jak należy budować blokady, żeby do miasta nie wjechały czołgi. Tłum robił się z godziny na godzinę coraz gęstszy. Od czasów rewolucji kulturalnej nie widziałem, żeby ludzie się w coś tak zaangażowali całym sercem. Ale nic nie mogło zachwiać mojego poparcia dla władzy. Nadal nie obchodziło mnie to, co się działo na zewnątrz, a nawet położyłem się spać wcześniej niż zwykle.

W nocy hałas pod hotelem się wzmógł. Wstałem, zamknąłem okno i wróciłem do łóżka. Przypominałem sobie, że jestem urzędnikiem państwowym i nie powinienem dołączać do tłumy protestujących. Wziąłem tabletkę nasenną i zaraz potem twardo zasnąłem.

Obudziły mnie odgłosy głośnych wystrzałów. Pamiętam, że podszedłem do okna, zobaczyłem strzelających żołnierzy

i jadące ulicą czołgi. Jak mówiłem, nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego. Podczas rewolucji kulturalnej, kiedy walczyły ze sobą różne frakcje Czerwonej Gwardii, dochodziło czasem do strzelaniny. Ale to było coś zupełnie innego. Tej nocy otworzyli ogień nasi, chińscy żołnierze. Nie powinni strzelać do niewinnych obywateli. Ich celem powinni być wrogowie za naszymi granicami. Chciałem obserwować, co się dzieje, ale pigułka jeszcze działała. Oczy mi się same zamykały. Wkrótce znów zasnąłem.

Koło dziesiątej rano obudziło mnie głośne pukanie do drzwi pokoju. To była sprzątaczką. Weszła i krzyknęła: „Panie, jak mógł pan spać w takich warunkach? Niech pan popatrzy na swoje okno”. Spojrzałem, gdzie pokazywała i zobaczyłem, że okno trafiła zabłąkana kula i cała podłoga była pokryta odłamkami szkła. Chwała Bogu, że w nocy nie stałem dłużej przy oknie. Mógłbym zginąć. Sprzątaczką mi powiedziała, że gość z dziewiątego piętra wychylił się z okna i krzyczał na żołnierzy. Dostał kulę i zmarł. Kiedy to usłyszałem, krew uderzyła mi do głowy. Nie mogłem już pozostać outsiderem.

Liao: Czyli zmienił pan zdanie o ruchu studentów.

Wan: Tak. Wyrzależem przez okno i zobaczyłem spustoszenie na ulicy. Zobaczyłem, że patrolują ją setki żołnierzy w hełmach. Co kilka minut słychać było ryk przejeżdżającego czołgu. Ulicą biegł młody cywil. Żołnierze kazali mu się zatrzymać. Widziałem, że chłopak się bał. Zatrzymał się na chwilę, ale zaraz znów zaczął uciekać. Jeden z żołnierzy podniósł karabin i strzelił mu w plecy. Chłopak upadł na kolana, a potem zwałił się bezwładnie na ziemię. Wyglądało to jak na filmie wojennym. Nie sądzę, żeby mój ojciec, który walczył w chińskiej wojnie domowej, był świadkiem takich strasznych scen – żeby żołnierz zabijał bezbronnego cywila.

Byłem zszokowany. Sprzątaczką odciągnęła mnie od okna i kazała wracać do łóżka. Ostrzegła mnie: „Żołnierze poszaleli. Jeżeli trafi pana kula, uznają, że miał pan pecha. Nikt za to nie odpowie”.

Ale nic mnie to nie obchodziło. Przez kolejne dni wychodziłem na ulicę i rozmawiałem z ludźmi, którzy na własne oczy

widzieli brutalność władzy w nocy 4 czerwca. Odwiedziłem dwa szpitale i widziałem rannych od kul studentów i mieszkańców miasta. Kiedy jednak włączałem wieczorem telewizor, o masakrze nie było ani słowa. Oficjalna wersja brzmiała tak, że żołnierze chińscy obronili stolicę przed garstką „chuliganów” i że nie było żadnych ofiar. Dla mnie, ekonomisty, najważniejsza była uczciwość. Poczułem przymus pisania. Zapisałem wszystko, co widziałem i słyszałem. Wcześniej pisałem tylko raporty księgowo i pisma biurowe. Ale w ciągu jednej nocy zostałem pisarzem zupełnie innego rodzaju. Pióro aż paliło mi się w ręce. Raz pisałem z ogromnym wzburzeniem, a czasami po policzkach płynęły mi łzy.

W ciągu tygodnia skończyłem artykuł. Miał siedem stron. Poprawiłem kilka błędów, kilka fragmentów napisałem od nowa. Ponieważ nie mieliśmy wtedy komputerów, musiałem starannie przepisać tekst na czysto. Zatytułowałem swój artykuł *Opowieść naocznego świadka o 4 czerwca*. Przed wyjazdem z Pekinu potajemnie powieliłem artykuł w stu kopiach.

W pociągu powrotnym zacząłem rozdawać artykuł współpasażerom. Minął mniej więcej tydzień od stłumienia protestów. Za wszystkimi przywódcami studenckimi rozesłano rządowe listy gończe. W policji obowiązywał stan podwyższonej gotowości. Policjanci stale przetrząsali wagony w poszukiwaniu zbiegłych byłych przywódców. Byłem bardzo ostrożny. Na szczęście wiele osób włączyło się do pomocy. Kiedy pociąg wjechał do mojego miasta, wszystkie kopie były rozdane.

W kolejnym miesiącu każdy pracownik naszego banku musiał potępić ruch studencki i przysiąc lojalność wobec Partii. Wiele osób, które prywatnie oburzała urządzona przez rząd masakra, publicznie musiało okazywać posłuszeństwo nakazom. Protestowanie przeciwko władzy było jak rzucanie jajkiem o wielką skałę – niczego nie dawało, przynosiło tylko duże osobiste straty. Wszyscy mieli za zadanie czytać artykuły w „Dzienniku Ludowym” i przyjmować punkt widzenia Partii. Na zebraniach załogi ja też wyrażałem poparcie dla decyzji rządu. Jako zastępca dyrektora banku musiałem przewodzić praniu mózgow. Pod koniec miesiąca, jako że żaden z pracowników mojego banku

nie przyznał się do uczestnictwa w miejscowych demonstracjach, wszyscy dostaliśmy solidne premie. Wiedziałem, że wielu ludzi brało udział w demonstracjach, ale nikt nie doniósł na pozostałych.

Z czasem prawie zapomniałem o tym, co zrobiłem w Pekinie, policja jednak nie zapomniała. Dwa miesiące później, chyba w sierpniu, wezwał mnie do siebie dyrektor. Kiedy wszedłem do jego gabinetu, zobaczyłem, że jest tam też dwóch obcych ludzi. Dyrektor powiedział: „Panie Wan, proszę przyznać się do wszystkiego, co robił pan w Pekinie”. Od jego słów przeszedł mnie dreszcz. Niemal instynktownie zacząłem udawać głupiego. „Panie dyrektorze, przecież doskonale pan wie, co robiłem”. Słyszając to, dyrektor poczerwieniał i powiedział: „Niestety, jak się okazuje, nie wiemy, co pan robił”.

Później się dowiedziałem, że policja dostała kopie mojego artykułu od kilku pasażerów pociągu, którzy pomagali szukać zbiegów. Byłem śledzony już od dłuższego czasu. Kiedy zostałem zatrzymany, wiele osób nie chciało uwierzyć, że ja, inteligentny urzędnik, mogłem się dopuścić czegoś takiego. Podczas zebrania w radzie miasta, na którym omawiana była moja sprawa, sekretarz Partii w moim mieście nawet mnie bronił, mówiąc: „To niemożliwe. On pochodzi z rodziny rewolucyjnej. Jego ojciec i ja w tym samym roku wstąpiliśmy do armii komunistycznej. Młody pan Wan jest także dobrym komunistą. Został przyjęty do Partii w wieku osiemnastu lat. Wychował się na moich oczach, zawsze był dobrym synem i świetnym pracownikiem banku. To nie może być prawda”. Sekretarz Partii nawet błagał: „Ten chłopak to wschodząca gwiazda. Proszę, nie stawiajcie mu niesłusznych zarzutów i nie niszczonej mu kariery”.

Policja, zniecierpliwiona wypowiedziami moich bliskich i przyjaciół, którzy brali mnie w obronę, zaprosiła moich krewnych na posterunek. Tam pokazano im mój artykuł, zeznania załogi hotelu i moich współpasażerów z pociągu. Wszyscy byli w szoku. Sekretarz Partii, zawstydzony dobrymi słowami, które wypowiedział na mój temat, podpisał nakaz aresztowania mnie.

W obliczu dowodów nie miałem wyjścia, musiałem się przyznać do winy. Na szczęście nie miałem współników i moja sprawa

była stosunkowo prosta. Ale zamiast przyznać się do tego, że postąpiłem źle, otwarcie stwierdziłem, że to, co napisałem w artykule, jest prawdą. I wtedy dopiero się zaczęło. Byli koledzy mojego ojca – ci, którzy zajmowali wysokie stanowiska w mieście, mój szef w banku, nawet szefowie służby bezpieczeństwa – przechodzili do aresztu, żeby przemówić mi do rozumu i nakłonić do zmiany zeznań. Radzili, żebym przyznał się do winy i powiedział, że źli ludzie zmusili mnie do wymyślania bezwstydných kłamstw w celu szkalowania opinii żołnierzy pilnujących placu Tian'anmen.

I oficerom przesłuchującym, i kolegom mojego ojca mówiłem to samo: „Jako członek Partii przysięgam na Przewodniczącego Mao, że wszystko, co opisałem, jest prawdą”. Jeden z oficerów walnął pięścią w biurko i powiedział: „Nie jesteście już członkiem Partii Komunistycznej. Zostaliście z niej wydalen. Ale jeśli przyznacie się do winy i będziecie z nami współpracować, złagodzimy wam wyrok”. Nie ugiąłem się: jako członek Partii byłem zobowiązany do prawdomówności w każdych okolicznościach. Oficer był wściekły: „Panie Wan, niech pan nie będzie tak cholernie zarozumiały! Był pan zastępcą dyrektora największego banku w mieście. Ale to było kiedyś. Teraz jest pan nikim”. Nie chciałem przyjąć tego do wiadomości: „Nie jestem jakimś skorumpowanym urzędnikiem! Jak śmiecie tak do mnie mówić!”. On odpowiedział cynicznym tonem: „Gdyby był pan skorumpowanym urzędnikiem, miałby pan szczęście. Ojciec mógłby użyć swoich wpływów i wydostać pana z więzienia. Mógłby pan wrócić do domu i normalnie żyć. A w Chinach, o czym wie pan równie dobrze jak ja, kiedy wplącze się pan w sprawę polityczną, nie ma pan już życia. Nie rozumie pan?”. Odszczeknąłem mu się: „Jako że to poważna sprawa polityczna, nie mogę się przyznać do winy. Gdybym się przyznał, to jakbym wywalił sobie na głowę pełny nocnik”.

Nikt nie był w stanie zmienić mojej decyzji. W końcu powiedzieli o wszystkim mojemu ojcu. Podobno aż trząsł się z wściekłości. Przeklinał mnie i krzyknął głośno: „Ten głupi gówniarz!”. Potem zemdłał. Moje rodzeństwo zabrało go do szpitala, a tam lekarz powiedział, że ojciec miał udar. Został

częściowo sparaliżowany, ale umysł miał bardzo jasny. Policja postanowiła więc przywieźć go na widzenie ze mną. To, że posłużyli się w manipulacji moim ojcem, odebrało mi resztki pewności siebie. Kiedy policjanci wwieźli go, siedzącego na wózku, na podwórze aresztu, serce mi się ścisnęło. Kiedy wyjeżdżałem do Pekinu, był zdrowym człowiekiem. A teraz siedział na wózku. To było... Nie mogłem tego znieść. Rzuciłem mu się do stóp i wybuchnąłem płaczem. Jak pan wie, jestem jedynym synem w rodzinie. Ojciec pokładał we mnie wszystkie nadzieje. Nadał mi imię od nazwy Kolei Baocheng, pierwszej w Chinach linii kolejowej łączącej prowincje, która została otwarta w 1957 roku. Liczył na to, że moja przyszłość będzie tak samo postępową jak ta kolej. Kiedy byłem dzieckiem, starałem się dorosnąć do jego oczekiwań i bardzo dobrze się uczyłem. Chwalił się wszystkim, że jestem najlepszym, co go w życiu spotkało. Nigdy nawet mu się nie śniło, że odwiedzi swojego syna w więzieniu.

Kiedy policjanci zobaczyli, że płaczę, pomyśleli, że ich świetny plan się sprawdza. Ich szef pomógł mi wstać i powiedział: „Jeżeli przyzna się pan do winy, będziemy mogli złagodzić panu wyrok. Będzie mógł pan spędzić więcej czasu z ojcem, zaopiekować się nim. Będzie pan mógł dalej ciężko pracować w banku, żeby odkupić swoje zbrodnie. Wielu niewinnych ludzi takich jak pan dało się oszukać kontrrewolucjonistom. Lud i rząd przebaczą panu przeszłość. Mam nadzieję, że będzie mógł pan wrócić na łono Partii i ludu chińskiego”. Kiedy on mówił, mój ojciec cały czas kiwał głową. W końcu zebrał siły na tyle, żeby podnieść rękę i powiedzieć: „Zrób, co Partia ci każe”.

Zdenerwowałem się. Podniesionym głosem powiedziałem: „Tato, wiesz dobrze, jakim jestem człowiekiem. Nauczyłeś mnie między innymi tego, żeby zawsze mówić prawdę, nie kłamać i nie oszukiwać. To, co napisałem, to wszystko prawda. W Pekinie zginęli niewinni ludzie”.

Ojciec przerwał mi i popatrzył na mnie dziwnie: „Widzisz tylko to, co wolno ci zobaczyć. No i co z tego, że widziałeś zabójstwa? Ci kontrrewolucjoniści zasłużyli sobie na śmierć. Walczyliśmy dzielnie pod wodzą Przewodniczącego Mao i daliśmy Chinom komunizm. Nie możemy łatwo się poddać. Nie możemy

pozwolić na to, żeby były rząd nacjonalistyczny czy imperialiści amerykańscy zniszczyli komunizm w Chinach. Myślę, że usiadłeś nie na tym stołku, co trzeba. Przeniosłeś się do obozu wroga. Opuściłeś się w naukach politycznych i zepsuło cię zachodnie myślenie. To bardzo niebezpieczne. Powinieneś przyjąć karę. Jesteś moim synem i powinieneś mnie słuchać”.

Widząc, że ojciec mocno się poci, nie miałem serca się z nim dalej kłócić. Policjantom ulżyło. Kazali mi napisać przyznanie się do winy w obecności ojca. Więc napisałem.

Liao: Po wyjściu ojca nie urządził pan piekła?

Wan: Postanowiłem ostatecznie pójść na kompromis i przyznać, że „mój czyn naraził dobre imię naszego kraju i Partii Komunistycznej”. Ale nie przyznałem się do zarzutów, że zmyślałem i że rozsiewałem plotki. Te zarzuty były obrazą mojego charakteru. Pamięta pan tego biedaka, który wystąpił w amerykańskiej telewizji? Po stłumieniu protestów powiedział amerykańskiemu reporterowi przed kamerą, że cały plac Tian’anmen był zalany krwią i że zginęły tysiące ludzi. Przesadził, oczywiście. Kiedy ten wywiad został wyemitowany w Stanach, rząd chiński był wściekły i umieścił tego człowieka na szczycie listy poszukiwanych przestępców. Tydzień później złapali go i skazali na dziesięć lat więzienia. Ja nie jestem taki jak on. Ja nie przesadzam i nie kłamię. Zresztą moja sprawa nie jest jeszcze zamknięta. Kiedyś, kiedy oficjalny werdykt w sprawie placu Tian’anmen zostanie odwołany, podam rząd do sądu za bezpodstawne uwięzienie.

Liao: Został pan skazany na cztery lata, prawda?

Wan: Tak, na cztery lata. Mogło być gorzej. Podczas ostatniego przesłuchania sędzia powiedział, że złagodzą mi wyrok z uwagi na moją postawę współpracy. Co za bzdura. Zanim się tu znalazłem, nie znałem żadnego kontrrewolucjonisty. Teraz siedzę w więzieniu z ponad dwudziestoma, którzy brali udział w ruchu studenckim 4 czerwca. To są wszystko zwykli ludzie: nauczyciele, studenci, robotnicy, robotnicy napływowi, zastępca naczelnika wioski, poborca podatkowy, dziennikarz i kilku młodych bezrobotnych. Jest tu też uczeń technikum, który nie miał jeszcze osiemnastu lat, kiedy go aresztowali. Wszyscy są dobrzy, nie tylko dla siebie nawzajem, ale też dla zwierząt.

Opowiem panu historię. Pewnego ranka nagle z nieba spadł na ziemię gołąb. Ja go znalazłem. Najpierw próbował, biedak, rozpostrzeć skrzydła i odlecieć. Ale po paru sekundach spadł na podwórze jak kamień. Wszyscy podbiegliśmy i ostrożnie go podnieśliśmy. Na szczęście na ziemi leżała warstwa śniegu, dlatego biedaczek się nie zabił. Ale miał połamane skrzydła i nogi. Ten incydent zbliżył nas, więźniów, do siebie i na długi czas dał nam zajęcie. Opiekowaliśmy się gołębiem po kolei. Jeden zrobił z pędu bambusa łupki i przyczepił do nóżki gołębia. Inny ukradł z więziennej kliniki trochę antybiotyku w płynie i gazę, żeby opatrzyć mu rany. Mój przyjaciel, Mały Yang, zdobył z kuchni trochę niegotowanego ryżu, przeżuwał go na papkę i potem karmił gołębia tą papką. Najpierw ptak wcale nie chciał jeść. Ale Mały Yang i Stary Lei otwierali mu dziób i wkładali pokarm prosto do gardła. Przez kolejne dni wykopywaliśmy robaki i odkładaliśmy ryż, fasolę i kukurydzę z własnych porcji, żeby mieć czym karmić gołębia. Podzieliliśmy się na pięć zespołów, które opiekowały się ptakiem na zmianę. Na dzień, kiedy pracowaliśmy w polu, chowaliśmy gołębia w moskitierze nad najwyższą pryzką. Na łóżku kładliśmy małą miseczkę ryżu i rozpościeraliśmy gazetę, na odchody. Z reguły więźniów politycznych traktowano nieco lepiej niż zwykłych przestępców. Strażnicy rzadko przeszukiwali nam cele. Po dwóch tygodniach gołąb był całkiem zdrow. Zaczął się niepokoić, chciał już się pożegnać. Wszystkim nam było smutno. Jednocześnie zazdrościliśmy mu, że może polecieć poza mury więzienia, na wolność.

Nadeszła pora, żeby go wypuścić. Trzepotał skrzydłami, drepotał w kółko po ziemi i gruchał do nas. To był mądry ptak. Lao Lei wpadł na pomysł: może by tak za pomocą gołębia wysłać światu wiadomość?

Wszyscy uznaliśmy, że to świetny pomysł. Znaleźliśmy kawałek papieru i coś do pisania. Lao Lei napisał wiadomość w naszym imieniu: „Jest nas dwudziestu trzech, jesteśmy więźniami politycznymi. Uwiedziono nas za udział w ruchu studenckim 4 czerwca. Chcemy obalić ustrój totalitarny i wprowadzić w Chinach demokrację. Taki jest nasz cel. Mamy nadzieję, że ludzie na zewnątrz nie zapomną o nas i naszej walce o demokrację”.

Przywiązaliśmy kartkę do nóżki gołębia i wyprawiliśmy na dziedzińcu uroczystość pożegnalną. Nazwaliśmy gołębia „posłańcem demokracji” i wypuściliśmy. Krążył nad nami, a potem wzbił się w niebo. Kilka minut później z jakiegoś powodu zawrócił, zatoczył koło i poleciał w stronę kwatery strażników więziennych.

Byliśmy tak podekscytowani, że nikt nie widział w tym jego zwrocie niczego niezwykłego. Potem patrzyliśmy na zegar ścienny i zastanawialiśmy się, gdzie jest teraz nasz gołąb. Lao Lei pomyślał, że może był to specjalny wysłannik z Hongkongu czy Tajwanu. Mały Yang kupił ten pomysł. Powiedział, że to bardzo możliwe. Gołąb z wolnego świata specjalnie wylądował w więzieniu, żeby przynieść nam nadzieję. Ja pokiwałem głową na znak, że się z tym zgadzam. W tym beznadziejnym więzieniu lepiej było mieć coś, w co można wierzyć. Dzięki nadziei szybciej mijał czas.

Liao: Nadaliście zbyt duże znaczenie symboliczne zwykłemu gołębiowi. Świat jest wielki. Ciekaw jestem, gdzie ten gołąb doleciał.

Wan: Cierpliwości, jeszcze nie skończyłem opowiadać. Na drugi dzień rano podwórze więzienne nagle otoczyli policjanci uzbrojeni w pistolety maszynowe. Pracownicy więzienia przeszukali nasze prycze i ubrania. Zabrali nam wszystko, co było z papieru – książki, wiersze czy eseje napisane na papierze toaletowym, dzienniki. Potem kilku oficerów odbyło z nami rozmowy na osobności. Prowadzili śledztwo w „sprawie gołębia”, jak ją nazywali.

Liao: Co się stało? Policjanci zestrzelili tego gołębia?

Wan: Okazało się, że to był gołąb wychowany przez jednego z pracowników więzienia. Kiedy spadł na podwórze i nie wracał, jego właściciel pomyślał, że może ktoś go zabił. Ale po dwóch tygodniach wrócił, jak za sprawą cudu, z przywiązaną do nóżki wiadomością. Pracownik natychmiast zgłosił to swojemu przełożonemu. Obaj byli pod wrażeniem zdobytych przez gołębia poufnych informacji.

Liao: Ocalony przez was gołąb był szpiegiem!

Wan: W ciągu kilku chwil z naszej nadziei nic nie zostało. Kilku z nas zamknięto na dwa dni w pojedynczych celach. Na szczęście nie znaleźli żadnych dowodów. Ale po tym zdarzeniu naszą

grupę rozdzielono. Teraz siedzę w celi z mordercami, gwałci-
cielami i dilerami narkotyków. Podczas pracy fizycznej w polu
każdego politycznego pilnuje teraz dwóch lub trzech strażników.
Życie robi się bardzo ciężkie.

Liao: Czym zamierza się pan zająć, kiedy stąd wyjdzie?

Wan: Nie sądzę, że pozwolą mi wrócić do pracy w banku pań-
stwowym. Nie ma mowy, żeby rząd dał kontrrewolucjoniście
szansę na finansowy sukces. Nie wiem, co będę robił. Może
powinienem zostać zawodowym orędownikiem na rzecz demo-
kracji. Myślę, że moim przeznaczeniem jest być jednym z tysięcy
kamieni, które wybrukują drogę do lepszej przyszłości Chin.
Jeżeli to jest mój los, to go akceptuję, nawet jeśli oznacza to, że
mam złożyć w ofierze życie.

Ojciec uczestnika protestu na placu Tian'anmen

Na początku 2005 roku, kiedy byłem w Pekinie, wreszcie miałem okazję poznać panią profesor Ding Zilin, założycielkę organizacji Matki Uczestników Protestu na placu Tian'anmen, skupiającej ponad sto pięćdziesiąt odważnych rodzin, które straciły kogoś 4 lipca 1989 roku, kiedy to czołgi wjechały do Pekinu i z pomocą żołnierzy w pełnym rynsztunku bojowym stłumiły studencki ruch na rzecz demokracji. Jedyne dziecko profesor Ding, siedemnastoletni syn, uczeń szkoły średniej, zginął od kuli żołnierza na jednej z ulic na zachód od placu Tian'anmen, kiedy usiłował przekonać żołnierzy, żeby nie używali siły wobec nieuzbrojonych studentów.

Przez ostatnie dziewiętnaście lat słyszałem wiele opowieści o bohaterstwie profesor Ding, która nie pozwoliła chińskiemu rządowi zamknąć sobie ust. Po masakrze jako pierwsza rozmawiała z mediami zachodnimi o śmierci syna. Mimo ciągłego nękania przez policję, aresztów domowych i zatrzymań nie przestała szukać informacji o innych ofiarach masakry i zbierać za granicą środków na pomoc rodzinom ofiar. Nigdy nie przestała podważać oficjalnego stwierdzenia władz, że ów ruch na rzecz demokracji był „buntem kontrrewolucjonistycznym” i że żołnierze wcale nie strzelali do obywateli.

Podczas naszego spotkania profesor Ding opowiedziała mi o przygotowywanej do wydania książce *W poszukiwaniu ofiar 4 czerwca*, dokumentującej nazwiska i historie tych, którzy zginęli podczas krwawego stłumienia protestu. Kiedy wychodziłem,

wręczyła mi wizytówkę i zachęciła, żebym skontaktował się z Wu Dingfu, krajanem z Syczuanu, który stracił w masakrze syna.

Ponieważ w książce profesor Ding synowi Wu poświęcony został tylko krótki akapit, chciałem dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Po powrocie do Chengdu zadzwoniłem do Wu, który mieszka w Xinjing, niedaleko ode mnie. Kiedy usłyszał, że dzwonię jako przyjaciel profesor Ding, bardzo się ucieszył i natychmiast zaprosił mnie, żebym go odwiedził.

Rankiem 19 maja 2005 roku wyjechałem z Chengdu rozklekotanym autobusem międzymiastowym. Trzy godziny później przybyłem do Xinjing. Kierowca rikszy zawiózł mnie do kompleksu mieszkalnego Jianing. Odnalazłem budynek A, klatkę numer 4, i wszedłem. Przy schodach na ciemnej klatce schodowej na pierwszym piętrze stał mężczyzna. Miał duży, wydatny nos. „Pewnie pan Liao Yiwu” – powiedział. Kiwnąłem głową. Kiedy wchodziłem za nim do mieszkania za drzwiami po prawej, usłyszałem za sobą kroki. Odwróciłem się i zobaczyłem siwowłosą kobietę. Była to żona Wu. „Czekałam na pana na zewnątrz. Widocznie pana nie zauważyłam” – powiedziała przepaszającym tonem.

Salon świadczył o tym, że rodzina dobre czasy ma dawno za sobą. Ściany były nagie, meble stare. Mój wzrok przyciągnęło duże czarno-białe zdjęcie stojące na biurku. Przedstawiało młodego mężczyznę. Wieczny młodzieńczy uśmiech i oczy za okularami wzbudziły we mnie falę wspomnień z tego burzliwego okresu. Kiedy siedziałem pogrążony w myślach, Wu podał mi filiżankę herbaty i powiedział: „To mój syn, Guofeng. Tak wyglądał na pierwszym roku studiów...”.

Liao Yiwu: Zapewne pan wie, że celem mojej wizyty jest rozmowa o tym, co się stało z pańskim synem i resztą pana rodziny 4 czerwca i później. Czy boi się pan wracać do tych bolesnych wspomnień?

Wu Dingfu: Nie, wcale nie. Kiedy umarł mój syn, przepadła cała nadzieja mojej rodziny. Nie boję się udzielać wywiadu. Od czego mam zacząć?

Liao: Może trzymajmy się chronologii i zacznijmy od dzieciństwa Guofenga.

Wu: Dobrze, spróbuję. Mam troje dzieci. Najstarsza jest córka. Guofeng, który urodził się w roku 1968, był drugi w kolejności. Miał też jeszcze młodszego brata. Trzy pokolenia naszej rodziny urodziły się i wychowały w Xinjing. Nasza rodzina zawsze była robotnicza. Ja urodziłem się w 1942 roku. Moja młodość przypadła na najbardziej niespokojny okres w historii Chin – toczyła się wtedy wojna obronna przeciwko Japonii i wojna domowa między nacjonalistami a komunistami. Moja rodzina była dość biedna i jako dziecko stale byłem głodny. Zaczęłem naukę z opóźnieniem i skończyłem szkołę podstawową dopiero w 1960 roku. Mojej rodzinie nie było stać na opłacanie dalszej nauki. Rzuciłem więc szkołę i dostałem pracę jako urzędnik zajmujący się zamówieniami w małej fabryce. Moja żona urodziła się w 1944 roku i wychowała w podobnie biednej rodzinie. Też nie ma średniego wykształcenia. Kiedy się pobraliśmy, została w domu.

Liao: Więc ze swojej pensji utrzymywał pan całą rodzinę.

Wu: Tak. W latach siedemdziesiątych moja miesięczna pensja wynosiła trzydzieści juanów [cztery dolary]. Żona miała się różnych prac, na przykład przyszywała guziki albo szyła mankiety koszul czy spodni dla miejscowych krawców. Razem zarabialiśmy około czterdziestu juanów na miesiąc. Za te pieniądze musieliśmy wychować trójkę dzieci. To było za czasów Przewodniczącego Mao. Nikt nie miał odwagi dorabiać na boku. Żyło nam się ciężko, ale czerpaliśmy pociechę z tego, że nasze średnie dziecko, Guofeng, było wyjątkowo mądre. Byliśmy z niego naprawdę dumni. Dziadkowie za nim przepadali, traktowali go jak błyszczącą perłę. Jego dziadek był riksaszarem, ale sam nauczył się czytać i pisać. Stał się dość dobrze wykształcony. W wolnym czasie przychodził opiekować się Guofengiem i uczył go pisać chińskie znaki. Dzięki naukom dziadka Guofeng błyszczał w szkole podstawowej. Zawsze był najlepszy w klasie i zdobył wiele nagród. Nawet kiedy był mały, było widać, że czeka go świetna przyszłość.

Liao: Myślę, że dzieci z biednych rodzin mają większą motywację do wykazywania się w szkole.

Wu: Ze względu na naszą trudną sytuację finansową przekonywałem Guofenga, żeby po szkole podstawowej poszedł do technikum. Mógłby się tam nauczyć jakichś umiejętności technicznych

i dostać dobrą, stałą pracę, żelazną miskę ryżu. W tamtych czasach na studia była ogromna konkurencja. Tylko dwa, trzy procent tych, którzy skończyli szkołę średnią, miało szansę studiować. Moja najstarsza skończyła podstawówkę i z łatwością mogła się dostać do technikum. Ale ulegliśmy jej życzeniu i pozwoliliśmy jej iść do liceum, a potem zdawać ogólnokrajowy egzamin wstępny na studia. I co? Nie dostała się. Ponieważ w mieście było pełno takich jak ona absolwentów liceum, trudno jej było znaleźć pracę. Przez kilka lat po prostu siedziała w domu. Nie chciałem, żeby z Guofengiem było tak samo. Ale Guofeng był spryciarzem. Grzecznie obiecał mi, że zrobi, jak radzę, a potem w tajemnicy poszedł na egzamin do liceum. Ponieważ miał bardzo dobre wyniki, został przyjęty. Kiedy się o tym dowiedziałem, ryż był już ugotowany – było za późno na interwencję.

No więc zaakceptowałem rzeczywistość. Postanowiłem zacisnąć pasa i robić wszystko, co w mojej mocy, żeby wspierać syna. Na szczęście, w latach osiemdziesiątych Chiny się zmieniały. Ludziom wolno było prowadzić interesy. Żona postawiła przed naszym domem budkę z drobnymi artykułami spożywczymi, żeby dołożyć trochę do domowej kasy. Ja zajmowałem się po pracy domem i dziećmi. Szybko przebaczyłem Guofengowi, bo dalej był najlepszy w klasie.

Ostatni rok liceum był krytyczny. Kilka miesięcy przez egzaminami wstępnymi na studia wszyscy uczniowie musieli chodzić na intensywne zajęcia przygotowawcze. Wiele dzieci moich sąsiadów zrezygnowało ze wszystkich zajęć pozaszkolnych i codziennie siedziało do późna, żeby przygotować się do siedmiu testów, które składały się na ten egzamin. A Guofeng wszystko robił tak samo, jak zawsze i wyglądał na dość spokojnego. Martwiłem się i stale mu marudziłem: „Zdanie tego egzaminu to twoja jedyna droga. Jeżeli nie zdasz, to żadna fabryka cię nie zatrudni, przy takim wyglądzie kujona”. Zawsze kiedy tak mu suszyłem głowę, poprawiał okulary na nosie i mówił: „Nie martw się, staruszk. Wiem, co robię”. Ale ja wciąż mu nie ufałem. Poszedłem spotkać się z jego nauczycielem. On tylko się roześmiał i powtórzył to samo: „Nie ma się czym martwić. Pański syn ma dużo w głowie. Niech tylko dużo odpoczywa, żeby był gotów do egzaminu”.

Liao: Bardziej się pan denerwował tym egzaminem niż syn.

Wu: Moje pokolenie zostało sponiewierane politycznymi kampaniami Przewodniczącego Mao. Nasze życie zostało zniszczone, zmarnowane. Całą nadzieję pokładaliśmy w dzieciach. Dlatego może czasem zbyt dużo wymagaliśmy i ogarniała nas desperacja. Kilka tygodni później zaczął się egzamin, który trwał trzy dni. To było latem 1986 roku, upał jak cholera. Pierwszego dnia rano posadziłem chłopaka na bagażniku roweru i zawiozłem do ośrodka egzaminacyjnego. Kiedy wszedł do środka, ja dołączyłem do setek rodziców i czekałem cierpliwie na zewnątrz. Niedługo potem wyniesiono z sal kilka osób na noszach, bo zemdlały. Czułem ulgę, że mój syn przeżył to pierwsze napięcie. W porze obiadu, kiedy żona postawiła na stole specjalnie przyrządzone dania z mięsa, zapytałem, jak mu poszło. On odpowiedział tylko, w swój zwykły, spokojny sposób: „Nie za dobrze”. Wielkie nieba! Spodziewałem się bardziej pozytywnej odpowiedzi. Ale cóż, nie chciałem mówić nic, co mogłoby wpłynąć na jego koncentrację w czasie reszty egzaminów. Powiedziałem mu tylko, żeby się przespał przed popołudniowym egzaminem. Przez całe popołudnie znów czekałem pod ośrodkiem, cały spocony. Kiedy wyszedł po teście, znów powiedział to samo: „Nie za dobrze mi poszło”. Poczułem, że serce mi ciąży jak wielki kamień. Tej nocy w ogóle nie spałem. Przez te trzy dni nerwy miałem napięte do granic możliwości. Czułem, jakbym miał zaraz dostać zawału.

Liao: Nie musiał pan chodzić do pracy?

Wu: Poprosiłem o trzy dni wolnego. Mój szef był bardzo wyrozumiały. Cały kraj koncentrował uwagę na tym egzaminie, bo był tak kluczowy dla przyszłości dzieci. Pod koniec trzeciego dnia, kiedy Guofeng wyszedł z ośrodka, nie mogłem już się powstrzymać i kazałem mu powiedzieć, jak było. On wreszcie się uśmiechnął. „Staruszkule, nie chcę się chwalić, ale jeśli ja nie zdam, to dziewięćdziesiąt pięć procent kandydatów nie będzie miało najmniejszej szansy”. Zdziwiłem się, ale poczułem wielką ulgę. Potem poprosił mnie o pieniądze: „Postanowiliśmy się z kolegami nagrodzić się za ciężką pracę. Będziemy po kolei robić w domach przyjęcia”. Natychmiast dałem mu sto juanów

[trzydzieście dolarów], co było wtedy dużą sumą. Prawdę mówiąc, nigdy w życiu nie byłem tak hojny. Ale tak mnie rozpiekało ze szczęścia.

Dwa tygodnie po egzaminie podano wyniki: mój syn zdobył najwyższy wynik w całym Xinjing, ze średnią z siedmiu przedmiotów dziewięćdziesiąt jeden i pół. Może pan sobie wyobrazić, że cała moja rodzina nie posiadała się z radości. Przychodzili sąsiedzi, żeby nam pogratulować, krewni przyjeżdżali nawet z daleka. To był wielki zaszczyt. Potem władze sprawdziły jego przekonania polityczne i to też zdał. Wkrótce przyszedł list z Uniwersytetu Ludowego w Pekinie zawiadamiający o przyjęciu na studia. Trzymałem go w ręku i wybuchłem płaczem. Jak mówiłem, całe pokolenia mojej rodziny to była klasa robotnicza. On był pierwszym członkiem rodziny Wu, który najlepiej w całym mieście zdał egzamin ogólnokrajowy i dostał się na prestiżowy uniwersytet w stolicy. Szczerze wierzyłem, że los mojej rodziny wreszcie odmienia się na lepsze.

W dniu, w którym Guofeng wyjeżdżał z Xinjing, moja fabryka specjalnie przysłała samochód z kierowcą, żeby odwieźć go na stację kolejową w Chengdu. Stacja była zatłoczona i musieliśmy czekać kilka godzin. Widząc, że się smucimy, starał się nas pocieszyć i powtarzał, że mamy się o niego nie martwić. Był naprawdę inny niż te zepsute bogate dzieci.

Liao: To było jesienią 1986 roku?

Wu: Tak. Skończył tego roku osiemnaście lat i został przyjęty na wydział zarządzania w przemyśle. Proszę spojrzeć na to zdjęcie grupowe. Razem z kolegami z akademika zrobił je, kiedy tylko się wprowadził. Guofeng był bardzo samodzielnym chłopakiem. Dobrze dogadywał się z kolegami z roku i szybko przystosował się do życia w wielkim mieście. Został wybrany zastępcą starosty roku.

Posyłał mi co miesiąc sto juanów na jedzenie i inne konieczne wydatki. W miarę jak społeczeństwo coraz bardziej się otwierało, coraz lepiej szedł interes mojej żony. Żyło nam się coraz lepiej. Na drugim roku studiów Guofeng zaczął się spotykać z dziewczyną z innego wydziału tego samego uniwersytetu. Pochodziła z północno-wschodniego miasta Changchun.

Jej rodzice byli profesorami medycyny. Początkowo mieliśmy zastrzeżenia do tego, że się spotyka z tą dziewczyną, bo baliśmy się, że przez to ucierpi jego nauka. Ale Guofeng był uparty i nie chciał nas słuchać. Latem poprosił o więcej pieniędzy niż zwykle, mówiąc, że jedzie ze swoją dziewczyną do Changchun, żeby poznać jej rodziców. Więc wysłaliśmy mu pieniądze.

Liao: Dziewczyna na tym zdjęciu jest ładna. Wyglądają na bardzo zakochanych!

Wu: Ta dziewczyna była dość aktywna politycznie. Wkrótce wstąpiła do Partii Komunistycznej. Guofeng przyjechał z nią do Xinjing, kiedy byli na drugim roku. Jak zobaczyliśmy, jacy są razem szczęśliwi, zaczęliśmy być bardziej za tym, żeby byli razem. Widzieliśmy, że dobrze do siebie pasują. Oczywiście, kiedy Guofeng zginął, ona była jeszcze bardzo młoda i naturalnie dokonała innych wyborów. Ponieważ Uniwersytet Ludowy zaoferował jej pracę po ukończeniu studiów, była pod silnym naciskiem, żeby nie wspominać o 4 czerwca. Całkowicie to rozumiem. Wolę nie mówić o niej zbyt dużo, żeby nie sprowadzić na nią kłopotów.

Liao: Rozumiem.

Wu: Wracając do Guofenga, wszystko mu się układało. Był pełen energii i nadziei na przyszłość. Oczywiście, był jedyną nadzieją naszej rodziny. Aż w kwietniu 1986 roku przysłał nam długi na trzy strony list, w którym opisywał śmierć sekretarza Partii Hu Yaobanga...

Liao: Chyba chodzi o kwiecień 1989 roku.

Wu: Racja. Przepraszam. Tak, to był osiemdziesiąty dziewiąty, osiemdziesiąty dziewiąty! To był najdłuższy list, jaki napisał. Był pełen ekscytacji. Opisywał bardzo poetyckim językiem nabożeństwo żałobne na placu Tian'anmen, demonstracje na ulicach, skandowanie sloganów i mowy pochwalne. Mówił, że uczestniczyli w nim wszyscy jego koledzy z roku i wykładowcy. Natychmiast odpisałem, kazałem mu skupić się na nauce i trzymać z dala od polityki.

Liao: To bardzo typowa reakcja chińskich rodziców.

Wu: Nie byliśmy dość wykształceni, żeby mu coś doradzić. Ale wiedzieliśmy instynktownie, że jeżeli sprzeciwi się rządowi

totalitarnemu, może ponieść straszne konsekwencje. Moje pokolenie przeżyło dużo kampanii politycznych. Widzieliśmy, jak to się odbywa. W jednej chwili wygląda na to, że Partia poluzowała kontrolę polityczną. Jak człowiek przestaje się mieć na baczności, wtedy go dopadają. Stosowali tę sztuczkę całymi latami. Przywódcy komunistyczni zmieniają twarz jak pogoda w kwietniu. Myślę, że życie w strachu przed prześladowaniami sprawiło, że byliśmy cyniczni i przesadnie ostrożni. Guofeng mieszkał w Pekinie, był w centrum wydarzeń. Był w gorącej wodzie kąpany i nie chciał słuchać naszych rad. Pisałem do niego cztery czy pięć razy i nie udało mi się sprawić, żeby zmienił zdanie. W jednym z listów poprosił o tysiąc juanów [sto trzydzieści dolarów]. Spełniłem jego prośbę, wysłałem mu te pieniądze w ciągu dwóch miesięcy.

Liao: To była duża suma. Po co mu było tyle pieniędzy?

Wu: Powiedział mi, że ukradli mu rower. Potrzebował też pieniędzy na książki i jedzenie. Bardzo się o niego martwiłem. Trochę go rozpuściłem.

Liao: Czy miał jakieś plany co do tych pieniędzy?

Wu: Nie miałem pojęcia. Martwiłem się strasznie, ale kontakt z nim był tylko listowny. Wiedziałem, że on i inni studenci weszli na drogę właściwą dla Chin i trudno było go z niej zawrócić. Ale ciągle go ostrzegałem. W listach pisałem: „Partia Komunistyczna jest brutalna. W przeszłości skazała tysiące ludzi na śmierć i nigdy nawet nie zniżyła się do tego, żeby za to przeprosić czy zadośćuczynić. Guofeng, zostałeś błogosławiony dobrą karmą, którą przyniosła ciężka praca całych pokoleń rodziny Wu. Urodziłeś się we właściwym czasie, w epoce pomaoistowskiej. Miałeś szansę dostać się na uniwersytet. Jeżeli będziesz się przykładał do nauki, czeka cię obiecująca przyszłość. Zmienisz nieszczęśliwy los naszej rodziny. Nie zmarnuj tego”.

Ale cóż, Guofeng był jeszcze szczeniakiem, brakowało mu doświadczenia. Oczywiście, nie chciał słuchać moich rad. Ostatecznie, nie chciał się wdawać ze mną w kłótnie. Po prostu przestał pisać. Później, po jego śmierci, dowiedzieliśmy się, że za tamte pieniądze kupił aparat fotograficzny. Powiedział swoim

kolegom z roku, że chce utrwać historię i zostawić cenne zdjęcia dla przyszłych pokoleń.

Liao: Był wizjonerem.

Wu: Byliśmy cali w gorączce ze strachu, jak mrówki biegające po rozgrzanej patelni. Po pracy wracałem do domu i całą noc gapiłem się w telewizor. Początkowo media rządowe nazywały demonstracje studenckie ruchem patriotycznym. Później, 26 kwietnia, w „Dzienniku Ludowym” ukazał się wstępniak, w którym ruch nazwano rozruchami. Co za dranie! Później, pod koniec kwietnia i w maju, były protesty przeciwko temu wstępniakowi, a potem strajk głodowy. Studenci klęczeli przed Wielką Halą Ludową, żeby wręczyć wysokim rangą urzędnikom swoją petycję. Potem premier Li Peng odbył rozmowę z przywódcami ruchu studenckiego. Po tym rząd wprowadził stan wojenny... Nie mogłem już wytrzymać, chciałem pojechać do Pekinu, żeby zabrać syna do domu. Wreszcie 31 maja dostałem telegram od Guofenga, w którym pisał, że jest gotów przyjechać do domu, tylko nie ma pieniędzy na bilet na pociąg. Wtedy nie wiedziałem jeszcze, że kupił aparat. Zacząłem się zastanawiać, na co wydał pieniądze. Jednak mimo wątpliwości wysłałem mu dwieście juanów [dwadzieścia sześć dolarów] i czekałem na jego przyjazd. Trochę się uspokoiłem. Dwa dni minęły, a on nie przyjechał. Później sytuacja polityczna w Pekinie zmieniła się dramatycznie. Wojsko dostało rozkaz uspokojenia protestujących studentów. Starłem się patrzeć na to z pozytywnej strony. Rząd pewnie użył czołgów, żeby nastraszyć studentów. No, pomyślałem sobie, że to nie taki zły pomysł, żeby zagonić ich z powrotem na uczelnię.

W ciągu kolejnych kilku dni martwiłem się coraz bardziej. Napięcie sprawiło, że częściowo sparaliżowało mi twarz. Codziennie chodziłem do akupunkturzysty. Ósmego czerwca poczułem się lepiej i siedziałem przed domem, odpoczywając w słońcu. Nagle stanęło przede mną dwóch nieznanomych. Przysłały ich władze Xinjing. Powiedzieli, że chce mnie widzieć jakiś urzędnik. Wstałem więc i poszedłem z nimi do budynku rady miasta. Kiedy weszliśmy do środka, zaprowadzili mnie do jednego z pomieszczeń. Facet, który wyglądał na wysokiego rangą urzędnika, zapytał mnie bez słowa wstępu czy powitania: „Wu Dingfu,

czy wie pan, że pański syn brał udział w rozruchach kontrrewolucyjnych w Pekinie?”

Te słowa przeraziły mnie na śmierć. Automatycznie wydukałem: „Co pan chce przez to powiedzieć?”

Urzędnik odchrząknął i powiedział powoli: „Mamy obowiązek powiadomić pana, że pański syn Wu Guofeng nie żyje”.

Poczułem pustkę w głowie. Usłyszałem tylko swój głos: „To nie może być prawda, to nie może być prawda”.

Urzędnik odparł surowo: „Właśnie otrzymaliśmy telegram od władz w Pekinie. Pański syn nie żyje”.

Osunąłem się na podłogę, bezwładny jak kawałek ugotowanego makaronu. Podniosłem się z trudem, trzymając się krzesła. Zapytałem: „Co, jaki telegram? Może mi pan podać więcej szczegółów?”

Urzędnik uciął sucho: „Nie znamy żadnych szczegółów. Postanowiliśmy kupić dla pana dwa bilety na pociąg. Zastępca sekretarza Partii pojedzie z panem do Pekinu, żeby zająć się kremacją i pomóc przywieźć prochy syna do domu”.

Powiedziałem: „Dobrze”. Zacząłem się trząść na całym ciele i oblał mnie zimny pot. Próbowałem wstać, ale upadłem na podłogę. Dwóch ludzi pomogło mi się podnieść na krzesło. Kilka minut zbierałem siły, a potem wstałem i chciałem wyjść. Ktoś do mnie podszedł, żeby mi pomóc. Odepchnąłem go ze słowami: „Proszę mnie nie podtrzymywać. Nie idę w końcu na egzekucję. Dam sobie radę sam”.

Przeszedłem jakoś przez ulicę i skierowałem się do domu. Wszystko wydawało się takie nierealne, ludzie, ruch uliczny... Nie pamiętam, jak dotarłem do domu. Stałem pod ścianą, a łzy i pot ciekły mi po twarzy jak deszcz. Żona szarpała mnie za ramię i pytała, co się stało. Zacząłem wyć. Zapytała znów: „Co się stało, staruszk?” Zacisnąłem zęby i krzyknąłem na cały głos: „Guofeng nie żyje!”

Na to ona upadła i zemdląła. Tarmałem ją mocno, ale nie reagowała. Leżała na łóżku nieprzytomna przez prawie dwa dni. Kiedy się obudziła, ciągle tylko płakała, bez przerwy, nie chciała nawet jeść i pić. Powtarzała cicho: „Guofeng, jak mogłeś nas tak zostawić?”

Rano 9 czerwca przyniesiono mi do domu obiecane dwa bilety. Zastępca sekretarza Partii, który miał nam towarzyszyć, w ogóle się nie pojawił.

Liao: Zmienił zdanie?

Wu: Miejscowe władze nerwowo zareagowały na śmierć mojego syna. Nikt nie chciał mieć z tą sprawą do czynienia, żeby nie stracić pracy. Dlatego zastępca sekretarza w ostatniej chwili się wycofał.

Liao: Pozwoli pan, że przerwę na chwilę. Czy nie mówił pan, że telegram od Guofenga przyszedł 31 maja? Kiedy syn zaraz potem nie przyjechał, miał pan przecucie, że stało się coś złego?

Wu: Naszym jedynym źródłem wiadomości była telewizja. Po 4 czerwca wszystkie kanały zaczęły nadawać ten sam materiał, dostarczony przez Centralną Stację Telewizyjną. Była tam mowa o tym, że wprowadzono stan wojenny, żeby utrzymać porządek, i że wojsko skutecznie zakończyło rozruchy kontrrewolucyjne. Kto by pomyślał, że Armia Ludowo-Wyzwoleńcza może zabijać rodaków? Naiwnie myślałem, że rząd aresztuje po prostu kilku przywódców jako kozły ofiarne. I koniec. Gdyby Guofeng miał pecha i trafił do aresztu, dostałby karę dyscyplinarną. Był w końcu tylko dzieckiem. A nawet gdyby na kilka lat wsadzili go do więzienia czy wysłali do obozu pracy, nie stałoby się nic wielkiego. Widzieliśmy już prześladowania, nie było się czego wstydić.

Liao: Cały świat oglądał nagrania z krwawego stłumienia protestu. Chińczycy dowiedzieli się prawdy jako ostatni.

Wu: Xinjing to małe miasto. Partii Komunistycznej skutecznie udało się blokować dopływ informacji. Nie wiedzieliśmy nic o ofiarach śmiertelnych.

Liao: Czy ktoś z roku Guofenga nie skontaktował się z państwem w sprawie jego śmierci?

Wu: Wieczorem 8 czerwca, tuż po tym, jak przyszedłem z rady miasta, dostaliśmy telegram z Xuzhou w prowincji Jiangsu. Nadała go córka jednego z naszych krewnych. Była o rok starsza od Guofenga i studiowała w Drugim Instytucie Języków Obcych w Pekinie. Usłyszała, że Guofeng zginął 4 czerwca. Ale wtedy wojsko okupowało pocztę. Wysłanie takiego telegramu wiązało się z ryzykiem. Razem z inną studentką z Xinjing pojechała

więc pociągiem z Pekinu do Xuzhou. Dopiero stamtąd wysłała telegram.

Mówiąc w skrócie, wyjechaliśmy z żoną z Chengdu do Pekinu po południu 9 czerwca. Byliśmy ogłuszeni żalem i przez dwa dni podróży nic nie jedliśmy. Zabraliśmy ze sobą tylko wodę. Kiedy przyjechaliśmy do Pekinu, na dworzec wysła po nas towarzyszką Zhang. Była zastępcą sekretarza Partii na wydziale Guofenga. Wymieniliśmy pozdrowienia, a potem nie padło już ani jedno słowo. Zawiozła nas do domu gościnnego uniwersytetu i powiedziała: „Proszę odpocząć po podróży. Porozmawiamy jutro”.

Na drugi dzień rano sekretarz Partii wydziału opowiedział nam o okolicznościach śmierci Guofenga: nocą 3 czerwca pracownicy uniwersytetu chodzili od drzwi do drzwi, ostrzegając studentów, żeby nie opuszczali terenu uczelni, bo do miasta weszło już wojsko. Wyjątkowo studentom pozwolono grać w karty albo w madżonga, jeżeli mieli na to ochotę. Tego wieczoru Guofeng skręcił kostkę i kuśtykał. Obiecał, że zostanie w akademiku. Kiedy jednak pracownicy uczelni wyszli, wziął aparat i razem z kolegą wymknął się z pokoju. Wsiedli na rowery i wyjechali na ulicę.

Wtedy właśnie dowiedziałem się o tym aparacie. Począwszy od śmierci Hu Yaobanga, mój syn zrobił setki zdjęć z protestów studenckich. Pod jego poduszką znalazłem sterty zdjęć i niewywołanych rolek filmu.

Liao: Czy tamtej nocy Guofeng był na placu Tian'anmen?

Wu: Nie. Ale jak pan pewnie pamięta, protesty wytraciły impet pod koniec maja. Większość studentów pekińskich wróciła na teren uczelni, ale przyjechały tysiące innych spoza Pekinu i zajęły ich miejsce na placu Tian'anmen. W nocy 3 czerwca, kiedy władze wysłały do Pekinu wojsko, studenci znowu wyszli na ulicę, żeby poprzeć tamtych. Mój syn i jego kolega, pan Li, wyjechali razem, ale wkrótce stracili się z oczu. Li powiedział, że widział, jak żołnierze strzelają do mieszkańców. Strasznie się bał. Schował się w jakimś zaułku. W końcu wrócił do akademika. A Guofeng nie wrócił.

Liao: Gdzie dokładnie zginął?

Wu: Gdzieś koło Xidan, na zachód od placu Tian'anmen. Żołnierze i czołgi przemierzały się bulwarem Chang'an prowadzącym na plac Tian'anmen. Strzelali do mieszkańców, którzy robili zdjęcia, wykrzykiwali hasła, rzucali kamieniami albo usiłowali budować na ulicy blokady. Ponieważ Guofeng miał w rękę aparat, był pierwszorzędnym celem. Zastrzelili go na miejscu. Jego rower został rozjechany przez czołg. Kiedy ci rzeźnicy poszli dalej, kilku mieszkańców wyszło z domów i zaniósło mojego syna do najbliższego szpitala, dla pracowników Wydziału Poczty i Telekomunikacji.

Kiedy zobaczyłem ciało Guofenga, wiele razy błagałem władze uczelni, żeby pozwoliły mi zabrać go do Xinjing. Postawiłem sekretarza Partii w trudnej sytuacji, bo Komitet Centralny nakazał jednoznacznie, żeby wszystkie ofiary były natychmiast poddane kremacji. Tłumaczyliśmy, że dziadkowie Guofenga, jego brat i siostra muszą się z nim pożegnać. Mimo to nie chcieli ustąpić. Wreszcie zapytałem, czy mogę zrobić zdjęcia, żeby pokazać je pozostałym członkom rodziny. Sekretarz Partii zwołał zebranie i w końcu wydał zgodę, pod warunkiem, że te zdjęcia zachowam wyłącznie dla rodziny. Kazał mi obiecać, że nie użyję ich, żeby zbrukać wizerunek naszych władz.

Niech pan na nie popatrzy: był cały zakrwawiony. Zmarł od tej rany w pierś, po prawej stronie. Ale widać, że trafiło go kilka kul. Niech pan popatrzy na dziury w barku, w ręce i między żebrami. Tu, na podbrzuszu, jest długa rana. Ktoś wbił mu w ciało nóż albo bagnet, a potem przejechał aż dotąd. Rana ma siedem, osiem centymetrów długości. Poharatali mu wszystkie wnętrzości. Widział to zdjęcie lekarz, który nie chce, żeby ujawniać jego nazwisko. Jego zdaniem żołnierz, czy raczej żołnierze zapewne strzelili do Guofenga kilka razy. Kiedy zobaczyli, że kula nie zaabiła Guofenga, jeden z nich wyjął bagnet i wbił mu go w brzuch. Na dłoniach Guofenga odkryłem dwie głębokie rany. Pewnie poczuł straszliwy ból i instynktownie chwycił za bagnet...

Liao: Czy kiedy był pan w Pekinie, rozmawiał pan z jego kolegami z roku?

Wu: Tak. Trochę się od nich dowiedziałem, ale wszyscy byli bardzo nerwowi. W tamtym tygodniu główni przywódcy studenci

zostali wciągnięci na listę poszukiwanych przez władze. Niektórych aresztowano. Pozostali uczestnicy protestów musieli brać udział w posiedzeniach edukacji politycznej. Musieli przysiąc lojalność wobec Partii i napiętnować ruch studencki jako rozruchy kontrrewolucyjne. Podczas naszego pobytu władze uczelni wyznaczyły czworo studentów na towarzyszy i przewodników. Byli mili i pocieszali nas dobrym słowem. Dwunastego czerwca pojechaliśmy z żoną do kostnicy przyszpitalnej. Jej pracownik zmył krew z ciała mojego syna i ubrał je w nowe ubranie. Zgodnie z tradycją panującą w moim rodzinnym mieście, owinęliśmy ciało syna w białe płótno, które ze sobą przywieźliśmy.

Liao: Co to oznaczało?

Wu: Białe płótno symbolizowało jego czystość. Bo mimo że Wu Guofeng nie był żonaty i nie miał dzieci, dzięki którym by przetrwało nazwisko rodowe, był posłusznym synem. Trzynastego czerwca wyprawiliśmy czuwanie w kaplicy szpitalnej. Jego ciało wyłożone było na katafalku na środku. Przyszło kilku jego kolegów z roku, przyjaciół, a nawet wykładowców. Okrążali jego ciało ze łzami w oczach. Po czuwaniu jego przyjaciele pomogli nam przenieść ciało do krematorium Babaoshan.

Podczas całego tamtego tygodnia krematorium miało podobno wyjątkowo dużo pracy. Bez przerwy przysyłano nowe ciała. Jeden z pracujących tam mężczyzn powiedział, że musiał pracować na trzy zmiany. Kiedy tam dotarliśmy, była długa kolejka. Ale nam powiedziano, że nie musimy czekać w kolejce, bo jest specjalne zarządzenie Partii, zgodnie z którym ciała studentów mają pierwszeństwo. Myślę, że władze nie chciały, żeby ciała niewinnych studentów kłuły ludzi w oczy. Mogło to wzbudzić współczucie opinii publicznej i być dowodem na kłamliwość stwierdzenia, że żadni studenci nie zginęli. Wyciągnięto nas więc z kolejki i wprowadzono tylnymi drzwiami. Za szybą recepcji siedział starszy mężczyzna i coś pisał. Kiedy podałem mu papiery Guofenga, nie podniósł nawet głowy, tylko zaczął przepisywać dane. Martwiłem się, że może się pomylić. Zapytałem go więc: „Proszę pana, czy ma pan jakieś pytania?”. On machnął niecierpliwie ręką i powiedział: „Niech mi pan nie przeszkadza, dobrze? Nie spałem od dwóch dni. Nie mam nawet czasu się wysrać.

Niech się pan nie martwi, nie pomyłę się”. Po rejestracji poszliśmy kupić drewniany pojemnik na prochy Guofenga. Wie pan co? Miały strasznie duże wzięcie. Kilku klientów przyszło w tym krótkim czasie, kiedy zastanawialiśmy się z żoną, czy kupić może taki z obrazem smoka. Kiedy to zobaczyliśmy, przestaliśmy się zastanawiać, wzięliśmy pojemnik i zapłaciliśmy. Mówię to, żeby pan sobie wyobraził, jakie to było dziwne.

Liao: Mimo tak dużego ruchu w krematorium media państwowe wciąż wydawały oświadczenia, że nikt nie został zabity.

Wu: Zanim wydano nam prochy, musieliśmy poczekać kilka godzin. Szesnastego czerwca wsiedliśmy do pociągu i dwa dni później wróciliśmy do Xinjing. Urządziliśmy w domu czuwanie, postawiliśmy na ołtarzu zdjęcie Guofenga i urnę z prochami. Rozbiliśmy też żałobny namiot na ulicy. Krewni i przyjaciele schodzili się, żeby złożyć nam kondolencje. Czwartego dnia władze miasta przysłały urzędnika, który poprosił, żebym zakończył czuwanie i wszystko rozebrał. Kiedy odmówiłem, powiedział: „W ciągu najbliższych dwóch dni będzie w mieście wielu urzędników ze wsi, żeby usłyszeć ważne ogłoszenia Deng Xiaopinga i Komitetu Centralnego Partii w sprawie stłumienia protestów. Te ćwoki nie mają pojęcia, co się dzieje w Pekinie. Ale kiedy będą w mieście, nie chcę, żeby zobaczyli namiot żałobny. Śmierć pańskiego syna jest sprzeczna z tym, co podają oficjalne źródła. To może mieć na tych wieśniaków zły wpływ. Wiem, że jest pan dość uparty. Jeżeli nie posłucha pan rozkazu, sprawię, że będzie pan miał kłopoty”. Zastanawiałem się chwilę nad jego słowami i zaproponowałem kompromis. Postanowiłem, że zwinę namiot z ulicy, ale upierałem się, że we własnym domu chcę zachować dekoracje w niezmiennym stanie. Wiedziałem, że wielu kolegów Guofenga przyjedzie do domu na letnie wakacje i będzie chciało przyjść w odwiedziny. Na to władze miasta się zgodziły.

Po czuwaniu nie pochowałem jego prochów. Zatrzymałem urnę w domu. Byłem przekonany, że dopóki twierdzenia dotyczące 4 czerwca nie zostaną odwołane, duch Guofenga i tak nie zazna spokoju. Ale w 2002 roku zmarł też młodszy brat Guofenga. W rozpaczy pochowałem ich razem na szczycie jednej z okolicznych gór.

Liao: Na co zmarł jego młodszy brat?

Wu: Jako najmłodszy w rodzinie był bardzo uważny i troskliwy. Kiedy zmarł jego starszy brat, przysłała ostoja rodziny, wziął na siebie odpowiedzialność za opiekę nad rodziną. Wstawał wcześniej rano i dużo pracował, żeby zarabiać. Myślał, że jeśli sytuacja finansowa rodziny się poprawi, zelżeje ból po stracie jego brata. Kto by się domyślił, że Bóg nie był po jego stronie? Ciężka praca zniszczyła mu zdrowie. Prędko wykryto u niego mocnicę. Przeznaczyłem wszystkie nasze oszczędności i pieniądze zebrane przez profesor Ding w Stanach Zjednoczonych na opłacenie leczenia w szpitalu. Ale okazało się, że nie można go uratować.

Guofeng był nadzieją kilku pokoleń naszej rodziny. Ale nie żyje. Teraz nie żyje też jego brat. To nas wszystkich dobiło. Babcia Guofenga miała nadciśnienie. Kiedy usłyszała o śmierci Guofenga, dostała wylewu i ją sparaliżowało. Leżała w łóżku przez wiele lat i zmarła w 2002 roku. Dziadek Guofenga był zawsze zdrowy. O śmierci Guofenga usłyszał dziewięć miesięcy przed swoimi dziewięćdziesiątymi urodzinami. Nic nie mogło złagodzić jego cierpienia. Dwa razy usiłował się zabić. Za drugim razem podciął sobie tętnicę na szyi i wszędzie było pełno krwi. Na szczęście znalazłem go i wezwałem lekarza. Uratowaliśmy go. Ale kiedy był w szpitalu, umyślnie upadł na podłogę i złamał oba obojczyki. Dwa tygodnie później zmarł.

W samym 2002 roku w mojej rodzinie były trzy pogrzeby. A teraz moja córka została zwolniona z państwowej fabryki. A ma na wychowaniu dwoje dzieci. Życie jest bardzo ciężkie. Kiedy zmarł nasz najmłodszy syn, jego żona, która pochodzi z jednej z okolicznych wsi, wróciła do rodziców, zostawiając nam czteroletnią córeczkę. Moja żona przeżyła silne wstrząśnienie mózgu, kiedy zemdląca i uderzyła się w głowę podczas pogrzebu Guofenga w 1989 roku. Teraz może wykonywać tylko proste prace domowe.

Liao: Jest pan jedynym zdrowym członkiem rodziny.

Wu: To nie całkiem prawda. Mam raka nerki. Niedługo po tym, jak mój młodszy syn zachorował na mocnicę w 2002 roku, zauważyłem, że w pasie mam mały guz. Nic z nim nie robiłem, bo całą uwagę poświęcałem synowi. Rok później guz był większy. Zacząłem mieć krew w moczu. Lekarze zalecili operację.

Wycięli mi prawą nerkę. Teraz czuję się dużo lepiej. Nie mogę tylko dźwigać. Nie stać mnie na drodze zachodnie lekarstwa, więc lecę się tanimi ziołami. Operacja kosztowała moją rodzinę majątek. Jeżeli nie jesteśmy w sytuacji naprawdę bez wyjścia, nie dzwonię do profesor Ding, bo ona jest bardzo zajęta. Zawsze, kiedy odbiera od nas telefon, wie, że potrzebujemy pomocy. Wstyd mi z tego powodu.

Liao: Jak poznał pan profesor Ding i organizację Matki Ofiar Protestu na placu Tian'anmen?

Wu: Po śmierci Guofenga kupiłem radio z odbiorem fal krótkich, żeby móc słuchać audycji z zagranicy. Któregoś dnia usłyszałem w radiu, że Ding Zilin, profesorka z uniwersytetu Guofenga, straciła syna. Starła się skontaktować z rodzinami wszystkich ofiar i dochodzić sprawiedliwości w imieniu tych, którzy zginęli 4 czerwca. Chciałem się z nią skontaktować, ale mi się nie udało. Kilka lat temu mąż profesor Ding poznał na jakimś przyjęciu studenta, który pochodzi z Xinjing i opowiedział mu o moim synu. Profesor Ding napisała więc do nas list, ale przekreśliła moje nazwisko. Na szczęście Bóg nad nami czuwał i list trafił w ręce naszego znajomego, który pracuje na poczcie. Przyniósł go nam do domu. To było wielkie błogosławieństwo, móc się wreszcie skontaktować z profesor Ding. Powiedziała nam, że próbowała nas znaleźć od ośmiu lat.

Liao: Czy profesor Ding wie, jak wygląda dzisiaj sytuacja pana rodziny?

Wu: Nasze życie jest teraz bardzo ciężkie. Żyjemy za dwieście juanów na miesiąc. Musimy wychowywać wnuczkę i płacić za jej naukę. Ona jest naszą jedyną nadzieją. Jest jedynym, co nam zostało, kiedy umarli nasi synowie. Ale nie chcemy zawracać głowy profesor Ding. To nieważne, czy my żyjemy, czy umrzemy. Profesor Ding musi żyć. Dzięki niej nasza sprawa jest wciąż żywa. Od masakry 4 czerwca minęło szesnaście lat. Prędzej czy później sprawiedliwości stanie się zadość. My pewnie tego nie dożyjemy. Ale niezależnie od wszystkiego, nie możemy pozwolić, żeby Partia Komunistyczna uniknęła spłacenia krwawego długu, jaki ma u takich rodzin jak moja.

Wyznawczynie Falun Gong

Pewnego ranka w grudniu 2004 roku do moich drzwi zapukały dwie schludnie ubrane kobiety. Obie zbliżały się do sześćdziesiątki i wyglądały jak chłopki. Jedna obejrzała się za siebie i szepnęła: „Nie jesteśmy żebraczkami. Jesteśmy wyznawczyniami Falun Gong”. Zdumiałem się, słysząc słowa „Falun Gong”. Latem 1999 roku, po tym, jak tysiące wyznawców urządziło w Pekinie niemy protest przeciwko niesprawiedliwemu traktowaniu, władze Partii zaczęły postrzegać tę grupę jako zagrożenie dla rządów komunistycznych, napiętnowały ją jako szkodliwą sektę i ogłosiły wielką kampanię mającą na celu wyeliminowanie Falun Gong z Chin.

Dlatego te dwie członkinie „szkodliwej sekty” wydały mi się przybyszami z innego świata. Każda miała torbę, w której, jak dowiedziałem się później, kryły się zapasy ulotek Falun Gong. Po kilku sekundach się uspokoilem. Przyszedł mi do głowy śmiały pomysł. Zaprosiłem panie do środka, poszukałem notatnika i przeprowadziłem wywiad z jedną z kobiet, Chen.

Tydzień później usłyszałem kolejne pukanie do drzwi. Przez wizjer zobaczyłem dwóch policjantów. Podejrzewając, że przychodzą mnie aresztować za rozmowę z tymi wyznawczyniami Falun Gong, zgarnąłem najpotrzebniejsze rzeczy i wyskoczyłem z okna mojego mieszkania na drugim piętrze. Jakimś cudem przypląciłem to tylko kilkoma siniakami. Po tym incydencie ukrywałem się przez cztery miesiące, a później przenieśliem się do małego miasta na południowym zachodzie.

Liao Yiwu: Zanim was wpuszczę, możecie sprawdzić, czy nikt was nie śledzi?

Chen: Chyba nie ma powodu do obaw. Zwykle wyczuwam, kiedy mam cień.

Liao: To dobrze. Usiądźmy.

Chen: Dziękujemy, że jest pan na tyle otwarty, żeby nas wpuścić do domu. Przez rządową kampanię prania mózgu i taktykę gróźb wielu ludzi boi się dzisiaj jakiegokolwiek styczności z Falun Gong. Widok wyznawcy przed drzwiami wprawia ich w zdenerwowanie. Niektórzy nawet wykręcają numer sto dziesięć i dzwonią na policję. Nie mam do nich pretensji. Tysiące wyznawców zostało uwięzionych i zamęczonych na śmierć. Jak tu się nie bać? Ale ludzie muszą poznać prawdę o nas. Nie jesteśmy sektą. Sektą jest Partia Komunistyczna. Niezależnie od tego, jak rząd stara się wypaczyć prawdę, prześladując nas i szkalując, wierzymy, że prawda ostatecznie zwycięży.

Liao: Jak zaczął się pani kontakt z Falun Gong?

Chen: Jestem emerytowaną robotnicą państwowej fabryki w mieście Hesheng w okręgu Wenjiang. Przez trzydzieści lat należałam do Partii. Kiedy odeszłam z pracy, żyłam ze skromnej pensji, której większość wydawałam na lekarstwa. Byłam bardzo podatna na choroby. Brałam tyle leków, że moje ciało zaczęło być odporne na leczenie. Za każdym razem, kiedy szłam do szpitala, lekarze przepisywali mi po prostu coraz to silniejsze leki. Czułam się zupełnie bezradna, myślałam, że lada chwila umrę.

Pewnego słonecznego dnia w kwietniu 1999 roku wpadłam przypadkiem na ulicy na Liu, byłego znajomego. Dawno go nie widziałam i prawie go nie poznałam. Był kiedyś taki chorowity i słaby jak ja, miał garb. Tego dnia wyglądał zupełnie inaczej, zdrowo i młodo. Zaintrygowało mnie to i zatrzymałam się, żeby z nim chwilę porozmawiać. Powiedział mi, że ćwiczy Falun Gong. Czytałam o tym w jakimś piśmie o zdrowiu. Powiedział, że Falun Gong łączy medytację buddyjską i taoistyczną z ćwiczeniami, i że ruch założył Li Hongzhi. Wyznawcy mówią o nim Li Laoshi, czyli Nauczyciel Li. Liu powiedział mi też, że w Chinach setki, tysiące ludzi praktykują Falun Gong.

Znajdowałam się wtedy w dość rozpaczliwej sytuacji. Byłam gotowa spróbować wszystkiego, co dawało jakąś szansę wyleczenia. Po rozmowie z nim pomyślałam sobie więc: spróbuję. Co mam do stracenia? Pożyczyłam książkę z naukami Nauczyciela Li i dołączyłam do grupy, która spotykała się niedaleko mojego domu. Codziennie rano albo wieczorem duża grupa emerytów takich jak ja zbierała się na dziedzińcu, medytowała i ćwiczyła Falun Gong. Ruchy przypominają trochę t'ai chi. Po ćwiczeniach siadaliśmy razem i czytaliśmy książkę Nauczyciela Li, która mówi, jak ćwiczyć umysł i być dobrym człowiekiem.

Szybko się w to wciągnęłam. Ćwiczyłam wiele godzin dziennie i po trzech miesiącach zaczęłam odczuwać różnicę. Poszłam do lekarza i zrobiłam badania. Wyniki pokazały, że zdecydowanie poprawiła mi się praca nerek i cofnęła się mocznica. Złagodniał też artretyzm. Z czasem wiele moich dolegliwości ustąpiło.

Liao: To było spektakularne.

Chen: Ale to prawda. Jedyną chorobą, jaka mi została, jest astma.

Liao: Mnie jest wszystko jedno, czy jakaś metoda jest udowodniona naukowo, czy nie. Kiedy ludzie razem ćwiczą i medytują, jest tak, jakby tworzyli grupę terapeutyczną. Mają towarzystwo, zażywają ruchu i mogą porozmawiać o swoich problemach. W takich warunkach każdemu minie depresja i w niepamięć pójdą rodzinne sprzeczki. Rząd może zaoszczędzić duże sumy na wydatkach na opiekę zdrowotną. To znacznie lepsze niż siedzenie przy stole i hazardowe granie w madżonga, który wydaje się naszą rozrywką narodową.

Chen: Ma pan całkowitą rację. Kiedy uczestnictwo w Falun Gong tak mi posłużyło, namówiłam wielu sąsiadów, żeby się przyłączyli do naszej grupy. Wszyscy byli szczęśliwi – tym rodzajem szczęścia, które pochodzi z serca wolnego od trywialnych zmartwień.

Dwudziestego drugiego lipca 1999 roku nagle razem z sąsiadami wezwano nas na zebranie. Na tym zebraniu członek Partii przeczytał artykuł wstępny z partyjnej gazety, „Dziennika Ludowego”. Ogłoszono w nim, że Falun Gong jest sektą i organizacją nielegalną, i nakazano wszystkim członkom Partii wystąpić z Falun Gong. Może pan mi nie wierzyć, ale nie byłam

specjalnie zdziwiona. Moje pokolenie przeżyło wiele kampanii politycznych, dużych i małych. Wszyscy wiedzieliśmy, że Partia jest zmienna jak kapryśna suka. Więc tylko przewróciliśmy oczami i zignorowaliśmy ten nakaz. Ponieważ nie wolno nam było ćwiczyć publicznie, po prostu zbieraliśmy się w domach.

Potem miejscowe władze znalazły wiele osób, które nie zastosowały się do polecenia Partii. Postawiono je na scenie w auli, kazano czytać na głos rządowe materiały propagandowe i publicznie wyrzec się Falun Gong. Każdemu miejscowemu wydziałowi służb bezpieczeństwa i każdemu organowi rządowemu władze prowincji wyznaczyły limity dotyczące reformowania członków Falun Gong. Urzędnik, który przekroczył limit, miał otrzymać nagrodę pieniężną.

Ale później, kiedy coraz więcej ludzi nie chciało wyrzec się Falun Gong, rząd podjął bardziej energiczne działania. Miejscowa policja zaczęła przeszukiwać nam domy w poszukiwaniu materiałów związanych z Falun Gong i każdego wyznawcę traktowała jak przestępcę. Jeśli kogoś przyłapali na ćwiczeniu, cała jego rodzina ponosiła za to karę. Po tym, jak przeżyłam rewolucję kulturalną, nie mogłam uwierzyć, że w Chinach znów rozgrywa się podobna kampania polityczna. Postanowiłam coś w tej sprawie zrobić.

Piętnastego stycznia 2000 roku pojechałam razem z inną wyznawczynią do Pekinu, żeby apelować do władz o zaprzestanie tego szaleństwa. W pociągu w kółko powtarzałam sobie w głowie ten apel. Chciałam po prostu skorzystać ze swojego doświadczenia i powiedzieć przywódcom w Pekinie, że zakazywanie Falun Gong jest błędem. Tylko tyle. Nie zamierzałam powodować problemów. Po około dwudziestu godzinach jazdy dojechaliśmy na miejsce. Zamiast poszukać czegoś do jedzenia i hotelu poszliśmy prosto na plac Tian'anmen, mniej więcej pół godziny piechotą od dworca. Nie mogłam się doczekać, kiedy wejść do Biura Inicjatyw Obywatelskich i powiem, co mam powiedzenia. Zanim dotarliśmy na plac, zatrzymało nas dwóch policjantów: „Czy jesteście nietutejsze?”. Kiedy powiedziałyśmy, że tak, nabrali podejrzeń i zadali kolejne pytanie: „Należycie do grupy Falun Gong?”. Pokiwałyśmy głowami. Zanim się zdążyłyśmy

zorientować, wykręcili nam ręce, założyli za plecy i zawlekli do samochodu. Siedziało w nim już kilka związanych osób. Zabrali nas do filii Pekinńskiego Miejskiego Wydziału Bezpieczeństwa Publicznego niedaleko Świątyni Nieba. Po dwóch rundach przesłuchań policja skontaktowała się z władzami w Syczuanie. Dwa dni później zostałam odesłana do domu. Zanim mnie wypuścili, skonfiskowali mi sześćset juanów. Podśledzałam, jak jakiś pan Feng mówił na posterunku do człowieka, który przyjechał po mnie z Syczuanu: „Niech pan weźmie te pieniądze jako rekompensatę za to, że musiał pan przyjechać taki kawał drogi po tę idiotkę”. Kiedy dojechałam do rodzinnego miasta, policja zamknęła mnie w ciemnej celi na siedemnaście dni.

Liao: Słyszałam, jak ludzie żartowali, że Partia postawiła na placu Tian'anmen policjantów w cywilu co półtora metra, bo wielu wyznawców Falun Gong takich jak pani przychodziło tam z transparentami i ćwiczyło na znak protestu przeciwko zakazowi wydanemu przez rząd. Nie mogła być pani trochę bardziej ostrożna? Nie mogła pani tych policjantów trochę okłamać?

Chen: My nie kłamiemy, bo kłamstwo to grzech.

Liao: Aha.

Chen: Niedługo po tym, jak mnie wypuszczono z celi, troje innych wyznawców poszło w moje ślady i pojechało do Pekinu z apelem do władz. Miejskowa służba bezpieczeństwa myślała, że ja byłam pomysłodawczynią. Kilku oficerów przyszło do mnie do domu, zakuło mnie w kajdanki i po raz drugi wysłało do aresztu. Tym razem zamknęli mnie na piętnaście dni. Kiedy wróciłam do domu, moje drzwi były zapieczętowane. Kazali mi się przeprowadzić do małej, wilgotnej, śmierdzącej budy. Cały czas byłam pod obserwacją. Niedługo potem rząd przestał wypłacać mi emeryturę. Dostawałam tylko sto dwadzieścia juanów [piętnaście dolarów] miesięcznie na pokrycie podstawowych wydatków. To utrudniło mi życie, ale się nie bałam. Wciąż odmawiałam wyrzeczenia się Falun Gong. Później rząd jeszcze zmniejszył mi wypłatę ze stu dwudziestu na pięćdziesiąt juanów, co nie wystarczało nawet na miesięczny zapas samego ryżu.

Im bardziej byłam nieugięta, tym bardziej brutalnie zachowywali się oficerowie bezpieki. Pierwszego lipca 2000 roku

kazano mi się stawić na przesłuchanie w biurze sekretarza Partii w naszym mieście. Jak tylko weszłam, zastępca sekretarza Partii Huang złapał mnie za kurtkę i kilka razy spoliczkował. Ale to nie rozładowało jeszcze jego gniewu. Wziął wdech, zwinął rękę w pięść i zaczął mnie bić po twarzy. Po kilku minutach twarz mi spuchła i była cała we krwi. Zakręciło mi się w głowie i upadłam na podłogę. Wtedy on zaczął mnie kopać w głowę spiczastymi skórzanymi butami. Wywlekli mnie z jego biura na podwórze. Zaraz zgromadził się tłum i ludzie kopali mnie jak piłkę. Instynktownie się kuliłam, chowałam głowę, ale nie miałam dokąd uciec.

Liao: Co spowodowało aż taką brutalność członków Partii?

Chen: Przede wszystkim byli źli, że pojechałam do Pekinu. Dla miejscowych władz to była utrata twarzy. Po drugie, prezydent Jiang i inni wysocy urzędnicy państwowi naciskali na władze lokalne, żeby prały mózgi członkom Falun Gong. Nieudane próby zmiany poglądów członków Falun Gong mogły dla przedstawicieli miejscowych władz oznaczać utratę pracy.

Liao: Czy ktoś powstrzymał to bicie i kopanie?

Chen: Nie. Ktoś w tłumie krzyknął nawet: „Chodźcie, ludzie, patrzcie! Znów leją kogoś z Falun Gong. Ej, kopcie ją mocniej”.

Liao: To nie do wiary. Co za tłuszcza.

Chen: Traciłam przytomność, prawie nic nie widziałam ani nie czułam. Miałam wrażenie, że budynki wokół mnie wirują. Nie wiem, jak długo trwało to bicie. W pewnym momencie usłyszałam, jak ktoś powiedział, że lokalne władze źle na tym wyjdą, jeśli zostaną zabita pod drzwiami budynku rządowego. Wtedy kilku mężczyzn chwyciło mnie za nogi i zawlokło do sali konferencyjnej. Pomału wracała mi przytomność. Widziałam, jak przez okno zagląda dużo ludzi. Ktoś krzyknął: „Bić ją, bić!”. Zachęceni okrzykami tłumu, zastępca sekretarza Partii Huang, zastępcy burmistrza Zhang i Huang [brak pokrewieństwa z zastępcą sekretarza Partii] po kolei mnie bili. Kazali mi uklęknąć z rękami związanymi z tyłu. Bili mnie po plecach i po bosych stopach miedzianym prętem.

Liao: Czy podczas tego bicia w sali konferencyjnej była pani wciąż przytomna?

Chen: Co jakiś czas traciłam przytomność. Zastępca sekretarza Partii Huang groził mi, mówiąc: „Jesteś wrogiem ludu. Jak cię zabiję, nikt mnie nie pociągnie do odpowiedzialności”.

O siódmej wieczorem obudziłam się na podłodze własnego domu. Cała byłam posiniaczona. Bolało mnie nawet najmniejsze poruszenie ręką. Potem usłyszałam, jak w drugim pokoju cicho płacze moja matka.

Kilka dni później policja przeszukała jej dom i zabrała wszystkie wartościowe przedmioty, w tym telewizor, kilka starych monet, ubrania i pościel. Później wsadzili matkę i mnie do ciężarówki i zawieźli do jakiejś wioski na reedukację. Władze uważały, że jeśli odeślą mnie daleko, nie uda mi się zniszczyć ich wizerunku.

Liao: Jak mogli być tak bezlitośni?

Chen: To był dopiero początek. Mieszkałyśmy z matką w tej wiosce około pięciu miesięcy. Wracałam pomału do zdrowia po tym pobiciu. Jesienią 2002 roku, przed świętem księżycy, zmówiłam się z dwoma członkami Falun Gong w tej wiosce i razem namalowaliśmy napis „Falun Gong jest dobre” na ścianie świątyni buddyjskiej. Przyłapał nas jeden z mnichów. Martwił się, że jego oskarżą o ten napis, więc wezwał policję. Znów trafiłam do aresztu. Podczas przesłuchania nie powiedziałam policji, jak się nazywam ani gdzie mieszkam, bo bałam się, że znów ucierpi na tym moja matka. Zamknęli mnie więc w więzieniu razem z przestępcami. Żeby czas mijał mi szybciej, złożyłam ręce i zaczęłam medytować. Dwaj więźniowie z mojej celi, którym strażnicy kazali mieć mnie na oku, natychmiast złapali mnie za włosy. Krzyknęli: „Pomocy, pomocy, ta szalona kobieta od Falun Gong znów uprawia nielegalne czynności”. Zaraz pojawił się strażnik i zbił mnie skórzanym pasem. Potem kazał zakuć mi ręce i stopy. Przyniósł dwie drewniane deski z otworem na głowę w środku i zakuł mnie w to. Kajdany na nogi i te dyby były przeznaczone dla więźniów, którzy planowali się zabić albo czekali na egzekucję.

Przez ponad dziesięć dni nie mogłam się ruszyć. Nie mogłam nawet sama się załatwiać. Kiedy wreszcie zdjęli mi kajdany, na szyi, nadgarstkach i kostkach miałam ropnie. Dolna część ciała mi spuchła. Rany goiły się potem przez cztery miesiące.

Dwudziestego piątego kwietnia 2002 roku, kiedy byłam z wizytą u znajomej członkini Falun Gong w Chengdu, znów zostałam aresztowana przez bezpiekę. Po dwóch miesiącach w areszcie urządzili mi proces i skazali na dwa lata więzienia. Trzeciego lipca tego roku przewieźli mnie z aresztu do więzienia dla kobiet pod Chengdu. Każda więźniarka musiała przejść przed osadzeniem badania lekarskie. Z powodu wielokrotnego pobicia przez policję byłam w bardzo złym stanie. Władze więzienia nie chciały mnie przyjąć. Martwili się, że mogłabym umrzeć podczas odsiadki wyroku. Nie chcieli ponosić za to odpowiedzialności. Odesłano mnie więc do Hesheng, mojego rodzinnego miasta.

Liao: Nie zaczęła pani myśleć inaczej mimo bicia i tortur.

Chen: Kiedy miejscowa policja i władze miasta dowiedziały się o moim powrocie, potraktowały mnie jak diabła, który się zawziął, żeby im zniszczyć karierę. Przez całą noc debatowali, jakby tu mnie poskromić. Wreszcie wspólnie podjęli decyzję. „Obsesja pani Chen na punkcie Falun Gong sprawiła, że straciła rozum. Cierpi na ciężką chorobę psychiczną”. Piątego lipca związali mnie sznurami, wsadzili do ciężarówki i zawieźli do szpitala psychiatrycznego w Wanchun.

Liao: Czy przed tą wymuszoną hospitalizacją lekarz postawił diagnozę?

Chen: Sekretarz Partii z naszego miasta powiedział: „Decyzja Partii Komunistycznej to najbardziej wiarygodna diagnoza”. Pod naciskiem ze strony miejscowych władz lekarze umieścili mnie na oddziale o grubych żelaznych drzwiach. Kiedy drzwi się za mną zamknęły, zorientowałam się, że znajduję się na oddziale specjalnie wyposażonym na potrzeby pacjentów chorych psychicznie. Łóżka były żelazne, krzesła i stoły też. W oknie były żelazne kraty. Otaczali mnie ludzie chorzy psychicznie, jedni patrzyli pusto w sufit, inni trzęśli się na całym ciele. Jeszcze inni się ślinili albo wydawali dziwne odgłosy, śmiali się albo płakali. Wystraszyłam się i błagałam szefa policji, który mnie tam przywiózł, żeby mnie zabrał z powrotem do domu. Zbył mnie zimnym śmiechem: „Jesteś naszym gościem specjalnym. Przywieźliśmy cię do tego «sanatorium», żebyś mogła wypocząć i cieszyć się życiem. Wiesz, że utrzymanie cię tutaj kosztowało

nas trzy tysiące siedemset juanów [czteryście sześćdziesiąt dwa dolary]? Ale było warto zapłacić tę sumę”.

Uklękałam, chwyciłam go za nogę i błagałam: „Jestem zdrowa na umyśle”. Odepchnął mnie kopniakiem i powiedział: „Wszyscy tu tak mówią. Wszyscy, których tu widzisz, myślą, że są normalni. Idź, ćwicz Falun Gong, jeśli chcesz. Słyszałem, że na oddziale jest jeszcze jedna szalona wyznawczyni Falun Gong. Była kiedyś urzędniczką, nazywa się Yang. Możecie z Yang dotrzymywać sobie towarzystwa”.

Kiedy szef policji wyszedł, pielęgniarki przywiązały mnie do łóżka na całą noc. Na drugi dzień rano, kiedy lekarz zobaczył, że jestem dość posłuszna, rozwiązały mnie i pozwoliły chodzić swobodnie po oddziale. Zaczęłam się rozpytywać o Yang. Drugiego wieczoru, kiedy pielęgniarki rozmawiały po kolacji, wymknęłam się ze swojej sali i odszukałam Yang. Była chuda jak patyk, prawie jak cień. Zaczęłam z nią rozmawiać i dowiedziałam się, że przebywała w szpitalu od ponad roku. Powiedziała, że dawno już dała sobie spokój z Falun Gong. Całymi dniami po prostu naśladowała zachowanie innych chorych. Musiała się zachowywać nieprzewidywalnie i agresywnie, bo inaczej inni pacjenci ciągnęli ją za włosy, dusili, wskakiwali jej na plecy i ją obsikiwali. Przywołałam ją do porządku: „Jeżeli będziesz się cały czas tak zachowywać, stanie się to częścią ciebie i możliwe, że oszalejesz tak samo jak oni”. Powiedziała mi wtedy, że na początku próbowała uprawiać Falun Gong, ale pielęgniarki jej zabraniały i kazały oglądać filmy propagandowe potępiające Falun Gong.

Było mi jej żal i opowiedziałam jej, co moi znajomi znaleźli na zagranicznych stronach Falun Gong. Powiedziała, że w krajach Zachodu tysiące ludzi uprawiają swobodnie Falun Gong i że społeczność międzynarodowa potępiła Chiny za stłumienie Falun Gong. Długo rozmawialiśmy, a zanim wyszłam, umówiliśmy się, że wznowimy praktyki.

Następnego dnia spotkałyśmy się w mojej sali i zaczęłyśmy wykonywać powolne ruchy Falun Gong. Jedna z pielęgniarek to zauważyła i powiadomiła doktora Denga, kierownika oddziału psychiatrycznego. On natychmiast kazał strażnikom zanieść nas do sali zabiegowej i zastosować elektrowstrząsy. Najpierw

przywiązali do łóżka Yang i włączyli przycisk. Jej ciałem zaczęły wstrząsać silne dreszcze i krzyczała: „Ocal mnie, Nauczycielu Li”. Jej krzyki były jak ryki torturowanego zwierzęcia. Nie mogłam znieść patrzenia na jej ból. Pochyliłam głowę i zamknęłam oczy. Doktor Dong chwycił mnie za włosy i wcisnął mi kolano w plecy, żebym patrzyła i traktowała to jako, jak to nazwał, „edukację”. Po kolejnych gwałtownych spazmach ciało Yang osłabło, krzyki stały się bezgłośnie, skóra zrobiła się sina. Straciłam panowanie nad sobą, zaczęłam się cała trząść. Krzyknęłam: „Jak możecie tak traktować ludzi? Powinniście iść do piekła”. Doktor Deng wywłókł mnie z tej sali za włosy i powiedział: „Jeśli dalej będziesz praktykować, ty będziesz następna”.

Po tym przerażającym epizodzie z elektrowstrząsami pielęgniarki zaprowadziły nas do pomieszczenia z całodobowym nadzorem. Zamknęli nas w składzie obok toalety. Przez całą noc gryzły nas komary. Na drugi dzień nie dostałyśmy nic do jedzenia. Pielęgniarki założyły nam za to kroplówki. Ponieważ ręce i nogi miałyśmy przywiązane do łóżek i nie mogłyśmy nimi ruszać, płyn z kroplówki spływał bardzo szybko. Pewnego dnia rano pielęgniarki podały nam dożylnie kilka fiolek jakiegoś płynu. Szepnęłam do Yang: „Nie wiem, co one nam dają w tych kroplówkach!”. Yang odpowiedziała: „Myślisz, że dają nam leki, które zniszczą nam mózg? Ci ludzie to zwierzęta i zrobią wszystko, żeby nas zniszczyć”. Jej słowa bardzo mnie zdenerwowały. Przypomniał mi się japoński film, który kiedyś widziałam. Bohaterowi podawali tam lekarstwa, które zniszczyły mu mózg. Stał się po nich zombie i, nie wiedząc, co robi, skoczył z wysokiego budynku. Po tem jego wrogowie twierdzili, że to było samobójstwo.

Na wspomnienie tego filmu zrobiło mi się straszno. Zaczęłam krzyczeć i się szarpać, żeby uwolnić się od kroplówki. Przybiegła pielęgniarka, przycisnęła mnie do łóżka i zacieśniła mi sznury na rękach i nogach. Na drugi dzień zaczęli wciskać nam do gardeł tabletki, mówiąc, że te lekarstwa wyleczą nas z nieposłuszeństwa. Nie miałam pojęcia, co to były za tabletki. Przez pierwszych kilka dni nie otwierałam ust. Lekarz wezwał wtedy kilku strażników i pacjentów, żeby siłą otworzyli mi usta metalowym zaciskiem, wcisnęli mi tabletkę i splukali gorącą wodą. Krztusiłam się wtedy,

kaszlałam i wymiotowałam. Kiedy przestawałam kaszleć, znów siłą rozwierali mi usta i zaczęli od początku. Miałam mocno poparzony język i gardło, a całą głowę i twarz podrapane. Tydzień po tym, jak wzięłam tabletki, całymi dniami byłam śpiąca. Cały czas się śliniłam i nie miałam apetytu. Potem tak osłabłam, że nie mogłam już stawiać oporu. Kiedy przychodziła pora brania leków, z własnej woli otwierałam usta, łykałam tabletki jak inni pacjenci i zasypiałam.

Liao: Więc wreszcie panią okiełznali i zmienili w chorą umysłowo.

Chen: Czułam tylko ogromne zmęczenie. Powieki miałam tak ciężkie, że nie mogłam utrzymać otwartych oczu. Miesiąc później, kiedy lekarz zmniejszył dawkę, stałam się drażliwa. Pielęgniarki przeniosły nas wtedy gdzie indziej, żeby zrobić miejsce dla prawdziwych chorych psychicznie. Wsadzili mnie z Yang do sali, w której okna były zabite deskami. Pielęgniarki wykręciły nam nawet żarówkę. Później się dowiedziałyśmy, że sąsiadowaliśmy z kostnicą.

Spędziłam w tym szpitalu sto dziesięć dni. Yang była tam o rok dłużej. Pewnego dnia przyszła mnie odwiedzić w szpitalu dyrektorka miejscowego oddziału Federacji Kobiet, pseudorządowej agencji. Przyprowadzili mnie do pokoju odwiedzin, w którym odwiedzających oddzielało od pacjentów żelazne ogrodzenie. Dyrektorka najpierw zapytała mnie o warunki bytowe, a potem starała się namówić na porzucenie wiary w „sektę”. Powiedziała, że Falun Gong rozbiło wiele rodzin, przyniosło ludziom hańbę i chorobę umysłową. Przerwałam jej słowami: „Ja nie jestem psychicznie chora. Jestem normalnym człowiekiem”. Opowiedziałam jej o tym, jak zmuszano mnie do brania leków. Dyrektorka poprosiła, żebym obiecała jej, że się zmienię. W zamian miała kazać lekarzowi przestać podawać mi leki. Ale ja odmówiłam składania obietnic.

Po jej wizycie lekarz nie przestał podawać mi leków, ale zmniejszył dawkę. Jednocześnie dyrektor szpitala zakazał mi widzeń z krewnymi i znajomymi.

Liao: Dlaczego?

Chen: Bał się, że moi krewni dowiedzą się, jak byłam traktowana, i podadzą to do publicznej wiadomości. Raz moja siostra

przejechała wiele kilometrów na rowerze, żeby się ze mną zobaczyć, ale nie pozwolili jej wejść do środka. Zaczęła wtedy na cały głos wołać moje imię i nazwisko. Jakiś pacjent ją usłyszał i przyszedł po mnie. Ale kiedy podbiegłam do drzwi, strażnik już ją odpędził.

Liao: Kiedy wypisano panią ze szpitala?

Chen: Pod koniec 2002 roku. Przyjechał po mnie wóz policyjny i prosto ze szpitala zawiózł do kobiecego obozu reedukacyjnego. Musiałam przejść kolejne badania kontrolne i miałam złe wyniki. Kierownictwo obozu nie chciało mnie przyjąć. Policjanci powiedzieli im: „Jeśli ona umrze, nikt nie zostanie pociągnięty do odpowiedzialności”. W końcu niechętnie przyjęto mnie do tego obozu.

Liao: Co było później?

Chen: Pewnego dnia, kiedy pracowałyśmy w polu, uciekłam. Kiedy dowiedziały się o tym władze obozu, nie chciało im się nawet nikogo wysyłać, żeby mnie gonił. Chyba byli zadowoleni, że się mnie pozbyli, tak że nie musieli odpowiadać za to, gdybym umarła.

Udało mi się dotrzeć do Chengdu i połączyć z innymi członkami Falun Gong. Kiedy tylko mam możliwość, staram się roznosić ulotki Falun Gong do tyłu domów, do ilu dam radę. Dziś rano przeszłam około dwunastu kilometrów i zostawiłam w okolicznych budynkach kilkaset ulotek. Zostało mi jeszcze trochę i chcę je rozdać jeszcze dzisiaj.

Liao: Jak długo przebywała pani w obozie?

Chen: Zostałam skazana na dwa lata. Kiedy uciekłam, do końca odsiadki zostały mi jeszcze tylko dwa miesiące.

Liao: Dlaczego w takim razie postanowiła pani uciec?

Chen: Martwiłam się, że zmienią zdanie i nie wypuszczą mnie w ustalonym dniu, bo nie wyrzekłam się swojej wiary.

Liao: Kiedyś myślałam, że gdyby każdy Chińczyk stosował się do głoszonych przez Nauczyciela Li zasad prawdy, dobrej woli i tolerancji, całkowicie poddałibyśmy się uciskowi. Partia Komunistyczna mogłaby wiecznie rządzić tym krajem bez najmniejszej opozycji. Zdaje się, że byłem w błędzie.

Nielegalny emigrant

W odróżnieniu od tysięcy Chińczyków, którzy najmują przemytników, żeby pomogli im przedostać się na Zachód, czterdziesto-czteroletni Li Yifeng wybrał inny sposób. W ciągu ostatnich lat podjął kilka nieudanych prób przekroczenia granicy na własną rękę – najpierw granicy z Birmą, a potem z Hongkongiem. Mówi o sobie, że urodził się po to, żeby przekradać się przez granice.

Wywiad z nim przeprowadziłem niedawno w herbaciarni w pobliżu rzeki Fu w mieście Mianyang w prowincji Syczuan. Li został właśnie zwolniony z aresztu w południowym mieście Shenzhen.

Liao Yiwu: Skąd u pana ten duch przygody?

Li Yifeng: Odziedziczyłem go po ojcu. Mój ojciec urodził się pod koniec lat czterdziestych. Wychował się w małej wiosce we wschodniej części Syczuanu. Jako dziecko siadywał samotnie na brzegu rzeki i patrzył na przepływające łodzie. Matka opowiadała mi, że ciągle stawiał sobie takie pytania: „Jak jest na drugim krańcu rzeki? Jak jest na drugim krańcu świata?”

Ojciec bardzo dobrze się uczył i poszedł na studia. Kiedy je ukończył, dostał posadę w wydziale kultury prowincji. Kierowano tam do pracy ludzi wykształconych. Ale kiedy tacy wykształceni ludzie zebrali się w większej grupie, zaczęli rozmawiać o dziwnych, wywrotowych ideach, takich jak demokracja czy ucieczka do obcego kraju. Nic dziwnego, że Przewodniczący Mao nigdy nie ufał intelektualistom i w kolejnych

kampaniach usiłował się ich pozbyć z komunistycznych szeregów. W każdym razie idea podróżowania do obcych krajów stale towarzyszyła mojemu ojcu. Ponieważ Chińczycy nie mogli wtedy swobodnie się przemieszczać, zaczął się orientować w możliwościach nielegalnego przekroczenia granicy. Pierwszą próbę podjął w 1962 roku, kiedy moja matka była w ciąży. Pojechał do północno-zachodniej prowincji Sinkiang, gdzie mieszkają Ujgurów i Kazachowie. Pewnie powie pan, że w 1962 roku wszyscy chętnie wyjechaliby z Chin, bo panował tu głód. Ale nie sądzę, by ojciec chciał wyjechać tylko dlatego; pchała go do tego ciekawość, którą musiał zaspokoić. Po przyjeździe do Sinkiangu miał się różnych prac i czekał na jakąś dobrą sposobność. Potem przeniósł się do małej miejscowości położonej przy granicy ze Związkiem Radzieckim i tam zaczął swoją przygodę z przekraczaniem granicy. Ale szczęście mu nie sprzyjało. Złapali go. Kiedy przesłuchiwała go chińska straż graniczna, udawał, że jest głuchoniemy. Strażnicy wzięli go za Kazacha. Nie zastrzelili go, bo bali się zaostrzenia tarć etnicznych. Tylko zatrzymali na kilka miesięcy. Kiedy go wypuścili, wrócił do Syczuanu.

Pomieszkał z mamą przez kilka tygodni, a potem znów zaczęło go nosić. I któregoś dnia po prostu zniknął. Kiedy wyjechał, mama przeprowadziła się do swoich rodziców. Później dostała od niego list, w którym pisał, że kieruje się na południe, do Shenzhen. Wtedy Shenzhen to była mała rybacka wioska na granicy z Hongkongiem. Ponieważ granica na lądzie była silnie strzeżona, miejscowy przewodnik poradził ojcu, żeby przedostał się drogą wodną. Ojciec cały dzień ukrywał się w wysokiej trawie przy plaży. Kiedy zapadła noc, wyszedł z kryjówki, wskoczył do wody i popłynął najszybciej, jak umiał, ku wolnemu światu, jakim był Hongkong. Stary wariat! Kiedy przepłynął około stu metrów, straż graniczna wykryła go za pomocą świateł patrolowych i zaczęła do niego strzelać. Ojciec tak się wystraszył, że zawrócił w stronę plaży, gdzie strażnicy już na niego czekali. Pobili go i związali. Został aresztowany i skazany na dwadzieścia lat więzienia.

W epoce maoistowskiej Chiny były odizolowane od reszty świata. Przekradnięcie się do obcego kraju uważane było za

coś najstraszniejszego, przestępstwo tak poważne, że większość ludzi nawet nie śmiała o tym marzyć. Mój ojciec był dość niezwykłym człowiekiem.

Liao: Jakie mu postawiono zarzuty?

Li: Zarzucono mu zdradę ojczyzny i oddawanie się działalności kontrrewolucyjnej. Kiedy został aresztowany, byłem jeszcze w łonie matki. Ze mną w brzuchu pojechała do ojca do więzienia i dała mu do podpisania papiery rozwodowe. Niestety, w takiej właśnie rodzinie się urodziłem. Pamięta pan taki amerykański film *Paryż, Teksas*? Opowiada historię faceta, który nie pamiętał swojej przeszłości. Postanowił znaleźć Paryż w stanie Teksas, gdzie ponoć jego rodzice się poznali i gdzie się kochali. Ponieważ prawdopodobnie właśnie podczas tego pierwszego spotkania został poczęty, ludził się, że jeśli trafi do tego Paryża w stanie Teksas, to wrócą jego wspomnienia. Dla niego to miasto symbolizowało jakieś idealne miejsce, gdzie wydarzają się dobre rzeczy. Dlatego porzucił rodzinę i włączył się po całym kraju w poszukiwaniu tego miasta. Ta wędrówka była jego najpierwotniejszym instynktem, zewem krwi. Mój ojciec też czuł taki zew. Ja też go czuję. Różnica polega na tym, że mój ojciec zapłacił za niego wyższą cenę. Ja mam szczęście, bo od czasów jego młodości dużo się zmieniło. Dzisiaj pełno ludzi próbuje nielegalnie przekroczyć granicę. Rząd ma problem z opanowaniem tego zjawiska. Nie stosuje się wobec nas bardzo surowych kar.

Liao: Motywy, które pan wymienił, nie brzmią zbyt przekonująco. O ile wiem, większość ludzi, którzy usiłują wyjechać z Chin, robi to z powodów finansowych. Chcą wyjechać do takich krajów jak Ameryka, żeby zarabiać pieniądze. Garstka robi to z powodów politycznych. Nie znam nikogo, kto ucieka z Chin wyłącznie dlatego, że gna go instynkt wędrowca. Zdaje pan sobie sprawę z tego, że zdradza pan swoją ojczyznę?

Li: Zawsze noszę pamięć o ojczyźnie ze sobą, w torbie mam kilka chińskich książek, w tym zbiór chińskich wierszy, chiński słownik i kilka zdjęć pięknych Chinek. Rozumiem, że jak ktoś ma pieniądze, to może wyemigrować czy wyjechać za granicę legalnie. Ale ja niestety nie mam pieniędzy. A nawet gdybym miał, to nie chciałoby mi się przechodzić przez te różne skomplikowane

procedury ani wypełniać tych wszystkich formularzy. Ja chcę po prostu jeździć tam, gdzie chcę i kiedy chcę. Moją świętą księgą jest *Podróż na południe* pisarza Ai Wu. Opisuje on w tej książce, jak pod wpływem impulsu wyjechał z Chin w latach czterdziestych i udał się do Birmy. Nikomu nie powiedział ani słowa, nie chodził do żadnych urzędów. Po prostu wyjechał i już. Moim zdaniem Ai Wu to chiński Jack Kerouac.

Liao: Chce pan powiedzieć, że wybrał się pan do Birmy, naśladując Ai Wu?

Li: A jak. Zdecydowałem się na Birmę właśnie ze względu na książkę Ai Wu. Ponieważ Birma to kraj buddyjski, myślałem, że ludzie będą tam miłsi niż u nas w Chinach. Co ważniejsze, do Birmy wcale nie jest tak trudno się przedostać. Jak pojedzie się autostradą Chiny–Birma, która zaczyna się w małym mieście Ruili w południowo-zachodniej prowincji Junnan, można dojechać do przygranicznego miasta Mangshi. Na tej wyprawie, o której teraz mówię, było nas trzech: ja, podszywający się pod dziennikarza, facet, który podawał się za urzędnika z okręgu Wulong, i trzeci, były mnich. Zrobiliśmy zrzutkę i postanowiliśmy jechać razem. Dzięki kontaktom tego byłego mnicha znaleźliśmy jednorękiego birmańskiego przewodnika. Nazywał się Yeshan. Był mnichem. Za pieniądze zajmował się pomaganiem tym, którzy chcieli się dostać do Birmy. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, więc wyraźnie nad nami trzema górował, a jego żółta *kaśaja* lśniła w ostrym słońcu. Szliśmy za nim trzy dni i pokonaliśmy ponad sto kilometrów po górskich ścieżkach. Ponieważ mogliśmy się poruszać tylko nocą, byliśmy wykończeni.

Liao: Kiedy to było?

Li: Latem 1989 roku.

Liao: Czyli tuż po tym, jak władze stłumiły ruch na rzecz demokracji w Pekinie. Wtedy z kraju uciekało wielu przywódców studenckich. Pan przypadkiem nie uciekał z powodów politycznych?

Li: Nie wiem, jak pozostali dwaj. Ale wątpię. Ja zamierzałem znaleźć pracę w Rangunie, ówczesnej stolicy Birmy, a potem rozejrzeć się za możliwościami robienia biznesu. Gdyby to nie wypaliło, myślałem, że przyłączę się do triady w Złotym

Trójkącie*. Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby zajmować się przemytem opium. Można było na tym zbić fortunę. Wiedziałem więc, po co podejmuję ryzyko. Pierwsza część wyprawy minęła bez przeszkód. Nie spotkaliśmy po drodze żadnych żołnierzy. Czwartego dnia rano Yeshan postukał mnie w ramię i powiedział łamaną chińszczyzną: „Wy już w Birma. Moja rola koniec. Do widzenia”. Zatkano nas. „Nie możesz nas tak zostawić!” – krzyknął „urzędnik”, który się ocknął szybciej niż my. Złapał mnicha za szatę i powiedział: „Widzimy tylko tę górę. Kto tam wie, czy to już Birma”.

„Urzędnik” miał rację. Było bardzo cicho. Staliśmy na skalnym występie w kształcie podkowy. W dali było widać rzekę, ale ledwo, bo widok zasłaniały wysokie po pas zarośla i trawy. Nie było jak stwierdzić, czy jesteśmy już na terytorium Birmy.

Wszyscy złapaliśmy Yeshana za szatę i błagaliśmy, żeby nas nie zostawiał. Kiedy błaganie nie poskutkowało, wyjąłem szczyryk, żeby go nastraszyć. Yeshan się na nas rozgniewał. Zamachnął się i pchnął mnie na ziemię. Nóż wyleciał mi łukiem z ręki. Yeshan znał sztuki walki, żaden z nas nie miałby z nim szans. Kiedy dał nam wszystkim wycisk, rzucił na ziemię wodę w butelkach i worek surowego ryżu, wskazał na rzekę i znów powiedział tą swoją łamaną chińszczyzną: „Iść jak rzeka, nie zgubić. Uwaga na partyzanci Mao”.

Po tych słowach odszedł wielkimi krokami, a *kaśaja* wydymała się za nim w porannym wietrze jak żagiel. Kilka minut później zniknął nam z oczu. Panowała całkowita cisza. Wstaliśmy i otrzepaliśmy spodnie z ziemi. „Urzędnik” zaproponował, żebyśmy schodzili z góry nocą, ale i były mnich, i ja byliśmy temu przeciwni. Ponieważ widzieliśmy już w oddali pola ryżowe i domy, uznaliśmy, że jesteśmy daleko od granicy i nic nie powinno nam grozić ze strony chińskiej straży granicznej. Nie było potrzeby, żeby dalej iść po nocy.

W końcu stanęło na moim. Postanowiliśmy od razu iść dalej. Umówiliśmy się, że będziemy schodzić w dół w odległości

* Złoty Trójkąt to obszar na pograniczu trzech państw: Birmy, Tajlandii i Laosu.

dwudziestu metrów od siebie. Dzięki temu gdyby jeden z nas wpadł w kłopoty, pozostali mieliby czas na ucieczkę. Ja na ochotnika poszedłem przodem. Na początku słyszałem w tyle kroki pozostałych. Ale po jakimś czasie zacząłem słyszeć tylko własne. Odwróciłem się i zawołałem cicho: „Ej, jesteście tam?”. Nie było odpowiedzi. Wtedy cofnąłem się kawałek, licząc na to, że ich znajdę. Ale rozglądałem się i nikogo nie widziałem. Zaraz potem zaczęło mnie ogarniać zmęczenie. Był wczesny ranek, jeszcze niezbyt gorąco. Położyłem się w zaroślach. Najpierw starałem się czuć. Ale szybko zasnąłem twardym snem. Około południa obudziły mnie mrówki, które są w Birmy ogromne. Skoczyłem na równe nogi. Ponieważ byłem cały spocony, mrówki przykleiły mi się do szyi jak obroża. Zgniatąłem je ręką, schodząc w dół. Miałem nadzieję, że trafię na jakiegoś miejscowego, który mi pomoże.

Liao: Zna pan tamtejszy język? Jak by się pan porozumiał z miejscowym, gdyby pan takiego spotkał?

Li: Ludzie, którzy mieszkają przy granicy, zwykle trochę mówią po chińsku, bo przecież ciągle kwitnie handel przygraniczny. Poza tym pod koniec lat sześćdziesiątych, podczas rewolucji komunistycznej, wielu czerwonogwardzistów uciekło do Birmy, żeby wspierać tamtejszych rebeliantów. Chcieli eksportować idee Mao i włączyć się w ogólnoswiatową rewolucję komunistyczną. Słowem, miejscowi byli przyzwyczajeni do obecności Chińczyków. Słyszałem, że na widok Chińczyka nie wpadali w panikę i nie zawiadamiali straży granicznej. Ponieważ w tamtym regionie akceptowano chińską walutę, można się było poruszać bez problemu.

Liao: Wygląda na to, że solidnie się pan przygotował do wyjazdu. Nie mówił pan wcześniej, że podjął pan takie ryzyko tylko dlatego, że pociąga pana tryb życia włóczęgi? A teraz pan mówi, że przekradł się pan przez granicę, żeby przemycać opium.

Li: Myślę, że chodziło o jedno i drugie. Zresztą co jest złego w wyjeździe z Chin z powodów finansowych? Gdyby teraz wyjechało z Chin dużo ludzi, populacja by się zmniejszyła i władze nie musiałyby nieść ciężaru wykarmienia aż tylu obywateli. Gdybym mógł doradzać rządowi, poradziłbym, żebyśmy kupili pas ziemi przecinający Mongolię i Rosję i wybudowali autostradę

prowadzącą bezpośrednio do Europy. Kiedy by była gotowa, nawet nie trzeba byłoby jej reklamować. Chętnych byłoby tylu, że robiłyby się korki.

Liao: Hola, hola, niech pan przystopuje z tymi wizjami. O czym to mówiliśmy?

Li: O tym, jak szedłem przez dżungłę w Birmie. Bałem się wtedy jak cholera, bo nie mogłem trafić na ścieżkę. Czołgałem się i przedzierałem na oślep przez krzaki. Kiedy spojrzałem na zegarek, okazało się, że minęło już sześć godzin. Gdyby wszystko poszło dobrze, mógłbym być już u podnóża góry. Ale kiedy się rozejrzałem, nic nie widziałem, nawet tej rzeki, wzdłuż której miałem iść. Szedłem po omacku dalej i w końcu znalazłem ścieżkę ukrytą w gęstwinie. Ucieszyłem się jak nie wiem co. Po kilku minutach zorientowałem się, że ta ścieżka wygląda jakoś znajomo. Zrozumiałem, że zatoczyłem koło i wróciłem do miejsca, z którego wyszedłem sześć godzin wcześniej.

Kiedy tak utknąłem w środku dżungli, wie pan, o czym myślałem? Dżungla skojarzyła mi się z takim starym chińskim filmem, *Dzwony dzwonią wewnątrz góry*. To był film o tym, jak wojsko chińskie walczyło z gangsterami i złodziejami w tym właśnie regionie. Chętnie spotkałbym jakichś gangsterów na koniach. Ale jak mówiłem, gównem było widać. Kiedy potem o tym wszystkim myślałem, zdziwiłem się, że wtedy przyszedł mi na myśl film, który widziałem dwadzieścia lat wcześniej. Dziwne, co? Usiadłem na ziemi i zastanawiałem się, co mam dalej robić. Nagle usłyszałem niski głos: „Nie ruszać się”. Na dźwięk tego głosu przeszył mnie dreszcz i włosy stanęły mi dęba.

Liao: Głos odezwał się po chińsku?

Li: Tak, po mandaryńsku. Czułem, że zaraz rozsadzi mi czaszkę. Wstałem, ale moje biedne nogi odmówiły posłuszeństwa i opadłem na kolana. Trząsałem się na całym ciele. Minęło kilka minut, a wciąż nikt do mnie nie podchodził. Powoli uniosłem głowę i starałem się zobaczyć, co się dzieje. Wtedy usłyszałem ten sam głos: „Podnieś ręce w górę. Schyl głowę. Rzuć broń”.

Liao: Natknął się pan na straż graniczną.

Li: W pewnym sensie zachowywali się jak straż graniczna, ale mieli bardzo znoszone mundury. Zza drzew wyszło czterech

mężczyzn. Teraz niech pan się tylko nie śmieje – tak się zestrachalem, że zsikałem się w spodnie. Przez następne kilka godzin spodnie śmierdziały mi sikami. Ci czterej zawiązali mi oczy czarną opaską, związali mi ręce z przodu i zaczęli prowadzić na sznurze. Jeden przytykał mi pistolet do pleców. Nie wiem, jak daleko ani jak długo tak szliśmy. Kiedy wreszcie zdjęli mi opaskę z oczu, zobaczyłem, że jestem w jaskini i otacza mnie grupka mężczyzn ubranych w chińskie mundury wojskowe z lat siedemdziesiątych. Rozebrali mnie i popchnęli w stronę stołu. Nad stołem wisiała lampa naftowa i oświetlała tylko tego, który miał mnie przesłuchiwać. Reszta jaskini tonęła w ciemności, zupełnie nic nie było widać. Oczy powoli przyzwyczyły mi się do mroku. Śledczy zaczął mnie wypytywać: „Nazwisko? Wiek? Zawód? Co tu robisz? Przemycasz coś czy jesteś polityczny? Ilu masz towarzyszy?”. Odpowiadałem kolejno na każde pytanie.

Liao: To była chińska straż graniczna?

Li: Nie, tak zwana Armia Ludowa, ugrupowanie partyzanckie związane z Partią Komunistyczną Birmy. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych miało bardzo dużą władzę. Słyszałem, że byli podzieleni na kilka regionów, liczyli ponad dziesięć tysięcy żołnierzy. Zajmowali duże terytorium na granicy Chin z Birmą. Teraz Armia Ludowa ma mniejszą władzę, bo świat się zmienił. Los Czerwonych Khmerów bardzo negatywnie wpłynął na siły komunistyczne w Birmie.

Liao: Dał się pan złapać Armii Ludowej? Biedaczysko!

Li: Zabłądziłem i wszedłem na terytorium partyzantów, nic o tym nie wiedząc. Jasna cholera, no, taki pech. A najdziwniejsze, że się okazało, że ten brodaty śledczy pochodził z mojego rodzinnego miasta, Chongqing. Pamięta pan, co mówiłem na początku rozmowy o czerwonogwardzistach? On był właśnie takim byłym czerwonogwardzistą, który został wysłany do pracy w komunie w prowincji Junnan. W 1969 roku stamtąd uciekł, przedostał się przez granicę do Birmy i dołączył do partyzantów. Kiedy odkryliśmy, że wychowaliśmy się w tym samym mieście, rozluźnił się i zaczęliśmy rozmawiać. Wypytywał mnie, co się zmieniło w Chongqing. Powiedział, że wyjechał stamtąd przed ponad dwudziestu laty, ale że wciąż mu tęskno. Nie przyznałem się do

tego, ale poczułem ulgę, że tak to się ułożyło. Zaczęliśmy gadać o wszystkim. Opowiedziałem mu o reformach gospodarczych w Chinach, o studenckim ruchu na rzecz demokracji i o tym, jakie popularne stały się samochody. Powiedziałem: „Nikt już nie wierzy w komunizm. Wszyscy mówią tylko o pieniądzech”. Rozmawialiśmy w dialekcie syczuzańskim, opowiadaliśmy sobie anegdoty i kawały o Chongqingu. Z niektórych tak się śmialiśmy, że aż się popłakaliśmy. Inni żołnierze patrzyli na nas i nie wiedzieli, co jest grane. Potem mój krajan kazał im przygotować dla nas kolację – cztery dania i dzbanek alkoholu. Szybko się upiłem. Mój krajan wspominał swoją młodość w Chinach, swoją wiarę w ideały komunistyczne i w cel, jakim było rozpropagowanie komunizmu na całym świecie. Jak powiedział, większość jego towarzyszy zginęła w walkach partyzanckich z rządem Birmy. Jego opowieści bardzo mnie poruszyły i zapytałem, czy zamierza kiedyś wrócić do ojczyzny. Odpowiedział mi tak: „Wszyscy z niej uciekają, nawet ty. Po co mam wracać?”. Powiedziałem, że w pewnym sensie mamy ze sobą wiele wspólnego. Obaj jesteśmy idealistami i poszukujemy przygód w obcym kraju. On się ze mną nie zgodził: „Ty masz inne ideały niż ja. Ty to robisz dla siebie, a ja po to, żeby się przysłużyć ludzkości. Moi towarzysze i ja jesteśmy jedynymi prawdziwymi chińskimi komunistami, którzy przelewają krew na obcej ziemi, bo wciąż liczymy na to, że uda nam się ustanowić nowe społeczeństwo komunistyczne. Możesz uważać nas za dziwaków, ale walczymy o słuszną sprawę”.

Kiedy rozmawialiśmy już coraz bardziej otwarcie, zacząłem delikatnie nawiązywać do tego, żeby mnie wypuścił na wolność. On westchnął wtedy: „Jesteśmy krajanami. W normalnych warunkach bym cię wypuścił. Ale niestety jest za późno. Mój dowódca już wie o twoim aresztowaniu. Powiadomił chińską straż graniczną”. Na te słowa natychmiast otrzeźwiałem. Jak wąż, który wpada do lodowatej rzeki, cały się trząsłem, walcząc o życie.

Padłem przed nim na kolana: „Błagam, zlituj się nade mną. Skoro nie możesz mnie wypuścić, to zastrzel mnie na miejscu. To właśnie zrobi rząd, jak odeślecie mnie do kraju”.

Podniósł mnie z ziemi i powiedział: „Uszy do góry, przyjacielu! Jak się dowiedzą, że nie przekraczałeś granicy z powodów

politycznych, to pewnie dostaniesz dwa lata i już. Przyznam ci się szczerze, że to ja jestem dowódcą tego oddziału. Muszę dawać dobry przykład, wypełniając rozkazy z góry. Inaczej straciłbym wiarygodność w oczach własnych żołnierzy”.

Liao: Z takimi słowami trudno się kłócić.

Li: Cholera jasna. To było jak zły sen. Kiedy się obudziłem, dostałem wyrok dwóch lat więzienia. Niech pan popatrzy na moją twarz – jedna strona jest bardziej zniekształcona. Mam trochę przekrzywiony podbródek. To pamiątki po moich przygodach z przekraczaniem granicy. Wiele razy byłem bity. Ale dzięki bólowi i ekscytacji czułem, że żyję. Raz tacy jedni przywiązali mnie długim sznurem do traktora i wlekli wiele kilometrów po wąskiej górskiej drodze. Ubranie podarło mi się na strzępy, wyglądało jak mop. Kiedy traktor ciągnął mnie po ziemi, przypominał mi się taki amerykański film, w którym czarni niewolnicy, przywiązani do drewnianego słupa, czekali, aż kupi ich nowy biały właściciel.

Dążenie do wolności to najtrudniejsze, co może być na tym świecie. W Chinach jak człowiek zdycha z głodu, nikogo to nie obchodzi. Ale kiedy próbuje się gdzieś przenieść, żeby znaleźć jedzenie i spróbować inaczej żyć, to zaraz ktoś się na niego rzuci i wsadzi do aresztu. W Europie, w Stanach i w Australii ludzie twierdzą, że mają demokrację i wolność. Ale ich rządy nie pozwolą ci wjechać do kraju, jak nie masz pieniędzy albo statusu uchodźcy politycznego. Choćbyś im powtarzał bez końca, że kochasz demokrację i wolność, nic ich to nie będzie obchodzić. Co za cholerna hipokryzja.

Liao: Moim zdaniem Birma to kraj znacznie gorszy od Chin. Nawet gdyby udało się panu tam przedostać i dotrzeć do Rangun, żyłby pan w biedzie, tak jak tutaj. Przecież to możliwe, że może być jeszcze gorzej, prawda?

Li: Nigdy mi się nie udało tam dostać, to skąd mam wiedzieć, gdzie jest gorzej? Mój znajomy poeta poszedł kiedyś w moje ślady. Złapali go w Birmie, bo doniósł na niego jakiś miejscowy. Trafił do birmańskiego więzienia. I wie pan co? Wylądował w jednej celi z byłym przywódcą Partii Komunistycznej Birmy. W ciągu roku nauczył się mówić po angielsku i po birmańsku

i poznał dość dużo tajemnic Partii Komunistycznej. Ale fakt, były już niewiele warte.

W każdym razie zaprzyjaźnił się z tym przywódcą. A potem o nim zapomnieli. Nie wezwano go na proces, tylko siedział w tym więzieniu i siedział, i mógł tak siedzieć do końca życia. Pewnego dnia zaczął krzyczeć, tak bez przerwy. Całe szczęście, że wpadł na taki pomysł. Inaczej by tam zgnił. Krzyczał i przeklinał po chińsku, po angielsku i po birmańsku. Ten krzyk odmienił jego los. Po jakimś czasie wypuścili i jego, i tego przywódcę komunistów. Przywódca pomógł mu załatwić wizę. Dostał prawo wyjazdu do Europy jako robotnik. Kiedy ostatnio o nim słyszałem, został obywatelem Danii. To najszczęśliwszy przypadek przekraczania granicy, jaki znam.

Liao: Jego historia brzmi jak wyjęta z Opowieści tysiąca i jednej nocy.

Li: A moja jak z *Opowieści tysiąca koszmarów*. Ale powiem panu, że w czasie pokoju przekradanie się przez granicę to najlepsza przygoda, coś najbardziej podniecającego, co można tylko sobie wyobrazić.

Liao: Chce pan powiedzieć, że jest pan uzależniony od przekraczania granicy?

Li: Próbowałem cztery czy pięć razy. Najbardziej dramatyczny był ten raz, o którym właśnie mówiłem. Inne były dość zwyczajne i wszystkie skończyły się klapą. W ostatnich latach bardzo złagodzono kary za nielegalne przekraczanie granicy. Jeśli tylko człowiek się nie stawia podczas przesłuchania, to zwykle jedynie nakładają grzywnę. I tyle. A ponieważ ja nie mam z czego zapłacić grzywny, zatrzymują mnie zazwyczaj na kilka miesięcy i potem wypuszczają.

Może opowiem o jeszcze jednej swojej próbie. To było w roku 1997. Ponieważ Hongkong miał wrócić do Chin, uznałem, że granica chińsko-hongkońska nie będzie pewnie pilnowana tak dokładnie jak wcześniej. Zapłaciłem trochę za fałszywy dowód i pojechałem do Shenzhen, jak kiedyś mój ojciec. Ale nie chciałem przepłynąć granicy, postanowiłem wypróbować drogę lądową. Przeszedłem się tą słynną ulicą handlową, która dzieli Hongkong od Chin kontynentalnych. Patrzyłem na stronę

Hongkongu. Byłem tak zahipnotyzowany tymi wysokimi wieżowcami i jasno oświetlonymi centrami handlowymi, że jak kompletny idiota zacząłem iść prosto na ogrodzenie z drutu kolczastego, które ciągnęło się przez środek tej ulicy. Natychmiast zauważyło mnie dwóch strażników. Podeszli, celując we mnie z pistoletów. Nie myśląc wiele, przerzuciłem torbę przez drut, na drugą połowę ulicy. W torbie były mój fałszywy dowód i portfel. Myślałem, że po drugiej stronie jest już terytorium Hongkongu i że strażnik z Chin nie odważy się przejść przez ogrodzenie, żeby ją podnieść. Ale jeden przytknął mi pistolet do głowy i kazał stać spokojnie. Drugi przeszedł na stronę Hongkongu przez małą furtkę i podniósł rzuconą torbę, dowód mojego przestępstwa.

Liao: Przynajmniej pańskiej torbie udało się przedostać za granicę.

Li: Powiedziałem strażnikom: „Hongkong ma niedługo wrócić do Chin. Chińczykom powinno być łatwiej podróżować do Hongkongu. Dlaczego tak wam było spieszo, żeby mnie złapać?”. Dostałem w twarz i usłyszałem, że mam się zamknąć. Zatrzymali mnie w areszcie na dwa miesiące. Na szczęście nie poznali mojego prawdziwego nazwiska. Wtedy odpowiadałbym za sfałszowanie dowodu tożsamości.

Liao: Dopiero co wyszedł pan z aresztu w Shenzhen. Tym razem też pan tam trafił za nielegalne przekroczenie granicy?

Li: Tak. Przez kilka lat pracowałem w Shenzhen to tu, to tam i nie tak dawno spróbowałem dostać się do Hongkongu pociągiem. Złapali mnie, bo miałem podrobiony paszport.

Liao: Jest pan niewyobrażalnym pechowcem. Chyba ma pan to w genach.

Hiena cmentarna

Tian Zhiguanga poznałem pewnego zimnego listopadowego wieczoru w 2002 roku, obok wejścia do Ludowego Sądu Najwyższego Prowincji Syczuan przy ulicy Wenwu. Przyjechał do Chengdu, żeby złożyć w sądzie pismo oskarżające miejscowy urząd bezpieczeństwa o „zniszczenie mu życia poprzez nielegalne pozbawienie wolności”. Tianowi skończyły się pieniądze i zebrał na ulicy. Zabrałem go do pobliskiej restauracji i kupiłem miseczkę makaronu.

Przy posiłku Tian powiedział mi, że skończył właśnie trzydzieści trzy lata. W swojej wiosce znany był jako „hiena cmentarna”, chociaż nigdy nawet palcem nie tknął żadnego grobu.

Tian Zhiguang: Pamiętam, że wróżka kiedyś mi przepowiedziała: „Pochodzisz z rodziny, w której były całe pokolenia wieśniaków. Twoim przeznaczeniem jest przywiązanie do ziemi i utrzymywanie się z ciężkiej pracy. A w razie gdyby twoja spracowana ręka dotknęła czegoś wartościowego, jak nic wpadniesz w tarapaty”. Bogactwo nie jest mi, jak widać, pisane. Nie chodzi o to, że nie chciałbym mieć dużo pieniędzy. Tyle że jestem za głupi, żeby sobie radzić z bogactwem.

Liao Yiwu: Niech mi pan opowie o swoim życiu.

Tian: Moja rodzina mieszka we wsi Xiajiashan numer 2 należącej do okręgu Jiangan. To jest niedaleko od miasta Yibin. Moja wieś jest dość sławna. Za czasów dynastii Qing [1644–1911 n.e.] miejscowy uczonec o nazwisku Xi zdał egzamin cesarski i został

mianowany mandarynem. Zakupił ziemię w pomyślnej okolicy i wybudował wielki pałac. Po stu latach pałac wciąż dobrze się trzyma. Z powodu pałacu Xi nasza wieś zyskała nową nazwę, Rezydencja Wiejska Xiajiashan, i przyjeżdżają do niej turyści z całego kraju. Nasza wieś słynie też z żurawi. Co roku migrują w nasze okolice tysiące żurawi.

Mój rodzinny dom stoi w północno-zachodnim krańcu wsi, obok podnóża góry. Moi rodzice nadal żyją, mam troje rodzeństwa. Mój starszy brat jest żonaty i ma dzieci. Mój młodszy brat i ja mieszkamy teraz w domu z rodzicami.

Pech zaczął mnie prześladować w 1993 roku, kiedy skończyłem dwadzieścia cztery lata. Zgodnie z miejscową tradycją był to czas na ożenek. Spotykałem się z moją dziewczyną od ponad roku. Ona chciała za mnie wyjść, bo moja rodzina była dość zamożna. Całkiem nieźle zarabialiśmy na zbieraniu i sprzedaży jaj żurawi. Za namową dziewczyny zacząłem przygotowania do wesela. Jesienią tego roku moja rodzina uzbierała pięć tysięcy juanów [sześćset dwadzieścia pięć dolarów] i umówiła miejscową ekipę budowlaną, żeby dobudowała do naszego domu nowe skrzydło. Pierwszego dnia budowy mieliśmy z młodszym bratem za zadanie przygotować fundamenty, wykopać dziurę w ziemi i zalać ją betonem. Niedługo po tym, jak zaczęliśmy kopać, brat uderzył łopatą w coś twardego. Okopaliśmy to ostrożnie i okazało się, że to dwa duże naczynia ceramiczne. Były ciężkie, z trudem je wyciągnęliśmy z ziemi i zanieśliśmy do domu. Odkryliśmy pokrywę i znaleźliśmy złote monety. W obu!

Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Zwołałem całą rodzinę. Wysypaliśmy złote monety na podłogę, umyliśmy z ziemi i poukładaliśmy na stole. Liczyliśmy wiele razy – było ich równo sto. Jejku, cała moja rodzina była jak otumaniona z radości. Wszystko to wydawało się nam nierzeczywiste. Naprawdę myśleliśmy, że do końca życia nie będziemy się musieli martwić o pieniądze.

Ale cóż, jak to się mówi: ściany mają uszy. Widocznie okrzykami zwróciliśmy uwagę budowlańców. Podeszli pod okno i wszystko zobaczyli. Byli chorzy z zazdrości. Natychmiast dali znać policji. Pół godziny później przyjechało kilka wozów policyjnych

i otoczyło nasz dom. Oczywiście, nie mieliśmy o tym pojęcia. Wtedy jeszcze cała moja rodzina była pochłonięta nowo zdobytym bogactwem. Dosłownie trzęśliśmy się z ekstazy. Nagle z hukiem otworzyły się drzwi. Chwilę potem wszędzie było pełno policjantów, jakby spadli z sufitu. Bez słowa wyjaśnienia odepchnęli nas pod ścianę i rzucili się na złoto. Potem związali całą moją rodzinę jednym sznurem, mnie, rodziców, młodszego brata i bratanka, i zaprowadzili do wozu.

W urzędzie bezpieczeństwa przesłuchiwali nas całą noc. Rano policja uznała, że moi rodzice i bratanek nie byli bezpośrednio związani ze sprawą, więc zostali puszczeni wolno. Młodszy brat i ja trafiliśmy do aresztu w Yibing. Wezwano tam specjalnych śledczych, którzy nas przesłuchiwali na trzy zmiany przez kilka dni. Oskarżano nas o to, że ukradliśmy złote monety z grobu tego dostojnika z czasów dynastii Qing. Główny śledczy, pan Bai, podał mi jedną monetę i kazał się jej dokładnie przyjrzeć. Przyjrzałem się i zobaczyłem kilka znaków: „Wybite w szóstym roku panowania Cesarza Tongzhi z dynastii Qing przez rodzinę Xi”. Nie wiedziałem, że monety były wybite w 1867 roku. Całą moją rodzinę odkrycie skarbu tak poruszyło, że nikt z nas nie zauważył znaków na monetach.

Wiele razy powtarzałem policji, że znaleźliśmy z bratem te monety w ziemi pod naszym domem. Kiedy pan Bai to usłyszał, zaśmiał się i powiedział zimno: „Przecież to jasne, że te monety stanowią część skarbu z grobu pana Xi. Jak to możliwe, że znalazły się pod waszym domem? Chyba nie mają nóg?”. Powiedział też, że w okolicy naszej wioski znajduje się wiele grobów dostojników z dynastii Ming [1368–1644 n.e.] i Qing. Siedemdziesiąt, osiemdziesiąt procent padło łupem zorganizowanej szajki złodziei. Powiedział, że moja sprawa to dopiero początek dochodzenia na dużą skalę. Władze były zdecydowane chronić dobra kultury i jednocześnie zgarnąć szajkę. Policja liczyła na to, że z mojej sprawy dowie się wystarczająco dużo, żeby ująć lidera. Podejrzewali, że i mój brat, i ja należymy do szajki.

Byłem zszokowany. Nie miałem pojęcia, o czym ten człowiek mówi. A on rozkazał mi surowo: „Nawet nie próbuj nas oszukać. Przyznaj się. Jak będziesz współpracował, dostaniesz łagodny

wyrok. Wiemy, że ty i twój brat nie jesteście szefami szajki. Kto stoi za tymi grabieżami? Czy ukryliście inne skradzione cenne przedmioty, porcelanę, jadeit, ceramikę? Ile z tych łupów sprzedaliście? Miałem kompletną pustkę w głowie – nie mogłbym zmyślić żadnych historyjek, nawet gdybym chciał. Powtarzałem tylko: „Nie należę do żadnej szajki i niczego nie ukradłem”. Wtedy pan Bai się rozgniewał: „Najpierw myślałem, że jesteście zwykłymi wsiokami. Nie wiedziałem, że macie takie doświadczenie w przesłuchaniach. Jeżeli nie będziesz współpracować, możemy cię tu trzymać do końca życia. Jak dostaniesz większy wyrok, to nie będzie moja wina”.

Liao: Jak te monety znalazły się pod pana domem?

Tian: Wszystko stało się tak szybko, od niespodziewanego odkrycia bogactwa do aresztowania minęła tylko chwila. Nie mieliśmy nawet czasu pomyśleć o tym, kto zakopał pod naszym domem te monety. Wciąż tego nie wiemy.

Ale wracając do przesłuchania, ponieważ nie przynosiło efektów, miejscowa policja nie chciała ani mnie, ani mojego brata wypuścić. Trzymali nas w areszcie trzy i pół miesiąca.

Dni nam się strasznie dłużyły. Na początku strażnicy myśleli, że jestem jakąś szychą – szefem triady specjalizującej się w okradaniu grobów. Trochę się mnie bali i byli dla mnie mili. Jeden dał mi nawet kołdrę, kiedy nocą robiło się chłodno. Kilka tygodni później odkryli, że jestem zwykłym chłopakiem ze wsi. Wtedy zaczęło się robić nieprzyjemnie. Strażnicy potajemnie kazali współwięźniom mnie ustawić. Z ich poduszczenia „szef” – wysoki, barczysty zbir z mojej celi – zaczął organizować rytuał inicjacji, którego nie przeszedłem w pierwszym tygodniu po aresztowaniu. Rozebrali mnie i kazali się położyć na brzuchu. Potem przeszło po mnie około dwudziestu więźniów – najpierw spluwali mi na tyłek, a potem po nim przechodzili. Nazywali to „pasowaniem na rycerza”. Później się dowiedziałem, że pomysł podsunął im hongkoński film kung fu o jakimś fikcyjnym królestwie żebraków. Kiedy zostałem „pasowany”, dwóch więźniów postawiło mi na głowie wielki plastikowy nocnik. To z kolei nazwali „żółwiem noszącym gówna”. Pod nocnik wsadzili mi obie ręce. Za każdym razem, kiedy poruszyłem rękami albo ciałem,

nocnik się przechylał i wylewały się na mnie siki. Jeden gość, którego wyznaczyli, żeby mnie dręczył, kopał mnie w głowę za każdym razem, kiedy nocnik się przechylił. Kopał tak mocno, że włosy miałem pozlepiane od krwi.

Liao: Jak mogli być tak brutalni?

Tian: To był dopiero początek. Za każdym razem, kiedy któryś z więźniów podchodził, żeby się załatwić, siadał na nocniku i deptał po mnie. Bardziej ludzcy stawiali mi stopy tylko na plecach albo ramionach. A najgorsi specjalnie chodzili mi po głowie. Zacząłem krzyczeć z bólu i błagać o litość. Ale szef nie chciał mi odpuścić. Z pomocą dwóch innych siadł na nocniku tak, że nogami nie dotykał ziemi. Cały ciężar ciała przeniósł na mnie. Krzyknąłem głośno: „Zabijacie mnie. Zabijacie mnie”.

Szef się zdziwił, że tak głośno krzyczę. Zeskoczył i kazał swoim sługusom zatkać mi gębę. Ale było za późno. Usłyszał mnie strażnik. Otworzył drzwi celi i wyciągnął mnie na zewnątrz. Cały byłem przesiąknięty moczem. Na szczęście, ten strażnik to był młody chłopak prosto po akademii policyjnej. Miał jeszcze silne poczucie sprawiedliwości i współczucia. Kazał innym więźniom przynieść ciepłą wodę, żebym mógł się umyć i przebrać. Potem wezwał „szefa” do siebie na przesłuchanie. Szef uśmiechał się ciągle i powiedział, że bolał mnie brzuch i przypadkowo przewróciłem nocnik. Strażnik zwrócił się do mnie i zapytał, czy to prawda. Natychmiast pokiwałem głową. Widać było, że jest sceptyczny, ale musiał uwierzyć w tę historyjkę. Zadzwoił do przychodni i kazał pielęgniarce dać mi proszki przeciwbólowe. Potem ostrzegł szefa: „Na drugi raz jak usłyszę krzyki z twojej celi, nie będę słuchał żadnych wyjaśnień. Po prostu cię zwiążę i będziesz siedział w izolatce”.

Liao: Miał pan szczęście, że trafił pan na takiego wyrozumiałego strażnika.

Tian: Kiedy wróciliśmy do celi, szef dał mi niedopałek papierosa i powiedział: „Jesteś gość. Nie podkablowałeś mnie. Odpocznij parę dni. Dam ci nowe zadanie. Będziesz czyścił podłogę”.

Liao: Na czym polegało to zadanie?

Tian: Szef wyznaczał zadania wszystkim więźniom w mojej celi. Jak kogoś nie lubił, kierował go do opróżniania i czyszczenia

nocnika. Do tego potrzebnych było dwóch ludzi. Ci dwaj musieli cały dzień stać przy nocniku na baczość. Kiedy szef albo jego kumple chcieli się załatwić, ci dwaj musieli pomóc mu ściągać spodnie, a potem stać przed nim i zasłaniać przed resztą. Jak szefowi zachciało się splunąć, kiedy siedział na nocniku, łapał jednego z dyżurnych za kołnierz i spluwał mu w koszulę. W porównaniu z dyżurnymi od toalety miałem dużo szczęścia. Awansowałem na czyściciela podłogi i nie musiałem służyć jako ludzka spluwaczka.

Liao: Siedziałem kiedyś w więzieniu i trochę wiem o rytuałach inicjacyjnych. Ale nigdy nie słyszałem o tym, o którym pan opowiada. Więźniowie chyba są coraz bardziej pomysłowi, jak chodzi o torturowanie innych.

Tian: Przez jakiś czas myślałem, że już jest dobrze. Dwa tygodnie później w naszym więzieniu ogłoszono kampanię „Przyznanie się do winy – łagodniejszy wyrok”, w ramach której zachęcano nas, żebyśmy wyznali swoje winy i donosili na innych. Pewnego dnia około trzystu więźniów z dziewięciu cel zostało wezwanych na zebranie, które odbywało się na podwórzu. Pojawiły się szychy z miejscowego oddziału Partii Komunistycznej, urzędu bezpieczeństwa i Sądu Ludowego. Ustawiliśmy się w równe rzędy i usiedliśmy na ziemi, ze skrzyżowanymi nogami i wyprostowanymi plecami, jak żołnierze na musztrze. Szychy kolejno wygłaszały mowy. Wszyscy mówili to samo: „Powinniście skorzystać z szansy przyznania się do winy. Kto się przyzna do winy, dostanie złagodzony wyrok. Jeżeli podejrzani o morderstwo dobrowolnie przyznają się do winy i jeżeli podane przez nich szczegóły uda się potwierdzić, dostaną dożywocie zamiast kary śmierci”. Na koniec kierownik więzienia przypomniał wszystkim, że ta kampania będzie trwała tylko dwa tygodnie. Kiedy się skończy, niezależnie od tego, jakie kto złoży zeznania, nie będzie mógł liczyć na łagodniejszy wyrok.

Siedziałem cicho i uważnie słuchałem. Nie śmiałem nawet odkaslnąć czy pierdnąć. Podwórze otaczali uzbrojeni po zęby strażnicy. Z okien sąsiedniego budynku celowały w nas dwa pistolety maszynowe. Pod koniec zebrania nagle usłyszałem swoje nazwisko. Wywołał mnie szef urzędu bezpieczeństwa.

„Tak jest!” – natychmiast się podniosłem i stanąłem na baczność. Popatrzył na mnie, uśmiechnął się fałszywie i powiedział: „Tian Zhiguang, chciałbym, żebyście się porządnie namyślili i skorzystali z tej szansy. Rozumiemy się?”

Jego słowa sprawiły, że w ciągu jednej nocy zostałem gwiazdą wśród złodziei. Znowu wszyscy zaczęli myśleć, że jestem poważnym przestępcą. Kiedy wróciliśmy do celi, strażnik szepnął coś do szefa, a potem przyniósł długopisy i notatniki. Każdy więzień miał spisać swoje przyznanie się do winy. Szef odciągnął mnie na bok i szepnął: „Farciarz z ciebie. Zna cię nawet szef bezpieki. Jak się przyznasz, pewnie pozwoli ci wyjść do domu nawet jutro”. Potrząsnąłem głową i odpowiedziałem: „Nie mam się do czego przyznawać”. Szef trzepnął mnie w głowę: „Ty debil. Taka kampania trafia się tylko raz na rok. Jak z niej nie skorzystasz, będziesz siedział w pierdłu do śmierci”.

Potem pouczał mnie dalej: „Ci oficjele wszyscy kłamią. Zwykle podstępem zmuszają ludzi do tego, żeby się przyznali, obiecując złagodzony wyrok. A jak się wszystko wyśpiewa, nie dotrzymują obietnicy. I człowiek kończy często z kulą w głowie. Ale ta kampania jest inna. Napisały o niej media. Jeśli władze wycofają się z obietnic, stracą wiarygodność”. Po wysłuchaniu jego wykładu powtórzyłem znowu: „Nie mam do czego się przyznawać”. W końcu szef stracił do mnie cierpliwość. Dał mi długopis i notatnik i powiedział: „Nie próbuj mi wciskać kitu. Lepiej do wszystkiego się przyznaj. Zrzuć całą winę na współników, którzy zbiegli. Twoje przyznanie się do winy przyniesie mi korzyść. Zapunktuję tym, że wyciągnąłem z ciebie prawdę. Jak będę miał szczęście, skróć mi odsiadkę”.

Nie miałem wyboru. Wziąłem do ręki długopis i zacząłem się męczyć nad wyznaniem winy. Nasza cela przypominała klasę w szkole, każdy „uczeń” miał napisać wypracowanie. Szef chodził po celi i pilnował, żeby nikt się nie migał. Opisałem ze szczegółami to, co już powiedziałem policji. Po całym dniu pisania bez przerwy, oddaliśmy „wypracowania”. Na drugi dzień rano usłyszeliśmy, że połowa więźniów nie dostarczyła żadnych nowych informacji. Szef się wściekł, naprawdę się wściekł. Kazał swoim sługusom nas bić i kopać. Potem kazał nam klęknąć, położyć

notatniki na podłodze i w takiej pozycji poprawiać zeznania. Takie klęczenie i schyłanie się całymi godzinami było bardzo bolesne. Dwóch starszych więźniów nie wytrzymało już po dziesięciu czy piętnastu minutach. Zaczęli jęczeć z bólu. Szef zawlókł ich do nocnika i wsadził im głowy do środka. Potem kazał pisać dalej. Co jakiś czas wydzierał się na nas: „Nie wybielajcie się tylko. Im poważniejsze będą wasze zbrodnie, tym lepiej na tym wyjdę”.

Pod tak silnym naciskiem moi współwięźniowie zaczęli zmyślać historie o gwałtach. Ja, wychowany na wsi, byłem szczerym, prostym chłopakiem. Nie umiałem zmyślać. Pisałem w kółko to samo. Szef się zdenerwował. Zapalił papierosa i zaczął mi przypalać powieki. Krzyczałem z bólu. Wtedy kazał komuś zakleić mi usta taśmą. Potem złapał mnie za włosy i powiedział: „Co ty, myślisz, że ze mną wygrasz? Szefowie więzienia mnie popierają, wiedziałeś o tym?”. Rzucił mnie na ziemię i kazał innym mnie kopać. Po jakichś dziesięciu minutach kazał im przestać i odkleić taśmę. Znowu zapytał: „Przyznasz się czy nie?”. Wstałem, ukląknąłem przed nim i powiedziałem: „Przepraszam, ale ja naprawdę nie mam się do czego przyznawać”.

Znowu złapał mnie za włosy i kazał jednemu więźniowi siłą rozzerzeć mi usta. Powiedział: „Masz bardzo uparty język”. Włożył mi do ust cztery czy pięć palących się niedopałków papierosów. Bolało mnie, ale nie mogłem ich wypluć, bo dwóch facetów trzymało mnie za głowę i podbródek. Kaszlałem mocno i łzy popłynęły mi z oczu. Szef znowu zapytał: „Jesteś gotów się przyznać czy nie? Jak nie, to zapalę całą paczkę papierosów i wetknę ci do gardła”.

Złamałem się i zmusiłem wyobraźnię do pracy. Przyznałem się do okradania grobów. On na to: „Ile razy?”. Podniosłem obie ręce i pokazałem osiem palców. Uśmiechnął się: „Bardzo dobrze!”.

Może mi pan nie wierzyć, ale nagle zacząłem zmyślać jak najęty. W moim sprawozdaniu było dużo błędów, ale napisałem je bardzo przekonująco. Napisałem, że zacząłem okradać groby jako piętnastolatek i że trudniłem się tym przez dziewięć lat. Używałem jako narzędzi dłut, młotków i latarek. Za każdym razem, jak okradłem jakiś grób, zakopywałem skradzione skarby,

takie jak złoto, klejnoty i inne cenne rzeczy, pod jakimś krzakiem. Wracalem po nie pięć czy sześć miesięcy później, kiedy sprawa kradzieży już przycichła.

Napisałem też, że do lokalizacji grobów używałem specjalnego kompasu. Dzięki niemu wiedziałem, ile skarbów mieści się w danym grobie.

Przed kolacją pokazałem szefowi zmyślone sprawozdanie. Był bardzo zadowolony z tego, co napisałem. Potem przekazał to strażnikowi. W nagrodę dostałem miseczkę wieprzowiny na ostro. Byłem tak głodny, że chciałem zjeść całą porcję za jednym zamachem. Ale usta i język bolały mnie jeszcze od poparzeń papierosem. Każdy kęs powodował nieznośny ból. Jedzenie zajęło mi aż dwie godziny.

Następnego dnia strażnik założył mi kajdanki i wepchnął do wozu policyjnego. Miałem zaprowadzić czterech śledczych w moje rodzinne okolice i odkopać te ukryte kosztowności. Jechaliśmy po wyboistych drogach około czterech, pięciu godzin. Minęliśmy górę Xijia i dotarliśmy do skrzyżowania dróg. Zapytali mnie, jak jechać dalej. Wskazałem wąską drogę na chybił trafił. Po jakimś czasie wóz nagle się zatrzymał. Okazało się, że droga była ślepa, kończyła się przy ruinach jakiejś chałupy.

Policjanci tracili cierpliwość. Zaczęli mi grozić bronią: „Gdzie jest to miejsce, do diabła?”. Wyjąkałem: „Gdzieś tutaj”. Wykopali mnie z wozu. Nie miałem pojęcia, gdzie jesteśmy. Machnąłem ręką w kierunku pobliskiego wzgórza. Zaparkowali wóz na poboczu, wszyscy czterej wysiedli i poszli za mną. Miałem pustkę w głowie. Lałem prosto przed siebie, przez krzaki, przeskakiwałem przez strumyki i wspinałem się pod górę, kiedy robiło się stromo. Po mniej więcej dwudziestu minutach natknęliśmy się na ponad dziesięć grobów rozrzuconych wokół wykarczowanej polany. Usiadłem, bo nagle poczułem, że jestem bez sił. Wskazałem na groby i powiedziałem: „Proszę, to tu”. Policjanci sapali, łapali powietrze. Zapytali: „Gdzie dokładnie?”. Narysowałem na ziemi koło i powiedziałem: „Odtąd dotąd”. Jeden wyjął z plecaka saperkę i jakiś skomplikowany sprzęt. Widząc, że biorą moje słowa na poważnie, zacząłem się trząść ze strachu. Chodziłem koło tych grobów i udawałem, że próbuję sobie przypomnieć,

gdzie zakopałem skarby. Krok w krok za mną chodził ten ze sprzętem. Pozostali kopali jak opętani. Minęła godzina, a nic nie znaleźli. Kiedy zrobiło się ciemno, dowódca stracił cierpliwość. Złapał mnie za kołnierz i krzyknął: „Mów, do cholery, gdzie zakopałeś ten skarb?”. Podniosłem ręce do góry: „Przepraszam, ale naprawdę nie wiem...”. Nie zdążyłem skończyć zdania, bo uderzył mnie w twarz. Upadłem w krzaki. Z trudem się podniosłem i ukląknę przed nim: „Błagam o wybaczenie. Skłamałem i zasługuję na śmierć”. Jeden policjant chciał mnie zdzielić saperką, ale dowódca go powstrzymał.

Zanim wróciliśmy do samochodu, było już po północy. W drodze powrotnej opowiedziałem im o torturach, jakie przeszedłem i tłumaczyłem, dlaczego musiałem kłamać. Nikt mnie nie słuchał. Jeden nawet przytknął mi pistolet do twarzy i powiedział: „Jak się nie zamkniesz, to rozwalę ci łeb”.

Liao: Nieźle ich pan wykołował.

Tian: Nie miałem wyboru. Inaczej musiałbym połknąć całą paczkę zapalonych papierosów. Moje ciało zmieniłoby się w dymiący piec.

Liao: Co było potem?

Tian: Szef mojej celi oskarżył mnie o zniszczenie jego szansy na nagrodę. Z pomocą innych rozebrał mnie i kazał dyżurować przy nocniku przez dwadzieścia cztery godziny. Za każdym razem, kiedy próbowałem na chwilę zamknąć oczy, przypalali mi niedopałkami włosy pod pachami, na nogach i wokół genitaliów. Bardzo to bolało, ale nie śmiałem pisnąć, żeby strażnicy mnie nie usłyszeli. Gdyby usłyszeli, miałbym u szefa jeszcze bardziej przetrąbane. Kilka razy zemdlałem z bólu, ale szef nie dawał za wygraną. Kazał jednemu z więźniów wstrzyknąć mi do odbytu wodę z pieprzem. Prosiłem go: „Błagam, niech się pan zlituje. Obiecuję, że tym razem do wszystkiego się przyznam”. Nikt mi nie wierzył. Mówiłem: „Naprawdę. Przysięgam na Przewodniczącego Mao, że mówię prawdę. Jeśli kłamię, niech moja matka zostanie kurwą Amerykanów”. Moje błagania wszystkich rozśmieszyły. Szef trochę spuścił z tonu: „Jak cię nie zmuszę do zeznań, strażnicy dadzą mi wycisk. Ciesz się, że to rozumiesz”.

W drugim rzucie zeznań zmyśliłem kolejne historie. Zanim oddałem sprawozdanie strażnikowi, szef je przeczytał i kazał mi na końcu dodać oświadczenie: „Jeżeli tym razem kłamię, zgadzam się na każdą karę wymierzoną przez władzę ludową, z karą śmierci włącznie”.

Liao: Miał pan odwagę, żeby napisać coś takiego.

Tian: A co miałem zrobić? Dobrze wiedziałem, że czytanie mojego zeznania zajmie im kilka dni. Później minie jeszcze dzień, zanim się zdecydują, czy wywieźć mnie na poszukiwanie ukrytych łupów. Dzięki temu zyskiwałem kilka dni spokoju. Mogłem w tym czasie też trochę się wzmocnić jedzeniem. O tym, jakie konsekwencje mogą przynieść te kłamstwa, bałem się myśleć. Po dwóch dniach spokoju znów znalazłem się w wozie policyjnym. I znów z poszukiwań nic nie wynikło. Policjanci mnie bili i kopali, i mocno związali mi ręce za plecami. Na kilka dni zamknęli mnie w jednoosobowej celi. Kiedy wróciłem do poprzedniej celi, szef zarządził kolejne rundy bicia. Wiele razy mdlałem. Za każdym razem, kiedy odzyskiwałem przytomność, błagałem i krzychałem: „Tym razem powiem prawdę, przysięgam na Przewodniczącego Mao”. Ale już mi nie wierzyli. Kilka razy, kiedy widziałem, jak korytarzem przechodzą strażnicy, wyciągałem rękę przez kraty, prosząc ich o pomoc. Ale oni udawali, że tego nie widzą.

Któregoś dnia wszystko się nagle zaczęło zmieniać. Przyszło dwóch strażników i zabrało szefa. Wrócił do celi dopiero pod koniec dnia, był przygaszony i się nie odzywał. Kiedy zobaczyli to inni więźniowie, wystraszyli się i usiedli obok niego w milczeniu. Ja zająłem swoje stałe miejsce koło nocnika, oczekując kolejnej rundy bicia. Ale do niczego takiego nie doszło. Kiedy kładliśmy się spać, kilku sługusów szefa rzuciło się masować mu plecy i przygotowywać posłanie, ale on ich odepchnął bez słowa.

Liao: Może zapowiedziano inspekcję władz wyższego szczebla?

Tian: Nie całkiem. Na drugi dzień wszystkich więźniów wezwano na podwórze na zebranie, takie samo jak wcześniej. Kiedy się zaczęło, na podium wprowadzono pięciu więźniów z rękami związanymi za plecami. Dwóch strażników popchnęło ich tak, że upadli na twarz. Okazało się, że w trakcie kampanii „Przyznanie się do winy – łagodniejszy wyrok” zmarł jeden więzień

z celi szóstej pobity przez współwięźniów. Był kierownikiem średniego szczebla w przedsiębiorstwie państwowym, głównym podejrzanym w sprawie o defraudację. Policja przesłuchiwała go przez tydzień, ale on się nie przyznawał do winy. Strażnicy po kryjomu poprosili więźniów, żeby trochę nad nim popracowali. Biedak tego nie zniósł. Kiedy kilku twardzieli pobiło go i skopało po klatce piersiowej, zsiniał na twarzy. Ale oni nie przestawali. Jeden złapał go za stopy i trzymał do góry nogami, a drugi okładał mu pięściami brzuch. Zaraz potem zwiotczał i zaczął pluć krwią. Zanim strażnicy się zorientowali, że coś jest nie tak, już nie żył. Wiadomość o jego śmierci przeciekła do mediów. Żeby nie narażać się na takie kompromitujące sytuacje w przyszłości, miejscowe władze kazały kierownictwu więzienia opanować największych sadystów w areszcie. Ale kim byli prawdziwi mordercy? Przecież nie byli nimi ci sadyści. Działali za namową strażników, a ich nikt nie pociągnął do odpowiedzialności.

Liao: Ta praktyka nakazywania osadzonemu wymuszania zeznań od współwięźniów obowiązuje od dawna, od czasów dynastii Qing.

Tian: Tak, wszyscy tak mówią. Ale to nie znaczy, że jest legalna. Po zebraniu szef mojej celi był chory ze strachu. Ukłękł i pokłonił się małemu portretowi Buddy, który przemycił jeden z więźniów. Potem powiedział swoim sługusom, że w przyszłości podczas tortur trzeba będzie uważać. Trzeba będzie się ograniczać do miejsc, których bicie sprawia ból, ale nie prowadzi do śmierci. Potem poklepał mnie po ramieniu: „Całe szczęście, że ty mi nie umarłeś”.

Na drugi dzień, zaraz po śniadaniu, nagle włączyły się głośniki w celach. Dowiedzieliśmy się, że sadyści odbędą obchód po areszcie. Wszyscy podeszliśmy do krat i wyglądaliśmy na korytarz. Zaraz pojawili się sadyści z celi szóstej i zatrzymali się przed nami. Wyrecytowali kilka zdań jak roboty: „Nazywam się tak i tak i jestem sadystą. Nielegalnie torturowałem swoich współwięźniów. Zasługuję na surową karę. Nie bierzcie ze mnie przykładu”. Kiedy skończyli, zawleczono ich pod kolejną celę. To było niezwykle wydarzenie. Kilku więźniów z mojej celi zaczęło klaskać. Ale szef popatrzył na nich ponurym wzrokiem i natychmiast przestali.

Ten incydent zadziałał na moją korzyść. Przez następny tydzień miałem spokój, szef był miły.

Nie doczekałem nawet egzekucji tych sadystów, bo wypuścili mnie i mojego brata. Mój biedny brat siedział w jednoosobowej celi, ale wcześniej od pobicia doznał obrażeń wewnętrznych. Kiedy wróciliśmy do domu, odkryliśmy, że nasza matka straciła rozum. Całymi dniami siedziała bez ruchu pod drzwiami. Moczyła się i załatwiała pod siebie. Ojciec przeprowadził się do rodziny mojej starszej siostry. Co parę dni przychodził, gotował dla matki jedzenie i sprzątał. Mój brat i ja mieliśmy kiedyś dużo energii. Ale po pobycie w więzieniu zdrowie nam się mocno pogorszyło. Wyglądaliśmy jak duchy i nie mieliśmy siły pracować fizycznie. Poza tym cała wieś nas unikała, bo ludzie myśleli, że jesteśmy złodziejami. Mój brat od dawna ma krew w stolcu, ale brakuje mu pieniędzy na wizytę u lekarza. Ja mam od dziewięciu lat problemy z pęcherzem i jestem impotentem. Myślę o kobietach bez przerwy, ale mi nie stają. Myślę, że nie mogę mieć dzieci. Ktoś musi zapłacić za nasze cierpienie.

Liao: W jaki sposób?

Tian: Przez jakiś czas byłem żebrakiem i włóczyłem się po całym okręgu. Pewnego dnia podsłuchałem rozmowę o artykule w gazecie, w którym była mowa o tym, że jakiś wieśniak wygrał w sądzie sprawę przeciwko miejscowemu urzędowi bezpieczeństwa. Ta historia dała mi do myślenia. Przebrałem się w czyste ubranie i poszedłem do biura prawnego po poradę. Ze łzami opowiedziałem prawnikowi o moim aresztowaniu i jego tragicznych skutkach dla całej rodziny.

Liao: I co on na to?

Tian: Bardzo mi współczuł, ale nie zgodził się wziąć mojej sprawy. Powiedział, że pozwanie miejscowego urzędu bezpieczeństwa będzie bardzo trudne, bo nikt nie zgodzi się zeznawać na moją korzyść. A moje własne zeznanie to za mało. Wtedy się wściekłem. Stwierdziłem, że muszę gdzie indziej poszukać sprawiedliwości. Zgłosiłem sprawę w miejscowym sądzie, ale jej nie przyjęli. Potem składałem petycje w coraz wyższych instancjach, domagając się rekompensaty w wysokości dwustu tysięcy juanów [dwa i pół tysiąca dolarów]. Nikt mnie nie słuchał. Więc

przyjechałem do Chengdu, żeby złożyć pismo w sądzie najwyższym prowincji. Chcę pozwać policję za nielegalne aresztowanie. Chcę też pozwać areszt za to, że potajemnie nakłaniał więźniów do wymuszania zeznań od innych. Ci sadyści w areszcie zmienili komunistyczne więzienie w piekło na ziemi. Chcę też pozwać miejscowy urząd bezpieczeństwa za defraudację złotych monet. Nikt nie wie, co się stało ze skonfiskowanymi monetami. Ludzie związani z moją sprawą powinni odpowiedzieć za to, że monety zniknęły.

Liao: Dla mnie brzmi to rozsądnie.

Tian: Jak dotąd nikt nie chce wziąć mojej sprawy. Partia Komunistyczna i rząd są bezlitosne.

Kasiarz

W 1991 roku, tydzień po księżycowym Nowym Roku, towarzyszyłem koledze prawnikowi podczas wizyty w więzieniu w Chongqing i odwiedziłem słynnego złodzieja włamującego się do sejfów, Cui Zhixionga. Właśnie odroczone datę jego egzekucji o czterdzieści pięć dni. Jak sam skomentował: „Mam szczęście, dostałem w prezencie kolejny chiński Nowy Rok”.

Cui miał trzydzieści dziewięć lat, gęste brwi i duże, okrągłe oczy. Był dość silny. Odwołując się do chińskiego frazesu, określił go jako mężczyznę o karku tygrysa i talii niedźwiedzia. Nawet w środku zimy nosił tylko koszulę i letnie spodnie. Był skutny łańcuchami, ale wcale nie wyglądał na rozstrojonego i wycieńczonego jak inne poznane przez mnie osoby skazane na karę śmierci.

Po przeprowadzonym wywiadzie odłożyłem taśmy i notatki. Wróciłem do naszej rozmowy w 1998 roku, kiedy Cui od dawna był już prochem.

Liao Yiwu: Jak pan tu trafił?

Cui Zhixiong: Popeliłem najgorszą zbrodnię pod słońcem. Włamałem się do wielu sejfów, ukradłem miliony juanów. Czekam teraz na egzekucję. Drugi raz siedzę w więzieniu. Trzy lata temu zamknęli mnie pierwszy raz i osadzili w zakładzie na górze Gele. To było staroświeckie więzienie, zbudowane przez nacjonalistów w latach czterdziestych. Ale nawet po pięćdziesięciu paru latach budowla porządnie się trzymała; ściany ze zbrojonego

betonu, cztery wieżyczki strażnicze, po jednej w każdym rogu. Codzienna aktywność więźniów ograniczała się do prostokątnego podwórza otoczonego piętrowym budynkiem. Tylne ściany więzienia sąsiadowała z głęboką przepaścią.

Żeby do niego dotrzeć, trzeba było jechać samochodem po krętej górskiej drodze. Kiedy wjechało się przez bramę, trafiało się na małe podwórze. Obcy mogli wejść dalej dopiero po dokładnej kontroli osobistej. Na parterze znajdowały się pokój przesłuchań, kuchnia, wspólna łaźnia, składzik i latryna. Na piętrze były wszystkie cele – razem szesnaście, w tym jedna dla kobiet. Korytarz był tak ciemny, że nawet w dzień musiało się tam palić światło. Moja cela miała okno w suficie. Jak podskoczyłem wysoko, mogłem dotknąć krat. A kiedy trzymałem się krat i podciągałem się na rękach, widziałem w oddali wzgórze, a na nim sosny.

Liao: Jak to się stało, że tak dobrze poznał pan topografię tego miejsca?

Cui: Jestem urodzonym złodziejem. Pamiętam szczegóły dowolnego miejsca po jednej wizycie. Poza tym spędziłem w tamtym więzieniu ponad dwa miesiące. Znałem każdą cegłę i każdy kamień. Już pierwszego dnia zacząłem opracowywać plan ucieczki. Słyszałem, że z tego więzienia jeszcze nikt nie uciekł. Ale tylko głupiec by w to uwierzył. Nawet w kamieniach są szczeliny. Włamałem się do tyłu sejfów, dostałem się bez przeszkód w tyle zamkniętych miejsc. Byłem pewien, że znajdę jakiś sposób.

Przez pierwszy miesiąc musiałem codziennie chodzić na przesłuchania. Nie miałem czasu skupić się na planowaniu ucieczki. Później zacząłem współpracować ze śledczymi. Tu się do czegoś przyznałem, tam coś zdradziłem. Bardzo się z tego cieszyli. Czasami kiedy zdradzałem im jakiś sekret dotyczący włamywania się do sejfu, nie mogli go od razu przetrwać. Kilka dni sprawdzali, czy to, co mówiłem, było prawdą. Dzięki temu miałem od nich wolne.

Liao: W normalnych warunkach zatrzymany musi przejść najróżniejsze „procedury”, żeby zmienić podejście. Czy był pan bity?

Cui: Zgadza się. Nowy więzień przechodzi przez tortury, które wymyślają strażnicy i współwięźniowie, żeby go złamać. Ja miałem szczęście. Prokurator potrzebował mojej pomocy w kilku

innych sprawach, więc osobiście zaprowadził mnie do kierownika aresztu i kazał dobrze mnie traktować. Dlatego oszczędzono mi „procedur”. Ale wracając do mojej historii, kiedy moje przesłuchania zwolniły tempo, miałem czas pomyśleć o tym, jak uciec. Najpierw musiałem mieć okazję, żeby być samemu. W gęstym tłumie nawet magik nie zniknie. A więźniowie wszystko robili razem. Poza trzema posiłkami dziennie, więźniowie spędzali poza celą jedną piętnastominutową przerwę rano i jedną po południu. Kiedy wychodzili na podwórze, strażnicy obserwowali wszystkich z wieżyczek na czterech rogach budynku. Jedynym sposobem, żeby zejść strażnikowi z oczu, było ukrycie się w latrynie. Latryna, która mieściła się naprzeciwko wspólnej łaźni, była słabo oświetlona. Smród był powalający. W środku był rząd dziur w ziemi, nad którymi ludzie kucali, żeby się załatwić. Te dziury były połączone z wielkim szambem na tyłach latryny. Ta śmierdząca latryna była idealnym miejscem dla kogoś takiego jak ja, kto potrzebował samotności.

Liao: Inni więźniowie nie korzystali z latryny podczas przerw?

Cui: W każdej celi stało wielkie drewniane wiadro na odchody. Ludzie normalnie załatwiali się tam. Podczas przerwy dwóch więźniów miało obowiązek wynosić wiadra, opróżniać je i myć. Dlatego kiedy wszyscy wybiegali na podwórze, dyżurni od wiader starali się jak najszybciej wywiązać z obowiązku, żeby zdążyć zaczerpnąć trochę świeżego powietrza albo po kryjomu wymienić się czymś z innymi. Dlatego mogłem kucac w latrynie samotnie przez dziesięć minut, nie budząc niczyich podejrzeń.

Po dwóch wycieczkach do latryny ułożył mi się w głowie plan działania. Za pierwszym razem, kiedy tam byłem, zauważyłem małe okienko wentylacyjne. Przez nie widać było ścianę. Tamtędy w żaden sposób nie można było się wydostać. Później odkryłem szambo za latryną. Zacząłem się zastanawiać, czy szambo jest na terenie więzienia, czy już poza nim. Nie mogło być na terenie więzienia, bo nigdy nie widziałem, żeby pracownicy je czyścili. Ale jeśli było na zewnątrz, to czy było otwarte, czy zamknięte pokrywą? Jak duża i ciężka mogła być taka pokrywa?

Pewnego dnia, kiedy kucąłem w latrynie, usłyszałem słabe odgłosy zza murów więzienia. Wstrzymałem oddech i przytknąłem

ucho do ściany. Brzmiało to tak, jakby ktoś wybierał odchody. Mógł to być miejscowy chłop, bo słyszałem stukot kopyt i skrzywienie kół wozu. Oczywiście stało się, że szambo było otwarte i znajdowało się poza granicami więzienia. Krew uderzyła mi do głowy. Umysł pracował jak szalony. Miałem gotowy plan.

Następnym krokiem było ustalenie trasy ucieczki i wyliczenie potrzebnego na nią czasu. Dzielne przerwy trwały po piętnaście minut. Zwykle pięć minut zajmowało więźniom dyżurnym wyłanie do latryny zawartości drewnianych wiader. To dawało mi dziesięć minut, podczas których mogłem wejść do latryny i uporać się z pierwszym etapem planu. Pod koniec przerwy odbywało się odliczanie. Jeśli kogoś brakowało, strażnicy przeszukiwali podwórze i cele i tworzyli ekipę poszukiwawczą. To pewnie dawało mi dziewięć do dziesięciu minut na fazę drugą, ucieczkę. Potem strażnicy zwykle dzielili ekipę na mniejsze grupki, które miały prowadzić poszukiwania oddzielnie. Dzięki temu mogłem zyskać jeszcze dwie minuty. Czyli podczas ucieczki mogłem mieć dwanaście minut przewagi nad pogonią.

Liao: Ho, ho, to brzmi jak z filmu sensacyjnego.

Cui: To, co pokazują na filmach, to nic w porównaniu z moimi przeżyciami. Kiedy przywozili mnie do tamtego więzienia, wóz policyjny jechał pod górę około dwudziestu minut. Gdyby moja ucieczka się udała, mógłbym zbiec z góry w linii prostej mniej więcej w takim samym czasie. Przećwiczyłem w głowie cały plan ucieczki ponad dziesięć razy.

Poszło naprawdę dobrze. Doskonale pamiętam, że było to 6 maja 1988 roku, trzy dni przed moimi trzydziestymi szóstymi urodzinami. Po południu zwinąłem w plastikowy worek kożuszkę, szorty, buty i mały ręcznik. Przywiązałem sobie ten worek do pasa i włożyłem luźny uniform. Kiedy strażnik odgwizdał początek popołudniowej przerwy, dołączyłem do tłumu w korytarzu. Dwie minuty później byłem na podwórzu. Trzymałem się blisko ścian i patrzyłem na strażników w wieżyczkach. Rozmawiali. Szybko wślizgnąłem się do latryny i o mało nie zderzyłem z dwoma więźniami, którzy wychodzili z wiadrem. Specjalnie narobiłem hałasu, rozpinając spodnie, tak że nawet się za siebie nie obejrzel. Ukucnąłem nad dziurą najbliższej drzwi. Słyszałem, jak

ktoś wchodzi i sika do jednego z pisuarów przy samym wejściu. Nie miałem czasu do stracenia. Zdjąłem uniform i ostrożnie wsunąłem się do dziury. Nie mogłem patrzeć w dół, bo wtedy smród uderzał mnie w nos i oczy mi łzawiły. Dziura była dość wąska. Musiałem najpierw spuścić nogi, a potem powoli całe ciało, trzymając się rękami krawędzi. Powoli zanurzyłem klatkę piersiową aż po brodę. Nie dotykałem nogami ziemi. Nie wiedziałem, że dziura będzie taka głęboka. Zaciśnąłem zęby i policzyłem do trzech. Na trzy puściłem ręce. Wpadłem w gówno jak ciężka bomba.

Serce waliło mi szybko. Myślałem, że zaraz wybuchnie. Mój instynkt przetrwania był silniejszy od wszystkiego innego. Zanurkowałem w gównie i płynąłem do przodu. Czułem, jak po plecach przebiegł mi szczur. Czas jakby się zatrzymał. Wydawało mi się, że minęła wieczność. Mimo woli zacząłem cały się trząść. Bałem się otworzyć oczy. Prawie nie mogłem się ruszać, bo ludzkie odchody są strasznie gęste. Płynąłem bardzo powoli. Czułem, że tonę. Ale zaraz potem dotknąłem drutu kolczastego. Wynurzyłem głowę i otworzyłem oczy. Byłem na zewnątrz! Moze pięć metrów od brzegu szamba. Drut kolczasty biegł przez jego środek i kończył się dopiero przy ścianach więzienia. Pomacałem rękami, żeby sprawdzić, czy uda mi się pod nim przedostać. Okazało się, że nie sięga do samego dna. Zanurkowałem w gówno i przepłynąłem pod drutem. Kiedy wyszedłem z szamba, miałem dwie głębokie rany na plecach i nogach. Ponieważ miałem dość silne ręce, chwyciłem się krawędzi, podciągnąłem całe ciało i wyszedłem. Wydawało mi się, że spędziłem w tym szambie nie wiadomo ile czasu. Ale cała operacja trwała sześć czy siedem minut, bo słyszałem, że więźniowie mają jeszcze przerwę.

Szybko się rozebrałem, otworzyłem plastikowy worek, wytarłem się ręcznikiem i przebrałem się w koszulkę, szorty i buty. Jeśli nie liczyć smrodu, można by mnie wziąć za zwykłego biegacza. Rzuciłem się pędem wąską leśną ścieżką w dół. Nogi mnie niosły, jakby miały skrzydła. Przeskakiwałem pnie drzew i kamienie. Chyba pobitem rekord świata w biegach. Kilka razy upadłem i potoczyłem się w dół. Wstawałem i biegłem dalej. Minąłem pięciu czy sześciu turystów, którzy schodzili z góry. Strasznie

śmierdziałem. Zakryli sobie nosy i uciekli ode mnie. Przez cały ten czas miałem wrażenie, że słyszę policyjne syreny. Ale okazało się, że to były halucynacje.

U podnóża góry, koło Cmentarza Męczenników, znajdowało się kolegium języków obcych. Wbiegłem na dziedziniec i przebiegłem plac zabaw. Ponieważ miałem na sobie tylko koszulkę, szorty i buty, ludzie myśleli, że jestem sportowcem. Nikt nie zauważył nic podejrzanego. Udało mi się wejść do akademika. Był pusty, bo studenci byli albo na zajęciach, albo na zewnątrz. Umyłem się pod prysznicem i ukradłem jakieś ubrania, które suszyły się za oknem. Kiedy wyszedłem z kampusu, zorientowałem się, że znajduję się w mieście Shapingba. Wiedziałem, że niedaleko jest duży szpital. Zatrzymałem taksówkę i wskoczyłem do niej. Ujechaliśmy może ze sto metrów, kiedy usłyszałem wycie syren. Już pojawiła się ekipa poszukiwawcza. Zauważyłem, że drogówka zatrzymuje samochody i sprawdza pasażerów. Natychmiast kazałem się kierowcy zatrzymać. Przepraszającym tonem powiedziałem: „Przykro mi, zapomniałem portfela”. Taksówkarz odwrócił głowę i zapytał: „Chce się pan cofnąć?”. Ale zanim skończył zdanie, ja już wyskakiwałem z samochodu. Pobiegłem w kierunku szpitala. Kiedy znalazłem się w środku, przeszedłem się po oddziałach i zobaczyłem, że za laboratoriami jest kostnica. Wszedłem przez okno na tyłach. Rozejrzałem się i odkryłem, że pomieszczenie ma mniej więcej dwadzieścia metrów długości i trzydzieści szerokości. Było tam sześć kamiennych stołów na trupy, z tego trzy były zajęte. Kilka ciał stało w lodówce o szklanych drzwiach. Ponieważ nie miałem bezpiecznej kryjówki, po prostu położyłem się na wolnym stole i nakryłem niebieską plastikową płachtą.

Wtedy, w maju, było dość gorąco, ale kiedy poleżałem kilka godzin na zimnym kamieniu, zaczęły mnie przechodzić dreszcze. Kostnica była słabo oświetlona. W powietrzu unosił się odór ciał. Wszyscy moi nieżywi sąsiedzi wyglądali, jakby zginęli w wypadku. Widziałem na kamiennych stołach kałuże krwi. Czekałem, aż niebo się ściemni. Bałem się, więc wydawało mi się, że czas płynie strasznie powoli. Zerwał się wiatr i zaczęły skrzypieć niedomknięte drzwi. Trząsnęłam się ze strachu. Gdyby

ktoś wszedł, byłoby po mnie. Gdyby ktoś odważył się zdjąć ze mnie tę płachtę, złapałbym go rękami za szyję jak kleszczami i zadusił na śmierć.

Liao: Jak długo przebywał pan w kostnicy?

Cui: Wydawało mi się, że całą wieczność. Zacząłem liczyć uderzenia serca. Kiedy biło szybko, trzy uderzenia liczyłem jako sekundę. Później od tego liczenia zasnąłem. Obudziły mnie odgłosy z sąsiedniego pomieszczenia. To był odgłos pałeczek uderzających o metalowe miseczki. Pewnie strażnik miał przerwę na kolację. Myśl o kolacji podrażniła mi żołądek, dostałem strasznych skurczów. Tak mnie bolało, że chciałem wstać i się trochę poruszać, żeby odwrócić uwagę od bólu. Ale oparowałem się i jeszcze trochę wytrzymałem w bezruchu. Strażnik jadł i pił herbatę jeszcze dwie godziny. Zanim położył się spać, słyszałem, jak śpiewa sobie pod nosem kawałek z tradycyjnej opery syczuańskiej. O dziwo, cały czas pamiętam wyraźnie melodię i słowa.

Kiedy się położył, zrobiło się cicho. Wtedy wstałem. Byłem prawie sztywny z zimna. Wyszedłem z kostnicy. Mijając stołówkę, zauważyłem, że jest otwarta dla pracowników nocnej zmiany. Wyszły z niej dwie pielęgniarki, rozmawiając i śmiejąc się. Schowałem się za krzakami. Kiedy pielęgniarki mnie miały, podniosłem z ziemi mały kamyczek i rzuciłem w jedną. Uderzył ją w nadgarstek. „Kto to?” – zapytała i upuściła jedzenie na ziemię.

Obie zaczęły krzyczeć i pobiegły do stołówki po pomoc. Uciekłem najszybciej, jak mogłem i ponownie schowałem się w kostnicy. Odczekałem tam, aż się uspokoi. Kiedy znów wyszedłem, zauważyłem przypadkiem butelkę wody przy ścieżce, do połowy pełną. Podniosłem ją i wlałem sobie wodę do gardła. Smakowała cudownie. Potem wróciłem w to miejsce, gdzie pielęgniarka upuściła jedzenie. Zbierałem je z ziemi rękami i połykałem. Nagle zaczęło mnie kłuć w żołądku. Kucnąłem i odpoczywałem kilka minut. Potem zakradłem się do sal pacjentów. Sprawdziłem, czy gdzieś nie ma czegoś do jedzenia. Kiedy doszedłem na czwarte piętro, zobaczyłem, że dyżurka lekarska jest otwarta. Nikogo nie było w środku. Wszedłem, szybko przebrałem się

w białych fartuchach, który znalazłem w szafie, włożyłem maskę chirurgiczną i wzięłem z biurka stetoskop. Poszedłem na salę dla położnic, udając, że jestem lekarzem na dyżurze. Nieźle się tam obłowilem: ukradłem pacjentkom ponad tysiąc juanów, udało mi się też zwinąć trochę ciastek i owoców.

Kiedy wyszedłem ze szpitala, poszedłem do medycznej akademii wojskowej obok. Ukradłem mundur, który suszył się na zewnątrz. Wtedy już prawie świtało. Przed budynkiem stał duży autobus. Znalazłem kawałek drucika, zgiąłem go, otworzyłem zamki i wszedłem do środka. Ułożyłem się wygodnie na ostatnich siedzeniach. Byłem wykończony, więc szybko zasnąłem. Nagle poczułem, że ktoś mnie szarpie i przesuwa na siedzenie w kącie. Obudziłem się. Okazało się, że był już dzień, a autobus był pełen studentów w mundurach. Facet koło mnie zapytał: „Z którego jesteś roku?”. Nie mogłem mu odpowiedzieć, ale pokazałem przez okno na pierwszy lepszy budynek. „A, pracujesz w laboratorium komputerowym?” – zapytał. Pokiwałem głową.

Z rozmów, które podsłuchiwałem w autobusie, wynikało, że była niedziela. Autobus wiozł studentów, łącznie ze mną, do centrum miasta. Podróż minęła bez żadnych przeszkód. Pierwszy raz od długiego czasu zobaczyłem na ulicy grupy ładnych dziewczyn. Poczułem smak wolności.

Liao: Miał pan czelność spać w autobusie wojskowym. Nie bał się pan, że pana złapią?

Cui: Nie mogłem wrócić do szpitala, a włóczenie się po ulicach było niebezpieczne. Chodzenie w nocy po terenie wojskowej akademii medycznej było jeszcze bardziej ryzykowne. Ten autobus był jedynym wyjściem.

Liao: Co było później?

Cui: Nigdy mnie nie złapali. Znów byłem wolnym człowiekiem, włóczyłem się po całym kraju, kradłem i włamywałem się do sejfów. Ukradłem tyle pieniędzy, że nie wiedziałem, co z nimi robić. Postanowiłem gdzieś osiąść i żyć jak odludek. Kupiłem kilka domów w Beihai. Ale nigdy nie czułem się bezpieczny. Wcale nie korciło mnie założenie własnego biznesu, bo nienawidziłem zadawać się z biznesmenami. To nudni ludzie. Poza tym osiągnąłem maksimum w swoim zawodzie. Nie mogłem

wzbudzić w sobie entuzjazmu do zmiany. Więc snułem się bezczynnie. A kiedy nie miałem nic do roboty, głowa mi wariowała. Co noc śniły mi się więzienia i policja.

Liao: Był pan kiedyś żonaty?

Cui: Miałem dziewczynę. Była wielką fanką tajwańskiego piosenkarza Tong Ange. Ja też lubiłem jego kawałki. Chciałem się z nią ożenić, ale nie mogłem. Dziewczynie może człowiek nie mówić, czym się zajmuje, ale żonie trzeba mówić wszystko. Taka jest chińska tradycja, zgadza się?

Liao: Jak to się stało, że teraz pan znowu siedzi?

Cui: Od mojej ucieczki minęły dwa lata. Myślałem sobie: droga wolna. Wróciłem do Chongqing. Któregoś dnia założyłem się z dawnymi kumplami, że spokojnie włamię się do nowego typu bezpiecznego sejfu w dużej firmie. No i poszedłem. Wszedłem głównym wejściem. Włamałem się do biura skarbnika. W ciągu dziesięciu minut zlokalizowałem sejf i odciąłem system alarmowy. Włożyłem do małej szczeliny nóż cienki jak żyłeczka, usłyszałem lekkie kliknięcie i odciąłem alarm w sejfie. I to niby miała być ta cała nowoczesna technologia, ochrona laserowa? To było najłatwiejsze włamanie w moim życiu. Trochę mnie rozwalili ten natychmiastowy sukces i straciłem czujność. Oparłem się o sejf, żując gumę. Zrobiłem nawet dużego balona. Kiedy otworzyłem sejf, okazało się, że w środku jest mniej więcej pół miliona juanów [sześćdziesiąt tysięcy trzysta dolarów] plus kilka plików nowych banknotów stujuanowych. Coś mnie podkusiło, wyjąłem zapalniczkę i zacząłem palić po jednym te nowe banknoty. Zanim skończyłem pierwszy plik, przyjechała policja.

Kiedy mnie aresztowali, poczułem, jakby moje serce wreszcie spadło na ziemię po tym, jak wisiało nad przepaścią przez długi, długi czas. Czułem, że mój umysł wreszcie będzie mógł odpocząć. Wstałem, wyciągnąłem ręce przed siebie i kazałem policjantom włożyć mi kajdanki. Kiedy mnie zakuli, powiedziałem spokojnie: „Chodźmy”.

Liao: Jak czuje się pan teraz, w celi śmierci?

Cui: Dużo myślę o tej ucieczce sprzed trzech lat. Cudem się tak dobrze udało. Ale nikt nie może uniknąć swojego losu. Kiedy się ukrywałem, moje ciało było wolne, ale umysł nie. Zbyt dużo

jestem winny społeczeństwu. Nigdy nie przeznaczałem ukradzionych pieniędzy na rzecz tych, którym naprawdę by się przydały. Tyle biednych dzieciaków nie stać na chodzenie do szkoły, tyle bezrobotnych robotników nie ma z czego utrzymać rodziny... Jaka jest różnica między skorumpowanymi urzędnikami a mną? Nie ma żadnej. I tyle, to cała moja historia. Jest pan intelektualistą, więc pan rozumie: do wszystkiego, co się robi, trzeba mieć pasję i motywację. Ja straciłem pasję i motywację do życia. Jestem gotowy odejść z tego świata.

Ślepy grajek na *erhu*

W chłodny październikowy wieczór 1996 roku wszedłem do restauracji *huo guo* [chiński odpowiednik fondue] przy ulicy Wangjianmu w Chengdu. Kiedy usiadłem przy stoliku, zobaczyłem, że kelner wprowadza do środka niewidomego ulicznego grajka. Niósł w ręku *erhu*, chińskie skrzypce o dwóch strunach, i powoli, po omacku przechodził między stolikami, kłaniając się gościom. Zrobiło mi się go żal i zamówiłem u niego melodię. Ku mojemu zdumieniu pięknie ją zagrał.

Grajek powiedział, że ma sześćdziesiąt trzy lata i nie chciał zdradzić swojego prawdziwego nazwiska. Przedstawił się jako Bezimienny Zhang.

Liao Yiwu: Nauczycielu, bardzo pięknie pan zagrał. Może mi pan zagrać inną melodię, Woda w rzece?

Bezimienny Zhang: Najpierw musi pan zapłacić. Według tutajszych zasad płaci się dziesięć juanów za melodię.

Liao: Proszę, pięćdziesiąt juanów [sześć dolarów czterdzieści centów]. Proszę dotknąć, sprawdzić, że są prawdziwe. Zwykle nie można wycenić muzyki. Na więcej mnie nie stać. Muszę zostawić sobie trochę pieniędzy, żeby zapłacić za posiłek.

Zhang: Jest pan koneserem. Jeżeli pan chce, mogę grać dla pana całą noc. Gra na *erhu* jest jak siedzenie do późna w nocy dla pisarza. Im dłużej się gra, tym bardziej to wciąga. *Woda w rzece* to smutny utwór. Może zagram panu *Ptaki świergoczą na pustej górze?*

Liao: Dobrze. Piję za pana zdrowie. Od zawsze kocham dwa instrumenty: erhu i flet. Takie erhu ma tylko dwie struny, a potrafi wyrazić wszystkie historie i emocje ludzkiego życia. Wychowałem się w wiosce Lijiaping, która z trzech stron była otoczona górami. Mieszkaliśmy u podnóża góry, w zniszczonym domu z dziedzińcem. Kiedy widzę, jak pan gra, zalewają mnie wspomnienia z dzieciństwa. Pamiętam nauczyciela z naszej wsi, który lubił w deszczowe dni siadać przed swoim domem i grać na erhu. Grał też, kiedy księżyc był w pełni. Jego muzyka zawsze wywoływała we mnie smutny nastrój. Dzisiaj słyszę tę jego muzykę tylko w głowie.

Zhang: Od pana słów zbiera mi się na płacz. Ja już od wielu lat sprzedaję muzykę na ulicy. Umieję zagrać wszystkie melodie, jakie sobie ludzie zażyczą, różnymi technikami. Ale większość słuchaczy nie ma dobrego ucha. To pretensjonalni goście restauracji, którzy po prostu chcą się rozerwać i myśleć, jak by tu ożywić atmosferę. Ich życzenia mógłbym spełnić z łatwością. Ale kiedy mam grać dla takiego konesera jak pan, to się denerwuję. Muzyka musi płynąć prosto z serca.

Liao: Proszę mi o sobie opowiedzieć. Jak stracił pan wzrok?

Zhang: Zmagam się z ciemnością, odkąd wyciągnęli mnie z łona matki. Nie wiem, za jakie grzechy, ale trójka mojego rodzeństwa też urodziła się ślepa. Moją rodzinę nazywali w okolicy „przeklętą jaskinią ciemności”. Kiedy miałem trzy lata, ojciec włożył mi do ręki *erhu* i batem zmuszał mnie do grania. Gra na *erhu* to dla ślepców jedyna miska ryżu. Nie było to takie romantyczne, jak w pana opowieści. Kiedy skończyłem siedem lat, rodzice nie mogli już dłużej znieść tego, że wszystkie ich dzieci urodziły się ślepe. Oboje wypili truciznę i popełnili samobójstwo. Na ich pogrzeb zostałem ubrany w biały strój żałobny; siedziałem przy ich ciałach i grałem na *erhu* bez chwili przerwy. Miałem nadzieję, że zbiorę dość datków, żeby kupić im trumny. Siedziałem tak i grałem przez trzy dni. Ich ciała się rozkładały, a ja byłem na skraju wyczerpania. Ale nie miałem odwagi przestać, czułem, jakby wisiał nade mną bat. Nawet teraz, kiedy wspominam ojca, kojarzy mi się z cienkim batem, który sprawiał mi tyle bólu. Ostatecznie przyjaciele pomogli nam pochować rodziców. Moje rodzeństwo i mnie adoptowała

rodzina niewidomych. W wieku trzynastu lat zacząłem chodzić po ulicach i żyć z grania. Zacząłem w moim mieście rodzinnym, Qiaolai, a potem zjeździłem całą prowincję.

Liao: Czy komuś takiemu jak pan łatwo jest podróżować?

Zhang: Ślepi mają własną społeczność. Zawsze kiedy przyjeżdżam w nowe miejsce, muszę złożyć hołd szefowi miejscowej społeczności. Zmiękczam go pochlebstwami, a potem wręczam w prezencie pieniądze. Za tę łapówkę przydziela mi za przewodnika ślepe dziecko. Ono prowadzi mnie po ulicach i zaułkach, mówiąc, gdzie trzeba skręcić i kto gdzie mieszka. Mówi mi też, które domy są bogate i dlatego jest większe prawdopodobieństwo, że zatrudnią muzyków, jaki temperament mają mieszkańcy danego domu i kiedy jest dobra pora, żeby zapukać do ich drzwi. Wszystkim rządzą reguły. Kiedy się je opanuje, można zacząć własny biznes.

Liao: Takie były pewnie reguły i zwyczaje przed rewolucją komunistyczną. Teraz mamy koniec dwudziestego wieku. Wszędzie jest pełno artystów ulicznych, niektórzy śpiewają, inni grają na instrumentach, jeszcze inni dają pokazy akrobatyczne. Mam wrażenie, że nie stosują się do żadnych reguł. Większość z nich ciągle występuje w coraz to innym miejscu. Jak zobaczą, że gdzieś kręci się więcej ludzi, zaczynają tam występować. Czasami przegania ich policja. W zeszłym roku w sezonie wakacyjnym pod mój dom przyszło pięciu ślepych grajków i razem zagrali Wychodzi słońce i ludzie się cieszą. Wręczyłem każdemu czerwoną kopertę z nowiutkimi banknotami w środku.*

Zhang: To nie byli prawdziwi muzycy. Żyjemy w dużym mieście. Fałszywi muzycy chodzą od dzielnicy do dzielnicy i wyłudniają od mieszkańców pieniądze. W naszej społeczności są reguły, których wszyscy przestrzegają. Grajkowie uliczni pomału tworzą cech i zasady zawodowe. Każdy liczy na to, że będzie zarabiał dzięki prawdziwym umiejętnościom. Rynek na oszustów i podróbki jest coraz mniejszy.

Liao: Co pan rozumie przez „zasady zawodowe”?

* Zgodnie z tradycją chińską pieniądze lub życzenia wręcza się w czerwonych kopertach, kolor czerwony symbolizuje bowiem fortunę i szczęście.

Zhang: Po pierwsze, każdy grajek uliczny musi mieć wyznaczone miejsce czy rewir. Po drugie, grajkowie muszą sami wybierać szefów cechu. W Chinach kiedyś wszyscy byli zatrudnieni w państwowych zakładach pracy, które gwarantowały pracę i mieszkanie. Grajkowie uliczni też muszą się zorganizować i działać według ustalonych reguł. Na przykład ja gram w okolicy Wangjianmu od prawie siedmiu lat. Wszyscy mnie znają i wiedzą, że traktuję muzykę poważnie. Ludzie chętnie zamawiają u mnie melodie i chętnie mi płacą. Na pewno widuje pan ślepych grajków w innych okolicach, choćby przy Drodze Chunxi czy ulicy Świątyni Wuhou. Nie obchodzi mnie to, nie mam zamiaru się dowiadywać, kto tam gra. Obchodzi mnie tylko to, żeby tutaj dobrze wykonywać swoją pracę. Zakładam, że uliczni gitarzyści, skrzypkowie, żebracy, naprawiacze rowerów i pucybuty w tej okolicy podzielają moje zdanie. Gdybyśmy któregoś dnia chcieli przenieść się gdzie indziej, to musimy negocjować. Inaczej nas z tego nowego miejsca przepędzą.

Liao: Nie martwi się pan, że mamy trudne czasy i zamyka się w tej okolicy wiele restauracji?

Zhang: Znam wiele restauracji, które zamknięto, ale to nie miało na mnie większego wpływu. Nigdy nie brakowało mi klientów. Wielu przedsiębiorczych ludzi marzy o tym, żeby się wzbogacić na prowadzeniu restauracji. Zamknięcie jednej oznacza, że zaraz otworzą inną. W tej okolicy nigdy nie ma zastoju. Kiedy zamyka się restauracja chińska, w jej miejsce powstaje zachodnia. Kiedy zamyka się restauracja z owocami morza, otwiera się bar *huo guo*. Okolice Wangjianmu były w starożytnych czasach miejscem pochówku młodego cesarza. Mają dobre *feng shui* i pełno tu przyjaznych ludzkich duchów. Latem przy ulicy sprzedawcy *huo guo* ustawiają swoje budki tak ciasno, że ledwo można przejść. Kiedy tam gram, zapachy przypraw bardzo zakłócają moje wyzucie otoczenia. Istnieje niebezpieczeństwo, że wpadnę na czyjś rozgrzany piecyk*. Kiedy wszystkie piecyki są w ruchu, zwiększa

* Małe, przenośne piecyki szamotowe z kilkoma rozżarzonymi brykietami w środku są typowym elementem wyposażenia ulicznych sprzedawców i małych restauracyjek.

się też zapotrzebowanie na moją muzykę, ale czasami aż jej nie słychać w hałasie ulicy. Poprosiłem kolegę, żeby załatwił mi wzmacniacz. Podłączyłem *erhu* do wzmacniacza. Kiedy gram, noszę ten wzmacniacz na plecach. Zrobię wszystko, żeby tylko goście restauracji byli zadowoleni, żebym mógł zarobić trochę pieniędzy.

Liao: Nie ma pan poczucia, że marnuje pan życie, grając tutaj?

Zhang: Życie? Nigdy nie myślałem o tak głębokich sprawach. Dla ślepcy takiego jak ja każdy dzień jest taki sam, chyba że jestem chory albo zrobię sobie krzywdę, wchodząc w ścianę. Kiedy miałem piętnaście lat, pewnego dnia grałem w herbaciarni. Nagle w powietrzu wybuchły fajerwerki, jak bomby, od których zaraz miały pęknąć uszy, i całkowicie zagłuszyły moją muzykę. Nie przestałem grać, dopóki właściciel nie złapał mnie za rękę. Powiedział, że herbaciarnia jest pusta, wszyscy wyszli. Po omacku wyszedłem za zewnątrz. Ludzie walili w bębny i gongi. Ktoś mi powiedział, że do miasta weszły wojska komunistyczne. No i tak. Nic nie wiedziałem o tym, że obalono rząd nacjonalistyczny. Później, kiedy wprowadzono rządy komunistyczne, dostałem trochę pieniędzy i zostałem wysłany, razem z wieloma robotnikami napływowymi, na wieś do Syczuanu. Przydzielono mnie do pracy jako muzyka w miejscowym domu kultury. Przez rok uczyłem się Braille'a i nawet miałem dziewczynę.

Liao: Jak zdobył pan dziewczynę?

Zhang: To był rok 1957. Muzyka ludowa była na fali. W Chinach bardzo popularne były wtedy melodie znanego kompozytora, grajka na *erhu*, Ai Binga. Wypłynąłem na jego popularności, zapraszano mnie, żebym grał na scenie dla dużego tłumu. Grałem też dla profesorów muzyki. Jedna firma nagrała moją muzykę. Później miejscowe władze chciały, żebym wziął sobie ucznia. Powiedziałem im, że nie chcę nikogo, kto normalnie widzi. Ci, którzy widzą, nigdy nie wejdą do świata ślepych.

Przysłali mi więc ślepą uczennicę, trzy lata ode mnie młodszą. Ćwiczyliśmy dzień i noc, żeby przygotowywać się do występów na koncertach muzyki ludowej. Pewnego dnia koło południa uciałem sobie drzemkę. Poczułem, że coś mi chodzi po twarzy. Najpierw myślałem, że to mucha, i chciałem ją odgonić ręką.

Ale dotknąłem delikatnej dłoni. Przesuwała palcami po moim nosie i oczach, a mnie od tego aż paliło w sercu. Wyciągnąłem ręce i dotykałem jej, jakbym śnił. Miała grube warkocze, duże oczy, długie rzęsy i gładką skórę. Wreszcie przytuliliśmy się i przylgnęliśmy do siebie. W tamtym okresie grałem najlepiej w życiu. Nie czułem nawet, że gram. Czułem, jakby grał za mnie ktoś w moim sercu. Widziałem w muzyce moją ukochaną. Była piękna. Czy nie byłoby miło, gdybym mógł wziąć ją ze sobą i zejść cały świat?

Liao: Wzięliście ślub? Mieliście dzieci?

Zhang: Kochaliśmy się i ona zaszła w ciążę. W tamtych latach seks przedmałżeński uznawany był za niemoralny i nielegalny. Za uprawianie seksu można było trafić do więzienia. Ponieważ byliśmy niepełnosprawni, dyrektor mojego zakładu pracy nie zgłosił nas na policję. Ale kazał mojej dziewczynie usunąć dziecko, żebyśmy nie ponieśli konsekwencji. My chcieliśmy tego dziecka i moja dziewczyna nie zgodziła się na aborcję. Złożyliśmy podanie o zgodę na ślub. Dyrektor powiedział, że to wyjątkowy przypadek i że muszą odbyć kilka zebrań, żeby go omówić. Po kilku zebraniach nadal nie podjęli decyzji. A w tym czasie ciąża mojej dziewczyny była coraz bardziej widoczna.

Niedługo potem zaczęła się ogłoszona przez Przewodniczącego Mao kampania przeciwko prawicowcom. Mój dyrektor został napiętnowany jako prawicowiec i stracił pracę. Niektórzy jego byli podwładni oskarżyli go o zapłodnienie mojej dziewczyny. Nie sądzili, że ślepiec taki jak ja może sypiać z kobietą. Nie dostaliśmy zgody na ślub, tylko zostaliśmy publicznie poniżeni. Mnie napiętnowano jako zgniły element społeczny, bo usiłowałem wstawić się za moim dyrektorem. Chwała Bogu, że byłem ślepy; gdyby nie to, ci fanatycy zamęczyliby mnie na śmierć. Moją uczennicę spotkał gorszy los. Kilku mężczyzn przytrzymało ją siłą i przeprowadzono jej aborcję. Została też napiętnowana jako zepsuta za to, że uprawiała seks z dyrektorem.

Liao: Co było dalej?

Zhang: Rozstaliśmy się. Taki był los, nie mogłem od niego uciec. Gdyby działa się to dzisiaj, skończyłoby się inaczej. Ludzie mają inny stosunek do seksu. Poza tym, czy gdyby ślepy mężczyzna wziął sobie ślepą żonę, nie byłaby to idealnie dobrana para?

Można by w ten sposób rozwiązać wiele problemów społecznych. Ale wtedy cały kraj był jak jedno wielkie więzienie. Partia kontrolowała każdy aspekt życia – jedzenie, picie, sikanie, sranie, narodziny, małżeństwo i śmierć. Skoro mówimy o śmierci: moja uczennica zmarła podczas klęski głodu w 1960 roku.

Liao: Ludzie mają dziś bardziej otwarte umysły niż kiedyś. Seks przedmałżeński nie jest już kwestią polityczną. Można też sprzedawać muzykę na ulicy. Zakładam, że nikt nie wymaga od pana płacenia podatków.

Zhang: Miałbym płacić podatki? Komu? Moim zdaniem rząd powinien wprowadzić fundusz opieki społecznej, żeby pomagać takim ludziom jak my. Nie mam pracy od lat sześćdziesiątych, kiedy zwolniono mnie z domu kultury. Gdyby nie te wszystkie kampanie polityczne, byłbym dzisiaj sławny, pewnie byłbym nawet profesorem Chińskiej Akademii Muzycznej. Mają tam wydział *erhu*, wie pan?

Liao: Co jest takiego wyjątkowego w byciu profesorem? Żaden zawód nie daje większej wolności niż zawód grajka ulicznego.

Zhang: Bycie grajkami ulicznymi jest przyjemne, ale nie daje stabilizacji. Nigdy nie wiadomo, co przyniesie jutro. A skoro tak się panu ta „wolność” podoba, dlaczego sam pan jej nie spróbuje?

Liao: Gdyby zgodził się pan być moim przewodnikiem, chętnie bym spróbował już od jutra. Przyniosę swój flet i stworzymy duet. Wszystkie pieniądze, które zarobimy, może pan zatrzymać dla siebie. Mam nadzieję, że pozna mnie pan z innymi ślepych grajkami.

Zhang: Dlaczego?

Liao: Chcę znaleźć agenta, który pomógłby nam pozyskać sponzorów i zorganizować koncert ślepych muzyków. Gdybyśmy zebrali dwudziestu, to mogłoby się udać.

Zhang: Dobry pomysł. Pójdę i omówię go z szefem naszego cechu.

Liao: Chce pan powiedzieć, że jest w okolicy starszy od pana grajek uliczny?

Zhang: Nie, szef cechu jest ode mnie młodszy i nie jest ślepy. Jest szefem miejscowej triady, która kontroluje ten obszar.

Nazywamy go „Ważnym Panem od Ślepych”. To jedyny człowiek, który może negocjować z muzykami w okolicach ulicy Świątyni Wuhou, ulicy Chunxi i Dworca Autobusowego przy Bramie Zachodniej. A ma pan pieniądze? Bo on sobie drogo liczy za swoje usługi.

Liao: Niech się pan tak bardzo nie przejmuje pieniędzmi. To psuje moje pierwsze wrażenie stworzone przez pana grę na erhu.

Zhang: Robi się późno. Zaczę grać.

Śpiewak uliczny

Poznałem Que Yao w 1995 roku, w klubie nocnym. Obaj dawaliśmy tamtego wieczoru gościnny występ. Ja grałem na flecie, on był wykonawcą muzyki pop. Od znajomego dowiedziałem się, że nie widzi na jedno oko i dlatego przez okrągły rok nosi okulary przeciwsłoneczne, i w dzień, i wieczorem. Wyglądał w nich całkiem *cool*, przypominał mi Wong Kar-Waia, reżysera z Hongkongu, który nakręcił między innymi *Spragnionych miłości*. Que Yao śpiewał jak kobieta, łagodnym sztucznym falsetem. Mnie jego styl nie przypadł do gustu, ale tłum przy barze mdłał z zachwytu.

W kolejnych latach spotykałem go podczas występów w różnych lokalach i trochę bliżej go poznałem. W ostatnią sobotę po południu przeprowadziłem z Que Yao wywiad w herbaciarni w pobliżu dzielnicy Huangzhong w Chengdu.

Liao Yiwu: Czy Que Yao to twoje prawdziwe imię?

Que Yao: Oczywiście. Noszę nazwisko Qi. Urodziłem się 11 kwietnia 1969 roku, tuż po zakończeniu Dziewiątego Zjazdu Partii Komunistycznej. W nowej chińskiej konstytucji Przewodniczący Mao wyznaczył na swojego następcę marszałka Lin Biao. Cały naród wyległ na ulice, żeby świętować. Z tej okazji rodzice nadali mi imię Queyao, czyli „skakać z radości”, na cześć wyboru następcy Przewodniczącego Mao. Rozumiesz, to było w punkcie kulminacyjnym rewolucji kulturalnej. Zawsze, kiedy Przewodniczący Mao wydał nowy dekret albo cytat, nieważne, czy było

to w dzień, czy późno wieczorem, ludzie musieli wychodzić na ulice, żeby to uczcić śpiewami i tańcami.

Liao: Pamiętam te czasy. Czy twoi rodzice należeli do Partii?

Que: Nie, skąd. Byli zwyczajnymi ludźmi – oboje byli ślepi. Przez wiele lat tak się ich wstydziałem, że nigdy z nikim o nich nie rozmawiałem. Dopiero po trzydziestce zdałem sobie sprawę, jakie to było głupie. Miałem bardzo ciekawe dzieciństwo. Wychowałem się w małym mieście w Syczuanie. Jedno z moich najwcześniejszych wspomnień to obraz kielbas jeżdżących na maszynie. Miałem trzy lata, matka nosiła mnie w chuście na plecach. Pracowała w miejscowej państwowej fabryce kielbasy. Wszyscy pracownicy tej fabryki byli niepełnosprawni – niewidomi, głusi i kalecy. Pracowali tam moi rodzice. Razem zarabiali dwadzieścia siedem juanów [trzy i pół dolara] na miesiąc, co ledwo wystarczało na utrzymanie pięcioosobowej rodziny, bo miałem jeszcze dwie siostry.

Moi rodzice byli grajkami ulicznymi. Mama grała na *erhu*, dwustrunnych chińskich skrzypcach. Mój ojciec był dość znanym opowiadaczem. Swoim opowieściom, przerywanym piosenkami, akompaniował na *daoqin* – tradycyjnym instrumencie, który dziś już prawie całkiem wyszedł z użycia. Przypominał bęben, był zrobiony z grubego, długiego na metr cylindra z bambusa, na którego otwarty koniec naciągnięta była świńska skóra. Mój ojciec wybijał na bębnie skoczny rytm, do którego śpiewał i opowiadał. Większość historii czerpał z klasycznej literatury chińskiej, na przykład *Wojownik, który pokonał tygrysa*. Ludzie uwielbiali napięcie i żywe opisy. Mój ojciec miał wielu wielbicieli. Kiedy zaczęła się rewolucja kulturalna, władze zakazały mu występować, ponieważ jego opowieści zostały uznane za feudalistyczne i antyrewolucyjne. Dlatego oboje z mamą zostali skierowani do pracy w fabryce kielbasy.

Moja rodzinna miejscowość leżała nad rzeką Jangcy, w ubogim okręgu Yunyang, niedaleko Chongqing. Przed rewolucją kulturalną ludzie, którzy mieszkali na wsi i w małych miastach, nie mieli dostępu do rozrywek. Pustkę wypełniali artyści uliczni i lokalne zespoły operowe. Ale po roku 1966 występy uliczne zostały zakazane jako sprzeczne z prawem, a lokalnym zespołom

operowym wolno było wystawiać tylko *Osiem modelowych oper rewolucyjnych* zatwierdzonych przez żonę Mao, Jiang Qing. Ludzie spędzali wieczory na zebraniach komunistycznych. Czasami oglądali publiczne egzekucje kontrrewolucjonistów albo morderców czy gwałcicieli. I to było wszystko. Okropnie im się nudziło.

Na początku lat siedemdziesiątych nastąpiło polityczne rozluźnienie. Wtedy właśnie Lin Biao, zazdrosny o pozycję Przewodniczącego Mao w Partii, dokonał próby zamachu na naszego Wielkiego Wodza. Kiedy spisek zabójców poniósł klęskę, Lin Biao czym prędzej uciekł, żeby schronić się w ówczesnym Związku Radzieckim. Ale jego samolot rozbił się w Mongolii, bo wyczerpał się zapas paliwa. Pamiętasz to? Kto go tam wie, jak umarł. W każdym razie skrajna epoka rewolucji kulturalnej właściwie dobiegła końca. Odrodziły się tradycyjna opera, muzyka i przedstawienia na uroczystościach prywatnych, takich jak wesela, pogrzeby czy przyjęcia urodzinowe. To odrodzenie było szansą dla byłych artystów ulicznych, takich jak moi rodzice. Zorganizowali więc małą trupę, złożoną z siedmiu czy ośmiu ślepych muzyków. Nosili ze sobą proste rekwizyty sceniczne i występowali na prywatnych imprezach. Przekroczyli nawet granicę z prowincją Syczuan i w dni targowe grali po wsiach pod miastem Yichang. Zarabiali po dwadzieścia, trzydzieści juanów [dwa i pół–trzy dolary] dziennie. Czasami natykali się na miejscową milicję albo członków Komisji do spraw Regulacji Rynku. Wtedy wszystkie ich „nielegalne” dochody były konfiskowane. Zatrzymywano ich na kilka dni, po czym musieli chodzić na zebrania, na których dokonywało się publicznych oskarżeń. Ale jakoś się do tego ryzyka przyzwyczaili.

Odkąd skończyłem cztery lata, chodziłem w trasę z rodzicami. Członkowie trupy nieśli instrumenty na plecach, idąc gęsiego – jedną ręką trzymali kij, a drugą kładli na ramieniu osoby idącej przodem. Ja służyłem im za przewodnika i prowadziłem od wioski do wioski. Możesz sobie wyobrazić czterolatka, z ogoloną głową, który prowadzi grupę ślepych muzyków? Często byłem zmęczony i znudzony, dłuubałem w nosie i ziewałem. Wyruszaaliśmy bardzo wcześnie rano i maszerowaliśmy dziesięć,

piętnaście kilometrów dziennie do miejsca, gdzie miała się odbyć impreza. Po drodze stale przyciągaliśmy uwagę i dorosłych, i dzieci. Chodzili za nami i się z nas śmiali. Wstydziłem się i żałowałem, że nie mogę zapaść się pod ziemię. Większość zleceń wiązała się z pogrzebami. Zgodnie z lokalną tradycją bogatym ludziom urządzano wystawne, uroczyste pogrzeby, na które zapraszano zespoły muzyczne i śpiewających mnichów. Taki pogrzeb zwykle trwał od trzech dni do tygodnia, schodziły się setki ludzi z całej okolicy. W pewnym sensie pogrzeby dawały rzadką okazję do tego, żeby się rozerwać. Rodzina zmarłego stawiała scenę na środku podwórza, tuż obok trumny. Wchodziły na nią kolejno zespoły i wykonywały tradycyjne opery albo śpiewały historie. Podczas jednej takiej uroczystości mój tata mógł dać nawet kilkanaście występów, każdy po dwie, trzy godziny. To było nie lada wyzwanie dla głosu artysty. Ale mój tata miał głos jak ze stali. Przez wiele lat ćwiczył codziennie po wiele godzin. Długie występy nie stanowiły dla niego problemu.

Liao: Czy trwały też przez całą noc, bez przerwy?

Que: Mój ojciec dawał trzy występy na noc. Między występami miał dwugodzinne przerwy. Zwykle znajdował sobie wtedy jakiś spokojny kąt i drzemał. Wszystkie jego występy polegały na opowiadaniu klasycznych chińskich opowieści o dworze cesarskim albo wzruszających historii miłosnych, które Przewodniczący Mao nazywał „historycznym śmieciem”. Ale zwyczajni ludzie uwielbiali te „historyczne śmieci”. Jednym z najpopularniejszych numerów mojego taty była opowieść *Kurtyzana Li Yaxian*. Historia ta idzie tak: Za czasów dynastii Tang [618–917 n.e.] młody uczony Zheng Yuanhe udał się do stolicy Chang’an na cesarski egzamin. Gdyby zdał, mógłby ubiegać się o posadę na dworze. Przejeżdżając przez bogate miasto Yangzhou, odwiedził dom publiczny i poznał tam słynną kurtyzanę Li Yaxian. Tak się w niej zadurzył, że postanowił nie jechać dalej. Jak można było przewidzieć, Zheng nie stawiał się na egzamin i roztrwonił wszystkie pieniądze. Widząc, że nie ma już czym płacić, burdel-mama wyrzuciła go na zimną, śnieżną noc. Zheng o mało nie zmarł na śmierć, lecz ocalili go dwaj żebracy. Zlitowali się nad nim i nauczyli go, jak przeżyć, śpiewając na ulicach *Pieśń*

żebraka. Kurtyzana Li bardzo się zasmuciła, że jej kochanek stracił motywację do osiągnięcia sukcesu. Wyłupiła sobie oczy i poraniła twarz, żeby od niej odjechał i walczył o swoją przyszłość na dworze cesarskim.

Liao: Co za historia, tyle zwrotów akcji.

Que: Wiele miejscowych zespołów operowych przerobiło fragmenty tej historii na wersję operową. Na przykład w operze pekińskiej ta historia znana była jako *Piękność wytupia sobie oczy, żeby zachęcić zabłąkanego kochanka do podjęcia wysiłków.* W operze syczuańskiej królowała inna wersja, *Żebracy krążący po ulicach*, która koncentrowała się na życiu Zhenga jako żebraka. Wszystkie wersje oparte były na tej jednej historii. Kiedy opowiadał ją mój ojciec, samą opowieść uzupełniał fragmentami librett z różnych wersji operowych. Wychodziło z tego poetyckie arcydzieło, ze śpiewem i opowieścią. Tata dramatyzował każdy zwrot akcji i potrafił godzinami skupiać uwagę słuchaczy. Możesz wierzyć lub nie, ale był analfabetą. Wszystkich librett nauczył się przez samo słuchanie. „Czerwone piaski urodą mamią, / Serce kochanka drży z pożądania. / Dla pszczoł co w życiu celem i środkiem? / Złączenie z kwiatem, pięknym i słodkim”.

Liao: Aż nie mogę uwierzyć, że wciąż pamiętasz te libretta.

Que: Jako dziecko nie miałem kolegów i dużo czasu spędzałem ze ślepych muzykami. Kiedy występowali, oglądałem ich występy, póki nie zasnąłem. Z czasem nauczyłem się wielu librett. Kiedyś fantazjowałem, że któregoś dnia wystąpię w jednej z tych oper.

Liao: Zamierzałeś przejąć zajęcie po ojcu?

Que: Kiedy byłem młody, bardzo się wstydziłem, że przebywam wśród ślepych muzyków. Ojciec zmuszał mnie do gry na *erhu*. Pod jego kierunkiem ćwiczyłem całymi godzinami. Miałem delikatną dłoń i bardzo bolały mnie palce. Ale jak przestawałem grać, to mnie bił. Ponieważ nie miałem do tego serca, nauczyłem się grać tylko kilka popularnych piosenek rewolucyjnych, takich jak *Przewodniczący jest czerwonym słońcem*. Teraz żałuję, że bardziej się nie przykładałem do gry. Moi rodzice urodzili się niewidomi, ale byli inteligentnymi ludźmi, którzy chcieli do czegoś dojść. Moja mama grała na pięciu instrumentach. Podczas

rewolucji kulturalnej musiała przeczytać cztery grube tomy dzieł wybranych Przewodniczącego Mao w alfabecie Braille'a. W krótkim czasie nauczyła się wielu artykułów Mao na pamięć i zdobyła nagrodę. Z kolei mój ojciec zyskał dużą popularność pod koniec lat siedemdziesiątych, po śmierci Mao. Przyszła wtedy wielka moda na tradycyjne występy. Mojego ojca zapraszano na występy z zespołami operowymi, które adaptowały dawne utwory operowe i pisały nowe. Kilka razy wystąpił nawet w radiu.

Liao: Czyli dorastanie wśród ślepych muzyków nie było ostatecznie takie złe?

Que: Niezupełnie. Napatrzyłem się też na wiele złych rzeczy. Raz zasnąłem, kiedy rodzice występowali na pogrzebie. Rodzina gospodarzy położyła mnie do łóżka obok trumny. Nagle łóżko zaczęło się trząść i się obudziłem. Syn zmarłego uprawiał seks z jedną z dziewczyn z trupy operowej. Porwana namiętnością, nie widząc, że już nie śpię, dziewczyna przypadkiem usiadła mi na nodze. Tak się bałem, że nie miałem odwagi ani płakać, ani nawet oddychać. Nogi całkiem mi zdrętwiały. Poza tym na przykład już w wieku pięciu lat dowiedziałem się, że zażycie białego arszeniku może pomóc kobiecie pozbyć się niechcianego płodu.

Liao: Odebrałeś wyjątkową edukację. Co się stało z twoimi rodzicami?

Que: Tata zmarł w 1980 roku, kiedy miałem jedenaście lat. Jak wielu ludzi, którzy wychowali się nad Jangcy, lubił pływać. Ponieważ był ślepy, musiałem mu zawsze towarzyszyć. Albo pływałem obok niego, albo stałem na kamienistym brzegu i pomagałem mu się orientować. Na przykład kiedy widziałem, że zbliża się do wiru, krzychałem: „Uwaga!”. Jeśli wypływał za daleko, krzychałem: „Zawracaj”. Pewnego dnia, kiedy pilnowałem go z brzegu, zmęczyłem się i usnąłem. Nie usłyszałem, jak wołał o pomoc. Okazało się, że złapał go kurcz w nodze i utonął. Kiedy wyciągnęli jego ciało, było całe sine, bardzo brzydkie. Było mi strasznie smutno. Wszyscy wytykali mnie palcami: co za głupi chłopak. Ojciec tak długo wołał o pomoc, a on się nawet nie obudził. Pamiętam, że moja mama i siostry bliźniaczki pochyliły się nad ciałem ojca i zawodziły godzinami. A ja stałem jak kołek i wcale nie płakałem. Czułem się strasznie winny.

Po śmierci ojca rodzina się rozpadła. Matka, choćby najciężej pracowała, nie dawała rady utrzymać trójki dzieci. Dlatego kiedy miałem piętnaście lat, rzuciłem szkołę i poszedłem do pracy w innej fabryce państwowej dla niepełnosprawnych. Znów znalazłem się wśród kalek. Moja praca polegała na wulkanizacji taniej, ale mocno toksycznej gumy i wlewaniu jej do maszyn formujących podeszwy do butów. Ta fabryka była jak trujące piekło, ale robotnicy przy taśmie produkcyjnej nie mieli żadnych zabezpieczeń. Co miesiąc dostawaliśmy rękawice ochronne, maski i kitle, ale większość z nas sprzedawała je za gotówkę. Dostawałem sto dwadzieścia juanów miesięcznie [piętnaście dolarów], całkiem ładną pensję. Ale wkrótce przez ten trujący dym, który codziennie wdychaliśmy, zacząłem mieć problemy z górnymi drogami oddechowymi. Ciągle kaszlałem, głos mi ochrypl. W końcu odszedłem, przyłączyłem się do zespołu i zacząłem śpiewać po klubach. Tak się zaczęła moja kariera śpiewaka. Pewnie mam geny po ojcu. Nigdy się nie uczyłem śpiewu, ale byłem całkiem dobry. Najpierw śpiewałem dużo piosenek o miłości, bo mój ochrypły głos był do tego idealny. Później zacząłem śpiewać rocka. Mniej więcej wtedy poznałem muzyka o imieniu Chen. Wywarł na mnie duży wpływ. Był po trzydziestce, grał na gitarze elektrycznej. Pewnego dnia poszedłem go odwiedzić w jego mieszkaniu. Nie było tam żadnych mebli, nic, tylko łóżko i globus. Miał też kilka numerów pisma *Okna na świat*. Kiedy powiedziałem coś o tym, że nie ma w mieszkaniu żadnych mebli, wskazał na swoją głowę: „Całe moje bogactwo jest tutaj”. Chciał podróżować po świecie. Zawsze dołączał się do innych facetów, kiedy chodzili kraść i się bić. Tłumaczył, że wielu zachodnich artystów miało podobny styl życia. Podziwiał Boba Dylana i Johna Lennona. Kupowałem wszystko, co mówił. W wieku osiemnastu lat skrzyknąłem się z kilkoma innymi muzykami i stworzyłem wędrowny zespół. Jeździliśmy po całych Chinach, od Kantonu, Xi’anu i Wuhanu po Nanchang, Luoyang i Urumczy na dalekim północnym zachodzie. Wszędzie tam, gdzie jeździliśmy, graliśmy po prostu na ulicy. Ja grałem na gitarze i byłem głównym wokalistą. Najpierw trochę się wstydziłem takich „lokalni”, ale szybko mi się spodobało. Graliśmy dużo ostrego rocka. Muzyka

była tak głośna, że zawsze zbierał się koło nas duży tłum młodych ludzi. Stawialiśmy na ziemi pudełko na datki. Pod koniec dnia dzieliliśmy się zyskami. Nie zarabialiśmy jakoś bardzo dużo, ale wszyscy świetnie się bawiliśmy.

Pewnego dnia poznałem studenta, który oglądał występ i bardzo mu się spodobał nasz zespół. Kiedy się dowiedział, że sam komponuję piosenki, był pod wrażeniem i poradził mi, żebym poszedł do akademii muzycznej i zdobył trochę formalnego wykształcenia. Ten pomysł bardzo do mnie przemówił, więc zostaliśmy w tym mieście dłużej. Zacząłem spędzać dużo czasu z tym studentem. Ponieważ studia na akademii dość dużo kosztują, wpadł na pomysł, jak może mi pomóc zaoszczędzić. Poprosił rodziców, żeby odstąpili mi wolny pokój, i wprowadziłem się do nich. Za każdym razem, kiedy zarobiłem coś na ulicy, oddawałem mu zarobek, a on wkładał go do banku. Ponieważ nie paliłem i nie piłem, odłożyłem całkiem sporo. Ale potem zdałem sobie sprawę, że pieniądze to jeszcze nie wszystko. Żeby się zapisać do akademii muzycznej, studenci muszą zdać ogólnokrajowy egzamin wstępny do szkół wyższych. Ja nie skończyłem szkoły średniej i nie miałem szansy dostać się na studia. Ale nie żałowałem wysiłku włożonego w ten pomysł. Przynajmniej sobie pomarzyłem.

Później dalej jeździliśmy po kraju. W każdym mieście, przez które przejeżdżaliśmy, widziałem kościoły. Kiedyś z ciekawości wszedłem do jednego i przesiedziałem przez całe nabożeństwo. Wzruszyłem się, słuchając hymnów. Zanim wyszedłem, ukradłem egzemplarz Biblii. Poczytałem ją i mnie wciągnęło. Zacząłem marzyć o tym, żeby pójść do seminarium i zostać kompozytorem w służbie Bogu. Mógłbym pisać hymny.

Liao: Myślę, że drzwi do służby Bogu powinny być otwarte dla wszystkich. Przynajmniej nie trzeba płacić czesnego.

Que: Zacząłem w czasie wolnym czytać Biblię i pisać hymny. Pewnego dnia zdobyłem się na odwagę i umówiłem na spotkanie z jednym młodym księdzem. Kiedy pokazałem mu swoje prace, spojrział na nie od niechcienia i oddał mi je z wyrazem pogardy na twarzy. Powiedział: „Mamy wiele pięknych hymnów napisanych przez wielkich mistrzów. Twoim zadaniem nie jest

komponowanie nowych, tylko nauczenie się tych, które istnieją”. Ale ja się nie poddałem. Odchrząknąłem i zaśpiewałem jeden z hymnów, które niedawno napisałem. Ale nie zrobił na nim wrażenia.

Liao: Nie wiedziałem, że stałeś się wykonawcą i kompozytorem pieśni religijnych.

Que: Byłem w tym dość wytrwały. W Yichangu, w prowincji Hubei, spotkałem się z innym księdzem. Wzruszyła go moja szczerłość i pobożność. Poradził mi, żebym zapisał się do seminarium duchownego Jinling w Nankinie na południowym wschodzie. Dostałem od niego adres i znów wyruszyłem w drogę. Czułem się bardzo zmotywowany. Cztery miesiące później znalazłem się wreszcie w Nankinie i spotkałem z rektorem seminarium. Opowiedziałem mu o swojej rodzinie, dzieciństwie i doświadczeniu z Bogiem. Zapytałem też o radę w sprawie mojego zamiaru pobierania nauk chrześcijańskich. Rektor miał poważną minę i przez całą rozmowę rzadko na mnie patrzył. Co jakiś czas z grzeczności zmuszał się do uśmiechu. Kiedy skończyłem przedstawiać swoją sytuację, powiedział zimno: „To seminarium to najbardziej prestiżowa chrześcijańska instytucja kształcenia wyższego w całych Chinach. Żeby się tu dostać, musiałby pan się poddać prześwietleniu przeszłości politycznej. Poza tym musiałby pan zdać ogólnokrajowy egzamin wstępny do szkół wyższych. A kiedy spełni pan te dwa wymogi, będzie pan musiał jeszcze pracować tu przez dwa lata jako wolontariusz, zanim oficjalnie rozpocznie pan naukę”.

Liao: Prześwietlenie przeszłości politycznej? Domyślam się, że władze chcą sprawdzić, czy kandydat jest patriotą i popiera władzę komunistyczną.

Que: Błagałem go, mówiłem, że mógłbym pracować jako wolontariusz i chodzić na zajęcia, a oni mogliby w tym czasie przeświecić moją przeszłość polityczną. Ale rektor powiedział, że nie może pozwolić na taki precedens. Podzielił się też ze mną zmartwieniem, które trapiło go, bo wielu ludzi próbowało podjąć naukę w seminarium tylko po to, żeby dzięki temu wyjechać za granicę albo ożenić się z cudzoziemką. Ich motywacja nie miała nic wspólnego ze służbą Bogu. Kiedy tak mnie pouczał,

poczułem się źle. Ja też miałem inną motywację niż służba Bogu. Chciałem zmienić swoje życie ulicznego grajka. Czy było w tym coś złego?

Liao: Czy wskazał jakąś ścieżkę, którą mogłaby podążyć taka zbląkana owieczka jak ty?

Que: Poradził mi, żebym wrócił do Yichangu i opowiedział o mojej pasji miejscowemu kościołowi, należącemu do Potrójnie Samodzielnego Kościoła Patriotycznego*. W Chinach Partia stworzyła własne kościoły „katolickie” i „protestanckie” w każdym mieście. Nazywają się Chiński Patriotyczny Związek Katolicki i Patriotyczny Ruch Trzech Samodzielności – ten drugi jest protestancki.

Liao: Tak, wiem. To dziwne, że w Chinach Kościół katolicki nie podlega Watykanowi, tylko ateistycznej Partii Komunistycznej.

Que: To było zrozumiałe. Ponieważ nikt w Chinach nie wierzy już w komunizm, nasi przywódcy boją się, że obce religie mogą zagrozić władzy Partii. Ale nie wdawajmy się w dyskusję polityczną. Wracając do rady rektora, zgodnie z nią wróciłem do Yichangu. Zwróciłem się po pomoc do duchownego z Patriotycznego Ruchu Trzech Samodzielności. Powiedział, że może mi zaproponować pracę wolontariusza w swoim Kościele, ale muszę mieć oficjalne zezwolenie władz okręgu Yunyang. Zapytałem, czy Kościół może napisać list polecający, na co on powiedział, że nie może. Droga do Boga była więc zablokowana. Moja pasja religijna oficjalnie wygasła.

Liao: Jeśli rzeczywiście była to pasja, dlaczego nie zostałeś członkiem jednego z setek Kościołów podziemnych? Mógłbyś komponować hymny dla nich.

Que: Władze zakazały działalności Kościołom podziemnym. Wielu ludzi trafiło do aresztu. To za duże ryzyko.

* Ruch „trzech samodzielności” – samodzielne zarządzania, samodzielnego finansowania i samodzielnej działalności misjonarskiej, czyli o pełne uniezależnienie Kościołów, zarówno protestanckiego, jak i katolickiego, od wpływów zewnętrznych – był pierwotnie postulowany jeszcze przed dojściem komunistów do władzy, lecz usankcjonowany został w 1954 roku jako naczelna zasada odcinająca Kościoły w Chinach od wpływów zewnętrznych.

Liao: Co stało się po tym, jak twoje poszukiwania duchowe trafiły na przeszkody nie do pokonania?

Que: Życie toczyło się dalej, już bez Boga. Po jakimś czasie zmęczyłem się podróżami i postanowiłem gdzieś osiąść. Najpierw zamieszkałem w Chongqing. Ósmego października 1992 roku grałem pod wiaduktem w dzielnicy Shapingba. Mój śpiew przyciągnął dość duży tłum. Ale nie wiedziałem, że występ tego dnia „wrzuci mnie do szamba”.

Liao: Czy to slangowy odpowiednik „zgarnięcia przez Miejski Urząd Regulacji”?

Que: Owszem. Każdy artysta uliczny mógłby ci opowiedzieć o swoich doświadczeniach z MUR. Zasadzali się na mnie już wcześniej, jednak zawsze udawało mi się ująć z minimalnymi tylko stratami. Ale tego dnia wszystko wymknęło się spod kontroli.

Liao: Słyszałem wiele opowieści o skorumpowanych pracownikach MUR.

Que: Oni są jak złodzieje z sankcją państwa. Sprzedawcy muszą im dawać wielkie łapówki, żeby dostać pozwolenie. Jak ktoś nie ma pozwolenia, podczas regularnych kontroli potrafią mu wszystko zniszczyć. Ponieważ my używaliśmy drogiego sprzętu nagłaśniającego, straty mogły wynieść nawet kilka tysięcy juanów.

Liao: Byliście niewątpliwie lepiej wyposażeni niż zespół twojego ojca.

Que: Nasze dochody były proporcjonalne do inwestycji. Chcieliśmy się przebić i zarabiać więcej. Ale kiedy tego dnia zjawili się umundurowani złodzieje z MUR, moje marzenia runęły. Opowiem ci, jak to było. Jak już mówiłem, mój ochryply głos doskonale się nadawał do nowych chińskich utworów rockowych. Moim ulubionym był *Potomkowie smoka* tajwańskiego piosenkarza i kompozytora Hou Deimana. W latach dziewięćdziesiątych to był bardzo popularny kawałek. Większość młodych ludzi nie umiałaby zaśpiewać dwóch pierwszych linijek hymnu narodowego, ale *Potomków smoka* znała na pamięć. Dlatego kiedy tamtego dnia grałem ten kawałek, natychmiast zebrало się kilkaset osób i zaczęło śpiewać razem ze mną. Niezła zabawa. Tłum robił się coraz większy, a do naszego pudełka wpadały

banknoty jedno- i pięciojuanowe. Kiedy skończyłem, dostałem brawa i ludzie trzy razy żądali bisów. Rozkoszowałem się sukcesem, aż tu nagle w całej okolicy zawyły syreny. Pod wiadukt zajechało kilka wozów policyjnych i jeepów. Wyskoczyło ponad dwudziestu pracowników MUR i policjantów. Ponieważ zgromadziliśmy duży tłum, który był podniecony muzyką, trudno im było go rozgonić. Ludzie nie chcieli słuchać władzy. Widziałem, że policjanci są wściekli. Oskarżyli mnie o wzniecanie zamieszek i zaczęli kopać mikrofony i głośniki. Rozwalili bębny i sięgali po moją gitarę. Ponieważ była nowiutka, byłem na tyle głupi, że przycisnąłem ją do piersi i nie chciałem puścić. Dwóch policjantów usiłowało mnie uderzyć i odebrać mi gitarę. Zobaczyło to kilku widzów i zaczęli rzucać w policję butelkami po piwie. To ich rozjuszyło do reszty. Zaraz potem czterech czy pięciu policjantów zaczęło bić mnie i innych ludzi pałkami. Upadłem na ziemię, miałem zakrwawioną twarz. Gitara była połamana na kawałki.

Kiedy tłum wreszcie się rozszedł, policjanci zakuli mnie w kajdanki i wrzucili do wozu, a potem wsadzili do aresztu.

Liao: A co się stało z resztą zespołu?

Que: Spędzili w areszcie dzień czy dwa i zostali wypuszczeni. A ponieważ ja byłem liderem, postawili mi zarzut „stawiania oporu podczas aresztowania oraz wzniecania zamieszek”. Jeden oficer powiedział, że zasługuję na surową karę.

Liao: Jak cię traktowano w areszcie?

Que: Najpierw zamknęli mnie w jednej celi z trzynastoma innymi facetami. Nadal nie doszedłem do siebie po ciężkim pobiciu. Miałem gorączkę i leżałem na podłodze w całkowitej malignie. Drugiego dnia dwóch z tych skurwieli zobaczyło, że czuję się lepiej. Jeden wysikał się do dużej miski i podszedł do mnie. Razem z kumplem siłą otworzyli mi usta i łyżką napoili mnie tymi sikami. Kiedy je wypływałem, bili mnie po twarzy. Strażnik usłyszał, jak krzyczę, i przyszedł. Wrzasnął: „Co robicie temu tam, barany?”. Oni natychmiast stanęli na baczność i odpowiedzieli: „Poimy go tradycyjnym naparem leczniczym”. Ten się wtedy zainteresował: Jakim naparem? Oni na to: „Sikami prawiczka. Wie pan, że siki prawiczka dobrze robią na gojenie się ran”. Strażnik

wybuchnął śmiechem: „Wy niby jesteście prawiczkami? Mam nadzieję, że nie sprzedacie mu swoich syfów”. Potem odszedł, nie powstrzymując tortur.

Liao: To było obrzydliwe.

Que: Pod koniec pierwszego tygodnia więźniowie z mojej celi odkryli, że jestem piosenkarzem. Podekscytowało ich to. Taki, który był szefem gangu w mojej celi, zaraz zaprzął mnie do roboty. Kazał mi śpiewać każdą piosenkę, jakiej sobie zażyczył. Przez jedno popołudnie zaśpiewałem ponad czterdzieści piosenek. Prawie straciłem głos, a ci dranie nie chcieli odpuścić. W końcu zaczęli mi wtórować. Cały areszt zmienił się w salę koncertową. Zostałem wśród więźniów gwiazdą. Status gwiazdy pozwolił mi uniknąć wielu fizycznych ataków, jakie spotykają „nowych”.

Szef gangu był znanym w półświatku zabójcą. Zanim trafił do więzienia, biznesmeni wynajmowali go do ściągania długów. Tym, którzy nie dali rady zebrać na jego żądanie kasy, odcinał uszy albo dłonie. Ludzie się go potwornie bali. Zrobił ze mnie swoją cizję. Kiedy znudziło mu się moje śpiewanie, wpadł na nowy pomysł. Wieczorami, kiedy strażnicy nas nie pilnowali, zmuszał mnie do przebierania się za babę. Jeden z jego ludzi zrobił ze słomy perukę. Inny wkładał mi za koszulę dwie miski jako piersi. W kilka minut robili ze mnie dziewczynę z baru. Za mikrofon służyła mi tubka pasty do zębów. Kazali mi tańczyć i robić striptiz. Kilka razy zmusił mnie też, żebym mu zrobił loda. Na szczęście siedziałem w tym areszcie tylko dwa tygodnie. Później dostałem oficjalny dokument z sądu – wyrok skazujący na dwa lata w obozie reedukacyjnym dla młodzieży na przedmieściach Chongqingu.

W tym obozie sadziliśmy ryż, hodowaliśmy orchidee i zbieraliśmy herbatę. Najtrudniejsze było noszenie ludzkiego nawozu w wiadrach na długich drągach z wozów na pola. Moja dzienna norma wynosiła pięćdziesiąt takich tras. Ponieważ byłem niski i chudy, ta praca mnie wykańczała. Któregoś dnia porozmawiałem więc z kierownikiem obozu i zapytałem, czy mogę wykorzystać moje zdolności wokalne do edukowania i motywowania innych reedukowanych. W zamian za moje usługi zmniejszono by mi część przypadającego na mnie limitu noszenia gówna.

On uznał, że to dobry pomysł, i zgodził się, żebym nosił nawóz trzy razy w tygodniu, a nie sześć, jak do tej pory. Dał mi listę piosenek, które miałem wykonywać, między innymi *Rozpocznij nowy rozdział w swoim życiu, Praca fizyczna to powód do chwały i Socjalizm jest dobry*.

Liao: Mówiłeś mi, że w obozie straciłeś oko. Jak to się stało?

Que: Pewnego dnia nie wykonałem normy transportu nawozu i musiałem pracować po godzinach. Koło ósmej wieczorem byłem już bardzo zmęczony i kręciło mi się w głowie, ale dalej pracowałem bez chwili odpoczynku. Nagle zasłabłem i upadłem na twarz. Poczułem ostry ból w lewym oku. Okazało się, że wbił się w nie kamień. Krzyknąłem głośno i zemdlałem. Kiedy się obudziłem na drugi dzień rano, byłem w szpitalu. Zrobili mi operację i wyjęli gałkę oczną. Wtedy brakowało mi trzech miesięcy i czterech dni do wyjścia z obozu. Z powodu urazu wypuścili mnie wcześniej. Wróciłem więc na ulicę, na pół ślepy i bez niczego. Przypomnieli mi się moi ślepi rodzice. Czy to możliwe, żeby to było przeznaczenie, przed którym nie mogłem uciec?

Liao: Wierzysz w przeznaczenie?

Que: Kiedy to się stało, miałem trochę ponad dwadzieścia lat. Gdybym zdał się na przeznaczenie, nie miałbym odwagi, żeby się zmieniać i przetrwać.

Liao: Rzeczywiście się zmieniliś. Jesteś uznanym awangardowym muzykiem ulicznym.

Que: Moja muzyka silnie wiąże się z moim życiem. Za swoje największe osiągnięcie uważam to, że wiem, kim jestem. Kiedyś wstydziłem się rodziców i nie chciało mi się zagłębiać w ich muzykę i ich sztukę. Życie za kratkami i występy na ulicy pozwoliły mi na nowo docenić muzykę uliczną. Dziś życie ulicy to dla mnie bogate źródło muzycznej inspiracji. Stale noszę ze sobą magnetofon i nagrywam uliczny zgiełk. Potem wmiksowuję te żywe dźwięki do swoich piosenek.

Liao: Słuchałem płyty, którą mi przysłałeś. Muszę powiedzieć, że to bardzo ciekawy pomysł.

Que: Wróciłem do ludzi, których znam najlepiej. Latem 2000 roku, podczas Syczuańskiego Festiwalu Sztuki i Muzyki Ludowej koło Świątyni Wielkiego Buddy [Dafosi] w Chengdu

miałem okazję występować na tej samej scenie co Zou Zhongxi, mistrz muzyki ludowej. On miał już ponad osiemdziesiąt lat i był całkiem ślepy. Tak jak mój ojciec, Nauczyciel Zou też śpiewał i opowiadał, ale grał na trzyczęściowym drewnianym instrumencie, *jinxianban*, który śmigał mu w palcach i klekotał, a wariacje rytmiczne pobudzały opowieści. Mój ojciec zawsze bardzo podziwiał Zou. Nosił ze sobą radio i godzinami potrafił słuchać jego występów. Tego dnia zagrałem na *daoqin* mojego ojca, a potem Nauczyciel Zou wykonał *Wojownik pokonał tygrysa* na *jinxianban*. Kiedy doszedł do tej części opowieści, kiedy wojownik wreszcie poskromił dzikiego tygrysa, był tak emocjonalnie naelektryzowany, że prawie widziałem, jak z jego ślepych oczu sypią się iskry. To było coś niewiarygodnego. Po występie poszedłem na grób mojego ojca. Czułem, że wreszcie zrobiłem coś, z czego byłby dumny.

Lunatyk

Zawsze wątpiłem w istnienie lunatyków – do niedawna, kiedy to trafił mi w ręce esej poety Niu Hana. Napisał w nim: „Jako członek tak zwanej elity intelektualnej, podczas rewolucji kulturalnej byłem mocno bity po głowie przez Czerwoną Gwardię. Miałem duże wylewy w mózgu; w którymś momencie skrzep zaczął naciskać na nerw i zacząłem lunatykować. Nawyk lunatykowania dręczył mnie prawie przez pół wieku i stał się częścią mnie. Lunatykuje i w dzień, i w nocy. Stałem się kimś, kto nigdy nie może przebudzić się ze snu”.

Kilka lat temu poznałem Li Ying, która przez wiele lat pracowała jako urzędniczka komunistyczna. Z rozmowy z nią dowiedziałem się, że jej mąż, pisarz Guan Dong, także cierpi z powodu lunatyizmu. Tak zaczęła się nasza długa pogawędka.

Liao Yiwu: Słyszałem, że twój mąż, Guan Dong, napisał opowiadanie, którego bohater lunatykuje. Czy to opowiadanie autobiograficzne?

Li Ying: Nie jesteś pierwszą osobą, która zadaje to pytanie. Nie powiedziałabym, że całe opowiadanie jest autobiograficzne, ale ta część o lunatykowaniu owszem. W odróżnieniu od poety Niu Hana, który ucierpiał podczas rewolucji kulturalnej, mój mąż zaczął lunatykować w innych traumatycznych okolicznościach.

W roku 1948 Chinami rządili jeszcze nacjonaści pod wodzą Czang Kaj-szeka. Guan Dong był studentem, bardzo aktywnie działał w studenckim ruchu przeciwko korupcji władzy.

Pewnego razu brał udział w demonstracji i starciu z policją. Został aresztowany i spędził w więzieniu ponad czterdzieści dni. Wreszcie pod naciskiem opinii publicznej rząd wydał nakaz jego zwolnienia. W dniu, kiedy kierownik więzienia powiedział mu, że może iść do domu, poproszono go, żeby podpisał jeszcze jakieś papiery. Poprowadzono go ciemnym korytarzem i nagle zobaczył, jak rusza w jego stronę kilka ciemnych sylwetek. Guan Dong natychmiast się odwrócił i chciał uciekać. Ale był otoczony ze wszystkich stron. Napastnicy mieli w rękach grube drewniane pałki. Jeden uderzył go w sam czubek głowy. Guan Dong krzyknął głośno i zemdlął. Kiedy odzyskał przytomność, znajdował się w przestronnej sali w szpitalu. Te zbiry porzuciły go na ulicy i obcy ludzie przynieśli go do szpitala. Ja pracowałam tam jako pielęgniarka.

To zdarzenie spowodowało, że w ciągu jednej nocy stał się sławny. Opinia publiczna zaczęła naciskać, żeby rząd wszczął śledztwo w jego sprawie. Wielu sądziło, że to rząd nasłał tych zbiorów, żeby pobili Guan Donga, a przez to napędzili stracha innym studentkim działaczom. Kiedy leżał w szpitalu, kilka organizacji prokomunistycznych wysłało do niego swoich przedstawicieli. Gazety opisywały jego historię i zamieszczały duże zdjęcia. Jego sala zawsze była pełna kwiatów, z których większość przysyłały kobiety. Przy takiej opiece i wsparciu opinii publicznej bardzo szybko wrócił do zdrowia. Na początku 1949 roku było jasne, że władzę przejmą komuniści. Rząd nacjonalistyczny szybko tracił poparcie. Wszędzie panował chaos. Guan Dong chciał wrócić do domu, ale lekarz poradził mu, żeby został jeszcze kilka miesięcy w szpitalu.

Mnie wyznaczono do opieki nad nim. W miarę upływu czasu zaczynałam się w nim zakochiwać. Pewnego dnia niosłam tacę z lekarstwami i właśnie wychodziłam z dyżurki pielęgniarskiej, kiedy usłyszałam z sali Guan Donga krzyk. Był tak głośny, jak sygnał pociągu. Tak się przestraszyłam, że upuściłam tacę z lekarstwami. Pobiegłam do jego sali i kopnięciem otworzyłam drzwi. Zbiegło się też kilku lekarzy. I co się okazało? Guan Dong stał przy oknie i spokojnie palił papierosa. Zachowywał się tak, jakby nic się nie stało. Nie wiedział, dlaczego w jego sali znalazło

się nagle tyle osób. Poklepał mnie po ramieniu i zapytał z uśmiechem: „Co się dzieje? Dlaczego oni wszyscy tu przyszli? Czy coś się stało?”

Myślałam, że udaje i tak się rozgniewałam, że nic nie odpowiedziałam. Później wezwał mnie do swojego gabinetu jeden z lekarzy i zapytał: „Jesteś pewna, że chcesz wyjść za tego człowieka? Guan Dong pewnie nigdy całkiem nie wydobrzeje. Nadal ma w mózgu kilka skrzepów. Nie możemy ich usunąć, bo nasz szpital nie dysponuje odpowiednimi umiejętnościami i technologią. Kiedy skrzep nacisnie na nerw, Guan Dong może mieć zacięcia pamięci. Epizod, który dziś pani widziała, mówię o tym krzyku, może być pierwszym z wielu takich ataków w przyszłości”. Byłam zszokowana i zapytałam, czy będą one częste. Lekarz powiedział: „Objawy będą się pojawiać wtedy, kiedy będzie zdeenerwowany, zestresowany czy nadmiernie pobudzony. Ale na szczęście Guan Dong jest silny. Jest optymistą. Myślę, że będzie sobie dobrze radził. Dziś technologia szybko idzie do przodu. Jak poprawią się warunki w naszym szpitalu, będziemy mogli go zoperować i wyleczyć”.

To powiedział mi lekarz w 1949 roku. Nie miałam pojęcia, że choroba Guan Donga będzie się ciągnęła nieleczona przez ponad czterdzieści lat. Przyzwyczaiałam się do jego sporadycznych głośnych krzyków. Jego chorobie towarzyszył jeszcze jeden męczący objaw, o którym lekarz nie wspominał: lunatykowanie. Normalnie Guan Dong jest człowiekiem bardzo spokojnym, uprzejmym. Kiedy lunatykuje, wychodzi na jaw inna strona jego osobowości – jest podekscytowany, pełen pasji. Lunatykuje bardzo spokojnie, prawie bezszelestnie. Tak jak opisał to Freud w swojej książce, wszystkie ludzkie sny są gwałtowne i niekompletne, i mają wiele wspólnego z pierwszymi latami naszego życia. Guan Dong nie pamięta swoich snów. Zwykle mówię mu, co widziałam, kiedy lunatykował. W ten sposób zebrał materiał do swojego opowiadania.

Liao: Kiedy zaczął lunatykować?

Li: To było w trzecim miesiącu po naszym ślubie. Pamiętam datę bardzo dobrze, bo było to tuż przed wejściem wojsk komunistycznych do Pekinu. Jak wielu mieszkańców Pekinu, Guan

Dong bardzo się tym ekscytował, bo był idealistą, wierzył, że komuniści mogą zmienić dawną władzę, przeżartą korupcją. W przeddzień oficjalnego wejścia wojsk do miasta, wieczorem, umówiliśmy się z przyjaciółmi, że spotkamy się nazajutrz na terenie Uniwersytetu Pekińskiego, żeby uczcić to wydarzenie.

Mniej więcej godzinę po tym, jak położyliśmy się spać, obudziłam się. Guan Donga nie było w sypialni. Usłyszałam jakieś odgłosy ze wspólnej łazienki w korytarzu. Powoli otworzyłam drzwi i boso poszłam do łazienki. Zobaczyłam, że mój mąż stoi przed lustrem i się goli. Zawołałam go szeptem: „Guan Dong, Guan Dong”. Nie odpowiedział mi i dalej się golił. Kilka minut później zaczął cicho myć twarz. Kiedy skończył, odwrócił się powoli. Widziałam, że zaciął się w podbródek i krwawi. Patrzył pustym wzrokiem przed siebie. Ponieważ jest ode mnie dużo wyższy, wbił wzrok gdzieś nad moją głowę. Zaczęłam rozumieć, co się dzieje. Ponieważ lekarz ostrzegł mnie, żeby nie budzić go, kiedy będzie lunatykował, mówiąc, że może to spowodować nagłą śmierć, pobiegłam z powrotem do sypialni i udawałam, że śpię. Modliłam się, żeby wrócił do łóżka. Ale nie wrócił. Wszedł do sypialni, zrobił zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, jak na ćwiczeniach wojskowych, i sztywno wymaszerował. Był w białym i boso.

Ubrałam się i poszłam za nim. Wybrał znaną ścieżkę pod naszym hotelem pielęgniarskim. Bałam się, że pójdzie aleją, która prowadzi do budynku, gdzie leżą pacjenci. To byłoby straszne. Przeszedł przez ogród i skierował się do kostnicy, koło oddziału chorób zakaźnych. Nie wiedziałam, co mam robić, więc tylko za nim szłam. Nie było wtedy telefonów komórkowych i nie miałam jak zadzwonić po pomoc do lekarza dyżurnego. Guan Dong zatrzymał się przed drzwiami kostnicy, nacisnął klamkę i wszedł do środka. Narobił tam zamieszania. Wyciągnął z lodówek dwa trupy i postawił pod ścianą. Zapukałam do drzwi strażnika i błagałam go ze łzami w oczach, żeby mi pomógł. Na szczęście strażnik wykazał się zimną krwią. Podniósł z podłogi cienki kijek i wszedł do kostnicy. Zbliżył się do Guan Donga, aż stał z nim ramię w ramię. Kiedy Guan Dong wyciągnął rękę, strażnik podał mu kijek. Sam trzymał za jeden koniec, a Guan Dong za drugi. Strażnik zaczął prowadzić Guan Donga na tym

kijku, a on, o dziwo, posłusznie szedł. Kiedy doprowadził go aż pod nasze drzwi, Guan Dong rzucił się na łóżko i wkrótce zaczął jak zwykle głośno chrapać.

Liao: To było chyba dość niebezpieczne. Czy mąż kiedykolwiek zrobił pani krzywdę, kiedy lunatykował?

Li: Nigdy nikomu nie zrobił krzywdy. Po tym pierwszym epizodzie z lunatykowaniem powiadomiłam lekarza w moim szpitalu. Za zgodą szpitala co wieczór przed snem dawałam mu do wypicia wodę, w której rozpuszczałam parę tabletek nasennych. Poprosiłam też sąsiada, żeby na noc zamykał nasze drzwi od zewnątrz. Tym sposobem, nawet gdyby lunatykował, nie wyszedłby poza nasze mieszkanie. Mąż w ogóle nie jest dociekliwy. Nie wiedział o tabletkach nasennych, powiedział tylko, że woda ma trochę dziwny smak. Nigdy nie wnikał dlaczego. Z czasem zaczęłam zauważać w jego zachowaniu wzór. Kiedy jego nastrój i emocje były pod kontrolą, wszystko było dobrze. Guan Dong kochał pisać. Kiedy nastały rządy komunistów, potrzebni byli młodzi ludzie o prokomunistycznej przeszłości do pracy w branży wydawniczej. Guan Dong wkrótce podjął pracę w nowo powstałym wydawnictwie. Niestety, wkrótce po tym, jak zaczął pracować, wybuchła wojna koreańska i Chiny sprzymierzyły się z Koreą Północną przeciwko Stanom Zjednoczonym. Guan Dong zgłosił się do wojska, nic mi nie mówiąc. Kiedy powiedział mi o swojej decyzji, byłam zszokowana i usiłowałam go powstrzymać. Nie mogłam powiedzieć mu prawdy o jego chorobie. Bałam się, że zbyt ciężko to przeżyje.

Wymyśliłam kłamstwo: powiedziałam, że nie może jechać, bo jestem w ciąży. Kiedy to usłyszał, tylko się roześmiał. W tamtych czasach od młodych ludzi oczekiwano, że dobro kraju będą przedkładać ponad wszystko inne. Fakt, że żona była w ciąży, nie był respektowanym powodem, dla którego mąż nie miałby zaciągnąć się do wojska. Poszłam więc poprosić o pomoc kierownika naszego szpitala. Miałam nadzieję, że napisze do wojska o chorobie Guan Donga. Ale kierownik był właśnie prześwietlany przez nowe władze. Był podejrzany o szpiegostwo na rzecz starego, nacjonalistycznego reżimu. Ale ja się nie poddałam. Udało mi się dotrzeć do lekarza, który leczył Guan Donga

i wspólnie dokopaliśmy się do karty jego choroby. Chwycałam ją i pełna wiary pobiegłam do biura mobilizacyjnego. Kiedy pokazałam oficerom te dokumenty, dowiedziałam się, że mój mąż już wyruszył ze swoją jednostką. Strasznie się martwiłam. Poszłam na stację kolejową i kupiłam bilet do granicy koreańskiej. Zanim pociąg dojechał do celu, zatrzymał się na jakiejś małej stacyjce. Wsiadło kilku żołnierzy i kazało wszystkim pasażerom wysiadać. Mogli zostać tylko ci, którzy mieli specjalne przepustki. Dowiedziałam się, że wojna już wybuchła.

Podczas pierwszych trzech miesięcy Guan Dong świetnie się spisywał jako dziennikarz frontowy. Napisał kilka świetnych artykułów do chińskich gazet. Co ważniejsze, kiedy była taka potrzeba, chwycił za broń i walczył jak żołnierz. Był snajperem, dostał nawet medal. Ale po tych trzech miesiącach został oskarżony o „szpiegostwo na rzecz Stanów Zjednoczonych” i odesłany do Chin.

Wie pan dlaczego? Pewnej nocy jego jednostka wykonywała rozkaz stworzenia zasadzki na siły wroga. Kiedy Guan Dong krył się z towarzyszami broni w krzakach, nagle podskoczył, upuścił karabin i zupełnie bez powodu głośno krzyknął. Jak się pan domyśla, zaalarmowało to siły wroga. Ich żołnierze rzucili bombę zapalającą i zarośla, w których kryli się Chińczycy, w ciągu kilku sekund stanęły w ogniu. Plan zasadzki spalił na panewce, Chińczycy ponieśli też spore straty w ludziach. Dowódca musiał wezwać posiłki, żeby jego żołnierze mogli się wycofać. Podczas wycofywania kula trafiła Guan Donga w nogę. Jego koledzy, wściekli za jego wcześniejsze nieracjonalne zachowanie, zwięzali go i wywlekli stamtąd, ciągnąc po ziemi. Później karta choroby, którą dostarczyłam władzom wojskowym, ocaliła go od procesu przed sądem wojskowym. Guan Dong wrócił do Pekinu pełen poczucia winy i żalu. To poczucie winy prześladowuje go do dziś. Jednak gdyby nie rana od kuli w nodze, nawet by nie pamiętał, że krzyknął, przez co wróg otworzył do nich ogień.

Liao: Wtedy Guan Dong wiedział już o swojej chorobie. Co zrobił?

Li: Przez kilka tygodni był trochę przygnębiony. Siedział w domu i pił. Pytał mnie ciągle: „Na pewno nie zrobiłem ci krzywdy? Jeżeli jestem dla ciebie za dużym ciężarem, możemy złożyć pozew

o rozwód”. Pocięszałam go cierpliwie, jak to pielęgniarka: „Ponieważ tak bardzo mnie kochasz, nie zrobiłbyś mi krzywdy. Sny to w większości odpryski zachowania na jawie. Jesteś dobrym człowiekiem i tę dobroć odzwierciedla też zachowanie, którego nie jesteś świadomy”. Dlatego się nie boję. Guan Dong długo na mnie patrzył, aż wreszcie powiedział: „Mam nadzieję, że mnie nie okłamujesz, żebym poczuł się lepiej. Mój atak w Północnej Korei doprowadził do śmierci i okaleczenia wielu moich towarzyszy broni. To ja powinienem być zginąć”. Przytuliłam go wtedy i powiedziałam: „Guan Dong, musisz się wydobyć z depresji. Jesteśmy jeszcze młodzi, na pewno znajdziemy lekarstwo na twoją chorobę”. Był wzruszony i wreszcie powiedział: „Z tobą u boku jestem pewien, że wrócę do zdrowia”. Od tamtej rozmowy minęło wiele lat, a ja wciąż wyraźnie pamiętam te słowa.

Liao: Co stało się potem?

Li: Guan Dong wrócił do wydawnictwa. Dobrze się ze wszystkimi dogadywał, szef bardzo go lubił. Zawsze, kiedy prosił o kilka dni wolnego ze względu na leczenie, szef się zgadzał i pomagał mu finansowo, nie robiąc z tego żadnego problemu. Jeździliśmy do Szanghaju i Kantonu, szukaliśmy pomocy nawet u specjalistów ze Związku Radzieckiego, który był w latach pięćdziesiątych bliskim sojusznikiem Chin. Nikt nie miał odwagi podjąć się operacji. Nie mieliśmy wyjścia, musieliśmy czekać na cud. Żeby na pewno nie wyrządzić żadnych szkód podczas lunatykowania, Guan Dong męczył się, ślęcząc do późna nad poprawianiem rękopisów. Przed pójściem spać zamykał od zewnątrz drzwi sypialni, chował wszystkie ostre metalowe przedmioty i wypijał kilka setek alkoholu, na mocny sen. Zawsze sypiał na kanapie w salonie.

W 1957 roku Przewodniczący Mao rozpoczął kampanię przeciwko pravicowcom. Ponieważ wszyscy pisarze i pracownicy wydawnictwa Guan Donga byli ze sobą w zażyłych stosunkach, kierownictwo wskazało tylko kilku „prawicowców”. Jak się okazało, nie zadowolilo to władz miasta, które wyznaczyły limity dla każdej organizacji państwowej. Ponieważ głównym celem tej kampanii byli intelektualiści, firmie Guan Donga, która zatrudniała wielu pisarzy i redaktorów, wyznaczono wyjątkowo

wysoki limit. Zdaniem Mao pisarze i redaktorzy byli jednostkami najbardziej niebezpiecznymi, żywiącymi niechęć do Partii. Żeby sprostać wymaganiom, wydawnictwo niechętnie wskazało jeszcze dwóch ludzi, którzy przyznali, że w swoich dziennikach dawali upust niezadowoleniu z Partii. Później szef Guan Donga, pan Wang, otrzymał pismo od władz miasta z nakazem wskazania jeszcze jednego pravicowca. Gdyby wydawnictwo nie zastosowało się do nakazu, miejskie władze Partii miały wysłać swoich ludzi do przeprowadzenia w firmie śledztwa. W końcu naciskany coraz mocniej pan Wang powiedział na zebraniu załogi: „Jeśli nie uda nam się znaleźć jeszcze jednego pravicowca, to sam się zgłoszę, bo to ja jestem odpowiedzialny za każdą podejmowaną tu decyzję”. Słyszając to, Guan Dong zachnął się, wstał i powiedział: „Nie może pan tego zrobić. Ma pan na utrzymaniu dużą rodzinę, rodziców, dzieci i wnuki. Jeżeli otrzyma pan etykietę pravicowca, ucierpią wszystkie pana dzieci, przekreśli to ich przyszłość. Proszę wskazać mnie. Ja nie mam dzieci”. Pan Wang zapytał: „A co na to pana żona? Rozmawiał pan z nią?”. Guan Dong odpowiedział: „Nie muszę. Zawsze był pan dla mnie dobry w związku z moją chorobą. Teraz przyszła odpowiednia pora, żeby się panu za to odwdziaczyć. Jestem pewny, że żona się ze mną zgodzi. To dla nas zaszczyt, że możemy się panu przysłużyć”. Pan Wang zauważył: „Ale nie zrobił pan ani nie powiedział nic przeciwko Partii Komunistycznej. Nie mogę pana o nic oskarżyć”. Guan Dong zawahał się chwilę, po czym zaproponował: „To może teraz powiem coś przeciwko Partii? Skoro wszyscy tu są, będą mogli być świadkami. Jeżeli to będzie za mało, mogę powiedzieć, że jako redaktor pracowałem nad artykułami napisanymi przez pravicowców i kontrrewolucjonistów”.

Liao: Zachował się bardzo altruistycznie.

Li: Przez kilka minut był bohaterem, a przez następne dwadzieścia lat słono za to płacił. Niedługo po tym, jak został oskarżony o bycie pravicowcem, został wyrzucony z wydawnictwa i zesłany na wieś pod Pekinem w celu reedukacji przez ciężkie roboty fizyczne. Przed wyjazdem z Pekinu Guan Dong poszedł ostatni raz do zakładu pracy, żeby pożegnać się z byłymi

współpracownikami. Minęły niecałe dwa miesiące, odkąd zadeklarował się jako prawicowiec, ale ludzie jakby zapomnieli już, w jakich okolicznościach się to stało. Wszyscy omijali go szerokim łukiem, jakby był zakaźnie chory. Jedną z koleżanek z pracy była jego bliską przyjaciółką. Kiedy wpadli na siebie na dziedzińcu, myślała, że on chce ją zaatakować. Wystraszyła się i uciekała na oślep, aż wpadła do rynsztoka. Guan Dong był zszokowany reakcją swoich byłych współpracowników. Znikł mu z twarzy zwykły uśmiech. Kiedy wrócił do domu, wypił pół butelki alkoholu i stracił przytomność. Kilka godzin potem znów zaczął lunatykować. Tym razem zbił szybę w oknie i wyskoczył na zewnątrz. Na szczęście mieszkaliśmy wtedy na parterze i nic poważnego mu się nie stało. Z powodu tego ostatniego epizodu przez jakiś czas był naprawdę przybity. Kiedy byliśmy na wsi, całymi dniami ciężko pracował w polu. Ale kiedy wieczorem kładł się spać, przywiązywał się sznurem do łóżka. Wymierzał sobie tę brutalną karę przez wiele lat, aż do powrotu do Pekinu, na który dostaliśmy pozwolenie pod koniec lat siedemdziesiątych, kiedy rząd centralny zdjął z mojego męża oskarżenie.

Liao: Mają państwo dzieci?

Li: Nie, nie mamy. Najpierw byliśmy za bardzo pochłonięci szukaniem lekarstwa na jego chorobę. Po Wielkim Skoku Naprzód pod koniec lat pięćdziesiątych Chiny nawiedził głód. Kiedy wokół umierały miliony ludzi, nie było sensu nawet myśleć o dzieciach. Kiedy głód się skończył i w 1964 roku było wreszcie pod dostatkiem jedzenia, powiedziałam Guan Dongowi, że chcę mieć dziecko. Ale on się bał, że jego etykieta prawicowca zniszczy przyszłość dzieci.

Liao: Jak przeżyli państwo głód?

Li: Wielu prawicowców wtedy cierpiało i umierało. Ja pracowałam w szpitalu na wsi, a lekarze i pielęgniarki dostawali większe niż chłopcy przydziały żywności. Poza tym Guan Dong stale chodził do władz okręgu i dopominał się o większe przydziały. Ponieważ nie było mięsa, jedynym źródłem białka były ludzkie łożyska, które przynosiłam ze szpitala. Miejscowi nie chcieli ich tykać, bo nie pozwalały im na to ich zabobony. Mieliśmy dużo szczęścia, że przeżyliśmy.

Liao: Czy teraz, kiedy warunki w szpitalach znacznie się poprawiły, Guan Dong znalazł sposób na pozbycie się choroby?

Li: Przypuszczam, że teraz mógłby przejść operację, ale nie chce wydawać na to pieniędzy. Żartuje, że diabeł i tak już mieszka w jego mózgu od wielu lat. Gdyby lekarz go wyciął, miałby w głowie dziurę i to by mu się nie podobało. Co za nonsens! Przekroczył siedemdziesiątkę, a wciąż zachowuje się jak dzieciak. Podjęliśmy sporo środków ostrożności. Mamy mały domek z ogrodem. Wieczorem zawsze zamykamy drzwi na klucz, żeby nie mógł we śnie pójść za daleko. Czasami wstaje w środku nocy, goli się i czyta w swoim gabinecie. Kiedyś obudziłam się i po cichu zająrzałam do niego przez uchylone drzwi. Nagle się odezwał: „Co tu robisz, kochana?”. Bardzo się zdziwiłam. Zgadnie pan? Nie lunatykował, był świadomy. Ostatnio po prostu potrzebuje mniej snu.

Guan Dong jest wciąż młody duchem. Pod koniec lat osiemdziesiątych rząd planował zamknięcie znanego pisma dla młodzieży, ponieważ jego wydawca zamieścił artykuł, który rzekomo przeciwstawiał się polityce Partii. Decyzja ta wzbudziła gniew wielu intelektualistów. Kiedy dowiedział się o niej Guan Dong, włożył koszulkę i boso poszedł do biura urzędnika partyjnego, który odgrywał w likwidacji tego pisma główną rolę. Guan Dong usiadł w sali posiedzeń, zaczął krzyczeć i płakać. Narobił tam dość dużo zamieszania i zgromadził duży tłum. Kiedy ludzie się zeszli, wygłosił mowę o tym, dlaczego Partia nie powinna tłumić wolności słowa. Wariat. Ponieważ już nie pracował i tak wiele w życiu przeszedł, nie wiedzieli, co z nim zrobić.

Niedawno, kiedy czytał coś późnym wieczorem, natknął się na artykuł o lunatykowaniu. Tak się podniecił, że mnie obudził i powiedział: „Słuchaj, tutaj piszą, że w Ameryce Południowej jest wioska dla lunatyków. Ludzie pracują w nocy, a w dzień lunatykują. Jeśli turyści przyjadą tam koło południa, mogą zobaczyć, jak ludzie śpią w cieniu drzew albo lunatykują na ulicach. Jest tam bardzo spokojnie. Wioska budzi się do życia dopiero po zmroku. Wtedy otwierają się sklepy. Ludzie wstają i biorą się do pracy. O północy cała wieś jest oświetlona jak w biały dzień. Kiedy przyjechał cyrk, na nocnych pokazach był komplet widzów, miejscowych i turystów”.

Liao: Też słyszałem o tym opowiadaniu.

Li: Guan Dong nie sądzi, że to jest opowiadanie. Naprawdę wierzy, że to miejsce istnieje. Zbiera teraz o nim materiały i liczy, że przed śmiercią uda mu się tę wioskę odwiedzić. Jak mówi: „To jest ojczyzna lunatyków. Tam odmieńcem jest ten, kto nie lunatkuje. Czy to nie cudowne? Myślę, że był tam kiedyś Gabriel García Márquez. Jego książka *Sto lat samotności* jest napisana takim marzycielskim stylem. Czasami śni mi się, że napisałem duży kawałek dobrego tekstu. A kiedy budzę się rano, okazuje się, że papier jest czysty. Nic się nie zapisało”.

Liao: Wydaje mi się, że lunatykowanie to dla Guan Donga jednocześnie nieszczęście i błogosławieństwo. W pewnym sensie oferuje mu świat marzeń, do którego może uciekać, tymczasowo, oczywiście, od mrocznego świata, w którym żyjemy. Tak czysty i niewinny człowiek jak Guan Dong zasługuje na to, żeby żyć w niebie.

Li: Chociaż spotkało nas w życiu wiele trudności, myślę, że Guan Dong zawsze żył w niebie.

Robotnik napływowy

W ostatnich latach miliony chłopów wyemigrowały z dotkniętych ubóstwem terenów wiejskich do wielkich miast w poszukiwaniu lepszej pracy. Wielu z nich pracuje na budowach albo w fabrykach odzieży czy zabawek. Według oficjalnych statystyk rządu chińskiego w samym roku 2003 największe miasta Chin zalała fala około stu czternastu milionów robotników ze wsi, tak zwanych *min gong*, czyli „robotników-chłopów”.

W Chengdu najbardziej zatłoczony rynek pracy znajduje się w okolicy Mostu Dziewięciorga Oczu. Kolejka poszukujących pracy ciągnie się na kilka ulic. Niedawno, pewnego zimowego ranka, poszedłem tam, udając pracodawcę. Liczyłem na to, że uda mi się porozmawiać z przyjezdnymi robotnikami napływowymi i poznać ich historie. Ale sztuczka się nie udała, bo nikt nie miał czasu na pogaduszki. Wieczorem tego samego dnia, na bocznej ulicy koło Nowej Południowej Bramy, spotkałem przypadkiem Zhao Er. Zhao, mężczyzna po czterdziestce, należał do tych robotników napływowych, którzy spali na ulicy. Pochodzi z północy Syczuanu. Nie chciał mi zdradzić swojego prawdziwego nazwiska. Usłyszałem, że jego towarzysze z prowizorycznej noclegowni wołają na niego Zhao Er, czyli Drugi Zhao.

Liao Yiwu: Od jak dawna jest pan poza domem?

Zhao Er: Od siedmiu lat.

Liao: Tęskni pan?

Zhao: No jasne. Mam żonę i dzieciaki.

Liao: Jak to „dzieciaki”? Czy mieszkańcy terenów wiejskich nie są zobowiązani do przestrzegania polityki jednego dziecka?

Zhao: Jasne, że jesteśmy. W mojej wsi płaci się karę w wysokości trzech tysięcy juanów [trzysta osiemdziesiąt dolarów] za każde kolejne dziecko. A ja nie mam z czego płacić. I co mi mogą zrobić? Prawie nic. Nie jest tak jak kiedyś, że władze karzą tych, co się nie stosują do zakazu, i zrównują im z ziemią dom, czy że zmusza się kobiety w wieku rozrodczym do zakładania spirali. Kiedyś jak wkładali taką spiralę, to strasznie trudno było ją wyjąć. Zdesperowani wieśniacy próbowali czasem pałeczkami, ale i tak im się nie udawało. Ponieważ Zachód krytykuje Chiny za to, że traktują kobiety jak zwierzęta, miejscowe władze zaniechały tej praktyki, a w każdym razie nie stosują jej już otwarcie.

Był kiedyś taki skecz, który wyśmiewał chłopów ze wsi, że uciekają z żonami w ciąży w dalekie strony, żeby płodzić kolejne dzieci. To była przesada. Jak się zastanowić, to na to, żeby uciec, trzeba mieć pieniądze. Kto płaci za przejazd? Dzisiaj trudno jest się przejechać pociągiem bez biletu. Mam trzy córki. Wszystkie urodziły się u nas we wsi. Ponieważ złamałem zakaz, odwiedziła mnie w chałupie urzędniczka z wydziału planowania rodziny. Było u nas tak ciemno, że nic nie widziała. Potknęła się o prowizoryczny piec i spanikowała. Moja żona karmiła wtedy piersią naszą trzecią córkę. Pozostałe dwie chwyciły urzędniczkę za spódnicę, ciągnęły i prosiły o cukierka. Wybiegła co sił w nogach. Po tej wizycie więcej nam nie zawracała głowy.

Liao: Skoro byliście tacy biedni, to dlaczego zdecydowaliście się na kolejne dzieci?

Zhao: Jestem całkiem goły. W ogóle nie mam szczęścia do pieniędzy. Taki mój los. Ale mój fiut nie chce tego losu zaakceptować. On jeden się stawia. Im więcej zasadzę nasienia, tym większa szansa, że odmienię swój los. Poza tym w odróżnieniu od was, miastowych, my wieśniacy nie mamy pieniędzy na nocne kluby. Wieczorami, kiedy jest ciemno i nudno, i nie ma nic do roboty, to rzucamy babę na łóżko i robimy sobie własny nocny klub. A jak się nie uważa, zdarzają się wpadki. Babie znów może urosnąć brzuch. No i co, tak się zdarza i już. Moja strasznie chciała mieć

syna. Im bardziej chciała syna, tym więcej rodziła przeklętych dziewczuch.

Liao: Odkłada pan pieniądze i posyła do domu?

Zhao: No, kiedyś posyłałem regularnie. Ale od ponad pół roku nie posyłam.

Liao: Jak żona i dzieci radzą sobie bez pieniędzy?

Zhao: Muszą same kombinować, jak przetrwać. Moja żona dobrze zna naszą miejscowość. Jak jest ciężko, bierze bachory, chodzi od drzwi do drzwi i żebrze. Pewnie zarabia więcej ode mnie. Dzieciaki na wsi nie rodzą się w czepku. Kiedy mają dwa, trzy lata i już dobrze chodzą, zaczynają pomagać w domu albo chodzą żebrać o jedzenie. Dzieciaki z bogatych rodzin gorzej się chowają. Wyglądają zdrowo jak cholera i są tłuste, ale co drugi dzień lądują w szpitalu. A moje dziewczuchy nigdy nie chorują. Są zahartowane od wiatru i deszczu. Są jak młode drzewa. Jak je człowiek zostawi w spokoju, to co się obróci i popatrzy, są trochę wyższe.

Liao: Jak może pan jako ojciec podchodzić do tego tak niefrasobliwie?

Zhao: Ja to nawet sam o siebie nie daję rady zadbać. Może i żyje im się ciężko, ale przynajmniej mają dom. Ja muszę spać na ulicy. Niech pan popatrzy na tych chłopaków tutaj. Wszyscy młodsi ode mnie. Ja jestem stary przyk i dostaję tu w dupę. Do targu pracy przy Moście Dziewięciorga Oczu mam blisko. Muszę tam być jutro rano. Jak mi się uda, może dostanę robotę w jakiejś knajpie gdzieś niedaleko. Kiedyś chciałem poszukać pracy na budowie. Budowlanka to ciężka harówka, ale trochę lepiej płacą. Ale jak burczy mi w brzuchu i robi się zimno, to marzę tylko o robocie w restauracji, gdzie mogę dostać za darmo miskę gorącego makaronu. Tam dalej, koło domu pogrzebowego, jest knajpa, w której sprzedają makaron. Prowadzi ją taka grubaska. Liczy sobie trzy juany za miseczkę makaronu, do tego za darmo można brać dokładki makaronu, ale już bez sosu. Kiedyś byłem taki wygłodzony, że zjadłem aż siedem miseczek makaronu!

Liao: Coś mi się zdaje, że bardziej obchodzi pana makaron niż własne córki.

Zhao: Ej, kolego, a może pan ma zbyciu parę juanów, żebym mógł sobie kupić miseczkę makaronu?

Liao: Proszę, dziesięć juanów. Ale cicho, niech pan nie robi zamieszania. Bo zaraz zlecą się inni i będą mnie prosić o pieniądze. Swoją drogą, zawsze pan śpi tak, na ulicy?

Zhao: Nie można tego nazwać „spaniem na ulicy”. To nieprzemakalny plastikowy namiot. Śpię pod nim, na wodoodpornej płachcie. Kiedy kładę na niej kołdrę, to jakbym spał w wygodnym łóżku. Ponieważ teraz oszczędzam, to nie będę w przyszłości głodował.

Na samym początku, kiedy przyjechałem do miasta, mieszkałem na ulicy. Później rozkręciłem biznes z riksami i zarobiłem na wynajęcie mieszkania z kilkoma innymi. Potem, kiedy skonfiskowano mi kilka riksza, zbankrutowałem. Nie miałem na czynsz. Dziś po południu myślałem sobie, że szarpnę się na noc w noclegowni za pięć juanów, ale zanim tam dotarłem, nie było już miejsc.

Liao: Gdzie jest ta noclegownia? Dlaczego jest taka tania?

Zhao: Koło Mostu Dziewięciorga Oczu. To ileś tam plastikowych namiotów i parę ruder. W dzień to jest targ. W namiotach kupcy mają stragany. Wieczorem zamyka się wejścia i namioty służą jako sypialnie. W większym namiocie może się upchnąć siedem, osiem osób. Zimą, kiedy ciała są ciasno stłoczone, jest dość ciepło. Czasem jest tak ciepło, że wystarczy, że człowiek pierdnie, a już się spoci. Codziennie przed nocą właścicielka stoi przed namiotem, pobiera opłaty i stara się wcisnąć do każdego namiotu tylu ludzi, ile się da. Lubi powtarzać przeróbkę starego powiedzenia Przewodniczącego Mao, „Przybywamy ze wszystkich krańców ziemi, zjednoczeni wspólnym celem, jakim jest wzniesienie rewolucji komunistycznej”. Ona przerobiła to na coś takiego: „Wszyscy jesteśmy podróżnikami, przybywamy ze wszystkich krańców ziemi. Dla wspólnego celu, jakim jest zarabianie pieniędzy, teraz leżymy w ścisku”. Ale nawet ta cholerna nora była dziś cała zajęta. W zeszłym tygodniu dostałem fajne płatne miejsce w ruderze. Ale koło północy wyszedłem, żeby się wysikać, a kiedy wróciłem, moje miejsce było już zajęte. Starałem się wcisnąć, ale odepchnęło mnie kopniakami siedem

czy osiem par nóg. Byłem wściekły. Zawinałem się w kołdrę i do rana siedziałem pod drzwiami. Spanie tutaj wcale nie jest takie złe. Przynajmniej jest dużo miejsca. Gdyby było lato, byłoby jeszcze lepiej.

Liao: Jak to się stało, że trafił pan do miasta? Ma pan tam u siebie jakąś ziemię na własność?

Zhao: Nie, nie mam. Mniej więcej dziesięć lat temu rodzina moich rodziców dostała w przydziale mały kawałek ziemi pod uprawę. Kiedy się żeniłem, wioska nie miała już ziemi. Ale nawet gdybyśmy mieli ziemię, nie zarobiliśmy na zbiorach. Miejscowe władze nałożyły pełno podatków. Wielu młodych ludzi wyjechało z wioski szukać pracy w miastach. Ja zrobiłem tak samo. Pierwszą pracę dostałem w kopalni węgla, niedaleko od mojej wsi.

Liao: Pracował pan w kopalni będącej własnością miejscowości?

Zhao: Nie, w takiej małej prywatnej kopalni, która pasożytowała na państwowych. Jak kopalnia państwowa kopała po jednej stronie góry, to mój szef potajemnie robił podkop z drugiej. Cała góra wyglądała jak plaster miodu, taka była podziurawiona. Miejscowe władze wiedziały o tym, że nielegalnie wydobywamy węgiel, ale przymykały na to oczy. Większość urzędników brała łapówki od właścicieli prywatnych kopalń.

Zwykle kopaliśmy tunel z małym wejściem. Musieliśmy się wczołgiwać do środka z koszem na plecach. Korytarz miał kształt butelki wina. Jak się schodziło głębiej, to robił się szerszy. W środku zawsze było ciemno jak w nocy.

Liao: Nie mieliście czołówek i młota pneumatycznego?

Zhao: Panie, kopaliśmy nielegalnie, nie mieliśmy takiego wymyślnego sprzętu. Po prostu przywiązywaliśmy sobie do czoła latarki. A młota pneumatycznego i tak byśmy nie mogli używać. Za bardzo hałasuje i do tego wibruje. A to niebezpieczne, bo od wibracji mógł się zawalić korytarz. Był podparty tanimi drewnianymi kijami – mógł się zawalić nawet od lekkiego trzęsienia. Dzisiaj dużo się słyszy o ludziach, którzy umierają w kopalniach. Ja tam wiem dokładnie, co powoduje te wypadki. Nie ma żadnych zabezpieczeń. Właściciele prywatnych kopalń to brutalni skurwiele. W ogóle ich nie obchodzi bezpieczeństwo robotników. Pracowałem w kopalni z przerwami przez trzy lata. Zarabiałem

dziennie koło dwóch, trzech juanów. Gębę miałem całą brudną od pyłu. Z czasem pył wżarł mi się w skórę na szyi i za uszami. Nie dało się go zmyć. Nie można go usunąć, nawet gdyby zetrzeć skórę. Ciągle byłem zmęczony. Czasem, kiedy przychodziłem do domu, zasypiałem przy jedzeniu.

Liao: Dlaczego odszedł pan z tej pracy?

Zhao: W latach osiemdziesiątych dzięki robocie w kopalni nawet udawało mi się związać koniec z końcem. Ale w połowie lat dziewięćdziesiątych wszystko podrożało, a płace górników zostały takie same. Czasem pracowałem siedem dni w tygodniu, a za zarobek nie mogłem nawet nakarmić rodziny. Poza tym władze okręgu wymagały od nas różnych opłat. Harowaliśmy jak głupi, a bogacili się na tym ci dranie. Potem kilka państwowych kopalń w naszym regionie zbankrutowało z powodu złego zarządzania. Zwolnieni górnicy państwowi na nasz widok aż zgrzytali zębami z nienawiści. Mieli poczucie, że ukradliśmy im robotę. Baliśmy się, że ci wściekli górnicy państwowi któregoś dnia w desperacji zablokują wejście do naszej kopalni. A my tam w środku umrzemy. No i skończyło się tak, że sporo z nas uciekło. Wielu młodych ludzi z mojej wioski wyniosło się do miast, pracować na budowach; kobiety najęły się jako opiekunki do dzieci. Niektóre zostały dziwkami. Nie winię ich za to, biedaczek. Całe szczęście, że moja żona urodziła trójkę dzieci, inaczej też by mogła zostać dziwką. Dwa miesiące temu spotkałem koło Mostu Dziewięciorga Oczu pucybutkę. Ściemniało się już, a ona wciąż zachwalała swoje usługi: „Czyszczę buty, czyszczę buty”. Wydała mi się jakoś znajoma. Podszedłem bliżej i patrzę, a to żona mojego sąsiada ze wsi, Psiego Pyska Zhanga. Okazało się, że czyści „żółte buty”.

Liao: Co to znaczy?

Zhao: Tak się szyfrem mówi na prostytutkę. Te kobiety wychodzą wieczorami i szukają klientów pod pretekstem czyszczenia butów. Jak się frajer zatrzyma i wykaże zainteresowanie, to najpierw czyści mu buty, a potem pieści kostkę i targuje się przy tym o cenę. Za pięćdziesiąt juanów [sześć dolarów czterdzieści centów] oferuje pełną usługę. Jak dziewucha jest młoda i ma pełne piersi, to jasne, że transakcja idzie gładko. Starszym kobitkom jest trudniej. Ta moja znajoma, żona Psiego Pyska Zhanga,

ma prawie trzydziestkę i urodziła kilkoro dzieci. Cycki jej wiszą do pasa! Będzie miała szczęście, jak się sprzeda za dwadzieścia juanów.

W tej okolicy młode, ładne i wygadane dziewczyny chodzą na klientów do klubów nocnych. Starsze i brzydkie prowadzą biznes w salonach fryzjerskich albo na ulicy. Ale powiem panu, te dziwki ze wsi strasznie szybko się uczą. Ledwo przyjadą do miasta, a już zaczynają mówić bez akcentu, standardowym mandaryńskim, pudrować twarz i flirtować, kręcąc tyłkiem. Niektóre nawet kupują sobie fałszywe dyplomy uniwersytetu. Na to, że mają dyplom, mogą złowić bogatego gacha. A potem tłumaczą takiemu, że chcą zarobić pieniądze na nową karierę, bardziej zgodną z ich wykształceniem. Co za bzdura!

Co jakiś czas pozwalam sobie na dziwkę. Zwykle płacę dziecięć, czasem dwadzieścia juanów. Raz naprawdę miałem mało kasy. Próbowałem stargować cenę do pięciu juanów, ale tylko dostałem po głowie szcnotką do butów. Ta suka wstała z klęczek, oparła rękę na biodrze i powiedziała: „Jesteś ode mnie dużo starszy. Może jeszcze powinnam ci dopłacić pięć juanów, żebyś sobie podupczył?”

Liao: Jest pan wredny.

Zhao: Myśli pan, że łatwo mi było zarobić te pieniądze? Kiedy przyjechałem do Chengdu, pracowałem na budowie, lałem beton i kopałem ziemię. Po ponad roku odłożyłem dwieście juanów [dwadzieścia cztery dolary]. Z pomocą kolegi kupiłem riksę i używałem jej jako taksówki, woziłem ludzi albo przesyłki. To było dość podniecające. Szkoda tylko, że nie mogliśmy się zarejestrować, bo nie byłem zameldowany w mieście. Musiałem ciągle kluczyć i uciekać przed policją, jak kurczak, który ucieka przed wilkiem.

Liao: Jak długo jeździł pan riksą?

Zhao: Ponad dwa lata. Miasto zarekwirowało trzy moje rikse.

Liao: W tym mieście jest ponad dziesięć tysięcy niezarejestrowanych riks taksówek. Właściciele zarejestrowanych narzekają, że wy zabieracie im zarobek.

Zhao: Zarabialiśmy na życie ciężką pracą. Lepiej tak zdobywać pieniądze niż kraść czy włamywać się do domów. Wkurza mnie

to, że takich robotników napływowych jak ja traktuje się jak złodziei. Kiedy tylko ktoś krzyknął: „Policja idzie!”, zaczynaliśmy pedałować z całych sił, jak gęsi uderzone kijem bambusowym. Chowaliśmy się po bocznych uliczkach. Rzadko udawało im się mnie złapać.

Ala jestem chciwy, to moja duża wada. Za każdym razem, kiedy ktoś oferował mi wysoką cenę za przejazd, zapominałem o ryzyku. Pewnego razu klientka chciała przejechać z terminalu autobusowego w okolice Baiguolin. Nie chciałem jej zawieźć, dlatego zaśpiewałem sobie wysoką cenę – dziesięć juanów. Myślałem, że się nie zgodzi. Ale się zgodziła. Nadal nie chciałem jechać, ale ona błagała i powtarzała „nauczycielu, nauczycielu”. Była dość ładna i to jej błaganie zmiękczyło mi serce. Wykombinowałem, że jest niedziela, więc trasa po drugiej obwodnicy powinna być czysta. No i w końcu zgodziłem się ją zawieźć.

Było wtedy lato. Turyści uwielbiają przejażdżki rikszą: jest tanio i nie za gorąco. Druga obwodnica była dość zakurzona, ale widoki były nawet ładne. Podałem klientce parasol, żeby osłoniła sobie twarz od słońca. Szybko się spociłem. Zdjąłem koszulę, odstłoniłem tors i plecy. Ona kazała mi uważać, żebym się nie przeziębił. Jak zdarzała mi się taka miła klientka, nie mogłem się powstrzymać i zaczynałem gadać. Przy tej nie mogłem się zamknąć. Nawijałem, który park w mieście jest najładniejszy, w jakim sklepie można utargować dobre ceny i tak dalej. Zachowywałem się jak mieszkaniec Chengdu. Ale tak naprawdę tylko się przechwalałem, tak dla sportu.

Kiedy skręcałem koło ulicy Zhongxin i zjeżdżałem w dół wzgórza, zablokowało mi drogę kilka policyjnych motorów. Wystraszyłem się jak cholera. Odwróciłem się i usiłowałem podejść pod górę. Pedałowałem z całej siły, ale kilka razy riksza zjechała w dół. Klientka też się wystraszyła i chciała wysiąść. Szturchnęła mnie moim własnym parasolem w gołe plecy. Leciała mi krew, ale nie miałem odwagi stanąć. Wtedy ona zaczęła mnie tym parasolem bić. Do tego jeszcze mnie kopała. Ten parasol kosztował osiem juanów, ale rozpadł się na kawałki. Motory mnie dogoniły i osaczyły. Niech to diabli, a dopiero co spłaciłem pożyczkę na tę rikszę. Trzymałem ją kurczowo

i nie chciałem puścić. Twarz miałem mokrą od potu i łez. Policjantów nie obchodziło, co czuję. Rzucili moją rikszę na pakę stojącej niedaleko ciężarówki. Biegłem za nimi przez kilka ulic, błagałem i płakałem. Ale bez skutku. Straciłem rikszę i parasol. W końcu nie wziąłem nawet od tej klientki pieniędzy za przejazd. Jeszcze miała czelność żądać ode mnie rekompensaty za straty emocjonalne, jakie przeze mnie poniosła. Co za wredna suka! Przez kilka godzin włóczyłem się bez sensu po mieście. Czułem się pusty.

Liao: Dlaczego nie prowadził pan interesu taksówkowego za drugą obwodnicą, zgodnie z rozporządzeniem władz miasta?

Zhao: Za drugą obwodnicą było za dużo napływowych. To nie była bezpieczna okolica i wielu ludzi korzystało z usług i nie płaciło, szczególnie członkowie miejscowych triad. Poza tym cały czas brali od nas pieniądze za ochronę. My, nielegalni taksówkarze, nie mogliśmy iść na policję, kiedy nas szantażowali. W okolicy regionu Wukuaishi swoje własne gangi stworzyli kieszonkowcy. Czasami, w porachunkach gangów, szły w ruch noże. Kiedyś widziałem, jak jeden dostał w brzuch i wypadły mu wszystkie flaki. Ponieważ za drogo kosztowałoby wysłanie go do dużego szpitala, kumple z gangu wsadzili go na moją rikszę i kazali zawieźć do małej kliniki na szycie brzucha. Ten zasrały lekarz miał na nosie stare okulary do czytania i zszywał rany tak, jakby szył buty, wsuwał igłę z nicią z jednej strony, a wyjmował z drugiej. A z tego pociętego kapała krew. Lekarz podstawił pod stół operacyjny miskę. To był straszny widok, ale o dziwo ten człowiek przeżył.

Najbardziej brutalną zgrają jest mniejszość etniczna Yi. W dzień kucają sobie spokojnie przy drodze, wszyscy w czarnych chustach, jak stado orłów. Żaden gang nie śmie ich tknąć. Nazywają tych Yi „ciemnymi chmurami”.

Liao: Bardzo obrazowo.

Zhao: Ci Yi to wyjątkowi ludzie. Nie okradną przechodnia, no chyba że są skrajnie wygłodzeni. Ale jak tylko zobaczą kieszonkowca w akcji, to w sekundę rzucają się na niego jak ciemna chmura. Rozpościerają chusty, otaczają go i krzyczą: „Uuu, uuu, uuu!”. Jeśli taki nie jest głupi, to z miejsca im oddaje pieniądze.

A jak próbuje się stawiać, to noże Yi są szybsze, niż może pan sobie wyobrazić. Zanurzają ostrza w trującej cieczy. Jak kogoś ranią, rana się zaognia i miesiącami nie może zagoić.

Liao: Innymi słowy, Yi wykorzystują kieszonkowców jako swoich niewolników.

Zhao: No, prawie. Dlatego tam, gdzie mieszkają Yi, nigdy się nie widzi kieszonkowców. Ale ci Yi to nie anioły. Zwykle załatwiają swoją brudną robotę po północy. Napadają na budynki mieszkalne. Wystarczy im, że mają linę z hakiem. Większość Yi świetnie chodzi po górach. Za pomocą liny z łatwością wspinają się po ścianach. A jak już kradną, to zabierają wszystko w zasięgu wzroku: kiełbasy, konserwy mięsne, ubrania, nawet pieluchy, które ludzie suszą na balkonie. Wrzucają to wszystko jak leci do tych swoich chust. Jak już się włamią do domu, to naprawdę zabierają wszystko, co się da. Duże rzeczy, takie jak lodówki, pralki, zwykle rozwalają. Ludzie ich nienawidzą. Co roku policja robi nalot na miejsca, w których gromadzą się Yi, i odsyła ich z powrotem do ich rodzinnych miejscowości w górach. Po kilku takich nalotach w okolicy robi się spokój, mniej więcej na miesiąc. Potem wracają kieszonkowcy. I mieszkańcy znów mają problemy.

Liao: Widział pan kiedyś złodzieja w akcji? W dużych miastach są teraz dość zuchwali.

Zhao: No. Okradają ludzi w biały dzień. Zabierają kobietom kolczyki i łańcuszki. Czasem łapią za rękę i próbują ściągnąć obrączkę. Najłatwiejsze ofiary to modne dziewczyny, które noszą torebki wielkości dłoni i tak kręcą dupą, że oczy mogą wyleżeć z orbit. Taką torebkę można rozciąć w sekundę. Jak ofiary krzykną „Złodziej!”, to mogą oberwać. Raz wiozłem jednego biznesmena i przejeżdżaliśmy właśnie ulicą Moping. Mój klient wyglądał na dużego, silnego faceta. Gadał przez komórkę. Wziewanie go rikszą kosztowało mnie dużo siły. Szybko się zasapałem. Wtedy sześciu czy siedmiu chłopów rzuciło się na moją riksę, jeden chwycił klienta za kark, drugi wykręcił mu rękę. O mało co nie wyrócili rikszy. W parę minut przeszukali temu biznesmenowi wszystkie kieszenie garnituru. Wyciągnęli mu pasek ze spodni. Pomacali nawet bieliznę, żeby sprawdzić, czy

przypadkiem tam nie ukrył pieniędzy. Błagał ich, żeby nie zabierali mu butów, bo wtedy nie da rady wrócić do domu. Ale mieli go gdzieś. Mówili, że chcą zobaczyć, czy nie schował w butach pieniędzy. Biznesmen został z niczym. Zakrył sobie twarz i ryczał jak baba. Wielu ludzi widziało tych złodziei, ale nikt nie przyszedł mu na pomoc.

Liao: A pan co zrobił? Zadzwoił na policję?

Zhao: Jak niby miałem się ruszyć? Byłem tak roztrzęsiony, że dostałem skurczów w nogach. Poza tym dzisiaj jest tylu złodziei. Co mogłem zrobić? Nie szukałem kłopotów. Obchodziła mnie tylko moja riksza. Gdyby mi ją zepsuli, dużo by mnie kosztowała naprawa. Z drugiej strony, ten biznesmen był głupi jak niedźwiedź. Po jego wyglądzie można by się spodziewać, że zna jakieś sztuki walki. Ale nie. Kiedy było po wszystkim, chciałem go wypchnąć z taksówki, ale on nie chciał się ruszyć. Więc zawiołem go do domu. Ale kiedy powiedziałem, żeby zapłacił za przejazd, zaczął mnie wyzywać.

Liao: Umie pan chronić swoją głowę.

Zhou: Czy pan się ze mnie wyśmiewa? Jestem bezdomny i nie mam żadnych nadludzkich mocy. Czy jest pan dziennikarzem? Superman był dziennikarzem. Chiny potrzebują teraz niesamolubnych supermanów. Przestępczość wzrosła, ludzie już nie wiedzą, co robić. Wygląda na to, że chińska gospodarka rozwija się szybko, ale wciąż jest za dużo biednych ludzi. Za dużo ludzi chce się dorobić. Ja mam szczęście, że nie zacząłem kraść.

Ale, ale, już od dłuższego czasu na mnie pada. Ciekaw jestem, jaka pogoda będzie jutro. Może jak będzie słońce, to pójdę do roboty na budowę. Zobaczymy!

Ocalały

Po południu 12 maja 2008 roku, kiedy szedłem ulicą w mieście Wenjiang w prowincji Syczuan, nagle ziemia zaczęła mi się trząść pod nogami. Nie zorientowałem się, że to trzęsienie ziemi, dopóki nie zobaczyłem, że wszystkie budynki w zasięgu wzroku wibrują.

Kiedy drżenia ustały, strażnicy miejscy zaczęli patrolować okolicę, nakazywali ludziom opuszczać budynki i szukać schronienia w parkach. Na wielu budynkach widziałem pokaźne rysy. Zablockowane zostały wszystkie główne drogi dojazdowe, policjanci kierowali ruchem samochodów i pieszych. W parku Wenjiang ludzie rozbijali namioty, rozkładali na trawnikach przescieradła. Zaczęły gromadzić się śmieci.

Zachmurzyło się i zaczął wiać silny wiatr. Przed sklepami spożywczymi i restauracjami ustawily się długie kolejki. Znalazłem mały bar z daniami z makaronu i czekałem dziesięć minut. Kolejka nie posuwała się do przodu, nikt nie zwalniał stolików. Krzyknąłem głośno. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Ludzie wbili wzrok w miseczki z makaronem i jedli dalej. Udało mi się kupić kilka ciastek w piekarni parę ulic dalej. Potem chodziłem po mieście i obserwowałem.

Około jedenastej w nocy przed wystawionym na ulicy telewizorem zebrał się duży tłum. Rząd podał, że według pierwszych szacunków było osiem tysięcy ofiar. Zadzwonił do mnie przyjaciel z Dujiangyan, jednego z najbardziej zniszczonych miast w Syczuanie. Krzyczał do słuchawki: „Zawaliło się wejście do

znanej na całym świecie Świątyni Erlang. Wszędzie jest pełno gruzu. Wszędzie jest pełno trupów”. Kiedy krzyczał, połączenie nagle zostało przerwane.

Czułem się winny, że przeżyłem. W telewizji widziałem, jak ratownicy wyciągają z ruin małe dzieci i uczniów. Chciałem być tam na miejscu i pomagać albo przynajmniej zarejestrować rozpaczk tamtejszych ludzi. Przypomniłem mi się zawodowy żałobnik, z którym przeprowadzałem wywiad ponad dziesięć lat temu. Przez całe życie płakał i grał na *suona* na pogrzebach obcych ludzi. Co z nim teraz będzie?

Cztery dni później postanowiłem z kolegą pojechać do Dujiangyan. Chciałem porozmawiać z tymi, którzy ocalili. Ponieważ w mieście przebywał premier Wen Jiabao, pomagając kierować akcją ratowniczą, miejscowe władze urządziły przy drodze wjazdowej do miasta kilka punktów kontrolnych. Wpuszczano tylko członków zespołów ratunkowych i dziennikarzy z akredytacją rządową.

Po kilku telefonach mój dobrze ustosunkowany przyjaciel załatwił nam zgodę na wjazd. Wszędzie widzieliśmy ruiny domów. Po horyzont ciągnęły się prowizoryczne pola namiotowe. Wysiedliśmy z samochodu. Poznałem czterdziestoletniego mężczyznę, Yang Wenchanga, który miał siniaki na całym ciele, i jego żonę Zhou Zehua. Yang wrócił dzień wcześniej z okręgu Wenchuan, epicentrum trzęsienia ziemi o sile ośmiu stopni w skali Richtera.

Liao Yiwu: Urodził się pan tutaj, w Dujiangyan. Jak to się stało, że znalazł się pan w okręgu Wenchuan?

Yang Wenchang: Około półtora miesiąca temu kolega powiedział mi o pracy w mieście Shaohuoping. Moja żona od jakiegoś czasu choruje. Potrzebne są pieniądze na szkołę dla dzieci. Jestem jedynym żywicielem rodziny. Tutaj trudno zarabiać. Pojechałem więc do Shaohuoping i pracowałem w fabryce, która produkuje stalowe i żelazne druty. Moim zadaniem było pilnowanie pieców i miałem dostawać miesięcznie około tysiąca dwustu juanów [sto siedemdziesiąt dolarów]. Ciężko pracowałem, licząc na to, że dostanę za to dobre pieniądze. Ale przed pierwszą wypłatą zdarzyło się to trzęsienie ziemi.

Liao: Czy był pan wtedy w fabryce?

Yang: Mieliśmy tego dnia wolne, bo było gorąco i parno, a w fabryce była przerwa w dostawie prądu. Spaliśmy dłużej niż zwykle, ośmiu robotników przyjezdnych takich jak ja, na ostatnim piętrze bloku. Blok miał parter i dwa piętra. Nie było żadnych sygnałów ostrzegawczych. Kiedy spałem, moje łóżko, które stało na środku pokoju, zaczęło się gwałtownie trząść. Było to tak, jakby armia kowali waliła pięściami w spód materaca. Spadłem na podłogę. Zanim wstałem, wszystko zaczęło się kołysać. Z trudem doczołgałem się do drzwi. Wyjrzałem na zewnątrz. Stałem na skraju przepaści głębokiej na setki kilometrów.

Liao: Budynek miał tylko trzy kondygnacje. Nie mógł pan się znaleźć aż tak wysoko nad ziemią.

Yang: Ale takie miałem uczucie. Zrobiło mi się niedobrze, jak na łodzi na otwartym morzu. Staralem się trzymać framugi. Odwróciłem się za siebie i zobaczyłem, że środek pokoju nagle się zapada. Została po nim tylko wielka dziura. Na moich oczach pochłonęła cztery łóżka i trzech ludzi. Za nimi poleciały kawałki żelbetonu z sufitu, przebiły się przez podłogę pierwszego piętra i spadły na ziemię.

Liao: Nie mówił pan, że było was ośmiu? Co się stało z pozostałymi czterema?

Yang: Mieszkali w sąsiednim pokoju i też spadli na sam dół. Wszystkie ściany dookoła mnie zaczęły się walić – bum! bum! – pył wzbijał się na trzy metry w górę. Siedmiu moich kolegów z pracy leżało pogrzebanych pod gruzami. Na drugi dzień jednego wykopano. Miał poważne uszkodzenia ciała, ale przeżył. Kiedy wyjeżdżałem wczoraj, o pozostałych sześciu nie było wieści.

Liao: Jak wy dostał się pan z walącego się budynku?

Yang: Kiedy waliły się ściany i sufit, straciłem równowagę i spadłem. Na szczęście, zanim uderzyłem o ziemię, wylądowałem na na ścianie nośnej na parterze, która jeszcze stała. Udało mi się złapać równowagę, a potem zeskoczyłem na ziemię. Spadłem na kupę gruzu. Miałem rany na głowie, rękach i nogach, ale nic poważnego mi się nie stało. Gdyby nie ta ściana nośna, zginąłbym tam, tak jak reszta.

Liao: Co było później?

Yang: Około trzydziestu osób odsuwało gruz przez cały dzień bez przerwy. Wydobyli tego kolegę, o którym mówiłem. Miał obrażenia od kawałów betonu, które na niego spadły. Kiedy ratownicy próbowali napić go wodą, pluł krwią. Chyba przeżyje, ale myślę, że nie będzie w pełni sprawny.

Liao: Panu się poszczęściło.

Yang: Tak. Myślę, że Bóg ocalił mi życie i pozwolił mi tym razem ujść cało, bo byłem porządnym człowiekiem. Budynek całkiem się zawalił kilka minut po tym, jak się z niego wydostałem. Hałas był taki, że na dłuższy czas straciłem słuch. Zaraz po trzęsieniu zaczęła się osuwać ziemia. Shaohuoping jest wciśnięte między dwie góry. Przez środek miasta płynie rzeka. W tej wąskiej przestrzeni między dwiema górami mieściło się kilka fabryk. Na szczęście po mojej stronie, obok góry, jest spory pagórek. Spowolnił osuwisko i skierował je na drugą stronę. Wielu ludzi pracujących w fabrykach miało szczęście i ocalało. Sytuacja po drugiej stronie rzeki była tragiczna. Z góry spadały odłamki skał, niektóre wielkości połowy domu, inne wielkości stołu, piłki czy pomarańczy. Góra otworzyła się w niektórych miejscach jak pomarańcza podzielona na części, a potem się zawaliła. Góry były kruche. Kawałki skał szybko zatamowały rzekę. Woda zrobiła się głęboka i zaczęła się spiętrzać. Po godzinie sięgała do pasa. Biegłem, ile sił w nogach, podpierając się kijem, i przedostałem się na drugą stronę rzeki. Opuściłem Shaohuoping i poszedłem do sąsiedniego miasta, Yingxiu.

Liao: Wie pan, ile osób zginęło w Shaohuoping?

Yang: Nie mam pojęcia. Wiem tylko jedno: codziennie koło mojej fabryki przechodziło wiele osób, część szła do pracy, inni grali w karty czy pili w restauracjach. Po trzęsieniu wiele znajomych twarzy znikło. Kiedy ziemia się zatrzęsała, przez Shaohuoping przejeżdżał akurat duży autokar z pięćdziesięcioma pasażerami. Przewrócił się i przywaliły go skały. Żaden pasażer nie przeżył. Kiedy trzęsienie ziemi ustało, wszyscy mieszkańcy Shaohuoping, którzy ocaleli, przyszedli do Yingxiu.

Liao: Widziałem w telewizji, że w Yingxiu też zawaliło się wiele domów.

Yang: Yingxiu to stare miasto górnicze. Wszystkie budynki miały po cztery, pięć pięter. Jakość roboty budowlanej była straszna. Nic dziwnego, że większość budynków się zawaliła. My zamieszkaliśmy w namiocie. Wszyscy ocalali, bogaci i biedni, traktowani tam byli tak samo. Namiot był olbrzymi, mieścił czterysta, pięćset osób. Wszyscy spaliśmy ściśnięci na ziemi. Dzięki temu było nam ciepło. Od dwunastego do piętnastego maja siedzieliśmy tam dzień i noc.

Liao: Bał się pan?

Yang: Tacy zwykli ludzie jak my – nasze życie nie znaczy więcej niż życie mrówki. Czego mieliśmy się bać? Poza tym gdyby nawet ktoś w takim momencie wariował ze strachu, nikt nie miałby czasu się nim zająć.

Liao: Czym się żywiłście?

Yang: Zanim dotarły ekipy ratunkowe, wielu mieszkańców zaryzykowało powrót do swoich domów. Odkopali spod gruzów jedzenie i trochę ubrań i dzielili się tym ze wszystkimi. Było tego oczywiście za mało. Ale w tych okolicznościach wszyscy byli bardzo wyrozumiali. Pierwszego dnia dostałem paczkę krakersów i butelkę wody. Kiedy zjadłem trzy czy cztery krakersy, pojawiła się grupka dzieci. Widziałem, jak czteroletni chłopak patrzy na te krakersy. Prawie płakał z głodu. Więc dałem mu resztę paczki.

Liao: Czyli pierwszego dnia zjadł pan tylko cztery krakersy. Drugiego dnia coś się zmieniło?

Yang: Dostałem opakowanie makaronu błyskawicznego. Ponieważ nie było jak zdobyć wody i go ugotować, zjadłem go na sucho. Dostałem trochę pikantnego grochu. Trzeciego dnia udało mi się zjeść kawałek kielbasy.

Liao: Czy ludzie bili się o jedzenie?

Yang: Wszyscy byli uprzejmi. Złączył nas wspólny los. Ważniejsze było wydobyć tych, którzy byli zagrzebani pod gruzami. Nie liczyło się, czy mamy jedzenie, czy nie. Ja przez cztery dni nic nie jadłem. I nic mi nie było.

Po południu drugiego dnia zjawili się żołnierze. Trzeciego dnia wydobywanie spod gruzów ruszyło pełną parą. Używali wszystkich możliwych narzędzi – łopaty, motyki, grubych żelaznych

prętów. Niektórzy nawet kopali rękami. Udało im się jeszcze odnaleźć żywych. Ale większość nie żyła, ciała były zmiażdżone tak, że nie dało się zidentyfikować zwłok. Ponieważ było gorąco, niektóre już zaczęły się rozkładać. Smród czuć było w promieniu wielu kilometrów.

Liao: Jak pan myśli, ile osób zginęło w Yingxiu?

Yang: Nie wiem. Rząd podał, że sześćdziesiąt kilka tysięcy. Przez ostatnich kilka dni non stop pracowała wielka koparka, żeby wykopać ogromny dół przy głównej ulicy. Jeśli ratownicy znajdowali kogoś, kto jeszcze żył, natychmiast dostawał się pod opiekę lekarza czy pielęgniarki. A jak ktoś już nie żył, przedstawiciel władz zawiadamiał jego krewnych i kazał zabrać ciało do kremacji. Jeżeli nie udawało się znaleźć krewnych, dopisywano zmarłego do listy ofiar i zawożono zwłoki do dołu.

Liao: Co się działo ze zwłokami, które trafiły do tego dołu?

Yang: Były spalane. Ludzie odpowiedzialni za kremację czekali, aż uzbiera się dwadzieścia czy trzydzieści ciał. Wtedy polewali je benzyną i podpalali. W całym mieście było czuć smród palonych ciał. Ponieważ zespoły ratunkowe pracowały codziennie, kremacje też odbywały się codziennie. To był trudny czas. Rząd musiał przedsięwziąć szczególne środki ostrożności, żeby zapobiec epidemii. Po każdej kremacji pracownicy przysypywali prochy ziemią i spryskiwali środkiem odkażającym. Tak postępowali z każdą warstwą. Dół był bardzo głęboki. Mogło się w nim pomieścić dużo szczątków. Słyszałem, że kiedy zasypią ten dół, ma tam stanąć pomnik pamięci ofiar.

Liao: Robi mi się niedobrze.

Yang: Mi też było niedobrze. Ale po jakimś czasie mi przeszło. Życie toczy się dalej. Musieliśmy zatroszczyć się o żywych. Moje rany zaczęły ropieć. Przyszedł nas wszystkich obejrzeć lekarz wojskowy. Obejrzał moje rany i kazał mi je odkazić spirytusem albo alkoholem, tymczasowo, dopóki nie wywiezie się mnie z Yingxiu. Lekarze mieli do opatrzenia poważniejsze obrażenia, musieli też zająć się umierającymi. Rozumiałem to. Ponieważ nie udało mi się zdobyć spirytusu, znalazłem alkohol i starannie przemyłem nim rany.

Liao: Jak wy dostał się pan z Yingxiu?

Yang: Na początku wszyscy byli tak zajęci wydobywaniem ludzi spod gruzu, że nie robiło się nic, żeby pomóc wrócić do domów ludziom w namiocie. Ale kiedy przybyły ekipy ratunkowe, wszystko zaczęło się toczyć jak należy. Wyruszyłem z Yingxiu piętnastego maja koło południa. Wcielili mnie do dużej grupy. Szliśmy gęsiego, podpieraliśmy się laskami z bambusa. Wyglądaliśmy jak uchodźcy na filmach. Szliśmy trzy godziny nierówną drogą, aż doszliśmy do przeprawy przez rzekę. Na brzegu czekało już z tysiąc osób, a każda łódź mogła wziąć na raz tylko sześć osób. Pozwoliliśmy przepłynąć się w pierwszej kolejności dzieciom, starcom i niepełnosprawnym. Miałem szczęście: zanim wsiadłem na łódź, dostałem butelkę wody. Kiedy wreszcie dotarłem na drugi brzeg, wsiadłem do ciężarówki, która zawiozła mnie do domu.

Zhou Zehua: Kiedy nagle pojawił się w wiosce, dzieci i ja nie mogliśmy uwierzyć własnym oczom. Próbowaliśmy się do niego dodzwonić przez ostatnie dni, ale się nie udawało. Byłam pewna, że zginął. Co dzień płakałam. Nie wiedziałam, jak sobie poradzę, jak utrzymam bez niego rodzinę. Od dawna choruję. Całe ciało, od stóp do głów, mam w guzach. Myślałam, że to rak. Pojechałam do szpitala. Lekarz powiedział, że to nierakowate cysty. Te cysty nie bolą, ale mam je wszędzie. Nie mamy pieniędzy na wizytę u lekarza, a ja nie mogę wykonywać cięższych prac fizycznych. Przed trzęsieniem ziemi otworzyliśmy tu herbaciarnię. Chcieliśmy zarabiać na turystach, żeby utrzymać rodzinę. Kiedy ziemia się zatrzęsała, byłam w herbaciarni. Mocno uchwyciliśmy się z dziećmi grubego drzewa. Stoliki się poprzewracały, wszystkie filiżanki się potłukły. W naszej wiosce zginęło kilkanaście osób.

Liao: Czy wasz dom ucierpiał od trzęsienia?

Zhou: Zawalił się. Teraz mieszkamy w namiocie. Ale to nic w porównaniu z tym, co się stało gdzie indziej. Najważniejsze, że wrócił mój mąż. Jest z nami podpora naszej rodziny. Niezależnie od tego, jak biedne i trudne będzie nasze życie, poradzimy sobie. Z czasem będzie lepiej.

Podziękowania tłumacza wydania amerykańskiego

Kiedy Liao Yiwu wyszedł na wolność z chińskiego więzienia, udał się do niewidomej wróżki, żeby przepowiedziała mu przyszłość. Wróżka dotknęła palcami jego twarzy, zapytała o datę i godzinę urodzin i powiedziała Liao, że jego przyszłość zacznie się układać pomyślnie dzięki pomocy i błogosławieństwu kilku *guiren*, czyli ludzi szlachetnych.

Tłumaczenie utworów Liao i przybliżenie ich czytelnikom znającym język angielski potwierdziło mądrość tych słów. Książka *Prowadzący umarłych...* nie ukazałaby się bez pomocy wielu szlachetnych osób.

Słowa wdzięczności kieruję do Philipa Gourevitcha i całego zespołu redakcyjnego „The Paris Review”, który jako pierwszy zaprezentował Zachodowi dzieła Liao, publikując w swoim piśmie trzy wywiady. Nieugięta wiara Philipa w pisarstwo Liao i jego entuzjastyczne wsparcie motywowały mnie i były pomocą w dotarciu do punktu, w którym znajduję się dzisiaj.

Szczególną wdzięczność chciałbym wyrazić Esther Allen z Funduszu Translatorskiego PEN-Clubu za odkrycie dzieł Liao i pomoc w zapoczątkowaniu mojej kariery tłumacza. Chcę też podziękować Sarah Chalfant za hojne wsparcie.

Na szczególną wzmiankę zasługuje przyjaciel Liao, Kang Zhengguo. Jako jego amatorski „agent” pilnował interesów Liao za granicą i służył za łącznika między Liao a światem zewnętrznym. Chcę też wyrazić w tym miejscu podziw dla Chen Maiping i Cai Chu z Niezależnego Chińskiego Ośrodka PEN-Clubu za

nieustrudzoną promocję dzieł Liao poza granicami Chin oraz za odważne działanie na rzecz wolności słowa w Chinach.

Moi przyjaciele: Doug Merwin, profesor Robert Crowley, Monica Eng, Carolyn Alessio, Bill Brown, Liang Xiaoyan, Chen Xiaoping i Zhou Zhonglin byli ogromnie pomocni podczas przygotowywania tej książki do druku. Profesor Crowley starannie przeczytał pierwsze wersje każdego przełożonego przeze mnie wywiadu i udzielał mi cennych edytorskich wskazówek.

I Liao, i ja możemy mówić o wielkim szczęściu, ponieważ naszym agentem jest Peter Bernstein. Trafiłem na Petera w bardzo trudnym momencie swojej kariery. Pewny siebie i bardzo kontaktowy Peter cierpliwie pomógł mi przebrnąć przez proces publikacji.

Wreszcie w imieniu Liao chciałbym wyrazić wdzięczność dla najważniejszych osób, naszego redaktora, Errolla McDonalda, za to, że pozwolił nam na elastyczność i twórczą swobodę, których potrzebowaliśmy w procesie przekładu, oraz Lily Evans i Robin Reardon, ponieważ sprawiły, że proces ten przebiegł bez zakłóceń.

Wen Huang

Spis treści

<i>O przekładzie na język polski</i>	5
<i>Wstęp</i>	9
<i>Wprowadzenie. Głos chińskich wyrzutków społecznych</i>	11
Zawodowy żałobnik	21
Handlarz ludźmi	33
Kierownik szaletu publicznego	41
Prowadzący umarłych	49
Trędowaty	61
Chłopski cesarz	71
Mistrz <i>feng shui</i>	83
Opat	95
Kompozytor	115
Prawicowiec	135
Emerytowany urzędnik państwowy	147
Były właściciel ziemski	163
Żona szefa powiatu narodowości Yi	175
Wiejski nauczyciel	189
Przedsiębiorca pogrzebowy	203
Kierownik komitetu sąsiedzkiego	213
Były czerwonogwardzista	225
Kontrrewolucjonista	237
Ojciec uczestnika protestu na placu Tian'anmen	249
Wyznawczyni Falun Gong	267
Nielegalny emigrant	279

Hiena cementarna 291

Kasiarz 305

Ślepy grajek na *erhu* 315

Śpiewak uliczny 323

Lunatyk 339

Robotnik napływowy 351

Ocalały 363

Podziękowania tłumacza wydania amerykańskiego 371

WYDAWNICTWO CZARNE SP. Z O.O.

www.czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice
tel./fax +48 18 353 58 93, e-mail: arkadiusz@czarne.com.pl,
mateusz@czarne.com.pl, tomasz@czarne.com.pl,
honorata@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa
tel. +48 18 351 00 70, e-mail: redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Andersa 21/56, 00-159 Warszawa
tel./fax +48 22 621 10 48
e-mail: agnieszka@czarne.com.pl, anna@czarne.com.pl,
dorota@czarne.com.pl, zofia@czarne.com.pl

Dział marketingu: ewa.nowakowska@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: irek.gradkowski@czarne.com.pl
tel. 504 564 092, 605 955 550

Audiobooki i ebooki: Izabela Rególska, iza@czarne.com.pl

SKŁAD: D2D.PL

ul. Morsztynowska 4/7, 31-029 Kraków, tel. +48 12 432 08 52
e-mail: info@d2d.pl

Wołowiec 2011
Wydanie I
Ark. wyd. 17,4

Cena: 34,90 zł